



KLAUS-RÜDIGER MAI



TAJEMNE RELIGIE

NAJNOWSZA KSIĄŻKA AUTORA BESTSELLEROWEGO WATYKANU.

KLAUS-RÜDIGER MAI

TAJEMNE RELIGIE

Z języka niemieckiego przełożyła
Agnieszka Gadzała



*Tajemnica stwarza między ludźmi barierę,
ale stanowi równocześnie kuszącą podniechę,
by ją wyjawić innym w rozmowie lub na spowiedzi –
i ta podniecha towarzyszy całemu życiu duchowemu.*

Georg Simmel

TAJEMNICZA SPRAWA WIARY

Większość ludzi „niereligijnych”

i tak ciągle zachowuje się religijnie,

nawet jeśli nie zdają oni sobie z tego sprawy.

Mircea Eliade, *Sacrum i profanum*

Religie mają trwałe wpływy na nasze życie. Bezpośrednio lub pośrednio, otwarcie lub w utajeniu – niezależnie od tego, czy sam człowiek uważa się za religijnego czy też nie. Poczucie sprawiedliwości jest uczuciem najgłębiej religijnym, gdyż zakłada istnienie jakiegoś wyższego porządku. Skryte bądź jawne, skrywane lub manifestowane – w ludziach istnieją namiętności religijne. Także ktoś, kto nie przejmuje się swoją wiarą, jest poddany boskiej opiece, bo ona obejmuje wszystkich i nigdy nie ustaje, nie zaznaje spoczynku i towarzyszy człowiekowi od chwili narodzin aż po grób. Nawet konsekwentni agnostycy sięgają po resztki religijnych uczuć, gdy zbliża się Boże Narodzenie. Aniołowie pozostają aniołami, nawet jeśli absurdalnie i niezręcznie nazywa się je (jak w dawnej NRD) „skrzydlatymi postaciami kończącego się roku”.

Chrześcijaństwo przejęło anioły, ale ich rodowód w żadnym razie nie jest chrześcijański. Są obecne zarówno w judaizmie, jak i w islamie, i wszędzie noszą tę samą nazwę. To stwierdzenie nie przybliżyło nas jeszcze do prawdy o ich proveniencji. W wyznaniach monoteistycznych, w których centrum znajduje się jeden Bóg, anioły zręcznie skrywają mroczną stronę swego pochodzenia. Jak wiele innych zewnętrznych kwestii związanych z wiarą, są przede wszystkim elementami tajemnych religii i występują w kilku rolach jednocześnie.

Religie wciągają nas nie tylko w czasie świąt Bożego Narodzenia. Dzieje się tak również w Wielkanoc – czy zadajemy sobie pytanie, jaki jest związek między cierpiącym na krzyżu Jezusem, który wziął na siebie wszystkie ludzkie grzechy, a wesoło i kolorowo pomalowaną pisanką?

Skryte i tajemnicze ścieżki nieprzeniknionego królestwa religii przypominają kreteński labirynt Minotaura. I właśnie dlatego, że te drogi są ukryte, wciąż nas zwodzą i każą krążyć w kółko; trzymamy się tajemnic w religiach jak jakiejś nici Ariadny, mając nadzieję, że pozwoli nam ona wydostać się z tego labiryntu.

Wejście w świat tajemnych religii oznacza, że zdejmujemy z oczu klapki, jakie nałożyły nam wychowanie, nawyki, naiwność oraz ignorancja, i postrzegamy rzeczywistość w całej jej złożoności – także i przede wszystkim w tym wymiarze, który zwykle z wiadomych względów pomijamy. A przecież dobrze wiedzieć, w jaki sposób powstała ziemia, na której stoimy. Wyruszajmy zatem w drogę ku ukrytym regionom naszej egzystencji.

Wiara uznana przez państwo istnieje w przestrzeni publicznej. Religie prześladowane trwają w wyznaniach oficjalnie akceptowanych i uznawanych, heterodoksja trwa w ortodoksji. Kościół najlepiej chroni przed prześladowaniami Kościoła. Religie kryją tajemnice: z jednej strony te wyjawiane otwarcie i określane mianem misterium, z drugiej strony te niewidoczne, starannie maskowane i przemilczane bądź negowane. Podobnie jednak jak w popularnej historii o papieżycy Joannie^[1] pewnego dnia wszystkie tajemnice wyjdą na jaw, choćby wcześniej nie wiadomo jak dobrze były chronione.

Prześladowane wyobrażenia religijne i skrywane uroczystości, które przetrwały w oficjalnych wyznaniach, to tajemne religie. W tej książce je zdemaskujemy.

W treści, rytuałach i świętach istniejących obecnie religii – zwłaszcza wielkich religii monoteistycznych: judaizmu, chrześcijaństwa i islamu, w których czci się jednego Boga – a także w naszych świętach i nawet zwyczajach, które weszły już do życia codziennego, kryją się elementy innych, znacznie starszych wyznań. Im częściej ogłasza się ich nieistnienie, tym bardziej one istnieją, jakby na przekór – oczywiście nierozpoznane i otoczone powłóczką wiary chrześcijańskiej bądź muzułmańskiej.

Jesteśmy zatem na tropie tego, co przetrwało, a co przez tysiąclecia nie straciło nic ze swej żywotności. Badanie śladów tych pozostałości oznacza wejście w świat tego, co w naszej nowoczesnej egzystencji wypierane, zatajane, przemilczane i negowane. Ta nowoczesna egzystencja jest zresztą znacznie bardziej przednowoczesna, niż się to powszechnie przyjmuje. Ukryte wyobrażenia religijne osadziły się bowiem głęboko w ludzkiej podświadomości.

To jest jedna, być może najważniejsza strona tajemnych religii. Druga strona – to to, co wciąż trwa, co gdzieś na marginesie życia publicznego praktykuje się w małych wspólnotach wiernych, otoczonych kordonem tajemnicy. Do takich wspólnot wyznaniowych należą choćby gnostycy, katarzy, zwolennicy Fethullaha

Gülena czy druzowie. Praktykowanie tych religii uważa się za podróż w głąb boskiej tajemnicy albo – inaczej – za poszukiwanie ukrytej drogi zbawienia. Samo słowo „zbawienie” brzmi dziś trochę obco albo banalnie, ale w sensie religijnym pojmowane jest jako niewysłowione szczęście. A któż nie chciałby być szczęśliwy?

Obie strony tych tajemnych religii mają swe źródło w dawnych wierzeniach i formach, które dziś stanowią podglebie naszych wyznań i zwyczajów albo funkcjonują jako krypty, jako stare przekazy religijne, lub trwają i rozwijają się w kościołach, sektach, wspólnotach wyznaniowych i tajnych zakonach.

ANIOŁOWIE I PISANKI – W CO WIERZYMY, KIEDY WIERZYMY?

Na co dzień z tajemnymi religiami jest tak, jak w historii pewnego tureckiego rolnika. Człowiek ten pracował na swym polu, a kiedy chciał coś zjeść, siadał na leżącym tam kamieniu i jadł przyniesioną z domu strawę. Pewnego dnia na jego pole przybyli ludzie, po których znać było wykształcenie, choć ubrani byli raczej niedbale. Delikatnym pędzelkiem zaczęli niezwykle uważnie i pedantycznie czyścić ów kamień, na którym siadywał właściciel. Rolnik czekał z niecierpliwością, co powiedzą przybyli – wydawało mu się, że upłynęła cała wieczność, nim oznajmili mu, że ten kamień jest pozostałością tympanonu antycznej świątyni i że był niegdyś śnieżnobiały. Pocziwiec patrzył zdumiony i nie mógł uwierzyć własnym uszom. Jakże to, siedem metrów pod powierzchnią jego pola leżało jakieś starożytne miasto, które tymczasem pokrył kurz tysięcy? Czyż nie znajdował się na ziemi swoich przodków? Ta wiadomość nie pasowała do jego obrazu świata. Nigdy jednak nie zadał sobie pytania, jak daleko w przeszłość sięga historia jego rodziny. Kiedy się dobrze zastanowimy, z nami dzieje się tak samo.

Stare religie uległy wprawdzie zapomnieniu (albo wiedzą o nich jeszcze tylko specjaliści), ale wnikają w nasze życie jak ten stary, zniszczony kamień – na co dzień posługujemy się nimi jako czymś oczywistym i właściwie tego nie dostrzegamy. Inaczej mówiąc i formułując to bardziej ogólnie: tam, gdzie panuje chrześcijaństwo, judaizm lub islam, niekoniecznie i nie w każdym przypadku jest to w istocie chrześcijaństwo, judaizm i islam.

Z rzadka tylko znamy te dawne wierzenia, w każdym razie strażnicy poszczególnych wyznań próbują przemilczeć ich wpływ na obecne religie. Jeśli pozostać przy naszej opowieści o tureckim rolniku, to hierarchowie lub oficjalni przedstawiciele monoteistycznych religii nigdy nie zdradziliby temu chłopu, na czym naprawdę siadywał do posiłku. Przeciwnie, za wszelką cenę staraliby się

zataić przed nim prawdę.

Niezależnie od tego, czy rytuały sprawowano po cichu i w tajemnicy, czy też ich początki popadły w zapomnienie (jak np. w chrześcijaństwie, które wepchnęło pogańskie święto w przykrótkie chrześcijańskie szaty Wielkanocy) – te stare wierzenia przetrwały w utajeniu w nowych formach. W ten sposób stały się tajemnymi religiami wśród religii świata i dzięki temu należą do naszej codzienności. I nie ma tu znaczenia, czy ktoś należy do jakiegoś Kościoła czy nie.

Podążanie tropem tajemnych religii jest nie tylko fascynujące, ale z dwóch powodów także pożyteczne. Po pierwsze, przyczynia się do odsłonięcia ukrytej, często wypieranej strony naszej tożsamości; po drugie natomiast, znajomość ukrytych źródeł różnych religii jest warunkiem podejmowania dyskusji w świecie podzielonym również walkami religijnymi. Czystość jest bowiem często śmiertelną fikcją.

Podjmy zatem tę niewygodną, lecz pouczającą podróż do tajemniczych źródeł różnych religii. Wyprawa taka obiecuje przygodę nie mniejszą niż ta, jaką było w swoim czasie odkrycie źródeł Nilu. Aby dać się oczarować światu, należy ten świat wcześniej odczarować.

Wyobraźmy sobie, że jakieś zdarzenie w brutalny sposób odsłoni kiedyś niemal fizyczną jedność religii panujących i podskórnych prądów pogańskich.

Wczesnym rankiem 20 listopada 1979 roku światem wstrząsnął na krótko zamach terrorystyczny. Ponieważ jednak miał on miejsce w samym sercu świata muzułmańskiego, nie przejął się nim ani kapitalistyczny Zachód, ani komunistyczny Wschód, które w napięciu obserwowały wzajemnie swoje poczynania. Nic zatem dziwnego, że prawie nie zauważono ubocznych szkód religijnych, jakie wyrządzili terroryści (choć w żadnym przypadku nie było to ich zamiarem). Ale któż na Zachodzie interesował się islamem przed 11 września?

Setki młodych mężczyzn w awanturniczej i zuchwałej akcji zajęły najświętsze miejsce muzułmanów – Święty Meczet w Mekce, w którego centrum znajduje się słynna Al-Kaba. Przepisy dla Mekki w ogólności, a dla Wielkiego Meczetu (Al-Haram) w szczególności, są surowe: zabraniają i zakazują wstępu niemuzułmanom. Rozmiar świętokradztwa był ogromny: to jakby uzbrojeni lefebryści szturmowali Bazylikę św. Piotra.

Pobożni okupanci niechcący wyjawili przy okazji tej akcji tajemnicę, która

stała w całkowitej sprzeczności z ich wyobrażeniami i zamiarami, a o której nie mieli pojęcia.

Nosili długie brody, ubrania sięgały im nad kostki, tak jak podobno nosił się przyjaciel Boga, Mahomet. Można by ich było wziąć za bardzo pobożnych muzułmanów, a i oni za takich się uważali. Sami nazywali siebie Ikhwan, czyli „bracia”.

Zgodnie z muzułmańską rachubą czasu, który rozpoczyna się od wyjścia Mahometa z Mekki w roku 622, 20 listopada obchodzono ostatni dzień 1399 roku. Tę datę ataku przywódca „braci” Dżuhajman al-Utaibi wybrał nieprzypadkowo: wierzył, że zbliża się koniec świata. W nadchodzącym roku 1400 oczekiwał nadejścia Apokalipsy, tak samo jak niemal tysiąc lat wcześniej czekali na nią chrześcijanie. Kiedy się jednak okazało, że w 1000 roku naszej ery Paruzja (czyli powtórne przyjście Chrystusa w Dzień Sądu Ostatecznego) nie nastąpiła, pewien mądry (ale przede wszystkim charyzmatyczny) myśliciel, opat Joachim z Fiore w Kalabрії, wymyślił teorię trójpodziału dziejów^[2], dzięki czemu wielkodusznie podarował światu jeszcze trochę czasu. Podstawowa idea Joachima nie była zatem szczególnie oryginalna. Inaczej było z politycznymi konsekwencjami wynikającymi z jego prorocstwa. Dżuhajman obwieścił bowiem, że Zbawiciel, Mahdi, objawił się pod postacią studenta teologii – i wezwał muzułmanów do podążania za tym Mahdim, prowadzenia świątobliwego życia, marszu na pałac królewski, zaprzestania dostaw ropy do USA, wypędzenia z kraju niewiernych, wprowadzenia zakazu uczestnictwa kobiet w życiu publicznym i zakazania: filmów, fotografowania, piłki nożnej, muzyki, papierosów oraz alkoholu. Wszystkie te szatańskie rozrywki, rzeczy i nawyki odciągają tylko ludzi od Boga. Pobożni okupanci najświętszego meczetu odczytywali przez głośnik traktaty religijne.

W ich rękach znalazło się ponad 50 tysięcy pielgrzymów, którzy mieli pecha i znajdowali się wówczas wewnątrz meczetu.

Ale nie doczekali się oczekiwanego odzewu. W końcu uczeni w Prawie wydali *fatwę*, czyli orzeczenie prawne pozwalające saudyjskiemu królowi Chalidowi na użycie siły przy opróżnianiu świątyni. W ten sposób, przy zaangażowaniu antyterrorystycznych ekspertów policji francuskiej, okupujący zostali pokonani. Zginęło wówczas 26 zakładników, 127 żołnierzy i 177 okupantów, a ponad 600 osób zostało rannych. W dniu 8 stycznia 1980 roku straconych zostało publicznie w różnych miastach Arabii Saudyjskiej 63 „braci”, którzy wpadli wcześniej żywi w ręce saudyjskich żołnierzy. Wśród nich także

Dzuhajman al-Utaibi. Dla rodziny panującej, uważającej się za obrońcę świątyni, pomoc niewiernych Francuzów stanowiła jednak trudną do zmycia hańbę.

Ten najlepiej znany epizod stanowił narodziny terrorystycznego islamu. Mniej znane są inne ujawnione w krótkim czasie fakty, zdumiewające i niezwykle brzemiennie w skutki.

Z ziemi naruszonej w walce i narażonej na szwank Al-Kaby wychynęły nagle bowiem, niczym z mroków czasu, przedislamskie bóstwa. Potwierdziła się zatem hipoteza, że zanim Mahomet uczynił z Al-Kaby główne miejsce modlitwy do swego jedyne boga Allacha, w Al-Kabie oddawano cześć 360 bóstwom w postaci świętych kamieni lub rzeźb.

REFLEKSY DAWNYCH RELIGII

W domu mego Ojca jest mieszkań wiele.

(J 14, 2)

Istniało proste wyjaśnienie tej tajemnicy, gdyż islamska Al-Kaba służyła Arabom jako świątynia także w czasach przedislamskich i była poświęcona jednemu z wielu bóstw. Ludzie od stuleci znali wprawdzie i czcili Allacha jako głównego boga panującego nad pustynią, ale w ich życiu odgrywał on coraz mniejszą rolę. Ich zdaniem był zbyt odległy, rezydował za daleko od ich codziennych trosk i problemów, dlatego nie mógł słyszeć okrzyków wznoszonych przez prześladowanych. Plemiona beduinów więcej sobie obiecywały po błaganiach wznoszonych do lokalnych bóstw, zamieszkujących *al-himā*, święte miejsca, i ściślej związanych z ich codziennym życiem. Takimi przedislamskimi bóstwami były na przykład boginie al-Lāt i al-'Uzzā.

Przypuszcza się, że obszarem poświęconym bogini al-Lāt był czworokątny biały kamień. W czasie walk i w bitwach mieszkańcy Mekki mieli przy sobie kamienne wizerunki tych bogiń. Podobnie jak innym bogom zanoszono im poświęcane dary i ofiary, by zyskać ich przychylność i łaskawość dla próśb. Plemię Kurajszytów ochraniało Kabę jako główne święte miejsce, gdyż stanowiło ono rodzaj uznanego centrum etnicznej integracji dla często wrogich sobie i wojujących ze sobą plemion. W określonych porach roku, kiedy Arabowie pielgrzymowali do Mekki, panował święty pokój. Na pielgrzymkę i tak nie można było zabierać ze

sobą broni.

W końcu Mahomet zmienił przeznaczenie tego świętego dla plemion arabskich miejsca i uczynił z niego świątynię islamu, staroarabskich bogów skazując na banicję. Chcąc pozyskać arabskie plemiona dla własnej religii i zjednoczyć je politycznie, potrzebował jednego wspólnego boga i jednego miejsca. I nie było istotne, czym kosztem się to odbywa.

Zakaz czczenia obrazów ma w islamie wiele przyczyn, ale – jak to jeszcze zobaczymy – stanowi także najlepszy argument przeciwko 360 dawnym bogom, a więc ich wizerunkom. Kiedy chce się zakazać wszystkich, nie trzeba wchodzić w szczegóły, lecz wystarczy znaleźć jakąś wspólną regulację. Przed pozbyciem się starych bogów należało ich jednak pozbawić świętości, zdesakralizować. Uczyniono to, ogłaszając ich „bożkami”, a modlitwy do nich największym grzechem – pozbawiono ich wtedy ochronnego pancerza świętości. Wydaje się, że zostali wtedy po prostu zakopani w ziemi Al-Kaby – być może również po to, by zademonstrować wyższość islamu.

Ta myśl nie jest wcale absurdalna. W ten sam sposób postąpili katolicy Rzymianie, wznosząc naprzeciwko Panteonu, na fundamentach świątyni Minerwy, jeden z najważniejszych kościołów Wiecznego Miasta, który potem konsekwentnie nazwali *Santa Maria sopra Minerwa* (a więc ponad Minerwą). Jest w tym pewna ironia, że z rzymskiej Minerwy (a greckiej Ateny) zrobiła się raptem chrześcijańska Maria. Chrześcijańska Dziewica Maryja sprawia w każdym razie wrażenie przebranej bogini, niezdarnego odbicia dawnego religijnego obrazu w krzywym zwierciadle.

Jest kwestią niemal symboliczną, że fundament islamu tworzy obecnie wiele dawnych miejscowych arabskich bóstw natury oraz związane z nimi obrzędy i wyobrażenia, które odrzucił Koran. W samym Koranie również wiele wskazuje na znacznie starsze wyobrażenia i obrzędy, takie jak szatańskie wersety czy tajemnicze litery.

Taki sam proces można udokumentować w innym miejscu innym przykładem. Do szczególnie ważnych świątych miejsc chrześcijaństwa należy imponująca Bazylika św. Piotra, której kopuła została wzniesiona nad grobem apostoła Piotra. Tymczasem jakieś osiem metrów poniżej dzisiejszego poziomu bazyliki natrafiamy na jedną z największych nekropoli świata.

Miasto Umarłych związane jest ze światem pogańskim. Leży poza

rymskimi murami miejskimi, ponieważ zmarłych mieszkańców nie wolno było grzebać w obrębie murów. Teren ten, zwany *ager vaticanus*, leżał nie tylko poza murami i w bezpośredniej bliskości miasta, ale też na przecięciu trzech wielkich rzymskich dróg – przecinały się one właśnie tam, gdzie dzisiaj znajduje się plac św. Piotra. Via Cornelia i Via Aurelia prowadziły w kierunku zachodnim, do Caere, natomiast Via Triumphalis ku północnemu Rzymowi, który łączyła z etruskim Veio (Isola Farnese).

Rzymianie wierzyli, że człowiek nie umiera naprawdę tak długo, jak długo myślą o nim ludzie, dlatego często urządzali cmentarze w pobliżu miejsc publicznych i chętnie uczęszczanych, jakimi z natury rzeczy są drogi. Zależnie od możliwości budowali swoim zmarłym ogromne domy zmarłych z dziedzińcami i ławkami do siedzenia. Archeolodzy odnaleźli tam ślady hołdów składanych bogom dawnych tajemnych religii, jak w kulcie Izydy czy Dionizosa. Kiedy ogląda się, jak urządzone były domy zmarłych, można sobie bez trudu wyobrazić odprawiane tam również ceremonie religijne, takie jak przy grobie apostoła Piotra. W pewnym sensie wczesne chrześcijaństwo było bowiem taką tajemną religią – jest to dziedzictwo, do którego oczyszczona religia chrześcijańska niechętnie się przyznaje, a chętnie by się go po prostu wyparła.

Rzymska bogini urodzaju Ceres (grecka Demeter, frygijska Kybele) była odpowiedzialna za bezpieczne przejście zmarłych do manów, duchów zmarłych. Bogom, Ceres, manom, ale także larom, opiekuńczym bóstwom domowym i rodzinnym, składano w ofierze świnie albo barana. Ten rytuał ofiarowania można sobie wyobrazić jako nieco podniosłe w tonie rodzinne party z grillem, podczas którego bogowie otrzymywali wnętrzości zwierząt, natomiast samo mięso w nabożnym skupieniu spożywali żałobnicy.

Rodzina towarzyszyła zmarłemu przez dziewięć dni, które spędzała w domu zmarłych. W tym czasie żałobnicy również symbolicznie należeli do świata umarłych, ponieważ towarzyszyli swym bliskim w niebezpiecznym przejściu na drugą stronę. Dopiero dziesiątego dnia, po wieczerzy jedzonej w domu zmarłego, rodzina powracała do świata żywych. Jednakże w określone dni w roku znowu wszyscy gromadzili się przy grobie, wspominali zmarłego, oddawali mu cześć ofiarą i następującym po niej posiłkiem za zmarłych. Obrzędy Rzymian wyglądają dziwnie znajomo: przypominają stypę, czas żałoby, Wszystkich Świętych czy ewangelicką ostatnią niedzielę przed Adwentem, obchodzoną jako Niedziela Zmarłych (*Totensonntag*). Dawniej, pamiętam, osoby, które straciły kogoś bliskiego, nosiły na przedramieniu wąską czarną opaskę na znak tej straty. W ten sposób należały wprawdzie do naszego świata, ale jednak niezupełnie, miały

bowiem kontakt z innym światem, gdyż ta oznaka żałoby łączyła ich ze światem po drugiej stronie, światem tych „nieznanych krain, z których pątnik żaden dotąd nie wrócił”^[3]. Noszenie oznak żałoby na ramieniu po śmierci jednego z członków utrzymuje się jeszcze w różnych organizacjach, na przykład w klubach sportowych czy w straży pożarnej.

W mieście zmarłych znajduje się wiele grobów pogan, jak choćby Rzymianina Flawiusza Agrykoli. Kazał on umieścić na swoim grobie elegię, która opowiada o jego życiu i niejako przedstawia zmarłego żyjącym. Można tam przeczytać o jego wcześniej zmarłej żonie Flawii, że była „wyznawczynią bogini Phariae” (czyli Izydy). Wraz z rozprzestrzenianiem się chrześcijaństwa w pierwotnie pogańskim mieście umarłych pojawiało się coraz więcej grobów chrześcijańskich. Niedaleko grobu Agrykoli znajduje się miejsce ostatniego spoczynku chrześcijanki Emilii Gorgonii. Tę dwudziestoosmioletnią kobietę pochował jej mąż. Na płycie można rozpoznać Emilię Gorgonię czerpiącą wodę ze studni. Jest to obraz symbolizujący życie wieczne zmarłej – „*anima dulcis Gorgonia*”. Mąż kazał wyryć w kamieniu słowa *dormit in pace* – śpi w pokoju. Jest tego pewny, gdyż wierzyła, zatem Chrystus się nią zaopiekuje.

Wczesnochrześcijańska formuła *dormit in pace* później zastąpiona została przez *requiescat in pace* (spoczywa w pokoju). Stąd właśnie wywodzi się prośba, jaką dzisiaj znamy: „Spoczywaj w pokoju”. Zniknęła późnoantyczna pewność, zastąpiło ją życzenie, by tak było. Wraz z rozwojem chrześcijaństwa coraz mniej pewne było szczęście po tamtej stronie – czyli raj. Pewność wielu spraw z czasów wczesnego chrześcijaństwa gdzieś później zanikła. Im potężniejsze stawało się chrześcijaństwo, tym bardziej bezbronny czuł się człowiek, który i tak od narodzin uważany był tylko za istotę niepewną, której nie można ufać, za grzesznika.

Ze skąpych słów wyrytych na płycie do naszych czasów przetrwała jednak miłość męża Gorgonii do żony: „Robię to dla mojej najukochańszej małżonki”. Spajają się w tych słowach tęsknota, nadzieja, życzenie, a może nawet pewność ponownego spotkania i chęć połączenia na całą wieczność. Można się tu też dopatrzeć starego greckiego wyobrażenia o szczęśliwym życiu po śmierci, które również w Rzymie cieszyło się wielkim uznaniem. „*Quem di diligunt adulescens moritur* – młodo umiera, kogo kochają bogowie” – przetłumaczył Plaut z greckiego poety Menandra^[4]. Przedstawiające raj, bogate malowidła ścienne w domach umarłych, przemawiają swoim własnym językiem, który czaruje i oczarowuje. Lepiej jest bowiem, jak mówi grecki tragiczny Sofokles, nigdy się nie narodzić^[5]. Chrześcijaństwo chętnie przejęło wizję ziemskiego padołu łez, który należy możliwie szybko opuścić, nie popełniając jednak samobójstwa, które jest grzechem

śmiertelnym.

Pogląd, że świat jest zły, występuje w wielu wyznaniach, na przykład w islamie czy buddyzmie. Być może religie nawet żyją z niskiej wartości świata i jego okropności albo są przynajmniej – w pozytywnym sensie – próbą odpowiedzi i pomocy w świecie pełnym przestępstw. Któż bowiem potrzebuje wiary w wyższą siłę w świecie dobrym czy perfekcyjnym? A z drugiej strony – kto w świecie całkowicie niedoskonałym potrafi się obejść bez jego ułomnej rzeczywistości?

Jedynie konfucjaniści życzą sobie zdrowia i długiego życia, ale ci są po prostu zdania, że świat będzie doskonały, jeśli będzie konsekwentnie przestrzegał konfucjańskich zasad, to znaczy jeśli nie będzie dysharmonii między ziemią a niebem. Chrześcijańskie, a potem także muzułmańskie, wyobrażenie o życiu jako próbie na wieczność po raz pierwszy *explicite* pojawiło się w judaizmie. O ile Rzymianie byli pewni istnienia późniejszego życia i ta pewność obejmowała również wczesne chrześcijaństwo, o tyle przesunięcie w odległą przyszłość terminu paruzji, powtórnego przyjścia Chrystusa w Dniu Sądu, osłabiało tę pewność i czyniło to przyjście mglistym i niepewnym. Im bardziej upowszechniała się teoria o grzeszności człowieka i życiu jako próbie wobec wieczności, tym bardziej zanikała wiara w raj. Nie każdy musiał do niego trafić, można też było pójść do piekła.

Historia Al-Kaby i rzymskiej nekropolii uczą dwóch rzeczy.

Pierwszą z nich jest wniosek, że życie ludzkie przebiega według niezmiennego rytmu; takie przeświadczenie towarzyszy religiom dzięki rytuałom i sakramentom, obejmuje wszystkie pokolenia i wszelkie religie. Niewiele się pod tym względem do dzisiaj zmieniło.

Druga jest taka, że to, co wydaje nam się prastarym chrześcijańskim zwyczajem – na przykład chrzest – jest znacznie starsze. Judaizm ani chrześcijaństwo czy islam nie wymyśliły, nie stworzyły wszystkiego od początku. Wiele przejęły i wykorzystywały, często reinterpretując zastane dziedzictwo i włączając je do swego kanonu. Czyniły to oczywiście w tajemnicy, a z drugiej strony same przejmowały tajemnicę, której istnienia nawet nie podejrzewały.

Nie istniały jakieś prereligie, które dziś pulsowałyby jeszcze pod powierzchnią religii współczesności. Jednakże dzisiejsze religie stanowią zaledwie wierzchołek góry lodowej wyznań w dużej mierze ukrytych i w tajemnicy

wpływających na codzienność ludzi, którzy w metafizycznej trosce i egzystencjalnej nadziei, w swojej skończoności tęsknią za szczęśliwością. Tę tęsknotę za trwaniem, to pragnienie wieczności można nazwać religią.

Gdzieś w głębi ludzkiej istoty musi znajdować się miejsce na pierwiastek tego, co wieczne, niezgłębione, na bogów, Boga, na boskość – inaczej nie istnieliby bowiem ani bogowie, ani demony.

W rzymskim określeniu *numen*, wyrażającym to, co w boskości odstręczające (*mysterium tremendum*), i to, co przyciąga (*mysterium fascinosum*), tkwi utajona pogańska koncepcja wyroczeni. Mniej chodzi tu o pytanie boga o radę, bardziej o to, by własnym postępowaniem nie wchodzić bogu w paradę, by odpowiadać zamysłom boga i prosić go o pozwolenie. *Numen* oznacza bowiem przede wszystkim potakiwanie i wyraża zgodę boga, któremu zadaje się pytanie poprzez wyroczenie. Ze zgody wynika bowiem zalecenie, by również tak postępować. W tym zaleceniu ujawnia się wola boga, a z boskiej woli wręcz sam bóg. Z woli boskiej wynika boskość jako taka, która człowieka jednocześnie przyciąga i przeraża. Bóg jest tym, który pozwala, i tym, który zabrania. Przekraczanie zakazów boga niesie ze sobą złe następstwa.

Lęk i strach przed tym, co większe niż sam człowiek, niż wszyscy ludzie razem wzięci, ten lęk i strach pochodzą z konfrontacji z tym, co boskie. Bogowie nie tylko wymagają oddania, lecz także napawają lękiem. Można w każdym razie powiedzieć, że bez nich nie byłoby powieści grozy, opowiadań gotyckich ani takich filmów jak horrory.

Wielką kwestią filozoficzną jest pytanie, czy ludzkość mogłaby istnieć bez religii. W tej książce nie będziemy się nią jednak zajmować, choć sama treść podsuwa takie pytania i popycha ku takiej refleksji. Jednakże wyjaśnienie, że wiara wynika ze strachu nieoświeconego umysłu przed nieznaną naturą, wydaje się tak proste, że aż śmieszne. Przeczy mu także sam rozwój myśli religijnej i filozoficznej. Wyrafinowane intelektualnie i wysublimowane systemy religijne nie mogły już być samym lękiem i brakiem świadomości, lecz stanowią konieczność wynikającą ze świadomego życia. Książka ta nie chce jednak śledzić przyczyn myślenia religijnego i religijnych doznań, lecz ukryte nurty podziemnych prarzek, które co jakiś czas objawiają się na powierzchni w sposób tyle nieoczekiwany, co regularny. Niekiedy ich nie doceniamy, uważamy za elementy islamskie, żydowskie albo chrześcijańskie, podczas gdy mają one korzenie egipskie, mezopotamskie czy perskie. Kiedy patrzymy w oblicze Maryi, rysy jej twarzy zaczynają się mienić; powstaje pytanie: ile twarzy – chrześcijańskich

i niechrześcijańskich – ma Dziewica Maryja?

To, co nazywamy pozostałościami starych religii w naszych współczesnych wyznaniach i w naszej codzienności, to są w rzeczywistości głębsze obszary naszej świadomości (które wytworzyły sobie zastępcze miejsce), to są po prostu momenty rozwoju świadomości religijnej. W człowieku zupełnie areligijnym ostały się bowiem także silne żywotne relikty religijności, które często działają tam, gdzie on się ich najmniej spodziewa.

Skoncentrowanie się na recepcji, na procesie świadomego przejmowania, wręcz rabowania rytuałów przez współczesne religie z dawnych, pogańskich i diabelskich wierzeń nie prowadzi jednak do rozumienia tych procesów, tylko urasta do rangi teorii spiskowych, staje się nieprawdziwą i nieprawdopodobną historią à la Dan Brown. Tam, gdzie można mówić o świadomości, tam mamy do czynienia z czymś, co narastało, co jest historycznie nawarstwione, co rozciąga się od tego kamienia, na którym odpoczywał turecki rolnik z naszej opowieści, do fundamentów świątyni, której ten niepozorny kamień okazał się tympanonem. Aby pozostać przy tym obrazie: nasza świadomość i podświadomość rozciąga się od fundamentów tej świątyni do głowy rolnika siedzącego na tym tympanonie; ona w jakiejś mierze w nas się ukształtowała, w części została odziedziczona, a częściowo ukształtowało ją nasze otoczenie; trochę ją zepchnęło w niepamięć, a mimo to pozostała w najwyższym stopniu żywotna.

Przedstawiciele nowej religii albo świadomie wykorzystują dziedzictwo starszych lub konkurencyjnych wyznań, by skutecznie szerzyć nową wiarę, albo te starsze religie same, niejako dywersyjnie, torują sobie drogę. Nie należy tego raczej określać mianem zabobonu. Jeśli ktoś za filozofem Theodorem Adorno uważa „skłonność do okultyzmu” za „symptom regresji świadomości”^[6], to nie docenia skali odczuwania religijnego, które w ciągu tysiącleci przyjmowało tak różne oblicza, jak wiara, racjonalizm, teoria, okultyzm, tajemniczość – co wciąż przebija przez powłokę dzisiejszych wyznań. Wiele z nich szukało sobie innych dziwnych dróg. Nie otwierajmy zatem żadnych szuflad, lecz miejmy oczy otwarte na tajemne religie i na tajemnicę w religiach, na to, co ukryte.

Podskórna wiara znacznie silniej przenika świat niż najliczniejsze zastępy szpiegów.

Początek świata związany jest ze stwarzającymi go bogami – różnymi zależnie od religii – natomiast początek wszelkich religii wiąże się z ludźmi, którzy upowszechniali je wśród innych, byli ich krzewicielami. Niekiedy, jak

w przypadku twórców rzymskich kultów, w ogóle nie znamy imion tych ludzi. Czasami jako prorocy (jak Mojżesz czy Mahomet) pozostawiają oni po sobie wrażenie jakiejś monumentalnej osobowości, rzadko wspominamy ich jako bogów, założycieli religii czy osoby dokonujące cudów, jak Jezus, Szymon Mag czy Siddhartha. Można ich nazywać wędrownymi kaznodziejami, prorokami albo wybranymi, mesjaszem, mahdim czy buddą, można światłem, przyjacielem boga czy Synem Bożym – początkowo nie odgrywa to żadnej roli, ważna jest tylko ich nauka, potwierdzona własnym życiem. Kiedy jednak jakaś postać ma przejść do historii jako twórca religii, zaczynają się bujnie rozwijać legendy, spekulacje i tajemnice. Tacy niezwykli ludzie istnieli zawsze. Istnieją także dzisiaj. I prawdopodobnie zawsze będą się pojawiać.

Badając miejsca wczesnego chrześcijaństwa w Azji Mniejszej, zatrzymałem się kiedyś w Turcji i na kilka dni dołączyłem do grupy turystów, którzy odbywali objazdówkę: jechali przez Konyę do Kapadocji, by zwiedzić słynne jaskiniowe (skalne) klasztory i kościoły w fascynującym podziemnym mieście Derinkuyu. Nowoczesny autokar mknął przez niekończące się morze żółci i błękitu wyżyny w Środkowej Anatolii jak przez jakiś dziwny korytarz do innego czasu. Z rzadka tylko przejeżdżaliśmy przez jakąś wioskę, dostrzegaliśmy jakieś chaty. Zamiast tego mój wzrok męczył się, zawieszony na tej przeogromnej pustce. Miałem wrażenie, że znalazłem się w nieskończoności. Wszystkimi zmysłami można było wyczuć, że całe pokolenia poszukujących Boga ciągną pylistymi drogami Anatolii na wschód i potem z powrotem na zachód – albo wiedzeni chęcią poszukiwania Boga, albo – kiedy już Go znaleźli – chęcią obwieszczenia tego innym.

W tamtym czasie zachodni świat zachłystywał się jeszcze marzeniem o końcu historii; o wiele złudzeń oddalony był też 11 września 2001 roku, kiedy nagle dojrzelśmy zmiany, jakie dokonały się na świecie. Zmiany, które my przespaliśmy.

Kiedy obejrzelśmy Konyę, miasto tańczących derwiszy, miasto wielkiego mistyka Dżalaluddina (zm. 1273), znaleźliśmy się w głębi starego kraju wielkich chrześcijańskich ojców Kościoła – w Kapadocji, ojczyźnie Grzegorza z Nyssy, Bazylego Wielkiego, Grzegorza z Nazjanzu, w kraju mistyków i cudotwórców, tajemniczych postaci, fakirów i sufich.

Kiedy dziś mówi się o Anatolii, łatwo przeoczyć wielką kulturę tej ziemi. Tymczasem to tutaj ponad 10 tysięcy lat temu powstały pierwsze świątynie i to tutaj Hetyci stworzyli swoje imperium, po którym pozostał nam epos o Gilgameszu. Na wybrzeżu Anatolii Grecy zbudowali swoje miasta, takie jak Efez

czy Milet. Spierali się o ten kraj Asyryjczycy i Persowie, Aleksander Wielki, Rzymianie, Partowie, Medowie i Sasanidzi. W końcu Cesarstwo Bizantyńskie przetrwało tu o tysiąc lat Cesarstwo Zachodnie. Wszyscy oni odcisnęli piętno na tej ziemi, nim podbili ją nawróceni na islam przybysze z głębi Azji. Naszym przewodnikiem był młody Turek, *almanci*^[7], który wychowywał się w Kolonii i po niemiecku mówił bez akcentu. Uważałem za pewne dziwactwo, że niewiele opowiada nam o krajobrazach i historii, skupiając się na skargach na sytuację religijną w zlaicyzowanej przez Atatürka Turcji. Szybko jednak zwróciłem uwagę, że na każdym przystanku, jaki robiliśmy albo dla odpoczynku, albo żeby obejrzeć coś interesującego, spotykał się w herbaciarni z innymi młodymi ludźmi, ale także ze starszymi mężczyznami, i prowadził z nimi jakieś głębokie rozmowy. Wydawało się, że są ze sobą blisko, i nie wyglądało to na rozmowy o futbolu. Kiedy im się bliżej przyjrzałem, ogarnęło mnie zdumienie. Nasz nieco dziwaczny przewodnik ze zdumiewającą szybkością przeobrażał się podczas dyskusji w doświadczonego wędrownego kaznodzieję. Rzadko zdarzało mi się obserwować w tak krótkim czasie nagłą i całkowitą przemianę sposobu życia i zachowania; miałem wrażenie, że mieszka w nim dwóch ludzi. Wcześniej trudno go było odróżnić od innych Turków, był na wskroś przeciętnym młodym człowiekiem; teraz nagle płonął charyzmatycznym ogniem, który wyróżniał go spośród tłumu i nadawał jego wyglądowi jakiś niepokojący rys. Wydawało się, że przy przeciąganiu się i podnoszeniu z ramion spływa mu zakurzony płaszcz. Był zupełnie innym człowiekiem, kimś, kto wie, czego chce, i wierzy, w co powinien. Siedział w tych herbaciarniach, jedyny, który nie ma najmniejszej wątpliwości co do swojej działalności i którego energia wypływa z nienawiści.

Dawał dobre wyobrażenie o naturze ciągnących tędy cudotwórców, proroków, filozofów i założycieli różnych religii – z tą jednak różnicą, że dla nich źródłem była miłość albo wiedza. To tacy ludzie głosili i szerzyli zasady judaizmu, buddyźmu, konfucjanizmu, taoizmu, chrześcijaństwa, manicheizmu, ale również religii misteryjnych oraz islamu. Możliwe, że religii nikt nie wynalazł, że je po prostu odkrywano.

Nasz przewodnik opowiedział mi swoją historię – pozornie całkiem codzienną, niemal banalną, a przecież jednak typową. Opuścił Anatolię w wieku pięciu lat i wraz z rodzicami przeniósł się do Kolonii, gdzie oni postanowili szukać szczęścia. Rodzina integrowała się z otoczeniem: syn doskonale nauczył się niemieckiego i przynosił ze szkoły dobre oceny. Zdobył zawód elektryka, jednakże stanowił on zbyt małe wyzwanie dla żywego intelektu młodego człowieka. Jednocześnie czuł się obco w kraju – tolerowany, ale nie kochany. Wyraźnie wpływało to na jego poczucie własnej wartości. Wrócił więc do Turcji, ale powrót

do domu również okazał się deprymującym zetknięciem z obcym krajem.

Był teraz tylko *almanci*. W Niemczech uważano go za stuprocentowego Turka, a w Turcji za pół-Niemca. Kim jednak był naprawdę? Gdzie przynależał? Te pytania go dręczyły, doprowadzały na skraj rozpacz. Jego dusza spalała się w niedostateczności. Nie chciał odpuścić, nie chciał się znieczulać ani oteplić używkami czy majątkiem pozyskanym siłą i bezprawiem; chciał po prostu znaleźć swoją drogę. I tak udał się w końcu na poszukiwanie własnej tożsamości, swojej prawdziwej ojczyzny, miejsca, w którym jego poraniona dusza znalazłaby ukojenie.

Wędrował przez Anatolię, wschodnią część Turcji, o którą walki toczyli Kurdowie, przez Irak, Iran, Pakistan – aż do Indii. Po drodze zatrzymywał się w konwentach sufich, w klasztorach, u derwiszy, w dużych meczetach i poszukiwał objawień swojej drogi w oficjalnych religiach oraz w tajemnych kultach. Rozmawiał z muzułmanami, buddystami, hindusami, fakirami – Bóg wie zresztą z kim jeszcze – i mieszkał u nich. Kiedyś powrócił na zachodnie wybrzeże Turcji i dzięki swej doskonałej znajomości niemieckiego znalazł pracę jako przewodnik turystyczny. Wycieczki wykorzystywał do tego, by po drodze spotykać się z ludźmi, wymieniać myśli, a może nawet budować sieć myślących podobnie jak on sam.

Na początku nie potrafiłem odgadnąć, jaką drogę ostatecznie wybrał i do czego dążył. W rozmowie rzucał niekiedy jakieś zdanie, które myliło trop i nie pozwalało go zrozumieć, a ze swojego wyboru czynił wielką tajemnicę. Na moje pytania odpowiadał aluzjami i przypowieściami. Prawdopodobnie owe aluzje wobec mnie były nieco na wyrost i wynikały jedynie z jego próżności. Być może miało to związek z zakonem derwiszy w Mewlewije, gdyż często mówił o Rumim, w kółko go cytował, ale mógł to być tylko fortel. Wydawało się jednak, że odnalazł wreszcie swoje miejsce, swoją wiarę i swoją tożsamość.

Nigdy się nie dowiedziałem, czy został sufim, islamistą, funkcjonariuszem Partii Dobrobytu, która później objęła rządy, czy może stał się na powrót nieszczęśliwym człowiekiem.

^[1] *Por. Giovanni Boccaccio, De Iohanna anglica papa, [w:] G. Boccaccio, De claris mulieribus, wyd. dwujęzyczne łacińsko-niemieckie, wybór, przekład i komentarz Irene Efrem i Peter Schmitt, Stuttgart 1995, s. 217 i nast.*

^[2] *Joachim z Fiore uzasadnił mistycznie teorię o trzech okresach w historii: czasie Ojca, trwającym od Abrahama do narodzin Chrystusa, który był okresem bojaźni bożej i prawa; królestwie Syna, trwającym od czasów Jezusa do czasów Joachima i nazywanym królestwem wiary i łaski; i wreszcie królestwie Ducha, które dopiero miało nadejść i miało być królestwem Ducha Świętego i miłości.*

^[3] *W. Szekspir, Hamlet, akt III, scena I, przeł. J. Iwaszkiewicz, [w:] W. Shakespeare, Dwanaście dramatów, Warszawa 1999, s. 501–502.*

^[4] *Plautus, Bacchides, [w:] tegoż, Komödien, Leipzig 1987, s. 816.*

^[5] *W przekładzie Kazimierza Morawskiego: „Najprzedniejszą rzeczą nie żyć”. Por. Sofokles, Edyp w Kolonie, Kraków 1912.*

^[6] *Theodor W. Adorno, Minima Moralia. Refleksje z poharatanego życia, Kraków 2009.*

^[7] *Almancito turecki neologizm, utworzony ze słów alman(Niemiec) i yabanci(obcy) na określenie Turków mieszkających w Niemczech.*

Książka dla none none

W POSZUKIWANIU TAJEMNICY BYTU

...kim byliśmy, czym się staliśmy,

gdzie byliśmy, w co zostaliśmy rzućeni,

dokąd podążamy, z czego zostaliśmy wybawieni,

co to są narodziny, czym jest odrodzenie.

Klemens Aleksandryjski, Excerpta ex Theodoto

Jeśli historię tego człowieka zredukujemy do podstawowej postaci, pozbawiamy ją etnicznych osobliwości, wówczas uzyskamy niemal wzorcową motywację do poszukiwania drogi religijnej, która różni się od oficjalnej oferty religijnej. Temu człowiekowi chodziło bowiem o poszukiwanie sensu i tożsamości, o zasadnicze kwestie własnej egzystencji. W tym przypadku potrzebne są najpierw odpowiedzi, a nie instytucje.

Był zbyt mądry, by dać się zbyć banałami, zbyt wrażliwy, by dać się zwodzić iluzjom, zbyt radykalny, by zaakceptować kompromis, i zbyt poturbowany, by zawrzeć (choćby niechętnie) pokój ze światem takim, jaki jest. Powodowała nim też zbyt wielka tęsknota za prawdą, by mógł się zadowolić czymś mniejszym niż zbawienie religijne lub duchowe.

Większość ludzi czuje, że coś w świecie idzie nie tak, jak powinno, że dzieją się w nim złe rzeczy. Niemal wszyscy są jednak przekonani, że i tak nie mogą niczego zmienić, i stwarzają sobie po prostu podstawy egzystencji. Tamten mężczyzna bez przynależności nie czuł żadnego gruntu pod nogami, dlatego tak usilnie poszukiwał jakiegoś kierunku, jakiegoś punktu orientacyjnego, z którego różne oblicza świata ułożą się w jednolity obraz i tym samym wskażą punkt widzenia obserwatora. Miał nadzieję, że na przecięciu tych linii odnajdzie siebie. Dopiero z tego samodzielnie wyznaczonego punktu świat stałby się dla niego zrozumiały, a na trapiące go pytania dałoby się znaleźć odpowiedź.

Kim jest człowiek? Po co żyje? Jak powinno się żyć? Czym jest szczęście? W jaki sposób się je osiąga? Czy istnieje życie po śmierci? Jeśli tak – to jakie ono jest? Czy warto starania? A może jest warto tylko pod pewnymi warunkami? Jakie to warunki? Czy człowiek ma się Boga bać, czy pokładać w nim nadzieję? Czy dusza trwa niezależnie od ciała, czy życie wyczerpuje się wraz z biologicznym obumieraniem? Wszystkie odpowiedzi zawierają w sobie jakąś tajemnicę, którą należy odsłonić.

Młody Turek był jak porzucone dziecko, które przez całe życie zadreżcza się pytaniem, kim byli jego rodzice i dlaczego je porzucili. Niemiecki filozof Fryderyk Nietzsche odpowiedział sobie na to pytanie śmiercią ojca. Ojciec go nie porzucił, ale po prostu już nie żył. Jednakże idea śmierci Boga ani go nie wyswobodziła, ani nie uszczęśliwiła, tylko ostatecznie wpędziła w szaleństwo.

Na czym polega ta tajemnica, której usiłują dociec poszukujący Boga i którą obwieszczają założyciele różnych religii i wędrowni kaznodzieje?

Dla człowieka największa skrywająca wszelką przyczynę tajemnica kryje się w tajemnicy jego egzystencji, czy dokładniej jego egzystowania. Łaciński czasownik *ex-sistere* oznacza „wychodzić, stawać się”, czyli przeistaczać się z tego, co potencjalne, możliwe, w to, co rzeczywiste. W tych pytaniach mniej chodzi o to, dlaczego jesteśmy, a bardziej o to, jacy byliśmy. Jak to się stało, że istniejemy? Wszyscy twórcy religii chcieli wprowadzić nas w to misterium, oferowali człowiekowi jakieś wyjaśnienie jego samego i jego istnienia, wydobywali go z pozornej przypadkowości i nadawali jego istnieniu rys konieczności. Wyobrażenie Boga, Ojca w Niebie, otula ludzi uczuciem, że jesteśmy chciani; jest jak ciepły płaszcz w lodowcowej epoce świata.

To właśnie łączy założycieli religii i wędrownych kaznodziejów z greckimi filozofami – oni również chcieli odpowiedzieć na pierwsze i ostatnie pytania ludzi. Brzmiały one: Skąd przychodzimy? Dokąd idziemy? Kim jesteśmy i co nas czeka po śmierci? Czy moje życie faktycznie kończy się wraz z moim istnieniem, czy jedynie zmienia się mój „stan skupienia”? Czy żyjemy w świecie realnym czy pozornym? Albo wyrażając to słowami Klemensa z Aleksandrii: „...kim byliśmy, czym się staliśmy, gdzie byliśmy, w co zostaliśmy rzućni, dokąd podążamy, z czego zostaliśmy wybawieni, co to są narodziny, czym jest odrodzenie”^[8].

Aby do tego dotrzeć, trzeba trochę zajrzeć Bogu w karty. Poszukujący Boga są ludźmi, którzy mają nadzieję, że Bóg podzieli się z nimi swoimi tajemnicami. To nie jest mędrkowanie ani zajęcie z rodzaju tych luksusowych, na które mogą

sobie pozwolić nieliczni. Społeczeństwo, które nie stawia sobie takich pytań, zatraciło swój środek i popada w niebezpieczny stan – jak samochód jadący po gładkiej lodowej nawierzchni.

Kiedy człowiek staje się świadomy własnego bytu, doświadcza też poczucia ograniczenia, czasu czy przemijania. Doświadczenie to stoi w wyraźnej sprzeczności z tym, co można określić mianem woli życia. Wola życia koliduje bowiem z wiedzą o końcu wszelkiego istnienia, boleśnie obejmującego także naszą własną egzystencję oraz istnienie ludzi, których kochamy. Z tej kolizji wynika metafizyczna potrzeba człowieka, która pozwala mu szukać sensu i oparcia w wieczności.

Najsilniejsza motywacja dla religii i nauki istnieje w tęsknocie do przezwyciężenia śmierci, bólu, choroby i cierpienia. Synonimem tego dążenia jest marzenie o wiecznej młodości. Współczesne społeczeństwo zachodnie nie potrafi zlikwidować tej potrzeby, proponuje tylko znieczulenie, zapomnienie i złudzenie wiecznej młodości. Nie kładzie kresu tej potrzebie, tylko ją znieczula, uspokajając nasze uczucia. Płacimy za to wysoką cenę – tracimy umiejętność doznawania, a ostatecznie życia. Człowiek żyje bowiem, kiedy doznaje. Kiedy ogranicza się owo doznawanie, redukuje się życie.

Łacińskie słowo *religio*, zawsze tłumaczone jako „sumienne przestrzeganie tego, co odnosi się do czci oddawanej bogom”^[9], oznacza jednak również „przywiązanie do czegoś, silną więź, łączność z”^[10], co jest pokrewne łacińskiemu czasownikowi *ligare* z przedrostkiem *re*. Z tej przyczyny jeden z ojców Kościoła, Laktancjusz, pojmuje religię jako przywiązanie człowieka do Boga. Obojętne wszakże, czy chodzi o wielu bogów czy o jednego – religia oznacza zawsze, że człowiek do czegoś się odwołuje, znajduje jakieś oparcie, stały element w nurcie życia, jakąś przystań.

Wędrownych kaznodziejów, ludzi poszukujących Boga pcha tęsknota za tą przystanią i tym stałym elementem w zmienności życia. Takie przywiązanie niemal zawsze jest przywiązaniem do czegoś wcześniej poznanego, można je rozumieć jako zjednoczenie z własnym początkiem, od którego zostaliśmy oddzieleni po urodzeniu z ciała matki, jako poczucie tożsamości z własnym pochodzeniem. Tajemnica nie leży w znanym fakcie samoidentyfikacji, lecz w sposobie, w jaki człowiek identyfikuje się sam ze sobą. Tajemnicą nie jest CO, ale JAK.

Człowiek, mając świadomość nieuchronności śmierci i zarazem niepowtarzalności istnienia, poszukuje oparcia, ukierunkowania, wyobrażenia albo

wiary, która pozwoli mu na harmonię ze światem. Człowieka wytrąciła z tego świata umiejętność myślenia, duchowego wznoszenia się ponad świat i przekraczania granic własnego ciała – dlatego teraz, wyposażony w tę umiejętność, zdolny i pokonany, musi się w tym świecie odnaleźć. Jedną z najpotężniejszych tajemniczych religii – religia gnostyków – w tym właśnie miejscu rozpoczyna swą naukę o zbawieniu.

W każdym człowieku tli się świadomość ograniczeń. Ludzie różnią się tym, w jaki sposób tę świadomość traktują. Być może można nawet powiedzieć, że świadomość ludzi posiada jakąś predyspozycję religijną, jeśli rozumie się przez to wstrząs, jaki przeżywa człowiek w konfrontacji z końcem własnego istnienia wśród nieskończoności świata. Młody Turek opowiadał mi, że im stawał się starszy, tym silniej doświadczał tego wstrząsu, aż w końcu nie mógł już zrobić nic innego, jak tylko udać się na poszukiwanie, gdyż nie opuszczało go uczucie, że pod jego stopami ziele przepaść, w którą w każdej chwili może spaść.

Kiedy człowiek zyska świadomość siebie samego, odnajduje swoje miejsce, identyfikuje się w czasie i przestrzeni. Dokładniej – może zobaczyć siebie z zewnątrz, a w swoim otoczeniu sam dla siebie może być otoczeniem. Zwierzęta też wprawdzie postrzegają przestrzeń, ale nie są w stanie postrzegać siebie w tej przestrzeni, a tym bardziej w czasie. Człowiek jest w stanie duchowo opuścić swoje ciało i spojrzeć na siebie z zewnątrz. To wyobrażenie jest w zasadzie podstawowym mentalnym warunkiem istnienia religii, magii, a później również nauki.

Skoro człowiek jest w stanie duchowo opuścić swoją *physis*, oznacza to przecież także, że w ludzkim ciele mieszka albo jest zamknięte także coś drugiego, coś, co później nazwano duchem (gr. *nous*), albo jako przeciwieństwo *physis* (ciała) – *psyche*, czyli dusza, albo *pneuma* (boskie tchnienie).

Niezwykłe, wręcz wspaniałe jest w tym wszystkim to, że zdolność obserwowania z zewnątrz siebie samego, swojego otoczenia, daje człowiekowi możliwość przyjęcia niemal boskiej perspektywy – „i tak jak Bóg będziecie [znali dobro i zło]” (Rdz 3, 5) – czytamy w Starym Testamencie.

A skoro tak jest, w takim razie to, co opuszcza ciało, co może się od niego oddzielić – czy zechcemy to nazwać duszą, duchem, *psyche* czy *pneuma* – musi również pochodzić od Boga. Gnostycy wymyślili na to określenie „iskra boża”, a mistyk Mistrz Eckhart mówił o boskiej iskierce w człowieku. Owa dusza – albo duch, *psyche* czy *pneuma* – w połączeniu z Bogiem stanowi w człowieku element

wieczny albo udział człowieka w wieczności, ponieważ Bóg jest wieczny, czym właśnie przewyższa (transcenduje) ludzką, ograniczoną w czasie egzystencję. Takie wyobrażenie kusi człowieka pociechą, że nie wszystko z niego umiera. Część – i to ta ważniejsza – jest wieczna i niezniszczalna. To pozacielesne doświadczenie tworzy pewną przesłankę dla wyobrażeń religijnych, niezależnie od tego, czy dotyczą one przodków czy bogów.

Pierwszy zabieg myślowy polega na tym, by uchwycić różnice, drugi – by znaleźć uogólnienia, a trzeci – by określić swoje własne miejsce w świecie. Nie miejsce tutaj na wywody na temat fenomenologii świadomości religijnej. Istotne jest w tym kontekście, że powstawanie świadomości religijnej i magicznej jest możliwe dzięki praktycznemu doświadczeniu człowieka, dotyczącemu dualizmu ciała i duszy. A także to – że wyrazem świadomości religijnej (lub religijnie predysponowanej) wszystkich ludzi jest wiara, z której później powstanie nauka.

Zupełnie inną, ale ogromnie ważną kwestią jest w tej książce poszukiwanie tej tajemnicy, która przetrwała w oficjalnych religiach w formach podziemnych, utajonych, w podskórnych nurtach. We wszystkich panujących religiach istnieją krypty, trzymane w podziemiach relikty dawnych pogańskich kultów oraz prześladowanych ruchów heretyckich. To tak jak w pomalowanym na biało pomieszczeniu: kiedy zaczynamy zdrapywać wierzchnią warstwę, docieramy do poprzedniego koloru. Prastare wyobrażenia, pogańskie obrzędy i bogowie przemienili się, wręcz zmienili szaty i nadal żyją w oficjalnych religiach w ich zewnętrznych ortodoksyjnych formach. W katedrze gotyckiej można czytać niby w kamiennym kompendium, w którym – zdumiewające! – stoją obok siebie wszelkie ortodoksje, ale i wszelkie herezje z czasów jego powstania. Taki jest świat wiary, przeniknięty częściowo tajemną wiarą, albo właśnie nią podszyty.

Czym jednak są tajemnice w sensie religijnym?

NA TROPIE MISTERIUM

Jedno jest pewne: są wśród nas ludzie, którzy kultywują i pielęgnują tajemne wyobrażenia religijne. Albo lepiej powiedzieć, że jest wśród nas to częściowo ukryte, a częściowo trzymane w tajemnicy dziedzictwo bardzo starych wyobrażeń religijnych, które do dzisiaj wpływają na naszą codzienność również poza sferą religijną. I tak choćby święta Bożego Narodzenia czy Wielkanocy wskazują, że pod pokostem chrześcijaństwa kryją się stare pogańskie praktyki i kultury. Cóż bowiem wspólnego mają z Jezusem jajko wielkanocne albo Święty Mikołaj?

Jak funkcjonuje tajemnica? Niecierpliwi mogą pominąć ten passus, ale najpierw trzeba zrozumieć istotę tajemnicy, żeby móc rozumieć jej skutki.

Słowo „tajemnica” jest nam znane od najmłodszych lat. Od dzieciństwa czuliśmy ekscytację i drżenie, kiedy ktoś obiecywał nam wyjawienie jakiejś tajemnicy, a my, jeszcze jej nie znając, musieliśmy złożyć przysięgę, że jej dochowamy niezależnie od wszystkiego. Do tego drżenia dochodziła jeszcze – nie mniej istotna – duma, że to akurat my jesteśmy godni dostąpić zaszczytu i że zostaliśmy wybrani, by dzielić tę tajemnicę, ba – że będziemy także w przyszłości jej depozytariuszami, a zatem niejako członkami tajnego sprzysiężenia. Od razu stajemy się człowiekiem innej klasy, awansujemy do innej, wyższej kasty. Te historycznie najstarsze wzory zachowań poznajemy już w dzieciństwie i już wtedy zachowujemy się tak samo jak ludzie wiele pokoleń przed nami, kiedy stali w obliczu takich praktyk. Cały ten kompleks zachowań związany z ekscytacją i nieśmiałością wobec tajemnicy przenika w nasze życie bardzo wcześnie, bo już w wieku czterech lub pięciu lat.

Jest to wprowadzenie i wtajemniczenie w religię tajemnicy. I może jest to pierwsza religia, którą świadomie postrzegamy i którą praktykujemy z taką intensywnością, z jaką nie podchodzimy już do żadnej innej w późniejszym wieku. Przysięga o dotrzymaniu tajemnicy, poczucie dumy bycia wybranym, nazbyt święta powaga tego zdarzenia – wszystko to od początku fascynuje nas i wciąga. Posiadanie tajemnicy jest niebezpieczne i uszczęśliwiające jednocześnie.

To zdumiewające, jak bardzo wciągają nas na całe życie stare rytuały wtajemniczenia w coś nieznanego. Religijny charakter tajemnicy i jej niemal święta pozycja to dla wielu pierwsza, a niekiedy jedyna religia w życiu. Jeśli kiedyś w dzieciństwie czuliśmy ciarki na plecach w obliczu misterium, tajemnicy, to to uczucie już nas nie opuści i odtąd będzie potencjalnym pomostem do religii. Jesteśmy w stanie wiele uczynić, by ktoś powierzył nam tajemnicę, potrafimy wtedy zrobić o wiele więcej niż w innych przypadkach. A jeśli ta tajemnica ma w dodatku dotyczyć naszego własnego życia, to jej uwodzicielska moc jest bardzo silna.

Niemieckie słowo oznaczające „tajemnicę” pośrednio prowadzi nas nieco dalej. Samo to słowo, *Geheimnis*, jest bowiem tworem stosunkowo młodym i wywodzi się od przymiotnika *heimlich* (tajemniczy), który pierwotnie oznaczał to, co przynależy do domu (*Heim*). Wraz z ukształtowaniem się opinii publicznej w okresie wczesnonowożytnym zakres spraw przynależnych domowi i domownikom i ograniczony do niewielkiej liczby osób znalazł się w opozycji do

kwestii publicznych, dostępnych wszystkim. Co zatem należy do nielicznych, to znaczy do mieszkańców domu, jest tajemnicze, a więc staje się tajemnicą.

Istotę tajemnicy stanowią więc treści dostępne tylko niewielu – a i to pewnie tylko do celów osobistych i prywatnych. Jednakże historia tego niemieckiego słowa ma dla nas znaczenie tylko metaforyczne, nie analityczne, gdyż niemieckie słowo „tajemnica” jest znacząco młodsze niż treść, którą wyraża. Nie pozostaje zatem nic innego jak pogrzebać w głębszych warstwach języka.

W łacinie istnieją trzy określenia tajemnicy:

– *Secretum* oznacza „tajemnicę” w swoim drugim znaczeniu; pierwszym jest „odosobnienie, oddzielenie, oderwanie, odludne miejsce, oddalone okolice”. W tym sensie tajemnicą jest to, co osobne, oddzielone, samotne, niedostępne, co żyje samo dla siebie.

– *Arcanum* wywodzi się od *arcanus* – „zamknięty, dyskretny, ustronny, milczący” – i określa tajemnicę lub tajemniczość jako to, co dyskretnie, czego się nie dzieli z innymi.

– *Occultum* również oznacza „tajemnicę” i wywodzi się od *occulto* „ukrywać, chować”.

Pełną definicję tajemnicy uzyskamy, łącząc znaczenia wszystkich tych pojęć. Tajemnicą jest więc coś oddzielnego, samotnego, co istnieje samo dla siebie. Jest to zamknięte; nie tylko dyskretnie i przemilczane, ale wręcz świadomie schowane i ukrywane przed opinią publiczną. Ponieważ owo znaczenie tajemnicy może być miejscem, to oczywiste jest także, że tajemnica sama nie przyjdzie do człowieka, lecz to on musi się udać do niej.

Dzisiejsze rozumienie tajemnicy obejmuje wszystkie znaczenia rozpięte między *secretum* a *occultum*, między tym, co święte, a tym, co podejrzane. *Occultum* – zgodnie z obiektywnym i zgodnym z zasadami nauk przyrodniczych duchem czasu – przekształciło się w okultyzm, wiarę w to, co ponadnaturalne i ponadmysłowe. Mimo sukcesu, jaki odniosła, ta idea jest bardzo młoda i bardzo sztuczna, a patrząc od strony historycznej, wręcz nieprawdziwa. Jeszcze w okresie renesansu jeden z ostatnich magów, Agrippa z Nettesheim, w swojej pracy *De occulta philosophia libri tres (Trzy księgi o magii, 1533)* wyraża uznanie dla wiedzy tajemnej, wypowiada się o niej z najwyższym szacunkiem i nazywa ją filozofią. To, co skrywane, mroczne, co przekracza doświadczenie człowieka,

należało zarówno do religii, jak i do filozofii.

Chcąc dotrzeć do jego źródeł, nie wolno zatrzymać się przy Rzymianach i ich rozumieniu tajemnic, lecz należy się cofnąć do właściwych mistrzów myśli, do Greków. To u nich odkrywamy wreszcie doskonałe pojęcie tajemnicy.

Niepozorne jak każdy korzeń, z którego wyrasta fantastyczna roślina, zawarte jest w greckim słowie *mysterion*. Filolodzy spierają się jeszcze, od jakiego tematu zostało utworzone to słowo, kluczowe dla myśli żydowskiej, chrześcijańskiej i muzułmańskiej; do naszej układanki pasuje hipoteza, że słowo *mysterion* wywodzi się od *myein*. *Myein* oznacza „zamknąć się” w sensie „zamknąć oczy albo usta”.

Od samego początku słowa tego używano w związku z kultami religijnymi, takimi jak misteria eleuzyńskie, gdzie „miste” to był ktoś wtajemniczony, ten, który „zamykał usta”, a więc milczał na temat tego, czego się dowiedział albo co zostało mu pokazane, który przestrzegał tajemnicy.

Miste był wtajemniczony i milczał; wiedział, ale zachowywał swoją wiedzę dla siebie i w każdych warunkach był gotów jej bronić. Ponieważ jednak nie mówił o tym, co wiedział, przymiotnik *mistyczny* wkrótce zaczął oznaczać nie tylko to, co tajemnicze, ale także to, co zagadkowe, niewyjaśnione, tak jak my dziś jeszcze to rozumiemy. Ponieważ niewtajemniczeni – a więc większość ludzi – w najlepszym razie przeczuwają, że dzieje się coś, o czym jednak nic nie wiedzą, w tym, co mistyczne, pobrzmiewa również ton czegoś, co niemiłe, z czym człowiek się nieswojo czuje.

Miste stanowił dla ludzi zagadkę, jego działania wydawały się im niemal niemożliwe do wyjaśnienia. Ponad mistem stał jeszcze tylko *mystagoge* – ten, który wprowadzał mista w tajemnicę, w *mysterium*.

Renesansowy filozof Giovanni Pico della Mirandola (1463–1494) w eseju o godności człowieka cytuje Platona piszącego do Dionizjosa: „Należy mówić, posługując się tajemnicami, by to, co Tobie piszę, pozostało niezrozumiałe, gdyby list wpadł w obce ręce”. W tym samym tekście przywołuje też tekst Arystotelesa, mówiącego o tych fragmentach *Metafizyki*, które poświęcił boskim tajemnicom: „zostały wyjawione i nie zostały wyjawione”^[11]. Powiedziane, a jednak niepowiedziane. Język służy tu podzieleniu się wiadomościami z wtajemniczonymi i wprowadzeniu zamieszania wśród niewtajemniczonych.

W judaizmie, chrześcijaństwie i islamie ludzie poszukiwali tajemnej, ukrytej drogi do Boga, która dla nich była drogą mistyczną (*theologia, unio mystica*), drogą do zjednoczenia z Bogiem, w której zatopienie się w Bogu i ekstaza odgrywały zasadniczą rolę. Dlatego od XVI wieku nazywano tych ludzi mistykami, a więc tymi, którzy dotarli do Boga tajemną drogą.

NIEBEZPIECZNE ŻYCIE POSZUKIWACZY BOGA

Trudno z zewnętrznych pozycji ocenić bez neutralnego dystansu lub wewnętrznej akceptacji wielkość zamysłu, jakim jest zjednoczenie z Bogiem. Jeśli jednak Bóg wybawia od wszelkiego zła i udręku, a do tego uważa się go za ucieleśnienie najwyższego szczęścia, stanu, w którym nie ma już myśli ani mowy, a człowieka ogarnia pełen błogostan – to nie ma wyższego celu niż ten, by ów stan jedności z Bogiem osiągnąć. Ten stan jest jak półsen w przebudzeniu, jak upojenie, jak odlot bez narkotyków, jak zanik wszelkich napięć, rozchodzenie się ciepła po całym ciele, miękkość wszystkich ścięgien i mięśni, zaspokojenie wszelkich pragnień, które trwa bez końca i bez pamięci początku. To czas, w którym czas przestaje płynąć. Zegar bez wskazówek.

Mamy tu do czynienia z odczuciem niemożliwym do intelektualnej prezentacji, które w najgłębszym sensie jednoczy ciało i ducha albo jest samym tylko duchem. To zanik siły ciężenia, gdyż czym dla ruchu człowieka jest grawitacja, tym dla myślenia człowieka są definicje.

Pico della Mirandola opisuje zanurzenie się w *mysterium* takimi oto słowami: „Któż nie pragnąłby dostąpić wtajemniczenia w takie świętości? Któż, mając za nic wszelkie ludzkie sprawy, gardząc dobrami fortuny, lekceważąc dobra cielesne, nie pragnąłby biesiadować z bogami jeszcze w tym życiu na ziemi i pijany nektarem wieczności nie chciałby – zwierz śmiertelny – otrzymać daru nieśmiertelności? Kto nie chciałby do tego stopnia zostać owładnięty tymi sokratejskimi szalami, opiewanymi przez Platona w *Fajdrosie* [...]?”^[12].

Ten stan, który dla żydowskich, chrześcijańskich i muzułmańskich mistyków oznacza zjednoczenie z Bogiem, buddyści nazywają *nirwaną*, wyzwoleniem z *samsary*, czyli pełnego cierpień cyklu życia i śmierci. Ludzi, którzy bezapelacyjnie i z przekonaniem wybrali tę drogę, zawsze traktowano z pewną nieufnością. Przy całej sympatii zrozumiała jest rezerwa wobec nich, gdyż ich tajemnice i chęć bliźni, że są blisko Boga, miały też w sobie pierwiastek ambicjonalny i konspiratorski. Oczywiście ta nieufność nie usprawiedliwia ich prześladowań i mordów. Ale nawet w takich chwilach ci ludzie zachowywali się

niezrozumiale i dziwnie: muzułmański mistyk Husajn ibn Mansur al-Halladż (855–922) śpiewał i tańczył w pętach, kiedy wieszono go na stracenie, uważał bowiem, że w niedługim czasie stanie przed Bogiem. Przekaz głosi, że jego ostatnie słowa brzmiały: „*hash al-wajid ifrad al-wahid lahu*” – kochającemu wystarczy^[13]. Od świata otrzymał dosyć, chciał być wreszcie ze swoją największą miłością, z Bogiem. Odrąbano mu dłonie i stopy, powieszono go na szubienicy, znowu go zdjęto, odcięto mu głowę, spalono jego ciało, a popioły wsypano do Tygrysu, rzeki, która wraz z Eufratem otaczała Mezopotamię. To stąd Babilończycy i Asyryjczycy wyruszali na łupieżcze wyprawy w kierunku Egiptu i Palestyny.

Ci, którzy skazali Halladża, nie rozumieli go, a ich wątpliwość co do tego, czy był muzułmaninem, jest dla nas także zrozumiała. Arabski historyk Ibn an-Nadīm (zm. 995 lub 998) pisał o nim: „Al-Husajn ibn Mansur al-Halladż był szcwanym człowiekiem i czarownikiem... Uważał, że zna wszystkie nauki... Wiedział nawet coś o alchemii... Próbował wielkich rzeczy i chciał nawet zmiany rządu. Swoim zwolennikom mówił, że posiada boską pozycję”^[14].

Jakby uzasadniając ocenę an-Nadīma, Halladż powiedział do siebie: „Jestem prawdą absolutną”^[15]. Jednakże jeszcze sto lat po jego śmierci poeta al-Ma’arri – ten sam, którego *List przebaczenia* zainspirował Dantego – pisał, że wciąż jeszcze na brzegach Tygrysu siedzą ludzie czekający na powrót Halladża.

Istnieje wiele przykładów prześladowania ludzi, którzy posiadali tajemnicę drogi do Boga. Wymieńmy tu tylko niemieckiego teologa i filozofa Mistra Eckharta, którego idee zostały uznane za herezję, i francuską beginkę Małgorzatę Porete. W roku 1310, kiedy król francuski Filip Piękny kazał spalić na stosie templariuszy, ona wchodziła na stos w Paryżu. Ubrana była w pokutne szaty, a w rękę trzymała swoją zakazaną książkę *Zwierciadło dusz prostych* (*Speculum simplicium animarum*).

Niezależnie od tego, gdzie pojawiali się ci ludzie, których tajemnicza religia polegała na kroczeniu ukrytą drogą ku Bogu, wszędzie poddani byli prześladowaniom. W islamie wśród prześladowanych sufich reakcją na to była *takijja*, pobożne przemilczenie swojej prawdziwej wiary w celu uniknięcia niebezpieczeństwa. To, co utajone, mogło też być po prostu nierozpoznane, ale tu stało się czymś świadomie utrzymywanym w tajemnicy.

Mogły istnieć różne powody takiego utrzymywania w tajemnicy: przemilcza się coś, co po ujawnieniu mogłoby zagrozić ludziom albo utajnionej treści. Można

jednak również nie ujawniać czegoś, gdyż samo wypowiedzenie byłoby profanacją i zbezczeszczeniem świętości. Przemilczenie może wreszcie służyć ochronie zwykłego człowieka, gdyż nie jest on przygotowany na przyjęcie takiej tajemnicy. Sposób, w jaki chroni się tajemnicę, służy ochronie laika, profana, niewtajemniczonego, „normalnego”, przeciętnego człowieka, któremu ta tajemnica, podana w czystej formie, mogłaby zaszkodzić albo nawet doprowadzić go do śmierci. Więcej: tajemnica ma nie tylko ukrywać, ale i chronić tego, kto z powodu swego niewtajemniczenia nie uniósłby jej brzemienia^[16].

Bóg kryje się przed Mojżeszem w płonącym krzewie, by nie przstraszyć go swoim widokiem. Święty Paweł mówi: „A ja nie mogłem, bracia, przemawiać do was jako do ludzi duchowych, lecz jako do cielesnych, jako do niemowląt w Chrystusie. Mleko wam dałem, a nie pokarm stały, boście byli niemocni; zresztą i nadal nie jesteście mocni. Ciągłe przecież jesteście cielesni” (1 Kor 3, 1). Także Paweł, najbardziej znany spośród apostołów, przemilcza istotne elementy wiary, ponieważ ludzie nie są jeszcze na nie gotowi.

Dionizy Areopagita, wpływowy autor filozofii mistycznej, która jeszcze dziś oddziałuje, miał spotkać Pawła w Atenach koło Areopagu (stąd jego przydomek – Areopagita), koło kamienia pamiątkowego jakiegoś nieznanego boga, i kontynuuje jego myśl: „Wszyscy uczeni teologowie i interpretatorzy mistycznego objawienia faworyzują symbole, które są nie do pogodzenia z rzeczami, które wyrażają, aby to, co boskie, nie było łatwo dostępne”^[17].

Od bardzo dawna zatem postępowano w ten sposób, by odsłaniać przed ludźmi tylko tyle, ile bez szwanku potrafią przyjąć i znieść. W ten sposób tajemnicą stawało się to, co – w rozumieniu wtajemniczonych – byłoby zbyt trudne do udźwignięcia dla profanów. Sprawy, których zwykli ludzie by nie zrozumieli, tę głębszą prawdę, czyniono tajemnicą, lub – mówiąc językiem religijnym – misterium, którego prawdziwej treści nie ujawniano niewtajemniczonym. Tajemnicę potrafią znieść tylko niektórzy – i noszą ją cierpliwie dzień w dzień, z zamkniętymi ustami. Dotrzymanie tajemnicy wymusza jej okropność, a tę są w stanie znieść tylko nieliczni.

Wybrani ludzie stają się depozytariuszami tajemnicy, misterium, stają się owymi wtajemniczonymi mistami. Z drugiej strony poprzez uczestnictwo w tajemnicy powstaje pewna elita – i to należy do istoty sprawy, gdyż religia żyje tym, że istnieją wybrańcy. Bóg wybiera swoich, godnych spośród niegodnych. Przesiewa, jak ostrzega Jezus. Obecnie także na banalnym poziomie codziennej konsumpcji kusi się nas tym, że zostaliśmy wybrani.

Zaczyna się od wyboru kapłanów, potem jest naród wybrany przez Boga, w końcu – apostołowie. Jezus rzekł do apostołów, których wybrał: „Wyście wytrwali przy mnie w moich przeciwnościach. Dlatego i ja przekazuję wam królestwo, jak mnie przekazał je mój Ojciec: abyście w królestwie moim jedli i pili przy moim stole oraz żebyście zasiadali na tronach, sądząc dwanaście pokoleń Izraela” (Łk 22, 28–30). Jezus ostrzegał jednak, że także diabeł dokonuje wyborów wśród ludzi: „Szymonie, Szymonie, oto szatan domagał się, żeby was przesiał jak pszenicę” (Łk 22, 31).

Aby dokonać wtajemniczenia kogoś, należy się udać do domu tajemnicy. Tajemnica stanowi jednak legitymację władzy, coś, co socjologowie w swym funkcjonalistycznym oglądzie nazywają wiedzą władzy. Ostatnim powodem zachowania czegoś w tajemnicy jest władza, którą należy chronić i posiadać. Nawet prześladowana religia rozwija władzę nad wierzącymi i dąży do tego, by regulować ich życie. By móc to robić, musi wyjść z kręgu tajemnicy i przynajmniej częściowo ją upublicznić.

Może to zabrzmieć paradoksalnie, ale prawowitą towarzyszką tajemnicy jest fama – coś albo ktoś, kto wieść przynosi i rozsiewa pogłoski. Rzymianie wyobrażali ją sobie jako skrzydlatą postać, a Niemcy w średniowieczu określali ją mianem „Frau Melde”. Najgłębsza tajemnica staje się przedmiotem publicznych dywagacji, a niekiedy nawet podejrzeń – właśnie dlatego, że jest tajemnicą. Aby mogła spełniać swoją funkcję, otoczenie musi zostać poinformowane o jej istnieniu. Paradoksalnie wiadomość o istnieniu tajemnicy należy do jej istoty. Nie oznacza to, że upublicznia się tajemnicę jako taką, jej treść czy strukturę – wtedy nie byłaby już tajemnicą – nie, do wiadomości publicznej przedostaje się tylko informacja o samym istnieniu tajemnicy. Wtedy zaczyna działać mechanizm: wiadomo, że jest tajemnica i że pożądaną rzeczą byłoby jej poznanie.

Kiedy chodzi o wiedzę religijną, która ma zapewnić zbawienie, to ona ze swej natury przeznaczona jest do wyjawiania innym – zatem z jednej strony należy strzec jej jako tajemnicy, z drugiej zaś uchylać jednak jej rąbka. W ten sposób dochowywanie tajemnicy i jej upublicznianie są ze sobą ściśle związane. Osobliwe: nie chceć o czymś mówić, ale musieć o tym rozmawiać, gdyż w przeciwnym razie szybko wymarliby ci, którzy tajemnicę już poznali. Religie są zdane na swoich wyznawców. W ten sposób powstaje specjalny język tajemnicy, swoista gra w zakrywanie i odkrywanie, mówienie nierzeczywiste; filozof powiedziałby – teologowie nazywają to liturgią.

Tajemnica jest wieczną walką między upublicznieniem a utajnieniem. Mówiąc parabolicznie: tajemnica jest jak morderca, który wciąż powraca na miejsce zbrodni i który nie potrafi się powstrzymać przed tymi powrotami. Równocześnie musi jednak uważać, by nikt go na miejscu zdarzenia nie rozpoznał.

Nawet pozornie tak otwartemu chrześcijaństwu nie jest obce to całe zamieszanie z tajemnicą; poza dostępnymi wszystkim fasadami wiara ta skrywa misteria. Dowodzą tego nie tylko św. Paweł i Dionizy Areopagita, lecz również ponad tysiąc lat później renesansowi filozofowie i czarodzieje. Pico della Mirandola pisze na przykład o tajemnicach chrześcijańskich: „Czym innym bowiem niż rzucaniem świętości psom czy też perł przed wieprze byłoby ujawnienie motłochowi sekretnych misteriów, tajemnic najwyższej boskości, ukrywających się pod korą Prawa, pod marną powłoką słów?”^[8].

Lista myślicieli, którzy poświadczają istnienie w chrześcijaństwie tajemnych religii, jest długa i imponująca. Nawet ta pozornie dobrze nam znana religia kryje mnóstwo elementów tajemniczych i mistycznych.

Należy pamiętać, że pojęcie tajemnych religii ukształtowało się i utrwaliło w Rzymie w okresie cesarstwa, a wczesne chrześcijaństwo było w gruncie rzeczy także kultem misteryjnym – miało swoich wtajemniczonych (ochrzczonych), którzy brali udział w misterium, potem krąg tajemnic się zamykał. Mistyczna, ukryta droga tajemnych religii stała się bowiem w chrześcijaństwie, ale też w judaizmie oraz islamie, bardzo ważną siłą.

Któż to jest jednak, do kogo próbują się zbliżyć mistycy – i jakiej tajemnicy strzegą do dzisiaj?

^[8] *Klemens Aleksandryjski, Excerpta ex Theodoto, 78, 2.*

^[9] *Por. Lexikon für Theologie und Kirche, t. 8, s. 1034ff., Freiburg, Berlin, Basel 2006.*

^[10] *Etymologisches Wörterbuch des Deutschen, München 1995, s. 1113.*

^[11] *Giovanni Pico della Mirandola, De hominis dignitate. Mowa o godności człowieka, przeł. Zbigniew Nerczuk i Mikołaj Olszewski, wyd. dwujęzyczne polsko-lacińskie, Warszawa 2010, s. 111.*

[12] *Tamże*, s. 63.

[13] Cyt. za: *Annemarie Schimmel, Mystische Dimensionen des Islam, Frankfurt/Leipzig 1995, s. 106.*

[14] *Tamże*, s. 102.

[15] *Tamże*, s. 112.

[16] *Wyraźne jest to w biblijnej przypowieści o krzewie ognistym. Bóg nie ukazuje się tam Mojżeszowi, ponieważ człowiek wskutek swej niedoskonałości nie zniósłby widoku oblicza Boga. Z tego względu Bóg pojawia się tam w postaci krzewu ognistego (por. Wj 3, 4–6).*

[17] Cyt. za: *Edgar Wind, Heidnische Mysterien in der Renaissance, Frankfurt am Main 1981, s. 23 f.*

[18] *Pico della Mirandola, De hominis dignitate, Warszawa 2010, s. 111.*

Książka dla none none

**ZACZEŁO SIĘ
W EGIPCIE**

Z JAKIEGO MATERIAŁU SĄ BOGOWIE?

Bóg jest ciemnością duszy, jaka pozostaje po wszelkim świetle.

Liber XXIV philosophorum, teza XXI

Przechodząc bowiem i oglądając wasze świętości jedną po drugiej, znalazłem też ołtarz z napisem: „Nieznanemu Bogu”.

(Dz 17, 23)

Religia bez bogów lub bez Boga jest z chrześcijańskiego punktu widzenia trudna do wyobrażenia. A gdzie jest jakiś bóg, tam jest też tajemnica: ta najpierwsza ze wszystkich tajemnic, od której zaczyna się religia. Do kogo modlą się ludzie, gdy rozmawiają z bogiem, kogo szukają, kiedy lękliwie zwracają wzrok ku niebu? Czy bóg nie jest – ani mniej, ani więcej – jedynie tęsknotą? Właśnie ową ciemnością, która pozostaje po wszelkim świetle?

Z pewnego określonego punktu widzenia początkowo nie ma znaczenia, w co wierzą ludzie, kiedy mają nadzieję i proszą o pomoc i wsparcie w trudnych sytuacjach. Czynią to instynktownie. Wydaje się, że spoglądanie w niebo jest cechą wrodzoną. Niemaló ludzi areligijnych w kulturowym kręgu chrześcijaństwa w opresyjnych sytuacjach mówi bezwiednie: „Boże, pomóż!”. Może to zabrzmieć naiwnie, ale takie pytanie jest i uprawnione, i konieczne: dlaczego spoglądamy w takich chwilach w niebo i to stamtąd oczekujemy pomocy? Dlaczego tyle ludzi przez tysiąclecia kierowało swe nadzieje ku sile wyższej (lub siłom wyższym), nazywając ją na przykład Lagaš albo Horus, Sziwa, Budda, Jahwe, Allach albo Bóg?

Zastanówmy się nad tą zasadniczą kwestią najpierw na przykładzie Boga chrześcijańskiego. Pomoże nam to dowiedzieć się, co się kryje za niby-religijnymi rytuałami codzienności i za świętami, za Dziewicą Maryją i aniołami.

Odpowiedzi na temat natury Boga są wzajemnie sprzeczne i doprawdy nie jest łatwo udzielić zwięzłej informacji na ten temat. Czy Bóg jest tajemnicą? Prawdą jest, że jest największą tajemnicą, jaką człowiek może sobie wyobrazić;

jest pierwszym i ostatnim misterium. O niczym innym nie dyskutowano (i wciąż się nie dyskutuje) równie intensywnie i z różnych punktów widzenia jak o naturze Boga. Co ciekawe, końca tej dyskusji nie widać, a ludzie nie doszli nawet częściowo do jakiejś wspólnej definicji, do częściowo choćby zadowalającej odpowiedzi. Nie trzeba tu przywoływać wielkich ani haniebnych czynów popełnionych kiedyś w imię Boga, bo wiadomo o tym wszystkim aż nadto dobrze; i jedne, i drugie przywołują ciągle wyznawcy i przeciwnicy, kiedy trzeba zilustrować jakieś sprzeczne tezy. Wystarczy zaznaczyć, że miały miejsce. Paradoks polega na tym, że człowiek nie może mówić o Bogu, ale musi stale o nim rozmawiać.

Mistycy uważali, że milczenie na temat Boga byłoby najgłębszą formą jego poznania. Poznanie staje się poznaniem dopiero wówczas, gdy dzieli się je z innymi, kiedy się z nimi o tym mówi, a nie poprzestaje na zwykłym milczeniu. „Dobry człowiek z dobrego skarbcza swego serca wydobywa dobro, a zły człowiek ze złego skarbcza wydobywa zło. Bo z obfitości serca mówią jego usta” (Łk 6, 45). Nie potrafimy inaczej, musimy myśleć o Bogu – albo go czcić, albo odrzucać. Jeśli nie istnieje w świadomości, to zakrada się przez podświadomość. Fryderyk Nietzsche w akcie prawdziwego zwątpienia ogłosił śmierć Boga – na niewiele mu się to zdało, bo o niczym nie mówił częściej niż o tym zmarłym.

Bez przesady można powiedzieć, że do dnia dzisiejszego miliony ludzi zmagają się z paradoksem niemożności opisanie Boga. Jedno jest pewne: Bóg jest wielkim Nieznanym, a mimo to ludzie w kręgu kultury chrześcijańskiej są z nim w największej zażyłości. Tak wielka bliskość przy jednoczesnej tak wielkiej obcości – Paweł z Tarsu nazywa go nawet „nieznanym Bogiem” (Dz 17, 23). Określenie to pokazuje, że znaczenie Boga jest odwrotnie proporcjonalne do niedostatecznej wiedzy o nim. Innymi słowy: człowiek ciągle o Bogu mówi, ale przez tysiąclecia nie zdołał się przez to bardziej do niego zbliżyć.

Przyczyna takiego stanu rzeczy jest oczywista: ten, którego nazywamy Bogiem, pozwala się tylko kontemplować i czcić. Próbujemy ogarnąć go myślą – zupełnie jakbyśmy chcieli podnieść głaz pęsetą. Rozsądek pomaga sobie zmianą narzędzi, gdyż o Bogu nie należy mówić definicjami, lecz przypowieściami i metaforami. I to jest łącznikiem z misterium, gdyż metafory, symbole i przypowieści są językiem tajemnicy – zapewne dlatego, że są niejednoznaczne, niczego nie określają, tylko coś opisują. Z tego powodu renesansowi magowie widzieli w języku tajemnicy „zaporę językową”. A zatem pierwsze, co możemy o Bogu powiedzieć, to że jest panem tajemnic i lubi przybierać różną postać.

Spróbujmy jednak zbliżyć się do Boga drogą inną niż mistyczna, aby – na ile się da – odkryć tę tajemnicę, a w każdym razie uchylić jej rąbka. Jedyną ścieżką, która nie prowadzi w kierunku niewysłowionego, jest ścieżka historyczna – wiedzie bowiem do ludzi, a nie do spekulacji myślowych. Jeśli sobór trydencki (1545–1563) miał rację, że historia objawia działanie Boga, to można byłoby poznawać Boga przez jego działania. Suma wszystkiego, co od niego wychodzi, pomogłaby rozszyfrować tajemnicę. Nie ma przy tym znaczenia, czy przyczyna tego leży w istnieniu Boga czy w wyobrazeniach ludzi o nim, ponieważ dla ludzi jest on bardzo realny i w taki sam realny sposób odcisnął swe piętno na dziejach. Matematyka także nie jest realnym bytem, tymczasem bardzo wyraźnie zmieniała świat. Po prostu spróbujmy, podejźmy do tego praktycznie i zobaczymy, dokąd nas ten eksperyment zaprowadzi.

W eksperymencie należy najpierw sprawdzić zgodność przesłanek. Często wyobrażamy sobie rozwój jakiejś religii w ten sposób, że najpierw istnieli bogowie przyrody, bogowie czczeni przez konkretne plemiona, bogowie vegetacji – nazwijmy ich po prostu bogami różnych specjalizacji – odpowiedzialni za polowania, małżeństwo, płodność i urodzaj. Wydaje nam się, że pierwowzór kapłana to szaman. Animizm, idea pokrewieństwa przede wszystkim ze zwierzętami, jako podstawa koncepcji szamanistycznych, i politeizm, a więc istnienie wielu bogów do zadań specjalnych, były później zwalczane, prześladowane i w końcu pokonane przez zwycięski monoteizm, w którym czczony jest tylko jeden wielki Bóg – Jahwe, Bóg, czy Allach – który nie znosi żadnych innych bogów obok siebie. W tej interpretacji tak zwanemu zwycięstwu monoteizmu nieodłącznie towarzyszy poczucie jakiejś zbrodni, jakby młody bóg zabił albo wypędził starych bogów. Ci dawni bogowie często utożsamiani są później z naturą, którą człowiek hańbi, zdradza i eksploatuje.

Z tego punktu widzenia zwycięstwo nad bogami „do zadań specjalnych” jawi się jako zwycięstwo techniki nad przyrodą. Tok myślenia jest identyczny. Człowiek zagraża temu, co naturalne i święte, a następnie to desakralizuje. Dlatego taki szeroki oddźwięk zyskało hasło „powrotu do natury” J.J. Rousseau: zawiera bowiem w sobie ideę świata idealnego, zdrowego, świata rządzonego przez starych bogów, który zginął pod kołami nowego Boga. Jednakże idea zdrowej natury jest tak samo nieprawdziwa, jak leżący u jej podstaw model historyczno-religijny. Koncepcja natury jest całkowicie błędna – wystarczy wspomnieć choćby kryzysy ekologiczne epoki brązu – podobnie jak wyobrażenie o pochodzeniu starych bogów, wyrzuconych poza nawias przez panującą nową wiarę.

Przewyciężony politeizm często nazywa się też pogaństwem (niem.

Heidentum). Termin ten pierwsi germańscy chrześcijanie, Goci, przenieśli z greki do języka niemieckiego. Pierwotnie greckie określenie *tà éthne* (z którego przez stulecia ukształtowało się słowo „pogaństwo”) oznaczało tylko ludy, grupy etniczne. Później rozumiano pod nim inne, obce ludy, obcych w ogóle, przede wszystkim tych nienależących do kręgu chrześcijaństwa, judaizmu czy islamu.

Dziś znowu niemała liczba ludzi zajmuje się bardziej szczegółowo tymi pogańskimi religiami (New Age, druidyzm, wiara w czarownice), wstępując w inny świat – krótko można go nazwać neopogańskim – który szuka wzorów w religii celtyckiej lub germańskiej. Do tego dochodzi jeszcze łyk szamanizmu albo wiary indiańskiej. Mieszanie jednego z drugim nie należy w historii religii do rzadkości, raczej jest w niej regułą. Religie powstają w swego rodzaju duchowej alchemii. Ludzie, którzy zwracają się ku neopogaństwu, szukają w pogaństwie alternatywnej wiary, chcą oddać sprawiedliwość religiom zepchniętym przez chrześcijaństwo i na powrót je ożywić, a także uczynić je przydatnymi w swoim życiu. Religia jest bowiem w pierwszym rzędzie poszukiwaniem sensu życia.

Nawet najbardziej ortodoksyjni monoteiści w swoich praktykach religijnych nieświadomie kultywują pogańskie techniki, ponieważ pogaństwo wytworzyło sobie krypty i przetrwało w religiach monoteistycznych jako tajemna religia. Pozostańmy przy najbardziej widocznych przykładach – takich jak islamska Aszura, chrześcijańskie święta Wielkiejnocy, Bożego Narodzenia, Wniebowzięcia i Wniebowstąpienia, anioły, żydowska mistyka Merkaby czy postać Dziewicy Maryi. Pogaństwo jest tu podwójnie aktualne. Wiara ludzi przypomina wielką, wszystko zbierającą sieć. Tak jak w fizyce istnieje prawo zachowania energii, tak istnieje też fundamentalne prawo wiary: jeśli kiedyś w coś wierzono albo coś będzie przedmiotem wiary, to to nigdy nie zanika, najwyżej zmienia swą postać. Inaczej niż w fizyce – momenty przemiany otacza tajemnica.

Z drugiej strony wyobrażenia o tych rzekomych pierwotnych bogach „do zadań specjalnych”, wypartych przez religie monoteistyczne, wydają się całkiem proste i pozornie logiczne. Ich jedyną, ale decydującą wadą jest jednak to, że nie są prawdziwe. Przeciwnie, idea jednego wielkiego boga na niebie jest niezwykle stara. Tak naprawdę nie sposób dziś powiedzieć, co było najpierw – „wyspecjalizowani” bogowie do różnych poruczeń czy jeden wielki bóg w niebie. Na temat wyobrażeń religijnych ludzi w epoce przed wynalezieniem pisma – mimo znakomitych odkryć archeologicznych – ciągle poruszamy się po omacku i jesteśmy zdani na wnioski oparte na analogiach i porównaniach z przeszłością.

Oczywiście takie artefakty jak Wenus z Willendorfu czy malowidła

jaskiniowe z Lascaux domagają się stawiania hipotez, ponieważ ostatecznie nie potrafimy wyjaśnić, z czym tak naprawdę mamy do czynienia. Wiek szamanizmu, często datowany na czasy aż po kulturę oryńska, a więc przypadający na świat około 30 tysięcy lat temu i dawniejszy, jest bardzo wątpliwy. Jeśli ogląda się dotyczące go materiały etnograficzne i czyta badaczy takich jak Mircea Eliade, wówczas dochodzi się do stosunkowo nieodległej daty: 10 tysięcy lat temu, a więc najwcześniej do początku młodszej epoki kamienia. W naszych rozważaniach zajmujemy się jednak tylko okresem, w którym występują już źródła pisane, chcemy bowiem uniknąć spekulacji niemożliwych do udowodnienia. Jeśli nie liczyć kilku wyjątków, granicę naszych rozważań stanowić będzie z tego względu starożytna Mezopotamia, gdyż dopiero od tego czasu posiadamy dokładniejsze przekonujące świadectwa. Granicznym dla nas czasem jest epoka brązu.

Można o tym opowiedzieć następującą historię. Każdy wielki bóg na niebie w pewnej chwili wychodził z mody, a wtedy zastępowali go młodszy bogowie, wyspecjalizowani w różnych dziedzinach, on zaś był zsyłany na przymusowe religijne dożywocie. Przebywał na nim, śląc groźby i czekając na odpowiedni moment, by powrócić. A ponieważ czas zaczynał mu się dłużyć, knuł wielki spisek, który miał go przywrócić do władzy – mądrze i rozważnie, by nie popsuć tych planów. Nie stawało się to z dnia na dzień – ale on też na to nie liczył. (Na swoich wrogach okrutnie się zresztą potem mścił, zsyłając ich – do muzeum). Jego zamysł był oparty na rachubach długofalowych. Czymże jednak dla niego, który jest wieczny, było parę stuleci w tę czy inną stronę? On miał czas, mógł poczekać. Bogowie, inaczej niż ludzie, nie znają pojęcia czasu, ponieważ czas związany jest z przemijaniem, a w końcu ze śmiercią, natomiast w bycie bogiem wpisana jest nieśmiertelność. Jest ona najważniejszym atrybutem boga.

Bardziej konkretnie można to sobie wyobrazić tak: Każdy z wielkich bogów na niebie, w jakich ludzie wierzyli od bardzo dawna, na długo przed wprowadzeniem monoteizmu, coraz mniej miał wspólnego z codziennym życiem swych wyznawców. Dlatego coraz częściej zwracali się oni do pomniejszych, wyspecjalizowanych bogów: kiedy przedislamscy Arabowie nie mogli się doczekać męskiego potomka, nie wzywali Allacha, tylko błagali al-'Uzzā. Nigdzie na ziemi o deszcz nie proszono „wielkiego” boga z nieba, lecz boga pogody; kiedy wysychały zasiewy, zwracano się do bogów odpowiedzialnych za roślinność. W ten sposób wielcy bogowie – Atum, JHWH, Allach, a w Chinach najpierw Tian, a później Shangdi – oddalali się tak bardzo, że wręcz popadali w zapomnienie. Istnieli, ludzie pamiętali o nich, jak się pamięta o odległych krewnych – okazjonalnie, z obowiązku, bez większych nadziei i intencji. „Główni” bogowie nie odgrywali już wtedy żadnej roli. Tworzyli swego rodzaju „radę nadzorczą”,

natomiast kierowanie bieżącymi sprawami przejmowali bogowie wyspecjalizowani w swoich dziedzinach.

Ale stopniowo pamięć o nich powracała. Pojawiały się kwestie polityczne, które należało rozwiązywać, i to one powodowały, że wielki bóg miał pole działania i wracał do łask. Z upływem czasu stawał się jedynym władcą i zarazem ośrodkiem kultu integrującym ludzi. Wielki Nieznajomy powracał, usuwając inne bóstwa i demony, rządzące duszami ludzi podczas jego zesłania w stan spoczynku. Zwycięstwo monoteizmu, wiary w jednego Boga, okazuje się politycznie motywowaną aktualizacją i ponownym ożywieniem bardzo starych wyobrażeń boga jako takiego. Później przekonamy się, że ten aspekt ma zasadnicze znaczenie dla legitymizacji i przede wszystkim dla mitu tajemnych religii.

Nie docenia się jednak tego procesu, który rozpoczął się w starożytnym Egipcie za panowania Hebrajczyków, a zakończył się na Półwyspie Arabskim zwycięstwem islamu, jeśli bierze się pod uwagę wyłącznie motywy polityczne. Nie mniej znaczącą rolę odgrywały tu kwestie etyczne, duchowe, nadające sens, filozoficzne i przyrodnicze, jakkolwiek te ostatnie były formułowane raczej ostrożnie. Bogowie i demony nie tworzyli bowiem żadnej więzi etnicznej i nie mogli odpowiedzieć na zasadnicze pytanie, w jaki sposób powstał świat. Człowiek, który chciał wiedzieć, skąd pochodzi, co było przed nim, który chciał znaleźć właściwą drogę, poszukiwał tego tajemniczego stwórcy, tego, którego Egipcjanie nazywali Atum – Pan Prapoczątku. Tylko z punktu widzenia tego starego wszechpotężnego boga można było sensownie objaśnić powstanie świata. Całość może powstać tylko z jedności, jeden świat nie mógł powstać z wielu bogów. Założyciel firmy najpierw tworzy firmę, a dopiero później zatrudnia współpracowników. Zwróćmy się zatem w naszym obrazie ku założycielowi firmy.

Jeśli chcemy zrozumieć Boga, nie powinniśmy marnować czasu na rozmowę o definicjach, tylko udać się do Egiptu – kraju pochodzenia większości tajemnic, z którego wywodzą się również tajemne religie. Egipt był pierwszym obszarem, na którym kształtował się monoteizm. Nie tylko dlatego, że to stąd Żydzi wyruszyli do Ziemi Obiecanej, by żyć w swojej wierze, i nie tylko dlatego, że opuścili Egipt, gdy im rozkazał Bóg, który ich ze wszystkich sił wspierał, ale także dlatego, że to w Egipcie po raz pierwszy wypróbowano monoteizm.

Czy Bóg uciekł z Egiptu? Albo został stamtąd wypędzony? Czy szukał nowego schronienia? Nowej ojczyzny? Innego miejsca, w którym mógłby działać? Czy między monoteizmem żydowskim a egipskim istnieje jakiś ukryty związek? Skąd się zatem biorą tajemnice? Najpierw pójdziemy tropem egipskim.

Jeśli ustalimy, że czas panowania faraona Echnatona wypada chronologicznie przed działalnością żydowskiego proroka Mojżesza, to Egipcjanie byli pierwszymi twórcami monoteistycznej religii w historii ludzkości i tymi, którzy przez jakiś czas ją praktykowali. Może jest to też pierwsza tajemnica, której rąbka należy uchylić – czy Bóg narodził się w Egipcie? Żydowski Pan, dobry Bóg chrześcijan oraz muzułmański Allah byłiby zatem pochodzenia egipskiego? Wszystko przemawia za tym, że tak jest w istocie. Czy pierwszą tajemnicą Boga jest to, że jest Egipcjaninem?

Jak daleko sięga ludzka pamięć, każdego roku w kraju faraonów przez trzy długie dni szalał południowy wiatr chamsin, zwany Resetyu; nad Nilem, nad oazami, wzgórzami i nad siedliskami ludzi unosiła się wyjąca maska z piasku. W obliczu apokaliptycznego wycia żywiołu starożytni Egipcjanie wierzyli, że to wielki Pan Prapoczątku zsyła na nich południowe wiatry, które przez trzy dni gorzko ich doświadczają. Ten tajemniczy Bóg Prapoczątku, który zsyła Resetyu punktualnie na początku wiosny, by przypomnieć starożytnym Egipcjanom o swojej władzy, będzie nam towarzyszył w tajemniczych wyobrażeniach przez całą historię, aż po nasze dni. Będzie się pojawiał w najbardziej fantastycznych i najrozmaitszych przebraniach – świeży, niewykorzystany, ani stary, ani młody, wieczny; postać tyleż niepojęta, co niemożliwa do opisanie, a przecież nieprzemijająca.

To jedna z tych wielkich tajemnic, do których klucz znajduje się wtedy dopiero, kiedy uwzględni się perspektywę historyczną. Otóż Bóg Prapoczątku to jest właściwy Bóg. Był tak niewyobrażalny, że przy nim Jahwe, Bóg czy Allah wydają się jedynie przypisami w piaskach historii. Albo lepiej: wydają się jego maskami, przez które on przemawia niczym antyczna wyrocznia. *Persona* to po łacinie „maska”, *personare* oznacza „przenikać tonami”. A zatem monoteistyczny Bóg Ojciec jest personą, postacią Boga Prapoczątku, maską, przez którą on przemawia. Natomiast z punktu widzenia ludzi – jest interpretacją.

Monoteistyczny Bóg wypożyczył sobie tylko szatę Najwyższego. Jego blask jest w najlepszym razie jednym z obliczy Boga Prapoczątku. Tylko gnostycy próbowali później odkryć go ponownie, za co byli bezlitośnie ścigani i prześladowani zarówno przez chrześcijan, jak i przez pogan. Zdumiewające.

Koncepcja Boga Prapoczątku jest niezwykle brzemienne w skutki, a on sam krąży jeszcze dziś, nierozpoznany przez religie monoteistyczne. Jeśli rozpoznamy go mimo maski, to trafimy na trop tajemnic, które wynikają z jego ukrycia.

Konwencje albo nasze wychowanie podpowiadają nam, że Bóg Prapoczątku i Bóg chrześcijan czy Allah muzułmanów są tą samą istotą. Sądząc tak, nie docenialibyśmy jego istoty i działania, gdyż on jest Bogiem przedegzystencjalnym, istniejącym przed stworzeniem, Bogiem tajemnych religii, który istniał przed wszystkimi innymi bogami, bogami stworzenia i bogami świata. Temu bogu, którego Egipcjanie zwali Atum – co oznacza Wszystko i Nic w bezgranicznej nieskończoności – Egipcjanie nie przypisywali żadnej płci. Cechą szczególną Atuma jako boga było to, że ludzie nie mogli nawiązać z nim jakiegokolwiek kontaktu. Był od nich zbyt oddalony. To właśnie z powodu tej niedosiężności pojawili się bogowie pośredni, do których należą także późniejsze bóstwa monoteistyczne. Oto jak pisano o Atumie:

Byłeś tu, kiedy jeszcze nie było stworzenia,

i pozostaniesz, kiedy oni się skończą^[19].

Tego boga tajnymi drogami poszukiwali między innymi gnostycy, manichejczycy, mistycy żydowscy i chrześcijańscy kabaliści, połączeni alchemicy wszystkich religii, poszukiwacze Boga, jak Dionizy Areopagita, sufi Ibn-Arabi, czarownik i heretyk Giordano Bruno, poszukiwacz Boga Jakob Böhme i antropozof Rudolf Steiner. Wielką umiejętnością człowieka jest myślenie o czymś, co istniało przed myśleniem – to tak, jakby człowiek widział siebie przed swoim poczęciem, przed komórką jajową i nasieniem, morułą i embrionem, jakby widział siebie jako czystą potencję albo możliwość tego, że się stanie. We wspaniałych egipskich Tekstach Sarkofagów, z których najstarsze pochodzą z III tysiąclecia przed naszą erą, preegzystencja przedstawiana jest jako główny motyw działania praboga Atuma w Nun, w prawodzie. Cień tej idei znajdujemy jeszcze w Biblii, gdzie w Księdze Rodzaju „Duch Boży unosił się ponad wodami”.

Bóg Prapoczątku się nie porusza i nie jest poruszany, ale mimo to nie jest nieruchomy. Słowo „działanie, wprawianie w ruch” jest zaledwie bezradną próbą znalezienia wyrazu dla stanu, który nie występuje w naszej kartezjańskiej logice. Nie możemy opisać Atuma, ponieważ nasze języki nie znają terminu wyrażającego całkowitą bierność. Preegzystencja oznacza byt jeszcze przed istnieniem, coś, z czego wszystko powstało, ale z czego nie powstało ono samo. W jednym z Tekstów Sarkofagów, opisywanych przez niemieckiego egiptologa Jana Assmanna, Atum mówi:

„Pływam i jestem bardzo osłabiony,

mam ociężałe członki.

Serce mi rośnie dzięki synowi, co zwie się Życie.

On ożywi mego ducha, kiedy już

da oddech moim tak zmęczonym członkom”.

Wtedy Nun (pramateria, praocean) rzekł do Atuma:

„Pocałuj swoją córkę Ma’at (Prawda), weź ją na swój nos!

Twe serce żyje, kiedy oni nie oddalają się od ciebie.

Ma’at jest twą córką,

razem z twym synem Szu,

którego imię jest Życie.

Będiesz spożywał prawdę od swej córki;

twój syn Szu cię będzie ożywiał...”

„Życie śpi z moją córką Prawdą,

jedno we mnie, drugie koło mnie,

podniosłem się między nimi,

a ich ręce mnie obejmowały”^[20].

Bóg zaczyna istnieć przez swe działanie, czy raczej dopuszczenie działania, ale jest to działanie PRZED, a tego nie jesteśmy w stanie opisać, tak jak nie możemy otwartymi oczami patrzeć w słońce, by zobaczyć kulę słoneczną. Widzimy to światło, ale nie możemy zobaczyć, czym staje się światło, ani nawet czym ono jest. Podczas patrzenia nieosłoniętymi oczami w słońce odczuwamy jedynie eksplozję jasności w głowie. Niekiedy jednak przy intensywnym wpatrywaniu się światło w samym środku nagle staje się czarne i ta czerń jest

najwyraźniejszym śladem Atuma, mianowicie jego obecności, którą możemy odczuwać. Tę myśl podejmie później jedna z najbardziej zagadkowych ksiąg średniowiecza, w której dwudziestu czterech filozofów proponuje po jednej definicji Boga. Do dziś nikt nie zna tych filozofów ani autora tomu *Liber XXIV philosophorum* – jeśli był to jeden człowiek, kryjący się za maskami dwudziestu czterech filozofów. Teza XXI brzmi: Bóg jest ciemnością duszy, która pozostaje po całym świetle^[21].

Ów Bóg Nun, Praocean, w którym Atum wie swe preistnienie, stanowi z kolei jeden z czterech aspektów, jedną z czterech możliwości bytu albo możliwości Prachaosu, który – zdumiewające – występuje jako męski i żeński pierwiastek równocześnie: jako Kuk i Kauket (ciemność), Huh i Hauhet (nieskończoność), Nun i Naunet (woda) i wreszcie jako fascynujący Amun i Amaunet (skrytość). Już samo to oznacza, że egipski chaos nie jest pęknięciem, szczeliną, prastarą otchłanią bez dna, jak u Greków, lecz swego rodzaju prazupą, plazmami i cytoplazmami, z których kiedyś może będzie jajko. Połyskującym i falującym, parującym bulionem z załączków jak stojąca woda w martwej odnodze Nilu. Pełna zarodków, pełna życia, ale pełna też możliwości.

Zatem na początku była ciemność, nieskończoność, woda i skrytość – nic uchwytne. Ten świat został w niepowtarzalny sposób przeniesiony na płótno przez europejskiego malarza z XVI wieku, kiedy tajemniczy Egipt przeżywał niepowtarzalny renesans. Tym malarzem był Hieronim Bosch.

Bóg przedegzystencjalny miał jeszcze jedną istotną cechę: był bogiem ukrytym, bogiem ukrytych – czytaj: mistycznych – kierunków wiary, które są jednym z typów tajemnych religii. Przewyższa on (albo ono) wszelkie wyobrażenia boga, jakie miały później wykształcić religie monoteistyczne, gdyż – i to jest jego tajemnica – on nie jest *jednym* bogiem, tylko wieloma bogami naraz, jeszcze zanim ci inni bogowie się pojawili. On (lub ono) jest możliwością wszystkiego. Czy ludzie czczą jednego czy wielu bogów, Jahwe, Boga, Allacha czy Zeusa, to w gruncie rzeczy obojętne, gdyż ci bogowie są dla niego tylko małą, zuchwałą, niemal złodziejską myślą w nielicznych momentach, w których on się nudzi. Judaizm broni się przed tym wyobrażeniem, chrześcijaństwo ulega mu w koncepcji trynitaryzmu.

Do dzisiaj wierzymy „po egipsku” i często o tym nie wiemy. Kiedy pisze się o tajemnych religiach pochodzenia zachodniego czy bliskowschodniego, to obcuje się przede wszystkim z historią recepcji starożytnego Egiptu.

Monoteistyczni bogowie mogą w najlepszym razie uchodzić za coś w rodzaju bratanków drugiego stopnia tego staroegipskiego Pana Prapoczątku, za różnorodne próby interpretacji tego, co ostatecznie zinterpretować się nie da.

MOJŻESZ – Z NAKAZU BOGA ZAWSZE W DRODZE

Historia tajemnych religii sięga aż do dystynkcji mojżeszowej, do monoteizmu, który próbował wprowadzić egipski faraon Echnaton, a który teraz, zapoczątkowany przez Żydów, zaczął się szerzyć wśród różnych ludów. W istocie jest to bardzo proste, bo wszystko ma swój początek w Mojżeszu i z Mojżeszem. Kiedy bowiem ten żydowski prorok zdefiniował, czym jest prawdziwa wiara, nagle pojawiła się także wiara fałszywa. A kiedy jakąś wiarę określa się jako szkodliwą i fałszywą, którą z tej przyczyny należy wyplenić, to zsyła się ją na banicję, spycha w mrok tajemnicy.

Ponieważ zatem te tajemne religie właśnie od Mojżesza zaczynają swój zwyczajny pochod przez dzieje i stanowią nieodrodny składnik wyznań monoteistycznych, przeto i my zacząć musimy od niego – od Mojżesza. Nie będzie to łatwe, ponieważ nie wiemy o nim właściwie nic.

Próby rekonstruowania prawdziwej biografii Mojżesza były i pozostaną niepewnym przedsięwzięciem. Istnieje tylko jedno źródło mówiące o działalności proroka, mianowicie Stary Testament, a dokładniej Tora, pierwszy starotestamentowy Pięcioksiąg, po hebrajsku *chamischa chumsche tora*, pięć piątych nakazów. Te nakazy rozumiane są jako bezpośrednie wskazania Boga. Chrześcijanie zwą je Pięcioksięgiem. Wszystkie inne źródła mówiące na temat Mojżesza opierają się właśnie na Pięcioksięgu, na Torze. Cytują jego teksty i je interpretują.

Kiedy tak wielkie zainteresowanie naukowe, polityczne i religijne trafia na tak niewielką podstawę źródłową, to otwierają się szeroko wrota spekulacji. Wszystko, co możemy powiedzieć na temat Mojżesza, tak naprawdę jest nauką o literaturze, a więc interpretacją, natomiast daleka od wszelkiej weryfikacji spekulacja staje się wręcz areną tajemnych religii. W ten sposób otoczony aurą tajemniczości Mojżesz sam staje się tajemnicą. Jan Assmann^[22] nie traktuje Mojżesza jako postaci historycznej, lecz jako postać utrwaloną przez pamięć, a więc wiążącą się ze wspomnieniami. Dla potomnych – a więc także dla tajemnych religii – decydujące nie jest wcale, co w rzeczywistości Mojżesz robił, ale to, w co ludzie wierzyli, że robił. Historia buduje nie na Mojżeszu, lecz na wyobrażeniach o nim. Doszło więc do tego, że Mojżesz stał się niezamierzenie

twórcą tajemnych religii, podczas gdy jest pierwszym w historii „namacalnym” prorokiem, który dokonał rozdzielenia religii prawdziwej od fałszywej.

Zacznijmy od jedyne go źródła na temat Mojżesza, jakie posiadamy. Porzucony jako niemowlę, przeżył wyłącznie dlatego, że został wybrany przez Boga. Księżniczka egipska znalazła noworodka w koszu w trzcinach, zaopiekowała się nim i wychowała go, nie podejrzewając, że właśnie wypełnia wolę bożą. Mojżesz został bowiem wybrany przez Boga do wyprowadzenia Izraelitów do Ziemi Obiecanej i to jemu Bóg objawił przykazania i prawo. Mojżesz był też jedynym prorokiem, który osobiście spotkał się z Bogiem – choć Bóg występował w postaci ukrytej; więcej jeszcze – Mojżesz miał bezpośredni kontakt z Bogiem. (Jezus, jako Syn Boży, nie jest uważany za proroka, gdyż sam jest Bogiem, natomiast Mahometa instruował anioł Gabriel, rzecznik prasowy boskiego rządu).

Wielką nowością było ogłoszenie przez Mojżesza religii monoteistycznej.

Jakieś 3300 lat temu, na bezpośredni rozkaz Boga Mojżesz wyprowadził z Egiptu mężczyzn, kobiety i dzieci i przez czterdzieści lat prowadził ich przez pustynię w poszukiwaniu Ziemi Obiecanej. W tym czasie otrzymał i obwieścił prawo boże, które rozpoczyna się stwierdzeniem, że jest tylko jeden Bóg i że nie wolno sporządzać portretów tego Boga. W ten sposób stworzył potężną wiarę, która decydująco wpłynęła na historię świata i jest do dziś wyznawana przez 3, 5 miliarda ludzi^[23] na ziemi.

Istnieje wiele teorii i spekulacji na temat pochodzenia Mojżesza i dat granicznych jego życia. Tylko jedno jest tu pewne: dzieło Mojżesza dokonywało się w podobnym czasie co działalność Echnatona, którego panowanie przypada na lata 1351 do 1334 p.n.e.^[24], a treści obu przekazów też były podobne. Czy mit o Mojżeszu kryje historyczną postać faraona Echnatona? Kim był Echnaton? Odpowiedź na to pytanie jest trudna, ponieważ ze względu na jego wielką herezję pamięć o nim miała zostać wymazana na wieki. Rzymianie określali takie postępowanie jako *damnatio memoriae*, potępienie albo wymazanie pamięci o kimś. W ramach tej procedury niszczone były wizerunki człowieka na tę niepamięć skazanego, niszczone również wszelkie przypominające jego osobę inskrypcje. Jak to wyglądało w Egipcie w czasie, kiedy Mojżesz Egipt opuszczał? I przede wszystkim – co zabrał z Egiptu do Ziemi Obiecanej i przeniósł do nowej religii? Innymi słowy: co przeniósł ze starożytnego Egiptu w naszą współczesność?

Egipski obraz świata

Przekonanie, że nie ma nic nowego pod słońcem i że tak czy inaczej nic się nie zmienia, jest równie stare jak ludzka myśl. Starożytni Egipcjanie wierzyli w wieczne powroty tego samego. Świat rozumieli jako cykliczny obieg utrzymywany w ruchu dzięki działaniom kapłanów. Myśl o tym, że ciągle powraca to, co już kiedyś było, oddziałuje do dzisiaj na nasze myślenie. W filozofii Fryderyka Nietzschego przyjęła ona nawet postać, która do czasu II wojny światowej miała w Europie niemal rangę dogmatu wiary.

W kraju takim jak Egipt, gdzie najgłębszym doświadczeniem historycznym były doroczne wylewy Nilu, użyźniające ziemię, która stanowiła tam podstawę życia, nie istniała bardziej naturalna i przekonująca interpretacja bytu niż wyobrażenie wiecznego cyklicznego obiegu. Dobrze charakteryzuje to znany obraz uroborosa – węża trzymającego w pysku własny ogon, gdzie spotykają się i splatają początek i koniec. W wierzeniach Egipcjan na temat powstania świata (kosmogonii) istnieje przekonanie, że na samym początku z wód wynurzył się pagórek.

Ten kosmogoniczny obraz wynika z konkretnego doświadczenia egzystencjalnego, które w uproszczeniu wyglądało następująco: z tarasów gór stołowych pierwsi Egipcjanie mogli obserwować, jak dokładnie co rok Nil występuje z brzegów, zalewa równinę u ich stóp, ale potem stopniowo cofa wody i powraca do swego łożyska. I ta obserwacja leży zapewne u podstaw tego pięknego obrazu pagórka wynurzającego się z wód. Wylew Nilu pozostawiał po sobie żyzną ziemię uprawną. W ten sposób powstawały tereny zalewowe, najpierw zagospodarowywane przez ptaki, gady, insekty, roślinność, a wkrótce także przez ludzi, którzy schodzili z gór. Biblia przedstawia ten obraz w taki sposób, jakby piszący dokładnie go widział. W Księdze Rodzaju czytamy bowiem: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną; abyście panowali nad wszystkimi rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi” (Rdz 28). Treść i rytm tego tekstu wyczarowują w naszej wyobraźni ów obraz objęcia ziemi w posiadanie, porzucenia skalistych górskich tarasów i osiedlania się na terenach zalewowych Nilu.

Do tej wizji doskonale pasuje też fakt, że Egipcjanie przedstawiali swoich bogów jako istoty pośrednie między ludźmi a zwierzętami lub jako zwierzęta – ptaki (ibis), gady (krokodyl), insekty (skarabeusz), jako żyrafy czy psy.

Do wilgoci i mokradeł dochodziło jeszcze ciepło jako drugi warunek życia – słońce wynurzające się z kwiatu lotosu. Później Chrystus był czczony jako słońce,

a w sztuce chrześcijańskiej i wolnomularskiej promienie słoneczne były popularnie synonimem boskości.

W micie o narodzinach słońca z kwiatu lotosu zachowała się łączność między praoceanem i słońcem, lotos jest bowiem rośliną wodną. Bogowie powstałi z Boga Prapoczątku. W tej chwili nie będziemy się zajmować rozróżnieniem między emanacjami a manifestacjami tego boga.

Istotne jest natomiast, że świat Egipcjan zaludniali bogowie, którzy nie tylko byli przyczyną życia na ziemi, ale byli też przyczyną samych siebie. Odgrywali rolę urzędników albo sposobu działania dawnego boga, którego trudno było objąć słowami: spowitego tajemnicą Boga Prapoczątku. Hołdując teraz nowym bogom, ludzie utrzymywali w ruchu mechanizm świata. W religii staroegipskiej mniej zatem chodziło o oddawanie czci konkretnemu bogu lub życie w jego służbie, bardziej zaś o to, by sprawnie wypełniając skomplikowane ceremonie i rytuały, utrzymać odwieczny cykl świata. Jednym z wielu, ale dobrym tego przykładem jest wędrówka słońca – w ciągu dnia po niebie, a nocą w zaświatach – w której kapłani symbolicznie współuczestniczyli, dzięki czemu była ona rytualnie zabezpieczona. W ten sposób odpowiedzialność za losy świata ponosili wszyscy – i bogowie, i ludzie.

Babilończycy podzielili dzień na jednostki, które nazwali „czuwaniem”. Późnym odblaskiem tego są jeszcze dzisiaj obecne w tradycji chrześcijańskiej nocne czuwania, liturgia godzin, która przez dialog z Chrystusem uobecnia go, utrzymuje świat w ruchu i nieustającą rozmową z Bogiem wyprasza zbawienie całemu światu. Tak jak w egipskiej religii słońce wędruje przez niebo i zaświaty, a w zaświatach jest przekazywane od bramy do bramy – kapłani towarzyszą mu w tym rytualnie – tak samo w liturgii godzin istnieje ciągły kontakt z Bogiem, dokładnie zresztą przepisany i uregulowany. Religia wnosi w życie porządek i do dziś ustala dokładnie przebieg dnia. Wigilie – mnisze modlitwy nocne – są może ochrzczone obrzędem pogańskim, ale można je również rozumieć jako prastarą potrzebę rozmowy człowieka z Bogiem – co się wzajemnie nie wyklucza.

Przeprowadzanie ceremonii leżało w gestii specjalistów – kapłanów – którzy byli odpowiedzialni jedynie przed faraonem albo królem^[25], gdyż faraon uważany był za syna Boga Słońca albo za jego zastępcę.

Staroegipskie przekonanie, że człowiek ceremoniami religijnymi przyczynia się do utrzymania cyklicznego obiegu w naturze, a rytualnymi działaniami stale odnawia swą odpowiedzialność za świat, było nie tylko piękne w swej wymowie,

ale stanowiło również głębokie doświadczenie własnego środowiska. My już dzisiaj takiego doświadczenia nie mamy. W terminologii chrześcijańskiej moglibyśmy rozumieć działania egipskich kapłanów jako przejęcie odpowiedzialności za Stworzenie – albo jako ukryte podłoże myślenia ekologicznego. Natura nieoczekiwanie przyjmuje w tych wyobrażeniach rysy boskie, albo (formułując to bardziej radykalnie) natura i środowisko są w myśleniu ekologicznym tylko innym imieniem Boga. Pokazuje to, jak dawne jest to wyobrażenie o ludzkiej odpowiedzialności – i jak jest zbudowane nasze myślenie religijne, nawet jeśli uważamy się za ludzi areligijnych. Dokładne przestrzeganie rytuałów stanowi staroegipską formę tego, co my dzisiaj nazwalibyśmy wytrwałością. Areligijność może się jeszcze zgadzać z treścią, ale nie z formami, w których nasze myślenie się dokonuje.

Dla centralnej instytucji religijnej, jaką w późniejszych tajemnych religiach jest misterium, istotny będzie fakt, że Egipcjanie rzadko widywali swych bogów. Bogowie (czy raczej ich wizerunki) mieszkali w świątyniach, do których lud nie miał dostępu. To tutaj, w mroku tych świątyń, kapłani obcowali z bogami za pośrednictwem bardzo skomplikowanych i tajemniczych obrzędów – i podtrzymywali odwieczny powtarzalny cykl, naturalny bieg tego świata. Jedynie przy okazji świąt wynosili wizerunki bogów z imponujących świątyń i nieśli je na czele procesji przez miasto. Egipcjanie spotykali swoich bogów jedynie w czasie świąt i mogli ich ujrzeć tylko podczas procesji. Bogowie zachowywali zatem dystans wobec ludzi, byli odbierani jako skryci, nieznani i niepojęci, krótko mówiąc – jako tajemniczy.

Ludzie mogli oglądać bogów i oddawać im cześć tylko podczas przeciągających przez miasto procesji. Procesja była połączona z wyrocznią. Kiedy bogowie znajdowali się już poza świątynią, zaczęli też mówić – oczywiście w swoim języku, nie w języku słuchających ludzi. Od najdawniejszych czasów po dzień dzisiejszy całe pokolenia biedziły się, próbując rozszyfrować język bogów; zajmowano się tym szczególnie w okresie renesansu. Współczesna kryptografia, nauka o szyfrowaniu i odczytywaniu tajnych informacji, nie powstała wskutek zainteresowania tajnymi służbami, lecz rozwijała się w średniowieczu, zwłaszcza w renesansie, kiedy chciano poznać język pierwszego człowieka – Adama – który był jednocześnie językiem Boga. A zatem najbardziej rzeczowy i areligijny przedmiot, jakim jest komputer, wykorzystujący matematyczne możliwości do rozwiązań w kryptografii, pierwotnie zawdzięcza swoje istnienie nie obiektywnym naukom przyrodniczym, lecz poszukiwaniu uniwersalnego języka – języka Boga. Kto zresztą wie, może Bóg też myśli cyfrowo?

Kapłani staroegipscy podczas procesji nieśli kamienny wizerunek boga, który był bardzo ciężki. Obraz „szedł” na ramionach niosących i poruszał się do przodu, w lewą stronę, w prawą i do tyłu, dając w ten sposób wskazówki niosącym, w którą stronę mają się udać. Kierunki wybierane przez boga, chęć odwiedzenia tej czy innej świątyni albo steli po drodze kapłani objaśniali jako objawienia woli boga. Cała droga procesyjna była jedną wielką przepowiednią i wskazówką. W późniejszych czasach ta ważna funkcja pochodzenia świątecznego została zapomniana.

Pogański zwyczaj odbywania procesji, w czasie której wizerunki bogów wprowadzane są ze świątyni i majestatycznie obnoszone przez miasto lub okolice w obecności świętującego ludu, przetrwał do dzisiaj w chrześcijaństwie. Tymczasem jako zwyczaj sięga właśnie tej staroegipskiej tradycji, gdyż judaizm nie zna procesji.

ECHNATON I BÓG ŚWIATŁA

Niewiele wydarzeń z historii starożytnego Egiptu było przedmiotem tak wielu rozpraw i debat, jak pierwsza zapewne w dziejach ludzkości próba wprowadzenia monoteizmu przez Echnatona. Nie da się ustalić, czy Mojżesz był świadkiem tamtych wydarzeń, czy miał ich świadomość i czy one go jakoś obchodziły; nie wiadomo, czy może był świadkiem późniejszych skutków tego szokującego wydarzenia z wczesnych dziejów Egiptu.

O przyczynach zmięczenia bogów można jedynie spekulować. Prawdopodobnie coraz większa władza kapłanów Amona prowadziła do konfliktów z królami. Pozbawienie kapłanów władzy leżało zatem w interesie faraonów. Możliwe, że do politycznych ambicji kapłanów dochodziło jeszcze trudne do zniesienia skostnienie religii^[26] oraz pewne niedbalstwo w wypełnianiu przez nich czynności kultowych, tak że reforma religii była po prostu niezbędna. Jeśli do obiektywnych potrzeb dodać wyraźne filozoficzne skłonności faraona Amenhotepa IV, łatwiej można zrozumieć radykalne zmiany wprowadzone przez tego króla, a może całkowicie je wyjaśnić.

Ponieważ jako syn faraona Amenhotep IV otrzymał również przygotowanie kapłańskie, to dokładnie znał sytuację religijną i już jako chłopiec zajmował się intensywnie sprawami religijnymi, które dotyczyły również tematów politycznych i bytowych. Po jego koronacji zmiany dokonywały się jedna po drugiej. Najpierw nakazał zbudować naprzeciwko świątyni Amona w Karnaku świątynię boga słońca Atona^[27]. Jednakże nie dało się utrzymać w bezpośredniej bliskości dwóch

wzajemnie się wykluczających kultów – kosmoteistycznego i monoteistycznego. Król wypędził więc kapłanów, zamknął świątynię Amona oraz zniszczył znaki i inskrypcje tego i innych bóstw, znajdujące się na ścianach i stelach. Niszczenie wizerunków i represje nie unaocznily chyba jednak wystarczająco dobitnie, że zaczęła się nowa epoka. Dlatego Amenhotep IV zbudował nad Nilem, w połowie drogi między Memfis a Tebami, nową stolicę, którą nazwał „horyzontem boga Atona” – Achet-Aton. Sam przyjął imię Echnaton (Aton-achen), czyli „sługa boga Atona”. Taką demonstrację i dobitną manifestację władzy musieli już dostrzec wszyscy – i nikt nie mógł jej przelicytować.

Myśl Echnatona prawdopodobnie zradykalizowała się w konfrontacji z kapłanami Amona, a wraz z nią także jego teologia, gdyż Aton stawał się bogiem coraz bardziej racjonalnym. Swoimi promieniami stworzył życie. Wraz z tym nowym wyznaniem powstała specjalna teologia światła. Zna ją również chrześcijaństwo, gdzie Bóg jest światłością.

Zrozumieć tego boga i mieć z nim kontakt mógł tylko faraon. Nie potrzebował do tego kapłanów. Echnaton sam był jedynym i najwyższym kapłanem, synem i zaufanym boga oraz królem ludzi w jednej osobie. Dla Egipcjan służenie bogu oznaczało posłuszeństwo królowi jako zaufanemu Atona. Wszechstronną równowagę społeczną i jej całkowitą statyczność Egipcjanie nazywali *ma'at* – sprawiedliwość, a *ma'ati* – sprawiedliwy – był ten tylko, kto słuchał króla i przestrzegał jego nakazów, ponieważ były nakazami Atona.

Trudną kwestią jest odpowiedź na pytanie, czy można utożsamiać Atona z Bogiem Prapoczątku. Pamiętać należy, że Aton na początku nie był przecież bogiem słońca, lecz przedstawiał tylko tarczę słoneczną – był więc jedynie manifestacją czy raczej hierofanią boga, co wyklucza jego tożsamość z Bogiem Prapoczątku. Ta hierofania, obecność świętości w publicznej przestrzeni, jest natomiast jednym z jego objawień, jeśli będziemy rozumieć słońce albo boga słońca jako jedno z wcieleń Boga Prapoczątku. Widzieliśmy przecież na wstępie, że wszystko powstało z Boga Prapoczątku, także słońce.

Pytanie o prawdziwą naturę Boga, czy raczej o jego prawdziwą tożsamość, nosi w sobie zarodek najbardziej krwawych walk, choć dzisiaj, z perspektywy czasu, może nam się wydawać sporem błahym, czy wręcz bezprzedmiotowym. Najwięksi heretycy – gnostycy – których za wyznanie prześladowano, wieszano, zabijano i wypędzano, uważali zarówno boga żydów, jak i chrześcijan po prostu za Stwórcę, który jest zaledwie emanacją właściwego Boga, ukrytego, nieznanego, obcego, nieskończenie odległego ludziom. Gnostycy uważali, że aby dotrzeć do

Boga, dusza musiała przewędrować przez siedem lub dziewięć, albo 36 czy nawet 360 nieb, a w każdym z nich musiała przechytrzyć czyhające u bram potwory.

Czy odkrywamy zatem jedną z najgłębszych tajemnic religijnych w tym, że Mojżesz zabrał ze sobą z Egiptu tylko Boga Stwórcę, a nie Boga Prapoczątku? Wizerunek Boga, a nie jego samego? Pytając dalej: czy Jahwe, a w konsekwencji także Bóg chrześcijan są tylko hebrajską interpretacją Atona? Według gnostyków powstanie tego Boga Stwórcy było jedynie wypadkiem przy pracy.

Świątynia Atona w Achet-Aton nie była mroczną budowlą, lecz otwartą świątynią, do której wchodziło się wąskim zacienionym korytarzem. Teologia tego nowego boga widoczna była w imponującej inscenizacji światła, jaką później w inny sposób próbowano stosować w gmachach katedr czy meczetów. Najstarszym bowiem atrybutem boskości było właśnie światło – powtórzmy to raz jeszcze – i to ono właśnie dawało powód do rozmaitych spekulacji. Bóg jest światłością, jak to jest u świętego Jana (1, 5).

Lud, który wcześniej rzadko widywał na własne oczy bogów, bo tylko podczas procesji, pozostał w dużej mierze nieczuły na te zmiany i kultywował swoje dawne obrzędy. Jednakże idea jednego boga, którego głównym atrybutem było światło, pozostawiła głębokie ślady. W *Pieśni słońca* Echnatona czytamy:

Ukazujesz się piękny na wschodnim widnokręgu niebios, nieżywy, któryś jest początkiem życia...

Kiedy wschodzisz na widnokręgu wschodnim, urodą swoją napełniasz świat cały.

Tyś jest piękny i wielki, i lśniący, wznosisz się ponad całym światem, a promienie twoje obejmują wszystkie krainy, wszystko, coś stworzył^[28].

O tym, że ta *Pieśń słońca* wykazuje pokrewieństwo z *Psalmem 104* ze Starego Testamentu, wiadomo już powszechnie; badacze nie zgadzają się tylko co do tego, czy hymn na cześć słońca Echnatona był bezpośrednią podstawą tego psalmu:

...światłem okryty jak płaszczem.

Rozpostarłeś niebo jak namiot,

wzniosłeś swe komnaty nad wodami.

Za rydwan masz obłoki,

przechadzasz się na skrzydłach wiatru.

Jako swych posłów używasz wichry,

jako sługi – ogień i płomienie.

Umocniłeś ziemię w jej podstawach:

na wieki wieków się nie zachwieje.

Za pośrednictwem tego psalmu pogłoś *Pieśni słońca* Echnatona przeniknął do *Pieśni słonecznej* świętego Franciszka z Asyżu:

Pochwalony bądź, Panie, z wszystkimi swymi twory,

Przede wszystkim z szlachetnym bratem naszym, słońcem,

Które dzień stwarza, a Ty świecisz przez nie;

I jest piękne i promienne w wielkim blasku;

Twoim, Najwyższy, jest wyobrażeniem^[29].

Światło jako symbol Najwyższego jest u św. Franciszka sformułowaniem bardzo trafnym w odniesieniu do egipskiego Atona, który pierwotnie przedstawiał nie boga słońca, lecz dysk słoneczny, u Franciszka symbol Najwyższego albo Jedyne Boga, Boga słońca. W obu przypadkach chodzi o to samo, ponieważ symbol, odbicie, tarcza czy manifestacja oznaczają dla ludzi to samo widoczne, namacalne objawienie Boga. Paralele między monoteizmem staroegipskim i chrześcijaństwem w wydaniu mistyki franciszkańskiej nie mogły być już bliższe.

Tarcza słoneczna – Aton – jako atrybut boskości wejdzie bezpośrednio do chrześcijaństwa w postaci aureoli świętych. Tak jak dysk słoneczny stanowi wyraz boskiego działania, tak aureola informuje o boskiej sile świętego. Początkowo miał do niej prawo tylko Chrystus jako Sol Invictus – niepokonany Bóg słońca – ale później Chrystus przekazał ją o jeden stopień niżej w hierarchii, dając tym samym

do zrozumienia, że święci oddziałują swą świętością jak słońce promieniami. W ten sposób proveniencję promieni z aureoli świętych chrześcijańskich wywodzimy ze starożytnego Egiptu, od Atona, a oprócz tego od perskiego boga Mitry.

Idea boga, który jest światłem, który objawia się jako światło i dzięki światłu zapewnia życie, przeniknęła do religii katolickiej, ale także do różnych tajemnych religii. Z jakichś względów nietknięty tą ideą pozostał protestantyzm.

Ważne jest jednak jeszcze coś innego, co oddziałuje do dzisiaj: następcy Echnatona przywrócili po jego śmierci kult boga Amona. Nic nie było już jednak jak dawniej. Nowych kapłanów werbowano zapewne z nawykłych do posłuszeństwa żołnierzy, gdyż Egiptem rządził w rzeczywistości nie małoletni Tutanchamon^[30], lecz generał Horemheb. Ta zmiana dokonała się na poziomie władzy. Na poziomie teologii miało się wkrótce okazać, że przywrócony kult Amona niejako wchłonął, przejął teologię światła boga Atona. Powrót do starej religii spowodował zarazem jej zmianę. Miał rację Heraklit: nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki.

Idea światła jako sposobu oddziaływania boga została rozciągnięta na całą naturę i jednocześnie wyśrodkowana. Pojawiła się tak ważna dla późniejszych idei religijnych i filozoficznych koncepcja „jedności w wielości”, przez Greków zwana *hen kai pan* lub *hen to pan*, a którą filozof Baruch Spinoza (1632–1677) ubrał w znaną formułę *deus sive natura* (Bóg albo natura – czy nazwiemy to Bogiem czy naturą, chodzi zawsze o to samo)^[31].

Na miejscu Atona nie osadzono po prostu Amona. Aby utrzymać różnorodność i bogate wyobrażenia o kosmosie, w którego centrum znajdował się świat, zaczęto czcić teraz trzy bóstwa: Amona z Teb, Re z Heliopolis oraz Ptaha z Memfis. Ten triumwirat stworzył też trzy ośrodki religijne (Teby, Memfis i Heliopolis).

Koncepcja ta miała aspekt polityczny, polegający na legitymizacji jednego królestwa przez boską jedność najważniejszych szkół teologicznych. Poza tym ci trzej bogowie reprezentują związek, który wygląda jak śmiała antycypacja chrześcijańskiej Trójcy Świętej. Jest podstawa, by sądzić, że w czasie gdy to się działo, Mojżesz był już w drodze do Izraela. Albo że jego wyjście zostało prowokowane przez powrót do dawnych bogów i związanych z nimi rozważań trynitarnych. Pewne jest jednak, że odrzucił egipską koncepcję trzech bogów i wywędrował do Palestyny z jednym Bogiem – nie wiadomo natomiast, czy tym jednym Bogiem był bóg Echnatona. Historia nie stoi jednak w miejscu i w tym

kontekście jest jakąś ironią dziejów, że inni Żydzi tysiąc lat później uczynili z jednego Boga – Boga trójjedynego, i nazwali się chrześcijanami. Koncepcję Boga w trójcy wypracowali ostatecznie ojcowie Kościoła, którzy przeszli przez filozoficzne szkoły greckie i egipskie.

Egipcjaninem był też człowiek, który z całą mocą myślenia zwracał się przeciwko idei Boga w trzech osobach w chrześcijaństwie – prezbiter Ariusz, który z tego powodu został ogłoszony ojcem heretyków, a więc mówiąc fachowo językiem chrześcijan – herezjarchą. To nie przypadek, że najzgorzalsza walka między trynitaryzmem a arianizmem rozgorzała właśnie na ziemi egipskiej – tam, gdzie w czasach Echnatona rozegrał się już wielki spór między monoteizmem a kosmoteizmem^[32]. Krąg zamyka się niespodziewanie, gdy przypomnimy sobie, że w zażartych sporach o chrześcijańskie credo, w krwawych nieraz walkach w IV i V wieku n.e. na temat stosunku Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego, rej wodzili egipscy teologowie z Aleksandrii^[33].

ARIUSZ – OJCIEC WSZYSTKICH HERETYKÓW

W nowej teologii Ramessydów, owych jedenastu królów o imieniu Ramzes, którzy panowali w Egipcie od 1306 do 1070 roku p.n.e., wiadomo było wyraźnie:

Jest trzech bogów:

Amon, Re i Ptah, z którymi nikt się nie równa.

Ten, który skrywa swoje imię, to Amon,

on jest obliczem Re,

jego ciało to Ptah^[34].

Chrześcijańskie wyznanie wiary, którego wersję po długich bojach uzgodniono najpierw na soborze w Nicei, a potem w Konstantynopolu, teraz brzmiało:

Wierzymy w jednego Boga

...i w jednego Pana Jezusa Chrystusa

Syna Bożego

...i w Ducha Świętego...

Wszystkich jest trzech, a trzej są jednym. Ale ten Jeden to ukryte imię (albo istota) Amona, manifestacja Re i emanacja Ptaha. W chrześcijaństwie są to Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty. Obie te koncepcje nie całkiem się pokrywają, ale koncepcja egipska wygląda na śmiałą antycypację idei chrześcijańskiej. W myśli egipskiej jedność jest trójcą, a trójca jest wszystkim.

W odróżnieniu od idei chrześcijańskiej, opartej na monoteizmie, w religii egipskiej ci trzej bogowie jednoczyli w sobie wszystkich bogów, albo inaczej mówiąc: wszyscy bogowie są tylko maskami tych trzech bogów. Ale ci trzej bogowie – i ta myśl zapiera chrześcijaninowi dech w piersiach – są z kolei, jak już widzieliśmy, tylko *jednym* bogiem, a mianowicie Bogiem Prapoczątku. Jan Assmann ujmuje tę egipską trójcę jasno i pięknie: „Boskość rozwija się w trzech – i tylko trzech – wymiarach: wymiarze językowym jego *imienia*, kosmicznym wymiarze jego *światlistej widzialności* oraz w kultowym wymiarze jego ziemskiego panowania – jako *obraz* kultu w świątyni”^[35]. W pewnym uproszczeniu można by też powiedzieć, że Duch Święty jest światłem, na ziemię zstąpił Jezus, obecny w ofierze mszy świętej, ale którego też symbolizuje krzyż w kościołach – a wszystko to dzieje się w imię i jako imię Boga. W chrześcijaństwie Bóg występuje jako Ojciec i Stworzyciel, jako Syn Boży i jako Duch Święty.

Mówimy, że istnieje jedna wspólna, zachodnia cywilizacja judeochrześcijańska, natomiast poprawnie powinno się powiedzieć: cywilizacja egipsko-judeo-chrześcijańska, obejmująca również grecką filozofię i rzymskie prawo. Jednakże przekaz egipski był tak mocny, że został utajniony i zepchnięty na margines, a jego zwolennicy traktowani byli podejrzliwie jako nie dość prawowierni. Awersja Kościoła chrześcijańskiego wobec panteizmu – modelowo widoczna w sporze o Spinozę, jaki pod koniec XVIII wieku rozgorzał w Niemczech – dotykała egipskiej idei trynitaryzmu nie jako czegoś odległego, lecz przeciwnie – czegoś duchowo bardzo pokrewnego.

Wyobrażenie trójjedynego Boga pochodzi w każdym razie z Egiptu i stanowi tajne dziedzictwo tamtejszego kosmoteizmu. Najistotniejsza różnica polega na tym, że w Egipcie trynitaryzm wyrósł z kosmoteizmu, a chrześcijaństwo jest monoteistyczne. Egipcjanie mówią: wszystko jest trójcą, a trójca jest jednym – chrześcijanie natomiast: jedność jest troista, a Trójca jest Jednym. Biblijny Bóg jest Bogiem Stworzenia, który stworzył świat, a teraz stoi i przygląda mu się jak stolarz wykonanemu przez siebie meblowi; bóg zaś egipski sam przebywa w świecie

i utrzymuje go w ruchu oraz napełnia życiem poprzez swój ruch, podobnie jak energia życiowa wprawia w ruch krew ciała. W egipskich wyobrażeniach bóg porusza się ociężale w praoceanie Nun, podczas gdy Bóg żydowski unosi się już ponad wodami.

Ta właśnie egipska wizja boga ożywiającego wszystko (*deus sive natura*) będzie bardzo ważna dla niektórych tajemnych religii. Egipski bóg niczego nie stwarza, on się objawia, manifestuje, a manifestując – emanuje, i powstaje świat. Wyobraźmy go sobie jako wszechstronnego rzemieślnika, który samodzielnie buduje dom, ponieważ w miarę potrzeby wchodzi w rolę murarza, cieśli, dekarza, hydraulika i malarza i wykonuje wszystkie niezbędne prace, ale w żadnej z tych ról nie zastyga na dłużej; pozostaje w nich tak długo, jak długo musi, przejściowo, zawsze może się w nie wcielić, ale nigdy nie jest „zupełnie” tylko jednym. Za każdym razem wykorzystuje jedną ze swoich niezliczonych zdolności i umiejętności.

Nie miejsce tu na śmiałe przypuszczenia i sprawdzanie hipotez, ale jedna rzecz wyraźniej niż inne rzuca się w oczy. Przewyciężenie silnego monoteizmu religii żydowskiej przez ideę trynitarną chrześcijaństwa niesie ze sobą ryzyko powrotu do teologicznych spekulacji starożytnych Egipcjan z czasów po śmierci Echnatona.

W chrześcijaństwie powraca starożytny Egipt. Czas po śmierci Echnatona jest również czasem, w którym Mojżesz wyprowadził Hebrajczyków z Egiptu. Chrześcijaństwo uważa się za oficjalnego dziedzica starego przymierza Żydów z Bogiem, ale w istocie jest ono także tajemnym spadkobiercą teologii egipskiej. Powstaje fascynujące pytanie, w jaki sposób to egipskie dziedzictwo przeniknęło do chrześcijaństwa bez pośrednictwa judaizmu. Czy przetrwało w religii żydowskiej poniekąd jako misterium?

W tym przełomowym okresie pojawił się Mojżesz. Przekonał Hebrajczyków do opuszczenia Egiptu i poszukiwania Ziemi Obiecanej, którą obiecał im Bóg. Bóg wybrał Hebrajczyków jako swój lud, wybrał też Mojżesza jako proroka. Mojżesz głosił jednak Jednego Boga, jak zapowiedział go Echnaton. Czy to Aton jest Bogiem Jahwe? Obaj ci bogowie są racjonalistyczni. Mojżesz zwrócił się przeciwko egipskiemu kosmoteizmowi z czasów po Echnatonie. Nie można zapewne utożsamiać Boga Mojżeszowego z bogiem faraona, łączy ich jednak wyjątkowość, racjonalność; podobieństwo wykazują także postaci, w jakich się objawiali: Aton był słońcem, Jahwe ukazał się Mojżeszowi w postaci płonącego krzewu albo jako *szechina*, czyli światło. Podobnie jak Aton, Jahwe również nie

znosi istnienia innych bogów, ale nie zaprzecza ich istnieniu. Jahwe zakazuje jednak posiadania innych bogów oprócz siebie, podczas gdy Aton ze swojej wysokości nawet o nich nie wspomina. Obaj bogowie podobni są także w tym, że całkowicie odmienili życie ludzi – ale cóż, taki już los bogów, że zwykle tak się dzieje.

Z tamtego czasu przetrwała do naszych dni historia, którą później opowiadano zarówno w związku z Echnatonem, jak i z Mojżeszem – przywódcami religijnymi, którzy wprowadzili tak wielką zmianę, że świat stał się zupełnie inny. Jeden dokonał tego tylko przejściowo, drugi – trwale. W tym drugim przypadku zmiana oddziałuje do dzisiaj i jest bardzo brutalna.

PRZERAŻAJĄCE OBLICZE PRAWDY

W trzecim tysiącleciu przed Chrystusem kapłan Maneton napisał trzyczęściową historię Egiptu. Można w niej przeczytać, że w czasach Amenhotepa III (ok. 1388 – ok. 1351 p.n.e.) żył pewien kapłan imieniem Ozarsip, który udał się kiedyś do trędowatych. Ponieważ przepowiednia głosiła, że trędowaci zanieczyszczą cały kraj, król nakazał internować ich w jednej kolonii i zmusił ich do pracy dla siebie. Ozarsip zorganizował więc trędowatych, dał im nowe prawa, nową wiarę i podbił z nimi Egipt.

Kiedy kapłan Ozarsip został królem, przyjął imię Mojżesz i przez trzynaście lat pustoszył kraj. Zabijano święte zwierzęta, pieczono je na rożnie i raczono się nimi. Świątynie płądrowano, niszczone wizerunki bogów. Za panowania Mojżesza nie wolno było oddawać czci bogom, nie wolno było też zadawać się z obcymi. Dosłownie wszystko, co dotychczas było nakazem religijnym, teraz zamieniało się w swoje przeciwieństwo.

Wszystko wskazuje na to, że Mojżesz z historii Manetona jest Mojżeszem biblijnym. Tamten również domagał się, by nie służyć innym bogom ani nie modlić się do wizerunków bogów. Święte zwierzęta, którymi się raczono, powracają w Starym Testamencie w postaci byka Apisa w historii o oddawaniu czci złotemu cielcowi, co Mojżesz srogo ukarał. Łatwo tu postawić znak równości między Hebrajczykami i trędowatymi, którzy (podobnie jak Hebrajczycy) żyli tylko we własnym gronie i nie utrzymywali kontaktów z Egipcjanami.

Z drugiej strony historię tę można odnieść również do rewolucji Echnatona. On także zerwał z dawnymi kultami i wprowadził monoteizm. Owe trzynaście lat – wskazuje egiptolog Jan Assmann^[36] – odpowiada mniej więcej czasowi, w którym

w Achet-Aton oddawano cześć jednemu tylko bogu, Atonowi, zatem kiedy panował monoteizm.

Monoteizm pojawia się więc na świecie za sprawą Echnatona jako inicjatora i burzyciela pewności oraz za sprawą Mojżesza jako pierwszego twórcy religii. Ponieważ monoteizm dopuszcza wiarę tylko w jednego Boga, a wszystko inne uważa za grzech, tym samym wnosi rozróżnienie tego, co nakazane i zakazane, oddziela to, co oficjalne, od tego, co tajne, religię egzoteryczną od ezoterycznej. Wprowadzenie wiary w jednego Boga rozpoczyna tak naprawdę uchwytną historię tajemnych religii.

Religie kosmoteistyczne współistniały obok siebie jeszcze do końca pogaństwa w V wieku n.e. Uważano, że istnieli tak zwani lokalni bogowie, a w każdym razie że wielcy bogowie nosili u różnych ludów odmienne imiona, zależne od miejscowego języka. Zeus został zrównany z Jupiterem, Demeter z Astarte, Kybele czy z Izydą.

W „zglobalizowanym” świecie hellenistycznym powstała w związku z tym cała nauka przekładu religijnego, której celem było sporządzanie list bogów noszących wprawdzie różne imiona, ale w istocie adekwatnych sobie. Tę tolerancję zakończył zwycięski pochód monoteizmu. Teraz nie było już nic do przekładania. Mógł być tylko jeden Bóg, czy był to własny Bóg, czy nazywał się Jahwe czy Allach. Judaizm tym tylko różni się od chrześcijaństwa i od islamu, że nie prowadził misji i nie próbował objąć wszystkich ludzi dobrodziejstwem jednego Boga. W tej sytuacji myślenie alternatywne zaczęło poszukiwać nowych, tajnych dróg, a wypędzeni bogowie powracali w nowych szatach, „utajnieni”.

Aby zrozumieć, co się stało, dobrze jest przypomnieć sobie pewną debatę, która toczyła się w dobie oświecenia. Myśliciele i uczeni XVII i XVIII stulecia, zajmując się Mojżeszem, odkryli pewien rys religii egipskiej, który w sposób decydujący wpłynął na dalszy rozwój wiary, ale przede wszystkim na wiedzę tajemną, stanowiącą podstawę wielu tajemnych religii.

W czasie kiedy Mojżesz mieszkał w Egipcie, istniały dwie religie, jedna egzoteryczna i jedna ezoteryczna. Egzoteryczna to była ta zewnętrzna, politeistyczna czy kosmoteistyczna religia dla ludu, której najwyższą formą były małe misteria. Właściwa, prawdziwa, ezoteryczna, wewnętrzna religia, kryjąca się w wielkich misteriach, uważana była za zbyt trudną dla prostego ludu. Prawdę potrafili udźwignąć tylko mądrzy, wtajemniczeni mężczyźni. Do takiego stanu nawiązywał znacznie później Paweł Apostoł, reklamując nawet chrześcijaństwu tę

pedagogikę religii: „A ja nie mogłem, bracia, przemawiać do was jako do ludzi duchowych, lecz jako do cielesnych, jako do niemowląt w Chrystusie. Mleko wam dałem, a nie pokarm stały, boście byli niemocni; zresztą i nadal nie jesteście mocni. Ciągłe przecież jeszcze jesteście cieleśni” (1 Kor 3, 1–3).

Nie wnikamy w to, czy rzeczywiście w tamtym czasie pod postacią jednej religii egipskiej istniały dwie religie. Jeśli istniały, co wydaje się prawdopodobne, to jednak nie w formie tajnego związku, jak to sobie wyobrażano w XVIII wieku. To wyobrażenie pasuje bardziej do oświeceniowego sposobu myślenia, którego niemal wszyscy znamienitsi przedstawiciele należeli do jakichś (często mistycznych) tajnych związków^[37]. Z drugiej jednak strony w okresie hellenistycznym pojawiły się tajemne religie, które odnosiły się właśnie do tego punktu i które na tym napięciu budowały małe i wielkie misteria.

Filozof Klemens Aleksandryjski tak w III stuleciu naszej ery zdefiniował związek małych i wielkich misteriów: „Po tym następują małe misteria, których zadaniem jest nauczanie i przygotowywanie na to, co ma nastąpić. Wielkie misteria natomiast obracają się wokół całości, gdzie nie ma już czego się uczyć, można tylko patrzeć i zastanawiać się nad istotą rzeczy”^[38].

Pod nazwą małych misteriów rozumiano ofiary ze zwierząt i hieroglify, święte znaki, których odczytanie umożliwiło wniknięcie w istotę czczonych bóstw. Tylko niewielu udało się jednak przejść przez te małe misteria i zbliżyć się do wielkich misteriów, a przecież jeszcze mniejsza była liczba tych, którzy byli w nie wtajemniczeni. W jednym z *Hymnów orfickich*, wierszy przypisywanych sławnemu śpiewakowi z greckiej mitologii, czytamy:

Będę mówić tylko do tych, co są uprawnieni. Tylko drzwi zamknijcie, niewtajemniczeni...

...Spójrz tylko na władcę świata,

Nieśmiertelnego! Stare słowo daje o nim świadectwo:

On jest tym, który stał się sam z siebie. Wszystko bierze swój początek z Jednego.

On chodzi pośród nich, ale żaden ze śmiertelnych

go nie widzi, za to on widzi wszystkich^[39].

Tajna droga wtajemniczenia to początkowo rozumienie i nauka. Wybrany musiał porzucić złudzenia na temat świata, pozbyć się fałszywych wyobrażeń (na przykład tego, że jest wielu bogów), zarzucić wszystkie miłe sercu oczywistości, pewności dotyczące własnego istnienia, wyznaczniki własnego myślenia, by móc widzieć to, co prawdziwe, a mianowicie jednego Boga i wewnętrzne prawo świata. Trudno to pojąć w naszym świecie, w którym nie istnieje nic, czego nie można zobaczyć, przeczytać, usłyszeć. A jednak wyobraźmy sobie, że wszystkie rzeczy, które uważaliśmy za pewne nie istnieją, że w jednej chwili znikają, zawalają się jak domek z kart i nie ma już żadnej z tych rzeczy, które znajdują dzisiaj powszechne uznanie, są bezsporne, ba, niemal święte – ani demokracji, ani praw człowieka, ubezpieczeń społecznych, nawet prawa karnego, bo to wszystko jest tylko pozorem. Wtedy zrozumiemy, co oznaczało porzucenie tych pewników rzeczywistości i wtajemniczenie w wielkie misteria. Do inicjacji mógł zostać dopuszczony tylko wybrany, posiadający na to dość siły.

Genialnie pokazał to Fryderyk Schiller w balladzie *Przed posągiem w Sais* (*Das verschleierte Bild zu Sais*). Młody mężczyzna, który poszukuje prawdy, stoi przed statuą bogini Izydy w staroegipskim mieście Sais – tej Izydy, która stanowiła wzór dla chrześcijańskiej Dziewicy Maryi.

Bogini jest przesłonięta, a młody człowiek dopytuje się ciekawie, co się kryje za tą przesłoną. „Prawda” – słyszy w odpowiedzi. Dziwi się więc, że jego przewodnik jeszcze nie uchylił tej materii i nie skorzystał z szansy zobaczenia prawdy. Przewodnik nie odpowiada mu na to, lecz wskazuje lakonicznie na boginię, która właśnie przepowiada:

„Nigdy, kto śmiertelny

Nie tknie zasłony, aż jej sama nie uchylę,

A kto by się ośmielił podnieść grzeszną rękę

Na świętą, zakazaną zasłonę przed czasem,

Ów” – powiedziało bóstwo... „Ów... co?” „...Ujrzy prawdę!”^[40].

Młody człowiek waży się na to i odważnie unosi przesłonę, nie zważając na ostrzeżenia – i staje twarzą w twarz z prawdą.

Co wtedy, zapytacie, mu się objawiło?

Ja nie wiem i nikt nie wie. Nazajutrz o świcie

Leżącego w świątyni znaleźli kapłani.

U stóp Izydy leżał blady i nieczuły.

Co zobaczył, co przeżył, tego żaden język

Nigdy już nie wyjawia nikomu. Na zawsze

Opuściła go radość życia i pogoda.

Zgryzota go zżerała do przedwczesnej śmierci.

„Biada – ostrzegawczymi odpowiadał słowy,

Wtedy, gdy go pytania gwałtownie nękały –

Biada temu, kto prawdę pragnie osiąść grzechem^[41].

Prawda zostaje ukryta w wielkich misteriach, ponieważ jej oglądanie może być niebezpieczne dla niewtajemniczonych i może ich nawet wpędzić w szaleństwo. Dla starożytnych niejawnosć należy do istoty prawdy. Jednoznacznie wyraża to *Hymn do Amona*:

Jeden jest Amon, który się ukrył przed nimi,

który zasłonił się przed bogami, żeby nikt nie rozpoznał jego istoty.

Jest dalszy niż niebo, głębszy niż zaświaty.

Żaden bóg nie zna jego prawdziwej postaci.

Na zwojach nie ma jego obrazu,

nikt o nim nie uczy [w przyświątynnych szkołach].

Jest zbyt tajemniczy, by odsłonić swój majestat,

zbyt wielki, by można go było zbadać myślą,

zbyt silny, by go pojąć.

Człowiek pada martwy z przerażenia,

gdy świadomie lub nieświadomie

wypowie jego tajemne imię.

Nie ma boga, który mógłby go po imieniu zawołać.

Ktoś, kto ma tylko duszę Ba, kto skrywa swe imię jak tajemnicę^[42].

Samo imię nie jest tajemnicą, ale jest ukryte i w ten sposób wchodzi w zakres tajemnicy. W ukryciu znajdują się jako dwie różne istoty imię i tajemnica boga. Tajemnica nie jest bardziej ukryta niż imię. Czy imię boga prowadzi do tajemnicy, czy jest kluczem do misterium? Imię boga jako hasło do wewnętrznej tajemnicy świata? Nawet (niżsi) bogowie nie mogą nazywać go po imieniu – jak zatem mógłby czynić to człowiek?

U Egipcjan tajemnica bóstwa i jego imię rozpadają się ontologicznie, a więc w strukturach bytu – inaczej jest natomiast zarówno u Mojżesza, jak i u wyznawców islamu. Kierunki heretyckie oraz tajemne religie będą się odwoływać właśnie do tego punktu i podkreślać różnice. Nawet w mityce żydowskiej welon między Bogiem a aniołami zasłania tajemnicę zbawienia. Nieprzypadkowo istnieją w językach europejskich idiomatyczne wyrażenia, w których pojawia się słowo „welon, woal” na określenie, że czegoś nie można dostatecznie zbadać, dowiedzieć się, że coś jest zagadkowe, zawoalowane, niejasne.

Obraz zasłony czy welonu skrywającego prawdę (albo symbolizującą prawdę statuę z Sais) jest dawnym i tajemnym dziedzictwem. Grecki filozof Plutarch (45–125) tak pisze o tym obrazie w swoim traktacie *De Iside et Osiride*: „W Sais istniał posąg siedzącej Ateny, którą czczą także jako Izydę. Była na nim inskrypcja o takim mniej więcej brzmieniu: »Ja jestem wszystkim, co było, co jest i będzie, a żaden śmiertelny nie uchylił dotąd mojej zasłony«^[43].

Prześladowany przez inkwizycję i być może zamordowany filozof doby

renesansu Giovanni Pico della Mirandola przejął myśl o nierozpoznawalności Boga i o zakrytej prawdzie, kiedy pisał: „Dawni teologowie byli zdania, że spraw boskich i tajnych misteriów nie wolno nierozważnie ujawniać, z wyjątkiem tego, na co pozwalano z góry... Egipcjanie przed wszystkimi swoimi świątyniami rzeźbili sfinksy, a to nie z innego powodu, tylko żeby objaśnienie spraw boskich, także na piśmie, miało charakter zawoalowany, zagadkowy i skrywało się pod poetycką przenośnią”^[44].

Każda prawdziwa religia jest zatem tajemna, gdyż nie odnosi się do małych misteriów (publicznych), tylko do tajnych wielkich misteriów. Gdyby Mirandola tego nie dostrzegła, to termin „tajne misteria” byłby pozbawiony sensu, byłby tautologią, ponieważ określenia „tajny” i „misteryjny” oznaczają coś ukrytego, niedostępnego.

Między małymi a wielkimi misteriami istnieje jeszcze jedna różnica, której skutki widoczne są do dzisiaj. Treść małych misteriów może być odczytywana, głoszona i relacjonowana, jest po prostu dostępna intelektualnemu poznaniu. Natomiast prawda ukryta pod korcem wielkich misteriów może być jedynie oglądana, ale nie przekazywana dalej ani nie objaśniana, gdyż podobnie jak bóg i imię boga stoi ponad tym, co człowiek może ogarnąć i opisać językiem. Ostatecznej prawdy można tylko doświadczać, można ją oglądać, ale nie wolno jej opisywać. Ona jest jak słońce o północy, jak mówili Egipcjanie. Albo jak mówi *Księga 24 filozofów*: „Bóg jest ciemnością duszy, jaka pozostaje po całym świetle”^[45]. Ostateczne poznanie (gnoza) możliwe jest tylko dzięki przeżyciu czegoś. Chodzi „o całość, gdzie nie ma nic więcej do uczenia się, trzeba tylko patrzeć w istotę rzeczy i rozważać ją”^[46].

To, co grecki filozof i teolog tak trafnie zdefiniował, stanowi cel drogi zbawienia mistyków, sufich, różokrzyżowców, większości tajnych religii: w misterium oglądać istotę rzeczy i dzięki temu patrzeniu zostać zbawionym od tego okropnego świata i od cierpień życia.

DROGI WYBRANYCH

Ważną częścią składową wszystkich religii jest tajemnica, misterium, niezrozumiałe dla zwykłych ludzi, żyjące w ukryciu w świątyni, dostępne tylko wybranym – kapłanom – którzy mogą je czcić i oglądać. W tajemnych religiach misterium odgrywa szczególną rolę. Tu stykamy się z pierwowzorem relikwiarza i ołtarza jako miejsca ofiary i świętości.

Misterium, tajemnica – to nie tylko fakt, objaśnianie świata, przekaz, ale również miejsce. W tajemnicę jest się wprowadzającym jak w jakiś tajny labirynt. Sens ma to, co zmysły odkrywają pod powierzchnią. Ale zmysły muszą mieć do tego zdolność. Aby im umożliwić także inne rodzaje postrzegania, należy je odpowiednio przeszkolić i oduczyć reakcji automatycznych. Do szkolenia zmysłów i poszerzania spektrum postrzegania religie wykorzystują metody medytacji i jogi. Joga nie została wynaleziona przez zmyślnych terapeutów jako technika odprężenia dla zestresowanych ludzi współczesnych, lecz miała stanowić drogę, którą człowiek będzie mógł dotrzeć do zbawienia, będzie mógł zrzucić z siebie brzemień świata, a nie stresu.

W naszym świecie, w którym wszystko musi być oczywiste i wyraźnie widoczne, w którym wszystko wymaga natychmiastowego wyjaśnienia, coraz mniej rozumiemy istotę tajemnicy. Dla nas świat musi być powierzchnią – powierzchnią monitora albo wyświetlacza telefonu komórkowego. I nic nie może pozostać w ukryciu pod tą powierzchnią, wszystko musi być pokazane i przedstawione. Jednakże odbierając tej powierzchni głębię, niszczyliśmy własną zdolność myślenia, polegającego właśnie na wnikaniu w głąb, w to, co ukryte i niewidoczne. Następnie niszczyliśmy oczywiście samą powierzchnię.

Obecnie, kiedy tajemnica została zbanalizowana i złożona w ofierze digitalizacji, rodzi się jednak tęsknota za misterium. Jest to jeden z powodów istnienia tajemnych religii w naszych czasach. Tworzą one przestrzeń, w której ludzie mogą się udawać na poszukiwania wielkiej tajemnicy bytu – są to miejsca ćwiczeń dla joginów i sufich, miejsca duchowych technik. Stoi za tym przecucie, że tracąc narzędzia poznawania cudu życia – sami tracimy swą wartość.

Chrześcijańskie misterium transsubstancjacji na przykład, głęboka tajemnica przemiany wina w krew, a chleba w ciało Chrystusa, w czasie mszy w Kościele katolickim dokonuje się niemal publicznie, jednak w rycie łacińskim kapłan odprawia je odwrócony tyłem do wiernych. Jest zwrócony wyłącznie ku Bogu, nie tak jak w liturgii posoborowej czy protestanckiej, gdzie patrzy na wiernych.

Warto się nad tym zastanowić. W rycie protestanckim i posoborowym można bowiem dostrzec już drugie osłabienie tajemnicy cudu mszy. To osłabienie nie oznacza zdradzenia tajemnicy, lecz jej dewaluację, kiedy nie traktuje się poważnie jej form, kiedy wobec tajemnicy nie przejawia się należytej jej czci. Tajemnica jest w tym kontekście językową formą Boga.

Pierwsze osłabienie rozpoczęło się wraz z historyczną zmianą, która

doprowadziła do tego, że chrześcijaństwo z religii prześladowanej, tajemnej, urosło do rangi religii państwowej. W starym Kościele członkowie gmin uchodzili za świętych, co do dziś można odczytać w credo^[47], a nabożeństwa odbywały się potajemnie jako spotkania ludzi naśladowujących Chrystusa. Dawniej chrześcijanom nie było wolno opisywać swych tajemnic i sakramentów wobec niechrześcijan ani rozmawiać o nich w miejscach publicznych. Nabożeństwa także nie były dla wszystkich. Dopiero chrzest, jako specjalne wtajemniczenie w przymierze z Bogiem, uprawniał do uczestniczenia w misteriach.

Nie ma w tym sprzeczności z misją, gdyż można było głosić ludziom publicznie, że chrześcijańska droga jest zbawieniem. Jak jednak kroczyć tą drogą, jakie istnieją misteria, jakich udziela się sakramentów i w jaki sposób się to robi – tego mogli się dowiedzieć tylko chrześcijanie ochrzczeni. To była część tajemnicy.

Głównym powodem tej religijnej dyskrecji nie było prześladowanie; chrześcijanie nie chcieli po prostu pozbawić misteriów należnej im świętości. Awersja Rzymian wobec nowej sekty *christiani* znajdowała pożywkę właśnie w nieznamości ich wiary, której najgłębszy sens owiany był tajemnicą, a na jej temat krążyły jedynie niesprawdzone pogłoski. Dla Rzymian pierwsi chrześcijanie byli ludźmi niedopasowanymi do rzeczywistości, krążącymi po cmentarzach i oddającymi się okropnym rytuałom. Ludzie z zewnątrz nie mogli wiedzieć, że miejsca pochówku były dla chrześcijan także miejscem nabożeństw, a wierni podczas wieczerzy przeżywali zjednoczenie z Chrystusem. Formuła „Kto spożywa moje Ciało i pije moją Krew, ma życie wieczne” (J 6, 54) nasuwała jednoznaczne skojarzenia z ohydny procederem kanibalizmu i wypijania ludzkiej krwi. Jak inaczej mieli rozumieć te słowa niewtajemniczeni?

Pierwsi chrześcijanie ze swoją dyscypliną wtajemniczonych stanowią dokładny i w najbardziej bezpośrednim sensie wzór dla *doskonalej*, jakich znają późniejsze ruchy heretyckie, dla czystych (*katharoi*) czy *perfecti*, a więc dla tych, którzy jako depozytariusze Tajemnicy udawali się w drogę do Boga.

Mamy zatem trzy elementy, które wykształciły się w wierze starożytnych Egipcjan, a które odnajdujemy we wszystkich tajemnych religiach:

- po pierwsze ukrytego Boga,
- z którym (po drugie) kontakt mieli tylko wybrani,
- którzy (po trzeciej) byli szczegółowo wtajemniczani w sposoby zbliżania

się, patrzenia i dzielenia się tym z innymi.

W wielkich religiach występuje pozornie strukturalna, ale ukryta różnica między małymi a wielkimi misteriami. W tajemnych religiach u wtajemniczanych dochodzi jeszcze zdynamizowana komunikacja. Oznacza to, że człowiek nie zdobywa tajemnej wiedzy raz na zawsze, jak to było choćby u kapłanów egipskich, lecz dochodzi do niej długą drogą samodoskonalenia. To sama droga uważana jest już za religię. Inaczej mówiąc: ta *via religionis* stanowi królewską drogę do zbawienia, do wiecznego szczęścia, jak można też rozumieć zbawienie.

Na postawione już pytanie, czy religie w ogóle mogą pozostać tajemne, Klemens Aleksandryjski odpowiada wyniośle i dobitnie: „A jeśli ktoś mówi, że napisano: »nie ma nic zakrytego, co by nie miało być wyjawione, ani nic tajemnego, o czym by się nie miano dowiedzieć«, to niech usłyszy i od nas, że Bóg obwieścił przez to proroctwo, że temu, kto słucha w ukryciu, tajemnice będą odsłonięte, i kto zdolny jest pojąć, co mu podano w formie zasłoniętej, temu będzie ujawnione to, co zasłonięte, jako prawda; a co dla licznych jest ukryte, to dla nielicznych będzie jasne»^[48].

Nie sposób zdefiniować dokładniej różnicy między małymi a wielkimi misteriami, niż uczynił to ten wczesnochrześcijański myśliciel.

Wyznawcą tajemnych religii zostaje się nie tylko dlatego, że wierzy się w wyznaczaną przez nie drogę zbawienia czy ich objawienia i obietnice, lecz również dlatego, że rękojmią prawdziwości tych wyznań jest sława tajemniczości i elitarności. Utrzymywanie w tajemnicy kłamstwa byłoby pozbawione sensu, gdyż kłamstwo spełnia swą funkcję tylko w przestrzeni publicznej i dzięki upublicznieniu czegoś, co jest nieprawdziwe, ale ma przekonać opinię publiczną o swojej rzekomej prawdziwości, a ukryć rzeczywisty stan rzeczy. Z punktu widzenia tajemnych religii chodzi o ukrytą prawdę, strzeżoną przed możliwością dotknięcia kłamstwami religii oficjalnych i państwowych. W skrócie można powiedzieć, że tajemnicę uważa się za prawdziwą już tylko dlatego, że jest tajna – i odwrotnie. Co musi pozostać w ukryciu, musi być prawdziwe, w przeciwnym razie nie musiałoby być skrywane. Zgodnie z tą prostą psychologią funkcjonują także teorie spiskowe.

Poza tym niemal hipnotyczną moc ma obietnica, że pewnego dnia człowiek stanie się jednym z wybranych takiej tajnej religii. Jej wyznawcy chcą na tej drodze uzyskać taką doskonałość, by byli w stanie znieść prawdę – „strawić stały pokarm” – jak mówił święty Paweł. Kryje się w tym nadzieja, że wierzący stanie się kimś

wyjatkowym – nie będzie już samotnym czy dyskryminowanym człowiekiem, *loserem*, jak się dziś mówi, albo ofiarą – będzie wybranym Bogu. Tajemne religie są niezwykle atrakcyjne już przez sam fakt, że dopuszczają człowieka do czegoś tajnego, dostępnego jedynie dla nielicznych; wierzący nie należą do szerokiego kręgu wyznawców, lecz do wąskiej grupy, do elity. To trochę jak z Harrym Potterem, który odkrywa, że nie jest osieroconym dzieckiem szalonych rodziców, tylko potomkiem pewnego czarownika i bohaterem. Wszyscy żyjemy w komórce pod schodami u jakichś Dursleyów i mniej lub bardziej marzymy o tym, by pójść do Hogwartu.

Najpóźniej w oświeceniu pojawiło się oskarżenie Mojżesza, że udostępnił ludowi wielkie misteria i tym samym je zdradził. Kiedy, jeśli nie w XVIII wieku, mogło zostać dokonane ważne dla współczesnych tajemnych religii odkrycie, że to Mojżesz był owym „słyszającym w ukryciu”, o którym mówi Klemens Aleksandryjski, któremu przypadły w udziale wielkie misteria.

Do najważniejszego wniosku doszedł przyjaciel niemieckiego poety Fryderyka Schillera, profesor z Jeny Karl Leonhard Reinhold, który był również iluminatem^[49] entuzjastą. Uważał on, że bóg z wielkich misteriów w starożytnym Egipcie i Jeden Bóg, którego zapowiadał Mojżesz, są ze sobą tożsami. Jeśli byłoby tak istotnie, to Mojżesz musiałby zdradzić ludowi ściśle strzeżone przez egipskich kapłanów wielkie misteria, innymi słowy – uczynić z nich jakiś Oktoberfest. W każdym razie z tego stwierdzenia Reinholda rozwinęła się jedna z najbardziej brzemiennych w skutki historii w obrębie wiedzy tajemnej.

Mojżesz został wprowadzony w Egipcie w wielkie misteria – tak uważano już w antyku. Nawet w Nowym Testamencie pojawia się pewna obciążająca wypowiedź: „Mojżesza wykształcono we wszystkich naukach egipskich, i potężny był w słowie i czynie” (Dz 7, 22). Z tego zdania jasno wynika, że Mojżesz również z chrześcijańskiego punktu widzenia był potężny w słowie i czynie, ponieważ studiował całą mądrość, a więc także ukrytą mądrość Egipcjan. Ewangelista Łukasz nie akcentowałby tak *całej* mądrości, gdyby ta mądrość nie była podzielona albo zróżnicowana – na przykład na małe i wielkie misteria. Ten podział leżał jednak również w interesie chrześcijan – umożliwił bowiem „ochrzczenie” Egiptu, gdyż z chrześcijańskiej perspektywy treść wielkich misteriów mogła być poznawaniem tylko Jednego Boga.

Wybrany przez Boga do wyprowadzenia Hebrajczyków z Egiptu do Ziemi Obiecanej, Mojżesz obwieścił ludowi tę tajemną wiedzę, aby Bóg mógł zawrzeć przymierze z ludem wybranym. Mojżesz odkrył ludowi prawdę Boga – albo też,

jak szydzono kiedyś, uczynił z utajnionych wielkich misteriów Egipcjan przedstawienie na świeżym powietrzu dla narodu żydowskiego. Z punktu widzenia misteriów, z perspektywy egipskiej, była to czysta zdrada. Mojżesz zdrajcą?

Treść wielkich misteriów egipskich, którą obwieścił Izraelitom Mojżesz, jest taka, że istnieje tylko jeden Bóg – i to właśnie tę wiarę świętowali Żydzi przed Namiotem Spotkania. Do tej sceny nawiązują różne legendy i historie.

Jedna z nich głosi, że Mojżesz, mając wzgląd na możliwości zrozumienia przez lud, wyjawiał mu tylko część wielkich misteriów, mianowicie tylko to, że jest jeden Bóg. Lud Izraela nie powinien słuchać małych misteriów, nie powinien uprawiać więcej bałwochwalstwa (idolatrii). Z tego wynikają dwa pierwsze przykazania: „Ja jestem Pan, Bóg twój. Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną. Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu”.

Interesujące, że Mojżesz nie powiedział, że nie ma innych bogów, tylko że należy czcić jednego Boga i nikogo poza tym. Dokonał rozróżnienia między religią właściwą a fałszywą.

Po drugie – ludziom nie wolno się modlić do żadnych obrazów. Inne ujęcie tego przykazania brzmi: „Nie będziesz wykonywał żadnych odlewanych wizerunków Boga”. Wskazuje to wyraźnie na złotego cielca, co jest nawiązaniem do małych misteriów. Wśród egipskich bogów pojawia się byk Apis, powracający w biblijnym epizodzie jako złoty cielec, którego mają się wyrzec Izraelici. Wielkie misteria głosiły, że chodzi o jednego Boga, którego należy kochać, oddawać mu cześć i za nim podążać.

Dla nas bardziej istotne są jednak dwa poglądy wyrastające ze wspólnego przekonania, że Mojżesz ujawnił Hebrajczykom tylko część wielkich misteriów albo praw, które Bóg mu przekazał na górze Synaj.

Wyobrażano sobie to z grubsza następująco: Kiedy Mojżesz rozmawiał z Bogiem na górze Synaj, Pan dał mu przykazania. Niektórzy przypuszczają, że Bóg powiedział więcej, niż zostało zapisane na tablicach z przykazaniami, a Mojżesz ustnie przekazał tę wiedzę swoim następcom. Żydowski uczeni starają się dociec tego „ustnego przekazu” czy „ustnej Tory”. Ich rozmyślenia na ten temat znalazły się w Talmudzie.

Druga hipoteza głosi, że tekst religijnego prawa żydowskiego sam jest już szyfrem tajemnych instrukcji. W językach semickich, takich jak hebrajski czy

arabski, litery mają też wartości liczbowe. Przypuszcza się zatem, że Pięcioksiąg Mojżeszowy został zaszyfrowany za pomocą liczbowych wartości spółgłosek i że złamanie tego szyfru dałoby rozwiązanie w postaci przekazu albo tajemnej wiedzy.

W średniowieczu ta ostatnia idea została rozciągnięta na całą Torę. Wysiłki złamania tego kodu mają związek z kabałą, tajemną nauką żydowską. W myśli kabalistycznej połączone zostały także dwie legendy, tak że ustna Tora została zaszyfrowana w Torze spisanej; w związku z tym istnieją właściwie dwie wersje Tory w jednej – podobnie jak w wyobrażeniach o podwójnej religii: egzoterycznej, zewnętrznej, i ezoterycznej, wewnętrznej. W ten sposób powstała wersja, w którą później chętnie wierzono, że pierwotna mądrość Boga przechowana została w egipskich wielkich misteriach, ukryta w religijnym prawie żydowskim i przekazana dalej.

Odrzucając różnorodność bogów i zawierając przymierze między ludem a jego Bogiem, zabraniając oddawania czci i akceptacji innych bogów, Mojżesz zdefiniował „właściwą” religię. Była to religia opierająca się już nie na działaniu na świecie wielu bogów, lecz na objawieniu jednego Boga. Czczenie innych bogów, łamanie prawa Bożego stawało się grzechem i zasługiwało na karę. Bóg Mojżesza był przy tym Bogiem „zazdrosnym”, który nie znosił nikogo obok siebie. Jego władza wykluczała ludowe obyczaje, magiczne praktyki oraz wyobrażenia kosmoteistyczne i panteistyczne.

Nie da się jednak zadekretować, że nagle przestaną istnieć takie zjawiska jak ludowa pobożność, wiara w magię, w duchy, w ożywienie natury organicznej i nieorganicznej, w konkretne miejsca itp. Racjonalizm w religii jest tylko klasowym prymusem, który nie patrzy, co robią pozostali uczniowie.

Większą część akcji w Starym Testamencie stanowią powtarzające się wciąż na nowo odstępstwa Hebrajczyków od Boga i kary, jakie zagniewany Bóg na nich nakłada. Jahwe wciąż przemawia zatwardziałemu ludowi do sumienia przez mężczyzn zwanych prorokami. Niestali lud skłania się wciąż ku innym bóstwom: raz czci Baala, innym razem wierzy we wróżkę z Endor (1 Sm 28) czy podobne postaci z wcześniejszych religii. Te religie są nadal żywe: albo wnikają w judaizm – jak widać na przykładzie teologii świątyni – albo bytują z dala od wszelkich centrów lub w ogóle w ukryciu. Ojczyzną Jezusa była Galilea – pasek lądu, by tak rzec, na skraju imperium, który był podejrzany dla arcykapłana, ponieważ był siedliskiem pogan, czarowników i heretyków, którzy uprawiali tam swój nieczny proceder. Do dziś jeszcze istnieje pewna wspólnota religijna Samarytan, w której przetrwały starsze formy kultu, na przykład składanie ofiar.

Rozróżnienie religii właściwej i niewłaściwej, czyli fałszywej, prowadziło do nietolerancji, prześladowania starszych albo heretyckich treści i form wiary, które wykształciły sobie inne formy przetrwania. Dystynkcja Mojżeszowa prowadziła do wykluczenia, przeto wykształcały się tajemne religie, albo egzystujące obok wyznań monoteistycznych, albo skrywające się w nich samych. Raz dokonana dystynkcja sama z siebie wywoływała kolejne zdarzenia, jak oczko w pończosze, które samo dalej „leci”. Do tajemnych religii, obok idei kosmoteistycznych i pogańskich, dołączyły teraz nagle także idee monoteistyczne, które nie mieściły się w oficjalnym ujęciu i popadały w konflikty z możliwymi swoich Kościołów, kapłanami, instytucjami i kolegami uczonych w prawie – i ostatecznie były uznawane za heretyckie. Od tego momentu tajemne religie znajdowały pożywkę nie tylko w źródłach pogańskich, ale i heretyckich. Ortodoksja zrodziła herezję.

Jak bardzo po dziś dzień utrzymało się wyobrażenie Mojżesza i wielkich misteriów, jak bardzo jest wciąż żywe i nadal oddziałuje, można poznać po tajnym związku, który wykształcił własną religię, a mianowicie „Starożytny i Pierwotny Ryt Memphis-Misraim”, przy czym hebrajskie słowo *misraim* oznacza Egipt.

Najpierw jednak ludzi przed dwoma tysiącami lat – obok chrześcijaństwa i jako jego konkurencja – urzekać miały religie, których znakiem firmowym była tajemnica, misterium właśnie. Dzisiaj traktuje się je wszystkie wspólnie, obejmując nazwą religii misteryjnych.

Nagle i tajemniczo niczym Atlantyda znikł z powierzchni ziemi Achet-Aton, gdyż kapłani obalili tę religię słońca, a władzę przejęła nowa dynastia zwana Ramessydami. Jak potężny i brutalny był przełom Echnatona, który rozniecił ogień rewolucji, można się domyślić, kiedy człowiek wyobrazi sobie, że faraon nie tylko przeciwstawił się bogom, nie tylko rządził wbrew nim, co było równoznaczne ze swego rodzaju samobójstwem królestwa, ale w ogóle „zniósł” zarówno ich, bogów, jak i ich kapłanów, by na ich miejscu osadzić boga całego królestwa, Atona – jednego boga.

Z powodu tego karygodnego czynu król Echnaton skazany został na całkowitą niepamięć, *damnatio memoriae*. Jego imię zostało wymazane z papyrusów, jego wizerunki zniszczono. Nic, absolutnie nic nie mogło przypominać o faraonie heretyku. Miał popaść w zupełne zapomnienie, gdyż naprawdę umiera tylko ten, o kim nikt już nie myśli. W historii mamy dość przykładów obalonych albo zmarłych władców, których demaskowali i demonizowali ich następcy, ale nawet najgorsze wspomnienie jest formą pamięci,

przetrwania w czasie. Natomiast *damnatio memoriae* – praktykowali je również Rzymianie – oznacza całkowite wymazanie z pamięci świata, tak jakby ta osoba nigdy nie istniała.

Co jednak na świecie istniało, nie da się całkowicie zniszczyć; usuwanie także pozostawia ślady, choćby w postaci cieńszych miejsc na papierze. A zatem mimo prób całkowitego wymazania pamięci o Echnatonie wiemy dziś, że nic nie ma dłuższego żywota niż wieść, pogłoska, fama. Będziemy obserwowali, jak źle widziane i prześladowane przez władców oraz przywódców religijnych ruchy i koncepcje przechowują się na przestrzeni dziejów dosłownie jak w zamkniętej kapsule, trwają w postaci tajemnych religii albo tajemnych objawień, a nieraz nawet powracają.

To z tego materiału ulepiony jest Bóg, z napięcia między małymi a wielkimi misteriami. Czy jest on jednak nieruchomym Poruszycielem, jak nazywał go Arystoteles, czy Stworzycielem, czy Bogiem Prapoczątku, czy jest ukryty, odległy, czy obcy, czy wydał swego Syna, by odkupił winy świata, żeby w postaci ucieleśnionego Słowa stworzyć żywy pomost między człowiekiem a Bogiem – na te pytania otrzymujemy różne odpowiedzi.

We wszystkich koncepcjach wspólny jest brak imienia Bożego. Operujemy wprawdzie imionami, którymi go nazywamy, ale nie znamy tego właściwego imienia, ponieważ Bóg przekracza możliwości naszej wyobraźni i naszych wyobrażeń.

Prawdziwe imię Boże nie określa jego płci, gdyż Bóg nie jest ani rodzaju męskiego, ani żeńskiego; w tajemnych religiach karierę zrobiła koncepcja androginiczności. Poszukiwanie elementu androginicznego stało się ważnym czynnikiem tajemnych religii.

Wiadomo, że Bóg jest pozbawiony cech płci albo że jest ponadpłciowy. Z tego względu wielki i pełen niebezpieczeństw dla religii świat ludzkiej seksualności wyraża się w wyobrażeniach wielkich bogiń matek, które po dziś dzień funkcjonują w religiach świata. Sposób traktowania tych bogiń bardziej niż wszystko inne zdradza nam, jak desperacko religie zwalczają w człowieku komponenty anarchistyczne, by regulować i trzymać pod kontrolą jego seksualność. Religie słusznie obawiają się seksualności, ponieważ w niej kotłują się przecież trudno poddawane kontroli atawistyczne popędy zwierzęcej egzystencji człowieka.

Zanim zajmiemy się boginiami matkami bogów, powinniśmy poświęcić nieco uwagi tajemnej religii gwiazd.

^[19] Cyt. za: Jan Assmann, *Ägyptische Hymnen und Gebete*, Zürich 1975, nr 147, wersy 27–28.

^[20] *Tekst Sarkofagów z początku II tysiąclecia*, cyt. za: Jan Assmann, *Theologie und Weisheit im Alten Ägypten*. München 2005, s. 16 ff.

^[21] *Was ist Gott? Das Buch der 24 Philosophen*, München 2011, s. 67.

^[22] *Problematyka dystynkcji możeszowej stanowi temat wielu publikacji niemieckiego egiptologa Jana Assmanna*, np. *Moses, der Ägypter. Entzifferung einer Gedächtnisspur*, München, Wien 1998, *Die Mosaische Unterscheidung oder der Preis des Monotheismus*, München, Wien 2003, w których autor rzetelnie i zajmująco traktuje tę materię. W rozważaniach na temat dystynkcji możeszowej czerpię podwójnie z przedstawionych przez Assmanna tez i wniosków, gdyż albo je relacjonuję (kiedy się z nimi zgadzam), albo podejmuję z nimi dyskusję.

^[23] *Religii stworzonej przez Mojżesza istnienie zawdzięczają judaizm, chrześcijaństwo oraz islam, który z kolei czerpie z judaizmu i chrześcijaństwa, gdyż Mahomet jest przecież tylko ostatnim z proroków.*

^[24] *Te daty są niepewne, w chronologii Egiptu istnieją różne propozycje datowania tego panowania. Ponieważ jednak różnice w nich nie przekraczają 10 lat, są z naszego punktu widzenia nieistotne.*

^[25] *Króla zaczęto nazywać faraonem dopiero w okresie Nowego Państwa, a więc ok. 1500 r. p.n.e.*

^[26] *Jestem całkowicie świadomy faktu, że w obliczu tak długich (trzy i pół tysiąca lat) dziejów myśli religijnej w starożytnym Egipcie nadzwyczaj nieroztropne jest mówienie o jakiejś konkretnej religii egipskiej. Nie tylko dlatego, że ta myśl ulegała przemianom, ale i dlatego, że na przestrzeni tego czasu działały różne szkoły teologiczne, związane z miejscem, w którym się znajdowały, i rozwijające różnorodne, często odległe od siebie teologie. Najbardziej znane i najskuteczniejsze były szkoły w Memfis, Hermopolis, Heliopolis i Tebach (Luksorze). Ponieważ jednak ta książka zajmuje się badaniem tajemnych religii, a staroegipskie wyobrażenia służą mi tylko o tyle, o ile stanowią punkt wyjścia albo odniesienia dla*

innych tendencji w dziejach, pozwalam sobie na to wielkie uogólnienie. Gdybym chciał w tym kontekście uwzględniać wszelkie zróżnicowania, rozbudowałbym te rozważania wszcz, a nie w głąb.

^[27] *Aton oznacza właściwie tarczę słoneczną, a zatem formę lub manifestację, w jakiej ukazuje się ludziom bóg słońca. Jednakże w kulcie Echnatona Aton (jako „żyjący Aton”) coraz bardziej stawał się samym bogiem słońca.*

^[28] *Echnaton, Pieśń słońca, tłum. Tadeusz Andrzejewski, [w:] Tadeusz Andrzejewski, Dusze boga Re, Warszawa 1967, s. 165.*

^[29] *Kwiatki św. Franciszka, tłum. Leopold Staff, Warszawa 2000, s. 13.*

^[30] *Ten faraon pierwotnie nazywał się Tutanchaton, od boga Atona, ale później zmienił imię na Tutanchamon (od boga Amona), aby imieniem władcy nawiązać do zmiany religii i podkreślić ten fakt.*

^[31] *Baruch Spinoza, Etyka, cz. IV, Warszawa 2010.*

^[32] *Na ten temat por. Klaus-Rüdiger Mai, Der Vatikan. Geschichte einer Weltmacht in Zwielficht, Bergisch Gladbach 2008, s. 79 ff.*

^[33] *Tamże.*

^[34] *Cyt. za: Jan Assmann, Theologie und Weisheit im alten Ägypten, München 2005, s. 56.*

^[35] *Tamże, s. 84 f.*

^[36] *Jan Assmann, Die Mosaische Unterscheidung oder der Preis des Monotheismus, München 2003, s. 86 f.*

^[37] *Na ten temat por. Klaus-Rüdiger Mai, Geheimbünde. Mythos. Macht und Wirklichkeit, Bergisch Gladbach 2006.*

^[38] *Klemens Aleksandryjski, Koberce zapisków filozoficznych dotyczących prawdziwej wiedzy, przeł. Janina Niemirska-Pliszczyńska, Warszawa 1994, ks. V, rozdz. XI.*

^[39] *Cyt. za: Jan Assmann, Moses, der Ägypter, München, Wien 1994, s. 141.*

[40] Cyt. za: *Friedrich Schiller, Dzieła wybrane, tłum. Z. Bieńkowski, Warszawa 1985.*

[41] *Tamże.*

[42] *Staroegipski Hymn do Amona, cyt. za: Jan Assmann, Theologie und Weisheit im alten Ägypten, München 2005, s. 58.*

[43] Cyt. za: *Jan Assmann, Tod und Jenseits im Alten Ägypten, München 2003, s. 271; tegoż, Religionsphilosophische Schriften, Düsseldorf/Zürich 2003, s. 149.*

[44] *Giovanni Pico della Mirandola, Kommentar zu einem Lied der Liebe, Hrsg. v. Thorsten Bürklin, Hamburg 2001, s. 233 ff.*

[45] *Was ist Gott?, Das Buch der 24 Philosophen, tłum. i komentarz Kurt Flasch, München 2011, teza XXI.*

[46] *Klemens Aleksandryjski, Koberce zapisków filozoficznych dotyczących prawdziwej wiedzy, przeł. Janina Niemirska-Pliszczyńska, Warszawa 1994, ks. V, rozdz. XI, 71, s. 58–59.*

[47] *W credo znajdują się słowa: „Wierzę w Ducha Świętego, święty Kościół powszechny, świętych obcowanie...”.*

[48] *Klemens Aleksandryjski, Koberce zapisków filozoficznych dotyczących prawdziwej wiedzy, przeł. Janina Niemirska-Pliszczyńska, Warszawa 1994, t. 1, s. 10.*

[49] *O zakonie iluminatów por. Klaus-Rüdiger Mai, Geheimbünde. Mythos. Macht und Wirklichkeit, Bergisch Gladbach 2006, s. 184 ff; Hermann Schüttler, Die Mitglieder der Illuminatenordens: 1776-1787/93, München 1994.*

Książka dla none none

WIECZNA PRAWDA GWIAZD

I chroń mnie przed wszelkim fatum gwiazd,

jakie ma mnie spotkać, oddal mój niesprzyjający Los.

8. Księga Mojżeszowa

Z wpływem gwiazd na nasze przeznaczenie konfrontują nas nie tylko wszechobecne w naszej codzienności horoskopy. Swoją gwiazdę zna każdy nawet najbardziej świątły człowiek. Nie można uznać, że to tylko przesady. Założenie, że los człowieka jest zapisany w gwiazdach, jest absolutnie prawdziwe. Zaraz się przekonamy w związku z czym.

Człowiek spogląda w górę nie tylko dlatego, że jest to odruch fizjologiczny, ale również dlatego, że to z góry przychodzi światło, ciepło i deszcz, ale także grad, błyski i grzmoty. Spojrzenie skierowane ku górze gubi się w niezmiernych przestrzeniach, nieograniczanych żadną przeszkodą: żadnym drzewem, żadną górą. Można to porównać najwyżej z morzem, ono jednakże nie ma tej bezgraniczności nieba, bo spojrzenie zatrzymuje się na horyzoncie. Nie mniej istotne jest to, że człowiek wiąże podział czasu z przemiennością jasnego nieba za dnia i ciemnego nocą. Powstaje czas, który oznacza zawsze uporządkowaną i ograniczoną wieczność. Nie zapominajmy również, jak niesamowity widok stanowią księżyc i gwiazdy.

Umiejętności odczuwania takich widoków jako wspaniałych i wzniosłych nie można objaśnić banalnym stwierdzeniem, że jesteśmy ludźmi i potrafimy myśleć. Immanuel Kant, filozof, definiował to odczuwanie wzniosłości jako zdolność podziwiania czegoś, co nas bezpośrednio nie interesuje, czytaj: w czym nie mamy interesu, w czym nie upatrujemy własnych korzyści. Według niego piękne jest to, co się nam bezinteresownie podoba.

Jednakże wiara w gwiazdy łączy się przede wszystkim z bezpośrednim zainteresowaniem, z poczuciem, że oto stoimy wobec czegoś większego niż my sami. Ten opis zbliża nas do tego, co boskie. W jaki sposób doszło do tego, że gwiazdy cieszą się tak wielkim uznaniem?

Na ludzi dawnego świata blask nieba działał wielokrotnie mocniej, niż oddziałuje dziś na nas, my bowiem nie potrafimy już wyobrazić sobie prawdziwej ciemności, w której jaśnieją tylko światła nieba. Ciemności dzisiejszego świata w mniejszym czy większym stopniu zawsze rozpraszają pierwotne lub wtórne źródła światła, nawet wtedy, kiedy księżyc i gwiazdy kryją się za grubą warstwą chmur. Współczesny człowiek nie zna czerni ciemności dawnego świata – dzisiaj mrok rozświetlają wyświetlacze telefonów komórkowych, migocące światła dużych miast, światła samochodów i tysiące źródeł światła naszego nowoczesnego świata.

Tymczasem to właśnie ta głęboka ciemność, której dziś można doświadczyć jeszcze tylko na pustyni, stanowi właściwą scenę, na której swe wielkie role odgrywają księżyc i gwiazdy. Świadomość tego, jak intensywnie różni się królestwo dnia od królestwa nocy, możemy zyskać tylko o świtaniu, kiedy na niebie pojawia się jutrzienka.

Słońce, księżyc i gwiazdy pozwalały ludziom odmierzać czas i od zawsze pomagały im orientować się w terenie. Tak więc w całej Europie znajdują się wielkie rondle – od bułgarskiej miejscowości Drama przez niemiecki Goseck po walijski Stonehenge – zbudowane ze skał (jak Stonehenge) albo z drewna jako *woodhenge*^[50], które liczą do 7 tysięcy lat. Część ich kultowej funkcji polegała na tym, że umożliwiały obserwację słońca i księżyca i odtwarzały regularnie powtarzające się konstelacje światła i cienia. Chodziło przede wszystkim o wyznaczenie dni zasiewów. Nie było jeszcze kalendarza, ludzie potrafili odróżniać tylko dni ciepłe i zimne. Jeśli któregoś roku ludzi zwiódło kilka ciepłych dni w lutym, zasiali wcześniej ziarno, które następnie zmarzło w ziemi, wówczas nie mieli plonów i zagrażał im głód. Ustalenie pory zasiewu było zatem kwestią decydującą o życiu i przetrwaniu. Termin ten niezawodnie wyznaczano w oparciu o datę równonocy wiosennej i jesiennej (ekwinokcji). Owe kręgi megalityczne pozwalały na czynienie takich ustaleń i odwzorowywanie ich w postaci imponującej gry światła i cienia. Ludzie żyli uzależnieni od tych wydarzeń, dlatego oddawali im religijną cześć i traktowali jak bóstwa. Jeśli nie czuli się jeszcze zależni od gwiazd, to z pewnością byli uzależnieni od księżyca i słońca.

Obserwowanie nieba jest bardzo dawnym doświadczeniem człowieka, które datuje się najpóźniej na przejście od mezolitycznego zbieractwa i łowiectwa do neolitycznej uprawy zbóż i hodowli zwierząt, czyli jakieś 10 tysięcy lat temu. Pewne poszlaki wskazują jednak, że owa przygoda ludzi z teatrem nieba rozpoczęła się znacznie wcześniej oraz że gwiazdy – szczególnie Plejady – pomagały ludziom (zwłaszcza szamanom) w orientacji w czasie i przestrzeni.

W odniesieniu do wielkich obszarów przedhistorycznych zdani jednak jesteśmy na interpretacje artefaktów, budowli i śladów po budowlach, a więc na mniej lub bardziej uzasadnione przypuszczenia. Bardzo wątpliwe, czy tak podziwiany i być może nieco nadinterpretowany dysk z Nebry istotnie zdradza tak wiele o kosmologicznych wyobrażeniach tamtego czasu. Chińczycy nazywali Gwiazdę Polarną gwoździem nieba i wyobrażali sobie świat jako rodzaj plecaka zawieszzonego na tym gwoździu. Ta gwiazda stanowiła dla nich główny punkt orientacyjny i centrum, od którego wszystko zależy.

NIEBO NAD TYGRYSEM I EUFRATEM

Przez całą noc modląc się, patrzy w niebo,

wtem słyszy z góry głos boży

z ciemnej szaty nocnego nieba.

Tak poznaje cały nieprzemijający ruch Wszechświata.

Faraon Nechepso

Wynalazcami tajemnej religii gwiazd są dla nas Babilończycy – to oni odkryli niebo jako system w pewien sposób uporządkowany. Mieli również wszelkie powody, by obserwować niebo, gdyż zamieszkiwali teren aluwialny, na którym nie istniało nic trwałego – wszystko było przejściowe, wydane na zamulenie, wypłukanie i zasypanie czy rozwianie.

Na południu znajdował się bezgranicznie wielki Ocean Indyjski, nanoszący urodzajną ziemię. Kiedy regularnie wylewały Tygrys i Eufrat, roznosiły po całym dorzeczu żyzny muł, z którego tworzyła się urodzajna gleba. Upał wysuszał jednak ziemię, którą później wiatry rozwiewały jako pył. Wiecznym zmianom opierały się jedynie budowle wzniesione przez ludzi. Zalania spowodowane były nie tylko przez wylewające rzeki, lecz także przez wysoki poziom wód gruntowych, które wybijały z ziemi.

Aby móc żyć w tym miejscu, ludzie byli zmuszeni odwadniać i nawadniać te tereny, budowali więc systemy kanałów, o które następnie trzeba było dbać i utrzymywać je w dobrym stanie. Babiloński bóg urodzaju i wegetacji Ningirsu opiekował się nie tylko polami i urodzajem, ale także kanałami. Skoncentrowanie w rękach jednego boga najważniejszych aspektów życia unaocznia związek wszystkich tych elementów i ich znaczenie dla życia w tamtym regionie.

Kanały były i nadal są krwiobiegiem kraju – nic zatem dziwnego, że poświęcano im tyle uwagi. Ich budowa oraz utrzymanie wymuszały organizację typu państwowego, bez której nie sposób byłoby właściwie podołać takiemu wyzwaniu. Tymczasem uprawa roli przynosiła plony, co prowadziło do różnicowania i hierarchizowania się społeczności. Wykształciła się kasta kapłanów, odpowiedzialna ostatecznie za utrzymanie życia na ziemi w harmonii z niebem. Zadaniem kapłanów było wcześniejsze określanie pory zasiewu i zbiorów oraz zapowiadanie pory wylewu i suszy. Obserwacja nieba była zatem ich obowiązkiem o niezwykłym znaczeniu. Cierpliwe i staranne obserwowanie nieba doprowadziło Babilończyków do wniosku, że zmianom podlegają nie tylko księżyc i słońce, ale także planety i gwiazdy stałe. Decydujące odkrycie polegało jednak na tym, że te zmiany zachodzą ze ścisłą regularnością, którą można obserwować, a potem przepowiadać. Terminy astronomicznych zmian można było obliczać – Babilończycy wynaleźli więc równocześnie matematykę.

Wszystkie swoje obserwacje czytelnie zapisywali. Pierwszą gwiazdą, na którą zwrócili uwagę, była Wenus, ukazująca się zarówno wieczorem, jak i rano. Następnie odkryli Syriusza, Psią Gwiazdę. Ponieważ Syriusz pojawiał się na niebie w lipcu i sierpniu, w najgorętszej porze roku, kiedy panowały upał, susza i doskwierała gorączka epidemiczna, Rzymianie nazwali ten czas kanikułą. To oni łączyli też Psią Gwiazdę z największymi nieszczęściami; u schyłku średniowiecza w ludowych wierzeniach w Europie Syriusza zaczęto traktować jako gwiazdę zwiastującą nieszczęście. Nasza kanikuła (psie dni) nie ma nic wspólnego z psami, które w tym czasie zieją z wywieszonymi ozorami i wiedą prawdziwie psi żywot, lecz z pojawieniem się Psiej Gwiazdy zapowiadającej wielkie upały. Dla starożytnych Egipcjan pojawienie się tej gwiazdy oznaczało początek wylewu Nilu, który nanosił na pola uprawne bogaty w składniki odżywcze muł.

W ten sposób słońce, księżyc i gwiazdy ustalały rytm życia na Ziemi, a tym samym decydowały o losie ludzi, wyznaczając niezawodne daty całej organizacji życia, która wymagała podziału czasu. Podział czasu jest bowiem najważniejszym warunkiem wszelkiego planowania, czy chodzi o uprawę roli, utrzymanie kanałów czy zamysły budowlane. Aby wszyscy przestrzegali ustalonego porządku, musi on

być uświęcony i legitymizowany. My także to robimy.

Obserwacje astronomiczne wymagają mitu, by mogła powstać religia nadająca światu jakiś ład. Oto równanie, tyle proste, co rozjaśniające:

1. Życie ludzi zależy od bogów, od których wszystko zależy: za ich sprawą wszystko rośnie, powstaje, ale także przemija, aby mogło powstać nowe.

2. Życie ludzi zależy od słońca, księżyca i gwiazd, które decydują o porze zasiewów, zbiorów, o pogodzie i wylewach rzek.

3. A zatem zarówno bogowie, jak i gwiazdy wywierają decydujący wpływ na życie ludzi.

Jeśli równanie to jest poprawnie skonstruowane, rodzi się pytanie, czy istnieje jakiś związek między bogami i gwiazdami.

We wszystkich wyobrażeniach kosmogonicznych – zaczynając od starożytnych Egipcjan, przez Żydów i gnostyków aż po współczesnych fizyków – zawsze przed istniejącym obecnie światem istniał (albo uważa się, że istniał) jakiś inny świat. Grecy nazywali to, co istniało, zanim powstał świat – Chaosem, Egipcjanie „czasem przed pierwszym razem”, a Żydzi „Tohuwabohu”.

Według prastarych wyobrażeń babilońskich przed światem nie istniało nic poza praoceanem. Ziemia i niebo nie były jeszcze od siebie oddzielone, podobnie jak lądy i morza – współczesna fizyka zna ten stan jako formę istnienia materii przed wielkim wybuchem. Tę samą koncepcję przyjmowali starożytni Egipcjanie (Atum przebywał w praoceanie) oraz Żydzi (w Biblii Duch unosi się nad wodami). Przez Stary Testament wizja ta przeniknęła do chrześcijaństwa.

Czy może być przypadkiem, że zarówno współczesna fizyka, jak i kosmogonia egipska, babilońska oraz Biblia – a także wszystkie właściwie mity o stworzeniu świata – opisują ten sam pierwotny stan?

Należy tu podnieść pewną osobliwość Babilończyków: przed powstaniem świata nie tylko ziemia nie była oddzielona od nieba, ale także słone wody mórz od wód słodkich. Tę osobliwość wyjaśniają bezpośrednio doświadczenia Babilończyków z morzem i obfitymi wodami gruntowymi, które musiały im się jawić jako swoisty ocean. Ilekroć bowiem kopali w ziemi, by budować kanały, za każdym razem natykali się na wodę. Konsekwencją tego było wyobrażenie, że

mają pod sobą jeden wielki słodkowodny ocean, a przed oczami słońce morze. Babilończycy wierzyli, że żyją na cienkiej warstwie ziemi, na takiej ziemskiej podszewie i że stale są w niebezpieczeństwie.

W czasie przed stworzeniem istniało według nich miasto zamieszkane przez mityczne stwory. Ponieważ nie było jeszcze nieba, które było rodzaju męskiego, ani ziemi, której przypisywano atrybuty żeńskie, nie istniały góra ani dół, istoty te pozostawały nierozdzielone i były dwurodzajowe, męsko-żeńskie. Nazywano je PANPANIZIEMIA, PANPANIGÓRA, PANPANIHORYZONT, PANPANIPOWIETRZE i tak dalej.

Koncepcja nieba jako tworu rodzaju męskiego i ziemi jako elementu żeńskiego widoczna jest również w chińskim języku pisanym na oznaczenie deszczu. „Deszcz” oznacza tam bowiem „deszcz podniecenia” – wyraźna jest tu analogia deszczu dającego życie na ziemi do zapłodnienia kobiety nasieniem mężczyzny. Jeszcze dziś mówimy o „matce Ziemi”, natomiast „ojca Niebo” dawno zapomnieliśmy, ponieważ wchłonęły go słowa chrześcijańskiej modlitwy „Ojcze nasz, któryś jest w niebie”.

Kosmos babiloński powstał z trzech światów: nieba, ziemi i podziemia. Niebo zamieszkiwali bogowie Igigi, ziemię – ludzie i demony, a podziemie bogowie Anunnakki. W babilońskich mitach o stworzeniu świata nowi bogowie po stworzeniu kosmosu nie mogli ścierpieć współistnienia z prastarymi istotami i przepędzili je do podziemia, gdzie odtąd miały strzec siedmiu bram pałacu zaświatów – do znaczenia liczby „7” jeszcze powrócimy. Pomijamy tu stworzenie kosmosu i związane z nim walki bogów, które same wypełniłyby oddzielną książkę.

Dla naszych rozważań istotny jest fakt, że ziemia rozumiana była jako coś niższego, jako odpowiednik wyższego – czyli nieba. Wywodzi się z tego przekonanie, że to, co dzieje się na dole, na ziemi, ma swój początek w niebie, albo że dół jest tylko odpowiednikiem góry.

Kosmos oznacza ład. Już z samego tego terminu wynika, że wcześniej istniało coś, co należało uporządkować i ułożyć po kolei, żeby ten ład mógł powstać.

Ład oznacza życie. Człowiek, który zarzuca wszelki ład – umiera. Nawet dzikie gęsi przestrzegają porządku, kiedy punktualnie rozpoczynają swą zwykłą podróż zawsze tą samą trasą. Części tego ładu człowiek nauczył się od zwierząt,

kiedy za nimi podążał. Ludzie wywyższali zwierzęta, w których widzieli swoich przodków, a szaman, który w podróży w zaświaty udawał się do zwierzęcych bogów, by z jednej strony odkupić (konieczny) mord na zwierzętach, a z drugiej dowiedzieć się czegoś o ich drogach, prowadził ludzi swego plemienia przez czas i przestrzeń. W tamtej wczesnej fazie ludzie postrzegali zwierzęta jako braci i składali je w ofierze jako zadośćuczynienie za krzywdę, jaką im wyrządzali i którą jako taką odczuwali.

Zgodnie z babilońskim widzeniem świata niebo składało się początkowo z trzech, a potem z siedmiu sfer. Zbudowane było ze skał – to wyobrażenie miało przetrwać aż do czasu misteriów ku czci Mitry. Niebo opierało się na niebiańskim oceanie otaczającym świat. Na wschodzie znajdowała się góra wschodu słońca, na zachodzie – góra zachodu słońca. Z obserwacji wschodów i zachodów słońca wzięły swój początek strony świata, odpowiadające podstawowym kierunkom, w jakich poruszał się człowiek: do przodu, do tyłu, w lewo, w prawo. Były identyczne z zenitem, nadirem – punktem południa i północy. Tym samym tworzyły przestrzeń, w której mógł się orientować człowiek, a ta przestrzeń odpowiadała przestrzeni nieba, bo przecież słońce dzień w dzień odbywało podróż po niebie.

Z tych podstawowych wyobrażeń uformowały się później elementy teologiczne, które wyznaczały m.in. kierunki modlitwy. Do czasów nowożytnych ołtarz kościołów chrześcijańskich umieszczany był zazwyczaj po wschodniej stronie, dopiero później w architekturze sakralnej nie przestrzegano tak ściśle orientacji wschód–zachód. W czasach wczesnego Kościoła Jezus Chrystus był utożsamiany z Sol Invictus, niepokonanym bogiem słońca, a w niektórych teologiach i liturgiach porównywany ze słońcem (światło stanowi jeden z atrybutów Boga). Z tego względu logiczne było ustawianie ołtarza z krzyżem, znakiem Jezusa Chrystusa, w kierunku wschodnim i modlenie się w kierunku wschodzącego słońca i padającego na ludzi światła. W *Pieśni słonecznej* świętego Franciszka odniesienie do światła jest niezwykle wyraźne. W rytuałach wczesnego Kościoła i w średniowieczu przyjmujący chrzest wyrzekał się szatana zwrócony ku zachodowi, a credo wypowiadał ku wschodowi.

Wschód jest tak widoczny, ponieważ nie został przejęty ani przez żydów, ani przez muzułmanów – ci pierwsi modlą się zwróceniem w kierunku Jerozolimy, ci drudzy – w kierunku Mekki. Oś wschód–zachód odgrywała natomiast istotną rolę u rzymskich augurów, odczytujących swe wróżby z lotu ptaków.

Augur kreślił na ziemi kwadrat, który nazywał świątynią, *templum*. Zaczynał

od linii prowadzącej z północy na południe, którą pod kątem prostym przecinała druga linia. Wreszcie stawał sam z twarzą zwróconą na południe: jeśli ptak pojawił się z lewej strony, a więc od wschodu, oznaczało to szczęście; jeśli przybył ze strony zachodniej, trzeba było się liczyć z nieszczęściem.

Ta podstawowa zasada była później oczywiście udoskonalana. Wschód i zachód zyskały w buddyzmie szczególne znaczenie. Na wschodzie mieszka Maitreya, Budda wschodniego kraju, przychodzący i zbawczy Budda, a na zachodzie Budda Amithaba. Dla starożytnych Egipcjan zachodni kraj to była kraina śmierci.

ODKRYCIE CZASU

Obserwacja i logiczne wnioski z widocznych zjawisk już u Babilończyków prowadziły do przekonania, że Słońce kręci się wokół Ziemi. Na własne oczy można się było przecież przekonać, że słońce wschodzi z jednej strony, zachodzi z drugiej, a w ciągu dnia wędruje po niebie. W ten sposób powstał obraz świata, zwany później systemem Ptolemeusza, w którym Ziemia tworzy centrum wszechświata; system ten przetrwał do XVII wieku. Kiedy Kopernik wystąpił z twierdzeniem, że to Ziemia wiruje wokół Słońca, obrócił się przeciwko temu nie tylko Kościół katolicki, ale i Marcin Luter. W złości na astronoma powoływał się nawet na Biblię: „Ten głupiec chce wyrzucić całą astronomię do góry nogami, a przecież Pismo Święte mówi nam, że Jozue wezwał słońce, by się zatrzymało, a nie ziemię!”^[51].

Początkowo przy systemie ptolemejskim pozostała także większość astronomów i astrologów – nie bez powodu, gdyż okazał się on bardziej precyzyjny niż system kopernikański w praktyce, w tworzeniu horoskopów i innych obliczeniach; w każdym razie było tak do początku XVII wieku, kiedy Johannes Kepler stwierdził, że Ziemia nie porusza się wokół Słońca po okręgu, lecz po elipsie.

Nasz dzisiejszy obraz świata opiera się na wiedzy o trzech różnych obrotach: obrocie Ziemi wokół własnej osi, obrocie Ziemi wokół Słońca oraz obrocie Księżyca wokół Ziemi. Dawniej ludzie tłumaczyli przemienność dnia i nocy oraz przemienność pór roku tylko dwoma rodzajami obrotów: codziennego obrotu strefy gwiazd stałych oraz rotacji Słońca i planet wokół Ziemi.

Babilończycy jako pierwsi zdołali obliczyć okresy widzialności i niewidoczności Wenus, długość dnia i nocy, pory wschodów i zachodów

księżycu.

Zmienność pór roku tłumaczyli obrotem Słońca wokół Ziemi. Niebo miało według nich kształt kuli. W czerwcu słońce stało w zenicie, we wrześniu dochodziło do równika nieba, w grudniu – do nadiru, a w marcu ponownie do równika. Orbitę Słońca nazywano ekliptyką, co można przetłumaczyć jako „drogę” albo „ulicę zaćmienia”. Księżyc i planety podążały za Słońcem, a zatem odbywały tę samą drogę.

Słońce odpowiadało w pierwszej kolejności za przestrzeń, natomiast księżyc za czas. To on był właściwym „urządzeniem” pomiaru czasu, ponieważ zachodzą w nim regularnie te same zmiany. Między pełnią księżycu a nowiem upływa dokładnie miesiąc, trzydzieści dni^[52]. Można mu było zaufać. Ponieważ zaś czas jest źródłem wszystkich rzeczy, to słońce nazywano w mitologii babilońskiej synem księżycu.

Wszystko zatem wypływa z księżycu, i to z niego bierze początek wszelki czas. Rodzi się więc przypuszczenie, że religia księżycu jest starsza niż religia słońca, która zdaje się bardziej klasyczna i zapewne również później praktykowana. W czasie znacznie poprzedzającym odkrycia Babilonii Pan Czasu uważany był za Pana Świata. Kto panował nad czasem, ten rządził wszystkim i wszystkimi, światem i ludźmi.

Góra Świata, leżąca pośrodku oceanu, była podzielona na cztery sektory, odpowiadające czterem wielkim krainom: Amuru, Subartu, Akkad i Elam. Ocean wód słonych był połączony z oceanem wód gruntowych. Specjalista od starożytności Orientu Volkert Haas pisze^[53], że później zdefiniowane zostało siedem stopni (albo sektorów) ziemi. Między ziemią a światem podziemnym – również siedmiostopniowym – w którym rezydowała bogini Ereszkigal, leżał Apsu, pałac potężnego boga urodzaju Enki. Enki był bogiem tajemnicy, urodzaju, magii i mądrości. Jego rezydencję budowało siedmiu mędrców. Apsu oznaczał jednocześnie ocean wód gruntowych (słodkich) i boga tego oceanu. Zanim Enki pobił władcę Apsu i wziął w posiadanie jego rezydencję, ocean wód słonych (Tiamat) i ocean wód gruntowych (Apsu) stanowiły jedność. Bogini Tiamat była małżonką Apsu i występuje w mitologii babilońskiej w postaci węża lub smoka, w każdym razie okropnego potwora. W babilońskim Talmudzie Żydów znajduje się zawołane odniesienie do tego wyobrażenia, że istniały istoty wód gruntowych i węzowate stwory wód słonych. Takie wyobrażenie, niemal jako apokryficzny przekaz, Żydzi zabrali ze sobą z wygnania babilońskiego.

Tu żyły mitologiczne postaci półzwierząt, które tak obrazowo przedstawia *Epos o Gilgameszu*^[54], tu rosła „roślina wiecznego życia”, po którą nurkuje Gilgamesz. W jednym z najpiękniejszych i najbardziej przejmujących ustępów tego wspaniałego poematu jego tytułowy bohater zostaje śmiertelnie ranny z powodu wiedzy o skończoności ludzkiego życia. Jest świadkiem choroby swego przyjaciela Enkidu, którego pielęgnuje i nie oddaje po śmierci pochówkowi, choć jego ciało ulega rozkładowi. To jest dokładnie ten punkt, w którym – patrząc psychologicznie – rodzi się religia.

Mój przyjaciel, którego bardzo kochałem

i który ze mną przez wszystkie trudy szedł,

Enkidu, którego bardzo kochałem

i który ze mną przez wszystkie trudy szedł,

jego dosięgło przeznaczenie ludzkości.

Sześć dni i siedem nocy płakałem po nim,

nie pozwalałem go pochować,

aż mu robak wyszedł z nosa.

Odtąd boję się śmierci i biegam po stepie,

sprawa z moim przyjacielem ciąży mi bardzo!

[...]

Mój przyjaciel, którego tak bardzo kochałem, stał się gliną.

[...]

Czyż ja nie będę jak on, leżał

bez wstawania, całą wieczność^[55].

W oceanie wód gruntowych Gilgamesz zanurza się w poszukiwaniu „rośliny

wiecznego życia”, ścina ją, zabiera ze sobą na powierzchnię i powraca z nią do swego rodzinnego miasta Uruk. Po drodze wąż Tiamat rabuje mu jednak roślinę, pozostawiając tylko zrzuconą starą skórę. Choć był już bardzo blisko celu, Gilgameszowi nie udało się przynieść ludziom wiecznego życia. W Biblii to również wąż jest winny, że człowiek zostaje wypędzony z raju i zarazem pozbawiony udziału w życiu wiecznym.

Mitologia i religia babilońska wyraźnie pokazują, jak ważne były dla tego ludu daty suszy i wylewów, od których zależało jego życie. Zależało ono także od bogów, odpowiedzialnych za obszary związane z wodą. Oczywisty i wyraźnie widoczny jest ścisły związek między wodami gruntowymi a urodzajem, symbolizowanym przez boga Enki, żyjącego w praoceanie Apsu.

Z wodami gruntowymi ludzie mieli stały kontakt – już kiedy chcieli zbudować dom i zaczęli kopać w ziemi, natrafiali na wodę, a więc na królestwo boga Enki. Ponieważ te spotkania kryły w sobie niebezpieczeństwa, przed każdą czynnością należało błagać bóstwo o pomyślne zakończenie. Jest całkowicie zrozumiałe, dlaczego Babilończycy tak dokładnie obserwowali niebo. Nie byli przecież tak naiwni, by utożsamiać gwiazdy z bóstwami. Ich kalkulacja była znacznie bardziej wyrafinowana i zrodziła religię gwiazd.

Według Babilończyków gwiazdziste niebo zostało stworzone z niebieskiego jaspisu i jest najniższym spośród siedmiu nieb. Gwiazdom oddawali cześć jako dziełom stworzonym przez Marduka, głównego boga mitologii babilońskiej. Marduk został spółdzony w mrokach przedczasu przez Enki i Apsu. W pewnym momencie nakreślił na niebie wizerunki bogów i w ten sposób stworzył gwiazdy. Ewidentny jest zatem związek między oceanem wód gruntowych i jego panem, stwórcą życia Enki, który również spółdził Marduka.

Gwiazdy były dla Babilończyków symbolami bogów, co ma duże znaczenie dla rozwoju astrologii i astronomii. Modelem stały się tu złożone z siedmiu gwiazd Plejady, przedstawiane przez nich i czczone jako symbol siedmiu bogów.

Równie ważny i brzemienny w skutki był fakt, że Babilończycy już w okresie antycznym (zgodnie z jego kryteriami) uchodzili za lud zabobonny. Uważali bowiem, że wszelkie nieszczęścia, jakie ich spotykają, wszelkie choroby, jakie mogą na nich spaść, są dziełem wszechobecnych demonów, które jak karaluchy wypełzają z każdej szpary, by wnikać w człowieka. Ból zębów objaśniano na przykład w ten sposób, że bogowie stworzyli robaka, któremu nie przypisali konkretnego miejsca i pożywienia. Kiedy robak skarżył się gwałtownie

na swój los, bogowie postanowili zlitować się nad nim, a wówczas robak poprosił ich, by pozwolili mu osiąść w dziąsłach człowieka, gdzie będzie mógł ssać dziąsła i żywić się ludzką krwią. Babilończycy znali w związku z tym czarodziejskie zaklęcie przeciwko bólowi zębów, którego zakończenie brzmiało:

„Podnieś mnie i pozwól mi

zamieszkać między zębami i szczęką!

Krew z zęba pozwól mi smoktać!

I korzeń zęba dziąsłom pozwól mi pożreć!”

„Włóż kołek i chwyć podstawę!

Ponieważ to powiedziałaś, robaku,

Niech Ea uderzy cię swoją mocną ręką!”^[56]

Na podłożu tych zabobonów w Babilonii rozkwitły magiczne praktyki o tak bogatej formie, jakiej poza tym nigdzie w świecie antycznym nie było. Kwitnącą gałęzią przemysłu stało się wytwarzanie magicznych amuletów, stosowanie zaklęć i czarów odwracających nieszczęście oraz interpretowanie pojawiających się znaków i omenów. Nie bez kozery nazwa jednego z ludów babilońskich, Chaldeczyków, była początkowo synonimem wszystkich Babilończyków, by później, jeszcze na długo, hen poza średniowiecze, stać się określeniem magów, astrologów i czarowników.

Jeśli zatem człowiek zależy od bogów, a gwiazdy są symbolami czy też znakami bogów, nasuwa się przypuszczenie, że w gwiazdach kryją się również omeny, wskazówki bogów, a nawet wiadomości od nich, odnoszące się albo do właściwego przebiegu jakiegoś zamierzenia, albo do przyszłości – i należy je tylko odczytać. Wszystko zależało więc od odczytania woli bogów z gwiazd. Astrologia powstała jako nauka, która ma odszyfrowywać tajemne przekazy bogów, dlatego początkowo powierzono ją pieczy kapłanów, którzy z racji swego zawodu mieli do czynienia zarówno z bogami, jak i z gwiazdami.

W świecie, w którym nic nie było pewne, a życiu ludzkiemu ustawicznie zagrażały ataki demonów lub złych kobiet z gór, tłumaczenie dobrych lub złych znaków rozwinęło się szybko jako pewna forma przewycięzania, a raczej

oswajania przyszłości. Zagrożające nieszczęście należało najpierw odczytać z gwiazd, a tym samym (być może) mu zapobiec; podobnie można było pomagać szczęściu.

Kiedy królowi przepowiadano nieszczęście, to w jednej chwili osadzano na tronie jakiegoś króla w zastępstwie, aby to jego ono dotknęło. Ów zastępczy król oczywiście nie sprawował rzeczywistej władzy, lecz był władcą tylko rytualnym, na którego głowę miało spaść nieszczęście. Jeśli nie umarł ze strachu, przejęcia albo po prostu przez nieszczęśliwy przypadek, to na koniec i tak szedł na stracenie.

Jednakże aby móc podejmować takie i inne środki zaradcze, należało wiedzieć, co niesie ze sobą czas. Zaćmienia słońca i księżyca, które Babilończycy potrafili przewidywać, uważane były za wyraźny omen. Przedsięwzięcie wyprawy w dniu zaćmienia księżyca oznaczało krok równy zbiorowemu samobójstwu – a dzień w kalendarzu babilońskim trwał od jednego zachodu słońca do następnego. Podobnie jak Karol Marks uznał, że odkrył analogiczne do praw natury prawa dotyczące formacji społecznych, tak Babilończycy przenieśli w astrologii obserwacje świata natury na społeczeństwo i historię. Marksowi umożliwiła to dialektyka jako metoda, a Babilończykom – astrologia.

Obliczenia związane z gwiazdami wymagały narzędzi: matematyki, czyli systemu liczbowego, który pozwalał wykonywać podstawowe operacje. Ludy dawnego Środkowego i Bliskiego Wschodu podziwiała Babilończyków za ich zdolności matematyczne, których ukoronowaniem było stworzenie dobrze funkcjonującego systemu liczbowego. Sześćdziesiąty system liczbowy umożliwiał obliczenia astronomiczne.

Nie zapominajmy, że myślenie naukowe jeszcze przez długi czas związane było z myśleniem religijnym, a operacje matematyczne uważano za tłumaczenie spraw związanych ze światem rządzonym przez bogów. Grecki filozof Pitagoras miał się uczyć właśnie od Babilończyków, a następnie zdefiniować matematykę jako naukę boskiej harmonii. Wyobrażenie matematyki jako mowy bogów jest przyczyną tego, że w swej abstrakcyjności nie jest zrozumiała dla wszystkich. Wiadomości i przekazy bogów nie były przecież przeznaczone dla każdego, lecz dla elity złożonej z kapłanów, filozofów, matematyków, czarnoksiężników – jednym słowem dla wybrańców. Takie właśnie były początki matematyki jako tajemnego języka bogów.

Do oznaczenia na niebie drogi słońca lub księżyca Babilończycy stworzyli sobie punkty orientacyjne, łącząc najbardziej widoczne gwiazdy w gwiazdozbiory.

Ten sposób oznaczania nieba eksportowali następnie na cały basen Morza Śródziemnego i na cały świat Bliskiego Wschodu. Te same nazwy gwiazdozbiorów znajdujemy u Egipcjan, Hindusów, Rzymian i Greków. Babiloński rok rozpoczynał się w dniu wiosennej równonocy, co było stosunkowo łatwe do zaobserwowania. Podział roku dokonywał się sam, gdyż w ciągu roku miało miejsce dwanaście cykli księżyca. Kiedy mijał cykl dwunasty, rozpoczynał się nowy rok.

Miesiąc rozpoczynał się nowim, pojawieniem się sierpa księżyca po pełni. Odliczano trzydzieści dni, ale co trzy lata doliczano miesiąc przestępny, przy czym cykle przestępne były zmienne. Babilończycy byli jednak w stanie określać również czas w ciągu doby, a ich rachuba była znacznie bardziej precyzyjna niż znany i popularny wówczas zegar wodny. Ustanowili jednostkę czasu, którą określali jako „czuwanie”. Dzień i noc liczyły po trzy takie „czuwania”, z których każde odpowiadało mniej więcej dzisiejszym czterem godzinom. Mieli wprowadzić niejakie problemy z różną długością dnia w różnych porach roku, toteż dla większej dokładności astrologowie i astronomowie przyjmowali za podstawę dwanaście jednakowej długości jednostek, liczących po dwie godziny. Te dwugodzinne całości dzielili z kolei na trzydzieści mniejszych jednostek, po mniej więcej cztery minuty każda. W ciągu dnia czas odmierzano przy pomocy słońca, nocą – gwiazd.

Gdy poznano regularność zjawisk na niebie, można ją było wykorzystywać jako schemat mierzenia czasu. W tym celu konieczne było ciągle obserwowanie i dokładne zapisywanie, prowadzone przez specjalnie do tego utrzymywanych ludzi. Do takich zadań mogli być wykorzystywani wyłącznie kapłani. Sprawy nieba były bowiem jednocześnie sprawami bogów, a same znaki stanowiły również omen dla ludzkiego życia. Tak jak bogowie wyznaczali odpowiednią porę zasiewów, tak też wskazywali właściwy moment na wyprawę wojenną; jak przepowiadali wylew rzeki, tak określali najlepszy czas rozpoczęcia budowy kanału.

GWIAZDY – WYŚLANNICY BOGÓW

Planetom przypisywano bogów, którym były poświęcone. Babilończycy znali siedmiu bogów planet: Szamasza (Słońce), Sin (Księżyc), Isztar (Wenus), Nebo (Merkury), Nergal (Mars), Marduk (Jowisz) i Ninurta (Saturn).

Tak oto od czasów babilońskich siedem dni tygodnia poświęconych jest kolejnym bogom planet. Niedziela jest dniem czci boga Słońca (*Sonntag* – Sonne), poniedziałek – boga Księżyca (*Montag* – Mond), wtorek – boga Marsa, jednakże

w germańskiej wersji *Tyr* albo *Ziu*, z czego historia języka stworzyła angielską formę *tuesday* i niemiecką *Dienstag*.

Środa jest w języku angielskim (*wednesday*) tłumaczeniem dnia boga Merkurego (łac. *dies mercuri*, franc. *mercredi*), „dnem Wodana”. Tylko w Niemczech i językach słowiańskich misjonarze chrześcijańscy zdołali wyprzeć pogańskie wpływy, nazywając ten dzień środkiem tygodnia (niem. *Mittwoch*, pol. *środa*, ros. *среда*). W kręgu Kościoła chrześcijańskiego środa uważana była zresztą za dzień nieszczęścia, ponieważ właśnie w tym dniu Judasz Iskariota zdradził Jezusa. W Kościele prawosławnym środa była z tego względu dniem postu. Poza tym dawniej był to dzień cichych ślubów, kiedy dziewczyna ciesząca się złą sławą wychodziła potajemnie i w ciszy za mąż.

Ponieważ Jowisza w mitologii germańskiej utożsamiano z władającym piorunami Donarem, przeto kolejnym dniem był po niemiecku *Donnerstag*, Wenus zaś stała się w tej nomenklaturze *Freya*, która patronowała piątkowi (niem. *Freitag*, ang. *friday*). Sobota odnosi się do Saturna jedynie w angielskim *saturday*, natomiast niemieczka odwołuje się do żydowskiego szabatu (*Samstag*) albo do zachodu słońca (*Sonnabend*), gdyż germański dzień rozpoczynał się wieczorem. Pojęcie wieczoru jako początku dnia słońca rozciągało się stopniowo na cały dzień, czego pozostałością jest niemiecka nazwa Wigilii (*Heiligabend*), oznaczająca cały dzień 24 grudnia.

Siedem sfer niebieskich, siedmiu bogów planet, siedem dni tygodnia – rzecz by można, że Babilończycy byli opętani siódmką. Volkert Haas łączy szczególne znaczenie religijne i mityczne liczby siedem z fazami księżyca, które „spowodowały siedmiodniowe cykle w podziale czasu. Okres siedmiu dni traktowany był jako pełnia w znaczeniu pełnego cyklu”^[57].

Książka na temat wszystkich odniesień liczby siedem byłaby opasłym tomiszczem. Babilończycy znali siedem złych demonów i siedmiu dobrych bogów, mówiąc więc w skrócie, były dobre siódemki i siódemki złe. Demony Złej Siódemki – Asakku, Namtaru, Utukku, Alu, Etemmu, Gallu, Ilu – uważane były również za demony wiatru, które posiadały jeszcze zdolność wywoływania zaćmienia księżyca. „To one są grubymi chmurami nieba, które mają wywoływać ciemność nieba”^[58]. W tym babilońskim zaklęciu zaćmienia księżyca bogu Ea udaje się uwolnić boga księżyca Sin z opresji, czyli z ciemności.

Na temat siódemki i jej szczególnego znaczenia w myśli ludzkiej istnieje wiele różnych teorii. Istotną rolę odgrywa zapewne fakt, że człowiek posiada

siedem zmysłów, mianowicie wzroku, smaku, słuchu, powonienia, dotyku i orientacji oraz równowagi. Do czasu odkrycia Urana (1781), Neptuna (1846) i Plutona (1930) od czasów babilońskich było też siedmiu bogów planet: Księżycy, Słońca, Merkurego, Wenus, Marsa, Jowisza, Saturna.

W świecie babilońskim nie istniała liczba częściej używana ani równie ważna jak siódemka. Miała ona swe miejsce również w życiu codziennym. Na przykład przed rozpoczęciem czarów do boga słońca, by odwrócił zły omen, czarodziejka kładła w prezencie dla Szamasza siedem ziaren zboża i siedem kosztowności.

Znaczenie liczby siedem jest po prostu imponujące. Jest siedem dni tygodnia, siedem mórz i baśń o siedmiu krasnoludkach (którzy swoje istnienie zawdzięczają wydobywcom miedzi w epoce brązu), a pośrodku żeńskie bóstwo o cechach matki, mieszkające w głębi ziemi, w górze, które chrześcijaństwo z upływem czasu przekształciło w dziewicę, pojawiającą się na kartach baśni braci Grimm.

Pierwotne znaczenie sięga jednak znacznie dalej czasowo, do najgłębszych warstw religijnych boga (lub bogini) księżycy, do faz księżycy, które dają znowu po siedem dni w każdej fazie. Nawet związek między życiem, dojrzewaniem i śmiercią symbolizuje trzydzieści dni: bóg księżycy urodził się jako Nów, rośnie jako półksiężyc, a dojrzałość i doskonałość zyskuje, kiedy jest pełnia. Potem znowu znika lub – jak w wierzeniach babilońskich – umiera, by znów się narodzić. Ta trójkowa konstelacja (nów – półksiężyc – pełnia) odzwierciedla wielki zamknięty cykl natury.

W teologii koło stało się ostatecznie obrazem doskonałości. Życie nie jest spiralą, nie chodzi w nim o zmiany, lecz o obieg, cykl, o wieczny nawrót tego samego, co śmiertelnego człowieka podnosi i uwiecznia dzięki temu, że odmładza się on w nieskończonym ruchu po okręgu. Obserwacja i interpretacja gwiazd tylko wtedy ma zresztą sens, jeśli się zakłada, że wszystko się wiecznie odtwarza i powtarza. Nie sposób bowiem przepowiadać czegoś, co się ustawicznie zmienia.

Babilończycy stworzyli podstawy, na których tajemnicza siódemka nabrała wielkiego znaczenia w kulturze europejskiej. Zapewne nie odnotowaliby jednak tak wielkiego sukcesu, gdyby powód tej akceptacji nie znajdował się w samych gwiazdach.

Już od najdawniejszych czasów jeden gwiazdozbiór interesował ludzi

w sposób szczególny: Plejady – pierwszy i być może najważniejszy ze wszystkich gwiazdozbiorów. Jego najpierwsze obrazowe przedstawienie zawdzięczamy Babilończykom. Używana dziś grecka nazwa Plejady pochodzi od Plejone, córki Okeanosa i boginki morskiej Tetydy. Plejone była małżonką tytana Atlasa, a siedem swoich córek mogła uratować tylko w ten sposób, że zamieniła je w gwiazdy.

W dawnych źródłach mezopotamskich Plejady przedstawiane były jako siedem punktów albo symbolicznie, w postaci rozety. W Uruku dobrze znano bogów tej siedmiogwiazdnej gromady i oddawano im cześć. W *Eposie o Gilgameszu* czytamy:

Boginie Plejad strażniczkami twojej pomyślności

bym uczynił^[59].

Tak stały się Plejady strażnikami i opiekunami ludzi. Dzięki okresom, w których ten gwiazdozbiór był widoczny lub niewidoczny, można było określać ważne dla upraw daty. Grek Hezjod potwierdza to znaczenie Plejad w swoim dziele *Prace i dni*:

Kiedy na niebie wschodzi gwiazdozbiór Plejad, cór Atlasa,

zaczynaj żniwa, zaś orania czas nastaje, gdy zachodzą;

Czterdzieści nocy i dni czterdzieści razem na niebie są^[60].

Liczba czterdzieści powraca w Biblii – czterdzieści dni trwa potop, czterdzieści dni spędza Mojżesz na górze Horeb, gdzie Bóg dyktuje mu przykazania, później Jezus przebywa czterdzieści dni na pustyni, poszcząc i opierając się szatanowi. Czterdzieści dni świecą Plejady.

Babilończycy, którzy prowadzili dokładne obserwacje i zapisywali, co się dzieje na niebie, obok tego zaczęli zapisywać również najważniejsze wydarzenia ze swojego życia. Najstarszy wpis z babilońskiej księgi obserwacji astronomicznej pochodzi z 568 roku p.n.e. i brzmi: „Trzydziesty siódmy rok, kiedy Nabuchodonozor jest królem Babilonu, miesiąc pierwszy (uwaga wyd.: pierwszy dzień miesiąca był identyczny z dniem trzydziestym miesiąca poprzedniego). Księżyc był widoczny za Bykiem (od zachodu Słońca do zachodu Księżyca)... Saturn był przed Jaskółką. Drugi dzień miesiąca, rano na zachodzie rozpostarła się

tęcza. Nocą trzeciego dnia miesiąca Księżyc był dwa łokcie przed..., padało. Noc z dziewiątego dnia miesiąca (błąd: z ósmego), Księżyc stał jeden łokieć przed Panną^[61]. We wpisie numer 78 obok dat astronomicznych jak wyżej: „...słyszałem, że w [prowincji] między rzekami zmarł król Antiochus^[62]. W innym wpisie umieszczona była wiadomość o bardzo dużej tęczy: „W Hirtu w prowincji Sippur walczyły przeciwko sobie oddziały Babilończyków i Asyryjczyków i wojownicy babilońscy wycofali się i zostali ciężko pobici^[63]”.

Pierwsze kroniki powstały zatem jako dzienniki gwiazdowe. Interesujące jest w tym wszystkim, że dzięki połączeniu wydarzenia niebieskiego z ludzkim powstał również związek między wydarzeniem na niebie z wydarzeniem na ziemi. Początkowo astronomowie szukali w gwiazdach znaków, które albo będą zwiastowały jakieś wydarzenia, albo zdradzą właściwe lub niewłaściwe terminy planowanych wydarzeń – na przykład zaćmienie księżyca. Następnie zaczęli przyporządkowywać konkretnym konstelacjom gwiazd ludzkie losy i wysnuwać z nich dotyczące ich przepowiednie.

W ten sposób w Babilonie około VI wieku p.n.e. powstały pierwsze horoskopy, odnotowujące układ gwiazd w chwili narodzin człowieka, z czego wynikały oczywiście pewne konsekwencje. Horoskopy nie ograniczyły się do analizy gwiazd w dniu urodzenia, lecz rozciągały się na całe życie człowieka i na jego działalność. Przed ważnymi decyzjami i wydarzeniami ludzie zasięgaliby rady zapisanej w gwiazdach. Raz wynaleziony, system ten funkcjonował coraz lepiej i z biegiem czasu został doprowadzony do perfekcji.

Gwiazdy wskazywały człowiekowi nie tylko właściwą orientację w przestrzeni geograficznej, wyznaczały drogę, lecz pomagały mu też w działaniu. Podobnie jak na pełnym morzu żeglarz ustalał kurs i pozycję na podstawie konstelacji gwiazd, tak astrolog mógł prowadzić człowieka przez zawirowania losu i niesprawiedliwość wrogich sił.

Do ubiegłego stulecia astrologia wskazywała też psychologii drogę do mikrokosmosu ludzkiej duszy. Psychoanalitycy tacy jak Carl Gustav Jung okazywali respekt astrologii i gwiazdom, ponieważ stare przekonanie, że los człowieka został w gwiazdach zapisany, do dziś wykazuje niezwykłą żywotność. Każdy sam decyduje, czy nazwie to religią, tajemną religią, zabobonem czy nauką.

Katolicki wódz Albrecht von Wallenstein zatrudniał w każdym razie włoskiego astrologa, którego pytał o radę przed podjęciem ważnych decyzji. Elżbieta I Tudor nakazała sławnemu uczonemu i okultyście sir Johnowi Dee, by

obliczył najlepszy termin koronacji. Nawet do religii chrześcijańskiej głęboko wniknęła wiara w gwiazdy, to tajemne dziedzictwo świata pogańskiego. Nadal można było argumentować, że gwiazdy przekazują wolę i rady Boga. Jednego Boga, a nie wielu bogów.

Wszystkie religie, „zwykłe” i tajemne, przejęły i wykorzystują te wczesne kosmogoniczne wyobrażenia związane z astrologią i znaczeniem liczb 3, 7, 12, 36 i 40.

^[50] *O kultowej funkcji rondeli por. Klaus-Rüdiger Mai, Die Bronzehändler. Eine Hochkultur in Mitteleuropa, Frankfurt am Main 2006.*

^[51] *Luter odwołuje się tu do miejsca w Biblii, w którym czytamy:*

W dniu, w którym Pan podał Amorytów w moc Izraelitów, rzekł Jozue w obecności Izraelitów:

»Stań, słońce, nad Gibeonem!

I ty, księżycu, nad doliną Ajjalonu!«

I zatrzymało się słońce,

i stanął księżyc,

aż pomścił się lud nad wrogami swymi. (Joz 10, 12–13)

^[52] *Trzydziestodniowy miesiąc stanowił także dla Babilończyków problem miesiący mających 29 dni. Rozwiązali go, wprowadzając miesiąc przestępny.*

^[53] *Por. Volkert Haas, Magie und Mythen in Babylonien. Von Dämonen, Hexen und Verschwörungspiestern, Merlins Bibliothek der geheimen Wissenschaften und magischen Künste, t. 8, Gifkendorf 1986.*

^[54] *Epos o Gilgameszu, tłum. Krystyna Łyczkowska, Piotr Puchta, Magdalena Kapeluś, Warszawa 2002.*

^[55] *Tamże, s. 48.*

^[56] *Zakłęcie przeciwko robakowi, cyt. za: Bogdan Wiktor Matysiak, „Forum Teologiczne” XIV, 2013, tekst na podstawie Hugo Gressman, Altorientalische Texte zum Alten Testament, Berlin–Leipzig 1926, s. 133 n.*

^[57] *Volkert Haas, Magie und Mythen in Babylonien. Von Dämonen, Hexen und Beschwörungspriestern, Gitkendorf 1986, s. 133 f.*

^[58] *Tamże, s. 134.*

^[59] *Epos o Gilgameszu, tłum. Krystyna Łyczkowska, Piotr Puchta, Magdalena Kapeluś, Warszawa 2002.*

^[60] *Hezjod, Prace i dnie, tłum. W. Steffen, Wrocław 1952, s. 22–23.*

^[61] *Abraham Sachs, Hermann Hunger, Astronomical Diaries and Related Texts from Babylon I, Diaries from 625 BC. to 262 BC, Wien 1988, s. 47, nr 567.*

^[62] *Tamże, s. 331.*

^[63] *Tamże, s. 45, nr 651.*

Książka dla none none

**STARZY BOGOWIE
POZOSTAJĄ MŁODZI**

BOGINIE MATKI I KULTY MISTERYJNE

...Wam ich znać nie dano,

nam też nieswojo bogiń wspomnieć miano.

Johann Wolfgang Goethe, Faust II, 1 (tłum. Adam Pomorski)

Związki historyczne przedstawiają się klarownie, kiedy sprawy porównywalnej wagi rozgrywają się w tym samym miejscu. Jeszcze bardziej oczywiste wydają się wówczas, gdy dotyczą tych samych osób. Teraz zajmiemy się właśnie takim przypadkiem, kiedy chodzi o to samo miejsce i pokrewieństwo głównych bohaterów. Ta historia prowadzi nas do ukrytych źródeł chrześcijaństwa, do miejsca, gdzie bogini została ochrzczona i stała się chrześcijanką.

Efez był kwitnącą i dobrze prosperującą stolicą rzymskiej prowincji Azji; według antycznych kryteriów był miastem dużym i do tego jednym z najważniejszych w całym imperium. Miasto słynęło od najdawniejszych czasów z tego, że pewnego dnia miał tam spaść z nieba wizerunek przedstawiający boginię Artemidę. Bogini opiekowała się nie tylko łowami, o czym zazwyczaj pamiętamy, ale też kobietami i dziećmi; do zakresu jej obowiązków należała również płodność. Z tego powodu nieraz uważano ją za równą Herze, żonie Zeusa i patronce rodziny oraz ogniska domowego.

Etruskowie nazywali Artemidę Artumes, Rzymianie – Dianą, Hellenowie widzieli w niej Selene, boginię księżyca, według innych źródeł kojarzono ją z Izydą. Łączyły się w niej atrybuty bogini matki i bogini płodności. Efezjanie wybudowali jej wielką świątynię, zaliczaną w antyku do siedmiu cudów świata. Prowadzili też dochodowy handel figurami Artemidy, podobnymi do drewnianego posążka bogini, który miał spaść z nieba. Figurka ta przedstawia kobietę, której górna część ciała ozdobiona jest jajowatymi tworami, w których jedni chcą widzieć piersi, inni jądra byka.

Obie interpretacje są w pewien sposób sensowne, ponieważ wielość piersi wskazuje na Magna Mater, natomiast jądra byka pochodzą z mitu o rzecznej bogini Nanie, która poczęła swego syna Attisa, ponieważ zawiesiła sobie ucięte jądra obojnaka Agdistisa. Z miłości do Kybele Attis się wykastrował, a potem

wykrwawił. Kapłani Artemidy byli eunuchami, podobnie jak kapłani Kybele. Rytualna autokastracja stanowiła warunek święceń kapłańskich.

Trzecie przypuszczenie głosi, że chodzi o oba te atrybuty równocześnie: i o piersi, i o jądra. Przy całym respekcie dla próby kompromisu, takie rozumowanie wydaje się prowadzić *ad absurdum*. Cóż by to mieli być bowiem za wierni, z których jedni czciliby u swojej bogini biust, a drudzy jądra? Symbole religijne są jednoznaczne; w tym przypadku mamy zbyt mało danych, by wyciągać jakiegokolwiek poprawne wnioski.

Cesarz Julian Apostata, panujący w latach 360–363 n.e., był ostatnim władcą rzymskim, który próbował się odwoływać do tradycji Rzymu i wprowadzać pogańskich bogów. To on powiedział: „...Dziewica bez matki, towarzysza Zeusa na tronie, prawdziwa matka wszystkich bogów”^[64].

Efez był w każdym razie miastem Artemidy, tymczasem to akurat tam miał początek kult Matki Boskiej.

Najpierw do miasta w latach 50. I wieku n.e. zawitał apostoł Paweł. Głosił nowinę Jezusa Chrystusa i odrzucał wszelkie pogańskie kultury bogów i oddawanie czci bożkom. Zupełnie zrozumiałe, że wielu Efezjan bardzo to gniewało. W końcu kult Artemidy stanowił podstawę ich życia, zaczynając od produkcji i sprzedaży wizerunków bogini, na turystyce pielgrzymkowej kończąc, które były źródłem bogactwa miasta. Atak na kult Artemidy stanowił zatem zagrożenie dla życia miasta – wystarczy wyobrazić sobie dzisiejszą Mekkę bez tłumów pielgrzymów albo Salzburg pozbawiony festiwalu. Nic więc dziwnego, że w Efezie apostoł został przez rozsierdzonych mieszkańców niemal zlinczowany. Kochali swoją boginię, która zapewniała im tak duże dochody.

Jedna z legend powiada, że matka Jezusa Maryja udała się do Efezu wraz z Janem Ewangelistą, tym uczniem, „którego miłował Jezus” (J 21, 20) – że tam spędziła ostatnie lata życia i stamtąd została wzięta do nieba.

Po Artemidzie Efez gościł zatem drugą szczególną niewiastę, która – choć nie była boginią – to była matką Boga. Stwarzało to korzystne warunki do przeniesienia atrybutów Artemidy na Maryję. To wszystko stanowi jednak prehistorię, gdyż nie istniał wtedy jeszcze powód takiego transferu świętości.

Kiedy jednak chrześcijaństwo awansowało do roli religii państwowej i zaczęło prześladować i rugować pogańskie formy, nagle wykształciła się potrzeba

religijna, nieposiadająca żadnego oparcia osobowego. W chrześcijaństwie, definiowanym jako męskie (Bóg Ojciec), tęsknota za boginią matką poszukiwała nowego obiektu. Bardzo rozpowszechnionym błędem jest mniemanie, że wraz z dawnymi religiami zanikły także związane z nimi uczucia i potrzeby religijne, które znajdowały w nich środek wyrazu albo sens. Osiągnięto tylko tyle, że teraz te religijne tęsknoty nie miały żadnego punktu zaczepienia.

W roku 431 n.e. na soborze w Efezie (pośród zażartych walk młodego Kościoła) ogłoszono, że Maryję należy nazywać *theotokos*, czyli Bogarodzicą^[65], Bożą Rodzicielką. Nie boginią matką wprawdzie, ale przecież matką Boga. Tym samym wytyczony został główny kierunek, gdyż serce wierzącego nie dokonywałoby tak ostrego rozróżnienia między boginią matką a matką Bożą, jak to uczynił teologiczny duch zdominowany przez mężczyzn.

W rzeczywistości najsilniejsze impulsy do czci Dziewicy Maryi płynęły nie z uczonej teologii, tylko z ludowej pobożności. Inaczej nie można wyjaśnić wzrastającej roli, jaką Maryja jako Matka Boża i Królowa Nieba odgrywa w chrześcijaństwie. Dzieje się tak zresztą nie tylko w chrześcijaństwie, ale także w islamie, gdzie Matka Boska otaczana jest szczególną czcią. Muzułmanie nazywają ją Marjam; jest ona jedyną kobietą wspomnianą po imieniu w Koranie, a sura 19. została nawet nazwana jej imieniem. Można naturalnie zstąpić głębiej w historię żeńskich bóstw, ponieważ dzieje bogiń matek nie zaczynają się ani z Artemidą, ani z Kybele, ale wtedy znajdziemy się w epoce przedpiśmiennej i będziemy zdani jedynie na spekulacje. Jedną z niemal nierozwiązywalnych i historycznie spornych kwestii jest pytanie, czy ludzkość żyła kiedykolwiek w matriarchacie, ponieważ nie istnieją na to żadne dowody, które wytrzymałyby próbę krytyki^[66]. Z drugiej strony przekonująco mówią o tym takie przekazy, jak choćby mit o Amazonkach, wojowniczym plemieniu kobiet. Czy jednak, mówiąc skrótowo, Wenus z Willendorfu i opowieść o Amazonkach są artefaktami lub przekazami dawnych matriarchalnych społeczności, czy tylko projekcjami głębokich lęków kastracyjnych – tego w niniejszej książce rozważać nie będziemy.

Zupełnie niezależnie od tej spornej kwestii możemy stwierdzić, że historia zna istotnie boginie matki czczone jako najwyższe istoty w boskiej hierarchii. Ich dziedzictwo oddziałuje (nawet w najsilniej patriarchalnym religijnym ujęciu) bardzo mocno i zarazem potajemnie, równie trwale co skrycie – działa nieprzerwanie jako witalny, choć podziemny nurt naszej kultury. Może dylemat: patriarchat czy matriarchat, jest tematem zastępczym, podtrzymywanym przez ideologów, ale jak wszystkie ideologie, skonstruowane tylko dla celów władzy, mijającym się ze społeczną rzeczywistością.

ILE TWARZY MA DZIEWICA MARYJA?

Czy Bóg ma matkę?

...Nie nazywajmy Maryi Bogarodzicielką,

byśmy nie ulegli pokusie

uczynienia z niej bogini, a z siebie nie uczynili pogan.

Nestoriusz, patriarcha Konstantynopola

Pierwsza i najdobitniejsza wskazówka dotycząca utajonych bogiń matek znajduje się w chrześcijaństwie – czy to nie dziwne? – i dotyczy postaci samej Matki Boskiej. Oficjalnie Maryja jest Dziewicą, Matką Bożą, Królową Nieba, bezgrzeszną i najbardziej wpływową orędowniczką ludzi u Boga. A im dokładniej przyglądamy się Dziewicy Maryi, tym bardziej staje się interesująca i różnorodna.

Na obrazach przedstawiających Sąd Ostateczny często spotykamy postać Maryi w pobliżu Syna, niemal na tej samej wysokości co on, Sędzia Świata – wygląda tam niby jakiś pomocnik albo doradca. W każdym razie układ całości mówi, że jej słowo ma wielką wagę. Jednakże jako Królowa Niebios, przedstawiana na sierpie księżycy czy w otoczeniu gwiazd, Maryja może być wszystkim, ale na pewno nie jest postacią ikonografii chrześcijańskiej. Sierp księżycy wskazywałby na Selene, boginię księżycy, którą z kolei łączono z Artemidą.

W czci jej oddawanej tak silnie utrzymały się wspomnienia dawnych bogiń, że nawet kardynał Joseph Ratzinger w jednym z wykładów poczuł się zmuszony do złożenia dementi w tej sprawie: „Tak, natomiast nikt się nie czuje zakłopotany, mówiąc o pozachrześcijańskiej proveniencji maryjności: że wywodzi się z mitów egipskich, z kultu Wielkiej Matki, z Diany z Efezu, która na tamtejszym soborze sama z siebie została Matką Boską...”^[67]. Nawet jeśli katolicki teolog i niedawny papież odrzuca tę linię tradycji, to jednak musi przyznać, że ona istnieje.

Podobnie jak nasze wyobrażenia Boga przeniknięte są silnymi podskórnymi nurtami pogańskimi, tak obraz Dziewicy Maryi naznaczony jest elementami pogańskimi. Przypomnijmy sobie św. Pawła, który pozostał kawalerem i wszystkim zalecał niewchodzenie w małżeństwo. W *Liście do Koryntian* mówi ponadto, że „...kobiety mają na tych zgromadzeniach milczeć; nie pozwala się im bowiem mówić, lecz mają być poddane, jak to Prawo nakazuje” (Kor 14, 34). Widać z tego wyraźnie, jak istotne było dla chrześcijaństwa, by ten ważny obszar życia – małżeństwo, rodzina, dzieci – był reprezentowany w wierze. Nie było stanowiska pani minister do spraw rodziny – i to miejsce zajęła Maryja. Maria Magdalena, druga ważna postać kobieca w chrześcijaństwie, nie nadawała się do tej roli ze względu na swą przeszłość. Do tego jeszcze dochodził fakt, że to kobiety najbardziej się angażowały w gminach i to one właściwie podtrzymywały wczesne chrześcijaństwo.

Podobieństwo dawnych bogiń płodności i bogiń matek do Maryi będzie szczególnie widoczne, gdy przejrzymy miejsca kultu.

W Rzymie etruscy budowniczości wzniesli w 24 roku p.n.e. Panteon poświęcony pogańskim bogom, wśród nich także Kybele. W 608 roku n.e. bizantyński cesarz Fokas podarował tę świątynię papieżowi Bonifacemu IV, a ten rok później poświęcił ją Dziewicy Maryi. Od tamtego czasu w budowlu nazwanej Santa Maria Rotonda cześć odbiera już nie Kybele, tylko Matka Boska.

W miejscu, w którym obecnie stoi Bazylika św. Piotra, w czasach przedchrystusowych odbywał się rytuał kastracji kapłanów Kybele, którzy przelewali swoją krew, adorując w ten sposób Magna Mater. W północnej Etiopii do dziś chrześcijanie obchodzą święto Maryi w ten sposób, że młode kobiety tańczą wokół kamiennego pierścienia, w którego centrum stoi czarny kamienny penis.

Ośrodek kultu maryjnego na Sycylii znajduje się w kościele Santa Maria dell'Assunta w Erice, położonym w bezpośrednim sąsiedztwie starej świątyni, poświęconej pierwotnie Inannie (Isztar), potem Afrodycie, a w końcu Wenus.

Jednakże nie tylko miejsca kultu mają teraz nowe patronki. Z dnia na dzień niemal zmieniano również święta ku czci pogańskich bogiń matek. Ze święta Ceres – rzymskiej bogini urodzaju (głównie zbóż), odpowiednika greckiej Demeter – w VII wieku uczyniono święto Matki Boskiej Gromniczej. Wyznawcy rzymskiej bogini ku jej czci chodzili 2 lutego z pochodniami po polach i prosili o bogate

zbiory z zasianych zbóż – natomiast chrześcijanie organizowali procesje światła ze świecami przez miasta, zamykając w ten sposób czas Bożego Narodzenia i jednocześnie najciemniejszą porę roku. Święto to nazywano także Oczyszczeniem Najświętszej Maryi Panny, ponieważ według prawa żydowskiego przez 40 dni po urodzeniu syna kobieta była nieczysta.

Teologowie katoliccy byli bardzo świadomi tej zbieżności. Wielki papież średniowiecza Innocenty III (1160–1216) opowiadał wiernym w Kościele o święcie Ceres, która z pochodniami szukała zaginionej córki Prozerpiny. Ponieważ nie udało się stłumić obchodów tego święta 2 lutego, nadano mu po prostu chrześcijańską treść.

Uosobienie chrześcijaństwa, teologia Maryi Dziewicy, nie jest w gruncie rzeczy pochodzenia chrześcijańskiego, lecz stanowi kamuflaż znacznie starszych kultów: kultu Wielkiej Bogini (Magna Mater), Inanny, Astarte, Demeter, Kybele oraz Ceres – wielkich chtonicznych, a więc ziemskich i podziemnych bogiń matek i bogiń płodności świata pogańskiego. Dwoistość tych chtonicznych bogiń, których miejscem działania jest ziemia (czy są to miejsca na ziemi, czy pod ziemią), polega na tym, że zawsze wiążą się z nimi narodziny, wzrost i śmierć.

Osoba Matki Boskiej pomogła chrześcijaństwu zaspokoić potrzebę istnienia bogini matki, bogini płodności, kobiety, do której kobiety będą mogły się zwracać w potrzebie. W ten sposób pogańska bogini matka została ochrzczona w Efezie. Wśród zachowanych do dzisiaj figurek Artemidy jest jedna w kolorze czarnym, a przecież w chrześcijaństwie również cześć odbierają Czarne Madonny.

Tylko częściowo prawdziwe jest stwierdzenie, że religie monoteistyczne, takie jak islam czy chrześcijaństwo, wykorzystują pogańskie zwyczaje i tradycje, wbudowując je we własną liturgię i święta, gdyż misje mogą być skuteczne jedynie wówczas, gdy na istniejące już zwyczaje i przyzwyczajenia nakłada się nowe treści. Rzeczywistość jest jednak o wiele bardziej złożona. Religie nie istnieją dlatego, że konkretni ludzie obiecują sobie po nich zwiększenie władzy, ale przede wszystkim dlatego, że istnieje wielka żywotna potrzeba religii. Fryderyk Engels uważał, że to praca stworzyła człowieka – ale być może prawdziwe jest zdanie, że to nie praca, a religia uczyniła człowieka człowiekiem. Te pierwotne potrzeby, trzymające się ściśle rytmu ludzkiego życia – od narodzin przez dojrzewanie, zawieranie małżeństw, płodzenie i wychowywanie dzieci, aż po choroby i śmierć – wyrażają się w systemach wierzeń, a może nawet stanowią powód tych wysiłków, tak że każda religia jest tworem rosnącym naturalnie, a nie czymś wymyślonym czy wyspekulowanym.

Obrazowo można powiedzieć, że dwie nanoszące namuł rzeki stworzyły Mezopotamię jako kraj. Tymi dwiema rzekami są Tygrys i Eufrat, dwie z czterech rzek, które według tradycji chrześcijańskiej biorą początek w raju. Owo Międzyrzecze było ruchome; kiedy nastawała upalna pora lata i nad krajem panowała wielka susza, jego ziemia zamieniała się w wyblakły żółty pył, którym kręcił przed sobą wiatr. Jedynym, co ostawało się z tego pyłu burz i namulów wylewowych, były olbrzymie kamienne budowle miast^[68]. Wszystko inne było pokrywane szlamem i rozdmuchiwane przez wiatr.

Z tego powodu pierwsi władcy wznosili swoje budowle na popiołach i ruinach poprzedników, tak że ich zikkuraty i pałace warstwa po warstwie i metr po metrze wyrastały coraz wyżej ku niebu. Dzięki górującym nad okolicą pałacom postrzegani byli rzeczywiście jako władcy tego kraju, rządzący tymi ludźmi, i wyróżniali się spośród otoczenia. W praktyce zyskiwali miejsce bliskie bogom, w każdym razie wysoko ponad ludźmi. Nie jest przypadkiem, że tysiące lat później najpotężniejszy papież średniowiecza, Innocenty III, powie o pozycji kapłanów, że jest niższa od Boga, ale znacznie przewyższa ludzi.

Świadomi swej władzy władcy babilońskich państw-miast spoglądali na Dwurzecze i ludzi w całym tego słowa znaczeniu z góry – ze swoich wzgórz, usypanych z ruin wcześniejszych kultur. Czuli się bliscy swemu bogu i uważali się za jego pierwsze sługi. Ten bóg przekazał im prawo, które można odczytać ze słynnej steli Hammurabiego, tak jak później Jahwe dał Mojżeszowi dekalog. Już tylko dlatego mieli wystarczające podstawy, by czuć się nie tak wielkimi jak Bóg, ale wiele większymi niż człowiek. Skoro oni już patrzyli na ludzi z góry niby na pracowite mrówki, to jak musiał to wszystko widzieć bóg? Ich pozycja, niezależnie od bliskości boga, opierała się na wysokim jak wieża tronie stojącym na wzgórzu, utworzonym przez ruiny dawnych światów i pałace poprzedników.

Pod tym względem władcy Mezopotamii byli bardzo podobni do wielkich religii: one również funkcjonowały w oparciu o nawarstwiający się wcześniej zwyczaj i tradycje, wykorzystywały wcześniejsze dziedzictwo. Gmach wiary powstawał na gruzach poprzedników i wykorzystywał wcześniejsze budowle albo ich pozostałości. Jeśli więc chcemy trafić na trop tajemnic, które do dziś kształtują naszą codzienność, to musimy się odważyć na sięgnięcie do najgłębszych warstw tej całości.

Jednym z najwcześniejszych i najlepiej udokumentowanych mitów bogini płodności jest mit o babilońskiej bogini Inannie, przez Hetytów zwanej Isztar. Stare

powiedzenie, że w miłości i na wojnie dozwolone są wszystkie środki, znajduje przekonującą postać w tej bogini, królowej nieba, gdyż Inanna jest równocześnie boginią miłości i wojny. Inanna wdziera się do podziemnego królestwa swej siostry Ereszkigal, pani zaświatów, by odebrać jej władzę. Przedsięwzięcie kończy się niepowodzeniem, ponieważ Ereszkigal obezwładnia Inannę śmiertelnym spojrzeniem. Pani nieba zostaje uwięziona w zaświatach. Może opuścić to niegościnne miejsce jedynie pod warunkiem, że w zamian za nią zostanie w podziemnym świecie ktoś inny. Dumuzi, który kocha Inannę, chce zostać tam za nią. Po długich negocjacjach dochodzi do zawarcia ugody: Dumuzi ma spędzać w zaświatach pół roku, na drugie pół wolno mu wyjść na powierzchnię ziemi.

Istnieje jeszcze druga wersja tego mitu, według której podziemny świat szturmuje Isztar. I tu pojawia się po raz pierwszy obraz z historii, który robi olbrzymią karierę aż po nasze dni: obraz siedmiu bram, które odnajdą się w siedmiu niebieskich pałacach mistyków żydowskich oraz siedmiu niebiosach chrześcijan i muzułmanów przez siedem wieczności gnostyków aż po siedem mostów z popularnej współczesnej piosenki.

Isztar musi bowiem pokonać siedem bram, by znaleźć się w królestwie zmarłych. Zostanie wpuszczona tylko wtedy, gdy odda strażnikowi jakąś ozdobę albo część ubrania. Tak staje w końcu naga i bezbronna przed Ereszkigal, która ją obezwładnia. Isztar zostaje skazana na śmierć przez Anunnakku, bogów podziemi. Jej ciało zostaje powieszona na gwoździu niby worek.

Teraz Isztar, bogini wojny, jest także patronką miłości, a więc również pożądania seksualnego i rozmnażania. Można sobie zadać pytanie, czy było rzeczą rozsądną zstępować do świata umarłych i naruszanie ustalonego ładu świata. Kiedy uświadomimy sobie jednak, że jako bogini miłości i pożądania jest ona również boginią życia, łatwiej zrozumiemy dążenie do odebrania śmierci jej władzy. Tak jak Gilgamesz, tak jak Jezus, Isztar również pragnie trzymać w rękach klucze do życia wiecznego i podobnie jak współcześni badacze chce przedłużyć ludzkie życie. Pamiętajmy, że Jezus również zstąpił do piekieł, jak wcześniej do zaświatów udawali się Gilgamesz i Orfeusz.

W tym micie tkwi być może najbardziej żywotna tęsknota ludzka – tęsknota za wiecznym życiem, która w inny sposób przyjęła się w chrześcijaństwie^[69]. Matką życia wiecznego stała się w końcu również Matka Boska.

Motywacja Isztar jest całkowicie zrozumiała, ale działanie zupełnie chybione, ona sama wisi więc w zaświatach na gwoździu jako worek. Ten mit

powiada, że katastrofalnie zakłócony został porządek życia, gdyż zwierzęta ani ludzie nie łączą się w pary, nie płodzi się nowych istnień, ustaje rozwój. Koniec seksualności oznacza także, że nie odnawia się życie.

W tej trudnej do rozwiązania sytuacji bogowie się naradzają i postanawiają wysłać posłańca do Ereszkigal. Któż odważy się jednak udać do bogini śmierci? Jedyne ktoś zabezpieczony przed wszelką magią i czarami zaświatów. Musi to być istota niejednoznaczna, nieuchwytna, ponieważ nie sposób jej określić i niejasne są jej namiętności: hermafrodyta, obojnak, ni mężczyzna, ni kobieta, jakiś twór męsko-żeński lub żeńsko-męski, dwupłciowy. Skracamy tę długą historię: hermafrodyta uwolni Isztar (czy Inannę) pod warunkiem, że na jej miejsce przyjdzie do podziemnego królestwa ktoś inny: jej kochanek Dumuzi. Pozostaje kwestią otwartą, czy Dumuzi popada w tę opresję, ponieważ kocha Inannę, czy też jest to zemsta ukochanej, ponieważ zdradzał ją z jej własną siostrą.

Ów Dumuzi jest – jakżeby inaczej – bogiem wegetacji. Opisywany był jako pasterz albo jako rybak; jego imię zawiera pojęcie *damu*, oznaczające siłę tkwiącą w roślinach. Wegetacja co roku obumiera, by znowu się odrodzić do nowego życia – już tutaj dostrzegamy późniejszy chrześcijański schemat śmierci i zmartwychwstania. Te historie niewiele nam jednak mówią o namiętności, z jaką ludzie modlili się do tej bogini, na ile głęboka i serdeczna była ostatecznie ich wiara. Tylko modlitwy pomagają domyślać się czegoś na temat religijnej żarliwości. Do naszych czasów przetrwała modlitwa pewnego Asyryjczyka, żyjącego w Mezopotamii przed trzema tysiącami lat. Jest bardzo poruszająca, gdyż nie wydaje się stara ani obca, lecz w sposobie podejścia i oddaniu robi wrażenie ponadczasowej, aktualnej w każdym czasie:

Prowadź mnie co dzień ku zdrowiu i zadowoleniu!

Daj mi dnie długie i podaruj mi życie!

Obym był zdrowy i pogodny, bym mógł oddawać Ci cześć;

Obym uzyskał, czego sobie życzę!

Niebo się Tobą cieszy, ocean się raduje,

Wszyscy bogowie wszechświata chcą Ci błogosławić.

Niechaj wielcy bogowie rozradują Twe serce!^[70]

Życzenia, nadzieje, troski i lęki nie zmieniły się w swej istocie przez tysiąclecia; są zawsze takie same i rodzą się z bycia człowiekiem.

W świętych legendach, jakie powstawały po mitach o Inannie/Isztar, postać kochanka stopniowo przekształca się w postać syna. Zawsze to jednak matka – czy nazywa się Astarte, Demeter czy Izyda – jest odpowiedzialna za wschodzenie zasiewów, ich wzrost, dojrzewanie i zbiory. Kobiety, które chciały mieć dzieci, szły do tych bogiń, tak jak znacznie później chrześcijanki miały się modlić o potomstwo przed obrazami Maryi.

W historii egipskiej bogini Izydy – również bogini matki i królowej nieba – przemiana mężczyzny w syna dokonała się w sposób niezwykle. Ozyrys, którego Izyda kocha, zostaje zabity, a jego ciało poćwiartowane. Żona i ich wspólny syn Horus próbują złożyć z części jego ciała, by umożliwić mu zmartwychwstanie. Bliskość egipskiej Izydy i Matki Boskiej niezwykle wyraziście potwierdza identyczna niemal ikonografia obu matek: Izydy z Horusem i Matki Bożej z Jezusem.

Obraz matki i syna, jak go ukształtował babiloński mit, odnajduje się nieoczekiwanie w rzeźbie Michała Anioła *Pietà* w Bazylice św. Piotra. Przedstawiona tu kobieta jest stosunkowo młoda, a mężczyzna, którego ciało ma na kolanach, jest w podobnym do niej wieku. Gdyby ktoś nie znał wcześniejszej historii i nie wiedział, że rzeźba przedstawia matkę i syna, byłby pewny, że ma przed sobą parę kochanków. Na początku XVI wieku, kiedy Michał Anioł zaprezentował to dzieło w Rzymie, wywołał nim wielki skandal. Ponieważ jednak był to czas odkrywania antyku i na niektóre pogańskie obyczaje przymykano oczy, sam papież postanowił przejść nad tym do porządku dziennego i wstawił się za Michałem Aniołem, a rzeźbę kazał umieścić w Bazylice św. Piotra.

To u egipskiej bogini Izydy dokonało się zatem przejście od relacji kobieta–mężczyzna do relacji matka–syn, gdyż cała chrześcijańska teologia Matki i Syna została ukształtowana na wcześniejszym podłożu spekulacji na temat Izydy i Horsa.

Do śmierci i zmartwychwstania oraz relacji matka–syn dochodzi jeszcze trzeci element, mianowicie wyobrażenie niecielesnego, duchowego poczęcia. Maryja odbiera cześć jako dziewica, a Syn Boży w jej łonie znalazł się za sprawą Ducha Świętego. Tutaj udało się odejść od powinowactw z pogaństwem, koncepcje aseksualnego poczęcia i rodzenia dzieci przez dziewice stoją bowiem

w sprzeczności z wieloma seksualnymi implikacjami pogańskich bogiń. Była to cena, jaką Maryja musiała zapłacić, by nie doprowadzić chrześcijańskiej moralności seksualnej do absurdu. Normalne poczęcie zniesławiłoby przede wszystkim Marię, ponieważ oszukałaby Józefa, ale postawiłoby też Boga w jednym rzędzie z wiecznie nienasyconym Zeusem, który krążył po świecie i płodził dzieci.

Istotnie, nie brakowało prób dyskredytowania chrześcijaństwa przez okoliczności spłodzenia Jezusa. Jedną z najchętniej powtarzanych plotek była pogłoska o zdradzie, jakiej miałyby dopuścić się wobec swego męża Maria. Według niej matka Jezusa zdradziła męża z rzymskim kapitanem i Syn Boży jest w rzeczywistości owocem pozamałżeńskich igraszek. Jest to jednak tania polemika, niewarta poważnej dyskusji. Urodzenie boga albo półboga przez śmiertelną matkę nie stanowi jednak w antyku żadnej nowości, by wymienić tylko synów Zeusa: Dionizosa i Heraklesa. Nie było jednak powodu, by ukrywać czy sublimować seksualność samego poczęcia, ponieważ nie chodziło o poczęcie dziewicze. Z kobietami, które omamiał Zeus (lub Jupiter), przeżywał on jak najbardziej cielesną miłość, rozumiałe więc, że idea dziewiczego poczęcia nie znalazła w starożytnej mitologii greckiej zastosowania.

Pierwsi chrześcijanie z jednej strony nie mogli widzieć niczego dobrego w stosunkach seksualnych, z drugiej natomiast nie akceptowali koncepcji, by ich Bóg, Pan wszego stworzenia, tak bardzo się zniżył do poziomu jakiegoś pogańskiego boga i zabawiał się ze śmiertelną kobietą. Słowa Jezusa o Ojcu, który jest w niebie, oraz rozpowszechnione przez św. Jana wyobrażenie, że Bóg posłał swego Syna na świat (Słowo, które stało się Ciałem), zmusiły całe pokolenia teologów do ciężkiej pracy. Musieli oni uzasadnić ideę Trójcy Świętej, głoszącą, że trzy osoby boskie stanowią jedność; musieli się też zmierzyć z niepokalanym poczęciem i porodem syna przez dziewicę, ponieważ Syna Bożego mogła wydać na świat jedynie kobieta bezgrzeszna. Ta bezgrzeszność polegała właśnie na byciu dziewicą.

W ten sposób Maria, matka Boga i Królowa Niebios, stała się jednocześnie kobietą bezgrzeszną. Idea boskiego dziewictwa także nie była jednak nowa – greckie boginie Artemida czy Atena również były czczone jako *parthenoi*, jako dziewice. W tym przypadku dziewictwo oznacza siłę, czyli samodzielność i niepodleganie żadnemu mężczyźnie. Rodzi się tu fascynujące pytanie, czy koncepcja dziewictwa, *parthenoi*, bardziej opiera się na nieutrzymywaniu stosunków płciowych, czy raczej na samodzielności kobiety, jej niezależności od mężczyzny, jak obserwujemy to właśnie u Ateny, Artemidy czy u Amazonek. Czy

nasze spojrzenie na dziewictwo nie jest zbyt zawężone do samej tylko seksualności? Czy nie w ten sposób od dawna podchodzimy do tego zagadnienia, w każdym razie znacznie wcześniej niż od momentu wprowadzenia dogmatu o niepokalanym poczęciu w 1870 roku? Stawiając inaczej to pytanie: czy we wczesnej historii niezależna kobieta była kiedykolwiek kobietą bez seksualności?

Akurat koncepcja boskiej dziewicy miała w religiach misteryjnych istotne konsekwencje. Dziewictwo wymagało bowiem ofiary – z płodności kapłanów – którą chciano załatwić jednym śmiałym pociągnięciem. Chrześcijański Bóg i Dziewica Maryja również wymagali od swoich kapłanów abstynencji seksualnej, a zatem kastracji społecznej, opartej na przyczynach duchowych, a nie medycznych. Motyw *virgo caelestis*, niebiańskiej dziewicy, pojawia się już u Artemidy z Efezu.

Chęć wyzwolenia wizerunku chrześcijańskiej Matki Boskiej z pogańskich powinowactw spowodowała rozwój koncepcji niepokalanego poczęcia przez Ducha Świętego. Istniało tu jednak niebezpieczeństwo pójścia drogą największych heretyków: gnostyków. Dla teologów chrześcijańskich sytuacja nie była łatwa: po jednej stronie poganie, po drugiej heretycy. Teologia Maryi Panny musiała zręcznie ominąć niebezpieczeństwa utrudniające jej wyjście z tego dylematu i zachować skuteczność Odyseusza między Scyllą a Charybdą.

W niedocenionej jeszcze przez badaczy chrześcijańskiej Maryi znajdujemy grecką Sophię. Samo słowo *sophia* oznacza mądrość – i tak właśnie, przez mądrość, nieoczekiwanie i niezwykle wyrafinowaną drogą wnika do chrześcijańskiego wyobrażenia Matki Boskiej także myśl gnostyczna, która dla katolickiego Kościoła w Cesarstwie Rzymskim stanowiła najgorszą z możliwych herezję.

Dla gnostyków powstanie człowieka jest zwykłym wypadkiem przy pracy, zawinionym przez Sophię, która na krótki, ale wystarczający moment została skuszona przez swą próżność. Z wielkim upodobaniem obserwowała swoje odbicie w zwierciadle wód i w ten niezamierzony sposób stworzyła życie.

Cała konstrukcja zapłodnienia dziewicy, a właściwie koncepcja zapłodnienia przez Ducha Świętego, bardzo pachnie gnozą, ponieważ w systemach gnostycznych Sophia często zajmowała miejsce Ducha Świętego. Jeśli weźmie się pod uwagę, że teologia poczęcia przez dziewicę, a więc zapłodnienia przez Ducha Świętego, rozwinęła się dopiero w IV wieku n.e., zatem w czasie, kiedy Kościół zagorzale zwalczał (i zwalczył) herezję, to stanie się jasne, w jaki sposób

spekulacje na temat Sophii przeniknęły do chrześcijaństwa jako teologia Maryi. Bardzo ciekawe jest obserwowanie, jak katoliccy teologowie muszą się poruszać po gnostyckim, a więc heretyckim terenie, by móc sformułować dogmat o niepokalanym poczęciu.

Nie jest przypadkiem, że istnieje także gnostyczna *Ewangelia Marii*, przez Kościół katolicki zaliczona do herezji, aby zatrzeć ślady tego plagiatu.

Gnoza, która z katolickiego punktu widzenia była arcyherezją, przetrwała prześladowania ze strony Kościoła dwoma sposobami: albo dzięki tajemnym grupom religijnym, które przechowały i przeniosły jej ideowe dziedzictwo, albo dzięki myśli gnostycznej, która – dobrze zamaskowana – umiejscowiła się w centralnych miejscach wiary chrześcijańskiej, takich jak teologia Dziewicy Maryi i Ducha Świętego, i przetrwała w podziemnych kryptach. Obecnie również istnieją kościoły gnostyckie, a nawet urzęduje gnostycki papież.

Ale powróćmy raz jeszcze do Magna Mater, prawzoru Dziewicy Maryi. Nestoriusz (381–451), patriarcha Konstantynopola, miał zastrzeżenia do nazywania Marii *theotòkos* – Bożą Rodzicielką, Bogarodzicą, gdyż ta nazwa przyznawałaby jej niemal boską pozycję. Dobrze wyczuwał, że wzmacniałoby to pogańskie elementy w chrześcijaństwie. Teologowie zajmowali się w tamtym okresie gwałtownymi sporami o naturę Chrystusa i o stosunek Boga Ojca i Syna; musiało upłynąć jeszcze sporo czasu, nim ukształtowała się teologia Ducha Świętego. Wtedy jeszcze istniała możliwość innego wyobrażenia sobie i zdefiniowania Trójcy Świętej, złożonej z Boga Ojca, Syna Bożego i Maryi, zwłaszcza że Ducha Świętego (podążając za spekulacjami gnostyków) także można postrzegać w ścisłym związku z Maryją. W językach semickich „duch” jest rodzaju żeńskiego.

Z tego powodu Nestoriusz zaproponował określenie *christokos* – Rodzicielka Chrystusa. Tu napotkał sprzeciw swego rywala, biskupa Cyryla z Aleksandrii, któremu udało się wreszcie przebić na soborze w Efezie w 431 roku. Znamienne, że sobór odbywał się w kościele św. Marii, która miała w tym miejscu spędzić ostatnie lata swego życia i wprowadzać chrześcijan w tajemnice wiary chrześcijańskiej.

W ten sposób zamknęło się koło od Artemidy do Dziewicy Maryi, od *Virgo Caelestis* do *Maria Immaculata*. Cyryl z Aleksandrii zakończył sobór triumfująco, wychwalając Maryję, jakby była Bogiem: „Z wielką radością spoglądam na zgromadzenie świętych... zwołanych przez świętą Bogarodzicielkę Maryję, zawsze dziewicę ... Przybytek tego, co niepojęte, matka i dziewica... dzięki niej całe miłe

Bogu stworzenie zostało wzięte do nieba, dzięki niej całe stworzenie, uwięzione w pogaństwie, doszło do poznania Prawdy”^[71].

Jeszcze dziś wyczuwamy w tych słowach zachwyt, jaki towarzyszył radości z wyniesienia Maryi na Królową Niebios i ubóstwienia jej jako *theotòkos*. Papież Sykstus III (432–440) kazał z tej okazji wykonać olbrzymią mozaikę przedstawiającą Maryję i umieścić ją na łuku triumfalnym rzymskiego kościoła Santa Maria Maggiore.

Nie całe dziedzictwo wielkich pogańskich bogiń odmieniało chrześcijaństwo, nie wszystko znalazło odbicie w posiadającej wiele twarzy Maryi. Niezagospodarowana pozostała reszta białej i czarnej magii, czarów i wiedzy o tajemnicach natury, które przez tysiąclecia zbierały, kompletowały i przekazywały dalej mądre kobiety, które z tego powodu prześladowano i nazywano czarownicami. Stare religie oparte na boginiach matkach przetrwały w taki sposób, jak to już opisaliśmy. Od lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku bardzo wzrosło zainteresowanie pogańskimi wyobrażeniami wiary i kultem czarownic, odnotowuje się także intensyfikację kultu maryjnego.

Kiedy zadajemy pytanie, jak wyglądały te pogańskie kulty, natrafiamy na paradoks, najwięcej bowiem dowiadujemy się o religiach misteryjnych, w których te religie się odbijają. Przez misteryjne kulty czasów Cesarstwa wniknęły one do chrześcijaństwa, ale częściowo także do islamu. W początkowych latach chrześcijaństwo samo było religią misteryjną. Zanurzmy się więc w tajemnicę rzymskich kultów misteryjnych.

MIŁOŚĆ, ŚMIERĆ I URODZAJ – DEMETER

A choćbyś płynął w oceanie,

Sto mil przed brzegiem i sto mil od brzegu,

Fale biegnące widziałbyś, mój panie,

I nawet drżąc, że cię zatopią w biegu,

Coś widziałbyś w bezkresie. Wśród głębin,

W cichej zieleni, wędrownie delfiny;

Księżyc i gwiazdy, słońce wśród obłoków;

A nikt w przestworzy wiekuistej próżni

Nie widzi nic, nie słyszy własnych kroków,

Punktu oparcia w pustce nie wyróżni.

Johann Wolfgang von Goethe, Faust II, 1 (tłum. Adam Pomorski)

Boginie matki wyróżnia ich bezpośredni związek z narodzinami, wzrostem i śmiercią. Najpóźniej od czasów Medei, córki króla Kolchidy, która w akcie zemsty na Jazonie zabiła ich wspólnych synów – jest więc znana nie tylko jako matka, która dzieci urodziła, ale która także odjęła im życie, uśmierciła je. Tam, gdzie boginie matki stały się częścią chrześcijaństwa, tam mamy do nich zaufanie i uważamy je za „swoje”. Wszystko poza tym wydaje nam się dziwne, fantastyczne i obce. Gdy myślimy o mitycznej Magna Mater, ciarki przechodzą nam po plecach, ponieważ nieomylnie przeczucie podpowiada nam, że dotykamy tu najgłębszych, najtajniejszych pokładów historii i podświadomości. Tam nie ma żadnego rozumu, rozsądku, są tylko symbole, atawizm i intuicja, nic poza irracjonalnością. Boginie matki kryją w swoich misteriach najdawniejsze popędy, praźródła i prainstynkty życia, które później chrześcijanie wysublimowali i kultywują jako cud stworzenia.

W tajemnych religiach późnego antyku wielkie chtoniczne boginie związane z ziemią odgrywają ambiwalentną rolę. Dotykają pierwotnych lęków i oczekiwań człowieka w sposób wspaniały i okropny jednocześnie. Związane ze światem podziemnym i nadziemskim, zajmują w równej mierze podświadomość, co świadomość człowieka. W indywidualnej historii każdego człowieka i w jego mózgu należą one do najgłębszych warstw – jeśli nie tej najgłębszej – ponieważ

życie ludzkie rozpoczyna się w ciele matki, a narodziny stanowią nieświadomie przyjmowane doświadczenie wyrzucenia – dlatego przychodzimy na świat z płaczem, a nie ze śmiechem.

Wielkie boginie (Magna Mater) – Demeter, Astarte, Kybele, Hekate, Artemida – w zależności od obszaru geograficznego nosiły wprawdzie różne imiona, ale pod względem „kompetencji”, czyli obszarów życia, za które odpowiadały, były niemal identyczne (nie licząc niewielkiego przesunięcia akcentów). Z tego względu sakralna sztuka przekładu nie miała problemu z synchronizacją tych bogiń i przypisywanych im rytuałów. Podobnie jak w przypadku Dziewicy Maryi, chodziło w gruncie rzeczy o narodziny, życie, śmierć i zmartwychwstanie.

Rzut oka na starsze siostry Maryi wiele nam powie o tym, w co wierzymy, co nas zajmuje, a co chętniej wypieramy. Jest to, krótko ujmując, opór życia przeciwko codziennemu pragmatyzmowi. Dlatego chrześcijaństwo obiektywnie łączy Europejczyków z historią ich starego świata, nadaje im tożsamość.

Jednym z najstarszych kultów i być może prototypem dla tajemnych religii jest cześć oddawana w Eleusis greckiej bogini urodzaju Demeter, którą Rzymianie czcili później jako Ceres. Obie dobrze znamy jako postaci mitologiczne obecne także w dzisiejszym świecie, zwłaszcza dzięki gospodarstwom biodynamicznym spod znaku Demeter czy „cerealiov”, sztucznego tworu językowego od angielskiego *cereals* oznaczającego zboże, a utworzonego od imienia rzymskiej bogini Ceres. Samo określenie „cerealiov”, używane w dzisiejszej reklamie [w Niemczech] na określenie zboża czy płatków zbożowych, jest jednak z gruntu fałszywe, gdyż w Rzymie oznaczało święta ku czci Ceres. Jeśli zatem reklamodawca zachwala swoje płatki, że zawierają cenne cerealiov, to w istocie mówi, że zawierają wiele świąt Ceres.

Kult Demeter powstał w obfitującej w zboże Attyce, a dokładniej w Eleusis. Opowieść dotyczącą tej bogini znamy już w innej formie z mitu o Inannie i Dumuzim. Istnieje wiele jego wersji – tu przedstawiamy najstarszą, z Homeryckiego hymnu (2): *Do Demeter*.

Bóg podziemi Hades zakochał się w Korze, córce Demeter, po czym ją uprowadził. Po uporczywych, ale bezskutecznych poszukiwaniach matka groziła bogom, którzy nie sprzeciwili się uprowadzeniu, że na ziemi do chwili powrotu jej córki nie będą rosły żadne rośliny. W takiej sytuacji Zeus wysłał posłańca bogów Hermesa z prośbą do swego brata Hadesa, by wydał Korę, która w zaświatach

nazywała się Persefona. Hades zgodził się na to, ale poprosił Korę, by przed odejściem zjadła kilka pestek jabłka granatu. Był to pokarm umarłych i nikt, kto go spożył, nie mógł dłużej mieszkać na ziemi. W ten sposób pozostało jedno rozwiązanie: Kora-Persefona przez cztery miesiące będzie mieszkała w królestwie Hadesa, a resztę roku spędzi wśród bogów na Olimpie. W czasie kiedy Kora przebywała u Hadesa, Demeter przeżywała smutek – w przyrodzie oznaczało to wstrzymanie wszelkiej wegetacji.

Ważnym detalem jest w tej historii jabłko granatu, „antyczny sakrament krwi” (Walter Burkert). Ze względu na wiele krwistoczerwonych ziarenek granat symbolizował przede wszystkim płodność. A płodność oznacza życie, niepłodność – śmierć.

Dziś nie rozumiemy już tego prostego i zarazem strasznego faktu. W naszych czasach chodzi raczej o zabezpieczenie się przed poczęciem dziecka niż o posiadanie potomstwa. Dawne myślenie stało się nam zupełnie obce i może być symptomem naszego odejścia od natury. Dzieci stanowią w naszych czasach ryzyko popadnięcia w biedę, tymczasem aż do XIX wieku za największą biedę uważano nieposiadanie potomstwa. Kto nie rozumie tej fundamentalnej różnicy w myśleniu, ten nie potrafi także pojąć decydującego znaczenia, jakie miała płodność ludzi, zwierząt i roślin w świecie przednowoczesnym. W dawniejszych społecznościach dzieci stanowiły zabezpieczenie socjalne. W starożytności bezpłodność uważana była za najgorszą karę bogów. Kto był bezpłodny, uchodził za pariasa, za przeklętego, nad którym wisi fatum.

Kontakt z jabłkiem granatu uczynił brzemienną boginię rzek Nanę, matkę Attisa, a Kora za sprawą ziarenek tego owocu uległa Hadesowi. Maria również często miała do czynienia z tym boskim owocem. Na południu Włoch nadal jest on symbolem Matki Boskiej podczas maryjnych świąt w Paestum (Posejdonia). Sakrament krwi pogańskiej starożytności awansował zatem do świętego atrybutu Matki Boskiej.

We wczesnym średniowieczu Maryję zaczęto postrzegać jako symbol Kościoła. Z tej perspektywy owoc granatu zyskiwał dodatkową moc, gdyż jego budowa symbolizowała Kościół: owoc miał tyle małych ziarenek, ilu młody Kościół miał wiernych, którzy oddali życie za wiarę. Istnieje wielka mnogość obrazów, bardziej lub mniej mistrzowsko przedstawiających Maryję z owocem granatu, że nawet nie zaczynamy ich wymieniać. W historii sztuki motyw ten znany jest jako *Madonna col bambino e melagrana* – Madonna z Dzieciątkiem i owocem granatu.

Temat ten cieszył się wielką popularnością – tym większą, że dzięki chrześcijańskiemu pośrednictwu owoc granatu stał się w średniowieczu symbolem władzy, królewskim jabłkiem (*globus cruciger*). Z biegiem czasu w malarstwie owoc granatu jako symbol władzy przechodzi stopniowo z rąk Królowej Niebios w ręce Króla Niebios – Jezusa, gdzie właściwie nie ma czego szukać, jeśli pominąć fakt, że Jezus panuje nad Kościołem. Wróćmy jednak do Demeter, która odzyskała córkę jedynie na czas wegetacji roślin. W misteryjnym kulcie bogini Demeter początkowo nie było nic tajemnego. W Eleusis koło Aten wzniesiono wielkie sanktuarium, w którym oddawano cześć i składano hołdy bogini płodności. Wielkie uroczystości odbywały się w miesiącu *boedromion* (wrzesień/październik) i były także podziękowaniem za zbiory zbóż. Uroczystości religijne mogły zawierać znacznie większy ładunek duchowości, jednakże ich daty i okoliczności zależały od wielkich rytmów przyrody.

Kapłanami świątyni Demeter byli przedstawiciele najzacieśniejszych rodów ateńskich. W ramach przygotowań do misterii należało odbyć post. Przed ich rozpoczęciem konieczne było oczyszczenie; później nakładano białe szaty i składano w ofierze prosię. W przygotowaniach do misterii główną rolę odgrywała oczywiście procesja do sanktuarium, w czasie której niesiono w specjalnych pojemnikach „święte obiekty”.

Od dawna mówimy o tłumnych procesjach, pochodach, w czasie których w różnych formach oddaje się czemuś cześć lub przedstawia się to w sposób symboliczny: od Bożego Ciała przez wiosenną tańczącą procesję w Echternach czy szyckie święto Aszury, aż po pochody karnawałowe. Wszystkie te pochody, różniące się od siebie okazją (przyczyną), formą i przekazem, wywodzą się z kultów misteryjnych i egipskich świąt religijnych.

W starożytnej Grecji z Aten do Eleusis przechodziło w pochodzie około trzech tysięcy ludzi. Pielgrzymi po drodze odtwarzali sceny z życia Demeter i Kory-Persefony. Miało to miejsce podczas małych misterii, dostępnych dla wszystkich.

Ponieważ na temat wielkich misterii nakazane było milczenie, a za jego złamanie groziła kara śmierci, niewiele wiadomo o ich szczegółowym przebiegu i treści. Hans Kloft^[72], historyk starożytności, przypuszcza, że odgrywany był tam mit o Demeter i Korze. Niezwykle efektowny mógł być zwłaszcza moment uwolnienia Kory z podziemi, szczególnie jeśli została zastosowana gra światła i cienia. Pewne wyobrażenie o głębokim oddziaływaniu tej dramaturgii światła daje

nam stary katolicki zwyczaj związany z Wielkanocą. W czasie Wielkiego Tygodnia Kościół zaleca, by świątynie spowijał mrok, by robiły wrażenie smutnych i opustoszałych. W wielkanocny poranek zdejmuje się zasłony z okien, światło oświetla główną nawę, a wierni głośno się radują: Chrystus zmartwychwstał! I rzeczywiście zmartwychwstał.

Zakładamy, że wtajemniczeni przeżywali tę historię jak rzeczywistość, ponieważ uczestniczyli w całej jej akcji. Nie wiemy nic konkretnego na temat przebiegu ani inscenizacji, ale wiemy, że nie było to przedstawienie dla wtajemniczonych widzów, lecz misterium, w którym uczestniczyli wszyscy mistowie. Tę podstawową zasadę przejęły później średniowieczne misteria.

Działanie wtajemniczonych w innej rzeczywistości, w równoległym świecie – dla nich być może tym prawdziwym – kojarzy się z dwoma greckimi terminami: z *katharsis* i *mimesis*. *Mimesis* oznacza naśladowanie we współuczestnictwie jakiejś akcji (dziania się), w celu stopienia się z przedstawianymi zdarzeniami, natomiast *katharsis* ma być oczyszczeniem i nawróceniem, stanami wyzwalanymi przez *mimesis* w trakcie misterium.

We wszystkich religiach misteryjnych święta historia jest przedstawiana mistom niezwykle plastycznie i przejmująco. Klemens Aleksandryjski opowiada o przebiegu misteriów w swojej *Przestrodze do pogan*:

A tak brzmi rozpoznawcze hasło podczas misteriów eleuzyńskich:

„Pościłem,

piłem mieszany napój;

brałem ze skrzyni;

kiedy wypełniłem swe zadanie,

odkładałem do kosza

a z kosza do skrzyni”.

Zaprawdę piękne przedstawienie

i pasujące do bogini!

Hasło rozpoznawcze obejmuje w gruncie rzeczy trzy elementy rytuału: święte pokazanie świętych przedmiotów, święte wypowiedzenie tajemnych formuł i święte przedstawienie świętych wydarzeń, złożonych z wielkich opowieści i świętych aktów. Z tych elementów do dziś składają się msze święte i msze Wieczery Pańskiej, ale także neopogańskie kultury czarownic, babek zielarek i neodruidów.

Nawet gdybyśmy dokładniej znali funkcjonowanie wielkich misteriów, to przedstawienie wielkiej tajemnicy, niepoparte wymiarem osobistego przeżycia, musiałyby być rozczarowujące. Procesja, która w ogólnym odczuciu zawierała sugestię przeżycia wspólnotowego, przygotowywała zwykłych wiernych oraz wtajemniczonych duchowo na małe i wielkie misteria. Jeśli przypomnimy sobie berlińską Love Parade, to będziemy mieli wyobrażenie o oddziaływaniu takich przemarszów na uczestników, na tych, którzy są w środku, których niesie ta niezwykła koncentracja ludzkich energii z czasu i przestrzeni.

Odgraniczenie – warunek konieczny rytuałów – oznacza utratę poczucia czasu i przestrzeni, choć może lepiej powiedzieć: zapomnienie. Nie chodzi o późniejszą koncepcję utopii, która nie określa czasu ani miejsca, nie: w tym przypadku odgraniczenie jest „podpięciem się” pod czas boski, pod wieczność. W misteriach wkracza się w czas zbawienia, który nie wprowadza dalszych rozróżnień i trwa wszędzie, jest takim właśnie siódmym niebem, które do dziś w języku powszednim pozostało miejscem szczególnym. Tym miejscem jest Elizjum Greków albo *pleroma* gnostyków – ze względu na swą niepowtarzalność jest ono dostępne tylko dla godnych, to znaczy nielicznych.

Wstęp do anaktoronu otrzymywał tylko krąg wybrańców. By dotrzeć do tego miejsca, trzeba było spełnić wiele warunków. Obok wszystkich efektów inscenizacyjnych, stwarzanych przez neofitów, którzy właśnie mieli zostać przyjęci, i mistów, czyli wtajemniczonych, ważną rolę odgrywał napój zwany *kykeon*. Ostatnio trzej uczeni (Wasson, Ruck i Hofmann) badaniami różnych gatunków prosa potwierdzili tezę, że chodziło o pewien wytwarzany z prosa środek halucynogeny^[73]. Ta zmieniająca świadomość substancja umożliwiała neofitom i mistom wizję boskich wydarzeń (*epopteia*). Możliwe, że dzięki temu napojowi mistowie schodzili aż do granic zaświatów, skąd osobiście odbierali od Hadesa Korę-Persefonę, następnie towarzyszyli jej przy wychodzeniu z podziemi i wreszcie osobiście oddawali ją matce – Demeter. Owo „osobiście” należy tu rozumieć jako antyczne *personare*, czyli mówienie przez maskę. Wtajemniczony nie jest bowiem pojedynczym człowiekiem, lecz w masce ucieleśniona typ, a zatem

bierze udział jako ktoś ponadindywidualny, kto własną tożsamość odłożył w trakcie rytuałów przygotowawczych – i teraz jest już wyłącznie sługą bogini. Odgraniczenie to również odłożenie bądź przekroczenie własnej – ograniczonej i ograniczającej – osobowości.

Warunkiem wstępnym wkroczenia na drogę mistycyzmu jest zawsze przewyciężenie w sobie zwykłego człowieka, którym przecież jest każdy z nas. Nie trzeba Freuda, by zauważyć, że wielkie misteria dokonują się mentalnie między światem ziemskim a zaświatami, a jednocześnie w samym człowieku – między jego świadomością a podświadomością. Gdyby to założenie było prawdziwe, wówczas mistowie przenikaliby podczas wielkich misteriów Demeter w sferę niedostępną ludziom, doświadczaliby jako żyjący świata umarłych. Brzmi to egzotycznie, ale stanowi realność każdego sakramentu.

Spójrzmy na Jezusa. W pytaniach chrzcielnych Hipolita z Rzymu (170–236) czytamy: „A następnie pyta: Czy wierzysz w Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, który za sprawą Ducha Świętego narodził się z Maryi Dziewicy, został ukrzyżowany pod Poncjuszem Piłatem, umarł i trzeciego dnia powstał z martwych i wstąpił do nieba?”^[74]. Papież Benedykt XVI również porównuje chrzest do zanurzenia się w „mokrym grobie” i zstąpieniem do piekieł, „które jest ze swej strony ikonograficznym znakiem Hadesu, zaświatów, piekła”^[75]. Papież powołuje się przy tym na Ewangelistę Łukasza, na Cyryla z Jerozolimy i na Jana Chryzostoma, a zatem w przypadku dwóch ostatnich na doktorów Kościoła żyjących w tym samym czasie, w którym żywe były rzymskie kultury misteryjne. Ważne jest, by pamiętać, że okres rozkwitu kultów misteryjnych i stulecia wykształcania się z wczesnego chrześcijaństwa Kościoła państwowego to czas, w którym szalała wyniszczająca wojna między chrześcijaństwem a religiami pogańskimi – wojna prowadzona wszelkimi możliwymi środkami, dodajmy.

Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu pogaństwo nie było areligijne ani ateistyczne. Podstawę wiary stanowił przeciwny chrześcijańskiemu monoteizmowi kosmoteizm. Po ogłoszeniu dystynkcji możeszowej monoteizm i kosmoteizm nie mogły już istnieć w świecie obok siebie.

Nowo przyjęci byli wtajemniczani w misteria i zanurzali się wtedy w królestwie umarłych, z którego powracali znowu żywi. Jakkolwiek dziwna może się na pierwszy rzut oka wydawać zgodność między kultem misteryjnym a chrztem chrześcijan, to przecież jest to zaledwie jeden przykład często obserwowanego zjawiska, że rytuały inicjacyjne rozpoczynają się symboliczną śmiercią wtajemniczanego, by mógł on zmartwychwstać do nowego życia – życia w służbie

bóstwa, by pozostawił za sobą dotychczasowe życie i stał się nowym człowiekiem. Zarówno rytuały inicjacyjne, jak i chrzest stanowią rytuały przejścia. Tak jak neofici w misterium Demeter zstępowali do podziemi, by pozostawić tam swoje dawne jestestwo i powrócić na ziemię z Korą-Persefoną, tak Jezus schodzi do „mokrego grobu”, idzie do Hadesu, by pojawić się znowu ze wzrokiem skierowanym ku niebu: „A gdy Jezus został ochrzczony, natychmiast wyszedł z wody. A oto otworzyły Mu się niebiosa i ujrzał Ducha Bożego zstępującego jak gołębicę i przychodzącego na Niego” (Mt 3, 16). Jedną z szeroko rozpowszechnionych form chrztu było w chrześcijaństwie nie polewanie czy spryskiwanie chrzczonego wodą, lecz zanurzanie całego ciała w wodzie. Jeszcze frankijski król Chlodwig, który przyjął chrześcijaństwo pod koniec V wieku, podczas chrztu w Reims wszedł w białej koszuli do baptysterium, w którym cały się zanurzył, czym symbolicznie zstąpił do świata umarłych, by wyjść z niego jako nowy człowiek.

Konwersję, nawrócenie na prawdziwą wiarę, zarówno w kultach misteryjnych, jak i w chrześcijaństwie pojmowano jako akt radykalny. Pobrzmiewa to w słowach Remigiusza z Reims, który chrzcił Chlodwiga Merowinga: *Mitis depone colla... adora quod incendisti, incende quod adorasti* (Schyl kornie kark... czcij to, co spaliłeś, spal to, co czciłeś”).

Ta idea przymierza z Bogiem, jakie zawiera się przez wtajemniczenie, jest wprawdzie dawną tradycją kultową, jednakże dokładny rytuał inicjacji pozostał tajemnicą. Do dzisiaj rytuały inicjacji i konkretne wtajemniczenia albo chrzest traktowane są jako tajemnica. Dziś to może dziwić, ale dla wczesnego chrześcijaństwa sakramenty były jak misteria, jak tajemnica, której nie wolno było upowszechniać i za której wyjawienie groziły najgorsze kary.

Zejsście do podziemi, które neofici Demeter przeżywali prawdopodobnie jako zdarzenie realne, jeszcze z jednego powodu było wydarzeniem niepowtarzalnym i prawdziwym misterium, czymś, co przekracza wszelkie doświadczenie śmierci, tak szeroko dyskutowane w ostatnich latach. Nowo przyjęci pod przewodnictwem kapłanów mieli docierać do świata, o którym w ówczesnych opisach inicjacji do misteriów Izydy mówi się: „Do granicy śmierci doszedłem i progów Prozerpiny (greckiej Persefony) dotknąłem, a wróciłem przez bezdnie wszystkich żywiołów. W głębokiej nocy widziałem słońce ślepiącym blaskiem jaśniejące, patrzyłem w oczy potęgom piekielnym i niebieskim i do stóp ich czołem uderzyłem”^[76].

Dlatego też w tajemnych religiach, ale nie tylko w nich, chodzi przede wszystkim o to, co boskie, co przyciąga i odpycha zarazem, o zobaczenie boga

z bliska, może zjednoczenie się z nim, albo rozplyniecie się w nim. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia próbowano uzyskać ten stan przez przyjmowanie środków odurzających i zatopienie się w muzyce psychodelicznej. W tym czasie powstawały religie New Age, które mieszały różne zjawiska religijne i techniki kultowe (zależne od ich wieku i pochodzenia), by zjednoczyć się z bogami nowego świata i uratować świat, zagrożony trzecią wojną światową i katastrofami ekologicznymi. New Age, religia nowej ery, sięgająca po dawnych bogów, była próbą odwołania się do rzekomego dziedzictwa, jakiego domyślano się w kultach misteryjnych oraz w kulcie Wielkiej Macierzy (Magna Mater).

Chociaż we wszystkich czasach ludzie starali się jednoczyć w szczęściu z bogiem lub bogami, by w ten sposób osiągnąć czyste i wieczne życie, to próbowali w ten sposób osiągnąć coś, co na świecie osiągnąć najtrudniej. Tego, co urzeczywistniało się w wielkich misteriach egipskich i co tak doskonale zdefiniował Klemens Aleksandryjski – boskość – nie da się przekazać, nie da się pojąć ani ująć słowami; można to tylko przeżyć, można tego doświadczyć albo to zobaczyć. To doświadczenie nie jest jednak dostępne każdemu, kto kupi bilet wstępu; nie każdy, kto odczuwa taką potrzebę, może do tego dojść. Jest to wynik wielkich starań, które tylko w przypadku wybrańców mogą zostać uwieńczone sukcesem.

Wielka tajemnica zawarta jest w rytuałach prowadzących do zobaczenia boga oraz oczywiście w samej wizji boga. „Rytuały posiadają charakter tego, co niewypowiedziane i zakazane, są *árrheta* i *apórrheta*. Przydają sakralności nimb szczególnej wyjątkowości”^[77] – pisze Hans Kloft o rytuałach kultu Demeter w Eleusis, ale słowa te odnoszą się do misterium wszystkich tajemnych religii aż do dziś.

Obie rzeczy są tak samo ważne. Nie wolno zdradzać rytuałów i tajemnic ani ujmować ich w słowa, ponieważ przeżycia nie można przekazać. Brzmi to trochę nielogicznie, przyznajmy, przecież nikomu nie można zabronić rozmawiania o czymś, o czym i tak nie da się mówić. Chodzi tu jednak o kontrolę misterium – jest to właściwie ich zabezpieczenie przed powielaniem przez innych, sankcjonowane karą śmierci.

Drogi do bóstwa nie wolno nikomu wyjawiać – z jednej strony dlatego, by go nie rozniewać, ponieważ zostałoby sprofanowane, z drugiej strony, by nie otwierać nikomu tej niebezpiecznej dla psychiki drogi bez przewodnika i towarzysza. Tajemnica chroni i umożliwia wybór, wyłączość i oddziaływanie

kultu.

Kult Demeter, bogini urodzaju, uprawy roli i wegetacji, rozszerzał się na cały świat antyczny i natrafiał na inne podobne kultury. Na obszarze syro-fenickim w skalnych świątyniach oddawano cześć górskiej bogini Astarte, ucieleśniającej miłość, śmierć i płodność. Wyznawcy tej bogini używali do swego kultu symboli, które znamy z powstałego w bezpośrednim sąsiedztwie chrześcijaństwa: gołębic i ryby.

KRWAWA DROGA DO ZBAWIENIA – KULT KYBELE

Znana, ponieważ w Cesarstwie Rzymskim w wielkim kulcie misteryjnym oddawano cześć frygijskiej bogini górskiej Kybele, która pierwotnie była anatolijską siostrą bogini Astarte. Frygowie zamieszkiwali góryste tereny Anatolii. Ich Kybele była boginią matką odpowiedzialną za urodzaj, miłość i płodność, wegetację, ale także za śmierć. Jak u wszystkich bogiń związanych z ziemią, w niej także łączyły się ściśle jasność z ciemnością, przyjazne z niesamowitym. Misteria Kybele, jak przystało na górską boginię, odbywały się w jaskiniach i grotach. Towarzyszyły im naprawdę straszne nieraz rytuały. Imię bogini – Kybele – wywodzi się od tematów słów oznaczających wgłębienie, naczynie, górę, zagłębienie skalne albo grób. Za najświętszy przedmiot jej kultu uchodził czarny kamień, podobno meteoryt.

Czczenie świętych kamieni cieszyło się w starych religiach wielką popularnością i zostało przejęte także przez religie monoteistyczne, na przykład islam. Zaskakującą paralełą czarnego kamienia Kybele jest Czarny Kamień – podobno również pochodzący z meteorytu – znajdujący się w Al-Kabie, który próbują całować wierni podczas rytualnego obchodzenia. W tak silnie monoteistycznym islamie, w samym sercu jego kultu można rozpoznać relikty pogańskie. Podobnie jak w judaizmie czy chrześcijaństwie, tak i w islamie zwyczaje pogańskie zostały zaadaptowane do monoteizmu.

Niezależnie od wyznań i wiary w Boga, jeszcze dziś przypisuje się uzdrawiającą moc różnym kamieniom, gdyż to, co święte, wiąże się od dawna z tym, co uzdrawia. Choroba oznaczała klątwę bogów albo dzieło demonów. Uzdrawienie było zatem świętym działaniem, mającym na celu skłonienie bogów do zdjęcia fatum z chorego lub wypędzenie demonów. W tym kontekście święte kamienie stawały się kamieniami uzdrawiającymi, posiadającymi moc boską albo magiczną^[78].

Żadna misja nie może się powieść bez przejęcia pogańskich zwyczajów, miejsc kultu i przedmiotów sakralnych, które później podlegają oczywiście reinterpretacji. Bogowie z definicji są nieśmiertelni – dlaczego mieliby zatem błogosławić to, co przemijające, tylko dlatego, że akurat Jahwe, Bóg czy Allach nagle zniknęli z pola widzenia? Podstępnie i szelmowsko zasiedlili nisze w synagogach, kościołach i meczetach i ku przerażeniu ortodoksów niekiedy je opuszczają.

Czarny kamień Kybele został w każdym razie w 205 roku p.n.e. przeniesiony do Rzymu. Przenoszenie świętych przedmiotów do centrum Cesarstwa służyło też osiedlaniu w Rzymie bogów podbitych ludów i tym samym wcielaniu także ich, bóstw, do imperium. W ten sposób do Rzymu przenosiła się świętość i moc bogini i z tym miastem się wiązała. Pierwsi chrześcijanie przejęli ten zwyczaj, który Kościół katolicki rozwijał później jako *translation* (przenoszenie) relikwii. Mające uzdrawiającą moc i działające cuda części ciała świętego czy męczennika przenoszono z towarzyszeniem uroczystych modłów do poszczególnych kościołów, by ich cudowne właściwości spłynęły na ten kościół i jego wspólnotę. Jedną z najbardziej kuriozalnych relikwii, którą szczylił się Watykan, był napletek Jezusa Chrystusa. Dość oczywista jest pogańska proveniencja czczenia relikwii, gdyż czyniące cuda części ciała męczenników czy świętych bardzo przypominają magiczne amulety Persów czy Chaldejczyków.

Atrybutem Kybele jest owoc granatu, jak pamiętamy „antyczny sakrament krwi”. Attis, którego Rzymianie nazywali Adonisem, został poczęty dzięki temu, że jego matka Nana dotknęła owocu granatu. Spotkał on Kybele i oboje zapłonęli miłością do siebie. W końcu Attis przysiągł jej wieczną czystość i wykastrował się, gdyż Kybele była wprawdzie boginią płodności, obstawała jednak przy swoim dziewictwie i tym samym przy czerpanej także z niego władzy. Wskazywaliśmy już, że dziewictwo oznaczało dawniej siłę i samodzielność. Tragiczna historia Attisa i Kybele stała się podstawą kultu, i kapłani tej bogini musieli w rytuale wielkich misteriów wciąż na nowo go odgrywać. Rzymski poeta Katullus (ok. 87–54 p.n.e.) przedstawia mityczne losy Attisa, które kapłani Kybele naśladowali ku jej czci:

Szybkim statkiem przejechał Attis morza głębokie,

W las frygijski pospiesznie niecierpliwym wbiegł krokiem,

Wdarł się w gąszcze cieniste, w mrok siedziby bogini.

Tam szalem ogarnięty, w obłąkania godzinie,
Chwycił krzemień i ręką okaleczył się śmiałą.
A ujrzawszy męskości pozbawione już ciało
– Świeża krew naokoło jeszcze ziemię plamiła –
Attis w dłonie śnieżyste lekki tympan chwycił,
Twój tympan, o Cybele, twą, Matko Wielka, świętość!^[79]

Attis wezwał kapłanów, by poszli za jego przykładem. Ci w ekstazie udali się do gaju bogini, „gdzie zwykle płąsa w tańcu dziki tłum”^[80]. Tam, w gaju, kastrowali się sami, okazując wstręt Wenus, bogini miłości, i jednocześnie podążając śladem Attisa.

24 marca, podczas wiosennego święta ku czci Kybele, wyznawcy dzikimi tańcami wprowadzali się w trans i ranili się wzajemnie ostrymi przedmiotami. W ekstatycznym upojeniu zbryzgiwali obraz bogini tryskającą krwią. Tę formę zadawania sobie bólu (samobiczowania) znamy zarówno z szyckiego święta Aszury, jak i z obyczajów chrześcijańskich biczowników. Tutaj również wierzący w religijnym uniesieniu zadają sobie głębokie i dotkliwe rany. Tego dnia krwi, *dies sanguinis*, który stanowił apogeum wiosennego święta, wyznawcy Kybele używali – naśladując Attisa – ostrych i oszlifowanych skorup glinianych. Po tej niepowtarzalnej i bardzo bolesnej ceremonii *enthusiasmoi* – wierny znajdujący się w stanie ekstazy – wkładał obmyte jądra do świętego naczynia i niósł je przed sobą jak monstrancję, po czym składał w ofierze bogini. Klemens Aleksandryjski, który opisywał te pogańskie obyczaje, by poddać je krytyce, przekazał nam także jedną z formuł kultowych:

Jadłem z bębna;

z saggatu piłem;

nosiłem ofiarną szalę;

wszedłem potajemnie do pokoi narzeczonej^[81].

Później, kiedy religia Kybele stała się w Rzymie modna i popularna, a wyżsi

kapłani (*archigalli*) wywodzili się z najlepszych rodzin rzymskich, kastrację przeprowadzano jedynie w formie symbolicznej i wysublimowanej – jako obcinanie kłosów zbóż. Sens tej ofiary polegał na tym, że kapłani darowywali bogini swą zdolność płodzenia i dzięki temu odradzali się do nowego życia.

W montanizmie, który szerzył się w II stuleciu naszej ery w Azji Mniejszej i był pierwszą ostro zwalczaną herezją chrześcijaństwa, kastracja była wysoko ceniona jako konsekwentna forma ascezy chrześcijańskiej. Cyryl z Aleksandrii wyraził przypuszczenie, że Montan (Montanus) mógł być wcześniej kapłanem Kybele i tym samym insynuował, że sam posiada duże doświadczenie w zakresie kastracji.

Jednakże bardziej wysublimowaną formę kastracji w postaci celibatu przejął przecież także Kościół katolicki. Kapłan żyjący we wstrzemięźliwości seksualnej dokonał fizycznej kastracji w akcie społecznego wyrzeczenia się męskości jako trzecia płeć (*tertium genus*). Teraz musi użyć całej siły woli i wiary, by zachowywać się *jak* wykastrowany. Za tym małym słówkiem *jak* kryje się trwająca dwa tysiące lat historia walki z biologią, z erotycznym pożądaniem, pełna kłamstw, udawania, udręk i niewypowiadanych potrzeb, pełna brutalności, intryg, mordów i perwersji. W ulubionym wyobrażeniu średniowiecznego chrześcijaństwa na temat *tertium genus* tkwiła platoniczna idea androginizmu, hermafrodytyzmu, samowystarczalnego człowieka, który jest jednocześnie kobietą i mężczyzną. Idea androginizmu symbolizuje wyobrażenie doskonałego człowieka, jakim powinien być przecież kapłan.

Nawet tak krwawe rozwiązanie, jakie przyjmowali kapłani Kybele, znalazło naśladowców także znacznie później. Pod koniec XVIII wieku w Rosji wykształciła się niewiarygodna sekta skopców (eunuchów, rzezańców, zwanych też „białymi gołębiami”), poetycko opisujących ten krwawy akt jako „jздę na białym koniu”.

Krwawy był też chrzest w kulcie Kybele, który we wczesnej fazie dokonywał się jako ofiara z krwi. Chrzczonego polewano nie wodą, ale krwią byka. Podczas taurobolium, rytualnego uboju byka, wyznawca Kybele, który miał zostać ochrzczony i przyjęty do grona zwolenników bogini, zstępował do dołu przykrytego kratą. Na niej szlachtowano zwierzę, a krew z tętnicy szyjnej albo poderżniętego gardła spływała na chrzczonego – w ten sposób siła zwierzęcia miała przejść na nowego wyznawcę.

POŚWIĘCENI ŚMIERCI I NOWYM NARODZINOM – MISTERIUM

IZYDY

Najdłużej trwający i mający największy wpływ na chrześcijaństwo i na islam był jednak nie kult Kybele, lecz bogini nieba Izydy. Jej małżonek Ozyrys został uśmiercony przez swego brata, boga Seta, a jego ciało zostało poćwiartowane i rozrzucone po całym kraju. Bogini gorączkowo zbierała części zwłok męża, by złożyć je na nowo. W ten sposób Ozyrys przeżył zmartwychwstanie.

W kulcie Izydy odtwarzano lament po Ozyrysie i poszukiwanie pokawałkowanego ciała. Oznacza to, że wyznawcy musieli wciąż na nowo przeżywać dramat zabitego Ozyrysa i jego małżonki. Rytuał przedstawiał poszukiwania części ciała zabitego boga oraz składanie zwłok w całość i zmartwychwstanie Ozyrysa. Chrześcijanie wołają w Niedzielę Wielkanocną „Chrystus zmartwychwstał!” – tymczasem znacznie wcześniej o tej samej porze roku, wiosną, Egipcjanie wyznawcy Izydy wykrzykiwali: „Znaleźliśmy go – cieszymy się!”^[82].

Zanim Ozyrys na zawsze zstąpił w zaświaty i został ich władcą, spłodził z Izydą syna – Horusa. Zaświatów egipskich nie sposób pomylić z chrześcijańskim piekłem, gdyż stanowią one rodzaj równoległego świata. Żaden inny lud ani naród nie posiada tak zróżnicowanej topografii zaświatów jak Egipcjanie, którzy zaludnili je też najróżnorodniejszymi istotami.

Egipcjanie znali już sąd nad zmarłymi (jak później chrześcijanie i muzułmanie); przewodziła mu Izyda. Na słynnym fresku Michała Anioła *Sąd Ostateczny* Maryja unosi się obok Jezusa, który jest sędzią całego świata. Dlatego chrześcijanie modlili się do Maryi, by za jej pośrednictwem uzyskać wstawiennictwo za swymi najbliższymi na Sądzie Ostatecznym. Podobnie Egipcjanie upraszali Izydę o łaskę na sądzie po śmierci. Maryja, matka, mogła sądzić, mogła uzyskiwać przebaczenie dla duszy biednego grzesznika, podobnie jak Izyda decydowała, co się stanie ze zmarłym w zaświatach.

Izyda, najwspanialsza ze wszystkich starożytnych bogów, stała się wielką boginią antycznych kultów misteryjnych. Jako matka małego Horusa, *Isis lactans* – karmiąca bogini matka, stała się ikonograficznym wzorem dla Maryi Matki Bożej, *Marssia lactans*. Związek między obiema tymi postaciami widoczny jest szczególnie, kiedy porównamy Izydę z Państwowego Muzeum Sztuki Egipskiej w Monachium z Madonną Hansa Baldunga Griena z Berlińskiej Galerii Obrazów.

W średniowieczu uważano mleko Maryi za cudowny środek. Obłoznie

chorego biskupa Fulberta z Chartes (960–1028), leżącego na łożu śmierci, przywróciło do życia mleko Maryi, którym ta zwilżyła mu usta we śnie albo w jakimś widzeniu. Świętemu Bernardowi z Clairvaux Matka Boska ukazała się we śnie. Bernard obawiał się głosić kazanie wobec biskupa z Chalon, ale Maryja przekonała go do tego i podała mu pierś. Mleko Matki Bożej wzmocniło go i uczyniło wielkim kaznodzieją i teologiem.

Zarówno Izydę, jak i Maryję uważano za wzorowe matki, za matki prawdziwe; były postrzegane jako uosobienie macierzyństwa i jednocześnie jego wzór. Z tego względu w ikonografii matki dzielą się na karmiące i matki z dziećmi. W przeszłości zdarzało się nieraz nawet, że kiedy znajdowano obraz matki z dzieckiem, to mylono Izydę z Maryją. Na przykład w benedyktyńskim klasztorze w Saint-Gemain-des-Prés przez całe lata modlono się do Izydy zamiast do Maryi. Kiedy pomyłka wyszła na jaw, kardynał Guillaume Bricconnet (1445–1514) nakazał wyrzucić i zniszczyć wizerunek Izydy – nie mogło przecież być tak, że pobożni mnisi modlili się do pogańskiej bogini.

Pewne wyobrażenie o wielkości i wzniosłości Izydy, która doskonałością przypomina właśnie Matkę Bożą, daje antyczny autor *Złotego osła*, Apulejusz, kiedy każe się pojawić Izydzie. Ponieważ pisał po łacinie, używa łacińskich, a nie greckich imion bogów:

„Oto prośby twymi, Lucjusz, ubłagana, przychodzę ja, macierz wszechświata, pani żywiołów wszystkich, praźródło wszechwieków, ja z bóstw największa, ja, cieni podziemnych królowa, spośród niebian pierwsza, ja, której twarz obliczem jest pospólnym bogów i bogiń wszystkich, której skinienie rządzi świetlistymi sklepieniami nieba, uzdrawiającymi tchnieniami oceanów, rozpaczliwym piekieł milczeniem, ja, której jedno jedyne bóstwo cały czci świat we wielorakim kształcie, w różnym obrządku i pod różnorakim imieniem. Tam mnie Frygijczycy, na ziemi pierworodni, Pesynuncką bogów Macierzą zowią, tu Attykowie zasię, na ziemicy swej odwiecznie tubylczy, Minerwą Cekropską, ówdzie Cypryjczycy morscy Wenerą mienią Pafijską, łuczniczkowie Kreteńczycy zwą mnie Dianą Diktynną, Sykulowie trójjęzyczni Prozerpiną Stygijską, Eleuzynowie odwieczną Cererą, inni Junoną, Belloną inni, Hekatą tamci, Ramnuzją owi, ci zasię, na których wschodzącego słońca promienie naprzód padają: Etiopowie, Ariowie i prastarą mądrość przechowujący Egipcjanie – właściwymi mnie czczą obrzędami i prawdziwym oznaczają imieniem: Izydy królowej”^[83].

Obie matki mają również wspólne czarodziejskie, niemal magiczne zdolności. Izyda wyrokuje, głosi przepowiednie, ale Maryja także istnieje

w świadomości jako ta, która wypowiada tajemnicze przesłania, jak ostatnio na początku XX wieku w portugalskiej Fatimie. Maryja ukazała się tam trojgu dzieciom pasterzy i obwieściła im trzy wiadomości, z których trzecia, długo trzymana w tajemnicy, szybko obrosła legendami.

Maryja, podobnie jak jej starsza siostra Izyda, potrafi czynić cuda, obwieszcza, co się wydarzy, niekiedy płacze z drewna którejś z rzeźb albo nagle się zaciemnia. Ze względu na swą działalność cieszy się wielką popularnością i jest bliska ludziom, ponieważ ma litościwe serce i zawsze jest gotowa interweniować. Owe interwencje mają często wymiar magiczny, co tłumaczy się jej bliskością ludzi i codzienności. Most ludowej pobożności wykonany jest bowiem w dużej mierze z wyobrażeń magicznych.

Izyda jest królową nieba – Maryja również. Gloryfikacja Izydy, jakiej dokonał Apulejusz, przypomina hymn Bernarda z Clairvaux:

„Kiedy ponoszą cię burzliwe pokusy, znajdujesz się wśród raf zgryzoty, wznieś wzrok na Gwiazdę Morza, zawołaj na pomoc Maryję! Kiedy będą tobą we wszystkie strony miotać fale pychy, ambicji, oszczerstw, zazdrości, popatrz na Gwiazdę, zawołaj Maryję... W niebezpieczeństwie, potrzebie, niepewności – pomyśl o Maryi... Wzywaj ją, a nie zwątpisz, myśl o niej, a nie zbłądzisz... Kiedy ona cię trzyma, nie upadniesz. Kiedy cię osłania – nie masz się czego bać! Jeśli cię prowadzi, nie zmęczysz się. Jeśli jest dla ciebie łaskawa, z pewnością dotrzesz do celu!”^[84].

Bernard używa delikatnej gry słów, kiedy nazywa Maryję Stella Maris, Gwiazdą Morza, Apulejusz natomiast określa Izydę jako „matkę gwiazd”.

Później będziemy spotykać takie poetyckie modlitwy w Koranie i u sufich, gdzie chodzi o najpiękniejsze imiona Boga, które same stają się tajemnicą i formułami zaklęć i tym samym spektakularnie zyskują wstęp do zakazanej krainy magii. Nazwanie czegoś czy kogoś jest – jak to wiemy z baśni o karle Titeliturym – pierwszą i najważniejszą techniką magii. Poza tym także w Koranie izydiańska Maryja cieszy się wielką czcią.

Wróćmy jeszcze do ponadczasowej Izydy i jej kultu, którego treść była tak samo zagadkowa jak treści innych religii. Jednakże Apulejusz pisał o tym – otwarcie opisywał małe misteria, które rozgrywały się na oczach ludu.

Kobiety i mężczyźni w białych szatach, z namaszczonymi włosami,

muzykując, towarzyszyli kapłanom niosącym przed sobą symbole bogini: złotą, jasno świecącą lampę, w której migocze płomień, ołtarze, zwane „pomocami”, ponieważ ku nim pochylała się bogini, liście palmowe ze złota, laskę Merkurego (lub Hermesa), lewą rękę z rozpostartymi palcami jako symbol sprawiedliwości, naczynie ofiarne z mlekiem, skrzydło ze złotych liści laurowych i dzban z wodą. W symbolach przywoływane były atrybuty bogini. Przypominały one, że bogini jest sprawiedliwa i troszczy się o sprawiedliwość, że jej domeną jest płodność, wegetacja, plony i bogactwo – oraz że jest skłonna pomagać ludziom.

Potem następowali bogowie, „którzy raczyli iść przy pomocy ludzkich nóg”^[85]. Ci bogowie – psiogłowy Anubis albo krowa, wyprostowana w postawie rodzicielki wszystkich stworzeń – występowali zapewne pod postaciami przebranych ludzi. Możliwe też, że ludzie nie przedstawiali tak zwyczajnie bogów, tylko – jeśli wolno nam zaufać sformułowaniu Apulejusza – znajdowali się w pewnego rodzaju transie, świętej ekstazie, ponieważ wniknęli w nich bogowie. Apulejusz ujął to w ten sposób, że bogowie „zniżyli się” do ludzi. Dosłownie można to rozumieć tylko tak, że ludzie dobrowolnie stali się dla bogów mediami.

Głównym wydarzeniem było jednak (jak we wszystkich kultach) wtajemniczenie w wielkie misteria. Apulejusz relacjonuje, że bohater jego *Metamorfoz* Lucjusz był ubrany w grubą szatę i że został wprowadzony przez wysokiego kapłana do „najgłębszej części świątyni”. Niestety, więcej się na ten temat nie dowiemy: „Czytelniku życzliwy! Spytasz może z pewnym niepokojem, co następnie słyszałem, co ze mną robiono? – Powiedziałbym, gdyby mi powiedzieć się godziło... Dowiedziałbyś się, gdyby tobie słuchać było wolno. Ale tak samo winne byłyby płoczej ciekawości uszy, co by słuchały, jak wargi, co by mówiły”^[86].

Już podczas opisu małych misteriów zabrakło informacji o tym, co znajdowało się w świętych naczyniach, a teraz Apulejusz także nie kreśli właściwego rytuału wtajemniczenia. Chętnie opowiadający wszystko autor posunął się do ostatniej granicy, wypaplał, za co mógł być jeszcze odpowiedzieć. Nie przedstawia więc wprawdzie szczegółowo rytuału wtajemniczenia, ale w każdym razie opisuje jego istotę: „Do granicy śmierci doszedłem i progów Prozerpiny dotknąłem, a wróciłem przez bezdnie wszystkich żywiołów. W głębokiej nocy widziałem słońce ślepiącym blaskiem jaśniejące, patrzyłem w oczy potęgom piekielnym i niebieskim potęgom i do stóp ich czołem uderzyłem”^[87].

W trakcie tego wtajemniczenia nowo przyjmowanemu umożliwiano drogę do tego, co jest najgłębszym celem wszystkich tajemnych religii: do tego, by

zobaczyć Absolut, by w tym widzeniu zostać wybawionym od cierpienia i łez, zostać wyniesionym do Boga albo innego jakościowo Bytu, który triumfując, zerwie brudne pęta biednego, dyskryminowanego i udręczonego ludzkiego żywota.

Typowa dla trwających trzy dni inicjacji, jak dla wszelkich rytuałów przejścia, jest ich trójdzielność. Najpierw musi umrzeć dawny człowiek, dawny Adam. Wtedy następuje najbardziej niebezpieczna chwila, właściwe przejście. Wtajemniczany znajduje się w królestwie śmierci i musi dotrzeć do miejsca swego odrodzenia albo urodzenia. Istnieją kultury, w których wtajemniczani zostają pogrzebani (oczywiście mając dostęp powietrza) – muszą na przykład leżeć w trumnach albo przebywać nago w całkowitej ciemności. Nie otrzymują jedzenia ani picia. W niektórych rytuałach za pomocą jakichś substancji są wprowadzani w stan pozornej śmierci. Jogini są w stanie kontrolować oddech i pracę serca i dzięki temu sami potrafią się wprowadzić w stan śpiączki, z której wybudzają się po określonym samodzielnie czasie. Ta umiejętność rzeczywiście pozwala im dać się na jakiś czas pogrzebać.

Najbardziej zaskakujące jest jednak to, że trzecią częścią tego procesu jest narodzenie, przeprowadzane z wielką dokładnością i zręcznością inscenizatorską. W momencie narodzin wierny z całkowitej ciemności matczynego ciała, z „najgłębszej nocy” widzi, jak otwiera się kanał rodny, widzi światło absolutne, „słońce w jego najjaśniejszej jasności” i spogląda w twarze bogom. Jak noworodka kładzie się na piersi matki, aby poczuł jej zapach, tak wyznawca kultu widzi najpierw to, co dla nowego życia czy dla życia w ogóle jest najistotniejsze i decydujące: bogów. Ci, którym jako pierwszym spojrział w twarze, będą odtąd decydowali o jego życiu.

Tyle zdradził nam Apulejusz. Dzięki temu wiemy wprawdzie, co się działo, ale nie wiemy, jak się to odbywało, ponieważ to już przed nami ukrył. Drogę do zobaczenia bogów znajdziemy jedynie wtedy, kiedy sami będziemy wtajemniczani i prowadzeni. Zupełnie jakby ktoś opowiadał nam o urzekających kolorach Eldorado, ale zapominał dać nam mapę, która mogłaby nas tam zaprowadzić, albo przynajmniej dać jakąś najmniejszą choćby wskazówkę, gdzie tego Eldorado szukać.

Misteria tajemnych religii, jakkolwiek mogły wydawać się otwarte, były dobrze zabezpieczone. Nieupoważnieni, czy może lepiej powiedzieć: niepowołani, tam nie docierali. Drogi do nich niczym stalowe drzwi chroniły kolejne stopnie wtajemniczenia. Bohater powieści Apulejusza, Lucjusz, również odkrywa, że wtajemniczenie w wielkie misteria nie dało mu znajomości całej tajemnicy, gdyż

czeka go kolejna inicjacja, o której przebiegu również nie wolno mu mówić. Tym razem kapłani mieli go wprowadzać w misteria Ozyrysa, małżonka Izydy. Jednego z kapłanów Apulejusz nazwał Mitrą – ładna jest ta delikatna ironia.

Kolejna paralela między Izydą i Maryją polega na ich zdolności do wprowadzania innych w tajemnice. Biskup Ambroży z Mediolanu (330–397) uważał, że Jan właśnie dlatego więcej niż inni ewangelisci pisał o misteriach wiary chrześcijańskiej, że Matka Jezusa wprowadzała go w tajemnice swego Syna. To Jan miał też towarzyszyć jej przez ostatnie lata życia w Efezie.

W Egipcie istniały (i do dziś istnieją) czarne wizerunki Izydy – podobnie w chrześcijaństwie wielką popularnością cieszyły się tzw. Czarne Madonny, których wizerunki są obiektem czci na całym świecie, od Altöttig po Gwadelupę. Jako powód czarnej karnacji Maryi podaje się ściemnienie drewna albo farb, a w niektórych przypadkach obrazy od razu powstawały jako wizerunki „czarnej” Madonny. Od czasów średniowiecza obrazy te są przedmiotem szczególnego kultu i miejscem pielgrzymek. Robotnicy ze Stoczni im. Lenina w Gdańsku nosili plakietki z Matką Boską jako emblematy, jako znak, że są pod jej ochroną, i jako wyzwanie dla komunistycznego państwa – ich patronką była Matka Boska Częstochowska, polska świętość narodowa.

Do niektórych Czarnych Madonn odnosi się następująca legenda: Wrogowie, niewierni, Maurowie albo protestanci spalili kościół, w którym taki obraz się znajdował. Obraz Matki Bożej oparł się jednak płomieniom, szedł tylko pod wpływem gorąca i sadzy.

Inna tradycja z kolei chciałaby uczynić z Czarnej Madonny symbol Kościoła „chrześcijan z pogaństwa” (chrześcijan nieżydowskiego pochodzenia w I wieku naszej ery), ponieważ Maryja bardzo wcześnie uważana była za symbol Kościoła. We wczesnym średniowieczu pojawiła się idea, że *Pieśń nad pieśniami* Salomona nie jest zwykłym zbiorem świeckich pieśni weselnych i miłosnych, lecz świętym weselem opiewającym dziewiczą narzeczoną i jej boskiego narzeczonego. Sulamit oznaczała po prostu Kościół, tak jak Maryja, a Oblubieniec symbolizował Jezusa.

Z tego powodu także *Pieśń nad pieśniami* stała się elementem wyjaśniającym czarny kolor obrazów Madonny. Na aureoli Czarnej Madonny z miejscowości Březnice (Czechy) z 1396 roku znajduje się cytat z *Pieśni nad pieśniami*: „*Nigra sum sed formosa* – Śniada jestem, lecz piękna” (Pnp 1, 4). Nawiasem mówiąc, Biblia Lutra z 1984 roku w ujednoliconym przekładzie tłumaczy *nigra* jako *brązowa*, nie jako *czarna*, jak powinien brzmieć poprawny

przekład z łaciny^[88].

Czarna Madonna z Montserrat (*Mare de Déu de Montserrat*), patronka Katalonii, jest królową nieba. Tronuje jak władca, prawą ręką obejmuje Dzieciątko Jezus i błogosławi, w lewej ręce trzyma owoc granatu, ów imponujący symbol miłości, śmierci, zmartwychwstania i władzy.

Wizerunek Artemidy z Efezu również był czarny, tak jak obrazy Madonny – i tutaj koło się zamyka.

Kulty Kybele i Izydy stały się w Rzymie tajemnymi religiami. Imperium Romanum w ogóle stanowiło ogromną stację transformacyjną do nowoczesnego świata, przekształcającą antyczną wiedzę w średniowieczną, ale i nowożytną recepcję. Dopiero dzięki kształtowi i przekazowi, jaki te antyczne kulty uzyskały w Rzymie w czasach cesarstwa, stały się tajemnymi religiami, wywierającymi wpływ na świadomość i podświadomość współczesnego człowieka. Kulty misteryjne, w których centrum znajdowały się dotąd męskie bóstwa, znalazły się zatem pod wpływem religii matriarchalnych; połączyły je mityczne wprost więzy.

[64] *Cyt. za: Klaus Rosen, Julian Kaiser, Gott und Christenhasser, Stuttgart 2006, s. 267.*

[65] *Por. Klaus-Rüdiger Mai, De Vatikan. Geschichte einer Weltmacht im Zwielicht, Bergisch Gladbach 2008, s. 100 ff.*

[66] *Nie chodzi tu o to, czy jakiś 200- lub 300-osobowy klan albo plemię żyło w społeczności matriarchalnej, lecz o to, czy matriarchat stał się kiedyś – tak jak patriarchat – akceptowaną i równie rozpowszechnioną formą władzy.*

[67] *Joseph Ratzinger, Die Tochter Zion, Einsiedeln 1977, s. 9 f.*

[68] *W Eposie o Gilgameszuczytamy na temat miasta Uruk, jednego z najważniejszych miast Dwurzecza: „Wstąp, Urszanabi, na mury Uruk i przejdź się po nich, sprawdź podstawę, przebadaj cegły, czyż cegły te nie są wypalane i czyż siedmiu mędrców nie położyło fundamentów? Jeden SAR to obszar miasta, jeden SAR – ogrody, jeden SAR – nizina, teren niezabudowany świątyni Isztar: razem trzy SAR oraz teren niezabudowany – oto Uruk widzisz!”, Epos o Gilgameszu, tłum. Krystyna Łyczkowska, Piotr Puchta, Magdalena Kapeluś, Warszawa 2002, s. 59.*

^[69] *Tak u św. Pawła (1 Kor 53–55), który powołuje się na Ozeasza (13, 14) i Izajasza (25, 8): „Trzeba, ażeby to, co zniszczalne, przyodziało się w niezniszczalność, a to, co śmiertelne, przyodziało się w nieśmiertelność. A kiedy już to, co zniszczalne, przyodzieje się w niezniszczalność, a to, co śmiertelne, przyodzieje się w nieśmiertelność, wtedy sprawdzą się słowa, które zostały napisane: »Zwycięstwo pochłonęło śmierć. Gdzież jest, o śmierci, twoje zwycięstwo? Gdzież jest, o śmierci, twój oścień?«”.*

^[70] *Asyryjska modlitwa do Isztar, cyt. za: Sergiusz Golowin, Mircea Eliade i Joseph Campbell, Die großen Mythen der Menschheit, Freiburg, Berlin, Basel 1998, s. 259.*

^[71] *Cyt. za: Walter Delius, Geschichte der Marienverehrung, Basel 1963, s. 110.*

^[72] *Por. Hans Kloft, Mysterienkulte der Antike. Götter – Menschen – Rituale, München 2003.*

^[73] *Por. Gordon W. Wasson, Albert Hofmann, Carl A.P. Ruck, De Weg nach Eleusis. Das Geheimnis der Mysterien, Frankfurt am Main 1996.*

^[74] *Hipolit z Rzymu, Traditio Apostolica, rozdz. 21, [w:] Fontes Christiani, Freiburg u a. 1991, s. 261 f.*

^[75] *Benedikt XVI, Jesus von Nazareth, Bd. 1, Freiburg, Basel, Wien 2007, s. 46.*

^[76] *Apulejusz, Metamorfozy albo Złoty osioł, tłum. Edwin Jędrkiewicz, Warszawa 1958, s. 267.*

^[77] *Hans Kloft, Mysterienkulte der Antike. Götter – Menschen – Rituale, München 2003, s. 20.*

^[78] *Cześć oddawana kamieniom brała się przede wszystkim z tego, że stanowiły coś pierwotnego, jak w hetyckiej Pieśni o Ullikummi. W tym micie walka z ożywionym kamieniem stała się wręcz walką o egzystencję.*

^[79] *Gajusz Waleriusz Katullus, Poezje, tłum. Anna Świderkówna, Wrocław 2005, s. 71–72.*

[80] *Tamże.*

[81] *Klemens Aleksandryjski, Mahnrede an die Heiden, rozdz. 2, ak. 13, [w:] Des Clemens von Alexandria ausgewählte Schriften, „Bibliothek der Kirchenväter”, 2. Reihe, Bd.7, München 1934.*

[82] *Apulejusz, Metamorfozy albo Złoty osioł, tłum. Edwin Jędrkiewicz, Warszawa 1958.*

[83] *Apulejusz, jak wyżej, s. 251.*

[84] *Bernard z Clairvaux, Kazania o Najświętszej Maryi Pannie, Kazanie 2, 17.*

[85] *Apulejusz, Metamorfozy albo Złoty osioł, Warszawa 1958, s. 256.*

[86] *Tamże, s. 266.*

[87] *Tamże, s. 267.*

[88] *Nigra sum sed formosa*– czytamy w Wulgacie. W różnych przekładach na niemiecki tłumaczy się to jako „czarna”, „ciemna”, „śniada”. Ponieważ nigra może znaczyć czarna lub ciemna, ale nie brązowa (wtedy musiałoby być fuscus), najlepiej wypada przekład w wydaniu z 2009 r.: „Czarna jestem i piękna” (*Schwarz bin ich und schön*). W oryginalnym przekładzie Martina Lutera słowa te brzmią: „Jestem czarna, ale całkiem ładna”, natomiast luterańska Biblia z 1984 r. tłumaczy nigra jako „brązowa”: „Jestem brązowa, ale całkiem ładna” – czy mamy tu do czynienia z dostosowaniem tekstu Biblii do naszych czasów, z jakimś wczesnym przejawem poprawności politycznej?

Książka dla none none

RADOŚĆ ŻYCIA I ZEPSUCIE – DIONIZOS I JEGO ORSZAK

Najważniejszym odpowiednikiem Kybele jest Dionizos. Podobnie jak wielka bogini, Dionizos pochodził z Frygii – był bogiem wina, radości życia, potencji, swawolnym i równie nieokiełznanym i dzikim jak Kybele. Już samo jego przybycie do Rzymu miało dramatyczny przebieg. Miała to być tajna akcja, jakiej pod względem skuteczności i zasięgu Rzym wcześniej nie zaznał.

7 października 186 roku p.n.e. dwaj konsule, Spuriusz Postumiusz Albinus (zm. w 80 roku p.n.e.) i Quintus Marcius Philippus (ur. ok. 229 r. p.n.e.) zaintonowali przed wielkim rzymskim zgromadzeniem ludowym żarliwą modlitwę. Upraszcali o wsparcie Jowisza, nim przekazali ludowi wiadomość o grożącym miastu i republice spisku, na którego ślad natrafili. Niebezpieczeństwo było coraz bliższe – tym razem nadchodziło ze strony religii, nie polityki. Jakiś tajemny kult podbitych Greków z powodzeniem opanował całą Italię, przede wszystkim jednak Rzym.

Historyk rzymski Tytus Liwiusz, który zawarł ten epizod w 39. księdze swojej historii Rzymu, nie napisał, który z konsulów wygłosił mowę do Senatu, ale jest pewne, że cała złość rzymskiego establishmentu kierowała się przeciwko prawdziwej lub rzekomej rozpuście kultu Dionizosa, który robił wtedy furorę pod nazwą Bachanaliów. Przed znanymi z surowych obyczajów konsulami otwierała się otchłań zepsucia. Ich oczom ukazywały się okropne działania tych, „którzy umysły ludzkie, opanowane drożnymi i obcymi wierzeniami, pędzili jakby bodźcami szału do wszelkiej zbrodni, do wszelkiej rozwiązłości... Wiem dobrze, żeście się nie tylko z pogłosek dowiedzieli o uprawianiu od dawna już w całej Italii, a obecnie także w Rzymie w wielu miejscach bakchanalii, ale że znacie to również z nocnych hałasów i krzyków rozbrzmiewających po całym mieście”^[89]. Mówcę ogarnęła odraza; podzielali ją też słuchacze, którzy przysłuchiwali się temu z coraz większą zgrozą.

Konsul zakładał, że wszyscy słyszeli w tej czy innej formie o tajemnych religiach. Było czymś więcej niż plotką, że mężczyźni i niewiasty zbierali się u stóp Awentynu na wspólny nierząd. Jednakże mówca zdołał uspokoić porządnych obywateli, prowadząc ich słowo po słowie w pożądanym przez siebie kierunku. Zapanowała powszechna ulga, gdyż konsul znał oczywiście lubieżników stojących za tym kultem: „Otóż wielka ich część to przede wszystkim kobiety. One też były początkiem tego zła. Następnie podobni do kobiet mężczyźni, poddający się nierządowi i uprawiający nierząd, oszołomieni od bezsenności i wina, ogłupiali nocnymi hałasami i wrzaskami”^[90].

Pikantny i alarmujący okazał się fakt, że chodziło przede wszystkim o kobiety z towarzystwa, o rzymskie matrony dźwigające ciężar publicznych cnót, które pod płaszczykiem religii próbowały umknąć sztywnym nakazom moralnym.

Szanujące się kobiety mogły w republikańskim Rzymie opuszczać domostwa wyłącznie w towarzystwie ojców, mężów lub braci; musiały też mieć przesłoniętą twarz. Może to być dla nas trudne do zrozumienia, ale kult greckiego boga Dionizosa, zwanego po łacinie Bachusem, pogrzebał fundamenty rzymskiej republiki, ponieważ podał w wątpliwość powszechną zgodę na nią. Konsul przedstawił naciągające niebezpieczeństwo w drastycznych słowach: „Sprzysiężenie to nie ma jeszcze żadnych sił, ale ma olbrzymi przyrost sił! Z każdym dniem liczy więcej osób” i „jest waszym obowiązkiem [...] postarać się o to, żeby w wyniku podstępnego działania winnych nie powstało jakieś niebezpieczeństwo czy zakłócenie spokoju publicznego”^[91]. Konsul ujrzał republikę upadającą w orgiach ku czci Bachusa, w Bachanaliach, pijaną i osłabioną. Należy zwrócić uwagę, że konsul nie mówił o religii czy kulcie, jakim w istocie były Bachanalia, lecz o spisku. Nieposkromiona żądza, degeneracja i wynaturzenia obywateli, na których opiera się ustrój państwa, to robak toczący republikę? Przed tym mógł tylko, chciał, ba – musiał usilnie ostrzec współobywateli, którzy być może nie doceniali skali zagrożenia, ponieważ nie widzieli go w pełnym wymiarze, tak jak on. Chodziło tu też bowiem o jedną z najważniejszych instytucji publicznych, o instytucję, która odróżniała Rzym od innych państw-miast, mianowicie o powszechny i równy obowiązek obrony dla wszystkich obywateli miasta.

Imperium wywalczyli bowiem rzymscy obywatele, którzy razem ze wszystkimi innymi, czy byli biedni czy bogaci, stali solidarnie w falandze, co powodowało, że czuli się wspólnie odpowiedzialni za losy miasta. Obowiązek obrony stanowił jeden z filarów dźwigających ciężar republiki, filar wspólnej sprawy. Teraz był zagrożony obowiązek obrony, była zagrożona wspólnota: „I gdybyście jeszcze wiedzieli, w jakim wieku wtajemniczano mężczyzn, to byście się nie tylko litowali, ale wprost wstydzili! Bo czy wy, Kwiryści, sądzicie, że z wtajemniczonych takim zaprzysiężeniem młodych ludzi możecie mieć żołnierzy? Że wyciągniętym z tak niemoralnego kultu można dać do ręki broń? Że tacy ludzie, okryci hańbą własnego i cudzego nierzędu będą z mieczem w ręku bić się w obronie obyczajności waszych żon i dzieci?”^[92]. W republikańskim odczuciu Rzymian młodzi mężczyźni tracący swe siły w biseksualnym nierzędzie nie byli zdolni do powiększania imperium i do jego obrony. Wartości żywe w republice przetrwały w okresie cesarstwa już tylko w retoryce.

A zatem tak naprawdę o to chodziło. Należało zapobiec infiltracji Rzymu, swobodnemu i wyzywającemu chodzeniu kobiet i moralnemu zniszczeniu mężczyzn. Jeszcze w trakcie mowy konsula, kiedy wzburzał on serca Rzymian, urzędnicy Senatu przeczesywali domy, ulice i place w poszukiwaniu kapłanów i aktorów tego kultu – a więc spiskowców. Podobnie jak w Rzymie, polowanie na bachantów zorganizowano w całej Italii, zupełnie jakby chodziło o unieszkodliwienie najgorszych przestępców. W pewnym sensie tak też było. Społeczeństwa, które zdradzają swoje podstawowe wartości, ulegają rozpadowi.

Uwięzionych zostało niemal 7000 ludzi, setki stracono. Kultuwanie Bachanaliów mogło się odtąd odbywać tylko pod kontrolą społeczną i z zachowaniem surowych zasad. Kto w dalszym ciągu oddawał hołd Dionizosowi, był jednak uważany za człowieka upadłego moralnie. Miało to tym większą wagę, że wyznawcy Dionizosa mogli odtąd służyć swemu bogu jedynie na oczach opinii publicznej, co jest całkowicie sprzeczne ze specyfiką kultu. W każdym razie nie wolno już było oddawać Dionizosowi czci w ukryciu i nocą. W ten sposób w Rzymie ocenzurowano i wykastrowano boga płodności i urodzaju.

Złość senatorów łatwiej będzie zrozumieć, gdy uświadomimy sobie, że największym osiągnięciem Rzymian, uosobieniem cnoty ich państwowości była dyscyplina. Ich wojska zwyciężały, gdyż kierowały się przemyślaną, bo dobrowolną i wypływającą z przekonania dyscypliną. Dionizos był natomiast wcieleniem całkowitego braku dyscypliny, orgii i anarchii. Wynikała z tego niesłychana dywersyjność Bachanaliów.

Brakuje niestety świadectw na temat tego, w jaki sposób kult Dionizosa przetrwał i czy wiódł jakiś utajony żywot. Wiadomo jednak na pewno, że przetrwał prześladowania, republikę i wojny domowe, a w czasach cesarstwa przeżył wspaniałe zmartwychwstanie jako religia misteryjna. Zmartwienie obu konsulów, że Bachanalia zepsują młodych mężczyzn, zobowiązanych do obrony kraju, w okresie cesarstwa straciło znaczenie, gdyż Rzymianie od dawna mogli albo się od zaciągu wykupić, albo wysłać na wojnę swego niewolnika. Obowiązek powszechnej obrony praktycznie przestał istnieć. Armia rzymska podupadła do rangi wojska niższych warstw, niewolników i poszukiwaczy przygód. Należy przyznać rację Tacytowi, który przewidywał, że zniesienie powszechnego obowiązku obrony stanowi początek końca Imperium Romanum.

Wojny domowe demoralizowały Rzym. W miarę jak zanikały sens i wartości cesarstwa, a egoistyczna i dekadentka elita postępowała coraz bardziej cynicznie

i oddawała się niewyobrażalnemu luksusowi, tajemne religie zyskiwały coraz większą popularność. Ponieważ państwo nie oferowało już żadnych wartości – jakież bowiem starorzymskie cnoty mogli pokazać jacyś Neronowie, Kaligule czy Klaudiusze – ludzie zaczęli poszukiwać nowego sensu. Uciekano oczywiście w życie prywatne, jednakże państwo, które coraz mniej potrafiło chronić egzystencję i bezpieczeństwo obywateli, pokazało wkrótce, że i szczęście w życiu prywatnym było tylko iluzją.

Trudno było uniknąć odpowiedzi na coraz bardziej aktualne pytanie: jak należy żyć? Czy odmawiać sobie rozkoszy, skoro i tak nadejdzie czas, kiedy na wszelkie przyjemności będzie za późno, bo człowiek umrze i zostanie mu tylko grób? Czy z tego względu należy używać na ziemi ile się da, bo pewnego dnia człowiek przestanie istnieć i nie będzie miał już do tego okazji? Czy istnieje wieczność? Czy może jest to tylko skończoność? I ile jest warta owa skończoność, skoro okazała się w najwyższym stopniu niepewna i nie ochroniła nawet wycofania się w prywatność?

Na te niecierpiące zwłoki pytania odpowiedzi udzielały nieliczne nurty filozoficzne i wiele nowych religii. W sytuacji moralnej i filozoficznej pustki wykształciły się dwa typy alternatywnych koncepcji sensu życia: religie misteryjne, takie jak kult Dionizosa czy Izydy, oraz religie oparte na zbawieniu – takie jak chrześcijaństwo i gnoza. Do tego dochodziły odpowiedzi filozoficzne, takie jak neoplatonizm czy stoicyzm, które ze swoim amalgamatem spekulacji i etyki wkraczały na pole religii i wpływały na te nowe religie. Religią republiki były łączące wszystkich obywateli wartości oraz cnoty, niekiedy wprowadzane drakońskimi metodami; kiedy tej religii zabrakło, w cesarstwie powstało miejsce dla wielkiej rozwiązłości i podwójnej moralności. Nie jest przypadkiem, że to właśnie wtedy dawne kultury, odmienione teraz jako religie misteryjne, świętowały swe odrodzenie. Starożytne cnoty zostały częściowo pokonane przez dziwaczne misteria nowych kultów, proponujących alternatywny, moralny (czyli potwierdzony przez Boga) świat. Te alternatywne światy były jednak dla cesarza zupełnie niegroźne – wyjąwszy chrześcijaństwo – ponieważ miały silne znamiona prywatności.

Cesarze istotnie traktowali religie ze spokojem, pod warunkiem jednak, że każdy hołdował przede wszystkim bogom uznawanym w imperium – no i cesarzowi. Władców nie bardzo interesowało, ku jakiej wierze skłaniali się ludzie prywatnie, poza tą państwową religią. Wszystkie religie i wszystkich bogów można było bowiem zrozumieć, nazwać i w razie czego także „przetłumaczyć” na inną religię – wszystkich z wyjątkiem Boga chrześcijańskiego, który kategorycznie

wykluczał wszelką konkurencję. Co więcej, chrześcijanin nie mógł wyznawać religii państwowej i składać ofiar cesarzowi, ponieważ w ten sposób sprzeniewierzyłby się swemu wyznaniu wiary^[93].

Zupełnie inaczej wyglądała sprawa religii misteryjnych. One nie kolidowały z bogami imperium i kultem cesarza, dzięki czemu były oficjalnie dozwolone. Obiecywały ludziom szczęście i zbawienie – jednakże drogę do niego kapłani i wyznawcy utrzymywali w tajemnicy. By móc wkroczyć na tę drogę, należało ślubować milczenie i przejść próbę bezwzględного oddania bogu albo bogini. Kiedy ktoś był wyświęcany na mista, mógł brać udział w kultach misteryjnych. Zarówno samo wtajemniczenie, jak i rytuały i ceremonie tej religii były ściśle tajne i nie wolno ich było nikomu wyjawiać. Dyscyplina wtajemniczonych, dochowywanie tajemnicy funkcjonowało tak dobrze, że mimo szeroko zakrojonych badań nadal nie dysponujemy znajomością konkretnych treści inicjacji, religijnej dramaturgii i funkcji poszczególnych elementów kultu. Wyobraźmy sobie, że ktoś dysponuje szczątkową znajomością chrześcijaństwa i znajduje połówkę hostii. Z porównania z innymi kultami zyskuje wprawdzie wyobrażenie o tym, że ten rytualny posiłek ma łączyć wierzących z Bogiem, co samo w sobie nie jest nieprawdziwe, ale jak, kiedy i w jakim kontekście, kto komu ten opłatek podaje – tego wiedzieć nie będzie, a już na pewno nie wywiedzie z tych danych istoty Przeistoczenia.

Tajemnica służy ochronie przed niegodnymi. Ponieważ misterium służy rzeczywistemu spotkaniu z bóstwem, tajemnica działała tutaj jak brama, przez którą mogli się dostać jedynie ci, którzy traktowali poważnie służbę bóstwu. Ta brama zabraniała natomiast dostępu ciekawskim oraz szarlatanom, ponieważ oni by to bóstwo poniżyli. W służbę bóstwu człowiek stawiał całe swoje życie i miał służyć do śmierci, a tak naprawdę – także później. W końcu to bóstwo obiecywało wtajemniczonymu człowiekowi w zamian za służbę dobre życie w innym świecie, zwanym „tamnym światem”, a później rajem. Takie zobowiązanie, wykraczające poza fizyczną śmierć, dokumentowały chociażby cmentarze, na których chowano wyłącznie wyznawców Dionizosa. W ich grobach znajdowały się złote płatki w kształcie serca, które kładziono na piersiach zmarłym mistom w czasie pogrzebów, a które zawierały przesłanie na tamten świat, coś w rodzaju biletu wstępu do życia po śmierci.

Powróćmy raz jeszcze do świata greckich bogów, do splodzenia i narodzin Dionizosa. Jest to historia niczym z prasy bulwarowej. Zeus, ojciec bogów, notorycznie zdradzający żonę, po raz kolejny zakochał się w młodej dziewczynie, córce króla Kadmos. Księżniczka nazywała się Semele, uwierzyła flirciarzowi

i wkrótce zaszła w ciążę. Natomiast zdradzona żona Zeusa Hera, płonąć żądzą zemsty, wkradła się do młodszej rywalki przebrana za mamkę. Zręcznie i podstępnie udało jej się obudzić w dziewczynie wątpliwości, czy jej kochanek i ojciec jej dziecka rzeczywiście jest wszechwładnym Zeusem, a nie jakimś hochsztaplerem. Pełna wewnętrznej niepewności, zwiększonej jeszcze przez błogosławiony stan, Semele błagała ukochanego, by objawił się jej w swojej prawdziwej postaci. Zeus bardzo się starał wybić jej z głowy to śmiertelnie niebezpieczne życzenie, nie udało mu się jednak odwieść od niego dziewczyny, ale nie mógł odmówić jego spełnienia. Pokazał się więc kochance w całej swojej wspaniałości – jako piorun, w którego ogniu Semele spłonęła. Hermes, posłaniec bogów, uratował nienarodzone dziecko, wyciągając je na czas z płonącego ciała matki i wkładając w udo Zeusa.

Dionizos właśnie dlatego pozostał nieśmiertelny, że urodził go bóg, sam Zeus. Na długo przed pojawieniem się religii monoteistycznych obecne było przekonanie, że człowiek nie jest w stanie znieść prawdziwego widoku boga, ponieważ boskość przekracza ludzką zdolność pojmowania. Stąd *pojawienie się* boga oznaczało, że się on zbliża do człowieka w zjawiskach (jako byk czy jako płonący krzew), posyła swego syna pod postacią człowieka albo anioła, który przekazuje jego przesłania.

Chociaż więc boskość była niemożliwa do oglądania, ludzie wciąż szukali tajnymi ścieżkami dróg dotarcia do niej. Semele zapłaciła za to życiem, inni, jak młodzieniec z Sais z ballady Schillera – stracił rozum. Jednakże do dzisiaj nie ma ofiary, której ludzie by nie ponieśli, by swego Boga (boga) zobaczyć – są gotowi poświęcić rodziców, rodzeństwo, dzieci lub przyjaciół oraz mieszczańską egzystencję.

Dionizosa wychowały nimfy. Jego najbliższym przyjacielem został satyr Ampelos. Kiedy Ampelosa zabił rozsierzony byk, bogowie zamienili umarłego satyra w winny krzew. Orszak Dionizosa zbierał winogrona z winorośli i wyłaczał je – w ten sposób zdeptyany, a więc symbolicznie raz jeszcze uśmiercony, Ampelos powstawał z martwych w postaci wina. Pijąc winny sok, Dionizos jednoczył się z przyjacielem (to znowu przypomina chrześcijaństwo: „To jest kielich krwi mojej. [...] Bierzcie i pijcie...”). Picie wina podczas Ostatniej Wieczerzy i podczas Bachanaliów staje się w obu religiach centralnym punktem rytuału. Notabene nikt nie wie, ile wina wypito podczas Ostatniej Wieczerzy). W ten sposób Dionizos stał się bogiem wina. Uwolnił swą matkę Semele z zaświatów i zapewnił jej miejsce na Olimpie, w mieszkaniu bogów.

Dionizos pozostał jednak tym bogiem, który ze swym dzikim orszakiem ciągnął przez okolice, pozostał bogiem upojenia i męskiej siły, witalności, wiosny, płodności i anarchii. Wiosną, 16 i 17 marca, w cesarskim Rzymie świętowano Bachanalia. To raz jeszcze potwierdza bezspornie, że Dionizos był bogiem wiosny, urodzaju i wegetacji.

Boski porządek naruszył już wtedy, kiedy zmusił mieszkańców Olimpu do przyjęcia do siebie śmiertelniczki, którą uczynił boginią. Sławny jest także epizod, kiedy na wyspie Naksos znalazł na plaży śpiącą królewską córkę Ariadnę. Tezeusz ją porzucił i nikczemnie pozostawił na wyspie, choć pomogła mu się wydostać z labiryntu Minotaura. Dionizos zakochał się w porzuconej i pozyskał jej względy:

Chwycił ją więc w objęcia i pocałunkami

osuszył łzawe oczy. „Razem podążajmy –

rzekł – ku niebieskim sferom^[94].

Wesele śmiertelnej dziewczyny z bogiem płodności było świętym weselem (*hieros gamos*), którego sens polegał na ciągłym płodzeniu, a więc na stałym odmładzaniu i odradzaniu życia. Męski bóg, który wraz ze swym orszakiem zdaje się niemal pękać od tej płodności, uwodzi smucącą się i pozostawioną kobietę, wciągając ją w swe własne upojenie.

Dionizos, bóg i sztywny penis, jest istotą upośledzoną, niebiańską w swym przywiązaniu do ziemi, boską w swym człowieczeństwie, szelmowską i naiwną, kochaną i okropną jednocześnie, dużym dzieckiem, które potrafi się tylko bawić. Sam jest owocem skoku w bok, niezmordowanym, który nade wszystko kocha miłość, upojenie i święto. Kobiety zwane menadami (od *mania* – szaleństwo, wściekłość) podążały za nim w dzikie góry, gdzie wspólnie odbywali orgie. Mężczyzn nazywano satyrami – pierwotnie były to istoty pół ludzkie, pół zwierzęce, zazwyczaj pół kozły, pół mężczyźni, których charakterystyczną cechą był wielki fallus, często w stanie erekcji.

Bachanalia

Wybryki seksualne, przesadne upojenie winem, może także środki odurzające wpędzały wyznawców Dionizosa w stan beczasowości. Pobudzająca zmysły muzyka była nieodłączną częścią Bachanaliów, świąt ku czci boga wina. Jednakże i tutaj chodziło przede wszystkim o to, by przewyciężyć czas i wydzielić

człowieka z realnego świata.

Wyznawcy Dionizosa w Rzymie spotykali się nocą na nabożeństwach, które nazywali Bachanaliami i które poprzedzali czasem oczyszczenia i postu. Określano ich mianem bachantów; nosili kultowe stroje w postaci skór panter, jeleni albo saren, na głowy zakładali wieńce z kwiatów, w rękach trzymali tyrs, czyli łądygę olbrzymiego kopru włoskiego, którą oplatali winoroślą. Strój kultowy obowiązuje do dzisiaj.

Nie wiadomo, czy neofici i mistowie brali udział w tych samych ceremoniach, czy też istniały różne rodzaje uroczystości dla różnych stopni wtajemniczenia. Jest jednak bardzo prawdopodobne, że Bachanalia były dla wszystkich, ale dzieliły się na uroczystości dla uczestników o różnym stopniu wtajemniczenia. Istotą kultu misteryjnego i tajemnej religii jest to właśnie, że ci bardziej zaawansowani w służbie bogu dążą do głębszego poznania samego boga i jego kultu, a ukryty sens niektórych rytuałów poznają dopiero na wyższych etapach wtajemniczenia, co znowu stanowi warunek dalszego zbliżenia do boga.

Z jednej z niezwykle rzadkich inskrypcji na temat tego kultu wynika, że w kulcie Dionizosa kapłanki Agripinilli istniały różne stopnie wtajemniczenia – byli tam więc między innymi *hierofanci* (arcykapłani), *daduchos* (noszący pochodnię), *bukólos* (pasterze bydła) i *phallophoros* (noszący fallusa). *Hierofant* odsłaniał, obwieszczał lub objawiał tajemnicę. *Daduchos* pochodził już z misteriów eleuzyńskich, gdzie jako niosący pochodnię piastował drugie co do ważności stanowisko. Ten sakralny urząd strażnika boskiego światła występuje chyba we wszystkich religiach misteryjnych i przetrwał do czasów chrześcijańskich, gdzie akolit, świecki uczestnik nabożeństwa, był odpowiedzialny za światło i wino. *Bukóloi* jako sakralni urzędnicy kultu symbolizowali moc i siłę byka. Możliwe, że byli odpowiedzialni również za ofiarę z byka (*taurobolium*), jeśli miała ona miejsce w kulcie Dionizosa. *Phallophoroi* nosili przed sobą duże skórzane fallusy jako organy boga. Ponadto wspomina się o grupach młodych ludzi, młodym orszaku Dionizosa, co wskazuje na rytuały inicjacji i dojrzewania, takiej swoistej komunii albo konfirmacji.

W II wieku n.e. Pompeja Agripinilla zgromadziła wokół siebie w Tusculum w Górach Albańskich około czterystu wiernych. Oprócz wyżej wymienionych urzędników sakralnych wspierało ją siedmiu kapłanów i dwie kapłanki. W maskach i kostiumach urządzali procesje, które przyjęły się w chrześcijaństwie jako pochody karnawałowe. Fascynujące, że wolność, swoboda i nieokiełznanie pochodów dionizyjskich przeniesione zostały wprost do chrześcijaństwa. Wolność tych trzech

fantastycznych dni respektowali później nawet papieże; podczas ich trwania mieszkańcy chrześcijańskiego Rzymu wyjęci byli oficjalnie spod jurysdykcji papieskiej. W całym chrześcijańskim roku ludzie otrzymali trzy pogańskie dni na rozładowanie swoich skłonności.

Podczas Bachanaliów uroczyście pito wino, tańczono, grano, odczytywano teksty, wykonywano święte uczynki i ofiarowania. Nie sposób dziś powiedzieć, na ile wszystko to kończyło się seksualnymi wybrykami.

Nie możemy też dziś ocenić, czy relacje, które przetrwały do naszych czasów, są przesadzone czy nie. Orgie należały przecież do misterium; należy zatem przyjąć, że skąpe informacje uzupełniała i wzbogacała niestety fantazja tych, którzy o nich pisali. Dotyczyło to zwłaszcza chrześcijańskich autorów, którzy w niedostatku faktów dostrzegali dogodną możliwość przedstawiania pogańskich rytuałów jako grzechów śmiertelnych. Senatorowie rzymscy wzywali jednak do prześladowania wyznawców Dionizosa z powodów politycznych. A zatem nie tylko chrześcijanie uprawiali ten mroczny proceder wzmacniania własnych wyobrażeń o moralności kosztem zniesławiania innych idei bez troszczenia się o prawdę, która mogła popsuć całą tę zabawę.

Już samo greckie słowo *orgia* ma niepewne pochodzenie. Pierwotnie oznaczało ono przeprowadzane nocą (tajemne) działanie religijne i wywodziło się od pojęcia *érgon*, znaczącego jedynie dzieło lub działanie. Dopiero pogłoski o ukrytych praktykach bachantów uczyniły z *orgia* orgię w takim znaczeniu, jak to dziś rozumiemy.

Słowo *érgon* w długiej tradycji alchemii stało się w XVII wieku centralnym pojęciem różokrzyżowców i odnosiło się w ich tajemnej nauce do „dzieła” jako takiego, sprowadzonego do tworzenia kamienia filozoficznego. Dopiero w XVIII wieku, kiedy pojawiły się pogłoski o awanturniczych misteriach dionizyjskich, słowo *orgia* nabrało dzisiejszego znaczenia: rozwiązłych poczynań seksualnych i alkoholowych.

Co zatem wiemy na temat Bachanaliów, kultu Dionizosa? Centralną ich część stanowiło odsłonięcie boskiego fallusa. Miejscem tych mistycznych uroczystości była co najmniej jakaś ustronna jaskinia albo grotta, co wskazuje na pierwotną ojczyznę boga: dziką Frygię w górzystych okolicach Anatolii. Grotta i odkryty fallus symbolizowały święte zaślubiny jako akt płciowy. W bachanaliach oddawano się radości życia, hołdowano wolności i cieszą się całkowitą swobodą i brakiem zobowiązań. W ten sposób i wierni, i adepci zyskiwali przedsmak życia,

jakie po śmierci miał im zapewnić Dionizos. Niektórzy widzieli w nim wszechmocnego władcę świata i nazywali go *dios nous*, co oznacza „duch boży” i odnosi się do zasady działającej w świecie.

Misteria obiecywały człowiekowi wieczne zbawienie, szczęście i wybawienie z ziemskich cierpień – także dzięki kultowi wina. Może się to wydawać paradoksem, ale akurat oba te elementy, obietnicę wiecznego zbawienia i symbol wina, wykorzystywano powszechnie we wczesnym chrześcijaństwie, by nawrócić ludzi związanych z tym pogańskim kultem. Przyczyna sukcesu misji chrześcijańskich tkwiła w tym, że pogańskie obyczaje po prostu interpretowano w duchu chrześcijaństwa, niwelując w ten sposób różnice utrudniające konwersję. Mówiąc w skrócie: Chrystus wszedł na miejsce Dionizosa, ale Dionizosa oczyszczonego, uduchowionego. Można przytoczyć wiele dowodów na potwierdzenie tych słów. Na przykład Klemens Aleksandryjski, żyjący w epoce kultu Dionizosa, porównywał cierpiącego Chrystusa do rozgniecionego w tłoczni winogrona, które dla antycznego boga nie było oczywiście wspomnieniem Jezusa, tylko satyra Ampelosa, zabitego przyjaciela Dionizosa.

Wczesne chrześcijaństwo chętnie kopiowało i przejmowało skrywanie praktyk religijnych, misteria religii, nabożeństwa z „urzędnikami” sakralnymi w określonej i symbolicznej kolejności czy wreszcie procesje. W ten sposób w chrześcijaństwie przyjęły się pogańskie podziemne krypty, występujące w różnych okresach w historii i pojawiające się także dzisiaj. Na przykład w nocy Walpurgii połączyły się elementy dionizyjskiego kultu z germańskimi wyobrażeniami Dzikiego Łowu i przemieszały się z dawną wiarą Frygów i Germanów w czarownice.

Poza tym w późnym okresie kultu Dionizosa, jakoś od III i IV wieku n.e., w Bachanaliach coraz częściej zaczęły pojawiać się cechy kultu Orfeusza.

Tracki śpiewak i muzyk Orfeusz z bóleści za swoją zmarłą żoną Eurydyką zstąpił w zaświaty. Jego śpiew tak poruszył bogów Hadesu, że pozwolili Eurydyce powrócić do życia. W tej formie nawet nowoczesny teolog katolicki potrafi połączyć ten mit z Chrystusem: „Ukrzyżowany Chrystus jest prawdziwym Orfeuszem, wyprowadził ludzkość jako swą oblubienicę z głębi mroków Hadesu – Orfeusz Bakchikos”^[95].

W micie o Orfeuszu doszło do głosu jedno z największych marzeń ludzi, pragnących wyrwać ukochanego człowieka śmierci i sprowadzić go z zaświatów na ziemię. Ten motyw spotyka się zapewne we wszystkich mitologiach. W Japonii

istnieje bóg stwórcy Izanagi, który chce uwolnić z podziemi swą żonę. Ratunek nie może się udać, ponieważ zmarła już spożyła posiłek w krainie śmierci. Trudno pogodzić się z tym, że zwykle zjedzenie czegoś w świecie umarłych staje się wieczystą niewolą, z której nie ma ratunku i wobec której nawet bogowie są bezradni. Podobny problem występował przecież w micie o Demeter, która nie mogła wyprowadzić córki z Hadesu, ponieważ Kora już spożyła tam pestki granatu.

Z czasem Orfeusz stawał się coraz bardziej mistycznym poetą i filozofem dawnych czasów, który miał układać *heroi lógoi* (święte mowy), o jakich czytamy u Goethego (*Urworte orphisch*). Tajemnego słowa, praslówa, poszukują wszyscy adepti tajemnych wyznań aż do naszych czasów. Idea słowa, które stwarza, istnieje zarówno w judaizmie, jak i w islamie, gdzie dzieło stworzenia potrzebuje tylko jednego słowa wypowiedzianego przez Boga. „I rzekł Bóg...” – czytamy w Starym Testamencie. W chrześcijaństwie przypada mu wyjątkowe znaczenie, gdyż to słowo się wciela, staje się ciałem, w człowieku rodzi się Bóg:

A Słowo stało się ciałem

i zamieszkało wśród nas.

I oglądaliśmy jego chwałę,

chwałę, jaką Jednorodzony otrzymuje od Ojca,

pełen łaski i prawdy. (J 1, 14)

W chrześcijańskiej Europie żywe pozostało zarówno wyobrażenie silnego boga Dionizosa, jak i mitycznego śpiewaka Orfeusza. Należy też przypomnieć, że niektórzy biskupi i pisarze chrześcijańscy nosili imię Dionizos – na przykład ojciec całej mistyki chrześcijańskiej Dionizy Areopagita i święty Dionizy, czczony zwłaszcza we Francji Saint Denis, biskup, którego męczeńską śmierć po dziś dzień upamiętnia wzgórze Montmartre.

Znacznie wyraźniejsze paralele z Chrystusem niż Dionizos i Orfeusz wykazuje inny rzymski bóg misteryjny – Mitra. Pojawia się pytanie, w jakim stopniu jego kult wpłynął na chrześcijaństwo, zwłaszcza na wyobrażenie Chrystusa. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że w Rzymie wśród żołnierzy i urzędników popularne było zarówno chrześcijaństwo, jak i kult Mitry, to będzie oczywiste, że istniały pewne punkty wspólne. Czy Chrystus jest ochrzczonej Mitrą? Inskrypcja

w kościele św. Pryski w Rzymie głosi: „*(Et Nos Servasti Eternali) Sanguine Fuso* (i nas uchroniłeś) dzięki przelaniu wiecznej krwi”. Na pozór brzmi to bardzo po chrześcijańsku i całkowicie konwencjonalnie, ale inskrypcja nie znajduje się w samym kościele, tylko w leżącym pod nim sanktuarium Mitry, Mitreum.

^[89] *Tytus Liwiusz, Dzieje Rzymu od założenia miasta, księga XXXIX, tłum. Mieczysław Brożek, Wrocław 1981, s. 277.*

^[90] *Tamże, s. 277.*

^[91] *Tamże, s. 279.*

^[92] *Tamże, s. 277.*

^[93] *Problem niemożności pogodzenia chrześcijaństwa i rzymskiej religii państwowej por. Klaus-Rüdiger Mai, Der Vatikan. Geschichte einer Weltmacht im Zwielficht, Bergisch Gladbach 2008, s. 55–67.*

^[94] *Owidiusz, Fasti. Kalendarz poetycki, III, I, tłum. Elżbieta Wesółowska, Wrocław 2008, s. 126.*

^[95] *Hugo Rahner, Griechische Mythen in christlicher Deutung, Freiburg 1992, s. 65.*

Książka dla none none

TAJEMNICZY I POPULARNY – KULT MITRY

To był ostatni i najbardziej wpływowy rywal Boga chrześcijan, najpopularniejszy bóg rzymski, czczony w jednym z kultów misteryjnych. Imię jego – Mitra. Kraj pochodzenia – Persja. Zawód: bóg. Jego największy prorok: nieznany. Tajemniczy, nieodgadniony i – niestety – zaginiony w niedostatecznych przekazach historycznych.

Choć nie znamy dokładnych dróg, jakimi kult Mitry przywędrował do Rzymu, to dzięki jego popularności (i mimo utrzymywania go w tajemnicy) dysponujemy wystarczającymi wskazówkami i danymi, by móc to zrekonstruować. W Rzymie turyści mogą nawet zwiedzić wiele mówiące miejsca kultu Mitry w podziemiach kościołów św. Pryska (S. Prisca) w pobliżu Awentynu i św. Klemensa (S. Clemente) niedaleko Koloseum. Widać wtedy wyraźnie, że budowle chrześcijańskie powstawały dosłownie na kulcie Mitry.

Kto sam zejdzie do sanktuariów położonych głęboko pod tymi chrześcijańskimi świątyniami, w których odbywały się tajne nabożeństwa i tajemnicze ceremonie, tego jeszcze po dwóch tysiącach lat owionie niesamowita aura tego miejsca, która mrozi człowieka od wewnątrz. Jest tu coś z budzącej grozę atmosfery biesiady ofiarnej. Ogarnia nas zatem dawno zapomniane uczucie: zgroza. Błoga zgroza, rozkoszne przerażenie. Jest wilgotno, chłodno, obco, mroczne ściany robią wrażenie, jakby pokryte były zaschłą krwią, a nie tynkiem.

Znajomość tego późnorzymskiego kultu zawdzięczamy przede wszystkim chrześcijańskim i pogańskim pisarzom, którzy w ogniu walki chrześcijaństwa z pogaństwem o hegemonię wspominają wciąż o kulcie Mitry – albo żeby napiętnować go jako diabelski wynalazek, albo żeby wynieść go do rangi koronnego świadka prawdziwej religii Rzymu. Złość pisarzy chrześcijańskich jest uzasadniona, gdyż immanentną cechą tego kultu jest uniwersalizm – taki sam jak w chrześcijaństwie. Wśród wyznawców Mitry byli przedstawiciele zamożnych warstw Rzymu, urzędnicy, ale przede wszystkim żołnierze, wśród których ten kult rozpowszechnił się na terenie całego imperium. Archeolodzy odkryli sanktuarium Mitry nawet w Niemczech.

Poza tym Mitra reprezentował podobne wartości moralne jak Jezus – w istocie obie religie szukały wyznawców wśród tego samego kręgu ludzi. Kult Mitry miał jednak lepsze warunki rozwoju, gdyż wymagał od swych wyznawców całkowitej lojalności wobec cesarza. Jako religia żołnierzy cieszył się poparciem cesarzy związanych z wojskiem, takich jak Dioklecjan, który surowo prześladował

chrześcijan i wielu z nich posłał na męczeńską śmierć. W dłuższej perspektywie duża liczba męczenników miała przynieść prześladowanemu chrześcijaństwu korzyści, ponieważ droga męczeństwa stała się drogą triumfalnego pochodu tej religii.

Pewne podobieństwa obu wyznań stanowiły powód niechęci chrześcijan do wyznawców Mitry; chrześcijanie uważali bowiem, że kapłani Mitry ukradli im niektóre rytuały. Na przykład św. Justyn Męczennik (zm. 165 r. n.e.) denerwował się, że wyznawcy Mitry wazyli się przejąć rytuał wieczerzy: „Jezus wziął chleb, dzięki składał i mówił: »To czyńcie na moją pamiątkę. To jest ciało moje«. Podobnie wziął kielich, dzięki składał i mówił: »To jest krew moja«. Następnie rozdał tylko im samym. Złe demony podrobiły nasz obrzęd w misteriach Mitry, które według ich podania właśnie tak się mają odbywać. Otóż przy ich obrzędach wtajemniczenia stawia się chleb i kielich z wodą, a potem wymawia się te słowa, które znacie, albo możecie się o nich dowiedzieć”^[96]. Justynowi chodziło jednak o coś więcej niż tylko o napiętnowanie bezprawnego używania chrześcijańskich rytuałów i formuł. Obie religie były wtedy w ogniu walki o przetrwanie, a sam Justyn miał wkrótce złożyć świadectwo krwi za prawdziwość nauczania Jezusa.

Wspomnieliśmy już, że Mitra był pierwotnie bogiem perskim. W Kommagenie w południowo-wschodniej części Azji Mniejszej do dzisiaj można zwiedzać wspaniałe grobowiec mauzoleum, wzniesiony na górze Nemrut przez króla Antiocha I (panował 69–36 r. p.n.e.). Grobowiec ten jest jednocześnie panteonem, w którym królują helleńscy bogowie, tacy jak Luna, Zeus (Jupiter), Mars i właśnie Mitra, mający tam monumentalne posągi. Są tam także Mitra i Antioch I złączeni kultowym przybiciem prawej ręki, co było również znakiem rozpoznawczym.

Z niespójnych wiadomości, jakie najpierw dotarły do Rzymu prawdopodobnie przez legionistów, powstała nowa religia misteryjna, która szybko zyskała popularność. Jej nieznanego proroka można sobie wyobrazić jako charyzmatyka podobnego do Jezusa. Podobno żył w tym samym czasie, był pochodzenia greckiego, a z kultem Mitry zetknął się gdzieś między Anatolią a Persją. Z perskich wyobrażeń na temat Zaratusztry, Mitry i filozoficznych idei Platona ukształtowała się niezwykle skuteczna tajemna religia, która nieoczekiwanie zrobiła wielką karierę jako rzymski kult misteryjny. Podstawą tej kariery było przemieszanie perskich koncepcji religijnych z filozofią platońską.

Mimo niedostatecznych źródeł i danych postaramy się nieco zbliżyć do proroka Mitry. Brakuje niestety dowodów, pozostaje nam zatem tylko śmiała (ale

sensowna) hipoteza. Można sobie w każdym razie wyobrazić, że za twórcą rzymskiego kultu Mitry kryje się król Antioch IV Epifanes, ostatni król Kommageny (panujący do 72 roku n.e.), albo któryś z jego synów.

Antioch IV był synem księcia klienckiego państwa Kommageny i dorastał w domu Antonii Minor w Rzymie. Był zaprzyjaźniony z Kaligulą i Klaudiuszem. W 72 roku, po 34 latach życia w zgodzie z Rzymianami, z których nadania rządził w Kommagenie, został odwołany przez cesarza Wespazjana. Rzymski prokurator Syrii Lucjusz Cezenniusz Petus posądził go o wrogą wobec Rzymu konspirację z Partami. Po krótkich zawirowaniach na emigracji w Grecji zdetronizowany król wycofał się w końcu wraz z synami do Rzymu, gdzie – ciesząc się szacunkiem – spędził w odpowiednich dla swego stanu warunkach resztę życia. I Antioch, i jego synowie wychowali się w środowisku, gdzie krzyżowały się wpływy kultury perskiej, greckiej oraz rzymskiej i od najmłodszych lat byli wyznawcami mitraizmu. Dysponowali zatem konieczną znajomością zarówno praktyki, jak i teorii tego kultu. Wydaje się, że wzmacnia to jeszcze postawione w hipotezie podejrzenie, ponieważ mieli możliwości, zdolności, chęci oraz motyw – przeniesienie utraconej władzy i panowania na inny obszar, na królestwo, które nie jest z tego świata. W ten sposób dokonaliby w istocie translacji władzy.

Mając na uwadze, że twórca kultu Mitry z jednej strony znał kulturę perską, zaratusztrianizm i mitraizm, z drugiej natomiast musiał posiadać greckie wykształcenie, pamiętając, że ten kult bardzo szybko przyjęły wyższe warstwy Rzymu, znakomitsi obywatele, urzędnicy, oficerowie i żołnierze oraz że cechowała go absolutna lojalność wobec władz świeckich, cesarza i hierarchii – łatwo powziąć podejrzenie, że kult Mitry w Rzymie stworzył Antioch IV albo któryś z jego synów lub ktoś z ich otoczenia. Po prostu zbyt wiele się tu zgadza, zaczynając od znajomości religii i kultury aż po polityczne wyobrażenia na temat roli religii w systemie władzy. Kult misteryjny odpowiadał potrzebom wschodnich despotów tamtego czasu i oczekiwaniom, jakie stawiali religii cesarze rzymscy.

Ponieważ kult Mitry tak doskonale pasował do potrzeb politycznych wschodnich despotów, chrześcijaństwo wschodnie powinno było przejąć stosunek do cesarza jako najwyższego autorytetu religijnego i model lojalności kultu Mitry w postaci cesaropapizmu. W Rzymie kult Mitry szerzył się zadziwiająco szybko, dystansując wszystkie inne wierzenia, w tym także chrześcijaństwo.

Wtajemniczeni w kult Mitry mieli się zachowywać lojalnie wobec cesarza i odpowiedzialnie wobec współobywateli, stosownie do swojej i ich pozycji społecznej. Postawionych wyżej od siebie miste traktował z uwagą i szacunkiem,

natomiast niższym od siebie okazywał chęć pomocy i służył ochroną, jeśli było to konieczne i leżało w granicach jego możliwości.

Nadużyciem byłoby porównywanie tych przykazań z chrześcijańską miłością bliźniego, jednakże nakazy obu religii co do traktowania bliźnich z pewnością tylko nieznacznie się różniły. W mitraizmie nie chodziło jednak o bliźniego, lecz o ludzi, którzy zajmowali jakieś określone stanowisko bezpośrednio obok wtajemniczonego w porządku społecznym czy też kosmicznym, by użyć religijnego określenia. Wtajemniczeni w kult Mitry musieli respektować pozycję społeczną innych ludzi i równocześnie pomagać w jej utrzymaniu, ponieważ to gwarantowało utrzymanie społeczeństwa. Wyznawcy Mitry postrzegali porządek społeczny jako hierarchię, uświęcony ład, którego należało przestrzegać, ponieważ został stworzony przez Boga lub przez Mitrę.

Mitra był wreszcie uważany za pana kosmosu, pana ładu, sprawiedliwego boga, występującego wspólnie z bogiem słońca albo jako sam Sol Invictus. Neoplatoński filozof Porfiriusz (233–301 lub 305) relacjonuje, że z okazji swoich święceń miste był zobowiązany do trzymania się z daleka od wszystkiego, co może powodować cierpienie i krzywdę. „Kiedy tym, którzy są wtajemniczani w stopień lwa, myje ręce miodem zamiast wodą, zaleca się im, by mieli czyste ręce...”^[97]. Usta i język wtajemniczanych także czyści się miodem, żeby z ich ust nie wyszło nic grzesznego, złego lub nieprawdziwego. Justyn, Tertulian i Orygenes uważali na przykład, że kapłani Mitry podpatrzyli to u chrześcijan albo ukradli z przepowiedni Izajasza lub Daniela. Kto, co i od kogo przejął, nie sposób dziś wyjaśnić. Wszystko to pokazuje jednak bliskość i konkurencję obu tajemnych religii – wczesnego, prześladowanego chrześcijaństwa i mitraizmu, także należącego do typu religii misteryjnych.

Obie religie zażarcie ze sobą rywalizowały, domagając się wyłączności na chrzest, postulaty moralne i czynności sakralne, takie jak Eucharystia. Chrześcijaństwo wykształciło hierarchię swoich kapłanów – byli to: akolici, diakoni, egzorcyci, kapłani i biskupi; ale mitraizm także miał swoich urzędników. Na każdym stopniu, zaczynając od tych, którzy chcieli zostać przyjęci do kręgu wyznawców, obowiązywał rodzaj chrztu (święcenia) albo inicjacji. W gminach chrześcijańskich chrzczono takich chętnych w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. Na każdy kolejny urząd konieczne było kolejne święcenie. Podobnie było w mitraizmie, gdzie istniało siedem kolejnych stopni wtajemniczenia i święceń.

Liczba siedem nie jest tu przypadkowa – spotkaliśmy się z nią między innymi w świecie babilońskim. Wynika ona z liczby bogów planet (w Rzymie:

Merkury, Wenus, Mars, Jowisz, Księżyc, Słońce i Saturn), którzy gwarantują ład wszechświata. Od nich wywodzą się nasze dni tygodnia. W tym miejscu możemy tylko zwrócić uwagę na splot różnych związków wykształconych w kulcie Mitry. Bogom poszczególnych planet odpowiadały różne stopnie wtajemniczenia i równocześnie żywioły. Ponieważ mistowie i cała sakralna obsługa byli ludźmi podporządkowanymi określonej wierze i jej konkretnym rytuałom, reprezentowali w obrębie kultu mitycznych aktorów, którzy spełniali w tych rytuałach różne funkcje. Z każdym stopniem wtajemniczenia (a więc i wyświęcenia) wiązały się określone obowiązki, prawa, szaty sakralne, czynności i mity.

W innych kultach misteryjnych i tajemnych religiach również ustanowiono stopnie wtajemniczenia, służące ochronie tajemnicy. Nowo przybyłym nie zdradzano wszystkich tajemnic, lecz poddawano ich próbie i stopniowo wprowadzano w misterium. W mitraizmie został najlepiej udokumentowany system poszczególnych stopni wtajemniczenia, dlatego przywołamy go tutaj tytułem przykładu.

SIEDEM STOPNI

Corax. Najniższym stopniem był *corax* (kruk). Był przyporządkowany do boga Merkurego, reprezentował też powietrze jako żywioł. Mistowie tego stopnia mieli status Merkurego (greckiego Hermesa), sługi i posłańca bogów. Wyświęceni na ten stopień adepci nosili podczas wykonywania czynności kultowych maskę kruka, w miarę możliwości imitowali uderzenia skrzydeł i krakanie, a podczas świętej wieczerzy posługiwali mistom wyższego stopnia.

Ta sakralna uczta składała się z mięsa byka złożonego w ofierze; ta ofiara odgrywała w kulcie Mitry zasadniczą rolę. W ludowych wierzeniach chrześcijan zachował się obyczaj zielonoświątkowego wołu. W drugi dzień Zielonych Świątek prowadzono przez wieś ozdobnie przystrojonego najdorodniejszego wołu; do XIX wieku zwierzę to było zabijane w zielonoświątkowej ofierze. Wydaje się, że ten obyczaj dotarł do Germanii za pośrednictwem rzymskich legionistów związanych z kultem Mitry. Wraz z nawracaniem pierwszych Niemców na chrześcijaństwo zwyczaj ten został zaadaptowany do chrześcijaństwa, bo przecież Duch Święty, którego świętem są Zielone Świątki, z żadnym bykiem nie ma nic wspólnego.

W ofiarowaniu byka, z którego według jednego z głównych mitów powstał świat, to powstanie świata wciąż na nowo się uobecniało. Sens czynności sakralnych polega na tym właśnie, by pozwalać wiernym wciąż na nowo przeżywać najistotniejsze fakty danej religii i ich doświadczać – tak jest na

przykład u chrześcijan z Eucharystią. Jak wierzący chrześcijanin czuje podczas Eucharystii bezpośrednią obecność Chrystusa, tak miste odczuwa wszystko w swym kulcie jeszcze silniej, ponieważ działania realne całkowicie odpowiadają tu działaniom symbolicznym. To, co pokazywano, nie było mniej lub bardziej zajmującym przedstawieniem, lecz rzeczywistością, często znacznie prawdziwszą niż codzienność mistów. Tylko w kulcie jest prawda. Święte czynności są przebywaniem w bezpośredniej bliskości bogów, dlatego świat poza nimi jest zaledwie cieniem, pozorem świata prawdziwego. Prawdziwe jest tylko to, co działa, a działa przecież nie człowiek, lecz bóg.

Nymphus. Drugim stopniem wtajemniczenia jest *nymphus*. Jego patronką była bogini planety Wenus, a elementem uzupełniającym – Ziemia. *Nymphus* również usługiwał przy świętym posiłku. Na jednym z fresków widać, jak dźwiga byka. Wybitny znawca mitraizmu Reinhold Merkelbach przypuszcza, że w niesieniu ofiarnego byka może chodzić o egzamin na wyższy stopień wtajemniczenia. Ceremonia ta nazywała się *transitus* (przejście). Jedna z inskrypcji w mitreum pod rzymskim kościołem św. Pryski traktuje noszenie młodego byka przez mista jako „niesienie na ramionach najwyższej boskości”^[98]. Innymi słowy wtajemniczeni odtwarzali świętą historię, w której byk symbolizował bogów.

Miles. Ostatnim przygotowawczym stopniem wtajemniczenia był *miles* (żołnierz). Nic dziwnego, że do jego wyświęcenia należał rytuał z mieczem. Miste musiał w pojedynku na miecze uzyskać wieniec zwycięstwa. Wówczas *pater* (wtajemniczony najwyższego stopnia) rozkazywał mu odłożyć ów wieniec ze słowami: „Mitra jest moim wieńcem”. Patronem tego stopnia był oczywiście Mars.

Do mitów związanych z tym stopniem należała też kosmogonia Mitry, który narodził się ze skały. Z jednej strony kapłani Mitry pojmowali niebo jako skałę, tak że narodziny ze skały rozumieli jako narodziny z nieba. Z drugiej strony wyobrażenie narodzin ze skały należy do najstarszych znanych wyobrażeń religijnych na Bliskim i Środkowym Wschodzie – przywołajmy choćby hetycki mit o kamieniu Kunkunuzzi.

Drugi mit mówi o śnie Saturna. Jest on istotny, gdyż w religiach misteryjnych przyjęło się, że miste może wejść na kolejny stopień wtajemniczenia dopiero wtedy, gdy jego bóg przekaże we śnie mistagogowi (przełożonemu), że on już do tego dojrzał – tak w każdym razie o kulcie Izydy pisze Apulejusz. A zatem wtajemniczenie i uzyskanie wyższego stopnia nie zależało od wolnej woli samego mista, nie było też w gestii prowadzącego go wyższego kapłana, mistagoga.

Leo. Czwartym stopniem wtajemniczenia był lew, chroniony przez Jowisza i połączony z żywiołem ognia. Jak już wspomnieliśmy, Porfiriusz pisze o rytuale wyświęcania na lwa, że ręce i język mista czyszczono, powlekając jego ręce i język miodem. Woda jako środek czyszczący nie była stosowana, gdyż żywiołem lwa jest ogień, a jego nie można oczywiście czyścić wodą, bo albo woda zamieni się w parę, albo zagasi ogień. Podczas inicjacji na stopień lwa mistowie otrzymywali nowe, święte imiona. Ta praktyka znana jest także w chrześcijaństwie, gdzie mnisi czy papieże przyjmują nowe imiona.

Do nowego imienia istniała nawet mistyczna formuła *nama*, po polsku cześć. I tak wtajemniczony mógł się nazywać na przykład Nama Phoebo Leoni – Cześć Lwu Phoebusowi (czyli Wspaniałemu) – a inny znów Nama Niceforo Leoni – Cześć Lwu Niceforowi (Przynoszącemu Zwycięstwo).

W tym stopniu wtajemniczenia miste na zawsze łączył się przybiciem prawej dłoni z paterem – od tej chwili byli *syndexii*, czyli połączeni uderzeniem dłoni. Tego związku nie mógł zniweczyć żaden ogień. Był on wieczny i stwarzał związek kliencki, jaki łączył choćby Antiocha IV z Kommageny z Rzymianami.

Perses. Piąty stopień nosił nazwę *perses* (Pers). Chronił go Księżyc, a jego żywiołem była woda. Symbolizował go pasterz *cautopates*. *Cautopates* oznacza polowanie, życie pasterskie, żniwo oraz przejazd wozu Słońca przez firmament. W mitraizmie powierzano mu klucze, to znaczy należała do niego pielęgnowanie i ochrona sanktuariów Mitry.

Heliodromos. Reinhold Merkelbach sądzi, że przejście z piątego stopnia na szósty odbywało się poprzez symboliczną jazdę wozem Słońca. Szósty stopień określano jako *heliodromos*, czyli słoneczny biegacz. Jego planetą było Słońce. Był odpowiedzialny za światło, być może także za inscenizacje świetlne podczas uroczystości kultowych. Nazywano go także *cautes* albo *lucifer* (ten, który przynosi światło). *Cautesa* jako Lucyfera niebawem spotkamy znowu.

Cautopates, którego planetą był Księżyc, jest przedstawiany z opuszczoną pochodnią, natomiast *Cautes* z podniesioną. Obaj pojawiają się również na obrazach, podkreślając zmianę między zachodem księżyca a wschodem słońca i odwrotnie. Ostatecznie chodziło o podkreślenie upływu czasu. W ceremonii wtajemniczenia miste klękał przed *paterem*, który zdejmował mu z głowy perską czapkę i koronował go promiennym wieńcem – obie te rzeczy były atrybutami boga Mitry, do którego orszaku miste od tego momentu należał i którego był reprezentantem.

Pater. Siódmym i najwyższym stopniem wtajemniczenia w kulcie Mitry był *pater*, którego planeta, Saturn, symbolizowała Wiek Złoty. Jego żywiołem był również ogień. W uroczystościach kultowych *pater* przedstawiał boga Mitrę.

Centralnym punktem uroczystości kultowych w mitraizmie był święty posiłek, tak jak w chrześcijaństwie Eucharystia. Jego przebieg można sobie wyobrazić mniej więcej tak, jak został przedstawiony na płaskorzeźbie w dalmatyńskiej miejscowości Konjic. Mitra (*pater*) i bóg słońca (*heliodromos*) trzymają w rękach rogi do picia, a obsługuje ich sługa w masce kruka. Lew siedzi pod stołem. Przed nimi stoi mały stolik na trzech nogach, na którym leżą święte chleby. Święty posiłek to właśnie chleb i woda. Zrozumiało zatem, że wywoływało to złość chrześcijańskich pisarzy takich jak Tertulian, którzy uważali tę ceremonię za wyszydzanie chrześcijańskiej Eucharystii.

Sam kult sprawowano w grotach i jaskiniach, które musiały być sztucznie oświetlane. Stwarzało to dodatkową możliwość gry światłem, przegradzającej się w imponującą dramaturgię światła i cieni. Światło było szczególnie ważne w dniu narodzin Mitry, świętowanym uroczystością w Rzymie 25 grudnia. Istniało przypuszczenie, że chrześcijanie wyznaczyli dzień narodzin Chrystusa na ten sam dzień właśnie po to, by wyprzeć pogańskie święto i zastąpić je własnym.

Rzeczywiście istnieje starszy wzór, który zaadaptowali. Zarówno Mitra, jak i Bóg chrześcijan byli początkowo utożsamiani z niepokonanym bogiem słońca (Sol Invictus). Podobnie jak pod naszą szerokością geograficzną, tak i w Rzymie dni zaczynają się wydłużać od 25 grudnia, bóg słońca zdaje się odzyskiwać siły, wręcz się odradzać. Cześć i ponowne narodziny boga słońca były bardzo odpowiednie dla chrześcijan, by świętować tego dnia narodziny Jezusa, a więc dzień, w którym Bóg posłał na ziemię swego Syna jako człowieka^[99].

Chrześcijańskie święto Bożego Narodzenia wchłonęło pogańskie obyczaje i uroczystości z okazji narodzin słońca, i to genialne pociągnięcie zapewniło mu jedyny w swoim rodzaju triumfalny pochód przez świat i stulecia. Bo przecież Boże Narodzenie świętują także ludzie spoza chrześcijańskiego kręgu wiary.

MITRA JAKO STWÓRCA ŚWIATA

Mit założycielski kultu Mitry głosi, że bóg zabił w grocie byka, dzięki czemu stworzył świat. Należy zatem przyjąć, że świat jest złożony z części ciała tego zwierzęcia. Nasienie byka, z którego powstały na świecie istoty żyjące, zostało

zebrane w naczyniu do mieszania napojów (*kratér*) i przekazane Księżycowi, żeby je oczyścił przed tym tak ważnym zadaniem. To, że Księżyc jest odpowiedzialny za powstanie, narodziny i wzrost, ma w dziejach religii długą historię.

Powstanie łączy się jednak także z przemijaniem. W dawnych religiach za narodziny i śmierć często odpowiadał ten sam bóg. Kult Mitry nie stanowi tu wyjątku, ponieważ Księżyc jest w nim także miejscem pobytu umarłych. Pełnia i now, ubywanie i przybywanie księżycowej tarczy we wszystkich epokach stanowią klasyczny symbol kurczenia się i umierania oraz narodzin i wzrostu. Ten obraz wykorzystuje nawet Biblia, kiedy Jan Chrzciciel mówi o Jezusie i o sobie: „Potrzeba, by On wzrastał, a ja się umniejszał” (J 3, 30).

Kapłani w stopniu *heliodroma* występują w misteriach jako przedstawiciele Słońca i Księżyca, jako Cautopates i Cautes – tak że możemy wyobrazić sobie naczynie zawierające nasienie byka, w którym zostało ono przekazane Księżycowi do oczyszczenia.

Mity związane z poszczególnymi stopniami wtajemniczenia są konkretnymi wskazówkami działania i postępowania, scenariuszami nabożeństw, składających się z odgrywanych misteriów. W misteriach ma się przede wszystkim dokonać to, co w kulcie uważane jest za święte, najważniejsze wydarzenie wiary, by zarówno mistowie, jak i wierni przeżyli to misterium przez działanie i uprzytomnienie sobie jego istoty.

Chrześcijaństwo wiele się nauczyło od mitraizmu również jeśli chodzi o inscenizację nabożeństw. Chrześcijanin także niezwykle przeżywa obecność Jezusa w Eucharystii. Cud dokonujący się podczas mszy jest dla niego rzeczywistością – jest misterium i cudem jednocześnie. Ten wymiar tajemnicy, jaka dokonuje się w jego przeżywaniu, stanowi w religiach zjawisko niestety niemożliwe do opisanego. Możemy jedynie próbować ująć w słowa coś, co w swojej istocie opisowi się wymyka.

Wśród dawnych ludów szeroko rozpowszechnione było wyobrażenie, że świat został stworzony z części ciała jakiegoś zwierzęcia – w kulcie Mitry akurat z części ciała byka. My przecież także mówimy o matce ziemi.

Bóg miasta Babilonu stworzył świat, zabijając potwora Tiamata. Chińczycy wierzyli, że mityczny stwór Pan Gu wylął się z jaja. Po osiemnastu tysiącach lat jajo się otwarło: jasne (*yang*) stało się niebem, a mroczne (*yin*) – ziemią. Pan Gu rósł jednak jako kolumna podtrzymująca niebo. W końcu wypełnił swoim ciałem

niebo i ziemię. Wreszcie w czasie śmierci jego ciało się przekształciło: oddech zamienił się w wiatr i chmury, głos – w grzmot. Z lewego oka powstało Słońce, z prawego Księżyc. Wypukłości ciała utworzyły pięć świętych gór, krew zamieniła się w rzeki, ręce i nogi stały się sklepieniem nieba. Żyłki i naczynia krwionośne przekształciły się w żyły kruszców, tłuszcz i mięśnie w pola uprawne, włosy i brody w gwiazdy, skóra i włoski na skórze w trawę i drzewa, zęby i kości w metale i kamienie, pot w deszcz, a rosa i robactwo z jego ciała dzięki wiatrowi stały się ludźmi. Taoizm przejął ten mit – dawny Mistrz (Laozi) został zrównany z Pan Gu, gdyż z jego, Laoziego, oczu miały powstać Słońce i Księżyc, z głowy – góra Kunlun, z włosów – gwiazdy, z kości – smoki, a z ciała – zwierzęta.

U Germanów świat miał powstać z części ciała praolbrzyna Ymira Starszego – z jego czaszki powstało niebo, a z mózgu – chmury.

Powstanie świata z części ciała praolbrzyna zna także Rigweda, najstarsza część wed indyjskich. Bogowie stworzyli świat przez złożenie w ofierze pewnego olbrzymiego człowieka (*purusa*). Pocięli na kawałki jego ciało i z tych części wyłonił się kosmos i społeczeństwo. Z jego ust powstałi bramini, z rąk – kasta wojowników i szlachty (*ksatrya*), z jego ud wzięli się ludzie wolni, ale nieszlacheckiego pochodzenia, kupcy, rzemieślnicy i rolnicy (*vaisyas*), natomiast ze stóp zrodzili się śludzy, niewolnicy, ludzie uprawiający niższe, mniej uznawane zawody (*sudras*).

Ponieważ dawny perski kult Mitry wpłynął zasadniczo na indyjski świat wyobrażeń, a nawet przyjął tamtejszy sposób myślenia, to tą daleką, ale bardzo uczęszczaną drogą do rzymskiego kultu Mitry przedostały się ślady braminizmu.

Kolejny aspekt tej misteryjnej religii jest równie fascynujący, co brzemienne w skutki. Należy zaznaczyć, że wyobrażenia astronomiczne i astrologiczne opierały się w tamtym czasie na systemie ptolemejskim, o którym wspominaliśmy już w związku z obserwacjami gwiazd w Babilonii. Według Ptolemeusza w centrum Wszechświata znajdowało się nie Słońce, lecz Ziemia, wokół której kręcił się cały nieboskłon z gwiazdami, planetami i Słońcem. Ptolemeusz znał tylko dwa rodzaje obrotów, a nie trzy, jak później Kopernik. Odróżniał tylko te powodujące przechodzenie dnia w noc (i odwrotnie) oraz powodujący zmiany pór roku. Uważał, że stałe sklepienie niebieskie z osadzonymi na nim na stałe gwiazdami obraca się codziennie wokół Ziemi oraz że Słońce i planety obracają się wokół naszej planety. Ten obrót nazwał ekliptyką, czyli „drogą zaćmień”.

Ponieważ trasie Słońca na drodze zaćmień odpowiadała zmiana pór roku,

rolnicy w starożytności byli bardzo zainteresowani poznaniem tej drogi. Było to możliwe, jeśli znalazło się jakieś wyraziste znaki, na przykład charakterystyczne konstelacje gwiazd. W ten sposób powstały nasze dzisiejsze gwiazdozbiory, które lepiej może nazywać zodiakiem – należy przy tym pamiętać, że greckie słowo *zodion* nie oznacza zwierzęcia, tylko istotę ożywioną, a według Greków istotami ożywionymi były zwierzęta, ludzie i gwiazdy.

W rzymskim kulcie Mitry dwanaście znaków zodiaku zyskało dwunastu bogów greckiego panteonu: Zeusa, Herę, Posejdona, Hadesa, Atenę, Apollina, Artemidę, Afrodytę, Hermesa, Aresa, Hefajstosa i Hestię/Dionizosa. Każdy bóg władał jednym miesiącem roku, a każdemu miesiącowi był przyporządkowany jeden znak zodiaku. Każdy z tych znaków zaczynał się i kończył nie pierwszego dnia miesiąca, lecz dnia dwudziestego. Ten podział oraz wiosenna i jesienna ekwinokcja (równonoc) definiowały w mitraizmie rok religijny.

Siedmiu bogów planet uporządkowano w obrębie koła w równych odstępach, zgodnie z ruchem wskazówek zegara: Saturn, Jowisz, Mars, Słońce (Sol), Wenus, Merkury i Księżyc (Luna). Kiedy połączymy tych bogów diagonalnie, to znaczy przeciągniemy linię od Saturna (sobota) do boga Słońca (niedziela), stamtąd do boga Księżyca (poniedziałek), potem do Marsa (wtorek) itd., otrzymamy siedem dni tygodnia. Przy łączeniu powstanie także figura geometryczna – heptagram (siedmioramienna gwiazda).

Ten heptagram miał wielkie znaczenie w teorii muzyki, uprawianej wówczas przez matematyków, ponieważ w harmoniach chodzi o proporcje, a te z kolei uważane były za wyraz doskonałego ładu we wszechświecie. Wychodząc od heptagramu, otrzymuje się przez kolejne kwarty wszystkie tonacje. Nie zagłębiając się w tę materię: jest to droga, którą dochodzi się do muzyki sfer, a więc do pierwotnie tajnego wyobrażenia pitagorejczyków na temat harmonii kosmosu, wyrażającej się w muzyce bogów planet. Muzyka sfer będzie ważną sprawą dla mistyków i później dla myślicieli (ale przede wszystkim dla magów) renesansu.

Świat został stworzony z pięciu elementów. Mitra wytworzył w naczyniu substancję duchową, żeby powstający świat był ożywiony i miał duszę. Mitra uważany jest za niepojętego i nieogarnionego. Grota jako miejsce czynności kultowych symbolizuje kosmos. W ten sposób mały świat, mikrokosmos, i wielki, makrokosmos, w jakiejś mierze sobie odpowiadają, gdyż sklepienie groty uważane jest także za niebo. Ta myśl była ważna również dla gnostyków, a dzięki gnozie i hermetyzmowi paralela między mikro- i makrokosmosem została przeniesiona do renesansu.

Istotna w tej idei naczynia ze stworzoną duszą jest koncepcja wędrówki duszy przez światy i przez ciała. Zaczyna się od tego, że dusza spada na ziemię z nadnieba. Po drodze przez sfery napotkanych planet przyjmuje cechy ich bogów. Od Saturna otrzymuje logiczne myślenie, od Marsa odwagę, od Jowisza zapał, od Wenus pożądanie, od Księżyca umiejętność sadzenia i uprawy roślin. Po śmierci dusza się unosi i wędruje przez siedem sfer, by znowu powrócić do domu.

Ten system przypomina teorię Platona zawartą w *Timajosie*. Podjęli ją później gnostycy, choć nadawali jej niedobry wydźwięk, gdyż całkowicie odrzucali świat jako dzieło Złego i dlatego postrzegali stromą drogę duszy (pod względem etycznym) jako stałe pogarszanie stanu świata.

Kiedy przyjrzymy się dokładniej unoszeniu się duszy, a potem jej powrotowi do domu, w czasie którego musi przebyć siedem sfer planetarnych, to zrozumiemy siedem stopni wtajemniczenia w mitraizmie. Stanowiły one po prostu wieczną i dzięki wtajemniczeniom stale ćwiczoną drogę duszy. Wyobrażenie podróży przez niebo odbywanej po drabinie znamy ze Starego Testamentu, gdzie pojawia się drabina Jakubowa. Należy ona do symboli kultu Mitry, była też wykorzystywana przez żydowskich mistyków. Spotyka się ją zarówno u św. Pawła, jak i w Koranie, kiedy Mahomet wyrusza w podróż do nieba (*isra*).

Miste przygotowuje się do najważniejszej, decydującej podróży swej duszy do domu. Ta podróż za wszelką cenę musi się udać – gdyby było inaczej, musiałby cierpieć *wiecznie* w dosłownym znaczeniu tego słowa. Dlatego wtajemniczony podejmuje wszelkie wysiłki, jakich wymaga od niego sam kult oraz nakazy moralne, by w ostatnią wielką podróż na drugą stronę wyruszyć odpowiednio przygotowanym.

A zatem w mitraizmie, podobnie jak w chrześcijaństwie, warunkiem dobrego życia wiecznego (zbawienia) jest cnotliwe życie doczesne. Dusze ludzi, którzy nie wyznawali mitraizmu, albo mistów, którzy nie żyli stosownie do wymagań kultu, nie powracają do domu, lecz rodzą się na nowo. Mistowie Mitry wierzyli – tak jak wyznawcy Buddy i odmiennie niż chrześcijanie – że wędrówka dusz i ich ponowne narodziny są karą za niewypełnienie zobowiązań we wcześniejszym życiu.

Mitra jako bóg słońca był panem świata, czyli kosmokraterem. Wszystkie jego atrybuty (syn boży, posłany przez boskiego ojca, by uratować świat, przydomek Sol Invictus, dzięki któremu był czczony jako władca świata), przeszły później na Jezusa Chrystusa. W ten sposób Mitra w całości przeniknął do boskości

Jezusa, został w nią niejako wchłonięty. Można powiedzieć również tak: Mitra został ochrzczony, gdyż w chrzcie został ostatecznie wyprowadzony z pogańskiego świata i przyjęty do królestwa Chrystusa. Ten symboliczny czyn przypieczętował „chrzest zanurzający w Chrystusa Jezusa” (Rz 6, 3).

Drogę ku temu utorował sam cesarz Konstantyn I.

^[96] *Justyn Męczennik, Apologia 1, 64–66, [w:] Pierwsi apologeti greccy, przeł. z greki Leszek Misiarczyk, Kraków 2004, s. 254–256.*

^[97] *Porfiriusz z Tyru, Grota nimf, Kraków 2006.*

^[98] *Wersy na ścianie Mitreum w kościele św. Pryska, cyt. za: Reinhold Merkelbach, Mithras. Ein persisch-römischer Mysterienkult, Wiesbaden, s. 93.*

^[99] *Istnieje jednakże jeszcze jedno wyjaśnienie daty narodzin Jezusa, pochodzące z kręgów chrześcijańskich. Warto o nim pamiętać. Przekonujące jest, że Bóg rodzi się w dniu, w którym zaczyna się nowy rok, ponieważ słońce znowu dłużej świeci, ponieważ słońce narodziło się na nowo. Wszystkie święta religijne zależne są w pierwszym rzędzie od natury, ponieważ to ona wyznacza kalendarz. To, że Jezus został ukrzyżowany w Wielkanoc, jest związane również z tym, że przybył do Jerozolimy w Wielki Piątek, święto Paschy, w którym dokonywało się ofiarowanie baranka. Ponieważ dawniej wyobrażano sobie życie doskonałego człowieka tylko w pełnych cyklach, daty jego życia musiały odpowiadać pełnym (okrągłym) liczbom. Doskonały człowiek musiał mieć 30, 40, 50 czy 60 lat, nigdy 32, 43 albo 64. Oznacza to, że musiał umrzeć w tym samym dniu, w którym się urodził. Tak myślano w każdym razie o życiu patriarchów i proroków. W życiu Jezusa jedyną pewną datą był dzień śmierci. W związku z tym powinien się być urodzić także w tym dniu. Ponieważ jednak właściwe narodziny polegały na poczęciu z Ducha Świętego, najbardziej odpowiednim terminem był 25 grudnia, bo wypada dziewięć miesięcy po Wielkanocy.*

Książka dla none none

**OCALIĆ
UTRACONE
SZCZĘŚCIE**

MISTYKA ŻYDOWSKA

Przeklęty jest każdy, kto wyda je (te słowa)

za podarunek albo za jedzenie,

albo za picie, albo za szatę,

albo za jakąkolwiek inną rzecz.

I tego rodzaju sprawy zostały mu przekazane w tajemnicy misterion.

Apokryf Jana (tłum. ks. Wincenty Myszor)

Do dnia dzisiejszego nic bardziej nie zachęcało do tworzenia legendy niż tajemnicza nazwa „kabała”, oznaczająca potężny prąd w żydowskiej mistyce. Wystarczy wpisać to hasło do wyszukiwarki Google, aby zobaczyć, jak aktualna jest kabalistyka. Kto chce, może dzięki niej wejść w świat równoległy i zanurzyć się w nim. Z racji swojej wielkiej atrakcyjności pojęcie to było wciąż wykorzystywane w ludowych spektaklach i głośnych powieściach. Ale właśnie ta ogromna popularność stała się gęstą, nieprzeniknioną zasłoną, za którą spokojnie mogła się ukryć prawdziwa tajemnica kabały.

Tajemna nauka żydowska oczarowała nawet chrześcijan: powstała kabała chrześcijańska, tajemna religia prześladowana najsurowiej bez względu na to, czy była katolicka, luterańska czy kalwińska.

Aby wpaść na trop tej tajemnej doktryny, trzeba zacząć od pozornie marginalnych faktów ze środowiska, w którym powstała. Kabała znaczy „przekaz” lub „tradycja”. Co zatem zostało przekazane, na czym opiera się tradycja?

GRECY, ŻYDZI I CHRZEŚCIJANIE

Historia kabały zaczyna się od sławnej bitwy pod Issos. W tej brzemiennej

w skutki walce młody grecki wódz Aleksander, postawiwszy wszystko na jedną kartę i poleciwszy swój los bogom, w roku 333 p.n.e. pokonał potężnego króla Persów Dariusza. Wkrótce charyzmatycznego dowódcę Aleksandra nazwano *ho Mégas*, Wielkim. Dwudziestotrzyletni młodzieniec pochodzący z małego greckiego królestwa o rozmiarach Republiki Bawarskiej rzucił na kolana Persję – wówczas mocarstwo.

W wyniku tego niesłychanego wydarzenia rozpadł się cały śródziemnomorski świat. Ono nie tylko zachwiało całym śródziemnomorskim i bliskowschodnim systemem państwowym, ale wywołało również głęboki kryzys religijny w starożytnym świecie.

Opisując wydarzenia, często nie bierze się pod uwagę tej duchowej dezorientacji, zachwiania fundamentalnych wartości. Wielu historyków niepotrzebnie skupia się tylko na tak zwanych twardych danych gospodarczych i układach sił. Ale to nie siła jest warunkiem posiadania władzy – ona jest tylko środkiem – lecz legitymacja.

A ta legitymacja zniknęła w zapierającym dech, katastrofalnym tempie. Wraz z państwami i ustrojami rozpadały się systemy religijne, które w powstającym świecie hellenistycznym tworzyły się na nowo i wzajemnie na siebie oddziaływały. Nie dokonano dotąd konsekwentnego opisu hellenizmu jako globalizacji.

Aleksander Wielki stworzył w IV wieku p.n.e. światowe imperium, sięgające od Grecji do Sudanu, a na wschodzie do subkontynentu azjatyckiego. Kiedy dziesięć lat później, po wczesnej śmierci Aleksandra, jego generałowie podzielili imperium między siebie i powstały państwa diadochów (np. w Egipcie władał Ptolemeusz, we Frygii Antygonos, a w Babilonie Seleukos), paradoksalnie przyspieszyło to tylko rozwój hellenizmu. Grecka myśl, grecki język i grecka kultura stanowiły silną i powszechnie akceptowaną podstawę państw diadochów.

Przewodnia myśl, której należałoby ze wszech miar życzyć sobie także w dzisiejszej Europie, wówczas w odniesieniu do państw hellenistycznych brzmiała: Hellenem nie jest się z urodzenia, ale z wykształcenia. Dzięki temu wyrosła kultura, w której wzajemnie przenikały się grecka filozofia oraz religie – egipska, frygijska, babilońska i irańska. Przy granicach z Indiami dochodziło nawet do wymiany z buddyzmem i braminizmem.

Nawiasem mówiąc, w tym tkwi źródło mniemanego dziedzictwa indyjskiego, często przypisywanego mowom Jezusa. Chociaż chętnie przedkłada

się takie mniemanie nad prawdę, Jezus nie musiał w ogóle podróżować do Indii, siedzieć z podwiniętymi nogami w aśramie i regularnie wyrzucać z siebie w zamyśleniu świętych sylab hinduizmu – idee hinduskie dotarły bowiem na Zachód znacznie wcześniej i były tam znane. Przeniknęły cały starożytny świat i odwrotnie: grecka myśl dotarła do Indii, co widać w buddyjskiej filozofii Nagardżuny (ok. II wieku n.e.).

Dzięki hellenizmowi świat zglobalizował się w nowoczesnym znaczeniu: „Karawany docierają od chińskiej granicy przez Azję Mniejszą do syryjskiego wybrzeża; floty handlowe przywożą wspaniałe osobliwości z Indii i Afryki Wschodniej; Aleksandria przekazuje całe bogactwo Wschodu do Rzymu i rzuca na światowy rynek swoje własne produkty, pszenicę, papier, len, przedmioty ze szkła. Wschód i Zachód zostają zdobyte gospodarczo, nawiązują stosunki...»^[100].

Pomost lądowy między Syrią a Palestyną już wówczas był terenem zdecydowanie niespokojnym, z wysoce wybuchową mieszaniną ludności. W dodatku region ten służył za tarczę obrotową, obszar wpływów i zderzak między konkurującymi imperiami perskich Seleucydów i Egiptem Ptolemeuszów.

W centrum tego obszaru żyli Żydzi, naród przez Boga wybrany, który w przeciwieństwie do pozostałych narodów wierzył w jednego Boga, odrzucając wszystkich innych. Żydzi czcili Judeę jako Ziemię Świętą, której nie wolno brukać i kalać obcymi stopami, a Jerozolimę jako miasto Boga. Odrzucali też mieszanie się z innymi narodami, ponieważ uważali siebie za wybrańców Boga i zabiegali o daleko idącą samoizolację. Wobec kulturalnego naporu hellenizmu, który sączył się jak przez dziurawy dach – nie udało się wprawdzie tej izolacji zachować, ale stanowiła ona jeden z głębokich korzeni poglądów religijnych. Podobnie jest z bezwzględnie egzekwowaną muzułmańską zasadą, głoszącą, że niemuzułmanom nie wolno wchodzić do świętych miast Medyny i Mekki oraz do Al-Kaby.

Mimo to uwodzicielska siła nowoczesności w postaci hellenizmu wdarła się do kraju. Miejskie elity zaczęły flirtować z greckimi poglądami, część duchowieństwa także uległa urokowi nowej kultury. Nie miejsce tutaj na przedstawianie wewnętrznych żydowskich sporów w ostatnich wiekach przedchrześcijańskich. W naszym kontekście wystarczy stwierdzenie, że pierwotny urząd Mojżesza – obejmujący kapłana, króla i proroka – został podzielony zrazu na kapłana i regenta z jednej strony oraz proroka, „kogoś jak Mojżesz”, z drugiej.

W II wieku p.n.e. powstał prawdopodobnie kierunek, który w opozycji do hellenizmu szukał drogi do korzeni judaizmu i gromadził się wokół proroka. Ten

prorok nazywany jest w źródłach „nauczycielem Tory”, a więc prawodawcą w najszerszym znaczeniu tego słowa, bądź „nauczycielem sprawiedliwości”. Owe konserwatywne kręgi zostały jednak wyparte, pozbawione władzy i zepchnięte na bezludne tereny nad Morzem Martwym, gdzie leży również Qumran.

Jest nie całkiem jasne, czy nauczyciel sprawiedliwości powędrował ze swymi zwolennikami na pustkowie, czy też zmarł jeszcze przed wyjściem z Jerozolimy. W każdym razie w Jerozolimie jako najwyższy kapłan i król rządził arcykapłan – urząd proroka pozostał początkowo nieobsadzony.

Wraz z powstaniem kasty panującej, z której odtąd wywodzili się arcykapłani, pojawiła się grupa saduceuszy. Miejsce pośrednie między saduceuszami a konserwatywnymi zajęli faryzeusze. Pierwotnie byli pisarzami świątynnymi, następnie uczonymi w Piśmie, intelektualistami, którzy szukali autentycznych korzeni judaizmu w Tanach, Piśmie Świętym judaizmu.

Te grupy i gminy (*jachad*), które oczekując Apokalipsy, zamierzały prowadzić zbożne życie z dala od ośrodków władzy, przez niektórych uczonych łączone są z pisarzami i właścicielami tekstów znalezionych w jaskiniach Qumran. Trwa gorący spór na temat tego, czy możemy widzieć w nich esseńczyków. Wbrew niesłychanym pomysłom, szerzonym przez aktywnych jak zwykle Baigenta/Leigha, w tekstach znad Morza Martwego nie pojawia się określenie *osseh hatorah* (sprawca Tory), które jakoby oznacza pierwotną formę pojęcia „esseńczycy”. Więcej – w tych tekstach nie ma w ogóle żadnego określenia grupowego dla twórców lub posiadaczy zwojów. Nie dziwi to, bo zbiór składa się z tekstów biblijnych i liturgicznych, jak psalmy i hymny. Jest oczywiste, że w tych świętych użytkowych tekstach nie uwiecznili się kopiści, posiadacze lub użytkownicy. Dlaczego mieliby to zrobić, aby sprawić przyjemność panom Baigentowi i Leighowi?

Między niepewnymi informacjami, jakie mamy o esseńczykach, i tym, co można wyczytać z tekstów o ich posiadaczach, istnieją elementy wspólne, ale istnieją też różnice. Dla esseńczyków, którzy w Judei stanowili ważne ugrupowanie, czystość fizyczna była warunkiem wstępnym czystości ducha. Myli się i chrzcili kilkakrotnie w ciągu dnia. Ponieważ zbawienie zależało od boskiego objawienia, a więc od tekstu Starego Testamentu, jego przepisywanie i powielanie należało do czynów miłych Bogu. Tę czynność zastępowały ofiary w świątyni, podczas których kapłani składali ofiary zwierzęce, co esseńczyków, będących ścisłymi wegetarianami, napawało obrzydzeniem.

Uważali oni, że nie wolno stosować przemocy wobec stworzeń boskich, także zwierząt. Podobne wyobrażenia znajdujemy u indyjskich dżinistów, ascetycznej sekty, do której należał również Siddhartha, zanim znalazł własną drogę, drogę Buddy.

Esseńczycy nie chcieli być obciążeni pokusami świata. Żyjąc w odległym zakątku, byli też odległymi poprzednikami chrześcijańskich mnichów. Mieli nadzieję, że znajdą ratunek w skupieniu się na prawie i w boskim objawieniu. Ale wycofali się na pustynię nie tylko po to, by uciec przed ludźmi – jak później mnisi – i być blisko Boga, lecz również po to, by zejść z drogi arcykapłanom, bo ci w ideach, a przede wszystkim w żądaniach esseńczyków widzieli zamach na podstawę swojej władzy. Kto odrzucał służbę świątynną i ofiary, stawiał pod znakiem zapytania legalność saduceuszy, którzy określali się poprzez służbę w świątyni, w miejscu, gdzie obecny był Bóg.

Wspólne dla esseńczyków i ludzi z Qumran – nawet jeśli nie są tożsami – jest życie w oczekiwaniu Apokalipsy i zgodnie z tym hołdowanie ideałom ascezy. Różnica polega na tym, że esseńczycy uważani są za pacyfistów, qumrańczycy zaś nie. Ze zwoju wojowników, reguł sekciarskich i innych pism jednoznacznie wynika, że gmina qumrańczyków była zorganizowana nie tylko pod kątem kapłanów i Apokalipsy, ale również według struktur wojskowych.

Co się zatem tyczy religijnej różnorodności judaizmu, to możemy poznać tylko wierzchołek góry lodowej. W tamtych niespokojnych czasach z ciągłymi walkami o władzę, ale też zmianami społecznymi, a przede wszystkim gospodarczymi – np. z reformą kalendarza, która doprowadziła kraj na krawędź gospodarczej ruiny – coraz bardziej konieczna była reforma judaizmu. Tworzyły się różne grupy religijne, odpowiadające też zawsze określonym grupom społecznym – choć nie należy tego pochopnie utożsamiać z warstwami społecznymi – a one formułowały swoje oczekiwanie od życia i przyszłości w formie religijnej. Wachlarz obejmował spektrum od władców teokratycznych, saduceuszy, poprzez intelektualistów w religii – faryzeuszy, którzy byli kimś w rodzaju ludowych kaznodziejów i prekursorami rabinów, aż po grupy ascetyczne i apokaliptyczne, jak ludzie z Qumran – esseńczycy. Oprócz tego były jeszcze ruchy chrzcicieli i religijnych rewolucjonistów, jak zeloci, którzy chcieli wypędzić z Judei wszystkich obcych i z bronią w ręku prowadzili coś w rodzaju walki partyzanckiej.

Wreszcie byli też nazyrejcycy, którzy aby podobać się Bogu, trzymali się szczególnie surowych reguł życiowych. Nie wolno im było pić alkoholu ani

obcinać włosów. Unikali potraw niekoszernych, a więc niesporządzonych według przepisanych reguł, i wystrzegali się kontaktu ze zwłokami. Za to uważali, że są powołani do szczególnych czynów, ponieważ uchodzili za świętych. Wyróżniano dwa rodzaje nazyrejczyków: jedni od urodzenia byli stworzeni do bycia nazyrejczykami, drudzy ślubowali żyć jak nazyrejczycy przez pewien czas. Nic dziwnego, że i tutaj kwitły spekulacje: przypuszczano, że Jezus był jakoby esseńczykiem, a także że czas jakiś był nazyrejczykiem. Również u nazyrejczyków odnajduje się wstępną formę wczesnego chrześcijańskiego monastycyzmu. Najpierw żyli jako pustelnicy (anachoreci) na pustyni, potem połączyli się we wspólnoty pustelnicze w klasztorach (cenobici).

KULT ŚWIĄTYNNY I RELIGIA PISMA – WCZESNY JUDAIZM

To, że mogło dojść do takiej religijnej różnorodności, wiązało się z pewną szczególną cechą żydowskiej religii, kryjącej w sobie w gruncie rzeczy dwie całkiem różne religie: świątynną, z wyraźnym kultem ofiarnym, i religią Pisma, która nie potrzebowała żadnej świątyni, tylko Księgi.

Dla istnienia tych dwu religii jest bardzo ładne, prorocze świadectwo: pewnego dnia arcykapłan Chilkiasz znalazł przypadkiem w kącie świątyni starą zakurzoną książkę. Gdy ją otworzył, litery zatańczyły mu przed oczyma, a serce nieomal stanęło: była to Księga Przymierza, jakie Bóg zawarł ze swoim narodem wybranym – i to oryginał.

Prawdopodobnie chodziło tu o Dwarim (Księgę Powtórzonego Prawa). Niejedno z Księgi popadło już w zapomnienie, niejedno zostało niezauważone. Gdy przeczytano królowi Jozjaszowi fragment Księgi, przeraził się niecnym życiem Żydów, którzy odwrócili się od Boga i nie przestrzegali nakazów Przymierza – i w śmiertelnym strachu porwał na sobie odzienie.

Potem zwrócił się do prorokini Chuldy, która odpowiedziała, co następuje: „To mówi Pan: »Oto sprowadzę zagładę na to miejsce i na jego mieszkańców: wszystkie przekleństwa, jakie są napisane w tej księdze, którą czytali przed królem judzkim. Za to, że opuścili mnie i składali ofiary kadzielne bogom obcym, drażniąc mię wszystkimi dziełami rąk swoich, zapłonął mój gniew przeciw temu miejscu i nie zgaśnie«. A do króla judzkiego, który was posłał, aby radzić się Pana, powiecie w ten sposób: »To mówi Pan, Bóg Izraela, co do słów, które usłyszałeś. Ponieważ ulękło się twoje serce i upokorzyłeś się przed obliczem Boga, słuchając tego, co wypowiedziałem przeciw temu miejscu i mieszkańcom jego, ponieważ ukorzyłeś się przede Mną, rozdarłeś swoje szaty i płakałeś przed moim obliczem,

to również i Ja wysłuchałem [ciebie] – wyrocznia Pana. Oto Ja przyłączę cię do twoich przodków i będziesz pochowany spokojnie w swoim grobie. I oczy twoje nie ujrzą całej zagłady, jaką sprowadzam na to miejsce i na jego mieszkańców» (2 Krn 34, 24–28).

W tej krótkiej opowieści kult świątynny przeciwstawiony jest wyraźnie kultowi Księgi. Księga została zapomniana na rzecz świątyni, Słowo, słowo Boga, przesłonięte dymem ofiary.

Po śmierci króla Jozjasza w kraju rozszalała się wojna, a dni Judei były policzone. W roku 586 p.n.e. Babilończycy zdobyli Jerozolimę, zburzyli świątynię, a elity żydowskie, kapłanów, uczonych i rzemieślników wywieźli do Babilonu. Pozostali jedynie chłopci.

Doświadczenie, które Żydzi zdobyli na wygnaniu, nasuwało myśl: Bóg nie mieszka w Jerozolimie. Mieszka tam, gdzie w Niego wierzymy. Możemy Go zabrać ze sobą wszędzie. Ta myśl występuje u proroka Ezechiela, który będąc na wygnaniu ukrytym prorokiem, nieprzypadkowo stał się później dla tajemnych religii jednym z najważniejszych żydowskich autorów od czasu cesarstwa rzymskiego do dziś.

W zasadzie Żydzi od wyjścia z Egiptu nieśli ze sobą tę podwójną religię – religię kultu świątynnego i religię Prawa – które można również określić mianem małych i wielkich misteriów. Kult świątynny, jako egzoteryczny, należy przy tym zaliczać do małych, objawienie zaś, Prawo, religię Pisma do wielkich misteriów, w Piśmie bowiem ważne było to, co w nim ukryte. Już w tym wyobrażeniu ujawnia się fundamentalna myśl kabały, mianowicie istnienie tajemnego boskiego objawienia, które trzeba rozszyfrować.

Nam może się wydawać absurdalne wyobrażenie zbliżającej się Apokalipsy, wywołanej boskim gniewem, jeszcze bardziej obca może się nam wydać idea, że dzięki życiu w ascezie, całkowitemu porzuceniu zwykłego mieszczańskiego życia unikniemy straszliwej kary boskiej, która może zostać na nas nałożona na wieki. Ale jeśli będziemy pojmować klęski żywiołowe, wojnę, morderstwo, gwałt, nieurodzaj, katastrofę nuklearną jako boskie kary, o mały krok zbliżymy się do tego świata.

Słowa takie jak kara, katastrofa i egzystencjalny niepokój brzmią abstrakcyjnie. Źródła jednakże dowodzą, że w walkach o władzę najbardziej cierpiała ludność. Walki te wybuchały nieustannie między samymi Żydami, a ich

apogeum stanowił spór o urząd arcykapłana. Na przykład w wojnie domowej za czasów arcykapłana Aleksandra Jannaja (Janneusza) pomiędzy 95 a 83 rokiem p.n.e. zginęło równo 50 000 ludzi. Zamiast prawa i porządku panowała tylko samowola, i to w kraju, którego cała tożsamość wywodziła się z Prawa boskiego. Cóż więc stało na przeszkodzie, by powrócić do tego Prawa, sprawić, by znowu obowiązywało?

Dla qumrańczyków było chyba oczywiste, że ich nawrócenie, ich posłuszne Prawu życie stanowiło model dla całego Izraela. Jeśli ludzie odwrócą się od arcykapłanów, a nie będą brnąć za żydowskim królem Herodem w hellenistyczną herezję, lecz swoim sposobem życia przyłączą się do qumrańczyków, co uznawano za pierwotny, możeszowy sposób życia, wtedy wszystko będzie dobrze i Bóg się nad nimi zlituje.

Jeśli zechcemy się przyjrzeć aktualnej dyskusji na temat wegetarianizmu, to uczynimy kolejny krok ku zrozumieniu myślenia w tamtych czasach, bo wszystkie kierunki ascetyczne w historii hołdują żywieniu bezmięsnemu.

Gniewnego Boga trzeba było ugłaskać, a do Boga miłującego się zbliżyć. W zbiorze z Qumran jest uderzająco dużo tekstów liturgicznych. Przyczyną jest kapłańskie wyobrażenie, które Hebrajczycy prawdopodobnie przynieśli już z Egiptu, bo tam już istniało. Ta idea głosiła, że kapłani dokładnym wypełnianiem rytów podtrzymują świat. Tak jak anioły w rytuałach stale wysławiają Boga i tym samym gwarantują bieg świata, tak na ziemi naśladowali je kapłani, którzy uważali siebie za towarzyszy, kolegów aniołów. To zapowiada już późniejszą katolicką ideę kapłana jako trzeciej płci (*tertium genus*), kapłana, który wprawdzie nie jest Bogiem, ale jest więcej niż człowiekiem.

Doktryna mówiła: Bóg niszczy i karze, jeśli się go nie sławi i jemu nie służy, i to karze nie tylko pojedynczego człowieka, lecz całą ludzkość. Modlitwa do Boga, wychwalanie go ma szczególne znaczenie, a Bóg według mistycznych wyobrażeń jest w tym pedantycznie dokładny: dopiero kiedy naród wybrany go wychwalił, to samo mogli zrobić w niebie aniołowie, i dopiero wtedy prośba i chwalba były przyjęte. Przy oknie siódmego nieba stał anioł Samuel, słuchał modłów Izraelitów i następnie przekazywał je dalej.

W tej religijnej różnorodności i w tych ciężkich egzystencjalnych niepokojach ludzie udali się na poszukiwanie tajemnicy – a ponieważ starali się zbliżyć do tego, co najtajniejsze, wybrali się w niebezpieczną dla życia drogę potajemnie, co oznaczało jednocześnie radykalny odwrót od dotychczasowego

życia. Ta myśl pojawia się jeszcze w Ewangeliach, gdy Jezus żąda od tych, którzy chcą iść za nim jako uczniowie: „Jeśli kto przychodzi do Mnie, a nie ma w nienawiści swego ojca i matki, żony i dzieci, braci i siostr, nadto i siebie samego, nie może być moim uczniem” (Łk 14, 26). Podobnie było z qumrańczykami czy eseneńczykami: warunkiem przynależności do nich, względnie zbliżenia się do Boga było radykalne zerwanie z wartościami i więzami, z dawnym życiem, które należało zwalczyć. Ten, kto nie mógł tego uczynić, nie był wart boskich tajemnic, bo istniały dla niego rzeczy ważniejsze niż ich strzeżenie.

Tutaj po raz pierwszy w historii dotykamy brzemiennej w skutki tajemnej religii, z którą mógł się zetknąć Jezus. O ile możemy wykryć tę religię, o tyle jej protagoniści do średniowiecza pozostają dla nas w ukryciu. Istnieją wprawdzie na poły mityczne postacie, jak rabin Akiba, ale prawdziwie namacalne osoby wyłaniają się z ciemności dopiero w VIII stuleciu na krótką, nieostrożną chwilę. Ci ludzie, których – mając świadomość trudności określenia – nazwiemy mistykami, zrobili wszystko, aby się ukryć w historii. A jak sami uważali, mieli ku temu najlepszy powód: przeszli do innego świata, w inną, według nich prawdziwą rzeczywistość. Wiedzieli, że ich poczynania są niebezpieczne i dlatego chcieli pozostać anonimowi. Robili to tym chętniej, że gardzili pustą sławą zwyczajnego świata; uważali, że w swojej rzeczywistości znajdują coś piękniejszego, ważniejszego i o wiele bardziej wartościowego.

Postulat, by żyć zgodnie z Prawem, chociaż był dobry i słuszny, okazał się trudny do spełnienia, zwłaszcza w czasach kryzysu, kiedy zniknęła wszelka pewność, a istniejący porządek kwestionowano już od dawna. Jednym słowem, świat wczesnych żydowskich mistyków był kruchy. W żydowskim państwie Bożym system świątynny stracił uzasadnienie wskutek korupcji i hipokryzji panującej kasty kapłanów.

Jakże można przestrzegać jakiegoś nakazu, nawet pochodzącego od Boga, gdy świat się chwieje? Jak podeprzeć dach, kiedy wał się ściany, jak wierzyć autorytetom, które swą władzę i pozycję wykorzystują do osobistego bogacenia? Po co więc męczyć się z tym beznadziejnym i daremnym ziemskim życiem, skoro wiadomo, że wszelki splendor i wszelkie szczęście jest od Boga – i to w dodatku na wieki? Czy w takim razie wybór bezpośredniej drogi do Boga nie jest najlepszym rozwiązaniem? Czyż prorocy, począwszy od Mojżesza, też nie obcowali z Najwyższym, który mógł dać pokój i zbawienie, podczas gdy wszystko inne okazywało się mamidłem?

Ta pozornie czysto religijna idea okazała się niebezpieczna, a zarazem

heretycka. Niebezpieczna, bo kapłani świątyni rezerwowali to obcowanie dla siebie – chociaż w innej formie niż składanie ofiar – a to ono stanowiło podstawę ich władzy; heretycka zaś, ponieważ wydawało się, że mały człowiek ulega pysze, samochwalstwu, sądząc, że może mu się udać zbliżyć do nieobjętego Boga. Próba dojścia do Boga pomniejszała również samego Boga, w pewnym sensie czyniła z niego obiekt. W dodatku świętokradztwem było, że człowiek chce poznać najgłębsze boskie tajemnice, a nawet sądzi, że wolno mu zaglądać Bogu w karty. Czyżby Bóg był marionetką mistyków?

Mistycy argumentują zaś, że taka jest wola boska i że On chce zostać odnaleziony przez pobożnych. Ich wysiłki odpowiadają tylko boskiej zasadzie zbawienia.

Mamy więc słowo przeciwko słowu, pogląd przeciwko pogładowi; oba stanowiska zyskiwały uzasadnienie, ale żadne nie przekonywało drugiej strony. A ponieważ w ostatecznym rozrachunku chodziło o władzę, bogactwo i wpływy – a dla saduceuszy była to wprost kwestia egzystencji – spór ten przerodził się w zagorzałą walkę.

W tych niespokojnych czasach poszukujący mężowie, być może faryzeusze, odkryli przy stałych i dokładnych lekturach Tanach, gdy wnikliwie badali każde słowo Starego Testamentu, że w tekście Tory tkwi więcej niż jedno znaczenie. Po wieloletnich pedantycznych studiach stwierdzili, że Tora, Słowo Boga i Prawo nie są po prostu Księgą, lecz żywą istotą, która na pytania stawiane tekstowi codziennie na nowo udziela odpowiedzi. W ten sposób odnajdowano wciąż nowe i głębsze znaczenia. Podczas gdy rytuały i ceremonie były sztywne i ustalone, boskie Słowo ciągnęło czytających w coraz to nowe światy. A zatem nie wszystko było powiedziane, Bóg nie przemówił raz na zawsze. Albo inaczej: Bóg nigdy nie przestał mówić.

Efektom poznania była zdumiewająca konstatacja, że Bóg wciąż jeszcze przemawia i będzie mówić nadal, do końca dni. Skoro Bóg przemawia, to istnieje też możliwość komunikowania się z nim. Tylko na najniższym poziomie tekst Tory składał się ze słów, zdań i rozdziałów, na głębszym poziomie przyjmował postać Bożej Mądrości (hebr. *chochima*, gr. *sophia*). Ta miała dwojaką postać – otwartą, dostępną dla wszystkich, i tajemną, dostępną tylko dla nielicznych wtajemniczonych. Innymi słowy: w Pismach Świętych ładnie przyozdobione małe misteria perfekcyjnie skrywały wielkie misteria.

Odkrycie, które zrobili ci mężowie, było po prostu niesamowite: w Torze

kryło się nie tylko Prawo świata, ale Prawo światów – istniejących, minionych, przyszłych. Nawet jeśli to nie prowadziło do rzeczowych interpretacji Tory, należy zaznaczyć, jak pisze Gershom Scholem, że „w ten sposób święte Księgi zyskały niespodziewaną atrakcyjność dla każdej jednostki, dla której świeciła z nich tajemnica jej własnego życia”^[101]. Odtąd rozumiano Pismo Święte w kilku aspektach jako święte: raz, bo zawierało Słowo Boże, dwa, bo było mową Boga, wreszcie, bo objawienie zdarzyło się nie raz, lecz dokonywało się wciąż, wyzwalało człowieka i zbawiało.

Niebezpieczne zajmowanie się tajemnicą stworzenia, rodzaj duchowego badania komórek macierzystych, uprawiane także w kręgach faryzejskich, dotyczyło najpierw interpretacji pierwszego rozdziału Księgi Rodzaju, w której chodzi o to, jak Bóg stworzył świat i życie. Było to zarazem pytanie o samego Boga: kim jest, kto to tworzy? Jeśli sam jest niestworzony, a więc wieczny, dlaczego nagle robi się aktywny? Czy to jedyny świat, jaki stworzył, czy może człowiek żyje na świecie wśród światów, które oddzielają go od Boga?

To pytanie jeszcze dzisiaj nurtuje wielu ludzi, chociaż w bardzo zredukowanej postaci. Ludzie pytają: czy jesteśmy sami we wszechświecie? W tym współczesnym sformułowaniu wyraża się dawna tęsknota, którą odnajdujemy już w spekulacjach wczesnych żydowskich mistyków: że nie jesteśmy sami. Dawne demony to dziś Obcy. Stara tęsknota przetłumaczyła się i stworzyła kryptę. W wielkich opowieściach ludzie nie zmieniają ani konstrukcji, ani akcji – zmieniają tylko oprawę, atmosferę, szatę i nazwiska aktorów.

Z pytania o Boga wynikły dwa problemy. Po pierwsze było to przeciwstawienie człowieka i Boga (Ja i On), a po drugie – dystans istniejący między człowiekiem a Bogiem.

Ale dystans do Boga określa również oddalenie od Boga, a to już stanowiło dla Żydów problem egzystencjalny. Zbawienie człowieka zależało dosłownie od bliskości Boga, tak jak rośliny do wzrostu potrzebują słońca. Gdy później rabini nauczali, że nie chodzi o nic innego jak o studiowanie boskich praw, właściwe ich zastosowanie wobec świata i ich przestrzeganie, to mistycy stawiali niebezpieczne pytanie, jak zmniejszyć dystans między sobą a Bogiem. Mówiąc prościej: podczas gdy faryzeusze interesowali się wzajemnym stosunkiem Boga i świata, w którym Żydzi zajmowali miejsce szczególne, mistycy znosili ten stosunek i koncentrowali się tylko na Bogu, ignorując świat, który pozostawili za sobą.

Oczywiście było to radykalne. W próbach uwolnienia się od świata

żydowscy mistycy – w swoich rozważaniach, nie w formie – podobni byli do buddystów, którzy nieco wcześniej w Indiach, w szkole hinajana, wybrali podobną drogę. Istota buddyjskiej teorii polegała na „czterech szlachetnych prawdach”, z których trzecia brzmiała:

„To, o mnisi, jest szlachetna prawda o zniesieniu cierpienia: zniesieniu pragnienia przez całkowite zniszczenie pożądania, porzucenia go, pozbycia się, uwolnienia od niego, pozbawienia go siedziby”^[102].

Oznacza to, że jesteśmy związani ze światem pragnieniami, życzeniami i potrzebami, że to, co nazwane zostało „pragnienie”, jest pragnieniem, które wciąż wywołuje nowe pragnienie, mimo prób jego ugaszenia. Dla buddystów, jak i dla mistyków, ważne jest oderwanie się od świata. Kiedy jednak buddyści chcą świat pokonać, żeby wyjść z kręgu reinkarnacji, mistycy, skupiając się na Bogu, coraz mniej miejsca przyznają światu, właściwie nie chcą mu go przyznać w ogóle.

W kręgu zainteresowań pierwszych mistyków znalazła się obok historii stworzenia cała grupa tekstów ukrytych, zaginionych przez czas pewien lub na zawsze, które dzisiaj objęte są mianem literatury apokaliptycznej. Odnajdowaniu tych tekstów towarzyszyły zawsze okoliczności spektakularne, skłaniające do tworzenia legend, jak odkrycie z Nag Hammadi albo z Qumran. Istotnie ciekawe jest w tych pismach jednak to, że dają nam oszołamiający wgląd w mnogość częściowo rzeczywiście tajemnych religii, które istniały albo obok judaizmu i wczesnego chrystianizmu, albo w nich. W każdym razie były prześladowane, spychane na margines lub uznawane za herezję.

W Starym Testamencie są to Księgi Daniela i Ezechiela. Spośród wielu Apokalips, które nie zostały przyjęte do kanonu Pism Świętych, największą sławę osiągnęły 4. Księga Ezdrasza i Księga Henocha. Księgi te, powstałe mniej więcej około II wieku p.n.e., zostały spisane, zebrane i być może zredagowane przez anonimowych autorów. Aby dodać im lat i autorytetu, jako prawdziwych autorów podano biblijnych patriarchów, takich jak Henoch, Adam, Abraham, Mojżesz, Ezdrasz, Baruch czy Daniel.

Treść tych ksiąg zawierała ni mniej ni więcej tylko wielkie misteria, objawienie boskich tajemnic. Były one przekazywane przez Boga prorokowi, jak w Księdze Ezechiela, albo prorok udawał się w podróż do nieba, jak Henoch, i w sali tronowej widział Boga, a tym samym wszystkie jego misteria.

Bez względu na to, gdzie i kiedy znajdowano apokaliptyczne pisma,

w Etiopii, jak w przypadku Księgi Henocha, której istnieje również słowiańska kopia, czy w Qumran, pewne jest, że istniało wiele żydowskich Apokalips, z których tylko nieliczne przechowały się do naszych czasów. Przedstawiają one jedynie tajemną literaturę, boską mapę skarbów dla mistycznego łowcy tajemnicy ostatniej.

SPOJRZENIE W BOŻE KRÓLESTWO – EZECHIEL

...na Jego rozkaz pędzą jak huragan i z czią padają przed Jego tron.

Ezechiel

Jeden z tekstów wciąż przez mistyków studiowany i analizowany to pierwszy rozdział proroka Ezechiela, w którym wywieziony do Babilonu prorok otrzymuje od Boga informacje w formie wizji.

Ezechiel widzi w nich chwałę Bożą, rydwan Boga (*merkawa*) i pałac (*hechalot*). Ta wizja jest wspaniała i wyzwalająca, ponieważ zmniejsza dystans do Boga i wynosi człowieka, bo pozwala mu uczestniczyć w bożych tajemnicach. Misteria ukryte są w wizji rydwanu.

Ale nie jest to tak proste, ponieważ – jak już widzieliśmy – aby dotrzeć blisko Boga, człowiek musi też niejedno znieść. Ezechiel został wybrany, bo Bóg wiedział, że wytrzyma spotkanie podczas wizji. Bóg jest całą prawdą, a żaden człowiek nie może znieść całej prawdy. Ludzie nie potrzebowałiby ani poezji, ani metafory, ani symboli i alegorii, gdyby byli w stanie przyjąć prawdę w jej czystej postaci. Ale dopóki związani są ze światem swymi pragnieniami, życzeniami, nadziejami, swą miłością i próżnością, dopóki odczuwają jeszcze tęsknoty, życzenia, nadzieje, swą miłość i próżność, nie są w stanie znieść całej prawdy. Dlatego każda mistyka, czy to żydowska, czy chrześcijańska bądź muzułmańska, zaczyna się odwróceniem od świata, od oczyszczenia względnie od oczyszczających rytuałów. Faryzeusze nie dyskutowali publicznie tej wizji ani swych rozważań na temat Księgi Rodzaju, czyniąc to jedynie w ścisłym kręgu uczestników pewnego rodzaju tajnego przymierza z Bogiem. Ponieważ rabini poznali później na własnej skórze ogromne niebezpieczeństwo tych wizji i zbliżeń, nalegali, żeby nie było wolno czytać Księgi Ezechiela przed ukończeniem trzydziestego roku życia. Trzydziestoletni mężczyzna uchodził za dostatecznie okrzepłego, by stawić czoło temu mylącemu tekstowi. W tym kontekście

nieprzypadkowo Jezus w tym wieku zaczął być skuteczny – dopiero wtedy miał niezbędny autorytet.

Wiele materiałów na temat działalności faryzeuszy i wczesnych mistyków zaginęło dlatego, że święty Juda ha-Nasi, redaktor Miszny, spisanej Tory ustnej, wykorzenił z niej materiał mistyczny. Podobnie jak później w oficjalnym chrystianizmie, tak i w judaizmie istniała niechęć wobec poglądów, tajemnic i praktyk mistyków.

W każdym razie Juda uważał te spekulacje nie tylko za zbędne, ale za bardzo niebezpieczne. Od początku zarzucano mistykom zarozumiałstwo, pychę (*hybris*), ponieważ – jak to określił papież Jan XXII w bulli przeciwko Mistrzowi Eckhartowi – „chcieli wiedzieć więcej, niż to konieczne”^[103].

Dla mistyka kwestia stosunku człowieka do Boga przedstawiała się następująco: Jeśli między człowiekiem a Bogiem jest przestrzeń, jest też dal. To znaczy, że człowiek żyje w oddaleniu od Boga, jak na wygnaniu. Ale to świat jest jego wygnaniem, gdzie żyje jak Ezechiel w Babilonie, może zatem pokonać tę odległość. Może dojść do Boga i zobaczyć jego rydwan – ten rydwan, ten tak sławny i niejasny w tekście obraz jest symbolem chwały Bożej. Ponieważ jednak Bóg jest dla człowieka niepojęty i człowiek nie może go zobaczyć – pamiętamy posąg w Sais i tragiczne skutki dla młodzieńca – Bóg ukazuje się w pewnej manifestacji, mianowicie w swojej wspaniałości, nie zaś w swojej istocie, której człowiek i tak nie jest w stanie pojąć.

Ezechiel najpierw widzi rydwan, potem anioły, wreszcie zewnętrzny kształt Boga, przebranie, które jest jeszcze w stanie znieść: „I patrzyłem, a oto przy boku cherubów znajdowały się cztery koła: po jednym kole obok każdego cheruba, a koła te z wyglądu miały połysk jakby tarszyszu. Wyglądały zaś tak, jakby każde z czterech miało ten sam kształt, jakby jedno koło znajdowało się w drugim. A gdy się posuwały, posuwały się w czterech swoich kierunkach; nie odwracały się, gdy się posuwały, ale posuwały się w tym kierunku, dokąd prowadziła je głowa, posuwały się za nią i nie odwracały się, gdy się posuwały. Ich całe ciało – plecy, ręce, skrzydła i koła u wszystkich czterech – było wypełnione dokoła oczami. Słyszałem, że kołom została nadana nazwa *galgal*. Każda istota miała po cztery oblicza: pierwsze było obliczem wołu, drugie obliczem człowieka, trzecie obliczem lwa, a czwarte obliczem orła. A cheruby się podniosły; była to ta sama istota, którą widziałem nad rzeką Kebar. Gdy cheruby chodziły, poruszały się także przy ich boku koła; a gdy cheruby podnosiły swe skrzydła, aby się unieść z ziemi, koła nie odrywały się od ich boku. A gdy cheruby się zatrzymywały, także one się

zatrzymywały, a gdy się podnosiły, to podnosiły się także i one razem z nimi, ponieważ był w nich duch istoty żywej” (Ez 10, 16).

„Każda posuwała się prosto przed siebie; szły tam, dokąd duch je prowadził; idąc nie odwracały się. W środku pomiędzy tymi istotami żyjącymi pojawiły się jakby żarzące się w ogniu węgle, podobne do pochodni, poruszające się między owymi istotami żyjącymi. Ogień rzucał jasny blask i z ognia wychodziły błyskawice. Istoty żyjące biegały tam i z powrotem jak gdyby błyskawice. Przypatrzyłem się tym istotom żyjącym, a oto przy każdej z tych czterech istot żyjących znajdowało się na ziemi jedno koło. Wygląd tych kół i ich wykonanie odznaczały się połyskiem tarsziszu, a wszystkie cztery miały ten sam wygląd i wydawało się, jakby były wykonane tak, że jedno koło było w drugim. Mogły chodzić w czterech kierunkach; gdy zaś szły, nie odwracały się idąc. Obręcz ich była ogromna; przypatrywałem się im i oto: obręcz u tych wszystkich czterech była pełna oczu wokoło. A gdy te istoty żyjące się posuwały, także koła posuwały się razem z nimi, gdy zaś istoty podnosiły się z ziemi, podnosiły się również koła. Dokądkolwiek poruszał je duch, tam szły także koła; równocześnie podnosiły się z nimi, ponieważ duch życia znajdował się w kołach. Gdy się poruszały [te istoty], ruszały się i koła, a gdy przestawały, również i koła się zatrzymywały: gdy one podnosiły się z ziemi, koła podnosiły się również, ponieważ duch życia znajdował się w kołach. Nad głowami tych istot żyjących było coś jakby sklepienie niebieskie, jakby kryształ lśniący, rozpostarty ponad ich głowami, ku górze. Pod sklepieniem skrzydła ich były wzniesione, jedno obok drugiego; każde miało ich po dwa, którymi pokrywały swoje tułowia. Gdy szły, słyszałem poszum ich skrzydeł jak szum wielu wód, jak głos Wszechmogącego, odgłos ogłuszający jak zgiełk obozu żołnierskiego; natomiast gdy stały, skrzydła miały opuszczone. Nad sklepieniem, które było nad ich głowami, rozlegał się głos; gdy stały, skrzydła miały opuszczone. Ponad sklepieniem, które było nad ich głowami, było coś, co miało wygląd szafiru, a miało kształt tronu, a na nim jakby zarys postaci człowieka. Następnie widziałem coś jakby połysk stopu złota ze srebrem, »który wyglądał jak ogień wokół niego«. Ku górze od tego, co wyglądało jak biodra, i w dół od tego, co wyglądało jak biodra, widziałem coś, co wyglądało jak ogień, a wokół niego promieniował blask. Jak pojawienie się tęczy na obłokach w dzień deszczowy, tak przedstawiał się ów blask dokoła. Taki był widok tego, co było podobne do chwały Pańskiej. Oglądałem ją. Następnie upadłem na twarz i usłyszałem głos Mówiącego” (Ez 1, 12–28).

Wyobrażenie Królestwa daje mistykowi spojrzenie na pełnię, którą później gnostycy będą nazywać *pleroma*, mianowicie na krainę bożego światła z całą jej siłą, możliwościami i stworzeniami.

W tajemnicy Boga tkwi nierozwiązywalny problem postrzegania, konieczność postrzeżenia bez postrzegania. Człowiek postrzega, różnicując – na przykład że coś jest jasne lub ciemne. Poznanie Boga z całą jego mocą, możliwościami i stworzeniami jako całości, jako jedności, oznacza jednak, że widzi się coś jednorodnego, niezróżnicowanego, w czym na dodatek jest się samemu i do czego się należy. Oznacza to, że widzi się światło i cień nie jako światło i cień, lecz jako jedność lub raczej światło i cień w jednym bez różnicy – ani jasne, ani ciemne. Dlatego mistycy podejmowali wielkie wysiłki, by zmienić swoje postrzeganie.

Rydwanowi towarzyszą anioły. Ich opisy jako połączenia człowieka i zwierzęcia przypominają asyryjskie *karibu*. Po hebrajsku nazywają się *kerubim*, potem będą należeć jako cherubowie do hierarchii chrześcijańskich aniołów (archanioł, serafin, cherubin). Tą drogą do chrześcijańskiej angelologii dostały się baśniowe istoty staroasyryjskie.

W SIÓDMYM NIEBIE – KSIĘGI HENOCHA

Kolejnym źródłem inspiracji dla mistyków na ich drodze do Boga były apokryficzne Księgi Henocha. Coraz silniejsze były wyobrażenia siedmiu nieb, podobnie jak w kulcie Mitry siedmiu bogów zodiaku w siedmiu sferach bądź niebach.

W najwyższym niebie jest boży pałac (*hechalot*) składający się z siedmiu sal bądź komór. W ostatniej sali, w Komorze Wielkości, znajduje się Bóg albo jego hipostaza. Żydowskiemu mistykowi chodzi o wizję, nie o istotę, której nie mógłby znieść, bo przerasta to jego zdolność pojmowania, lecz przede wszystkim o wizję chwały Bożej. Chwała jest narkotykiem nieustającego szczęścia, które Bóg stworzył dla tych, którzy Go poszukują – interesuje ich przyjemność spożywania opium, nie zaś jego chemiczna formuła.

Powstaje praktyczne pytanie, jak poszukujący Boga ma dotrzeć do siódmej komory – i to przed swoją śmiercią. W tym kryje się mianowicie niezwykły urok mistyki: ona obiecuje poszukującemu człowiekowi, że może rozpocząć podróż do nieba nie dopiero po śmierci, lecz już za życia, i może popробować tego niewyobrażalnego szczęścia. W tym ograniczonym, przypadkowym życiu człowiek otrzymuje przedsmak wieczności i zbawczej konieczności – konieczności, która nie oznacza przymusu, lecz ma tę cechę, że wreszcie wszystko musi być takie, jakie powinno być. A powinno być dobrą koniecznością, zakuwającą w łańcuchy ślepe i złe moce przypadku.

W XIII wieku n.e. w żydowskiej mistyce stopniowo dokonywał się fascynujący zwrot: przestano mówić o wspinaniu się, a zastąpiono to schodzeniem do Boga, do Komory Wielkości^[104]. Nagle też pojawiła się nazwa jednej z tajemnych mistycznych grup: występuje od I wieku p.n.e., czyli prawdopodobnie od chwili powstania. Jej członkowie nazywają się teraz „Jorde Merkawa”, Zstępujący do Bożego Rydwanu.

Zadawano sobie pytanie, jak mógł się dokonać taki zwrot i co on oznacza – ale pozostało ono bez odpowiedzi. Jeśli jednak porzucimy utrwalony wzór nieba i piekła, które musi istnieć w głębi ziemi, jako synonim Boga i Szatana, a więc późniejsze rozumowanie chrześcijan, i na chwilę przypomnimy sobie, że egipska kraina umarłych była wiecznym, równoległym światem, nasuwa się prosta odpowiedź.

Dla Asyryjczyków, Babilończyków i Hetytów kraina umarłych nie była piekłem. Nawet grecki Hades nie miał rysów satanicznych. Przedstawianie bóstw związanych z pramatką Ziemią jako szatana jest sprawą jak najbardziej chrześcijańską, która wynika z prostego, ale ważnego dla przetrwania bodźca: należało generalnie „uszatanić” pogańskie bóstwa. Idąc tym tropem, można by uważać satanistów za romantyczny protest wobec chrześcijańskiego oszczerstwa. Później tę romantykę potężnie podgrzali jeszcze pisarze jak Alan Poe (1809–1849) oraz guru sekciarzy Aleister Crowley (1875–1947).

Jeśli więc odejść od chrześcijańskiego rozumienia „schodzenia” jako „zejścia do piekieł”, to wyłania się interpretacja, że Bóg znajduje się w centrum świata, że wyrzucił świat czy też światy z siebie jak wulkan, więc świat jest erupcją jego samego. Bóg, który króluje nad wszystkim i wszystko wziął z siebie, odłożył na bok lub pod siebie, robi wrażenie zniewolonego, osaczonego i dlatego wobec swojego stworzenia niesuwerennego. Natomiast Bóg znajdujący się w centrum, który może wszystko według własnej woli wyrzucić z siebie lub zabrać z powrotem, działa autarkicznie. Świat jest dla niego tylko jak przyczyna na nosie.

Dla zaskakującej idei schodzenia do Boga sama się nasuwała idea płodzenia z centrum. Na dodatek w porównaniu z późniejszymi spekulacjami stanowiła ona oryginalny wariant umieszczenia Boga na wieki w niebie. To ostatnie związane jest zarówno z faktem fizjologicznym, że podnoszenie głowy, patrzenie do góry zawsze odbieramy jako wzniosłe, jak i z optyczną rzeczywistością, że z góry płynie światło. Spuszczanie oczu oznacza zawsze pokorę bądź zawstydzenie, bo wiąże się z dostrzeżeniem swoich ograniczeń. Spojrzenie w niebo symbolizuje wzrost

i życie, spuszczenie oczu – upadek i śmierć.

Podróż do Boga

Do góry czy w dół, jeśli mityk chce ujrzeć chwałę Bożą, musi przemierzyć siedem sfer, o których nic nie wiemy, następnie siedem komór lub sal, co z kolei zostało opisane niesłuchanie szczegółowo.

Historia tej podróży jest fascynująca. Jezus, Paweł i Mahomet podejmą później podobne podróże, ale wszystkie one pozostają w zależności od podróży żydowskich mityków.

Działanie mityka, obojętne jakiej konfesji, obejmuje trzy aspekty: realny, symboliczny i alegoryczny:

1. Każde ćwiczenie bądź czynność podejmowane na długiej drodze do Boga mityk wykonuje rzeczywiście, w prawdziwym życiu.

2. Pod pewnym względem wykonuje je również w niebie u Boga, bo co się dzieje na ziemi, dzieje się jednocześnie w niebie, wprost równoległe. Na tym polega symboliczny aspekt działania mityka.

3. Ponadto mityk rozumie zbawienie w sposób całkowicie zindywidualizowany. Cała dramaturgia mitycznej podróży jest alegorią, odtworzeniem procesu tworzenia.

Chociaż mityczne podróże odbywały się z dala od publiczności i bez mitycznych przewodników, możliwe jest znalezienie tropu ich tajemnych tras. Trzeba jednak pamiętać, że drogowskazy są symbolami, które trzeba znać. Opis drogi jest zaszyfrowany. Każda mityczna podróż zaczynała się od głębokiego duchowego i fizycznego oczyszczenia. Do tego należały kąpiele, może nawet chrzest, ale też wstrzemięźliwość seksualna i post. Okres oczyszczenia obejmował dwanaście bądź czterdzieści dni.

Liczba dwanaście jest symbolem dwunastu plemion Izraela, zawiera się jednak również w liczbie znaków zodiaku i miesięcy w roku, a później w kręgu uczniów Jezusa. Liczba czterdzieści oznacza drugą wielką podróż, mianowicie podróż Żydów pod wodzą Mojżesza przez pustynię do Ziemi Obiecanej.

Obie liczby mają głębokie religijne znaczenie. Po czterdziestu latach Żydzi,

którzy uciekli z Egiptu, dotarli do granicy Ziemi Obiecanej. Mojżesz wypełnił polecenie, doprowadził ich do celu; ale do Ziemi Obiecanej, do nowego życia miał zaprowadzić Żydów jego następca Jozue. W ciągu czterdziestu dni prorok Ezdrasz otrzymał od Boga dziewięćdziesiąt cztery księgi, i to prócz tych znanych dwudziestu czterech kolejnych siedemdziesiąt tajemnych ksiąg – jak głosi apokaliptyczna 4. Księga Ezdrasza – ukrytych i zapieczętowanych. Będzie też siedemdziesięciu dwóch uczonych, którzy przetłumaczyli hebrajską Biblię na grecki, z tego też powodu nazwaną Septuagintą (łac. siedemdziesiątka), a cytowany już wielki tekst o istocie Boga, tkwiący całkowicie w tradycji mistyki, nieprzypadkowo nazywany jest *Księgą 24 filozofów*.

Okres oczyszczenia był czasem wykazania się i inicjacji. Tak jak umarł Mojżesz, tak w mistyku umierał dawny człowiek. Oczyszczony mógł jako nowy rozpocząć mistyczne zejście do królewskiego pałacu. Postawi towarzyszyły ćwiczenia w skupieniu, podczas których mistyk przyjmował taką postawę, jak prorok Eliasz na górze Karmel, sprowadzając deszcz: „wszedł na szczyt Karmelu i pochyliwszy się ku ziemi, wtulił twarz między swoje kolana” (1 Krl 18, 42).

Tak schylony, z głową schowaną głęboko pomiędzy kolanami, mistyk modlił się, śpiewał psalmy i hymny. „Wielu uczonych sądziło, że ten, kto wyróżnia się licznymi walorami przytaczanymi w Pismach, i chce ujrzeć merkawę oraz pałace aniołów na wysokościach, musi zachować wszelkie procedury. Musi określoną liczbę dni pościć i kłaść głowę pomiędzy kolana, i szeptać liczne hymny i śpiewy, których tekst został przekazany. Potem zobaczy wnętrza i komory, jakby patrzył własnymi oczyma na siedem pałaców, i widzi, jakby wkraczał z jednego pałacu do drugiego i widzi, co w nich jest”^[105]. Tymi słowami mistyk Gaon Haj ben Scherira (ok. 1000) podsumował mistyczną drogę.

Zaskakujące, ale te litanie, które musiał wyśpiewywać mistyk, były dość monotonne w porównaniu ze szczytnym celem, jaki zamierzał osiągnąć, lecz dzięki stałemu recytowaniu w połączeniu z nakazaną postawą powodowały one stan autosugestii prowadzącej do transu. Jeden z tych tekstów zaczyna się tak:

Wszechmoc i wierność Wiekuistego

Wyrozumiałość i błogosławieństwo Wiekuistego

Prawość i wielkość Wiekuistego

Wiedza i mowa Wiekuistego

Przepych i wspaniałość Wiekuistego

Rada i schronienie Wiekuistego...^[106]

Ustawiczne wzywianie Boga z przywoływaniem jego różnych atrybutów lub wyliczanie różnych jego imion to prastara technika religijna, spotykana już u Egipcjan. Do autosugestii, do osiągnięcia innego stanu bytu, w którym myślenie zostaje obrane z myśli, prowadzi nie to, co skomplikowane, lecz prostota, chwytliwość i wyraźny, wręcz monotony rytm, odgrywający rolę prania mózgu. Podobnie funkcjonuje w islamie *dhikr*, przypominanie Boga, kiedy jedno po drugim wymienia się różne imiona Allacha.

W mistyce jest to ów inny stan bytu, w którym człowiek wewnętrzny, dusza, *pneuma* oddziela się od ciała i rozpoczyna podróż. Moment, w którym dusza opuszcza ciało, jest bardzo ryzykowny. Sama podróż uważana jest za niebezpieczną dla życia i zdrowia, dla ciała i duszy.

Nie wiemy, jak przechodzimy przez siedem nieb, lepiej udokumentowane jest natomiast zejście duszy do siedmiu komór lub sal bożych.

Nie byłoby trzeba żadnych siedmiu komór, gdyby nie wiązało się z nimi siedem bram i ich siedmiu strażników. Z tego powodu Księga Henocha nazwana została „Księgą Strażników”. Progi, przejścia, drzwi i bramy zawsze znaczą niebezpieczną zmianę światów. Nie wiadomo, co czeka, gdy się wychodzi przez drzwi. Nie na próżno rzymskie bóstwa domowe, lary, czuwały przy drzwiach swoich domów. Ale wyobrażenia Egipcjan o tamtym świecie też znały strażników bram, dwanaście furt, przy których trzeba było bezpiecznie przekazywać słońce.

W gotyckich katedrach jako strażnicy bram występują bardzo fantazyjne postacie demonów, przypominające raczej sumeryjskiego władcę much Pazuzu czy babilońskie Karibu, owo skrzyżowanie człowieka i zwierzęcia, niż postacie chrześcijańskie. Straszne figury są potrzebne, by bronić przed okropnościami. Wszystkie one nie mogą i nie powinny ukrywać swojego niechrześcijańskiego charakteru, mają bowiem również odpędzać, lub przynajmniej odżegnywać pogańskie upiory, jak też wszystko, co niechrześcijańskie. Chrześcijaństwo w imponujący sposób przejmowało świat pogańskich bogów i demonów, traktując go zresztą jako królestwo szatana. Podobnie jak nie można było zrezygnować z uczonych kobiet lub kapłanek, tak nie można było zrezygnować z demonów, ponieważ były zbyt głęboko zakorzenione w ludowej świadomości. Ale można

było je kontrolować, przekształcając je w agentów wszelkiego zła.

Dlatego podróżujący do nieba, który stykał się z silniejszymi przeciwnikami, potrzebował magicznej broni. Jest to prastare dobro kulturowe i występuje we wszystkich mitologiach. Przebija także w baśniach i podaniach, począwszy od Ekskalibura, miecza króla Artura, po czapkę niewidkę Alberyka w *Pieśni o Nibelungach*.

Strażników bram – w wyobrazeniach żydowskich mistyków wrogie anioły chcące uniemożliwić zejście duszy do Boga – można było pokonać jedynie magicznymi środkami. Hasłem do każdej furtki było tajne imię. Mistycy spędzali wiele czasu na przygotowaniu się do poznania z Tory tych tajnych imion, imię bowiem nie było ważne dla wszystkich dusz, lecz tylko dla określonej duszy i również tylko do jednej z siedmiu furt. Do następnej bramy potrzebny był nowy kod, który znowu dotyczył tylko duszy tego właśnie mistyka. Innymi słowy: każdy mistyk musiał odnaleźć swoich siedem osobistych haseł. Bez nich dusza wpadłaby w nieopisane męki, pożarłyby ją płomienie, wychłostały wichry.

Mistycy nie odnajdowali zapewne wszystkich imion przed rozpoczęciem podróży, lecz musieli ufać, że zostaną im one objawione podczas duchowej podróży. W Większym Hechalot mówi się, że imiona te pochodzą z rydwanu (*merkawy*), gdzie „jak słupy ognia stoją wokół płomiennego rydwanu”^[107].

Droga stawała się bardziej uciążliwa, pełna męczarni, mistyk posuwał się, korzystając z coraz dłuższych hymnów i litanii, zdań, które w swoich coraz bardziej fantastycznych wezwaniach coraz bardziej traciły sens. Było prawie tak, jakby powstawał nowy język. Oczywiście mistyk najpierw posługiwał się mową aniołów, hebrajskim. Jednakże w tym miejscu modlitwa przechodziła w magię, a próby zbliżenia się do Boga przeradzały się w zaklęcia. Greckie papirusy magiczne, ale też koptyjskie źródła odnotowały zarówno słowa, jak i praktyki, które wydają się pochodzenia żydowskiego.

Podczas tej podróży dokonuje się mistyczna przemiana duszy właściwego człowieka, bo im jest on bliżej Boga, tym bardziej jest też wystawiony na jego działanie. Boska siła zmienia człowieka. Tę relację można bardzo luźno porównać ze stosunkiem pierścienia i jego właściciela we *Władcy pierścieni* R.R. Tolkiena. Będąc naukowcem, autor mógł czerpać dla swej opowieści ze źródeł mitycznych. Stosunek śmiertelników do nieśmiertelnych należy do najdawniejszych i niezniszczalnych tematów, z jakimi człowiek zmagają się od zawsze.

Dla mistyka celem jest przybliżenie się do Boga. Naturalne też, że pod wpływem wyzwolenia i szczęścia, jakie sobie po tym obiecuje, dokonują się w nim zmiany. Ten proces jest bolesny i kompleksowy, czego dowodzi pewien fragment, gdzie napisano, że mistyk, któremu podczas tego widzenia spaliły się ręce i nogi, „musi modlić się bez rąk i stać bez nóg”^[108].

Podstawowe doznanie ekstazy można też nazwać po prostu stanem, w którym ziemia usuwa się spod nóg. Wielogodzinna medytacja buddyjskich mnichów z podwiniętymi nogami prowadzi do tego, że nogi im zasypiają. Dzięki temu powstaje uczucie unoszenia. Ten wyższy stan został przez mistyków fizjologicznie dokładnie opisany takim obrazem: móc stać bez nóg, które przedtem paliły, jak gdyby obumarły lub zasnęły.

W Księdze Hechalot w rękopisie monachijskim opisano sprawdzanie przy szóstej bramie: „Kto zaś nie był godny widzieć Króla (Boga – aut.) w jego piękności, temu Anioły przy bramie mąciły umysł. I kiedy powiedziały do niego: wejdź, to rzeczywiście wchodził. Natychmiast ścisnęły go i rzucały w ognisty strumień lawy. Zaś przy bramie szóstego pałacu wydawało się, jakby nacierały na niego setki tysięcy i miliony potoków, podczas gdy nie było przecież ani jednej kropli wody, tylko słoneczne powietrze i jasne kamienie z czystego marmuru, którymi wyłożony był pałac. Ale Anioły stoją przed nim. Gdy tylko powiedział: co znaczą te wody?, zaczęły go kamienować i wołały: Niegodny, czyż nie widzisz na własne oczy? Czyż jesteś jednym z dzieci tych, którzy całowali złotego cielca i niegodny zobaczyć Króla w jego krasie?!... I on nie odejdzie, póki nie zranią jego głowy żelaznymi prętami. A to ma stanowić znak po wsze czasy, że nikt nie może zabłądzić do bramy szóstego pałacu i widzieć eteryczny blask kamieni, pytać o nie i uważać je za wodę, nie ściągając na siebie niebezpieczeństwa”^[109].

Strażnicy szóstej bramy, Domiel i Kacpiel, którzy przypominają trochę rangą Cautesa i Cautopatesa z kultu Mitry i odprawiają niegodnego, który przez pozór, przez wodę nie widzi prawdy, czyli eterycznego kamienia, mają starsze pochodzenie, być może są nawet transformacją aniołów babilońskich.

Pomylenie eterycznego kamienia z wodą jest ciekawe z powodu cytowanego już fundamentalnego problemu widzenia Boga. Niegodnym jest ten, kto wyruszył w podróż, nie osiągnąwszy uprzednio zdolności widzenia Boga. Innymi słowy: nie udało mu się (a może w ogóle nie próbował) zmienić swego postrzegania. Widzi coś płynącego i bierze to za wodę, którą odróżnia od twardego kamienia, ale nie poznaje jednocześnie twardości w płynięciu. Płynięcie jest zmianą, wieczność jest niezmienna, wieczne płynięcie, a tym samym niezmiennoscí zmiennego. W ten

sposób jego *być* zmienia się w *stawać się*, a *stawać się* jest *być*. Ale „eteryczny kamień” płynie i jednocześnie jest twardy, jego istota jest nieróżna, jest równocześnie płynięciem i sztywnością. Wyobrażenia eterycznego kamienia i rydwanu zrobią później imponującą karierę w tajnych kręgach alchemików. Do dziś ludzie spędzają życie na próbie wyprodukowania eterycznego kamienia, który nazywają kamieniem filozoficznym.

W formie imienia jednego z aniołów wyraźnie ujawniają się cztery żywioły (powietrze, woda, ogień, ziemia), tak że mógłby uchodzić również za ich władcę.

Poszczególne nieba i ich strażnicy mają więc wiele znaczeń i teologicznych treści, a zatem dla mistyka ich poznanie jest studium wyczerpującym. Jednak bez tej wiedzy mityk pomyli wodę z kamieniem.

Ciekawe jest przekleństwo, które zbłąkanego czyni dzieckiem tych, co całowali złotego cielca. Uważano, że ludzie przywiązani do małych misteriów nigdy nie zobaczą wielkich. Żadna droga nie prowadzi od misteriów małych do wielkich. Krytyka ta odnosiła się jednoznacznie do kapłanów świątyni, saduceuszy, mistrzów małych misteriów – oni byli dziećmi tych, którzy całowali złotego cielca, bo w ich świątyni składano ofiary, a właściciele kantorów na dziedzińcu sprzedawali monety ofiarne do adoracji złotego cielca. Już wkrótce Jezus miał ich wygonić ze świątyni. Mistyków oni nie obchodzili, ponieważ ten, kto należał do mistrzów małych misteriów, był i tak bity i odpędzany żelaznymi prętami przez strażników bożych bram, wszak mylił eteryczny blask kamienia z wodą.

ZASŁONA BOŻEJ CHWAŁY

Kiedy mityk zszedł już do siódmego pałacu, ujrzał rydwan (*merkawa*), na którym Bóg zszedł przez 995 nieb i spoczął w swej chwale jak w koronacyjnym płaszczu. Ta wizja stwórcy świata była tajemnicą Boga, którego nie można było nazwać, a tylko zobaczyć.

Droga do tego miejsca została wprawdzie opisana, jednak duchowa mapa nie była przydatna, bo choć ukazywała z grubsza przebieg drogi, to nie zawierała najważniejszych szczegółów. Najistotniejsze mistycy trzymali w tajemnicy: hasła do przekroczenia bram i sprawdziany, które musieli zdać. Nie mogli ich upublicznić również dlatego, że znajdowali je tylko w swej duszy, która już udała się w podróż.

Ponieważ mistycy sięgali po środki magiczne, wydawało się wskazane

ukrycie ich postępowania przed żydowską ortodoksją. Ponadto prowadzili swoje badania, wychodząc od teorii, które innym Żydom musiały się wydawać herezją. Bo Bóg na rydwanie był może tylko stwórcą, stwórcą światów, tylko jednym z przejawów właściwego Boga, którego nie można było opisać i dla którego kabaliści później znaleźli imię *Ein Sof* – Nieskończone (nie: Nieskończony). Chodziło o coś bezpłciowego, prabytową zasadę, jaka w zarodku odgrywała już pewną rolę w egipskiej teologii Boga Prapoczątku.

Gnostycy, pierwsi heretycy, bezkompromisowo i na wszelkie sposoby zwalczani przez oficjalny Kościół, pójdą dalej tą drogą. Ich idee negatywnej teologii, negującej pozytywne poznanie natury Boga jako przekraczające granice możliwości ludzkiego rozumu, przenikną do myśli chrześcijańskiej i rozpalą chrześcijańską mistykę.

O tych tajemnicach rzeczywiście tajemnych żydowskich mistyków z czasów rzymskiego cesarstwa wiemy tylko stąd, że późniejsze pokolenia te ich poszukiwania i ukryte idee zamieniły w literaturę. Same uznały bowiem słowa mistyków, mające umożliwić wspięcie się i zejście do Boga, za źródło tajemnicy, którą zaczęły interpretować. Tak jak Tora dla żydowskiego mistyka była księgą żywą, ciągłym objawianiem Boga, tak też modlitwy i litanie mistyków i teksty apokryficzne nieujęte w Tanach, w korpusie Starego Testamentu, stały się przedmiotem mistycznych badań.

Od najwcześniejszych czasów najważniejszym dziełem dla mistycyzmu jest apokryficzna Księga Henocha, nazwana od imienia patriarchy Henocha, który nazywał siebie „pisarzem sprawiedliwości”. Opowiada ona o tym, jak powstał świat, a jak olbrzymy i ludzie, czy wreszcie dobro i zło, o tym, „kim my byliśmy, czym staliśmy się; gdzie byliśmy, dokąd zostaliśmy wrzuceni; dokąd zmierzamy, z czego zostaniemy wyzwoleni; czym są narodziny, czym odrodzenie” – jak to kiedyś sformułował Klemens Aleksandryjski.

W I wieku p.n.e., w czasach walk między faryzeuszami i królami Machabeuszów oraz arcykapłanami, kompilowano różne teksty, zajmujące się przede wszystkim kosmogonią, astrologią, magią, Apokalipsą, tematami tajemnymi, których kulminacją była podróż do Boga. Redakcja tej księgi zbiega się z początkiem żydowskiej mistyki w pierwszym wieku przed naszą erą. Określenie Henocha mianem „pisarza sprawiedliwości” wskazuje na redaktorów faryzejskich, ale może on też pochodzić z kręgu ludzi z Qumran, fragmenty Księgi Henocha odnaleziono bowiem w jaskiniach nad Morzem Martwym. Można sobie wyobrazić, że w jej powstawaniu lub kompilowaniu miały swój udział kręgi mistyczne. Za

wszystkimi trzema kręgami autorów przemawia wyraźnie antysaducejska tendencja tekstu.

Henoch, domniemany autor, był patriarchą, żył przed potopem. Dla mistyków był interesujący, ponieważ tuż przed śmiercią został przez Boga porwany, to znaczy wzięty do nieba. Ten fakt i opis porwania rozpałał wciąż namiętne zainteresowanie żydowskich, chrześcijańskich i muzułmańskich mistyków. Księga Henocha, później odrzucona przez oficjalne autorytety wszystkich wyznań, zachowała się w całości dzięki szczególnej okoliczności: należała do kanonu Starego Testamentu Kościoła abisyńskiego, tego zatem, o którym się mówi, że strzeże żydowskiej Arki Przymierza, która od czasu popularnego filmu Spielberga^[110] zyskała znacznie większą sławę.

Henoch miał wizję: „droga gwiazd, i błyski błyskawic ponagliły mnie i popchnęły mnie, i w widzeniu wiatry uniosły mnie i porwały, i uniosły mnie do nieba. Wszedłem, aż zbliżyłem się do muru, który zbudowany był z kamieni gradowych i język ognia otaczał go. Zacząłem czuć lęk. Wszedłem do języka ognia i zbliżyłem się do wielkiego domu, który wybudowany był z kamieni gradowych i ściana tego domu była jak mozaika zrobiona z kamieni gradowych, a jego podłoga ze śniegu. Jego dach był jak droga gwiazd i błyski błyskawic, a wśród nich były ogniste Cherubiny i ich niebo było jak woda. Ogień płonął wokół jego muru, a drzwi jego opływały ogniem. Wszedłem do tego domu. Był gorący jak ogień i zimny jak śnieg”^[111].

Opis pałacu przypomina szóstą salę z cytowanego powyżej monachijskiego fragmentu, możemy więc przypuszczać, że Henoch znajdował się jeszcze w szóstej sali, bo do siódmej, mieszkania Boga, zostaje wprowadzony przez archaniołów. Cherubinami mogą być znani nam już Domiel i Kacpiel.

Henoch otrzymał od Boga zadanie: ma ukarać gigantów, którzy zdradzają boskie tajemnice i śpią z kobietami, i przekazać ludziom wiadomość, że ich występki zostały ukarane. W ten sposób „pisarz sprawiedliwości” stał się – jak qumrański „nauczyciel sprawiedliwości” – kaznodzieją nawołującym do pokuty, który chciał ludzi nakłonić do rozsądku i nawrócenia. Z racji swoich zasług, swojej sprawiedliwości, co znaczy tylko, że zachowywał boskie prawa i nakazy, został przez Boga wyniesiony do nieba: „Potem jego (Henocha) imię zostało wyniesione żywe do Pana Duchów i zabrane spośród mieszkańców ziemi. Wóz wiatrów uniosł go i zabrane zostało jego imię od nich. Odtąd już nie zaliczałem się do nich.

Następnie mój duch został porwany i wyniesiony do niebios. Ujrzałem

Święte istoty anielskie chodzące po płomieniach ognia. Ubrani byli w białe szaty, a oblicza ich jaśniały jak śnieg. Ujrzałem dwie rzeki ognia, którego blask jaśniał jak hiacynt. Upadłem na twarz przed Panem Duchów. Michał, jeden ze świętych aniołów, chwycił mnie za prawą rękę, podniósł mnie i wprowadził do wszystkich tajemnic [...] Pokazał mi wszystkie tajemnice”^[112]. W końcu Henoch został zaprowadzony do rydwanu Boga. Odtąd tam miało być jego miejsce, Syn Człowieczy stał się bowiem aniołem Metatronem, najbliższym Bogu. Dlatego też próbowano tajemne imię Metatron tłumaczyć jako Metatronios, „najbliżej Boga stojący służebny duch”^[113]. Ponieważ nie umiano wyjaśnić imienia Metatron znajdującego się w Księdze, wnioskowano po pierwsze, że może to być tylko imię o tajemnym znaczeniu, po drugie starano się je rozszyfrować, szukając znaczenia w języku greckim. W ten sposób z Metatrona zrobił się Metatronios, „najbliżej Boga stojący służebny duch”.

Dla żydowskiego mistyka człowiek Henoch, który jako Metatron został podniesiony do rangi księcia aniołów, musiał być niezrównanym wzorem. Jego pisma skłaniały do gruntownych studiów, bo podobnie jak w Torze można było w nich znaleźć ukryte informacje o boskich tajemnicach, o tym, jak dotrzeć do Boga, jak chronić się na niebezpiecznej drodze i jak można rozszyfrować misterium chwały Bożej, objawiające się w jego stworzeniu.

To rozszyfrowanie nie kończyło się na interpretacji, pomyślane było ściśle matematycznie. Nieskończone możliwości dawały pod tym względem dwie cechy hebrajskiego alfabetu, na które już wskazywaliśmy. Po pierwsze, litera posiada również wartość liczbową. Na tej podstawie litery mogły być odczytywane również jako szyfr. Po drugie, hebrajskie pismo było w tym czasie pismem spółgłoskowym, co znaczy, że samogłosek się nie pisało. Żeby pokazać to na przykładzie: w języku niemieckim słowo *Leben* (życie) zostałoby napisane *Lbn*, co można odczytać jako *leben* (żyć), *loben* (chwalić), *lieben* (kochać), *laben* (pokrzepiać) i *lesen* (czytać).

W babilońskim Talmudzie imię Metatron zostaje przypisane aniołowi, o którym w Księdze Wyjścia mówi się: „Oto Ja posyłam anioła przed tobą, aby cię strzegł w czasie twojej drogi i doprowadził cię do miejsca, które ci wyznaczyłem. Szanuj go i bądź uważny na jego słowa. Nie sprzeciwiaj się mu w niczym, gdyż nie przebaczy waszych przewinień, bo imię moje jest w nim”^[114].

W Apokalipsie Abrahama anioł ten kojarzony jest z aniołem Jahoelem. Z kolei Jahoel zawiera imię Boga, Jao, który według wyobrażeń gnostyków staje się antybogiem, synonimem zła.

Próba powiązania Metatrona i Metatroniosa jest nieprzekonująca. Ponieważ jednak nie istnieje ani jedna przekonująca interpretacja, imię tego anioła, którym stał się Henoch, pozostaje tajemnicą, imieniem tajemnym, które nie może zostać wyjaśnione, ale z pewnością odkryłoby nam najgłębszą istotę. A właśnie to wtajemniczeni chcieli nam uniemożliwić: żebyśmy, niewtajemniczeni, przeczytali i zrozumieli to imię, bo w nim żyje „moc dzięki temu niewypowiedzianemu imieniu, które mieszka we mnie”^[115].

W jednym z mistycznych tekstów^[116] Metatron donosi rabinowi Izmaelowi o zasłonie, za którą Bóg siedział na tronie. Ta zasłona oddzielała chwałę Bożą od aniołów. Ale nie tylko oddzielała i nie tylko zakrywała, również odkrywała, bo w nią utkane było wszelkie stworzenie, podobnie jak w prabycie znajduje się u Boga. Znamy to z egipskiego Boga Prapoczątku: w tej zasłonie można było odkryć wszystkie stworzenia Boga, zanim Bóg je stworzył – nie w ich kosmicznej rzeczywistości, lecz w boskiej możliwości. W tej zasłonie widać było wszystkich przyszłych ludzi, ich poglądy i czyny, bieg dziejów, walkę o zbawienie jako tajemnicę ludzkiego życia.

Te idee przeniknęły od mistyków poprzez gnozę do chrześcijaństwa, do kabały żydowskiej, a później do chrześcijańskiej. Na temat wzniesienia się do Boga istnieje bardzo piękny tekst mistyczny: „Kiedy wspiałem się do pierwszego pałacu, byłem pobożny (chasyd), w drugim pałacu byłem czysty (tabor), w trzecim pałacu byłem uczciwy (jaszar), w czwartym pałacu byłem całkiem z Bogiem (tamim), w piątym pałacu przedstawiłem przed Bogiem świętość, w szóstym pałacu wypowiedziałem kedeszę (trishagion, w Izajasz 6, 3: święty, święty, święty jest Pan Zastępów, cała ziemia jest pełna Jego chwały – aut.) o tym, który przemówił i stworzył świat, żeby anioły służebne mnie nie zepsuły, w siódmym pałacu stałem z całą siłą, zatrzęsłem się i zadygotałem wszystkimi członkami i mówiłem następującą modlitwę: [...] bądź pochwalony, Ty, który jesteś najwyższy. Chwała niech będzie Najwyższemu w izbie wielkości”^[117].

Mistyka i kabała stały się tajemną religią judaizmu. Zdumiewa w tym fakt, że judaizm ortodoksyjny i oświecony, chociaż nie dysponował inkwizycją, zmusił tych poszukiwaczy Boga do ukrycia się pod maskującym płaszczem tajemnicy.

Religijny niepokój na Bliskim Wschodzie miał pociągnąć za sobą istotne następstwa, których działanie odczuwamy do dzisiaj.

^[100] *Wilhelm Schubart, Glaube und Bildung im Wandel der Zeiten, München*

1947, s. 37 f.

[101] *Gershom Scholem, Die jüdische Mystik in ihren Hauptströmungen, Frankfurt am Main, 1980, s. 15, wyd. pol. Mistycyzm żydowski i jego główne kierunki, przeł. Ireneusz Kania, Warszawa 1997. Przedstawiając mistykę żydowską, opierałem się na ogół na badaniach Gershoma Scholema, Mosche Idelsa i Gerolda Neckersa.*

[102] *Cyt. za: Heinz Bechert i in., Der Buddhismus I, Stuttgart, Berlin, Köln 2000, s. 35.*

[103] *Por. Kurt Flasch, Meister Eckhart. Philosoph des Christentums, München 2010, s. 317–321; Kurt Ruh, Meister Eckhart. Theologe, Prediger, Mystiker, wyd. 2, München 1989, s. 184–187; Winfried Trusen, Der Prozeß gegen Meister Eckhart. Vorgeschichte, Verlauf und Folgen, Paderborn 1988, s. 118–128; Josef Quint (wyd.), Meister Eckhart. Deutsche Predigten und Traktate, München 1963, s. 449 f.*

[104] *Gershom Scholem, Die jüdische Mystik in ihren Hauptströmungen, Frankfurt am Main, 1980, s. 50, wyd. pol. Mistycyzm żydowski i jego główne kierunki, przeł. Ireneusz Kania, Warszawa 1997.*

[105] *Gershom Scholem, Die jüdische Mystik in ihren Hauptströmungen, Frankfurt am Main, 1980, s. 53, wyd. pol. Mistycyzm żydowski i jego główne kierunki, przeł. Ireneusz Kania, Warszawa 1997.*

[106] *Tamże, s. 63.*

[107] *Gershom Scholem, Die jüdische Mystik in ihren Hauptströmungen, Frankfurt am Main, 1980, s. 54, wyd. pol. Mistycyzm żydowski i jego główne kierunki, przeł. Ireneusz Kania, Warszawa 1997.*

[108] *Tamże, s. 56.*

[109] *Tamże, s. 57.*

[110] *Film Poszukiwacze zaginionej arki, reż. S. Spielberg.*

[111] *Księga Henocha, rozdz.14, tłum. ks. Ryszard Rubinkiewicz SDB, Warszawa 2000, s. 36.*

[112] *Tamże, rozdz. 70, 71, s. 144.*

[113] *Tamże, przypis 1.*

[114] *Wj 23, 20–21.*

[115] *Cyt. za: Gershom Scholem, Die jüdische Mystik in ihren Hauptströmungen, Frankfurt am Main, 1980, s. 74, wyd. pol. Mistycyzm żydowski i jego główne kierunki, przeł. Ireneusz Kania, Warszawa 1997.*

[116] *Tamże.*

[117] *Tamże.*

Książka dla none none

ZWAŻONY I UZNANY ZA ZBYT LEKKI – ŚWIAT RZYMSKI

W tym właśnie syryjsko-palestyńskim świecie, gdzie w judaizmie istniały liczne, częściowo zwalczające się prądy, urodził się Jezus. Nie przypiszemy go do żadnego z opisanych kierunków, jak się to często czyni; z pewnością prądy te dotykały jednak Jezusa z Nazaretu i prowokowały do intelektualnej dyskusji.

W każdym razie w Izraelu na początku ery chrześcijańskiej trwał potężny ferment. Ludzie z Bliskiego Wschodu widzieli, jak władcy przychodzą i odchodzą: Asyryjczycy, Babilończycy, Persowie, Hellenowie i Rzymianie. Gdy walka między rzymskim dowódcą Markiem Antoniuszem a Oktawianem, późniejszym cesarzem Augustem, zmieniła się w wojnę Wschodu z Zachodem – bo Marek Antoniusz poślubił Kleopatrę i oparł się na Egipcie, Oktawian zaś na Rzymie – ludzie w regionie zostali wciągnięci w wewnątrzrzymską walkę o władzę (wojnę domową).

Dla Wschodu klęska Marka Antoniusza i Kleopatry wobec Oktawiana i zarządzone przez niego zamordowanie młodego Cezariona, syna Kleopatry i Juliusza Cezara, było ogromnym bezprawiem. Odbiło się aż w Objawieniu św. Jana, w którym wielka nierządnicą z Babilonu utożsamiana z Rzymem musiała upaść. Wykształconych ludzi Wschodu odpychała przede wszystkim bezduszną arogancją władzy, nazywaną przez Rzymian dyscypliną. Rzym stał się synonimem zła na świecie – czym nigdy się nie stały Ateny bądź Pella, miasto narodzin Aleksandra Wielkiego: „A Niewiasta była odziana w purpurę i szkarłat, cała zdobna w złoto, drogie kamienie i perły, miała w swej ręce złoty puchar pełen obrzydliwości i brudów swego nierządu. A na jej czole wypisane imię – tajemnica: Wielki Babilon. Macierz nierządnic i obrzydliwości ziemi. I ujrzałem Niewiastę pijaną krwią świętych i krwią świadków Jezusa, a widząc ją, bardzo się zdumiałem. I rzekł do mnie anioł: Czemu się zdumiałeś? Ja ci wyjaśnię tajemnicę Niewiasty i Bestii, która ją nosi, a ma siedem głów i dziesięć rogów” (Ap 17, 4–7).

Rzymianie nie rządzili, oni opanowywali, narzucali swój system podbitym terenom i bezlitośnie zmuszali cały skolonizowany świat do finansowania Rzymu. Rzymski pisarz Wegecjusz, zajmujący się wojskowością, opisał to dobitnie i jednoznacznie: Rzymianie rodzili mniej dzieci niż Galowie, byli mniejsi niż Germanie, słabsi niż Hiszpanie, biedniejsi niż Afrykańczycy, słabsi w sztuce życia i zdolnościach artystycznych niż Grecy. Ale pod jednym względem przewyższali wszystkich: dzięki wprawie w obchodzeniu się z bronią, dzięki dyscyplinie i wojennemu doświadczeniu byli urodzeni do rządzenia. Wegecjusz pisze obrazowo o rzymskim prokonsulu Syrii, osławionym Warusie: „Przyszedł biedny

do bogatej Syrii, wyjechał bogaty z Syrii biednej. Ten przykład charakteryzuje wielu jego kolegów na urzędzie^[118].

Rzymianie tymczasem zajęli również Judeę. Ich prokurator Poncjusz Piłat, człowiek, który z całą surowością forsował rzymski styl życia, swoim aroganckim sposobem bycia wciąż prowokował żydowskie powstania. Jedynie saduceusze nie bali się wejść z nim w celowy sojusz i za panowania Rzymian rządili Izraelem ze świątyni jerozolimskiej. Ten nieświęty sojusz prowadził do wielkich napięć. Na dodatek Rzymianie wprowadzili powszechny podatek ziemski. Wzbudziło to wściekłość wielu pobożnych Żydów, dla nich bowiem ziemia Izraela była ziemią Boga, a zatem ziemią świętą. Jakże więc bałwochwalcy mogli się ważyć nakładać podatek na świętą ziemię, jak gdyby ziemia nie należała do Boga, lecz do nich?

Nie tylko lud był wyzyskiwany i uciskany, również warstwa wykształcona hellenistycznie coraz bardziej ulegała gospodarczej presji i poważnie lękała się o byt. Trzeba pamiętać, że wszystkie powstania w historii dopiero wtedy odnosiły poważny skutek, gdy wykształcona warstwa średnia nadała oburzeniu powstańców formę programu, a ich działaniom strategię i dostarczyła walczącym przywódców lub przynajmniej doradców. Wykształcona hellenistycznie warstwa średnia coraz bardziej odbierała porządek rzymski jako zagrożenie egzystencji. Świat ogarnęła ciemność, przestały obowiązywać zasady prawne. Skorumpowani urzędnicy i chciwi prokonsulowie, zachowujący się jak rzymscy władcy, gnębili podbite prowincje.

Bezbożny świat, w którym sukces obiecywało tylko zło: bluźnierstwo, występki i podstęp, w którym sztychowano z pobożności, sprawiedliwości i humanitaryzmu – wydawał się światem szatana, a każdy kolejny dzień przybliżał jego kres. Koniec – mene, tekel, fares – można było już przeczytać na ścianie pałacu Baltazara: „A oto nakreślone pismo: *mene, mene, tekel ufarsin*. Takie zaś jest znaczenie wyrazów: *Mene* – Bóg obliczył twoje panowanie i ustalił jego kres. *Tekel* – zważono cię na wadze i okazałeś się zbyt lekki. *Peres* – twoje królestwo uległo podziałowi; oddano je Medom i Persom” (Dn 5, 25–28).

Im bardziej szerzyła się wizja końca świata, tym konieczniejsze stawało się dla jednostki przygotowanie do niego, żeby stanąwszy na boskiej wadze, nie okazać się zbyt lekkim.

CO POMOŻE PRZED SĘDZIOWSKIM TRONEM BOGA? –
MŁODZIENIEC Z NAZARETU

Oryginalną odpowiedź dał przedziwny asceta, który nosił szatę z wielbłądziej wełny, żył na pustyni, a żywił się miodem i szarańczą. Niektórzy uczeni widzą w tym proroku nauczyciela Jezusa^[119]. Czekał na sąd Boży nad sprawiedliwymi i niesprawiedliwymi, wzywał ludzi do czynienia pokuty, bowiem „Już siekiera do korzenia drzew jest przyłożona. Każde więc drzewo, które nie wydaje dobrego owocu, będzie wycięte i w ogień wrzucone” (Łk 3, 9). Jan Chrzciciel, na którego powołuje się najstarszy i do dziś aktywny gnostycki Kościół mandejskich, chrzczył ludzi w Jordanie i zmywał z nich grzechy. Jeśli nie zgrzeszyli ponownie, mieli gwarancję, że ostaną się przed bliskim sądem Bożym. Urągało to kultowi świątynnemu i arcykapłanom, ponieważ ta droga do zbawienia czyniła zbędną ofiarę w świątyni. Do czegoż potrzebni byli arcykapłani, skoro zwyczajna kąpiel w Jordanie i kilka życiowych zasad wystarczało, by osiągnąć wieczną szczęśliwość? Tym, którzy polegali na swoim pochodzeniu od praojca Abrahama, a czasem też na kulcie świątynnym, Jan odpowiadał: „z tych kamieni może Bóg wzbudzić dzieci Abrahamowi” (Łk 3, 8). Nie chodzi o pochodzenie, lecz o pokutę, chrzest i bezgrzeszność, oświadczał kaznodzieja pokuty, i tylko o to, bo u Boga nic nie jest niemożliwe.

Jan nie był jedynym chrzcicielem. Jednak w przeciwieństwie do esseńczyków, którzy kąpiel oczyszczającą brali kilka razy w ciągu dnia, uważał, że jedna kąpiel wystarczy na całe życie. Ponieważ odważnie piętnował grzechy władców, na przykład żydowskiego króla Heroda Antypasa panującego w Galilei, ów kazał go aresztować i ściąć. Dlatego ludzie nienawidzili również rzymskiego regenta, w którym widzieli sługę bałwochwalców, szatana i zdrajcę Izraela.

Do jego poddanych zaliczał się również młodzieniec z Nazaretu, który prawdopodobnie wędrował jako cieśla, czas pewien spędził u Jana Chrzciciela i na swej drodze zetknął się z najrozmaitszymi religiami i obietnicami szczęścia. Z tego co słyszał i widział, a może również z boskiej inspiracji, znalazł całkowicie własną drogę zbawienia.

Wiele z tego, co Jezus głosił, unosiło się w tej czy w innej formie w powietrzu tych niespokojnych krain na wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego. Był to w najlepszym znaczeniu tego słowa czas pluralizmu. Publicznie dyskutowano takie bogactwo różnych idei, o jakim my w naszej elektronicznej epoce możemy tylko pomarzyć. Było jak na bazarze – a bazar był nie do pomyślenia bez kaznodziejów i ludowych mówców, bez doradców i mistrzów życia, którzy nawoływali, by pójść właściwą drogą, i obiecywali za to szczęście w jakimś tam świecie.

Do cytowanych już wyobrażeń faryzeuszy, qumrańczyków, eseneńczyków, zelotów, mistyków i chrzcicieli dochodziły oczywiście idee roznoszone po rzymskim imperium przez wędrownych mówców.

Stoicy twierdzili, że prawdziwa wolność znajduje się jedynie w duszy człowieka. Pitagorejczycy widzieli prawdę w poznaniu kosmicznej harmonii dzięki ekstazy mistyce liczb. Dla nich świat był uporządkowany. Dlatego całość, Uniwersum, nazywali także Kosmosem (porządkiem). W interwałach poruszających się ciał niebieskich poszukiwali muzyki sfer, której nie słyszy się jedynie dlatego, że brzmi nieprzerwanie. Natomiast dusza opuszczała po śmierci ciało i szukała nowej natury. Dzięki tej wędrówce dusz dochodziło do wiecznego powrotu tego samego. Trzeba wyobrazić sobie to zdanie Pitagorasa jako wydarzenie erotyczne i jednocześnie formułę świata. A była jeszcze teoria platońska, zgodnie z którą dusza może wznosić się do Boga stopniowo.

Tylko dla cyników nie miało to żadnego znaczenia. Uznawali świat za oszustwo i lekceważyli go tak bardzo, że woleli nie wiązać się z nim potrzebami. Człowiek miał tylko siebie samego, ale jeśli świat był zły, to nie mógł ani stawiać żądań, ani walczyć o zachowanie wartości. To znaczy, że wobec złego świata wszystko było dozwolone. Albo raczej nic, człowiek nie chciał przecież zarazić się złym światem – ani jego pozornymi wartościami, ani uciechami.

Ludzie czuli, że ich świat się zmieni, że koniec świata jest tuż. Rozpoczęła się prawdziwa wędrówka ludów. Filozofowie, prorocy, bogowie, którzy zeszli na ziemię z zadaniem uratowania ludzi, wędrowali po Imperium Romanum. Do tego dochodzili wędrowni duchowni misteryjnych kultów. Apulejusz w *Metamorfozach* bardzo zabawnie opisał grupę wędrownych mnichów żebraczych, służących Dei Syrii, krewniacze Kybele.

Ci doradcy życiowi i zbawcy wygłaszali kazania na rynkach miast, a także w większych wsiach. Albo zarabiali w ten sposób na życie, albo starali się rekrutować zwolenników, wiernych, prozelitów, uczniów. Jeśli odrzucić wzniosłą formę i idealizację, można to sobie wyobrazić tak, jak przedstawiają to Ewangelie.

Jednym z tych kaznodziejów wędrujących przez wiejską Galileę był Jezus. Głosił swoją naukę o miłującym i wybaczącym Bogu i w ten sposób zaszczerpiał Boga głęboko w ludzkie serca. Odwrócił się od żydowskiego Boga Prawa i zwrócił się ku Ojcu kochającemu swoje dzieci. Różnica była oczywista: prawo nie może czynić wyjątków, obowiązuje albo nie. Natomiast miłość może wybaczać. Nie po to przyszedłem, żeby znieść prawo, ale żeby doprowadzić je do doskonałości

i zbudować królestwo miłości – wołał do słuchaczy.

I stał się cud, coraz więcej ludzi szło za nim. Może się to wydawać dziwne, ale wędrując przez heretycką Galileę, Jezus nie wyróżniał się spośród tamtejszych wędrownych kaznodziejów szczególną oryginalnością. Niektórzy ludowi mówcy uzdrawiali ślepych, chromych, głuchych i trędowatych, niektórzy przywracali zmarłych do życia, inni fruwali jak ptaki, jeszcze inni ściągali błękit z nieba. Nie jest chyba możliwe nakreślenie w przybliżeniu wiernego obrazu różnorodnych zjawisk religijnych tamtego okresu, a przede wszystkim ich głębokiego oddziaływania na ludzi. W naszej stechnicyzowanej i zdygitalizowanej epoce nie jesteśmy już w stanie wczuć się w siłę słów człowieka przemawiającego na rynku bez mikrofonu.

Wtedy jednak publiczne przemawianie było popularnym środkiem skupiania uwagi. Dla starożytnego człowieka było tym, czym dla obywatela współczesnych zachodnich demokracji są telewizja i Internet. Występy wędrownych kaznodziejów można by porównać z dzisiejszymi show, z tą jednak różnicą, że wędrowni kaznodzieje mieli coś do powiedzenia. Nawet najgorsi z nich byli jeszcze ludźmi, a nie sztucznymi produktami bezsensownego marketingu. I musieli proponować coś rzeczywiście nowego, w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa niesłychanego i niewidzianego, żeby zainteresować swą opowieścią ludzi na rynku. Do najskuteczniejszych metod przyciągania słuchaczy (obok czarów i groźby zbliżającego się końca świata) należała zapowiedź tajemnicy.

Ewangelia św. Łukasza opowiada epizod typowy nie tylko dla Jezusa, lecz również dla wielu innych, na przykład dla Szymona Maga: „Wtedy pytali Go Jego uczniowie, co oznacza ta przypowieść. On rzekł: Wam dano poznać tajemnice królestwa Bożego, innym zaś w przypowieściach, aby patrząc nie widzieli i słuchając nie rozumieli” (Łk 8, 9–10). A więc tylko tym, którzy szli za wędrownymi kaznodziejami, objawiona została cała tajemna prawda, jak znaleźć zbawienie w tym złym świecie. Trudno to sobie wyobrazić, ale chodziło o zbawienie, o to, co dzisiaj nazwalibyśmy szczęściem.

W rozwiniętej państwowości z różnymi zabezpieczeniami, emeryturą, relatywnie wspaniałym systemem opieki zdrowotnej żyjemy w dużym, chociaż iluzorycznym bezpieczeństwie. Ale jeszcze w XVIII wieku człowiek miał poczucie, że jego byt jest zagrożony. Socjalną egzystencję i całe życie w jednej chwili mogły zniszczyć katastrofa żywiołowa, nieurodzaj, inwazja wojowniczych plemion bądź obcych armii, także niewinne dziś choroby, jak choćby zapalenie zęba, epidemie, ale także samowola i przestępczość. Człowiek był bezbronny

wobec świata i bezpośrednio mu wydany. To różni samopoczucie ludzi w dawnych czasach od naszego, i to odciskało się naturalnie również na ich religijnej wrażliwości. Niepewni ludzie, stojąc wobec niepewności życia, stawiali na przepowiednie i opiekę bogów. Coraz trudniej było jednak odróżnić bogów fałszywych od prawdziwych. Religie oferowały różne drogi, którymi można było pod ochroną bogów dążyć do szczęścia i bezpieczeństwa, nazywanych wiecznym zbawieniem albo wybawieniem od zła. Nadpodaż dróg do zbawienia prowadziła do pewnego rodzaju bezradności.

Brzmi to dla nas obco, ale przecież ma swoje *pendant* także we współczesnym świecie. My również w nadziei na długie życie przestrzegamy diety i trzymamy się przepisów. A gdyby kąpielom popularnych w tamtych czasach sekt baptystycznych odebrać ich religijny aspekt, w codziennej kąpieli można by niewątpliwie widzieć zdrowe oczyszczenie, dzisiaj określane mianem higieny. Czyż nie jest tak, że w ten sposób chcemy zmyć smallńkie zarazki chorobotwórcze – mikroby, bakterie lub wirusy – które w starożytności ludzie nazywali demonami? Inne czasy, inne nazwy.

Patrząc wstecz, dostrzegamy, że podziwu godną religijną różnorodność początków rzymskiego cesarstwa przykrył całkowicie chrystianizm, który częściowo wchłonął te religie, ukrył je, przeniósł, bądź po prostu wymazał. To, co w Jezusie niezwykle, nadludzkie, wynika także z faktu, że w jego wizji zmieściło się wielu proroków i twórców religii. W gruncie rzeczy Jezus to metafora niezwykle skutecznej pracy zespołowej. Fascynujące jest w tym, że religijne treści – gnostyckie, magiczne, manichejskie, mistyczne i astrologiczne – mimo połączenia w jedno nadal działały samodzielnie.

Ale kim byli ci pozostali, ci ukryci kaznodzieje, zapomniani prorocy, heretycy zbawiciele i ukryci bogowie, których po prostu połączono pod nazwą Jezus Chrystus? Przyjrzyjmy się historii chrześcijaństwa, aby odkryć źródło tajemnych religii, samo chrześcijaństwo zaczęło się bowiem jako religia tajemna, jako kult misteryjny. Gdyby tak nie było, wiele rytuałów – od chrztu przez święcenia kapłańskie i Eucharystię do ostatniego namaszczenia, które z czasem nazwano modlitwą za zmarłych – byłoby niezrozumiałe. Podejdźmy do tego rzeczowo, to znaczy metodycznie, jak zrobiły to dobry detektyw.

Początkowo Jezus przemawiał do prostych rybaków w Galilei, do ludzi, których arcykapłani jerozolimscy nie poważali, ponieważ mieszkańców pogranicza z Dekapolis nie bez przyczyny posądzano, że są na poły poganami. Akurat tym pogardzanym ludziom mówił, że to właśnie o nich chodzi, że właśnie oni, nic

niewarci i wyśmiewani, dyskryminowani, wyzyskiwani i podejrzani, są „solą ziemi” (Mt 5, 13) i „światłem świata” (Mt 5, 14). To nie królowie, saduceusze i faryzeusze, lecz prości, błędzący, grzeszni ludzie otrzymali klucz do Królestwa Niebieskiego. Mówił bowiem Jezus: „Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają. [...] nie przyszedłem powołać sprawiedliwych, ale grzeszników” (Mt 9, 12–13).

Pogardzanym prostym ludziom miało być dane życie wieczne? Jak należało to rozumieć? To była zupełnie nowa myśl, która świat i jego wartości stawiała całkiem na głowie. Dotychczas mówiło się, że ten się cieszy łaską Boga albo bogów, komu się powodzi dobrze, kto jest bogaty. Bóg z góry przeznaczył ludzi do dobrobytu bądź biedy. Ten, komu powodziło się kiepsko, sam był sobie winien. Po prostu nie cieszył się łaską Bożą.

Zdumiewające, że żonaci mężczyźni zostawiali wszystko, co dotychczas było dla nich ważne, by iść za wędrownym kaznodzieją, który obiecywał im Królestwo Niebieskie. Dla wszystkich idących za nim była to decyzja ostateczna, nadawała ich życiu całkiem nowy kierunek. Tego właśnie żądał cudowny rabi z Nazaretu od swoich uczniów: „Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladowuje. Bo kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je. Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł? Albo co da człowiek w zamian za swoją duszę?” (Mt 16, 24–26). Brzmi to trochę jak wyobrażenia mistyków.

SYMBOL CYKLU ŻYCIA – JEZUS I DWUNASTU UCZNIÓW

Liczba dwunastu uczniów wskazuje na dwanaście plemion Izraela, które miały otrzymać zbawienie. Ale to nie wszystko – liczba dwanaście w naszym kontekście nie jest przypadkiem. Już dla egipskiej astrologii trzydzieści sześć dekanów – a więc liczba dwanaście pomnożona przez szczęśliwą liczbę trzy – oraz dwanaście bram, które trzeba było przekroczyć podczas wędrówki przez krainę zmarłych, stanowiły fakt religijny. Za dwunastoma uczniami idącymi za Chrystusem kryła się znacznie wcześniejsza idea. Musiało tak być, żeby w oczach współczesnych nadać uczniom znaczenie, które z kolei miało rzutować z powrotem na Mesjasza. Liczba dwanaście gwarantowała legalność przywództwa Jezusa – poświadczała, że jego działalność była zgodna z boskim biegiem świata. Gdy jeden z uczniów, Judasz, wskutek zdrady i późniejszego samobójstwa opuścił krąg uczniów, od razu dobrano nowego.

Jak pamiętamy, dawni Egipcjanie wierzyli, że Słońce w ciągu dnia – a więc w dwanaście godzin – wędruje po niebie, po czym zachodzi w krainę umarłych, aby przez kolejnych dwanaście godzin poruszać się w zaświatach i oświetlać noc nieboszczykom. Odpowiednio do tego dzielili też krainę umarłych oraz niebo na dwanaście obszarów.

Podczas wędrówki po krainie umarłych Słońcu stale groziło niebezpieczeństwo połknięcia przez węża Apophisa. Ale gdyby Słońce nie opuściło już krainy umarłych i nie weszło, na ziemi niechybnie zapanowałyby śmierć i chaos. Dlatego kapłani ubezpieczali wędrówkę odpowiednimi rytuałami. Najbardziej niebezpieczne było dla Słońca przechodzenie z jednego obszaru do drugiego, mijanie bram.

One (boginie godzin – aut.) stoją na swoim jeziorze,

kierują Ra (boga słońca – aut.) na swój brzeg.

Ra mówi do nich:

Słuchajcie, boginie, co się do was woła!

Spędziłyście (czas), którym jesteście,

zajęłyście swoje bramy.

Wasz przód należy do ciemności,

wasz tył do światła.

Długością waszego życia jest oddalająca (wąż)

żyjecie z tego, co z niej wychodzi.

Potrzeba was w Dat (w zaświatach)

Pochłaniacie to, co oddalająca rodzi,

i niszczyce to, co z niej wychodzi.

Prowadźcie mnie, (bo) to ja was urodziłem!

Postępuję zgodnie z moim powitaniem,

a wy jesteście zadowolone, moje godziny^[120].

Przechodzenie z bramy do bramy zapowiadała gwiazda stała, która wtedy wschodziła. Tę gwiazdę zmierzchu nazywano Dekanem. Przez dziesięć dni noc w noc ukazuje się w tym samym miejscu. Dlatego jest trzydzieści sześć dekanów. Jedna z żydowskich legend głosi, że istnienie ludzkości opiera się na zasługach trzydziestu sześciu sprawiedliwych, „Lamed wow cadikim” czy jidisz „lamedwowników”^[121], którzy biorą na siebie wszystkie cierpienia świata i tym gwarantują zachowanie ludzkości.

Dwanaście obszarów lub przejść, które trzeba minąć, żeby życie nadal istniało, żeby przetrwało w dwunastu miesiącach roku oraz dwunastu godzinach dnia i dwunastu godzinach nocy do naszych czasów, przynajmniej w kalendarzu. Egipski kalendarz stanowił wzór dla wprowadzonej przez Gajusza Juliusza Cezara rzymskiej rachuby czasu, którą chrześcijanie przejęli od rzymskiego imperium. Liczba dwanaście staje się tym samym symbolem cyklu życia, porządku. Rok ma dwanaście miesięcy, dzień, jak i noc, dwanaście godzin, dwanaście plemion składa się na naród żydowski, Jezus ma dwunastu uczniów. Szyjci mają dwunastu ukrytych imamów, a powrót dwunastego z ukrycia ma nieść wielkie zmiany. Przywódca irańskiej rewolucji ajatollah Chomeini uważany był mylnie za tego dwunastego – i skutki są znane.

Jezus Chrystus powierzył akurat dwunastu uczniom – ani mniej, ani więcej – zadanie wywrotowe i długotrwanie zmieniające świat: „Idźcie i głoscie: »Bliskie już jest królestwo niebieskie«. Uzdrawiajcie chorych, wskrzeszajcie umarłych, oczyszczajcie trędowatych, wypędzajcie złe duchy! Darmo otrzymaliście, darmo dawajcie! [...] Oto Ja was posyłam jak owce między wilki. Bądźcie więc roztropni jak węże, a nieskazitelni jak gołębie!” (Mt 10, 7–9 i 10, 16).

Istnieje dzisiaj tendencja do rozumienia takich miejsc w Ewangeliach jako symboli czy metafor. Gdy były wypowiedziane, rozumiano je dosłownie. Warunkiem słuchania jakiegoś objawienia było działanie przez nie cudu, jak uzdrowienie chorych i obudzenie z martwych. Właśnie dosłownie tak rozumie to też Kościół katolicki, skoro warunkiem kanonizacji jest dokonanie co najmniej trzech udowodnionych cudów.

Ponieważ dla Boga wszystko było możliwe, uczniowie wtajemniczeni

w misterium mogli te cuda działać. Przecież Jezus nie wysyłał ich bez przygotowania. Liczne apokryfy, nie biorąc pod uwagę heretyckich ewangelii, i nawet cztery kanoniczne Ewangelie wskazują nam drogę wybranej gromady do wielkiego misterium. Ten aspekt – czynienie cudów oraz boże tajemnice – jest znacznie silniej obecny w apokryfach i w heretyckich ewangeliach.

Z obawy przed anachronizmem i dotknięciem ciemnego dziedzictwa, Kościoły później trochę złagodziły obraz uczniów. Zamieniły ich w dzielnych, prostodusznie wierzących ludzi, odbierając im trochę niebezpiecznego charakteru. Można sobie łatwo wyobrazić tych dwunastu jako grupę zdecydowanych na wszystko przywódców podziemnego ruchu, a spotkanie w ogrójcu jako zebranie konspiracyjne, które później zostało też zdradzone. Oskarżenie wskazywało logicznie na przewrót, a władze okupacyjne wybrały właśnie taki rodzaj śmierci, jaki był zarezerwowany dla zdrajców stanu i wywrotowców: haniebne ukrzyżowanie.

Jezus został pochowany, a grobu pilnowali żołnierze, bo arcykapłani obawiali się, że ktoś mógłby ukraść zwłoki, a potem twierdzić, że Jezus zmartwychwstał. Gdyby się tak stało, wieść Jezusa wspaniale by się potwierdziła: jako kryterium prawdy przepowiedział swoje zmartwychwstanie.

Zgodnie z żydowskim prawem w szabat nie wolno było wykonywać żadnych prac. Więc Maria, matka Jezusa, i Maria z Magdali przyszły w niedzielę dojrzeć grobu. Gdy chciały tam wejść, przeraziło je trzęsienie ziemi. Anioł zstąpił z nieba i odtoczył kamień zamykający grób Pana. Strażnicy z przerażenia padli na ziemię jak martwi. Ale anioł uspokoił wylęknione kobiety. Wprowadził je do grobu znajdującego się w jaskini i pokazał im, że jest pusty. Poleciał kobietom, aby oznajmiły uczniom zmartwychwstanie Jezusa, które ten sam przepowiedział. Przepowiednia się spełniła. Stało się to, czego arcykapłani obawiali się najbardziej.

Wkrótce Jezus ukazał się kilku kobietom, którym polecił, aby powiedziały jego uczniom, żeby przybyli do Galilei. Tam ich spotkał. „A gdy Go ujrzeli, oddali Mu pokłon. Niektórzy jednak wątpili. Wtedy Jezus podszedł do nich i przemówił tymi słowami: »Dana Mi jest wszelka władza w niebie i na ziemi. Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Uczcie je zachowywać wszystko, co wam przykazałem. A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata«” (Mt 28, 17–20).

W historycznej postaci Jezusa z Nazaretu zawierają się ascetyczne wyobrażenia esseńczyków, cudowna moc nazyrejczyków, pokutne kazania Jana

Chrzcziciela i jego idea chrztu, uzdrowicielska moc terapeutów, mistyczna koncepcja zbawienia ducha, wreszcie apokaliptyczne oczekiwania bliskiego Sądu Ostatecznego qumrańczyków. Mianem terapeutów określa się członków sekt, którzy rozdawali swoje mienie i porzucali rodziny, aby żyć na pustkowiu. Mężczyźni i kobiety mieli w ich wspólnotach równe prawa. Ich droga do Boga, ich terapia zbawienia polegała na rezygnacji z alkoholu i mięsa, na wstrzemięźliwym życiu. Ale w przesłaniu Jezusa pobrzmiewa również wolność, jaką według stoików wkładano w duszę człowieka, i pogarda dla świata głoszona przez cyników. Jego myśl składała się z wielu myśli. To czyniło go nadludzkim.

Jezus jest też Synem Bożym, bo przyjął niby-boską perspektywę i to, co widział i słyszał, sprawdzał, odrzucał lub przyjmował. Nie ukrywał tego, bo przecież mówił: „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele. Gdyby tak nie było, to bym wam powiedział. Idę przecież przygotować wam miejsce” (J 14, 2). Ponieważ jednak czerpał z wielu, a tym samym brał pod uwagę kompleksowość życia, jego nauka stała się najskuteczniejszą obietnicą zbawienia w czasie, kiedy z pewnością nie brakowało ani obietnic, ani charyzmatycznych wędrownych kaznodziejów. Skoro w Jezusie jest tylu ludzi – bardziej adekwatnym określeniem tego zjawiska byłaby raczej „biografia grupowa”.

Uczniowie Jezusa tworzyli pragminę. Prawie wszyscy umarli śmiercią męczeńską: Filip, Jakub, Piotr, Paweł. Tomasz doszedł jakoby do Indii, Jan wycofał się do Syrii. Byli dzielnymi głosicielami swojej religii, bo chrześcijaństwo do IV stulecia było prześladowane. W swym początku należało do religii typu misteryjnego, z powodu prześladowań i fizycznego zagrożenia było zmuszone stosować techniki konspiracyjne.

Wiele elementów z owych czasów chrześcijaństwo nosi w sobie do dziś. Gdy gmina na Wielkanoc zapewnia się: Chrystus zmartwychwstał! – to On rzeczywiście zmartwychwstał! Czuje się wciąż jeszcze triumfującą determinację małej zaprzysięgłej społeczności, która stawia czoło światu, zdecydowana na opór i absolutnie przekonana, że ma rację, bo Chrystus przecież zmartwychwstał. Jakież mógłby być na to lepszy dowód!

Równocześnie jednak religia ta rozpowszechniała się w świecie rzymskim i miała nawet odziedziczyć Cesarstwo Rzymskie. Proste elementy kultowe, jak choćby wspólny posiłek, musiały zostać dowartościowane estetyką, żeby z konspiracyjnego spotkania garstki chrześcijan móc się stać uroczystością państwowego Kościoła, który czci swego Boga, ale przede wszystkim sam siebie. Te konspiracyjne prapodstawy wciąż pękały i rodziły w Kościele nowe opozycyjne

ruchy, które chciały powrotu do istoty ruchu Jezusowego i były prześladowane jako heretyckie. Jednak duch oporu pozostał żywy w Kościele, który z oporu powstał.

Równocześnie z wczesnym chrześcijaństwem powstała gnoza, wiedza tajemna, potężny ruch religijny, który dziś jeszcze istnieje jako tajemna religia w chrystianizmie i zarazem obok niego. Wojnę, w której pogrążony był świat, prorocy tej religii przenieśli na Kosmos, na całe Stworzenie, tak że według ich poglądów wojna światowa stawała się wojną światów, w której walczyli ludzie, aniołowie i bogowie – i w której również ważne miejsce zajmował Jezus, ponieważ to nie on, lecz Szymon Cyrenejczyk zmarł na krzyżu.

^[118] *Flavius Renatus Vegetius, Epitoma rei militaris – Das gesamte Kriegswesen, Aarau 1986, s. 25.*

^[119] *Die Geschichte des Christentums. Religion, Politik, Kultur, Bd. 1: Das Altertum, Freiburg, Basel, Wien 2005, s. 17 ff.*

^[120] *Księga Bram, 4 godzina, scena 20, [w:] Eric Hornung, Die Unterweltsbücher der Ägypter, Düsseldorf, Zürich 1977, s. 222 f.*

^[121] *Gershom Scholem, Die 36 verborgenen Gerechten in der jüdischen Tradition, [w:] tegoż, Judaica 1, Frankfurt am Main 1963, s. 216–234.*

Książka dla none none

DALEKI BÓG, DIABELSCY ANIOŁOWIE I ZŁY ŚWIAT – GNOZA

Nikt nie chciałby takiej reputacji, jaką cieszył się pierwszy znany nam gnostyk. Z jego imieniem wiąże się określenie jednego z najcięższych grzechów w katolickim Kościele, grzechu, który jednak był Kościołowi nader dobrze znany, ponieważ w ciągu swojej długiej historii dostatecznie często mu ulegał. Od Szymona Maga wziął się przyjęty przez ojców Kościoła termin „symonia”, grzech Szymona. Przez symonię rozumie się sprzedawanie urzędów w Kościele katolickim. Ten, komu zarzucono, że zdobył synekurę, urząd biskupa czy kardynała, przekupując kurię bądź wpływowy kler, mógł zostać ekskomunikowany. W czasach gdy w stanie szlacheckim stosowana była zasada primogenitury – dziedziczenia przez pierwszych synów, kolejni odchodzili z pustymi rękami – wielu arystokratów chętnie zapewniało drugiemu czy trzeciemu synowi miejsce opata, kanonika bądź biskupa. Aż do XVII wieku z dużą regularnością pojawiały się pogłoski i zarzuty, że na konklawe kardynałowie kazali sobie płacić za głos dla kandydata na papieża. Abstrahując od moralnej i teologicznej katastrofy, już sama okoliczność, że papież był nadmiernie zobowiązany do wdzięczności wobec świeckiej władzy, na przykład wobec cesarza albo króla Francji, oznaczała koniec jego funkcji pośrednika, wysłannika Chrystusa.

Nazwanie tego śmiertelnego grzechu od imienia Szymona Maga najpierw zaskakuje, gdy się spojrzy na spis epizodów, jakie ów człowiek odegrał w historii apostołów. Podobnie jak Jezus i wielu innych wędrownych kaznodziejów, przemierzał różne krainy, przede wszystkim Samarię. Wygłaszał kazania przed ludźmi, obwieszczał, że jest kimś wielkim, i według świadectwa apostołów mamił ludzi magią. Jednakże zarzutu czarów nie należy brać zbyt poważnie, bo każdy wędrowny kaznodzieja musiał czasami podeprzeć swoją wiarygodność małym cudem. To należało do interesu. Ewangelie odnotowały, że nawet Jezus nie stanowił wyjątku od tej reguły.

Mając nadzieję, że będzie mógł poszerzyć swój arsenał magicznych umiejętności, Szymon Mag dał się ochrzcić apostołowi Filipowi (tak w każdym razie mówią Dzieje Apostolskie). Ta konwersja nie dała mu jednak tajemnej wiedzy magicznej apostołów. Spróbował więc innej drogi: „Kiedy Szymon ujrzał, że Apostołowie nakładaniem rąk udzielali Ducha Świętego, przyniósł im pieniądze. »Dajcie i mnie tę władzę – powiedział – aby każdy, na kogo nałożę ręce, otrzymał Ducha Świętego«. »Niech pieniądze twoje przepadną razem z tobą – odpowiedział mu Piotr – gdyż sądziłeś, że dar Boży można nabyć za pieniądze. Nie masz żadnego udziału w tym dziele, bo serce twoje nie jest prawe wobec Boga«” (Dz 8,

18–21). Nawiasem mówiąc, jest to piękny cytat na temat handlu odpustami.

W tradycji chrześcijańskiej Szymon Mag pojawia się jako pierwszy, który próbował otrzymać urząd, a przede wszystkim związane z tym możliwości dzięki pieniądзом, a nie miłości, oddaniu i pobożności. Jest zrozumiałe, że dla pierwszych chrześcijan, którzy narażali życie, żeby służyć swemu Bogu, ta intencja musiała być dotkliwa. Jednakże nienawiść, wyrażająca się w nazwaniu jego imieniem tak ciężkiego wykroczenia, wydaje się nieco przesadzona. Bo Szymon, pojawiający się tutaj tylko jako szarlatan i drobny oszust, nie był zapewne jedynym, który składał apostołom niestosowne propozycje. Wydaje się więc, że to dla niego zbyt wielkie wyróżnienie.

Gdzie jednak jest dym, jest też ogień, dlatego warto przyjrzeć się temu dokładniej. Jeśli zbadać apokryficzne teksty wczesnego chrześcijaństwa, zawarte w niektórych pogańskich przekazach z pierwszych wieków naszej ery i w pismach gnostycznych, to zza maga Szymona nagle i nieoczekiwanie wyziera inna postać. Było to ucieleśnienie zmory wczesnego chrześcijaństwa, głosiciela nader niebezpiecznej konkurencyjnej teorii, tak wybuchowej, ponieważ w wielu punktach myląco podobnej do chrystianizmu. Różnice mogli może dostrzec teolodzy, ale w żadnym razie lud, dla którego ta religia była przeznaczona. Błędną naukę Szymona Maga trzeba było zwalczać wszelkimi środkami, toteż była bezlitośnie miażdżona.

OD WĘDROWNEGO KAZNODZIEI DO BOGA I RATOWNIKA DUSZ – SZYMON MAG

Pierwsze stulecie naszej ery to musiał być ekscytujący, ale też okrutny czas. Po Bliskim Wschodzie wędrowało wiele religijnych niespokojnych duchów. Nawet chrześcijanie spierali się zaciekle o to, jak rozumieć Jezusa i jego słowa. W ostrym sporze z gnozą i pogaństwem chrystianizm jako system religijny wykształcał się bardzo powoli. Z historycznej perspektywy wydaje się łatwiejsze pozostawianie paradoksalnych zagadek niż ich systematyzowanie i wprowadzanie do systemu wiary. Dlatego w tajemnych zakamarkach chrześcijaństwa znajduje się dostatecznie dużo elementów gnostycznych. Pierwszym gnostykiem, którego widzimy w dotychczas znalezionych źródłach, jest Szymon Mag – postać legendarna, nieposkromiona i imponująca. Justyn Męczennik, wymieniony już w roku 165 n.e., wychłostany i ścięty w Rzymie, był kształconym w filozofii chrześcijaninem i później został zaliczony w poczet ojców Kościoła. Donosi on o swoim krajanie Szymonie Magu, że jego zwolennicy czcili go jako pierwszego Boga, który zszedł na ziemię w postaci Szymona, aby zbawić dusze. U Justyna

zatem mamy do czynienia już nie z małym oszustem z Dziejów Apostolskich, lecz z postacią, którą należy traktować poważnie.

Klemens Aleksandryjski opowiada o Szymonie Magu inną zdumiewającą legendę, że może on „ożywiać posągi, tak że ci, którzy je widzą, sądzą, że to żywi ludzie”^[122].

Jeśli te zbudzone do życia posągi przypominają Golema i niemal mityczne wyobrażenie robota (w epoce przemysłowej), to dochodzi tu jeszcze rys niewątpliwie magiczny. Klemens mówi bowiem dalej, że właśnie ów Szymon twierdził, iż swoją mocą przemieniał powietrze w wodę, wodę z kolei w krew, którą zagęszczał w ciało, aby potem stworzyć chłopca. Tym samym udało mu się dzieło daleko szlachetniejsze niż Stwórcy ze Starego Testamentu, bo tamten majstrował z gliną, z której ulepił człowieka. On zaś wykorzystał powietrze, które jest materiałem znacznie szlachetniejszym i znacznie trudniejszym do obróbki. Robi się straszno, gdy opisuje, jak zabił tego chłopca, ale przedtem jego obraz i podobieństwo ustawił w swojej sypialni „jako dowód mojego dzieła i wspomnienie o tym”^[123].

Duszę zabitego chłopca Szymon wykorzystał do swoich magicznych praktyk. Chociaż to nie było bezpieczne, bo dawniej wierzono, że dusza człowieka nagle zabitego kontynuuje to, co człowiek ów przedtem chciał zrobić albo robił. Tutaj historia Szymona i stworzenia sztucznego człowieka zyskuje dalszy ciąg dzięki żydowskiej legendzie o Golemie i *Frankensteinowi*. Ten ostatni to piękny i straszny klasyk grozy autorstwa Mary Shelley – straszny również dzisiaj, kiedy grzebie się w genach człowieka, marząc, że kiedyś będzie go można sztucznie stworzyć. Ale ten sztuczny człowiek jest jednocześnie Nowym Człowiekiem, jaki pojawia się w programowych dokumentach religijnych i ideologicznych o tym, co można osiągnąć wychowaniem bądź technicznymi ingerencjami w biologię lub kombinacją obu. Na ten aspekt u Szymona Maga dotąd mało zwracano uwagę, tymczasem w obliczu naszych dzisiejszych problemów jest on może najbardziej aktualny.

W każdym razie z opisów pisarzy chrześcijańskich i ojców Kościoła, którzy z Szymona zrobili arcyheretyka, diabelskiego ojca wszelkich fałszywych nauk, oraz ze wszystkich dostępnych dziś źródeł wyłania się następujący obraz: Szymona uczył ten sam nauczyciel co Jezusa – Jan Chrzciciel. Jezus przejął od niego przekonanie, że żyje na świecie najgorszym z możliwych, i wyciągnął z tego wniosek, że ratunek można znaleźć tylko dzięki pokucie. Szymon z nauk Jana Chrzciciela wyciągnął inne wnioski. Jak wspomniano, obok Jezusa istniało wielu

wędrownych kaznodziejów – tutaj mamy jednego z nich, postać prawdziwie do niego podobną. Jest oczywiste, że ta mnogość różnych głosicieli i propozycji była przez Kościół chętniej przemilczana niż badana, zwłaszcza że niektórzy teologowie czasów ojców byli niebezpiecznie bliscy gnostycznej myśli. Lepiej się było temu bliżej nie przyglądać.

Bardziej zdumiewa, że gdy cały świat szukał sensu, pojawiło się wiele przesłań, a przez ogłuszający szum licznych konkurencyjnych ofert zbawienia i szczęśliwości w końcu przebiło się przesłanie Jezusa. Opromieniło wszystkie pozostałe i zepchnęło je na peryferie, w obszary tajemne i konspiracyjne.

Gdy Herod ściął Jana Chrzciciela, Szymon Mag przebywał akurat w Egipcie, tak więc inny uczeń Jana o imieniu Dozyteusz objął kierownictwo chrześcijańskiej gminy w Jerozolimie.

W egipskiej Aleksandrii, ważnym ośrodku filozofii i nauki, Szymon zetknął się z najnowszą wówczas myślą, ale też z egipskimi spekulacjami na temat Boga Prapoczątku, i otrzymał ostatni szlif teologiczny. Jeśli chce się mieć wyobrażenie o ówczesnym znaczeniu tego miasta, najlepiej porównać je z dzisiejszym Nowym Jorkiem. Według legendy w Aleksandrii (jednej z metropolii rzymskiego imperium) siedemdziesięciu dwóch uczonych w siedemdziesiąt dwa dni przetłumaczyło na grekę hebrajską biblię, sławną Septuagintę. To w Aleksandrii spotykały się grecka filozofia i żydowska erudycja. To tam żył żydowski filozof Filon, a także Klemens, z tego powodu właśnie nazwany Aleksandryjskim.

W Muzejonie Aleksandryjskim znajdowała się największa biblioteka świata, spalona przez Rzymian, gdy w roku 47 p.n.e. zdobyli Aleksandrię. Jedynie część tej obejmującej 700 tysięcy zwojów biblioteki została uratowana. Gdy w roku 391 edyktem cesarza Teodozjusza zamieniono Muzejon w chrześcijański kościół, zbiory zostały rozproszone po całym świecie. Reszta ksiąg podobno została zniszczona w roku 642, gdy muzułmanie pod wodzą Omara ibn Chattaba zdobyli Aleksandrię. Na pytanie, co zrobić z książkami, miał odpowiedzieć, że książki wymierzone w islam zasłużyły na zniszczenie. Te, które nie są przeciw islamowi, powtarzają tylko to, co jest zawarte w Koranie. Dlatego są zbędne i również nadają się do spalenia. Strat w księgozbiornictwie i wiedzy do dziś nie dało się odrobić. Wymazana została część pamięci ludzkości.

W owym czasie jednak, gdy Szymon Mag przebywał w mieście, w Aleksandrii kwitła nauka. Po śmierci Jana Chrzciciela Szymon wrócił do Palestyny, rozprawił się z następcą Chrzciciela Dozyteuszem i zaczął wędrować po

Samarii, głosząc kazania.

Najważniejsze, co przywiózł z Egiptu, to było wyobrażenie tajemniczego Boga Prapoczątku. I dokładnie tak jak on, również Bóg Szymona jest praistnieniem, milczeniem, bytem przed obecnością. Ten Bóg myśli i swoim myśleniem przenika do myślenia ludzkiego. Myślenie, mające swój początek w Bogu, staje się w człowieku *nous*, duchem albo rozsądkiem, i z ducha tego wychodzą myśli.

Ważne jest wyobrażenie, że stworzenie nie jest tworzeniem, wznoszeniem, lecz płynięciem, nie jest manifestacją, lecz emanacją. Ale teraz, gdy powstały duch i myśl, z jednego zrobiły się dwie. Dla przypomnienia: o egipskim Bogu Prapoczątku mówi się:

Byłeś tutaj, gdy jeszcze nic nie powstało,

i będziesz tu, gdy się skończy.

Z niego, który zmęczony unosi się w prawodzie, również wychodzi dwoistość:

Będziesz jadł od twojej córki Prawdy;

twój syn Szu wyniesie cię^[124].

Z Boga Prapoczątku zrodzili się córka Prawda i syn Życie. W języku hebrajskim duch jest rodzaju żeńskiego (*mach*) – tym samym córka odpowiada Duchowi Świętemu żydów i chrześcijan. Za to syn jest życiem i według Ewangelii św. Jana może być rozumiany następująco: „A Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas. I oglądaliśmy Jego chwałę, chwałę, jaką Jednorodzony otrzymuje od Ojca, pełen łaski i prawdy” (J 1, 14).

Trynitarские wyobrażenia nie mogą sobie rościć pretensji do chrześcijańskiego pochodzenia. Greckie, hebrajskie i aramejskie terminy dla myśli i wiedzy są żeńskie, tak więc nawet gramatycznie jest logiczne, że bóg Szymona jest ojcem, który spłodził Mądrość (*sophia*) bądź Myśl (*ennoia*). Gdy Sofia/Ennoia nazywa go ojcem, akceptuje jego zdolność płodzenia. Myśl i zdolność płodzenia stanowią teraz żeńsko-męską istotę, z której wyłaniają się dusze i światy jak właśnie w egipskich wyobrażeniach o Maat i Szu, prawdzie i sprawiedliwości, i o życiu.

Według wyobrażeń gnostyków mądrość, która zrozumiała zamiary ojca, zeszała do niższych sfer, spłodziła aniołów i uczyniła ich władcami światów. Całe przedsięwzięcie jednak gruntownie spaliło na panewce, bo aniołowie zatrzymali Sofię bądź Ennoię w niższych światach. Ponieważ chcieli być nieporównywalni, niespłodzeni i w ogóle chcieli być bogami, musieli zataić swoje pochodzenie od mądrości, swoje zwyczajne pochodzenie, i ukryć swoją matkę Sofię bądź Ennoię. Gdy to się stało, przedstawili się jako niestworzeni i wieczni i zajęli (pozornie) miejsce boga. Byli próżni, żądni władzy, pozbawieni skrupułów i pokory, chcieli się znaleźć na najwyższym miejscu, dlatego też gnostycy nazwali je *archontami* (gr. pierwszy) albo złymi demiurgami (gr. rzemieślnik).

Ale istniał Stwórca, który chciał być największym ze wszystkich bogów. W późniejszym piśmie gnostycznym *Hipostaza archontów* czytamy o nim: „Jestem Bogiem i nie ma innego prócz mnie [...] Ale jakiś głos ze sfery absolutnej władzy przemówił: »Mylisz się, Samael, to znaczy Ślepy Bóg«^[125]”.

Z perspektywy gnostycznej zatem żydowskiemu, chrześcijańskiemu i muzułmańskiemu Stwórcy założono potężny tłumik na jego fanfaronadę, mówiono i demonstrowano mu, że się przechwalał. Oczywiście, że takie podejście nie budziło zachwytu żydowskich, chrześcijańskich, a potem muzułmańskich ortodoksów.

Sophia czy Ennoia, schodząc przez niższe anielskie światy, musiały znieść wszystko, co najgorsze. Po wielu upokorzeniach Mądrość czy Myśl zostały w końcu uwięzione w ludzkim ciele, w mięsie i we krwi, i były prowadzone z jednego więzienia do drugiego, z jednego kobiecego ciała w drugie. Według gnostyków ciało jest ciemnym lochem duszy, które wynaleźli źli aniołowie, żeby uwięzić myśl Boga.

Wszędzie tam, gdzie pojawiała się upadła Ennoia albo Sofia, wybuchały kłótnie, niezgoda i wojny. Stacjami jej upadku były m.in. grecka Helena, której uroda wywołała wojnę trojańską, a w końcu, w najniższym punkcie upokorzenia – prostytutka, którą Szymon Mag zastał w burdelu w Tyrze.

Ale nieoczekiwanie doszło do happy endu. Szymon Mag twierdził o sobie, jak pamiętamy, że jest Bogiem, nawet pierwszym Bogiem, który zszedł pod postacią Szymona, aby zbawić ludzi, a raczej dusze. Niestety – dusze zapomniały z czasem o swoim boskim pochodzeniu i dlatego trzeba je było obudzić.

Wyzwalając tylko cierpiącą największe upokorzenie jako portowa dziwka Helenę/Ennoię, Szymon wyzwolił zarazem ludzkość, która składała się tylko z dusz przykutych przez zło do ciała.

I żeby od razu było jasne, jak to się ma do uciążliwego konkurenta Jezusa Chrystusa. Szymon miał proste, ale w swej nieskażonej prostolinijności zaskakujące wyjaśnienie: on zszedł na ziemię, aby powstrzymać złe anioły i uwolnić dusze. W tym celu przyjął postać człowieczą.

Teraz on, Szymon i pierwszy Bóg, działa w Judei jako syn, a więc Jezus, w Samarii zaś, gdzie istotnie głosił kazania, jako ojciec, a u pozostałych narodów jako Duch Święty.

Epifaniusz z Salaminy (315–403), chrześcijański pisarz, dopuszcza do głosu kaznodzieję Szymona Maga. Możliwe jest, że tak mówił, bo te wypowiedzi raczej uzupełniają jego obraz, niż mu przeczą.

Mógł więc stać na miejskich targowiskach i – otoczony zaciekawionymi, sceptycznymi oraz kpiącymi ludźmi – głosić: „W każdym niebie przyjmowałem inną postać, zależnie od kształtów istot w każdym niebie, żeby pozostać przed aniołami w ukryciu i zejść do Ennoi, która nazywana jest też Prunikos i Duch Święty, przez którą stworzyłem aniołów, którzy potem stworzyli Kosmos i ludzi”^[126].

Niemal słyszymy ten nawykły do przemawiania głos, jak obliczony na efekt umiejętnie robi pauzy, podnosi się i zniża. Mag Szymon wiedział: jeśli ludzie podczas kazania podzielą jego oddech, podzielą również jego myśli, a wtedy potrzeba będzie jeszcze tylko uchylić rąbka tajemnicy i być może dokonać małego cudu, by poszli za nim – przynajmniej niektórzy.

W pochodzącym z greki terminie *prunikos* dla Sophia albo Ennoia tkwi ostra prowokacja, bo po niemiecku znaczy on „pożądliva” bądź „lubieżna”. Gnostycy chcieli zawsze pozostać między dwoma biegunami w stosunku do kobiecości, bo z jednej strony widzieli w niej element łączący wszystko, obejmujący i dziewicę, i Wielką Matkę, z drugiej zaś pokusę, żądzę, dziewczkę. Napięcie między tymi biegunami było zbawieniem, bo dopiero kiedy Sophia spadła tak nisko, mogła zostać uratowana.

Ciekawe, jak nawet w religię, która sama staje się tajemną, wplatają się elementy pogańskie. Chrześcijański pisarz Ireneusz z Lyonu w swoim dziele

Przeciw herezjom zdradza nam, że Helenę nazywano również Seleną, a więc boginią Księżycy, określenie, jakie znajdujemy również przy Dziewicy Maryi. Hans Jonas, który przytacza ten fragment, wskazuje, że Selene to tylko egzotyczny, a więc publiczny odpowiednik tajemnej, ezoterycznej nazwy Ennoia, Sophia lub Duch Święty^[127] (który po hebrajsku – *ruach ha-kodesz* – jak również w innych językach semickich jest rodzaju żeńskiego).

Tak więc Szymon Mag wędrował po Palestynie jako głowa gnostyckiej sekty, podobnie jak apostołowie w początkach chrześcijaństwa. Obie grupy były zajęte odbijaniem sobie wzajemnie wiernych i nawróconych. Konkurencja była twarda, toczyła się walka o rynek. Wprawdzie istniał duży popyt, ale też było wiele ofert.

Legenda głosi, że Szymon Mag wędrował w ślad za Piotrem, aby odbierać nawróconych właśnie na chrystianizm i chrześcijańskie gminy przekształcać w gnostyckie. Ponieważ są to źródła chrześcijańskie – chociaż donoszą o tym zadziwiająco wiernie – pozostaje w końcu niewyjaśnione, kto wędrował za kim. W każdym razie po latach nieustępliwej walki konkurencyjnej doszło w Rzymie do ostatecznej rozgrywki.

Szymon Mag prowokował Piotra, lżył go jako heretyka i zakończył swoje przemówienie chłodnym zwrotem: „Jednak ty poniekąd oszołomiony zdumieniem będziesz stale zatykać uszy, żeby nie splamiły się bluźnierstwem i będziesz się rzucać do ucieczki, bo nie znajdziesz odpowiedzi; a niemądry naród przykłaśnie ci, ba, pokocha, bo głosisz to, co jest w ich zwyczaju, zaś mnie będą przeklinać, bo głoszę im coś nowego i niesłychanego”^[128].

Dla pełnego triumfu, po bojowych i namiętnych słowach, jakimi gnostyk skończył przemówienie, powinien był nastąpić mały cud. Być może Piotr się odwzajemnił: „Nasz Pan trzeciego dnia zmartwychwstał”, i z okrutną ironią zapytał: „Też to potrafisz, skoro przecież jesteś pierwszym Bogiem?”. Chrześcijańskie źródła opisują koniec Szymona z pewną satysfakcją. Ponieważ uważał się za Boga, kazał się pogrzebać, żeby trzeciego dnia powrócić ze swej podróży do krainy umarłych i powstać z martwych. W podróż istotnie wyruszył, ale niestety nie wrócił. Wykopano tylko jego zwłoki. Inna wersja głosi, że Szymon Mag, aby udowodnić swoją boskość i upokorzyć Piotra, wzniósł się w Rzymie w powietrze, a Piotr zniszczył czar, tak że Szymon spadł, połamał nogi i wskutek tego w końcu umarł.

Można to uważać za legendy, można też szukać w nich źdźbła prawdy, jaka

tkwi we wszystkich podaniach. Ładne jest w każdym razie to, że ojcowie Kościoła – Ireneusz z Lyonu, Tertulian i Euzebiusz z Cezarei – w ślad za Justynem Męczennikiem pisali o posągu na Isola Tiberina w Rzymie, na którym Szymon Mag był czczony jako Bóg. Jednak gdy rzeczywiście posąg znaleziono, okazało się, że poświęcony był nie Szymonowi, lecz starosabińskiemu bóstwu o imieniu Semo Sancus. Czytano Simoni Deo Sancto (Szymonowi, Bogu Świętemu) zamiast Semoni Sanco Deo Fidio Sacrum (świętość boga Semo Sancus Fidio), a tym samym niechcący przyczyniono się do powstania legend o arcyheretyku Szymonie Magu. Legenda czy nie – ojcowie Kościoła bardzo poważnie traktowali tego wędrownego kaznodzieję.

Szymon być może nie był pierwszym gnostykiem, ale jest pierwszym, którego spotykamy. Promieniuje daleko, w gruncie rzeczy do dziś, nie tylko dlatego, że jego imię powiązane jest z ciężkim grzechem kupczenia urządami, również nie dlatego, że jego przydomek Faustus, występujący w starożytnym tekście *Pseudoklementyny*^[129], przypisywanym Klemensowi Aleksandryjskiemu, przeniósł postać maga aż do odrodzenia, gdzie został pierwowzorem najbardziej znanego ze wszystkich magów na świecie, doktora Johanna Fausta z ludowej opowieści, lecz dlatego, że religijne wyobrażenia gnostyków, dla nas egzotyczne, zakorzeniły się jako tajemna religia, pozwoliły rozkwitnąć religii paulicjan, bogomilców, katarów i albigensów, stanowiły odgałęzienia idei teozofów Heleny Bławatskiej i Rudolfa Steinera i do dziś wydają spóźnione pąki.

PRZEBUDZENIE DO MĄDROŚCI

W dużym uproszczeniu musimy sobie tak wyobrazić doktrynę gnostyczną, którą długo jeszcze po Szymonie Magu udoskonalano i poszerzano: Bóg nie stworzył świata; to niewyobrażalny, odległy Bóg z jakiegoś powodu emanuje byty, które potem same wydają byty, które potem z głupoty bądź chciwości chcą chwycić więcej boskiej iskry albo nie doceniając Boga, same siebie mają za władcę świata. One tworzą światy, które są coraz gorsze – taka jest orgia upadku.

Aby być równym Bogu i zająć jego miejsce, chwytają boską iskłę, a ponieważ nie mogą z nią nic zrobić, przywiązują ją do ciała, trzymają w cielesnym więzieniu w najniższym i najgorszym ze światów, który jest równoznaczny z naszym ziemskim światem.

Bóg żyje w pełni, w *pleromie*, która jest pełnią światła. Stworzone przez niższe byty lub niższego stwórcę światy są oczywiście w mroku. To dlatego w gnostycznym Kosmosie dochodzi do wymieszania światła i mroku, części

światła i części mroku.

Tutaj przesłanie było przeciwne niż w chrześcijaństwie: człowiek nie musi się bać piekła – on już w nim żyje, nie ujdzie mu, ponieważ dzięki wędrowce dusz przemieszcza się z jednego piekła w drugie.

Najbardziej gnostyczny ze współczesnych pisarzy, Franz Kafka, genialnie to wypunktował, pisząc: „Pierwszą oznaką rozpoczynającego się poznania jest pragnienie śmierci. To życie wydaje się nie do zniesienia, inne nieosiągalne. Człowiek już się nie wstydzi, że chce umrzeć; prosi, by go przeniesiono ze starej celi, której nienawidzi, do nowej, której dopiero nauczy się nienawidzić. Wywiera tu wpływ ostatek wiary, że w czasie transportu przypadkowo nadejdzie korytarzem pan, spojrzy na więźnia i powie: »Tego już nie zamykajcie. On przejdzie do mnie«^[130].

Dokładniej, lepiej nie można wyrazić idei gnostycznej. Dusza, która przemieszcza się z więzienia do więzienia, nic nie wie o boskości, bo też dusza sama jest celą więzienia. Boska iskra lub boskie tchnienie, *pneuma*, zostaje spętana – a łańcuch jest duszą, względnie skorupą. Boska iskra, nasze prawdziwe Ja musiałoby najpierw opuścić duszę, potem ciało. Ale iskra światła nie wie nic o swym boskim pochodzeniu. Demiurgowie, szatańscy rzemieślnicy, kazali jej zapomnieć prawdę.

Spójrzmy na przejawy tych idei w różnych regionach. Według egipskiej bądź aleksandryjskiej (pochodzącej z Aleksandrii) gnozy stworzenie świata dokonało się dzięki błędowi, próżności, lekkomyślności emanowanego przez Boga jestestwa. To jestestwo pomyślane było jako żeńskie i nazwane Sophia, Ennoia, Eponoia lub Barbelo. Irańska zaś gnoza nie zajmuje się powstaniem świata. Dla niej od początku istnieje niemożliwe do pogodzenia przeciwieństwo dobrego Boga i złych archontów, którzy przypadkowo zagląдают do krainy światła i z zazdrości zaczynają wojnę przeciwko Bogu, bo chcą zdobyć część krainy światła. To bierze się z irańskiej tradycji zaratusztrianizmu, która rozróżnia dualistycznie dobrego Ahurę Mazdę i złego Arymana, krótko mówiąc: Boga i Szatana.

Każdy gnostyczny kierunek w niepowtarzalny sposób odkrywa człowieka i stawia go w centrum swego zainteresowania. Szczególne miejsce przypada zwłaszcza psychologii człowieka, jego duchowemu powiązaniu ze światem, kompleksowości jego duchowej struktury, niewystarczająco oddawanej przez pojęcia świadomości i podświadomości.

Człowiek musiał zostać zbudzony bożym wołaniem, które dotarło do niego przez mroczne światy. Dlatego „wołanie” ma w gnozie wyjątkową i zasadniczą rolę. Gdy zdarzył się cud i człowiek usłyszał wołanie, budził się. To wołanie budziło w nim poznanie. I jest to dokładnie to, co po niemiecku znaczy *Gnosis*: poznanie, w sensie mądrości, wiedzy. Ta wiedza jest bardzo głęboko ukryta w człowieku, tak że ludzie nie wiedzą nic o swojej wiedzy. Tak jak psychoanalitycy próbują dotrzeć do podświadomości, tak z punktu widzenia gnostyków wiedza musiała tym wołaniem zostać przywołana do świadomości – było to prawdziwe Ja człowieka, dawno zapomniane przez korupcję świata.

GNOSTYCKI KOSMOS

Nowoczesna psychoanaliza nieskończenie wiele zawdzięcza gnostyckiej psychologii światów. Dzięki poznaniu przypominamy sobie nasze prawdziwe pochodzenie, kto jest właściwie naszym ojcem. To jest tak, jakbyśmy w wieku dwóch lat zostali porwani. Głęboko w nas ukryte są ciemne schematy naszej wcześniejszej egzystencji. Jednak wspomnienie rzeczywistej ojczyzny, biologicznych rodziców, wskutek życia w innym miejscu, u innych ludzi, wskutek wychowania zostały pogrzebane i poszły w niepamięć. Nagłe poznanie wywołuje szok, powodując głęboką tęsknotę za powrotem do ojczyzny. Ona jest warunkiem wyzwolenia.

Boska kraina światła. Ojczyzna człowieka znajdowała się w boskiej pełni, przez gnostyków nazywanej również *pleroma*. Pojęcia gnostyckiego Kosmosu różnią się, mogą obejmować trzy, siedem, trzydzieści sześć albo 365 światów bądź eonów. Nad wszystkim jest i wszystko otacza sfera Boga, *pleroma*. To miejsce, gdzie isierka światła, czy też *pneuma*, jednoczy się z Bogiem i żyje z nim w świecie, który składa się tylko ze światła, lub raczej sam jest światłem. To światło jest Bogiem, z nim ta isierka światła, zagubiona w świecie i ciele, łączy się i znowu rozpala, pijana od światła w świetle. Ta nieskończona, otaczająca wszystko sfera nazywana bywa również królestwem miłości (*agape*). Czasami, ale nie zawsze, dołącza się do tego królestwo pośrednie, gdzie włada mądrość (*sophia*).

Raj. Poniżej królestwa pośredniego znajduje się w kilku kierunkach gnostycznych raj, gdzie żyli Adam i Ewa. Ważne, że w tym rajku nie było Boga i że dusza, *pneuma*, będąc w rajku, już się zmateriałizowała. Inaczej niż w chrześcijaństwie raj dla gnostyków był tylko miejscem złego, niewystarczającego stwórcy, który stworzył cały znajdujący się poniżej świat.

Siedem światów. Do raju przylega siedem eonów, czy też światów, z których każdy podporządkowany jest archontowi, władcy jednego świata. W wyobrazeniach Szymona Maga archontowie odpowiadali aniołom, w innych gnostyckich systemach nazywali się demiurgami lub nosili imiona siedmiu bogów zodiaku, jakich znamy już z religii babilońskich lub kultów misteryjnych.

Ziemia. Dopiero potem przychodziła ziemia, jako najgorsze miejsce w ogóle. Ale niektóre gnostyckie systemy знаły nawet gorsze miejsce, piekło. Wydaje się jednak, że ono było prawie zbędne, bo ziemia była już dostatecznie straszna.

Zwolennicy Hermesa Trismegistosa, połączenia greckiego boga Hermesa i egipskiego Thota, rozpowszechnili brzemienne w skutki poglądy o zgodności makrokosmosu (ogółu światów) i mikrokosmosu (człowieka). Kosmiczny model z biegunami (*pleroma* i ziemia) został przeniesiony na człowieka, tyle że to przeciwstawienie nie odbywało się z góry na dół, czyli pionowo, lecz raczej horyzontalnie, od środka na zewnątrz: we wnętrzu człowieka istniała część *pleroma*, iskra światła, *pneuma*, element boski, a dalej warstwa po warstwie było coraz gorzej, ze względu na niewiedzę i złe cechy, aż wreszcie to duchowe wnętrze ubierane było w futropodobną szatę, wyobrażającą ciało.

W zgodności makro- i mikrokosmosu tkwią jednocześnie nadzieja i beznadziejność. Człowiek nie mógł się zmienić, tak jak światy by się nie zmieniły. A jednak – i to stanowiło obietnicę – możliwe było, że ów boski element, ta iskra światła zostanie uwolniona i przeniknie warstwy ciała. Potem mogła przejść przez sfery archontów, by wnikać w *pleromę*. Jest to droga odwrotna. A ponieważ element boski w człowieku bądź człowiek wewnętrzny raz już przebył tę drogę, choć w negatywny sposób – może ją sobie przypomnieć, jeśli tylko jego pamięć obudziła się na wezwanie.

Iskra światła lub *pneuma*, spadając z *pleromy* przez sfery aniołów, została przez Złego spowita w płaszcz, by gotowy zewnętrzny człowiek mógł spaść na ziemię. Najdalej w chwili zetknięcia z ziemią człowiek zapomniał swoją prawdziwą ojczyznę. Z wyobrażenia upadku przez sfery archontów i zaizolowania iskry światła wynika ważny element astrologii.

Gwiazdy mają wpływ na nasze losy również dlatego, że przecież człowiek odpowiada ich właściwościom – spadając, wziął coś od każdej z nich. Analogia opiera się na podobieństwie, powinowactwie makrokosmosu i mikrokosmosu. Harmonia między człowiekiem a gwiazdozbiorem wynika też z udziału gwiazd

i eonów w stawaniu się ziemskiego człowieka. Ponieważ jednak istnieje to powinowactwo między gwiazdami a ludźmi, ludzki los można wyczytać z konstelacji gwiazd i planet. Bez tych religijnych uwarunkowań astrologia byłaby nie do pomyślenia; pod tym względem przedstawia sobą tajemną religię, podobnie jak alchemia.

Niektórzy gnostycy popierali pogląd Pitagorasa, że z tej pierwotnej ojczyzny wydobywa się muzyka sfer, która ma obudzić iskrę światła. Dlatego źli archontowie wszczęli hałas świata, aby zagłuszyć muzykę sfer. Pojęcie hałasu świata, przewijające się w różnej formie w teologii, filozofii, religii i poezji, powstało w gnostycznym wyobrażeniu, że archonci zagłuszyli wołanie ojczyzny człowieka, by zatrzymać iskrę światła w świecie pozornym.

Stan ludzi na świecie był według gnostyków stanem upojenia. W terrorze pozornych barwnych obrazów i w szalejącym hałasie człowiek zataczał się jak zamroczony alkoholem, nie pamiętając ojczyzny. Blask i hałas ogłuszały go całkowicie. Wszystko to stosowano, aby utrzymać człowieka w zależności i ukryć przed nim prawdę.

Neoplatoński filozof Plotyn, który każdą mistyczną religię zaopatrywał w idee, nie mógł zrozumieć obrzydzenia gnostyków do ziemi, która jego zdaniem wydawała tyle piękna, i zareagował na nich najpierw niechęcią, potem wstrętem (a przy tym wszystkim ich znał). Mimo to nie mieściło mu się w głowie, jak niektórzy z tych zdolnych młodych ludzi, którzy siedzieli u jego stóp i przysłuchiwali się jego wywodom na temat Kosmosu, światła i stopni, po których wspina się dusza, mogli tak bezgranicznie pogardzać tym światem, którego piękno on tak głęboko odczuwał.

W istocie trudno jest zrozumieć odrzucanie przez gnostyków Kosmosu i ziemskiego życia. Skąd się wzięła ta zażarta nienawiść do życia, do przyrody, do piękna? Chętnie poszlibyśmy na łatwiznę i uśmiechnęli się nad kilkoma fantastami, gdybyśmy nie mieli tu do czynienia ze światową religią, która przez niemal tysiąc lat fascynowała ludzi od Hiszpanii po Chiny. Aczkolwiek w końcu chrystianizm i islam wymiotły rzesze gnostyków, niektórych adoptowały, i próbowały pograżyć w zapomnieniu niemiłe poglądy. Jednak wiele idei i pomysłów gnostyków wśliznęło się jako tajemna religia pod szeroki płaszcz wielkich religii. Wyobrażenia takie jak Bóg, Syn i mądrość/kobieta/Duch Święty nader często mają rysy gnostyckie.

RATUNEK Z PADOŁU NĘDZY I ROZPACZY – ZBAWIONY

ZBAWICIEL

Można pójść na łatwiznę i interpretować gnostycki model świata jako model psychologiczny, jako różne warstwy świadomości i podświadomości, jako w niektórych koncepcjach wręcz genialną projekcję indywidualnych pejzaży duszy na powszechne wydarzenia na świecie. Ale wtedy zadowolilibyśmy się mniejszą częścią prawdy.

Przecież gnostycy byli przekonani, że żyją na najgorszym ze światów, a po drugie dążyli do szczęścia, zakładając jednak, że na świecie go nie znajdą, bo na świecie dobre życie nie mogło istnieć. Naszą planetę uważali za padół nędzy i rozpaczy. Powody – jak widzieliśmy – były rozmaite: wyparcie wykształconych w kulturze hellenistycznej warstw przez elity rzymskie, ciągłe kryzysy, ale też pustka duchowa, jaka otwierała się przed dobrze sytuowanymi mężczyznami i kobietami w na wskroś skorumpowanym świecie, który miał coraz mniej wartości do zaoferowania. Ponieważ jednak nie można było obalić politycznego porządku świata – czy to ze słabości, czy z bezradności – robiono to w dziedzinie ducha, w myśli i religii. Skoro ludzie z tą samą pewnością, z którą my przyjmujemy, że dwa i dwa jest cztery, wierzyli, że istnieje Bóg, że istnieje dobry świat, nie tylko ten własny, logicznym następstwem była chęć poszukania drogi do tego innego świata. Reszta to teologia.

Osiemnastowieczne oświecenie dało nam świadomość, że sami możemy i musimy decydować o swoim życiu. Jeśli zawadzimy, to my zawadzimy. Albo przeszkadzają inni. Natomiast człowiek starożytny był pewien, że sam ma wpływ na niewiele spraw – jego los spoczywa w rękach Boga lub bogów, lub Parek, lub Norn. Homer wiernie opisał tę postawę w *Iliadzie*. Ludzie prowadzili wojnę trojańską, ale jej przyczyną były humory bogów. A najstraszniejszym z nich była Heimarmene, bogini przeznaczenia (lub samo przeznaczenie – *heimarmene*), przy której pokornieli nawet pozostali bogowie.

Gnostyckie wyobrażenie pozycji człowieka w świecie bardzo pięknie zostało przedstawione w *Hymnie o Perle*^[131]. Uwięzieni na ziemskim padole nędzy i rozpaczy proszą tam zbawiciela (*salvator*), żeby się za nich pomodlił. On spełnia ich życzenie i recytuje psalm, w którym opowiada własną historię zbawienia. Będąc królewskim synem, dorastał we wspaniałym pałacu swego ojca. Pewnego dnia rodzice wysłali go, aby przywiózł perłę, której w Egipcie strzegł straszny wąż. Jeśli wróci z tą perłą, odziedziczy królestwo. „Zdjeli ze mnie suknię chwały, w którą ich miłość mnie była oblekła” i szatę złotą – w innym tłumaczeniu jest to szkarłatna tunika – żeby nie rzucał się ludziom w oczy, i drogami pełnymi przygód

udał się do Egiptu przez Afganistan, Iran, Mezopotamię. „Ale rozpoznali, że nie jestem z nich i świadczyli mi grzeczności i mieszały chytrość z napojem”. Mimo prostego odzienia zbawiciel został odkryty i zdemaskowany przez ludzi, którzy oddali się demiurgowi i jemu służyli. Dali mu do zjedzenia pożywienie, które kazało mu zapomnieć wszystko. „Wtedy zapomniałem, że jestem synem Króla i służyłem ich królowi. Zapomniałem o Perle, po którą posłali mnie rodzice. Dla ciężkości ich pokarmu zapadłem w głęboki sen”. Znajdując się w takim stanie, otrzymał list od rodziców, który miał mu przypomnieć, dlaczego udał się w podróż. Doszło do niego wezwanie: „Zbudź się i wstań ze swego snu i pojmij słowa naszego listu. Przypomnij sobie, że jesteś synem Króla: zważ, w czyją służbę niewolną wstąpiłeś. Pamiętaj o Perle, dla której wyruszyłeś do Egiptu. Przypomnij sobie swoją suknię chwały, miej w pamięci twój świetny płaszcz, abyś mógł je oblec i przyozdobić się nimi i aby twoje imię czytano w księdze bohaterów i abyś razem z bratem twoim, naszym namiestnikiem, odziedziczył Królestwo. Niby poseł był list ten, zapieczętowany królewską ręką przeciwko złym siłom, synom Babelu i nieposłusznym demonom Sarbûg. Wzbił się w kształcie orła, króla ptaków, i leciał aż usiadł przy mnie i cały stał się mową. Na jego głos obudziłem się i wstałem ze snu [...] Jak to, co nosiłem wypisane w sercu, były słowa listu”.

Zapomnienie nie jest nikomu obce, ono istnieje, trzeba tylko przypominać, ktoś z zewnątrz musi dotrzeć do naszego wnętrza i przebić gruz czasu lub odrętwienie.

Obudzony przypominał sobie, że jest królewskim synem i co zamierzał. Zaklęciami zaczarował węża, ukradł perłę i powrócił z nią do swego królestwa. Tam założył znowu błyszczącą, haftowaną złotem szatę i zaniósł perłę do ojca.

Ta historia brzmi jak bajka, jest w niej jednak opowiedziany w sposób poetycki fundamentalny mit gnostyków. Dusze albo iskry światła zostały przez archontów i demiurgów wyposażone w ciała. Dostały ziemski pokarm i napój, wskutek czego nie pamiętały już, że pochodziły z otoczenia Boga, z *pleromy*, z pełni. Zapomniały, jak to pięknie wyraża psalm, że są dziećmi królewskimi i żyją w niewoli. Żeby się obudziły z odrętwienia, potrzebne było wezwanie, które doprowadziło je do poznania (gr. *gnosis*) ich prawdziwej tożsamości. To poznanie umożliwiło im powrót do ojczyzny. Wezwanie i wyzwolone przez nie poznanie stanowią centralne kategorie gnozy, one bowiem dopiero rozpoczynają proces zbawienia.

Dla niektórych gnostyków zbawieniem była już sama wiedza, poznanie. Dlatego trzeba je było ukryć przed niegodnymi, żeby nikt nie mógł ich nadużyć:

„Zaś wolność jest poznaniem prawdy, która już istnieje, zanim doszło do niewiedzy, i panuje aż do wieczności bez początku i bez końca, jest czymś dobrym i jest wyzwoleniem z dzieł, i jest uwolnieniem od natury niewolnictwa, które cierpieli ci wszyscy, którzy zostali wydobyti z niskiej myśli głupoty”^[132]. Poznanie uwalniało i zbawiało. Warunkiem poznania, twierdzono, było wezwanie.

W micie jednak zbawienie zostaje podwojone. Zbawiciel, którego wysłano, aby przywiózł z powrotem zgubione cząstki światła, tutaj symbolizowane przez perłę, sam został uwięziony. Zbawiciel musiał zostać zbawiony. W zbawieniu zbawiciela przedstawione jest wzorcowo wyzwolenie wszystkich ludzi, wszystkich boskich iskier światła. Zbawiony zbawiciel (*salvator salvandus*) stał się w ten sposób obrazem i nadzieją ludzi w gnostycznej religii. Dopiero w tym miejscu można zrozumieć odmiennosć gnozy w stosunku do judaizmu, chrześcijaństwa i islamu.

Każdy człowiek był dla gnostyków królewskim synem, który został przez złe moce wtrącony do ciała jak do więzienia. Gnoza nie interesowała się społecznością świętych czy społecznością wiernych, islamską *ummą*, chrześcijańską gminą lub żydowską *jachad* – chodziło jej wyłącznie o zbawienie poszczególnego człowieka, indywidualum. Dlatego też nie utworzyła Kościoła, ale pozostała religią całkowicie indywidualistyczną. Wprawdzie niektóre kierunki gnostyckie znały czynności rytualne, ale kategoria władzy była gnostykom obca. Świat był dla nich urzeczywistnieniem bezdenne go zła i całkowicie go odrzucali. Więc po co władza?

Ich zdaniem chodziło o to, by każdy się oczyścił, oddalił od świata, najlepiej, by żył w ascezie, aby nie wiązać do ciała nowych iskier światła, a w żadnym razie nie brukać się pożywieniem, zwłaszcza zwierzęcego pochodzenia. (W naszych czasach zostało to posunięte tak daleko, że obliczano potencjał świetlny w środkach spożywczych, z czego wynikało, że określona woda – Mondquelle [księżycowe źródło] – i określone rośliny wykazują szczególnie dużą wartość świetlną, a tym samym pomagają człowiekowi przygotować się do podróży do ojczyzny).

Podróż była niezwykle niebezpieczna, bo źli archontowie lub demiurgowie pilnowali przejść z jednego nieba do drugiego. Chcieli zapobiec temu, żeby iskry światła, dusze, powróciły do Boga, bo to położyłoby kres panowaniu złych demiurgów. Pomiędzy ziemią a ósmym niebem *pleromy* jako wrogie terytorium leżało siedem nieb archontów, które iskry światła musiały w drodze do domu przebyć nierozpoznane. Pozostawało więc tylko przygotować się do tej podróży już na ziemi i uzbroić się przeciwko wrogom. Różne kierunki na różne sposoby

opisują, w jaki sposób to się odbywało.

Radykalność gnozy – również jako religii intelektualistów – polegała na całkowitym odrzuceniu istniejącego świata. Skoro prorocy w historii działali równie imponująco co bezskutecznie, a wyznawcy Apokalipsy ze swymi scenariuszami końca świata także nie sprowadzili żadnej poprawy bądź zmiany, to gnostycy wnioskowali, że świat jest nie do naprawienia, a wszelkie starania w tym kierunku są daremne. Ich zdaniem błędem nie były wysiłki zmierzające do zbawienia, lecz to świat był fałszywym adresatem wysiłków – to tak, jakby na piaskach Sahary próbować hodowli anemonów. Przyczyną tej nieskuteczności była prosta okoliczność, której dotychczas jedynie nie zauważono.

W Księdze Rodzaju, która dla chrześcijan i żydów ma status Pisma Świętego i której nie kwestionuje również islam, napisano, że Bóg stworzył ziemię. I widział, że to, co stworzył, jest dobre. Gnostycy nie wątpili, że temu Bogu jego dzieło się podobało – to było jego dobre prawo – tyle że on nie był dla nich wielkim Wszechwładcą, Bogiem Prapoczątku, Bogiem *pleromy*. Widzieli w nim bóstwo niższego stopnia, demiurga, archonta, stwórcę, rodzaj anioła lub kierownika oddziału w instytucji świata, który pochodząc od Boga, w procesie pogarszania przeszedł przez wiele stadiów pośrednich. Biblijny Stwórca stał się dla gnostyków kimś w rodzaju głównego kierownika wydziału w instytucji świata, który z upodobaniem spogląda na swoich podwładnych i rozładowuje się, szykanując ich, aby w końcu rozpląnąć się całkiem w iluzji, że – przynajmniej dla nich – jest bogiem jedynym.

Wielkie odkrycie gnostyków polegało na tym – mówiąc kolokwialnie – że w istocie ludzie nie modlą się do Boga. Ten, którego w swojej niewiedzy (*a-gnosis*) biorą za Boga, jest właściwie tylko złym duchem albo szatanem. Posiadłszy tę fundamentalną wiedzę, odwrócili w szaleńczo śmiałym akcie całą zasadę zbawienia. Dla nich istniał z jednej strony władający wszystkim Bóg zbawienia, z drugiej ten niższy bóg, który stworzył świat i prawo. Tego drugiego nazywali Jao, czyniąc aluzję do Jahwe – Jao to było jedno z imion żydowskiego Boga.

Wreszcie absurdalność świata nabrała dla gnostyków sensu: świat nie tylko składał się z kłamstwa i tortur, on z nich powstał. Okrutny bóg stworzył okrutny świat.

Może da się to wyjaśnić w następujący sposób: skoro ziemia była prawdziwym piekłem, to raj przedstawiał ziemię. Przez degradację ziemi z konieczności następowało obniżenie raju, tak że w rezultacie musiał zostać

wymyślony nadraj, mianowicie *pleroma*. Skoro ziemia stała się piekłem, raj stawał się ziemią. Raj był niedoskonały, było to po prostu najlepsze, co potrafił zrobić mniej zdolny stwórca (w porównaniu z dalekim Bogiem był tylko jak uczeń czarnoksiężnika). Najlepsze, ale wcale nie dobre ani doskonałe.

Iskra światła, uwięziona w człowieku jak w „śmiertelnym więzieniu”, musiała opaść całkiem na dno i zostać całkowicie poniżona, jak to widzieliśmy na przykładzie prostytutki Heleny, aby dojść do zbawczego poznania. W tym kontekście przewartościowanie diabła, jakie wkrótce nastąpiło, jest nawet rozsądne i sensowne. Jeśli aniołowie służyli złemu archontowi lub stwórcy ziemi Jao, to upadły, stawiający opór anioł był bohaterem, którego się wyrzeczono, bo w istocie był Lucyferem – przynoszącym światło, pomagał zebrać i zwrócić iskry, które wypadły z *pleromy*.

Inne gnostyckie grupy brały nazwy od staroegipskiego boga Seta bądź od Kaina, bo zakładały, że zarówno Set, jak i Kain przeciwstawili się złemu stwórcy.

Nowa perspektywa przyprawiała o zawrót głowy. Skoro stwórca jest zły, a świat jest więzieniem, to przewraca się cały porządek świata razem z jego moralnymi standardami. Z tego punktu widzenia każda wrogość wobec ciała jest usprawiedliwiona, gdyż ciało jest narzędziem, które tylko przeszkadza człowiekowi powrócić do domu, powiedzmy, że do ojca i matki. Zamiast panujących na ziemi przemocy i chorób, udręki i biedy, w ojczyźnie znajdzie się pokój i radość, i szczęście. W tym wyobrażeniu Bóg nie jest sędzią, ganiącym i karzącym ojcem, dla którego zadowolenia trzeba coś zrobić – on jest ojcem, który niczego nie życzy sobie bardziej niż otrzymania z powrotem swoich dzieci. I jakby tego nie dość, gnoza wzywała człowieka – kupca, garbarza, oficera czy żebraka – żeby przypomniał sobie, że jest królewskim synem, który został ujarzmiony we wrogim świecie ułudy.

Również Chrystus zwracał się do biedaków, uciskanych i pogardzanych i głosił im, że są solą ziemi. To był czyn wielki i odważny. Ale gnostycy szli dalej. Nie interesowały ich aspekty socjalne. Dla nich każdy człowiek jako jednostka był absolutnie bezwarunkowo królewskim synem, jeśli tylko to pojął. W akcie zrozumienia rozpoczynało się już uwolnienie lub zbawienie, bo z wszystkich więzów najgorsza była niewiedza.

Wrogość wobec ciała oraz idee i praktyka ascezy były wprawdzie tylko sposobem wyrażenia odwrotu od złego świata, ale z biegiem czasu miały się cieszyć dużą popularnością.

Inną formą odrzucenia było negowanie praw i norm pozornego świata i wyszydzanie ich przez świadome wykrzywianie. Swoboda seksualna bez poczynania dzieci była jak szyderstwo z moralności społeczeństwa opanowanego przez ciemne moce i mogącego wzmocnić swą siłę, jedynie nadal niewoląc w ciałach dusze oddzielone od ojca i dobrego świata.

Istnieli więc gnostycy, którzy świadomie robili coś dokładnie odwrotnego niż to, co uważano za dobre i słuszne. Pluli na krzyż, biegali nadzy, urządzali orgie, a grzech Onana stał się dla nich orężem w walce ze złym stwórcą. Ofici i naaseńczycy wywodzili swoje nazwy od węża, który ludziom w raju pomógł dojść do poznania, udało im się nawet porównanie Jezusa do węża, bo on również objawiał ludziom prawdę. Niektórzy z nich pogardzali Mojżeszem, bo uważali go za pachółka stwórcy.

Tą całkowitą zmianą perspektywy udało się gnozie rozwiązać problem, nad którym żydowscy, chrześcijańscy i islamscy teologowie jeszcze dziś pracują – problem teodycei. Polega on na prostym pytaniu, jak Bóg, jeśli jest wszechdobry, może dopuszczać zło. Jak może akceptować morderstwo, gwałt, tortury, Holokaust?

Na to pytanie są dwie odpowiedzi, obie przeczą istocie Boga: albo Bóg jest cynikiem – ale wtedy nie jest łaskawym ojcem, wszechdobrym lub naddobrym, jak bywa nazywany. Albo też nie ma siły przeszkodzić Złemu – ale wtedy nie jest wszechmogący. Z oczywistych powodów proponowano również inne odpowiedzi, z których jednak żadna nie przekonuje. Najprostszy i najlogiczniejszy argument brzmi pewnie tak, że człowiek nie jest w stanie zrozumieć boskiej woli, bo Bóg tak bardzo przewyższa człowieka. Ta myśl ma w sobie jednak coś z kapitulacji.

Natomiast gnostycy mieli na to prostą odpowiedź: bóg nie jest Bogiem. Zło istnieje tylko w stworzeniu, a za stworzenie nie jest odpowiedzialny ten prawdziwy, odległy, nieznany, obcy Bóg, Bóg Prapoczątku, lecz ten niższy stwórca. Tym samym Bóg wyszedł cało z oparów – gnostycy zresztą też. Niech się inni mordują ze spartaczonym stworzeniem, zwolennicy gnozy nastawieni są na co innego, na prawdziwy świat, na ojczyznę, na *pleromę*.

Hymn o Perle odkrywa na marginesie i prawie niezauważalnie inny związek. Jeśli podróż bohatera, opisaną dokładnie, rozumie się nie tylko symbolicznie, lecz również faktycznie, to królewski syn podróżuje ze Wschodu przez Afganistan, Iran, Mezopotamię do Egiptu. Na wschód od Afganistanu leżą Indie Północne. Z nimi

graniczy najpierw państwo diadochów Aleksandra Wielkiego, potem królestwa Partów i Medów, stare orientalne monarchie despotyczne o bardzo imponujących kulturach. Więcej: północne Indie to również kolebka upaniszad i buddyizmu. Siddhartha, którego czczono jako Budę, był księciem, żył w bogactwie i opuścił ojcowski dom, aby szukać prawdy życia, perły. I nie koniec paraleli: również Siddhartha znalazł religię, prawdę, w której świat miał miejsce jedynie jako zło, jako Ori cierpienia, jako to, co trzeba pokonać. Buddyjska nirwana jest w sposób frapujący podobna do *pleromy* gnostyków.

Nie należy czynić zarzutu, że nirwana to nicość, a *pleroma* to pełnia, więc są przeciwieństwami. Gdy pełnia jako absolut jest przepełniona, likwiduje wszelką jakość. Całkowita nicość również znosi jakość. *Pleroma* i nirwana są jednością, w której nie istnieją już jakości, lecz tylko szczęśliwość. Dusze albo ego, albo iskry światła nikną w całości, która je całkowicie wsysa i nie zostają wtłoczone w ciało, a zatem po śmierci tego ciała też nie są popychane do następnego. *Pleroma* i nirwana są miejscami, skąd nie jest możliwa wędrówka dusz, reinkarnacja. Są miejscami pełnego szczęścia. Jak pięknie ujął to Kafka: „Z pewnego punktu nie ma już powrotu. Chodzi o to, żeby do niego dojść”^[133].

Jednakże idea wrogości wobec ciała, wyobrażenia i uprawianie ascezy zrobią w historii wielką karierę.

KTO RZECZYWIŚCIE UMARŁ NA KRZYŻU? – BAZYLIDES

Gnoza nieoczekiwanie adoptowała Jezusa Chrystusa. Zazwyczaj jest on *salvator salvandus* i zajmuje miejsce przysługujące księciu w *Hymnie o Perle*. Chrystus został posłany przez Boga, aby zbawił ludzi. W różnych poglądach gnostyckich wiążą się z tym bardzo różne koncepcje.

Czasami na przykład zbawiciel przebierał się i wślizgiwał w ludzkie ciało. Często mówi się o tym, że przybiera inne ciało, tak jak inni bogowie przybierają inne imię.

Przybieranie imion pochodzi z żydowskiej nauki mądrości. Ale razem z imieniem bierze się na siebie również sprawę, „przybierać inne ciało” znaczy mówić przez maskę – *personare* – a więc stawać się personą. Kto przybiera inne ciało, staje się osobą, przez którą przemawia, ale którą nie jest. Tak jak Chrystus przybrał ciało, żeby działać na ziemi. Ale oczywiście nie był identyczny z tym ciałem, które mógł znowu odrzucić. Wynikało z tego, że Chrystus tylko dla pozoru, a nie w rzeczywistości umarł na krzyżu. Uniknął ukrzyżowania dzięki awaryjnemu

wyjściu z ciała, w którym dla pozoru został ukrzyżowany. To wyobrażenie, zwane doketyzmem (gr. *dokein*, wydawać się), było w oczach Kościoła katolickiego herezją.

Tym tropem poszedł też gnostyk Bazylides, działający około roku 133 n.e. w egipskiej Aleksandrii. Ireneusz z Lyonu mówił o nim, że uprawiał „magię, nekromancję, czarodziejskie zaklęcia, wezwania i cały pozostały okultyzm”^[134] i przy tym nie opuszczał żadnego kultu bożków i niczego, co wzbudzało jego żądzę. Według świadectwa Epifaniasza Bazylides znalazł zaiste zaskakującą interpretację Jezusowych słów: „Nie dawajcie psom tego, co święte, i nie rzucajcie swych pereł przed świnię, by ich nie podeptały nogami, i obróciwszy się, was nie poszarpały” (Mt 7, 6), stwierdzając krótko i węzłowato: „My [...] jesteśmy ludźmi, reszta to świnię i psy”^[135].

Zdaniem Bazylidesa Jezus nie chciał, by jego nauka była głoszona świniom i psom, a więc tym, którzy nie są gnostykami. Abstrahując od tych nieco grubiańskich słów, jest to dokładna wskazówka, że objawienie ma charakter tajemny i przeznaczone jest tylko dla nielicznych. Kolejną wskazówkę gnostycy znaleźli w Ewangeliach. Sformułowaniem „kto ma uszy, niech słuca” Jezus ich zdaniem zapowiadał zawsze wieść podwójną, tajemną. Według gnostyków nie znaczy to, że należy uważnie słucać, lecz że to, co Jezus istotnie mówił, było przeznaczone tylko dla tych, którzy mieli do tego odpowiedni organ, właściwe ucho. Ten zwrot był więc znakiem dla wtajemniczonych, że nastąpi coś tajemnego i ukrytego.

Samo ukrzyżowanie Bazylides wyobrażał sobie jako rodzaj okrutnego figla: gdy Jezus dźwigał krzyż na Wzgórze Czaszki, zasnął i poprosił Szymona z Cyreny, który na swoje nieszczęście stał na krawędzi drogi, żeby ponosił krzyż za niego. Ten zgodził się z litości. Ale kiedy doszli na Golgotę, Jezus z miejsca zamienił się w owego Szymona i wyczarował na nim swój własny wygląd. I stało się tak, że niczego niepodświadomym Szymon został zamiast Jezusa chwycony przez Rzymian i ukrzyżowany. Według Bazylidesa Jezus się tym jeszcze dobrze ubawił. Píše Ireneusz z Lyonu: „Dlatego też on nie cierpiał, ale pewien Szymon z Cyreny, zmuszony do tego, żeby nieść za niego krzyż; on (Szymon) został przez niego (Jezusa) przemieniony, tak że był uważany za Jezusa i został z niewiedzy i przez omyłkę ukrzyżowany, zaś Jezus przyjął postać Szymona, stał przy tym i zaśmiewał się”^[136].

Tutaj widać znowu wielką różnicę między gnozą a chrystianizmem, którego centralnym elementem jest krzyż. Gnostynom obca była idea, że Jezus wziął na

siebie grzechy świata i umarł za nie na krzyżu, ale jednak zmartwychwstał, aby zawrzeć przymierze między Bogiem Ojcem a ludźmi. Bazylides widział w krzyżu symbol niewiedzy (*a-gnosis*). Ten, kto przyznawał się do wiary w Ukrzyżowanego, w jego zastępstwie znajdował się we władzy tych, którzy stworzyli ciało i zniewolili iskrę światła. Kto zaś wyrzeka się Ukrzyżowanego, twierdzi Bazylides, „jest od nich wolny i zna wydarzenie (zbawienia) tego, kto nie został ojcem”^[137].

Doktryna Bazylidesa – krzyż jako symbol zniewolenia dusz przez demiurgów, którzy stworzyli ciało, wyobrażenie, że prawdziwy Jezus, Syn Boży, nie został ukrzyżowany, lecz wrócił do Ojca do *pleromy*, z którego to powodu należy zaniechać adoracji krzyża i Ukrzyżowanego – jest w historii potężną, znaczącą ideą.

Nauki Bazylidesa i doketyzmu były jeszcze długo powszechne na Bliskim i Środkowym Wschodzie – jeśli w ogóle kiedykolwiek zanikły. Nawet w Koranie znajdują się odniesienia do tych heretyckich wyobrażeń chrześcijańskiej gnozy. Sura 4, wiersz 157 brzmi:

...i za to, że powiedzieli: „zabiliśmy Mesjasza, Jezusa, syna Marii, posłańca Boga” – podczas gdy oni ani Go nie zabili, ani Go nie ukrzyżowali, tylko im się tak zdawało^[138].

W niemieckim tłumaczeniu Rudiego Pareta brzmi to jeszcze wyraźniej: „Raczej (inny) wydał im się tak podobny, (że pomylili go z Jezusem i zabili)”^[139].

Jak zobaczymy, gnostyckie idee znalazły sobie drogę przez Bałkany i Niemcy do Francji, z Bizancjum do Włoch, a tam doprowadziły do rozprzestrzenienia ruchu katarów, co skończyło się krucjatą przeciwko heretykom.

Oskarżenia zakonu templariuszy na początku XIV wieku mówią, że pewnymi rytuałami bezczęścili oni krzyż. Wyrzeczenie się Chrystusa, obsceniczne pocałunki, plucie na krzyż, zajmowanie się tajemnymi naukami, wszystko to znajduje się również w doniesieniach ojców Kościoła oraz przeciwników kacerzy na temat gnostyków. Zarzuty wobec templariuszy i przeciwko gnostykom są do siebie zadziwiająco podobne. Można uważać ten punkt oskarżenia za czyste oszczerstwo, ale i tak oskarżyciele nadużyliby gnozy, traktując ją jako źródło śmiertelnych herezji. Z drugiej strony templariusze prawdopodobnie zetknęli się na Bliskim Wschodzie z ludźmi, którzy częściowo uprawiali stare i na Zachodzie prześladowane kulty gnostyckiego chrześcijaństwa. Inie tylko na Bliskim Wschodzie. W Armenii, gdzie zakon też walczył, znalazła schronienie gnostycka

sekta paulicjan. Templariusze musieliby działać w Oriencie z zamkniętymi oczyma i zatkanyimi uszami, aby nie zetknąć się z tajemnymi religiami. A przy ich duchowej otwartości z pewnością mogli się znaleźć pod wpływem gnostyckiej myśli. Nie można zrozumieć odrzucenia krzyża, jeśli widzi się w nim tylko kpinę i szyderstwo.

Przeciwnie, dla gnostyków czystym bluźnierstwem jest wyobrażenie, że *salvator salvandus*, Boży Syn został ukrzyżowany. Nie ich nauka, nie ich chrześcijaństwo jest – jak sądzą – herezją, lecz Kościół katolicki. Wyobrażenie cierpiącego Boga jest gnozie obce. Imponująco wyraża się ten pogląd w piśmie *Druga nauka Wielkiego Seta*, w której sam Chrystus mówi o swoim ukrzyżowaniu:

„Nie poddałem się im tak, jak planowali. Przecież w ogóle nie byłem poddany cierpieniu. Oni ukarali mnie, ale ja nieumarłem na prawdę tylko pozornie [...] Bowiem ta moja śmierć [...] dokonała się tylko w ich błędzie i ich ślepcie, bo przybili swojego człowieka do krzyża [...] Bili mnie rurą. To był ktoś inny, kto niósł na ramieniu krzyż, mianowicie Szymon. To był ktoś inny, komu na głowę włożono koronę cierniową. Ja natomiast cieszyłem się na wysokościach całym bogactwem archontów i nasieniem ich pomyłki, ich zadufanej chwały i śmiałem się z ich głupoty”^[140].

Gnostycy nie tylko odkryli dla siebie Chrystusa, oni go też sukcesywnie zmieniali. Bo jakże różni się Chrystus przemawiający z tego tekstu od Chrystusa z biblijnych Ewangelii. Gnoza zaczęła wrastać w chrześcijaństwo – i to stało się już dla Kościoła niebezpieczne.

NIEOMAL BISKUP RZYMU – GNOSTYK WALENTYN EGIPCJANIN

Mało brakowało, a wybrano by heretyka biskupem Rzymu. Gdyby tak się stało, nie byłoby już Kościoła chrześcijańskiego, rozpadłby się jak inne religie – albo to, co dzisiaj stanowi podstawę wiary, uważano by za herezję, a co innego za ortodoksję.

W tym czasie, kiedy gnostyk Bazylides wygłaszał w Aleksandrii swoje oburzające tezy na temat pozornej śmierci Jezusa na krzyżu, do stolicy Imperium Rzymskiego wyruszył pewien pobożny młody człowiek z wielką skłonnością do filozofowania. Urodził się w delcie Nilu, studiował w Aleksandrii. Nie wiemy, czy znał Bazylidesa bądź akceptował jego poglądy, wiemy tylko, że chciał w Rzymie otworzyć szkołę, aby nauczać chrześcijaństwa, i być może miał nadzieję, że zrobi karierę w Kościele. Doskonale wykształcony Walentyn (zwany Egipcjaninem)

zrazu został w stolicy dobrze przyjęty i starał się nawet o miejsce biskupa Rzymu, które zwolniło się po śmierci Hygina w roku 140 n.e. Ale plan ten jakoś się załamał, a wybór padł na Piusa I. Był nie tylko najstarszy w radzie starszych rzymskiej gminy, lecz także w dzisiejszym rozumieniu był jej kierownikiem i pasterzem. Podobno to on ustalił, że Wielkanoc wypada zawsze w niedzielę.

Aby rozjaśnić tonące w mroku okoliczności, które miały mieć dla Walentyna decydujące znaczenie, przydatne może być wskazanie na *Canon Muratori*, jedno z najważniejszych świadectw nowotestamentowego kanonu. Według niego Pius był bratem Hermasa, autora obszernego dzieła, które weszło do literatury chrześcijańskiej pod tytułem *Pasterz Hermasa*. Hermas i Pius urodzili się w Akwilei jako niewolnicy, przybyli do Rzymu, w końcu zostali uwolnieni. Być może pomogło im w tym ich chrześcijaństwo, bo chrześcijańska idea zaczynała stopniowo przenikać do średnich i wyższych warstw Rzymian. Dzieło *Pasterz Hermasa* w pierwszej części przedstawia wizje, które objaśniły autorowi kształt Kościoła. W drugiej zostało Hermasowi przekazane polecenie wzywające do szczególnego rodzaju wiary i życia. W rzymskiej gminie tekst cieszył się dużą popularnością, dlatego też jest więcej niż prawdopodobne, że bracia byli ściśle związani z życiem rzymskiej gminy i mieli w niej coś do powiedzenia.

Jest oczywiste, że młody teoretyk Walentyn w końcu przegrał z praktykami Piusem i Hermasem. Zawile spekulacje, do jakich miał skłonność Walentyn, mogły się członkom gminy wydawać obce, nie zaspokajały również ich potrzeb. Hermas i Pius poruszali ich serca, a intelektualista Walentyn nie.

Wydaje się, że konflikt spowodował, iż stanowiska się zradykalizowały. Nie można zapominać, że w owych czasach teologia chrześcijańska dopiero powstawała i wiele zasad wiary oraz dogmatów rodziło się dopiero w dyskusji. Nie istniało jeszcze nawet wyznanie wiary.

Zasada, na podstawie której można było odróżnić chrześcijaństwo od gnozy, chrześcijańską ortodoksję od herezji, istniała dość wcześnie, była nią mianowicie kwestia, czy Bóg jest stwórcą i wszystko pochodzi od niego, czy też Bóg jest obcy i daleki, a świat i wszystko, co stworzone, trzeba zawdzięczać podłości boga-twórcy. Pierwsze przykazanie w *Pasterzu Hermasa* jest jakby napisane wręcz przeciwko Walentynowi: „Przede wszystkim wierz, że jest jeden Bóg, który wszystko stworzył i urządził, i z nicości do istnienia powołał wszystko, i wszystko ogarnia, a sam jest nieogarniony. A zatem Jemu wierz i Jego się bój”^[141].

Nie możemy lekceważyć umysłowej przenikliwości i retorycznych talentów

Walentyna, twierdzą nawet jego przeciwnicy. Uczony chrześcijański i ojciec Kościoła Hieronim (347–420 n.e.), któremu zawdzięczamy Wulgatę, przetłumaczenie Biblii na łacinę, pisał o nim: „Nikt nie jest w stanie zbudować herezji, jeśli nie jest wielkiego umysłu, oczywiście jeśli nie ma stworzonego przez Boga daru. Taki był Walentyn”^[142]. Ten intelektualny szacunek dla przeciwnika, który ma jeszcze Hieronim, później u zwalczających herezje ginie. Hieronim wiedział nazbyt dobrze, że tylko ten, kto pokona wybitnego wroga, sam może być wielki. Ponadto nie można lekceważyć ostrzeżeń o zagrożeniu herezjami, które wymyślili mądrzy mężowie i które łatwo i szybko mogły uwieść prostego wiernego.

Walentyn opuścił Rzym i prawdopodobnie udał się na Cypr, gdzie głosił swoją naukę. Umarł około 165 roku n.e. To, co czyniło go tak niebezpiecznym dla Kościoła, to były jego gnostycko-chrześcijańskie idee. Szerzyły się szybko i przyciągały wielu uczniów, którzy je rozwijali. W końcu ruch Walentyna rozrósł się tak, że rozpadł się na dwie gałęzie: włoską (zachodnią) i orientálną (wschodnią).

Mówiąc w skrócie: Walentyn nauczał, że Bóg Ojciec, którego słuszniej trzeba by nazywać praojcem (*praepater*), mocą poczęcia duchowego stworzył swoją myślą (*ennoia*) trzydzieści eonów, trzydzieści mądrości, które połączone były parami. Schemat par, gdzie męsko-żeńskie mogą być też uważane za jedność, zadziwiająco przypomina owe cztery mądrości, które począł unoszący się w prawodzie Nun egipski, bóg prapoczątku Atum i które również były zarazem żeńskie, jak i męskie jako męsko-żeńskie.

System Walentyna był bardzo zróżnicowany. W *pleromie* praojciec najpierw splodził z *ennoia* ósemkę. Do niej należały duch i prawda, przede wszystkim zasada i milczenie, słowo i życie oraz człowiek i gmina. Z ósemki eonów powstała dziesiątka, a w końcu dwunastka. Ostatnim eonem dwunastki – tym samym najbardziej oddalonym od praojca – była mądrość (*sophia*).

O praojcu wiedział tylko duch, tylko on mógł pojąć jego wielkość i postać. *Sophia* opanowana była przemożnym pragnieniem poznania ojca, pozbycia się dokuczliwej niewiedzy. Jej pasja groziła wzbudzeniem niepokoju *pleromy* i narażeniem samej *sophii*, gdyż ojciec jest niepojęty. Zbliżenie się do niego spowodowałoby, że znalazłaby się w nurcie, z którego nie mogłaby się wycofać. To wyobrażenie Newton miał później nazwać grawitacją.

Po pierwsze – duch wydał nową parę eonów, mianowicie Chrystusa i Ducha

Świętego. Po drugie – wszystkie eony, które miały ten sam poziom wiedzy, wydały niebieskiego Jezusa. Jemu do towarzystwa powstała rzesza aniołów.

Pasja, która hałasowała na granicy (*horos*) *pleromy*, została przez Chrystusa i Ducha Świętego ukształtowana według ich niższej istoty i nazywała się teraz rozważą bądź *achamaoth*. Ale *achamaoth* była samotna, napadła granicę, chciała ją przełamać i tęskniła do Chrystusa. Ten wrócił i przekształcił *achamaoth*: podarował jej dar poznania, przez co wszystkie mroczne namiętności i tęsknoty opadły z niej i ona zaczęła kształtować się sama. Z niej wyłonił się demiurg.

Demiurg nie wiedział niczego, nie miał wiedzy o ojcu. Ale i on zaczął tworzyć: rzeczy duchowe (psychiczne) i materialne (hyliczne). Z jego tępej pasji tworzenia powstał człowiek. Najpierw bezcielesny, został potem otulony przez demiurga „szatą z futra”, ciałem. Demiurg nie zauważył, że *achamaoth* zaopatrzyła człowieka w *pneumę* – a więc w coś, co pochodziło z *pleromy* i w innych systemach gnostycznych nazywane jest iskrą światła.

To wyobrażenie miało dalekosiężne skutki. Z tego aktu tworzenia wynikły według wyobrażeń walentyniańskich trzy rodzaje ludzi:

1. pneumatycy (ludzie-duchy), którzy zostali zbawieni i powrócili do *pleromy*,
2. psychicy (ludzie duchowi), którzy mają coś z duszy demiurga i dzięki temu mają zdolność zarówno do zostania zbawionymi, jak i potępionymi,
3. hylicy (ludzie fizyczni), którzy zginą razem ze światem.

W dzień końca świata pneumatycy uwolnią się od duszy i ze swą matką *achamaoth* powrócą do *pleromy*, podczas gdy świat spłonie w ogniu niewiedzy. Zdolni do zbawienia psychicy oraz demiurg również przetrwają koniec świata, im zostanie przyznane miejsce poza *pleromą*. Potem dojdzie do happy endu: *achamaoth* poślubi Jezusa, a pneumatycy zostaną narzeczonymi aniołów towarzyszących Jezusowi.

Jezusa walentynianie widzieli czworako: po pierwsze był wybawcą, Zbawicielem. Po drugie założył pneumatyczną szatę, po trzecie przejął od demiurga psychiczną szatę Chrystusa, z której – po czwarte – zostało uformowane ciało dające się widzieć i dotknąć, tak że mógł się pojawić na ziemi jako człowiek.

W tym miejscu Walentyn zgodził się ze swym aleksandryjskim kolegą Bazylidesem. Nie Jezus, tylko to ukształtowane ciało, które nałożył na siebie, umarło na krzyżu i zostało za pomocą promienia obudzone, aby dokonać zmartwychwstania, przewyciężywszy śmierć. Taka jest w grubym zarysie nauka Walentyna.

Walentyn czerpał z jednej strony z zasobów chrystianizmu, z drugiej reinterpretował Ewangelie. Ponieważ jednak chrześcijańscy gnostycy uważali się za chrześcijan i pneumatyków – a więc za prawdziwych chrześcijan, którzy dysponowali poznaniem i którym objawiona została tajemna nauka – przypisywali swoim myślom i czynom absolutną konieczność. W końcu chodziło o ratowanie ludzi! Psychików, którzy jako chrześcijanie mieli szansę na zbawienie, jeśli posiadają poznanie ukrywane przez powstający Kościół, trzeba było wyratować z tego fałszywego Kościoła i zapoznać z prawdą. Z punktu widzenia gnostyków chrześcijański establishment składał się ze sług demiurga, którzy potem, zdaniem gnostyków, spadną nawet do roli sług szatana. To ortodoksi byli dla nich heretykami. Nie dziwi zatem, że walka stawała się coraz bardziej zacięta, bo chodziło przecież o wieczność, o zbawienie lub potępienie. A walka o raj lub *pleromę* w końcu rozegrała się na ziemi.

ASCEZA Z MIŁOŚCI DO BOGA – MARCJON

W owych latach przybył do Rzymu człowiek z regionu Morza Czarnego, który miał dojść do znacznego majątku jako armator. Ale pieniądze chyba nie dawały Marcjonowi szczęścia, w każdym razie przekazał 200 tysięcy sestercji rzymskiej gminie. W tym czasie dzienny zarobek legionisty wynosił około czterech sestercji, innymi słowy za tę sumę człowiek musiałby służyć w rzymskim wojsku 137 lat.

Prawdopodobnie Marcjon był świadkiem dyskusji i sporu wokół Walentyna oraz wyboru Piusa I na biskupa Rzymu. W lipcu 144 roku n.e. nie mógł już usiedzieć na miejscu w gminie, tylko podniósł się, żeby wypowiedzieć myśli, które w nim dojrzały. Dla niego istniał Bóg, którego zwiastował Jezus, miłosierny, litościwy i dobry, o którym nic więcej nie da się powiedzieć. Ten Bóg nie miał ze stworzeniem nic wspólnego. Z drugiej strony był Bóg Starego Testamentu, który stworzył świat i ludzi, który był wprawdzie sprawiedliwy, ale też mściwy i gniewny. On narzucił ludziom reguły, których nie mogli zachować, więc nieuchronnie musiało dojść do grzechu, który – logicznie – został surowo ukarany. Dobry Bóg posłał teraz swego Syna – przedtem kazał mu założyć pozorne ciało, by zły stwórca go nie poznał – żeby zaniósł ludziom zapowiedź zbawienia. Pozorne

ciało Jezusa zostało rzeczywiście ukrzyżowane, ale właśnie nie Jezus, Syn Boży, tylko jego kostium.

Posłanie Marcjona było jednoznaczne: z miłości do Boga człowiek powinien żyć ascetycznie, aby uśmiercić ciało. Nie powinien zawierać małżeństwa ani wydawać potomstwa, aby nie utrzymywać przy życiu twórców złego boga, powinien zaś pobożnie wstrzymać się od alkoholu i mięsa, a odżywiać się umiarkowanie roślinami i rybą.

W chrześcijaństwie również powstały nakazy seksualnej abstynencji i bezżeństwa, na przykład dla wspólnot monastycznych. Rozprzestrzenienie tych poglądów zagrażałoby jednak stworzeniu i przeczyło biblijnej zasadzie: »Bądźcie płodni i mnożcie się« – mówi Stary Testament (Rdz 1, 22).

Ale Marcjon nie dał się tak łatwo odeprzeć. Ponieważ zły Bóg był Bogiem Starego Testamentu, odrzucił Testament całkowicie. Zajął się Ewangelią, żeby oczyścić je z brudów religii indyjskiej. Trzeba to sobie wyobrazić tak, że dobry Marcjon kartka po kartce przeglądał Ewangelię i po prostu wykreślał to, co uważał za żydowski dodatek. Proceder wątpliwy, stosowany później również przez cenzorów inkwizycji, którzy w książkach niebędących na indeksie zaczerpniali miejsca ich zdaniem dla wiernych nieodpowiednie.

Jednak ojcowie Kościoła nie chcieli zaakceptować tak generalnego ataku na Stwórcę, stworzenie i Stary Testament, przy czym odkryli istotną lukę: chrześcijanie nie posiadali kanonu świętych pism, tak że każdy mógł się powoływać na to czy na tamto. Akcja Marcjona doprowadziła mimowolnie do tego, że dyskusja wokół świętej księgi chrześcijan zyskała nową dynamikę. Należało koniecznie uporządkować piśmiennictwo i wyjaśnić wiążąco, co do Biblii należy, a co nie.

Akcja Marcjona była niebezpieczna jeszcze z innego powodu: był pomiędzy gnozą a chrześcijaństwem i wykorzystywał powstające formy organizacyjne dla swojego własnego chrześcijańskiego Kościoła. W ten sposób powstał działający od Hiszpanii aż po Persję Kościół marcjonitów, znacznie lepiej zorganizowany niż gminy gnostyków – w gruncie rzeczy drugi wielki Kościół chrześcijański z kilkoma dogmatami zmienionymi w niewielu (ale ważnych) punktach. Na Zachodzie już wkrótce zdławiono marcjonickie gminy, na Wschodzie istniały znacznie dłużej.

Marcjonici w pewnym sensie przetrwali do dziś. Prześladowani

w zachodniej części Imperium Romanum, wywędrowali z powrotem na Syberię i do Mezopotamii, gdzie osiedlało się wiele heretyckich ruchów. Albo też roztopili się w chrześcijaństwie bądź w islamie, tworząc wewnątrz tych wielkich religii konspiracyjne wspólnoty.

W swoich etycznych poglądach – nie w teologii – wczesny monastycyzm z ruchem anachoretów przypomina właśnie marcjonitów: ich również obowiązywały bezżenność, wrogość wobec ciała, surowa asceza, seksualna abstynencja i wiara w dobrego Boga.

Dla chrześcijańskiego Kościoła w walce z heretykami i gnostykami toczyła się walka o wszystko. Tak naprawdę nie było wiadomo, na ilu frontach ona się toczy. Wylaniały się wciąż nowe heretyckie grupy, odrywały się od Kościoła i uważały się za prawdziwych chrześcijan. Do tego dochodziły niezliczone grupy gnostyckie, religie kosmoteistyczne (pogańskie) i greccy filozofowie. Na porządku dziennym było też odgraniczenie od judaizmu, zachodzące w grupach judeochrześcijańskich, które chciały pozostać w judaizmie.

I jakby tego było mało, do początków IV wieku chrześcijaństwo było prześladowane przez państwo rzymskie. Gdy Teodozjusz I w 360 roku nadał mu rangę religii państwowej, Kościół chrześcijański nie był już skazany na duchową broń, na organizacyjną kontrolę i silne kierowanie gminami, lecz do ścigania wrogów mógł używać środków państwowych.

Tak też robił. Zamykano pogańskie świątynie, prześladowano ich kapłanów. Podobnie było z grupami heretyckimi i gnostyckimi. Istniało jednak dostatecznie wielu heretyków i gnostyków, którzy zatopili się w nowym Kościele. Przynieśli ze sobą swoje wyobrażenia i pozwalali im działać tylko w dawkach homeopatycznych. Wraz z zamknięciem Akademii Platońskiej w 529 roku sądzono, że rozprawiono się również z grecką filozofią. Tyle że ona żyła nadal w kręgach chrześcijańskich teologów i dawno już poświęciła się wypracowywaniu chrześcijańskiej teologii.

Istniał jednak Kościół, z którym chrześcijaństwo musiało toczyć spór, który być może trwa do dziś: tym Kościołem był manicheizm. Wydaje się wprawdzie, że zaginął w X wieku n.e., jednak nadal oddziaływał. Tajniki tej religii zaczynają się od jej założyciela Maniego.

^[122] *Die Pseudoklementinen (Die griechischen christlichen Schriftsteller der*

ersten drei Jahrhunderte 42, 51, N.F. 16), Bd. 2: *Rekognitionen in Rufins Übersetzung*, wyd. Bernhard Rehm, 1965, wyd. 2 rozszerzone przez Georga Streckera 1994, rozdz. 9: *Clemens von Alexandrien: Recognitiones*.

[123] *Tamże*, rozdz. 15.

[124] *Por. przyp.* 21.

[125] *Die Hypostase der Archonten*, [w:] *Nag Hammadi Deutsch*, Berlin, New York 2007, s. 166.

[126] *Epiphanius: Panarion haeresium XXI*, 2, 4, cyt. za: Hans Jonas, *Gnosis. Die Botschaft des fremden Gottes*, Frankfurt am Main und Leipzig 1999, s. 140.

[127] Hans Jonas, *Gnosis. Die Botschaft des fremden Gottes*, Frankfurt am Main und Leipzig 1999, s. 141.

[128] *Tamże*, s. 142.

[129] *Por. Hans Jonas, Gnosis. Die Botschaft des fremden Gottes*, Frankfurt am Main und Leipzig 1999, s. 142 ff.

[130] Franz Kafka, *Rozważania o grzechu, cierpieniu, nadziei i słusznej drodze*, [w:] *Nowele i miniatury*, tłum. Roman Karst, Warszawa 1961, s. 372.

[131] *Hymn o Perle*, tłum. Czesław Miłosz, [w:] *Czesław Miłosz, Wiersze*, Kraków 1993, t. 3, s. 8–9.

[132] *Z Tractatus Tripartitus*, cyt. za: *Nag Hammadi Deutsch. Studienausgabe*, red. Hans-Martin Schenke, Hans-Gebhardt Bethge und Ursula Ulrike Kaiser, Berlin und New York 2010, s. 65 f.

[133] Franz Kafka, *Rozważania o grzechu, cierpieniu, nadziei i słusznej drodze*, [w:] *Nowele i miniatury*, tłum. Roman Karst, Alfred Kowalkowski, Warszawa 1961, s. 371.

[134] Cyt. za: *Die Gnosis. Zeugnisse der Kirchenväter*, München und Zürich 1995, s. 82.

[135] *Tamże*, s. 83.

[136] *Tamże, s. 81 n.*

[137] *Tamże, s. 82.*

[138] *Koran, tłum. i oprac. Józef Bielawski, Warszawa 1986.*

[139] *Der Koran, tłum. Rudi Paret, Stuttgart 1979.*

[140] *Der zweite Logos des großen Seth, [w:] Nag Hammadi Deutsch, Studienausgabe, red. Hans-Martin Schenke, Hans-Gebhardt Bethge und Ursula Ulrike Kaiser, Berlin und New York 2010, s. 403.*

[141] *Pasterz Hermasa, cyt. za: Hirt des Hermas, [w:] Das Neue Testament und Frühchristliche Schriften, pierwsze pełne wydanie najstarszych pism chrześcijańskich nowo przetłumaczonych przez Klausą Bergera i Christiane Nord, Frankfurt am Main/Leipzig 1999, s. 839.*

[142] *Cyt. za: Die Gnosis. Zeugnisse der Kirchenväter, München und Zürich 1995, s. 162.*

Książka dla none none

ŻYCIE DLA ZBAWIENIA LUDZI – MANI

Bowiem świat lubi ciemność, zaś światła nienawidzi.

Mani, twórca religii

Brazylijski pisarz Paulo Coelho wydał przed laty książkę pod tytułem *Podręcznik wojownika światła*. W małych przypowiastkach przedstawia w niej, jak wojownik światła, ktoś, kto pragnie dobra i sensu, może się rozsądnie zachować w tym świecie pełnym egoizmu, złośliwości, przemocy, zakłamania, brutalności i nienawiści.

Wojna zaczyna się na świecie we własnej duszy, i na tym polu walki ezoteryk Coelho towarzyszy bojownikowi światła. Jeśli ono nie rozpali się najpierw w duszy, to nie wydostanie się na świat. Nie będzie pokoju, jeśli światło nie rozprzestrzeni się najpierw w duszy. Sformułowanie angielskiego politologa i filozofa Thomasa Hobbesa, że człowiek jest człowiekowi wilkiem, zgadza się dwojako: człowiek zachowuje się po wilczemu nie tylko wobec drugiego – jak na ogół interpretuje się tę sentencję – ale również wobec samego siebie. Wyobrażenie o związku oddziaływania zewnętrznego i wewnętrznego, między człowiekiem a światem, polega na starym, fundamentalnym wyobrażeniu gnostyków, że istnieje zgodność między makro- i mikrokosmosem, analogia między człowiekiem i światem.

Świat jest zbójcejką jaskinią, ale też jasnym gajem, miejscem okropności, ale też szczęścia, areną bezlitosnej walki Zła i Dobra, Mordor i Shire. To było fundamentem poglądów proroka Maniego. Z wyobrażenia Dobra i Zła ulepił światową religię, która przetrwała. Czasami spotykamy ją w utartych zwrotach: ktoś, kto chce zwrócić uwagę na to, że proste czarno-białe widzenie nie pomaga, mówi: „na to nie można patrzeć tak po manichejsku”.

Dla Kościoła katolickiego, zwłaszcza dla inkwizycji, termin „manichejski” stał się synonimem kacerza. Kogo w średniowieczu i w początkach nowożytności nazwano manichejczykiem, ten wprost czuł, jak jęzory ognia z apetytem liżą jego ciało.

Ale również protestanci w swoich czasami krwawych wewnętrznych porachunkach używali jeszcze hen w XVII wieku pojęcia „manicheizm” dla być

może największej herezji. Protestancki teolog Matthias Flacius (1520–1575), któremu w kłótni zarzucono manicheizm, mógł uratować życie tylko dzięki nieustannym zmianom miejsca pobytu. „Manichejczyka” Flaciusa wypędzał zazwyczaj nawet mieszczański establishment protestancki. W tej sytuacji z pomocą przyszedł mu Cyriacus Spangenberg, uczeń i przyjaciel, pochodzący z Nordhausen w Górach Harcu. Dla osłabienia obelżywej treści pojęcia „manichejczyk” opublikował w 1578 roku dzieło *Historia Manichaeorum*, będące rzeczowym opisem tej wielkiej religii – religii, która już wtedy, jeśli w ogóle jeszcze istniała, to już tylko w ukryciu.

Twórca antropozofii Rudolf Steiner był pewny, że manichejczycy to chrześcijanie i że nie można mówić o ezoterycznym, a więc prawdziwym w swoich wyobrażeniach chrześcijaństwie, jeśli nie zacznie się od Maniego.

Jeśli o tę ukrytą światową religię zapytać cztery osoby, które zajmowały się manicheizmem, można otrzymać siedem odpowiedzi. Fascynujące w manicheizmie jest jego wtórne oddziaływanie, odczuwane nawet we współczesności, jakby był zjawą, której nie widać, ale której obecność jest stale wyczuwalna. Niemal z ulgą przyjęto zatem słowa, jakimi w 1951 roku religioznawca Gilles Quispel rozpoczął swój przełomowy wykład „Gnoza jako religia światowa”. Powiedział wtedy odważnie: „Odkryta została nowa religia światowa”^[143]. nawiązując tym samym do znaleziska w bibliotece Nag Hammadi.

Manicheizm był najwyższym i najdojrzalszym owocem gnozy, której myśl przejął, sprawdził, odrzucił, rozwinął i ukształtował. Pomińmy interpretacje i poszukajmy religii w człowieku. Jej twórca należy do wielkich proroków ludzkości i historycznie umieszcza się go pomiędzy Chrystusem a Mahometem.

Mani urodził się 14 kwietnia 216 roku w okolicy ważnego miasta Seleucja-Ktezyfon nad Tygrysem, na południu Mezopotamii. Mówi się, że jego matka pochodziła z rodu panującego Arsacydów, którzy założyli państwo Partów i rządili w nim do 224 roku n.e. Po zamordowaniu ostatniego Arsacyda, Artabana IV, szachinszachem, królem królów Persji został Sasanida Ardaszir I. W tych niespokojnych czasach ojciec Maniego Pattek usłyszał jakoby w pogańskiej świątyni boski głos nakazujący, by w przyszłości nie jadł mięsa, nie pił wina i nie dotknął żadnej kobiety, nawet własnej. Pattek zabrał ze sobą czteroletniego syna i przyłączył się do elkezaitów, sekty chrzcicieli.

W owym czasie w Syrii i południowej Mezopotamii istniało wiele sekt chrzcicieli, które często wywodziły się ze środowiska judeochrześcijańskiego, od

Jana Chrzciciela. Wierzyli, że człowiek jest nieczysty i dlatego musi być stale oczyszczany. W tym spokrewnieni byli z esseńczykami. Ze swoich nauk czynili jednak tajemnicę, bo w księdze elkezaitów, w *Elenchos* napisano: „Tej księgi nie czytajcie wszystkim, i dobrze chrońcie nauki, bo nie wszyscy mężowie są wierzący i nie wszystkie kobiety prawe”^[144].

Wydaje się, że elkezaici praktykowali rytuały chrztu dla odpuszczenia grzechów, ale też uleczenia chorób – przecież trzeba było oczyścić ciało i pozbyć się brudu lub złych duchów. Chrztem towarzyszyły magiczne zaklęcia. Temu, kto zachorował na gruźlicę, zalecano w ciągu siedmiu dni zanurzyć się czterdzieści razy w zimnej wodzie. Kto to przetrwał, prawdopodobnie pokonał również chorobę.

Chrztem leczono co się dało, od wścieklizny po opętanie. Wścieklizna jednak łączy się z innym aspektem. Wściekły pies, który ugryzł chorego, uchodził jednocześnie za ucieleśnienie pokusy – chrzest działał zatem również na żądze. Jeśli słaby człowiek nie oparł się pokusie i zgrzeszył, to i na taką przypadłość chrzest miał być odpowiednim lekarstwem.

Odpuszczenie grzechów łączyło się ze spowiedzią i chrztem. W chrzcie odpuszczane były na przykład wykroczenia seksualne, jak homoseksualizm, kazirodztwo i zdrada małżeńska. Chrzczono w imię „wielkiego i najwyższego Boga i w imię Jego Syna, wielkiego króla”. Uwierzytelniało ten proceder siedmiu świętych świadków: niebo, woda, święte duchy, aniołowie modlitwy, olej, sól, ziemia.

Zawsze więc szło o oczyszczenie i ochronę. I nam higiena, kuracje dra Kneippa i pomoc psychologiczna nie są obce, tyle że opierają się dzisiaj na bazie naukowej, na wiedzy, nie na wierze. Inna sprawa, jak wiele szamanizmu tkwi w nauce i wiedzy – mniej wiemy, niż wierzymy, że wiemy. Trzeba się wystrzegać spoglądania na dawne idee z góry i odrzucania ich jako przesądów. Są nam obce tylko dlatego, że całkiem inny był sposób myślenia, ale to nie znaczy, że są błędne. Mądrzej jest próbować przetłumaczyć je dla nas.

Tak więc gdy ojciec Maniego usłyszał w świątyni wskazania, opuścił żonę, zabrał czteroletniego syna i odtąd żył z nim w sekcie elkezaitów.

W dwunastym roku życia Maniemu ukazał się anioł, którego uczonego szyicki Ibn an-Nadim nazywa po arabsku at-Tom, „towarzysz”, a inne źródła tłumaczą to jako „bliźniak”. Anioł, który przemówił do Maniego, może być uznawany za alter

ego Maniego, za jego duchową postać w niebie, która mu towarzyszyła i stanowiła ścieżkę komunikacji z Bogiem. Według Ibn an-Nadima anioł powiedział: „Opuść tę wspólnotę wiernych, bo nie należysz do tych ludzi. Twoim zadaniem jest powstrzymanie się od nieczystości i (całkowite) zaniechanie żądz. Z racji twojej młodości jednak nie nadszedł jeszcze czas, żebyś wystąpił (publicznie)”^[145]. Do pełnoletności, a więc do dwudziestego piątego roku życia, Mani miał pozostać u elkezaitów.

Dwie zbieżności są w tym kontekście interesujące. Jezusowi w dzieciństwie przepowiadano wybitną przyszłość; Maniemu również mówiły to widziane we śnie twarze matki, od której został oddzielony w najwcześniejszej młodości. Mani otrzymał boskie posłannictwo w dwunastym roku życia, natomiast Jezus w chłopięctwie zwrócił na siebie uwagę w jerozolimskiej świątyni, dyskutując z nauczycielami mądrości. Potem nie słyszymy nic ani o Jezusie, ani o Manim, aż pewnego dnia nagle obaj, uzyskawszy pełnoletność, pojawiają się jako ukształtowani prorocy. Te podstawowe daty z życia proroka – zapowiedź skuteczności, początkowa dziwność, wreszcie nagle wyjście na scenę – odnoszą się zresztą również do Mahometa. Widocznie istniała określona droga kariery proroka. Druga zbieżność dotyczy mistyczki Mechtylidy z Magdeburga, mającej tysiąc lat później równie niespodziewane spotkanie z Duchem Świętym, które wywarło nie mniej decydujący wpływ na jej życie. Jeszcze do tego wrócimy.

W jednym ze swoich pism Mani relacjonował, że w młodości u elkezaitów był chroniony „siłą jasnych aniołów i silnej mocy, które miały od Jezusa zadanie strzeżenia mnie”^[146]. Ponieważ Mani również w innych przekazach mówił o ochronie, jaką do dwudziestego czwartego roku życia dawały mu „siły jasności” bądź „święci aniołowie”, można po pierwsze wnioskować, że ta ochrona była konieczna, i po drugie, że młody człowiek wdał się w poważny konflikt ze wspólnotą, w której żył. Z tych kontrowersji wyrosły tak silne uczucia niechęci, może nawet nienawiści, że weszły do nauki Maniego jako odrzucenie elkezaitów, a przede wszystkim żydowskich i judeochrześcijańskich wyobrażeń. Musiał to być trudny czas, ale kryzysy zahartowały go jako proroka. W Kodeksie Maniego, znajdującym się w Kolonii, czytamy o czasie spędzonym u elkezaitów, że żył jak baranek w obcym stadzie lub „jak ptak, który żyje wśród innych ptaków, a ich śpiew nie jest jego śpiewem”^[147].

W każdym razie dokładnie w dwudziestym piątym roku życia Maniego ponownie pojawił się bliźniak (bądź towarzysz) i powiedział: „Bądź pozdrowiony, Mani, przeze mnie i przez Pana, który posłał mnie do ciebie i wybrał ciebie dla naszej wieści. On rozkazał ci, byś głosił swoją prawdę, głośno głosił wesołą

nowinę prawdy, która pochodzi od niego...»^[148].

Wiarygodny Ibn an-Nadim donosi nam dalej, że od tego dnia Mani twierdził, iż jest parakletem (obrońcą, Duchem Świętym), którego zapowiedział Jezus. Ładne w tym stwierdzeniu jest to, że Mani pozyskał tę doktrynę z tradycji magów i chrześcijan.

Pod koniec odrodzenia niegdyś ceniona postać maga, przedstawiona sugestywnie w ludowej opowieści o Johannie Faustusie, straciła w publicznej świadomości swoje znaczenie. Odtąd pod pojęciem maga rozumiemy już tylko rodzaj jarmarcznego szarlatana, który w najlepszym razie wygina łyżki w telewizji. Pamiętajmy jednak, że znajdujemy się w Mezopotamii, gdzie żyją Babilończycy, Asyryjczycy, wreszcie Chaldecy. Do dziś istnieje Kościół chaldejski, założony podobno około 50 roku n.e. przez apostoła Tomasza. Z jednej strony na Maniego miała wpływ ta chrześcijańska tradycja, z drugiej Chaldecy, słynący z astrologii, logiki, sztuki prorokowania i magii.

Nie zatajając elementów czarnoksięskich, u magów powinniśmy jednak zwrócić uwagę na coś innego. Mezopotamia była mianowicie pod bardzo silnym wpływem perskim. Właściwą religią perską był stworzony przez Zaratusztrę zaratusztrianizm (zoroastryzm), który do dziś przetrwał w Iranie wśród regularnie prześladowanej mniejszości Parsów. Kapłan Zaratusztry nazywał się *magus*, w liczbie mnogiej *magi* – od tego wywodzi się nasza nazwa maga, która od Chaldecy przyjęła jeszcze znaczenie „czarownik”. Było to tym łatwiejsze, że w centrum zaratusztrianizmu jest rytuał ognia, którego znaczenie – ale nie treść – przypomina chrześcijańską Ostatnią Wieczerzę. Pod tym względem rację ma Ibn an-Nadim, twierdząc, że objawienie Maniego posiliło się chrystianizmem oraz magią w duchu dawnej religii zaratusztriańskiej.

To, co w biografii Maniego przedstawia się zawsze jako rezultat dwu objawień – przekazanych przez anioła, bliźniaka czy towarzysza Maniego – może też być skutkiem długiego procesu dojrzewania między oboma objawieniami. Podczas pierwszego objawienia – rzecz można, z poczucia obcości – mogła powstać praidea, którą Mani podchwycił. Może nie był to anioł, który przemówił do Maniego, tylko jego własny wewnętrzny głos.

W biografii Maniego mówi się, że obracał się wśród elkezaitów mądrze i zręcznie, tak że go nie rozpoznali. Ukrywał swoje poglądy, nie dzielił się nimi, dawał im dojrzewać w sobie i nie ujawniał, „...co otrzymał... oni mieli go u siebie tylko fizycznie”^[149]. A zatem między swoim piętnastym a dwudziestym piątym

rokiem życia Mani przebywał duchem gdzie indziej. Coś podobnego relacjonuje Mechtylda z Magdeburga: po swojej pierwszej wizycie Duch Święty „swoją miłością i słodyczą (zepsuł) mi słodycz całego świata – i staje się silniejszy z dnia na dzień”^[150]. Również niemieckiej mistyczce po inicjującej wizji świat stał się obcy i tylko fizycznie, już nie duchowo, była obecna wśród swoich.

Określenie „bliźniak” dokładniej niż „towarzysz” oddaje stosunek Maniego do jego boskiego alter ego – nie można być przecież komuś bliższym niż jest jego bliźniak. Określeniem „bliźniak” Mani zgłaszał jednoznacznie pretensje do boskiego pochodzenia, bo oczywiście pochodził stąd, skąd i jego bliźniak. Odtąd mówił – jak Jezus – o swoim ojcu w niebie.

Dużo mówią też daty boskich objawień bądź wizji Maniego: pierwszą miał w wieku dwunastu lat. W tej informacji zawarte są przynajmniej trzy znaczenia:

Po pierwsze – dwanaście jest cyfrą świętą, poczynając od bogów zodiaku, którzy liczą się także w systemie Maniego, aż po liczbę uczniów Jezusa.

Po drugie – około dwunastego roku zaczyna się dojrzewanie; również religijną biografię Maniego definiują dwie podstawowe daty ludzkiego życia, mianowicie dojrzewanie i pełnoletniość. Na początku okresu dojrzewania Mani otrzymuje wskazówkę i zostaje przygotowany, że gdy osiągnie pełnoletniość, otrzyma odpowiednie narzędzia dla spełnienia powołania. Dowodzi to, że wizje posiadają również znaczenie inicjujące – Mani dwukrotnie zostaje wtajemniczony w misterium, dwa razy zostają mu przekazane boskie tajemnice. Przypomina to trochę święcenia niższego i wyższego stopnia w Kościele katolickim.

Po trzecie – życie człowieka doskonałego, według pojęć pitagorejskich, a też żydowskich, ma się dokonywać w harmonii bądź w pełnych całościach. A podwojenie świętej liczby dwanaście prowadzi do liczby również świętej – dwadzieścia cztery. Zatem biografia Maniego jest doskonała pod każdym względem.

Ponieważ biografia proroka nie zawiera elementów prywatnych, lecz jest częścią objawienia, musi życiem potwierdzać teorię i obowiązują inne zasady redakcji. Ewangelię, życie proroków, biografię Maniego czy Buddy trzeba najpierw widzieć jako gatunek literacki, który – podobnie jak powieść inicjacyjną lub lirykę miłosną – odnosi się do określonych kryteriów gatunku. Tak czy owak pewne jest, że wówczas, będąc prorokiem, trzeba było jeszcze poświadczać życiem swoje poglądy.

W drugiej wizji zostały Maniemu odkryte wszystkie tajniki powstania i istnienia świata oraz istot żywych, przepełnione wytycznymi dla miłego Bogu życia, które doprowadzi do zbawienia.

Wydaje się, że Mani najpierw próbował zreformować elkezaitów i pozyskać ich dla swojej religii. Ale oni za długo znali tego dziwnego młodego człowieka, żeby przystać na jego zwariowane pomysły.

Tak więc dla Maniego zaczęła się wielka wędrówka, ponieważ jego celem było niesienie ludziom prawdziwej religii, tej, którą głosił Jezus i propagował św. Paweł, a która popadła w zapomnienie. Chciał być jej głosicielem i z bożego nadania umożliwić ludziom zbawienie. W tym czasie jego nauka nie była jeszcze uporządkowana – i w pewnym sensie nigdy uporządkowana nie została i miała pozostać niedokończona. Bo Mani przejmował dorobek myślowy innych religii i wbudowywał do swojego systemu albo przyjmował inne nazwy dla czegoś, co (jak sądził) znalazł w innej religii, a co jego zdaniem było tym samym. Doskonale opanował sztukę teologicznego tłumaczenia.

Mutatis mutandis Mani wypracował zarys pewnego projektu, uniwersalnego etosu świata, który potem jako Kościół przeżył tysiąc lat, a jako idea żyje do dziś. Wiedział, że misja i Kościół jako instytucja tylko wtedy będą skuteczne, jeśli do ludzi będą docierać tam, gdzie istotnie się znajdują. Mani doświadczył, jak śmiałe intelektualne spekulacje zachodnich gnostyków – Bazylidesa i Walentyna – po imponującym rozkwicie nader szybko zwiędły, bo pozostały tworem wydumanym, nieprzydatnym. Marcjon pokazał mu, jak bardzo można być skutecznym, kiedy przedstawia się ludziom naukę w formie zrozumiałej i jednocześnie tworzy się sprawną kościelną strukturę. Ale też od Marcjona wiedział, że nie wystarczy zaproponować tylko trochę radykalniejszy chrystianizm – nie, sukces można odnieść tylko wtedy, gdy różnica jest wyraźna. Dlatego też Mani nie zadał sobie w ogóle trudu stworzenia kanonu chrześcijańskich pism, tylko konsekwentnie od razu sam napisał święte pisma swojego Kościoła.

Czyż nie był do tego upoważniony? Czyż nie był wybrańcem Boga? Czyż Bóg nie zesłał mu treści w objawieniu? I to nawet nie przez kogoś obcego, jakiegoś drugo- czy trzeciorzędnego anioła, lecz przez część siebie samego, tę część, z którą Mani się kiedyś w niebie znowu połączy? Czyż bliźniak nie był parakletem, obrońcą, Duchem Świętym? A on, Mani? Czy dzięki temu, że paraklet zszedł na niego, nie stał się sam parakletem na Ziemi? Czyż Mani nie został oddzielony od swego bliźniaka i zesłany na Ziemię? W zetknięciu z tą niezachwianą pewnością

siebie, która w innej sytuacji byłaby wprost niewytłumaczalna, można było uwierzyć, że Mani jest prorokiem, wysłannikiem Boga. Co napędza takiego człowieka jak Mani?

Najpierw Mani, jak ów *almanci* z krótkiej historii na początku książki, skierował swoje kroki do Indii, przemierzył Dolinę Indusu, wędrował przez miejsca działania Buddy, ale uczył się również od braministów, od dżinistów i albo brał elementy ich nauki, albo po prostu czuł się duchowo spokrewniony z ich ascetycznymi poglądami i koncepcją złego świata, który jest tylko pozorem, kłamstwem, oszustwem i jednym stałym źródłem cierpienia. Poczucie duchowej bliskości umożliwiło rozwój w ramach buddyizmu. Obok starszej formy monastycznej – buddyizmu hinajana – powstał ludowy kierunek dla wszystkich, zwany *mahajana*, z którego wyszły również kierunki tantryczne, na przykład religia tybetańskiego dalajlamy. Jeszcze dzisiaj w niektórych regionach Indii, a przede wszystkim Chin, Mani jest czczony jako Budda Maitreja, jako Budda przynoszący zbawienie.

Mani udał się dalej, do Turanu (Beludżystan) i nawrócił miejscowego władcę, który widział w nim Buddę. Przez Mekran wrócił do swojej perskiej ojczyzny. Pod panowaniem sasanidzkiego władcy Szapura I religia Maniego początkowo cieszyła się wsparciem, ale za jego następcy Bahrama I kapłani Zaratusztry (Zoroastra), słusznie widzący w manicheizmie zagrożenie dla swojej religii, ponownie zyskali wielkie wpływy. Mani został aresztowany, osadzony w więzieniu i po dwudziestu sześciu dniach zmarł w Gundiszapurze w 276 lub 277 roku. Okaleczone zwłoki kacerza (ówczesny zwyczaj) wystawiono na publiczny widok przed bramami miasta. Manichejczycy uznali tę profanację za mękę i ukrzyżowanie. Dla nich Mani wstąpił do nieba do swego ojca jako ten, który przyniósł światło.

ESKALACJA PRZEZ DOSTOSOWANIE – MANICHEIZM

Manicheizm zaś, religia Maniego, upowszechnił się błyskawicznie. Wprost zalał Zachód, przez Rzym i północną Afrykę dotarł do Hiszpanii. Najsławniejszym manichejczykiem był pochodzący z północnej Afryki Augustyn, który odszedł od tego wyznania, dał się ochrzcić, został ojcem Kościoła Augustynem, a na koniec został kanonizowany. Zwycięstwo Kościoła katolickiego na Zachodzie i surowe prześladowania w V wieku wyparły manicheizm – na razie, bo pięćset lat później powrócił jako potężny ruch. Wyprawami krzyżowymi przynajmniej pod tym względem Kościół katolicki otworzył puszkę Pandory.

Prześladowania w Persji popchnęły manichejczyków również na północ i na wschód. Północnoirańscy kupcy (Sogdyjczycy) zanieśli religię Maniego do Turkiestanu, Iranu Wschodniego, Chorasanu, do Indii, a nawet do Chin.

Gdzieś w latach dziewięćdziesiątych VII stulecia zdumieni reprezentanci buddyzmu, taoizmu i nestoriańskiego chrześcijaństwa na dworze cesarza chińskiego nagle zauważyli pojawienie się manichejskiej konkurencji, która na dodatek nawracała szybko i skutecznie. Tempo przeraziło chyba również cesarza. W 719 roku n.e. Xuanzong wydał edykt zakazujący Chińczykom konwersji na manicheizm, a manichejczycy wycofali się do nadmorskiej prowincji Fujian i do XIV wieku występowali jako samodzielna religia. Relacje o manichejczykach w Chinach Południowych pojawiały się jeszcze w XVII wieku. Ponieważ manicheizm coraz silniej łączył się z taoizmem, nauka Maniego jeszcze dzisiaj ukryta jest w taoizmie jako religia tajemna.

W Azji Centralnej, w państwie Ujgurów, manicheizm został nawet religią państwową. Przeżył zagładę państwa Ujgurów w 580 roku, bo powstało państwo turecko-manichejskie, które upadło dopiero podczas najazdu Mongołów w XIII wieku.

Dopasowywanie własnej religii do obcych w celu ułatwienia ewangelizacji stało się u Maniego zasadą. Dla chrześcijan chciał uchodzić za chrześcijanina, dla buddystów za buddystę, toteż on i jego następcy kładli większy nacisk na istotę rzeczy niż na nazwę. Dlatego czasem trudno odkryć obecność manicheizmu. Operował on zarówno pojęciami buddyjskimi, jak i chrześcijańskimi czy muzułmańskimi. Była to strategia, która wprost predestynowała go do przetrwania w formie religii tajemnej.

Mani bardzo dokładnie brał ten aspekt pod uwagę i dalekowzrocznie go formułował: „Jednak moja nadzieja pójdzie na Zachód i pójdzie także na Wschód. I głos tego objawienia będzie słyszany we wszystkich językach i będzie głoszony we wszystkich miastach. Moja religia w tym pierwszym punkcie przewyższa wszystkie wcześniejsze religie, bo wcześniejsze religie powstawały w pojedynczych miejscowościach i pojedynczych miastach. Moja religia rozejdzie się we wszystkich miastach i wieść dotrze do każdego kraju”^[151].

Mani był święcie przekonany, że Bóg od czasu do czasu wysyła na ziemię apostołów światła, aby objawić ludziom drogę do zbawienia. Dlatego też widział siebie jako proroka w jednym szeregu z Noem, Henochem, który grał wielką rolę również w mistyce żydowskiej, Setem, Abrahamem, Buddą, Zaratusztrą, Jezusem

i Pawłem. Duża sympatia do Pawła została Maniemu być może przekazana poprzez Marcjona, bo Marcjon uważał się przede wszystkim za ucznia Pawła, apostoła występującego konsekwentnie przeciwko judaizmowi i za pogano-chrześcijaństwem. Maniemu przyświecało też przekonanie, że jest ostatnim z apostołów, rzec można: pieczęcią proroków.

Czy Mahomet przejął tę ideę od niego? Czy prorok islamu, który w swoich podróżach stykał się z chrześcijanami, nierzadko heretykami, nawiązał duchową wymianę również z manichejczykami?

W Chinach czczono Maniego również jako Maitreję, przynoszącego zbawienie, Buddę przyszłej epoki świata.

Z tego punktu widzenia zbudował on swoją religię jako połączenie i konsekwencję różnych religii. „Tak jak woda dołączy się do (innych) wód i stanie się wieloma wodami, tak i stare (wcześniejsze) księgi dołączyły się do moich pism i stały się wielką mądrością...”^[152]. Otwarty i zmienny charakter manicheizmu utrudnia przedstawienie autentycznej nauki Maniego. Jeśli próbuje się uczynić to przejrzyste, lepiej nie wdawać się w wariacje i tysiące odgałęzień, lecz prześledzić zasadniczą ideę.

W roku śmierci Maniego (277 n.e.) chrześcijaństwo walczyło o przetrwanie rzymskich prześladowań i utrzymywało się głównie w metropoliach imperium. Zaczynało akurat budować struktury kościelnej hierarchii, tworzyć kanon świętych pism i obowiązującą doktrynę – powszechne wyznanie wiary zostało uchwalone dopiero w Nicei w roku 323. Zamiast z zazdrością i troską spoglądać na sukcesy manichejczyków, chrześcijanie powinni byli uczyć się od nich budowania swojego Kościoła i skuteczności misyjnej. Mieliby do tego prawo, bo przecież Mani czerpał od nich pełnymi rękami, choćby właśnie od św. Pawła.

UWOLNIENIE ŚWIATŁA – ŚWIATOPOGLĄD MANICHEJCZYKÓW

Mani zgadzał się z aleksandryjskimi gnostykami, z Szymonem Magiem, Walentynem, Bazylidesem i Marcjonem, że świat dlatego jest tak bezdennie zły i niewyobrażalnie zepsuty, że został stworzony nie przez dobrego Boga, lecz przez kiepskiego demiurga bądź stwórcę. W każdym razie zgadzał się z nimi, że cząstki światła z *pleromy* dostały się do świata i zostały zamknięte w ciałach. Dlatego istniała pilna konieczność uwolnienia tych cząstek światła i umożliwienia im powrotu do *pleromy*.

Na tym jednak kończyły się cechy wspólne. Teoretycy i głosiciele zachodniej gnozy wyznawali w gruncie rzeczy pogląd egipski, że wszystko wyszło przez emanację z obcego boga, porównywalnego z egipskim Bogiem Prapoczątku i w gruncie rzeczy proces emanacji – wskutek czegoś w rodzaju wypadku przy pracy czy nieuwagi jednej z emanacji, *sophii*, *ennoi* bądź *barbelo* – prowadził do procesu pogarszania świata. Mani zaś nie dał powiedzieć złego słowa na obcego boga, lecz twierdził, że źródłem wszelkiego zła są władca ciemności oraz pewien władca światła, który z kolei jest odpowiednikiem obcego boga aleksandryjczyków i Boga Prapoczątku.

Pan królestwa światła, którego Mani chętnie nazywał Ojcem Wielkości lub Królem Świetlistego Raju, przejawia się w pięciu eonach. Są to: Rozum (*nous*), Myślenie, Wgląd, Namysł i Rozwaga. Otacza go dwanaście eonów, z czego zawsze po trzy leżą w jednym z czterech kierunków świata. Związek eonów można też rozumieć jako światło–ziemia i światło–powietrze, tworzące pałac Ojca Wielkości, co przypomina trochę sale tronowe żydowskiej mistyki.

Uderza znowu liczba dwanaście, bo mogłyby być przecież cztery eony, po jednym dla każdego kierunku. Dawna religia astralna zatem nas nie opuszcza. Zbawienie i czas zostały pomyślane jako jedność, dwunastu bogów zodiaku wynurza się z systemu Maniego jako dwanaście eonów. Pan czasu jest również panem światów, eonów, jak wynika z innego określenia władcy królestwa świata. Mani używa czasami imienia irańskiego boga Zurwana – a Zurwan znaczy bóg-czas.

Od tego ostro było oddzielone królestwo ciemności. Króla ciemności otaczało pięć eonów: Dym, Mrok, Żar, Gorący Wiatr i Woda, interpretowane jako właściwości negatywne. Ibn an-Nadim przewrotnie nazywał tę wodę trucizną, przy czym jest ona symbolem mrocznej wody, która musi zostać oczyszczona – tak jak w ogóle wszystko. Muzułmański uczoney al-Szahrastani używał terminu „mgła”. Nawet jeśli nazwy są różne, sprawa jest jednoznaczna. Oba terminy odnoszą się do negatywnego aspektu wody: ona pochłania i ciągnie w głąbinę, wiedzie nas na manowce i spala się w naszych trzewiach jako trujący płyn. Król ciemności był prawdziwym potworem – i nie będzie błędem, jeśli się go porówna do postaci złego praducha Balroga z filmowej wersji pierwszej części *Władcy pierścieni*.

Królestwem ciemności władali archontowie, a zamieszkiwały je demony, ich drużyna. Zawiść i chciwość popychały je do ciągłych walk ze sobą. Myśl o ogóle, o odpowiedzialności za całość była im całkowicie obca, dbali tylko o własne korzyści, o które zabiegali wszelkimi sposobami. Ich myślenie nie sięgało dalej niż

oni sami, dlatego królestwem ciemności wstrząsały niezgoda, niepokój i paroksyzmy choroby. Królestwo światła zaś oddychało harmonią i zgodą.

W ustawicznych utarczkach siły ciemności dotarły do granic swego królestwa, a tam nagle padł na nie promień światła. Jest to jeden z najpiękniejszych momentów w nauce Maniego, robiący największe wrażenie, gdy wstrętne postacie, te istoty ciemności, jakby wyszłe wprost z obrazów Hieronima Boscha, wczepione w siebie i zajadłe, nagle zastygają w bezruchu, bo dotknął je, niby skrzydłem motyla, promień światła – obcy im, nieznaną i niewytłumaczalną. Ale w ich ponurych osobowościach tęsknota mogła się wyrazić tylko żądzą jego posiadania. Hołota raz się bije, raz się godzi. Siły ciemności zawarły pokój, żeby razem zdobyć królestwo światła.

Ojciec Wielkości odmówił wysłania swego królestwa do walki, natomiast drogą emanacji wyłonił z siebie Matkę Żyjących, nazywaną również Wielkim Duchem lub *Sophią* (w hebrajskim i aramejskim duch jest rodzaju żeńskiego). Z niej wyszedł Pierwszy Człowiek, którego najczęściej nazywano przczłowiekiem. Podobnie jak w religii egipskiej spotykamy znowu triadę ojciec–matka–syn (Ozyrys–Izyda–Horus), która pojawia się również w niektórych wyobrażeniach Bogurodzicy (*Theotokos*) Maryi (Bóg Ojciec–Maryja–Jezus). Znajdujemy się więc tutaj na znajomym terenie. Syn walczy za Ojca przeciwko władcy ciemności i jego świcie.

Pierwszemu Człowiekowi zostało przypisanych pięć elementów, określanych w niektórych tekstach także jako jego synowie: eter, wiatr, światło, woda, ogień. Tę piątkę objęto określeniem „Dusza Żywa”. Pierwszy Człowiek został pokonany w walce i musiał żywą duszę pozostawić ciemności. Jednak tę klęskę Mani rozumiał jako pozorną lub jako taktykę wygrywania przez poddawanie – tak jak ukrzyżowanie Jezusa było warunkiem jego wywyższenia i zbawienia człowieka. Z wymieszania światła i ciemności wynikała żelazna konieczność ponownego oddzielenia światła i ciemności, uwolnienia światła z ciemności, zatem doprowadzenia do zbawienia oraz rozbicia złego królestwa.

W tym celu Ojciec Wielkości powołał nową triadę, mianowicie Umiłowanego Istot Świetlistych, Wielkiego Budowniczego i Żywego Ducha, który nie bez powodu po persku nazywał się Mitra. W ten sposób udało się zintegrować również kult Mitry. Oczyszczenie świetlnych dusz w blasku księżyca, w ogóle rola, jaką tu odgrywają słońce i księżyc, bardzo przypomina rzymsko-irański kult misteryjny.

Żywy Duch wysłał teraz budzące wezwanie do Pierwszego Człowieka, a ten odpowiedział. Wołanie i odpowiedź, tworzące razem myśl życia, weszły do królestwa światła. Wołanie połączyło się z Żywym Duchem, a odpowiedź z Matką Żyjących.

Teraz trzeba było jeszcze oczyścić elementy, a światło oddzielić od ciemności – czyli zniszczyć ich negatywne aspekty. Woda musiała stać się wodą życia, tracąc swoje pochłaniające i zabójcze działanie, ogień miał grzać, nie palić, i tak dalej. Aby dokonać tego oczyszczenia, stworzono gigantyczną maszynę, rodzaj monstrualnej płuczki. Żywy Duch i Matka Żyjących udali się do królestwa ciemności, pokonali archontów i z ich ciał stworzyli Kosmos, składający się z dziesięciu niebios i ośmiu ziem. Z odpadków sporządzili gwiazdy i Drogę Mleczną. O utrzymanie Kosmosu w tym porządku troszczyło się pięciu synów Żywego Ducha:

1. *Splenditenens* (co można przetłumaczyć jako „trzymający światła”) pilnował całości Kosmosu;
2. Wielki Król Czci królował pośrodku Kosmosu jako centrum grawitacji;
3. Król Wspaniałości czuwał nad funkcjonowaniem trzech wielkich kół (wody, wiatru, ognia);
4. Świetlny Adamas stał uzbrojony, gotów zdusić wszelkie zamieszki;
5. Atlas zaś trzymał Kosmos na ramionach. Gdy ciężar stawał się za duży, zmieniał ramię. Wstrząs, który temu towarzyszył, ludzie nazywali trzęsieniem ziemi.

Żywy Duch zrobił ze światła Słońce i Księżyc; gwiazdy, planety i zodiak zostały wyrzeźbione przez archontów i przybite do koła sfer. Aby wprowadzić w ruch tę maszynę, Ojciec Wielkości emanował trzeciego posła, który zajął miejsce w okręcie Słońca, oraz Jezusa Świetlistego, który miał swoją siedzibę w Księżycu.

Trzeci poseł przebywał w towarzystwie dwunastu dziewic światła. Raz jako kobieta, raz jako mężczyzna uwodził on archontów, mogących być obu płci, aby wywołać ich seksualne pożądanie.

Żądza była dla Maniego kwintesencją zła; ślepa i pijana z pożądania próbowała mieszać się ze światłem, i dlatego popędzała archontów, żeby

zjednoczyli się ze światłem. To się nie udało, ale nasienie męskich archontów padło na ziemię. Z tego wyrosły rośliny i ogromny potwór morski, znany nam już z mitu babilońskiego jako wąż Tiamat. Ten wstrętny potwór został pokonany przez świetlnego Adamasa. Żeńskie archonty wydały zaś martwe płody, które spadły na ziemię i żywiły się drzewami. W ten sposób przyjęły materię (*hyle*) i stały się istotami cielesnymi. Z ich wzajemnego zapłodnienia powstał świat zwierząt.

Ciemność, która broniła się przed zgubieniem cząstek światła, wysłała na ziemię dwa demony, Saklasa i Nebroela, powstałych z tych martwych płodów, kazały sobie dać dzieci, połknęły je i w końcu spłodziły Adama i Ewę. Adam i Ewa żyli na świecie, płodzili dzieci i dręczyli w ten sposób uwięzione boskie cząstki światła.

Teraz na scenę wyszedł Jezus Świetlisty. Udał się do Adama, aby zanieść mu zbawczą wieść. Aby zbawić ludzi zrodzonych z Adama i Ewy, Jezus Świetlisty wysłał do nich Świetlisty Rozum jako ojca wszystkich apostołów, by zaniósł im zbawczą nowinę.

Ta zbawcza nowina i zbawieni ludzie uwolnią teraz cząsteczki światła. Wybrane przez Zło cząsteczki światła zostały przetransportowane przez widoczny na Mlecznej Drodze słup chwały na Księżyc, który je zbiera, coraz bardziej się napełniając (pełnia), a potem oddaje Słońcu, stając się pustym (nów). Jako ojczyznę dla zbawionych ludzi Wielki Budowniczy wznosił nowy eon.

W ten sposób człowiek stał się areną kosmicznego dramatu. W jego duszy znajdowały się cząsteczki światła, które chciały wrócić do domu. Dzięki Duchowi, który przekazał mu znajomość jego prawdziwej historii i natury, osiągnął zbawienie, które mógł przeforsować jedynie wbrew ciału, stworzonemu przez Króla Ciemności jako więzienie. Gdy ludzkie cząsteczki światła wspięły się poprzez słup chwały na Księżyc, aby stamtąd via Słońce dotrzeć do nowych eonów – człowiek był zbawiony. Dusza zaś, która nie posłuchała gnostyckiego wołania, po stracie śmiertelnej powłoki odradzała się w innym ciele.

Gdy wreszcie prawie wszystkie cząsteczki światła będą uwolnione, świat ogarnie pustoszący pożar, który będzie trwać 1468 lat i w którym Mrok stopi się w jedną czarną bryłę z grzesznymi i zatwardziałymi duszami. Dla tej czarnej bryły Wielki Budowniczy wznosił więzienie, z którego nigdy nie będzie można uciec.

Co ciekawe, zbawienie świata i Ducha Świata, jak też pojedynczego człowieka i pojedynczej duszy odpowiadają sobie wzajemnie jak makrokosmos

i mikrokosmos. W tym przejawia się znowu podstawowa zasada wszelkiej ezoteryki i tajemnych religii: tak w dużym, jak i w małym.

W mocy ludzi jest uwolnić także pozostałe cząsteczki światła, uwięzione i dręczone na ziemi. Dlatego decydujące znaczenie ma to, że apostołowie światła tacy jak Mani przynieśli ludziom gnozę.

Nauka Maniego jest znacznie bardziej złożona, ale dla naszych celów wystarczy wiedzieć, że uwolnienie człowieka ze złego i wrogiego świata wymagało gnozy, uświadomienia sobie słusznej drogi. W tym celu Mani stworzył sprawnie zorganizowany Kościół, mający być wspólnotą i szkołą świętych, którzy nie dręczyli już cząsteczek światła, oczyszczali je i zwracali do *pleromy*.

Na czele swego Kościoła stał on sam, Mani. Po jego śmierci Kościół manichejski prowadził swego rodzaju papież, nazywany *archegos*. Podział wiernych wewnątrz manichejskiego Kościoła stał się później wzorem dla średniowiecznych kacerzy. Istniała grupa wybranych (*electi*), zwanych również doskonałymi, których otaczali zwyczajni wierni, słuchacze (*auditores*) lub katechumeni. *Electi* stanowili rodzaj kleru z *archegosem* na czele, któremu podlegało dwunastu apostołów bądź nauczycieli (*macjislri*). Dalej było 72 biskupów i 360 diakonów.

Electi wyróżniali się białymi szatami. Obok pracy w gminie ich praktyczne zadanie polegało na czyszczeniu cząsteczek światła. Dlatego też musieli się powstrzymać od jakichkolwiek praktycznych czynności i znajdowali się pod opieką słuchaczy, a więc gmin. Troska o elektów była podstawowym obowiązkiem każdego manichejczyka. Monastyczną koncepcję oderwania od świata – czyli niepodejmowanie żadnych praktycznych działań, żywienie przez wiernych etc. – znamy z buddyzmu. Pod tym względem istnieje bardzo bliskie pokrewieństwo między obiema religiami. Również chrystianizm zna zasadę odosobnienia, ale w chrześcijańskim monastycyzmie zazwyczaj zwyciężał obowiązek pracy. Hasło jednego z najstarszych chrześcijańskich zakonów, benedyktynów, brzmi *ora et labora* (módl się i pracuj).

Wybrani mieli zachowywać wstrzemięźliwość seksualną, by nie przywiązywać do ciał cząsteczek światła, musieli odczuwać szczęśliwość ubóstwa i zachować czystość ust, poza tym mieli być prawi i nie wolno im było skaleczyć niczego w przyrodzie, żeby nie męczyć żadnych cząsteczek światła. Dlatego Mani zakazał im kategorycznie uprawiać ziemię, gdyż orząc, kaleczyliby przecież ziemię i dręczyli te cząstki. Również w tej idei pobrzmiewa myśl indyjska. Dżinistom na

przykład nie wolno się przemieszczać po ciemku, bo mogliby niechcący rozdeptać jakiegoś żuka lub robaka, którego nie widzą.

Ścisły wegetarianizm był oczywisty, bo manichejczycy wyznawali nie całkiem zrozumiały pogląd, że jedząc zwierzęta, dręczą cząstki światła, a jedząc rośliny, je uwalniają.

Dla wybranych święty był wspólny posiłek, który odbywał się raz dziennie i służył oczyszczeniu światła. Wierzyli, że wskutek swojej świętości, jedząc, oczyszczają jego cząstki. Preferowano rośliny zawierające światło, jak ogórki i pszenki chleb. Łącznie sto dni w roku było przeznaczonych na post. Podobnie jak Kościół katolicki zna godzinki definiowane czasem, tak Mani zalecał wybrańcom modlenie się o stałych godzinach i nawiązywanie rozmowy z Bogiem. Chrześcijanie i manichejczycy nauczyli się od Babilończyków, że ten, kto ustanawia czas, a czasem też przebieg dnia, włada również ludźmi.

Przykazania moralne dla zwykłych manichejczyków są podobne do chrześcijańskich. Także tu kłamstwo, zabójstwo, skąpstwo, nierząd, kradzież, czary i oddawanie czci bóstwom były zakazane. Istniały sakramenty, nabożeństwo i spowiedź z pokutą.

Dusze wybranych natychmiast po śmierci uwalniały cząstki światła, które z miejsca wracały do Boga. Dusze zwyczajnych wiernych wskakiwały do nowego ciała, po to, żeby przy kolejnej wędrówce dusz schwytać ciało elekta. Przynajmniej istniała szansa, żeby poprzez te kolejne wędrówki dotrzeć wreszcie do słupa sprawiedliwości.

Manicheizm działał nie tylko jako tajemny ruch heretycki. Wniknął również głęboko do religii islamskiej i osiadł tam na stałe, tworząc krypty w niszach.

Kościelna hierarchia manichejczyków wykazuje wyraźne paralele do Kościoła katolickiego, który rozwinął się w tych stuleciach. Dla obu religii wspólne jest wyobrażenie, że duchowni tworzą szczególny stan – niższy od Boga, ale wyższy od człowieka, jak to obwieścił papież Innocenty III. Duchowni i elekci powinni byli żyć w seksualnej wstrzeźliwości i stanowili trzecią płęć. Także wymagania moralne i nakaz postu wykazują znaczne podobieństwo.

Misjonarz Addas, który wędrował z Persji na Zachód, około 260 roku n.e. założył w Egipcie manichejski klasztor. Ale Górny Egipt był też miejscem, gdzie miał swoje początki monastycyzm chrześcijański. Za pierwszego chrześcijańskiego

mnicha uważa się powszechnie Antoniego Wielkiego, który około 280 roku n.e. wycofał się ze świata, żeby żyć jako pustelnik i zajmować się jedynie Bogiem. Za jego przykładem poszli inni. Nazywano ich anachoretami (gr. *anachorein*, oddalać się). Żyli w surowej ascezie, niektórzy spędzali życie na słupach, inni na drzewach, jeszcze inni w jaskiniach i głębokich jamach w piasku pustyni. Ale kiedy odeszli ze społeczeństwa na pustynię, manichejczycy już tam mieli swoje klasztory. Nie wiadomo niestety, czy doszło do wzajemnego wpływu, czy chrześcijańscy i manichejscy mnisi ignorowali się wzajemnie, tolerowali czy zwalczali. Jedno jest pewne: ważny gnostycki zespół tekstów z Nag Hammadi został odkryty w pobliżu klasztoru.

Gnostycy przetrwali nie tylko w chrześcijaństwie, ale także w islamie.

[143] *Gilles Quispel, Gnosis als Weltreligion, Bern 1995, s. 15.*

[144] *Cyt. za: Die Geschichte des Christentums. Religion, Politik, Kultur, Bd. 1 Das Altertum, Freiburg, Basel, Wien 2005, s. 499.*

[145] *Cyt. za: Die Gnosis. Der Manichäismus, München und Zürich 1995, s. 76.*

[146] *Tamże, s. 77.*

[147] *Tamże, s. 79.*

[148] *Tamże, s. 76.*

[149] *Tamże, s. 79.*

[150] *Mechtylda z Magdeburga, Strumień światła boskości, Kraków-Tyniec 2004, s. 32.*

[151] *Cyt. za: Kurt Rudolph, Die Gnosis, Göttingen 2005, s. 358.*

[152] *Tamże, s. 361.*

Książka dla none none

GERMANIE I CHRZEŚCIJANIE

Gdy jedni świętują Boże Narodzenie, inni w obrzędku „Dwunastu” obchodzą przesilenie słoneczne, na sylwestra wyruszają na Dzikiego Łowca, w noc Walpurgii tańczą północo wokół płonącego ogniska. Obchody odbywają według programu albo spontanicznie, w formie tajnych spotkań bądź publicznych festiwali. Ich uczestnicy powołują się na religię celtycką lub germańską. Są zgodni w odrzuceniu chrześcijaństwa i poszukują starszych religii czy kultowych praktyk. Większość jest przekonana, że chrześcijaństwo w trakcie ewangelizacji w pierwszym i na początku drugiego wieku po narodzeniu Chrystusa prześladowało i próbowało wytępić autentyczną religię. Uważają siebie za żywy dowód na to, że pogaństwo – religia germańska albo celtycka – przeżyło.

Te tajemne religie utrzymali przy życiu magowie, druidzi, kaznodzieje i czarownice. Prawdą jest też jednak, że mnóstwo tych nowych pogan, neodruidów, czarownic i wyznawców prawiary odwołującej się do boskiego rodu germańskich Azów (Asatru) lub Wanów (Wanatru) zostało uspołecznionych w chrześcijaństwie. Tu jednak nieświadomie natknęli się na elementy dawnych religii – być może bardziej autentycznych niż te pozornie stare, w które później dali się wprowadzić w neopogańskich klubach i towarzystwach. Brzmi to paradoksalnie, ale jest całkowicie logiczne.

Nie mamy dokładnej wiedzy o religii germańskiej. Już samo pojęcie „religia germańska” jest wątpliwe, ściśle bowiem rzecz biorąc – jak to ujął kronikarz Tacyt – trzeba by mówić o religiach w narodzie tysiąca plemion. Znaczna część germańskiej mitologii dotarła do nas poprzez *Eddę* i nordyckich dziejopisów, jak Saxo Grammatyk – a więc poprzez teksty, które zostały napisane w XII i XIII stuleciu, zatem po chrystianizacji. Wątpliwe jest, na ile wyobrażenia odnotowane na obszarze północnogermańskim odnoszą się do obszaru południowogermańskiego i dla czasów wczesnogermańskich lub okresu wędrówki ludów.

Także starożytne źródła są w kwestiach religii przekonujące tylko w ograniczonym stopniu. Przy najważniejszych źródłach dotyczących wczesnych Germanów i Celtów – Cezarze i Tacycie – należałoby zapytać, ile rzeczy w ich opisach wzięło się z nieporozumień, legend i niewiedzy. Nauka nie jest co do tego zgodna. Pod tym względem religie neopogańskie są religiami sztucznymi, nawiązującymi do mieszanki mitów, mniej więcej tak, jak widzieliśmy to u późniejszych różokrzyżowców.

Ciekawsze jest pytanie, na ile samo chrześcijaństwo przeniosło germańskie obyczaje i pogańskie wyobrażenia jako tajemną religię. Nasza postawa modlitewna nie jest na przykład starochrześcijańska, lecz starogermańska. W Starym Kościele znana była postawa oranta, to znaczy z wzniesionymi rękami i dłońmi skierowanymi ku górze. Tę modlitewną postawę odnajdujemy jeszcze obok innych (bicie krzyża, ukłony z opuszczonymi rękami, klękanie i prostracja) w Kościele prawosławnym. Ręce złożone wywodzą się zaś z gestu germańskiego: lewa ręka złożeniem symbolizuje związanie prawej ręki, ręki od miecza, co oznacza, że człowiek jest bezbronny, a więc oddaje się Bogu. Modlitwa jest w tej sytuacji nie tyle proszeniem, ile warunkiem całkowitego poddania się Bogu. Dopiero w Bogu wszystko może się stać, a człowiek, który o coś prosi, musi się najpierw oddać bezwarunkowo Bogu, uznać wolę boską, boską moc^[153].

Chrześcijańscy misjonarze, jak misjonarz Niemców Bonifacy, postępowali bardzo zręcznie: wnosili kościoły często w miejscach uznanych przez tubylców za święte. Gdy było trzeba, ścinano święte drzewa i wykorzystywano drewno do budowy kościoła. Pogańskie zwyczaje, jeśli nie można było ich zakazać, po prostu włączano do kalendarza świąt. Często udawało się to bez problemu, choćby z tego powodu, że religie zajmowały się kluczowymi datami w ludzkiej egzystencji, te zaś przekładały się na rok wyznaczany przez cykl natury.

STARE W NOWEJ SZACIE

Pogańskich bogów albo chrzczono, zamieniając ich na chrześcijańskich, albo po prostu uznawano za demony, diabły. Syn Odyna Baldur, którego zabił Loki, mógł łatwo zostać wchłonięty przez potężną postać Chrystusa, ponieważ należał do bogów cierpiących, jak Ozyrys i Chrystus. Kto czcił Baldura, mógł również czcić Chrystusa, zwłaszcza że Chrystusa podczas ewangelizacji przedstawiano przede wszystkim jako wielkiego i potężnego króla, a nie jako zbawiciela. W tym wyobrażeniu aniołowie stawali się rycerzami, świtą. Występujący w *Pieśni o Hildebrandzie* wielki Bóg, chociaż jest Bogiem chrześcijańskim, w swoim staro-wysoko-niemieckim określeniu *irringot* nawiązuje wciąż jeszcze do wielkiego boga Germanów, a *irminsul* nawiązuje do słupa Irmina, łączącego niebo i ziemię.

Rok i miesiąc

Zarówno w rzymskiej, jak i żydowskiej oraz germańskiej kulturze widziano ścisły związek, ba – analogię między narodzinami, dojrzałością i śmiercią oraz siewem, zniwami i obumieraniem wegetacji. Rytuały płodności miały znaczenie we

wszystkich kulturach. Rok dzielono wiosennym i zimowym przesileniem słońca. Z wiosennej równonocy wyliczano termin siewu. Od niej zależało wielkie wiosenne święto ku czci płodności i rozpoczęciu wegetacji – dzisiaj łączymy to z Wielkanocą.

Dla Germanów rok dzielił się na dwie części, wyznaczone przesileniami słońca. Prócz tego Germanie wierzyli, że dzień zrodził się z nocy. Liczono według nocy i księżyców, bo Germanie nie posługiwali się kalendarzem solarnym, jak Rzymianie, a później chrześcijanie, lecz kalendarzem księżycowym. Wskutek tego odliczali według księżyca. Nadawał się do tego doskonale dzięki regularnej zmianie kształtu (pełnia, kwadry, nów). Fakt ten ma swoje odbicie w słowie „miesiąc”: miesiąc odpowiada cyklowi księżycowemu.

Dni tygodnia

Wydaje się, że siedem dni tygodnia wprowadzono w pierwszym rzędzie po to, żeby określonym bogom składać cześć we właściwym dniu. Sposób, w jaki zachodził ten proces, widzieliśmy już u babilońskich bogów zodiaku; analogicznie przebiegał on na obszarze germańskim. Niedziela była poświęcona bogini słońca Sunnie, poniedziałek bogu księżyca Mani, wtorek bogu Ziu, środa Odynowi, czwartek Donarowi czy też Thorowi, piątek bogini Frigg. Chrześcijanie próbowali schryścianizować dni tygodnia, co jednak w Germanii udało się tylko częściowo.

W językach romańskich z niedzieli zrobił się chrześcijański dzień Pana (wł. *domenica*, hiszp. *domingo* i fr. *dimanche*), podczas gdy dzień ten w staro-wysoko-niemieckim nazywał się *sunniin tag*, w średnio-wysoko-niemieckim *suntac*, a obecnie właśnie *Sonntag*. Jednak to nie było dla misjonarzy wielkim problemem, bo i tak najpóźniej od Grzegorza Wielkiego (540–604) łączyli Chrystusa ze światłem i słońcem w postaci Sol Invictus, a więc niezwyciężonego Boga Słońca.

Poniedziałek – w staro-wysoko-niemieckim *mānitag*, w średnio-wysoko-niemieckim *mōn-* albo *māntac*, w romańskim pozostał nadal domeną księżyca (wł. *lunedì*, fr. *lundi*, hiszp. *lunes*), tylko w portugalskim udało się Kościołowi przeprowadzić kościelne (łacińskie) określenie: *segunda-feira*, drugie święto. Odpowiednio liczy się w portugalskim pozostałe dni tygodnia, oprócz soboty. Zatem piątek nazywa się *sexta-feira*.

W romańskim wtorek zachował związek z bogiem wojny Marsem (wł. *martedì*, hiszp. *martes*, fr. *mardi*), a w germańskim nosi odpowiednio nazwę

lokalną germańskiego boga wojny *Ziu* (staro-wysoko-niemiecki *ziostag*, średnio-wysoko-niemiecki *zistac*, ang. *Tuesday*). W języku niemieckim w procesie rozwoju języka z *zistac* zrobił się *Dienstag*.

Środa na obszarze romańskim przypomina Merkurego (fr. *mercredi*, hiszp. *miercoles*, wł. *mercoledì*). Podczas gdy w angielskim zachowało się wspomnienie Odyna (Wotana) w nazwie *Wednesday*, ze staro-wysoko-niemieckiego *wuotanes tac* pod wpływem chrześcijańskim z kościelnej łaciny *media hebdomas* powstał *milliwohha*, który w średnio-wysoko-niemieckim stał się *mittwoche*, a w nowo-wysoko-niemieckim *Mittwoch*.

Czwartek był pod znakiem Jowisza (łac. *Jovis*, wł. *giovedì*, fr. *jeudi*, hiszp. *jueves*). W staro-wysoko-niemieckim myśli się o Donarze lub Thorze – *donares tag*, w średnio-wysoko-niemieckim *donerstac*; także w nowo-wysoko-niemieckim wspomnienie Donara czy Thora w wyrazie *Donnerstag* jest bardzo wyraźne. Również Anglicy kontynuują pogańskie nazewnictwo: *Thursday*.

Piątek poświęcony był bogini miłości – Wenus (łac. *veneris dies*) i odnajdujemy to jeszcze we włoskim (*venerdì*), francuskim (*vendredi*) i hiszpańskim (*viernes*). Germański odpowiednik Venery, Freja, małżonka Odyna, dała piątkowi w staro-wysoko-niemieckim nazwę *frijetag*, który w średnio-wysoko-niemieckim stał się *vritac*.

Co ciekawe, słowo *Samstag* (sobota) pochodzi z żydowskiego *sabbat* (gr. *sābbalon*) i określa dzień odpoczynku: wł. *sabbato*, hiszp. i portug. *sábado*, fr. *samedi*. W staro-wysoko-niemieckim jest to *sambaztac*, a w średnio-wysoko-niemieckim *sameztac*. W języku angielskim zwyciężyło określenie rzymsko-pogańskie, bo dzień ten był poświęcony Saturnowi: *Saturday*.

Sobota należała u Germanów do bogini Huldy którą znamy z baśni braci Grimm *Frau Holle* (*Pani Zamieć*). Daje ona płodność i błogosławieństwo, na co wskazuje już jej imię: w staro-wysoko-niemieckim *hold* znaczy łaskawy, korzystny. Mieszka ona w głębinie wód, a w księżycowe noce widać złote odbicia światła w wodzie, które uważa się za otaczające Huldę duszyczki nienarodzonych dzieci. Dlatego istniał zwyczaj, że dziewczęta w święte noce biegły do studni w nadziei, że gładka powierzchnia wody pokaże im obraz narzeczonego, gdy go zawołają. I znów przypominamy sobie baśń *Frau Holle* i rolę, jaką odgrywa w niej studnia. Hulda, to oczywiste, łączy zakochanych. Zwroty takie jak „być pod pantoflem” lub „nałożyć czepek” (wyjść za mąż) wywodzą się z tego wyobrażenia: czepiec i pantofle są symbolem bogini. Ponieważ Hulda lubiła wiosenne ptaki,

bociana i jaskółkę, a w wodzie są dusze nienarodzonych, powstało wyobrażenie, że bociany biorą dzieci ze studni.

Co ciekawe, w religii ludowej obraz Huldy rozmył się całkowicie w obrazie Maryi Panny jako „naszej kochanej Pani” (*unsere liebe Frau*) i zachował się tylko w baśniach. W Würzburgu istniało w VII wieku sanktuarium Huldy. Bogini ofiarowywano przyprawę. Dlatego niektórzy badacze przypuszczają, że nazwa miasta pochodzi od ziół (Würze – przyprawa), które składano w ofierze w sanktuarium. Dowodzi tego fakt, że nazwa miasta w pewnym średniowiecznym piśmie pojawia się w zlatynizowanej formie Herbipolis, względnie z grecka Herbopolis, a więc „Miasto Ziół”.

Za rozplnięciem się Huldy w obrazie Matki Boskiej przemawia też to, że katolickie święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny nazywane jest również świętem Matki Boskiej Zielnej. Tak więc sobota, dzień Huldy, została w końcu poświęcona Maryi Pannie. W obrazie „Naszej Kochanej Pani” zamazują się Frau Holle lub bogini Hulda i Maryja Panna.

Samstag (sobota) nazywany jest też *Sonnabend* (wieczór słońca). To drugie, pierwotnie północnoniemieckie określenie bierze się z wyobrażenia, że noc rodzi dzień, tak więc Sonntag (dzień słońca, niedziela) zostaje zrodzony poprzedniej nocy, mianowicie w *Sonnabend* – wieczór słońca. Jest to wieczór przed dniem słońca, który tylko dlatego został dowartościowany, że chrześcijanie chcieli się odróżnić od Żydów i nie świętowali jako dnia odpoczynku szabat, lecz dzień następny, dzień słońca. W ten sposób z szabat zrobił się dzień przed dniem słońca, rozpoczynający się wieczorem.

Projekt wyparcia pogańskich nazw udał się więc w Niemczech tylko w dwu przypadkach, mianowicie w przypadku środy i soboty. Skoro Ziu jako bóg wojny był jednocześnie bogiem sprawiedliwości, we wtorki sprawowano również sądy. Ponieważ nie udało się zmienić nazw dni tygodnia, każdemu z nich przydzielono jakiegoś chrześcijańskiego świętego. To dało się zrobić tym skuteczniej, im większe istniały merytoryczne zgodności. Paralele między Thorem, który zabił węża Midgardu, a Archaniołem Michałem, który walczył z diabłem i go podeptał, są tak wyraźne, że udało się zastąpić kult Thora kultem Michała.

BOŻE NARODZENIE

Rok wyznaczały przesilenia, a te były obchodzone jako święta religijne. Jednym z najważniejszych pogańskich świąt był Jul. Trwał dwanaście dni, od 25

grudnia do 6 stycznia. Poprzedzało go zimowe przesilenie 21 grudnia. Od tego czasu dni stają się znowu dłuższe. Wraca światło. W tym czasie, wierzyli Germanie, niebo stoi otworem i można zobaczyć następny rok, przyszłość. Powrót światła należało obchodzić uroczystością, bo to sam bóg słońca zlitował się nad ludźmi. Czas na przełomie starego i nowego roku jest czasem niepewności, kiedy stykają się teraźniejszość i przyszłość. Z jednej strony można zobaczyć przyszłość, lecz jednocześnie trzeba bardzo uważać, bo szerzą się magia i złe czary, grasują też różne potwory.

Niezależnie od germańskich obyczajów Kościół chrześcijański ustalił datę narodzin Jezusa Chrystusa na 25 grudnia dopiero w IV stuleciu, i to w wielkiej i burzliwej wewnętrznej dyskusji. Podczas gdy Wielkanoc od początku była ważnym chrześcijańskim świętem, to dzień, w którym obchodzono narodziny Jezusa, zyskał popularność stosunkowo późno.

Dla terminu narodzin Pana zasadnicze znaczenie miało słońce. W Rzymie IV wieku *Sol Invictus*, niezwykły bóg słońca utożsamiany z Jezusem, urodził się 25 grudnia. Od tej daty dni stają się znowu dłuższe, rzec można, odradza się bóg słońca. Widzieliśmy paralele, które istniały na początku I wieku naszej ery między kultem Mitry a adoracją Jezusa. Mitra również przyszedł na świat 25 grudnia i również miał silny związek ze słońcem.

Dużą rolę odgrywają tu narodziny słońca, narodziny boga słońca i wreszcie wydłużanie się dni, narodziny światła z ciemności, dnia z nocy. Tego dnia rodzą się bogowie, rodzą się zwycięzcy. Reszty dokonali chrześcijańscy teologowie: odesłali do Biblii i twierdzili, że patriarchowie byli doskonali.

Oznaką tej doskonałości był fakt, że Bóg przydzielił im okrągłą liczbę lat: 50, 60, 70 albo 20 i więcej, i że po latach umierali tego samego dnia, w którym się urodzili. Data urodzin Jezusa została ustalona przez ewangelistów na czas żydowskiego święta Pesach. Wskutek tego musiał też umrzeć w Pesach.

Jednakże niektórzy teologowie argumentują, że u Jezusa decydującą rolę mają nie narodziny, lecz poczęcie z Ducha Świętego. Jeśli więc odliczyć od narodzin Jezusa dziewięć miesięcy wstecz, wchodzi się w okres Pesach albo Wielkanocy, a tym samym postulat boskiej doskonałości zostaje wypełniony – wejście Jezusa w ciało Marii, poczęcie z Ducha Świętego nastąpiłoby wtedy w tej samej dacie co śmierć Jezusa.

Co ciekawe, Wielkanoc jako czas cierpienia i męki jest dla chrześcijańskiego

Kościół ważniejsza niż narodziny Jezusa w Boże Narodzenie – całkiem odwrotnie niż dla tradycji ludowej. Święto narodzenia szybko zapadło w ludzkie serca, bo przejęło silne, prastare wierzenie z tradycji germańskiej – święto Jula albo też „Dwunastu”.

Kościół był tego świadom, bo już biskup Maksym z Turynu na początku V stulecia chwalił Boga w kazaniu za to, że swego Syna wysłał na ziemię akurat w to pogańskie święto, żeby zawstydzić ludzi i nakłonić do wiary w chrześcijańskiego Boga. Jeśli wziąć pod uwagę tę i inne współczesne wypowiedzi na temat świąt Bożego Narodzenia, nasuwa się hipoteza, że chrześcijanie święto narodzenia Jezusa wyznaczyli na ten termin świadomie, żeby ochrzcić obchodzone przez pogan święto Jula, narodziny Mitry lub boga słońca.

To jest powodem, dla którego w świecie Bożego Narodzenia znalazły się i były tolerowane różne pogańskie obyczaje w chrześcijańskim opakowaniu – począwszy od choinki, która nawiązuje do sakralnych drzew, świętych gajów germańskich i celtyckich, jak i niemieckiego Knechta Ruprechta (plebejski pomocnik Świętego Mikołaja). Nowoczesna nauka odrzuca wprawdzie pogląd, jakoby w Ruprechcie można było się dopatrywać schrystianizowanego boga Odyna, ale za tą ideą przemawia fakt, że nowoczesnej nauce nie udało się jeszcze zaproponować ekwiwalentnego modelu interpretacji. Jedynie Mikołaj ma chrześcijański wzór, świętego, i jest od razu szefem, któremu służy Ruprecht.

Ponieważ chrześcijańscy misjonarze nie mogli tak po prostu zlikwidować pogańskich bogów, nie odstraszać nawracanych, musieli ich istnienie zaakceptować. Zrobili to, degradując germańskich bogów do roli służących, jak Odyna do postaci Ruprechta, najczęściej jednak zamieniali germańskich bogów w czarownice i diabły. Dopiero w chrystianizmie diabeł staje się jednoznacznie i wyłącznie ucieleśnieniem straszego Zła; w pogańskich religiach jest bardzo ambiwalentny. W ten sposób Baldur i Odyn stają się sługami, Thor albo Donar z młotem – kulawym szatanem, Hulda rozpląwa się w Maryi Pannie, a bogini miłości Freja zamienia się w czarownicę.

Ale w noc Walpurgii czarownice i diabły się uwalniają, tańczą wokół celtyckich i germańskich ognisk, które w dawnych religiach wyrażały oczyszczenie. Taniec wokół ognia był pierwotnie aktem oczyszczenia i zbawienia. W tym tańcu dusza odnajdowała siebie, a złe duchy zostawały wypędzone z ludzkich ciał, ze wsi, ze zwierząt i z pól. Również chrześcijaństwo uznało ogień za środek oczyszczenia – aczkolwiek ogień był w postaci stosu, to miał przecież oczyścić kacerzy oraz czarownice i wyznawców diabła. Jakże okropne spotkanie,

jak różne koncepcje oczyszczenia!

Z pogańskich Saturnaliów i prawdopodobnie również z germańskich zwyczajów „Dwunastu” wywodzi się zwyczaj wzajemnego obdarowywania się w Boże Narodzenie, bo narodziny światła symbolizują wymarzony początek, pokój. A pokój zaczyna się od darów.

TRZEJ KRÓLOWIE

W germańskim święcie Jula i w „Dwunastu” okres świąteczny sięga od 25 grudnia do 6 stycznia. Chrześcijanie próbowali ten szczególny czas interpretować po chrześcijańsku, ogłaszając 26 grudnia dniem świętego Szczepana. Koniec tego odcinka czasowego stanowi święto Trzech Króli bądź Epifanii (Objawienia Pańskiego), kiedy Jezus ukazał się światu jako Chrystus. Jezus urodził się z nowym światłem, teraz ukazuje się jako Mesjasz – i światu uświadamia się dobitnie, że oto narodził się Mesjasz.

Trzem mędrcom narodziny Zbawiciela ukazują się jako gwiazda. Warto zauważyć, że mędrcy przychodzą z wysoko rozwiniętego cywilizacyjnie i religijnie Wschodu, a nie z ponurej Północy, z niegościnniej Germanii. Trzej Święci Królowie zwani też Mędrkami ze Wschodu bądź po prostu Magami, pochodzą ze Wschodu, z Persji, z Babilonu, z Indii. Niosą ze sobą wschodnią (pogańską) mądrość i poznają, że zaczyna się coś nowego. Szóstego stycznia chrystianizm wysuwa swoje roszczenia do ewangelizacji pogan.

WIELKANOC

Najważniejszym świętem chrześcijan jest w istocie Wielkanoc. Wiosna, przebudzenie przyrody, we wszystkich kulturach i kultach grała wielką rolę. Tak jak w Mezopotamii czczono boga wegetacji Dumuziego, w Egipcie spotykamy cierpiącego boga Ozyrysa, tak w centrum germańskiej historii pasyjnej stoi młody germański bóg Baldur, piękny i pełen wdzięku, którego zabija podstępny Loki. Mówi się, że Baldur był nie do zranienia, bo jego matka, Frigg, odbierała od wszystkich stworzeń przysięgę, że go nie zabiją. Przeoczyła tylko jedną smallńką gałązkę jemioly. I gdy bogowie w zabawie strzelali do Baldura, ciesząc się z jego odporności, podstępnemu Lokiemu udało się wsunąć silnemu Hodurowi do ręki strzałę z jemioly, bo Loki wykrył tajemnicę czulego punktu Baldura. Tylko gałązka jemioly mogła być dla niego niebezpieczna i dzięki niej, wystrzelonej przez Hodura, znalazł też śmierć. Ten motyw tajemnicy czulego punktu znamy z pieśni i poematów o Zygfrydzie, zwłaszcza z *Pieśni o Nibelungach*.

Ponieważ w staro-wysoko-niemieckim żałoba to *chara*, powstało podejrzenie, że *Karwoche* (niem. Wielki Tydzień) jest tygodniem żałoby, kiedy oplakuje się Jezusa albo właśnie Baldura. Ten zabity germański bóg i syn bogów stanowił bowiem dla Germanów od Renu po Łabę pomost z pogaństwa do chrystianizmu – od Baldura do Jezusa. Śmierć i żałoba, ale też zmartwychwstanie mają miejsce w Wielkim Tygodniu, tak w przyrodzie, jak i w religii. Dlatego pogańskie rytuały płodności weszły do chrześcijańskiego święta Wielkanocy.

To, że jajko jest we wszystkich religiach symbolem płodności, jest truizmem. Ale z jajkiem wiąże się doskonale idea zmartwychwstania przyrody, bo dawniej w naszej szerokości geograficznej w listopadzie kury przestawały się nieść i zaczynały ponownie dopiero na wiosnę. Toteż jajko stało się symbolem w dwojaki sposób: po pierwsze – to pierwsze jajko było oznaką, że kury znowu będą się nieść, tak jak będą się rodzić owieczki, po drugie jajko, z którego bierze się wszelkie życie, samo jest symbolem życia. Tak dużego symbolicznego ładunku chrześcijaństwo nie zgubiło i ochrzciło je mianem symbolu Boga, będącego Stwórcą świata i wszelkiego życia.

Wiadomo, że zając nie składa jajek, ale równocześnie mówi się o nim, że przynosi wielkanocne jajka. Jednakże zając odgrywa pewną rolę w germańskiej mitologii jako towarzysz bogini Ziemi (Matki Ziemi) Nerthus i bogini Nehalennii.

Ładny przekaz głosi, że bogini Ostara zamieniła ptaka w zająca, który na pamiątkę swojej wcześniejszej egzystencji dla uczczenia święta Ostary składał jajka. Problematiczne i do dziś niewyjaśnione jest to, kim w ogóle była Ostara i czy kiedykolwiek w dawnych czasach była czczona. We współczesnych neogermańskich bądź neopogańskich religiach Ostara czczona jest jako bogini wiosny. Jacob Grimm w swojej *Deutsche Mythologie* przypuszcza, że boginię tę czczono u Germanów. Opiera się przy tym w swojej argumentacji na wczesnośredniowiecznym teologu i historyku Bedzie Czcigodnym, który w dziele *De temporum ratione* pisał: „Miesiąc wielkanocny, który dzisiaj tłumaczony jest jako miesiąc pesach, dawniej miał nazwę od bogini owych (ludzi), którą nazywano Eostra, i której święto w owym (miesiącu) obchodzono – od jej imienia nadają oni nazwę okresowi wielkanocnemu, nazywając zwyczajowym określeniem dawnego nabożeństwa radości nowej uroczystości”^[154]. Z Eostry Bedy zrobiła się u Jacoba Grimma Ostara, która – podobnie jak Eostra u Anglików stała się *easter* – u Niemców została *Ostern*. W starosaksońskim, z którego rozwinął się angielski, kwiecień istotnie nazywa się *eosturmônadh*, a więc miesiącem bogini Eostry, podczas gdy Einhard, uczyony i biograf Karola Wielkiego, nazywa kwiecień

ôstarmânoth.

Pozostaje pytanie, czy rzeczywiście mamy tutaj do czynienia z boginią Ostarą czy ze słowem *Ostern*, mającym inne pochodzenie. Przypuszcza się, że *Ostern* i *easter* pochodzą od greckiej bogini Eos, bogini zorzy porannej, ponieważ zorza wskazuje na początek dnia, który w chrześcijańskiej liturgii („Chrystus zmartwychwstał! Prawdziwie zmartwychwstał!”) odgrywał centralną rolę. Inna interpretacja widzi w słowie *Ostern* wynik ewolucji historycznojęzykowej staronordyckiego zwrotu *nausa vatni*, polewać wodą. To z kolei wskazywałoby na chrzest, który akurat na Wielkanoc we wczesnym Kościele miał kluczowe znaczenie.

Ponieważ w kulturach okcydentalnych i orientalnych Wielkanoc – jako podstawowe święto płodności i wegetacji, czczące przebudzenie przyrody – ma tak wielkie znaczenie i w dawnych czasach była, obok dożynek, najważniejszym świętem w roku, to była też świętem, w którym mieszały się gwałtownie różne obyczaje i religijne symbole. Na dodatek ta mieszanina stanowiła żywną glebę dla rozwoju samego święta.

Zajaczek wielkanocny jest udokumentowany dopiero od końca XVII wieku, jajko wielkanocne – od XV wieku. Zarówno jednak jajko wielkanocne, jak i zajaczek w tej czy innej formie mogą być (i prawdopodobnie są) dużo starsze.

To samo odnosi się do pochodzenia słowa. Nawet jeśli nowsze badania odrzucają związek ze starogermańską boginią Ostarą, nie ma dowodu przeciwko tej teorii, nie istnieją też niezbite dowody na drugą hipotezę. Wiemy, że to święto było obchodzone przez wszystkich oraz że istniały pewne różnice, ale też duże zbieżności w pogańskim i chrześcijańskim sposobie świętowania.

TANIEC POGAŃSKICH DUCHÓW

O wiele wyraźniej występowały pogańskie zwyczaje w czasie karnawału, który Kościół świadomie wprowadził jako okres swobody, jako wentyl bezpieczeństwa w surowym i uregulowanym roku kościelnym, podobnie jak noc Walpurgii. Stare święta płodności, a przede wszystkim rytuały płodności rozerwały chrześcijański łańcuch. Wyglądało to tak, jakby naraz uwolniły się wszystkie pogańskie duchy, przemienione przecież przez Kościół w czarownice i diabły. Wszystkie te wróżki, elfy i koboldy, wszystkie te na poły ludzkie istoty, jak wampiry czy wilkołaki, choć włączone do chrześcijańskiego świata, prowadziły swoje własne życie.

Histeria szukania czarownic, która wybuchła w XVI wieku, zmieniła obraz nieczystych duchów i czarownic. Pielęgnowanie dawnych zwyczajów i dawnych sposobów leczenia, znajomość ziół i zaklęć stały się niebezpieczne i mogły nawet zagrażać życiu. Dopiero teraz dawna religia zaczęła tworzyć na chrześcijańskim Zachodzie tajemne koła, gdzie praktykowano ją (albo to, co za nią uważano) jako tajemną religię.

Pogaństwo, starszy brat chrześcijaństwa, nigdy tak do końca nieochrzczony, wiodło w Europie utajony żywot, było kontynuowane przez tysiące lat i – o czym często się zapomina – także się rozwijało. Do dzisiaj brak jest dogłębnych badań tego ważnego rozdziału europejskiej historii. Pogaństwo traktuje się często w historii religii jako zabobon i nie poświęca mu się większej uwagi. Uznaje się, że pogaństwo nie jest samodzielną religią i nie przywiązuje się wagi do istotnego faktu, że jako bogata religia rozwijało się przez tysiące lat, zwłaszcza w utajeniu, od czasu ewangelizacji Europy.

^[153] *Por. m.in. Ernst Benz, Geist und Leben der Ostkirche, Hamburg 1957, s. 29.*

^[154] *Beda Venerabilis, De Temporum Ratione, rozdz. 15, cyt. za: Wikipedia, hasło „Ostara”.*

Książka dla none none

**W IMIĘ
MISTERIUM –
MĘCZENNICY
I MORDERCY**

POSŁUSZEŃSTWO, WŁADZA I MIŁOŚĆ BOGA – WIELE TWARZY SUFIZMU

Przeklęty jest każdy, kto wyda je

za podarunek albo za jedzenie,

albo za picie, albo za szatę, albo za jakąkolwiek inną rzecz.

I tego rodzaju sprawy zostały mu przekazane w tajemnicy.

Apokryf Jana (tłum. ks. Wincenty Myszor)

Kto tajemnicę zna miłości,

ten obmycia przed modlitwą dokonuje krwią.

Fariduddin Attar, Rozmowy ptaków

Kim są tak naprawdę zwolennicy kaznodziei Fethullaha Gülena, którzy w ostatnich latach wytrwałymi działaniami, takimi jak zakładanie szkół czy tworzenie niemieckojęzycznego kanału w telewizji, zyskali rozgłos także w Niemczech? Założyciel tego działającego na całym świecie stowarzyszenia jest rodowitym Turkiem i mieszka w Stanach Zjednoczonych, jednakże – inaczej niż turecki premier Recep Tayyip Erdoğan – popiera integrację swoich rodaków żyjących w Niemczech i szybką naukę niemieckiego. Uważa, że integracja jest niezbędna do odniesienia sukcesu zawodowego i że wcale nie musi stać w sprzeczności z konsekwentnie muzułmańskim trybem życia. Przeciwnie, integracja i sukces mogą się nawet wzajemnie warunkować. Gülen uważa, że prawo islamskie (*szariat*) można godzić z życiem w społeczeństwie demokratycznym. Z tego powodu troszczy się o kształcenie, zbiera pieniądze na budowę szkół, ma udziały w rynku nieruchomości, jest już właścicielem banku –

jednym słowem angażuje się w różne rodzaje działalności. Szkoły oferują całodzienną opiekę. Jeśli uczeń dobrze sobie radzi, popołudniami wciąga się go w różne projekty; jeśli nie udało mu się opanować materiału, wówczas otrzymuje bezpłatne korepetycje.

Życzliwi widzą w pracy Gülena (który w swoich kazaniach chętnie cytuje sufickich mistrzów, takich jak Ibn-Arabi czy Rumi) pionierską działalność, która z jednej strony wskazuje, w jaki sposób można pogodzić islam z zachodnią demokracją, a z drugiej strony dowodzi, że społeczne zaangażowanie przyczynia się do integracji i tym samym pomaga rozwiązywać problemy migracyjne.

Krytycy ostrzegają jednak, że Gülen i jego zwolennicy na zewnątrz pokazują swe liberalne oblicze, tymczasem przy okazji infiltrują społeczeństwo. Prawdziwym celem tej działalności jest ich zdaniem skuteczna misja islamizacyjna. Necla Kelek, publicystka pochodzenia niemiecko-tureckiego, określa zwolenników Gülena jako „sektę o strukturze koncernu”. Natomiast znawca islamu Ralph Ghadban jest zdania, że pod „pseudomodernistyczną powłoką” kryją się „poglądy islamistyczne”^[155]. Wyraża opinię, że ten ruch skutecznie stosuje metody tajnych związków. Im głębiej ruch Gülena zakotwiczy się w społeczeństwie, tym większy wpływ będzie mógł na nie wywierać. Jako przykład krytycy przywołują aresztowanie w Turcji dwóch dziennikarzy, którym postawiono zarzut, że zamierzają wydać krytyczną książkę o Gülenie.

Krótko mówiąc – jedni widzą w organizacji Gülena rodzaj islamskiej Caritas, inni natomiast raczej mahometańskie Opus Dei. Według krytyków pod humanistyczną powłoczką kryje się tajny związek religijny, którego celem jest panowanie islamu nad światem. Być może nawet rację mają i jedni, i drudzy. Problem oceny nie leży w gestii samego Gülena, lecz w gestii zachodnich demokracji, które wyczerpały już swoje wartości i którym brakuje jakiegokolwiek empatii. Czyni je to bezbronni wobec kaznodziejów i ideologów mobilizujących wokół siebie ludzi w oparciu o ich religijne potrzeby. Meksykański pisarz Octavio Paz trafił w dziesiątkę, twierdząc, że demokracja zachodnia jest w sensie duchowym pozbawiona serca. Nie jest areligijna, nie – jej religią jest cynizm. Sytuacja nie jest jeszcze poważna – ale stanie się taka w chwili, gdy samo centrum społeczeństwa dosięgnie jakaś całkowita metafizyczna lub moralna niepewność. Wtedy tajemne religie staną się ośrodkami ruchów mobilizacyjnych.

Dyskusja na temat tajemnej religii Gülena pokazuje z drugiej strony, jak mało wiemy w gruncie rzeczy o islamie, od dawna obecnym w Europie i wpływającym na tutejszą politykę. Ciągłe zdumiewa nas mobilizacyjna siła religii

Mahometa, opisywana często jako „ulica arabska”. W naszym zglobalizowanym świecie te „arabskie ulice” są wszędzie, tak w Berlinie, jak w Kairze, Londynie czy Nowym Jorku. Utalentowany kaznodzieja bardzo szybko zyska i zorganizuje pokaźną liczbę wyznawców, jeśli dotknie czulego punktu ludzi i będzie dysponował odpowiednimi zasobami finansowymi.

Dla nas islam jest w najlepszym razie egzotyczny. W najgorszym razie postrzegamy go natomiast jako producenta terroru. Zazwyczaj nie zwracamy uwagi na fakt, że terror dopiero w drugiej kolejności kieruje się przeciwko USA i Zachodowi, na pierwszym planie ma samych muzułmanów. Tak stało się na przykład nocą 2 lipca 2010 roku, kiedy trzech fanatycy wysadzili się w powietrze w pakistańskim Lahore (w sufickim sanktuarium Data Ganj Bakhsh), zabijając co najmniej 42 muzułmanów i raniąc ponad 175 osób. W chwili zamachu w świątyni miały się znajdować tysiące ludzi modlących się i śpiewających religijne pieśni.

Z jednej strony wydaje się, że na celowniku islamistów znaleźli się akurat sufi, z drugiej strony wczesne ugrupowania islamistyczne wywodziły się właśnie z bractw sufickich. Więcej: to z sufizmu wywodzą się zdolności konspiracyjne i bezwzględny autorytet mistrza czy przywódcy.

Kiedy spojrzymy na duchową historię islamu nawet w ogólnych zarysach, to dostrzeżemy, że islamizm stanowi wielki upadek duchowy i teologiczny. Jest on bowiem w swej istocie nie tyle kierunkiem religijnym, ile stosunkowo młodą ideologią polityczną, takim muzułmańskim odpowiednikiem ruchu 1968 roku.

Na początku ubiegłego stulecia wielu młodych ludzi odnajdowało w islamie własną tożsamość, która pomagała im zwalczać zachodni kolonializm. Na tej fali powstało na przykład Stowarzyszenie Braci Muzułmanów, założone w 1928 roku przez Hasana al-Bannę, wywodzącego się z kręgów sufickich. Koniec kolonializmu państwowego nie oznaczał jeszcze końca zachodniej hegemonii. Nowe elity łączyły się z Zachodem i tworzyły skorumpowane rządy, które bogaciły się za jego przyzwoleniem. Pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych nowa generacja zbuntowanych młodych ludzi odważyła się na wystąpienie, podobnie jak ich rówieśnicy na Zachodzie, tyle że ich celem nie były *love and peace*; oni swój ostry sprzeciw kierowali przeciwko państwu wyznaniowemu, w którym decyduje prawo szariatu. Ta ideologia nie oferowała oczywiście wystarczająco wiele miejsca, by pomieścić całą zróżnicowaną paletę islamu, wszystkie oblicza jego teologii i literatury.

Jako zdeklarowani indywidualiści, sufi odrzucali islamistów, dla których

istnieje tylko jeden islam, zorientowany na potrzeby państwa totalitarnego. Sufi wierzyli natomiast, że każdy człowiek musi poszukiwać swojej drogi do Boga, przyłączając się do jakiegoś mistrza, który posłuży mu za przewodnika i pomoc na tej niebezpiecznej drodze. Od samego początku sufizmu odrzucali rząd, który postrzegali tylko jako utrapienie. Al-Hasan al-Basri (zm. 728), jeden z wczesnych sufich, nie ustawał w przypominaniu o daremności tego świata. Jego odrzucenie doczesnego życia miało siłę niemal gnostyczną: „Zachowuj się na tym świecie tak, jakby cię tu nigdy nie było, tak jakbyś nigdy nie opuszczał tamtego świata”^[156]. Nie widział niczego pewniejszego ponad to, że człowiek sam umiera i sam musi dokonać obrachunku ze swoim życiem.

Nie ma to jednak nic wspólnego ze światopoglądem tych, którzy mienia się anarchistami – wielu z nich to zwykli bałaganiarze. *An-archie* oznacza wprowadzenie bycia bez władzy, nie oznacza jednak życia bez jakichkolwiek reguł. Im bardziej człowiek żyje zgodnie z obowiązującymi regułami, tym mniej potrzebuje władzy albo rządu, który zawsze stanowi część problemu, a nie jego rozwiązanie. W tym sensie można uznać sufich za doskonałych, niedoścignionych anarchistów: żyją według ściśle wyznaczonych reguł i odrzucają wszelkie rządy oraz wszelkie panowanie, ponieważ ich zdaniem motywacja do sprawowania władzy wypływa z takich grzechów, jak żądza, próżność i brak współczucia.

Georgius z Siedmiogrodu został w XV wieku wzięty w turecką niewolę, zaciągnięty do Anatolii i sprzedany. Przez dwadzieścia lat był na służbie u Turków, a po powrocie napisał *Traktat o obyczajach, warunkach życia i podstępach Turków* (*Tractatus de moribus, conditionibus et nequicia Turcorum*). To, co dla Siedmiogrodzianina Georga czy Georgiusa de Hungaria, jak sam siebie jako autor nazywa, oznaczało ciężki los i trudne przeżycia, to dla badaczy stanowi szczęśliwy przypadek, gdyż jego *Traktat* stanowi znakomitą relację naocznego świadka na temat codziennego życia w imperium osmańskim tuż po upadku Konstantynopola w 1453 roku. Niewiele jest wcześniejszych i właściwie nie ma dokładniejszych relacji życia i zachowania sufich.

O sufich Georg pisał: „Z wielką gorliwością oddają się specjalnym modlitwom i rekolekcjom duchowym w postaci nocnego czuwania i medytacji. Nigdy nie męczą ich ciągle modlitwy. [...] schodzą się nocą, siadają w kręgu, zaczynają mówić Laylachillalach (tur.-arab. *La ilaha illallah*: Nie ma Boga poza Allachem) i kiwając głowami, powtarzają to przez pewien czas. Następnie mówią Lahu (Bóg) i powtarzają w ten sam sposób. Na koniec mówią Hu hu (Hu znaczy On, a więc – Bóg) – i znowu to powtarzają aż do chwili, kiedy jak omdlali padają i zasypiają”^[157].

Georg mówił także o heretykach, o pewnej sekcji sufich, która w obliczu uniwersalnej religii miłości nie dokonuje rozróżnienia na wyznania: „Czwarta grupa natomiast nazywa się w ich języku *horife*, co oznacza herezję”^[158]. Prawdopodobnie miał na myśli hurufitów. *Huruf* oznacza literę, a nazwę zakonu można przetłumaczyć jako tych, którzy czytają litery. Próbowali oni uaktywnić się również w chrześcijaństwie. Oto co dalej pisze Georg: „Uważa ona [sekcja hurufitów], że każdy zostanie zbawiony w swoim prawie i że każdy naród albo plemię ma swoje prawo od Boga, w którym będzie zbawiony; wszystkie przepisy są w równej mierze dobre dla tych, którzy ich przestrzegają i żadnego nie wyróżniają nad inne”^[159]. Tego rodzaju idea wydała się establishmentowi islamskiemu podejrzana i godna prześladowania. „Ci ludzie są dla Turków podejrzani, uważani za schizmatyków i kiedy się ich znajdzie, to się ich pali”^[160].

Dla niektórych sufich nie ma znaczenia, czy Bóg naprawdę nazywa się Allah. Co do niektórych innych bractw sufickich, to trudno powiedzieć, czy one w ogóle są islamskie. W każdym razie nie dokonują rozróżnienia między chrześcijaństwem, islamem i judaizmem, ponieważ w szatach religii dostrzegają jedynie zewnętrzną formę. Z kolei pewne bractwa są całkowicie muzułmańskie i dla nich Mahomet jest pierwszym sufim. Inni znowu czczą także Jezusa albo Mojżesza czy Abrahama jako protoplastów, albo wszystkich proroków i patriarchów. Mistrz Hakim Sanai (zm. 1191) tak o tym pisał: „Dotarłszy raz do morza, nie mówisz już o rzekach”^[161].

U wielkiego mistyka Rumiego, od którego wywodzą się tańczący derwisze, czytamy:

„Przysięgam na Boga: na świecie nie ma naprawdę tych siedemdziesięciu dwóch sekt i wyznań.

Każde wyznanie, każda sekta, to jestem Ja”^[162].

Przeciwko Salmanowi Rushdiemu z daleko bardziej błahych powodów wydano fatwę, a więc islamską opinię prawną, w której grożono mu śmiercią.

Jeden z wczesnych mistrzów sufickich, Hudżwiri, streścił rozumienie sufich, ogłaszając w *Objawieniu ukrytego*: „Istnieją trzy formy kultury: kultura świecka, samo gromadzenie informacji; kultura religijna, trzymanie się zasad; kultura elity, samo-rozwoj”^[163].

Sufi przyjmują nadrzędny punkt widzenia bliski Bogu, zainteresowany tym, co istotne, co od zawsze było i zawsze będzie, nietracący czasu na przypadkowe formy religijne. Małe misteria przeznaczone dla ludu są dla niego niczym więcej, jak tylko przedstawieniem ze śmiesznym mručeniem. Koncentrują się na wielkich misteriach, na tajemnicy, na tym, co ukryte, do czego się zbliżają podczas ryzykownych podróży.

Wiadomo, że islamscy ortodoksi obserwowali sufich co najmniej tak krytycznie, jak chrześcijańska inkwizycja mistyków. Tym niemniej zdumiewające jest to, że dawni mistrzowie suficy potrafią do dziś wywoływać burzliwe debaty. Pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia w egipskim parlamencie, wśród arabskiej opinii publicznej oraz na słynnym islamskim uniwersytecie Al-Azhar w Kairze doszło nieoczekiwanie do gwałtownych starć. Chodziło o to, czy należy zakazać ksiąg Muhiyuddina Mohammeda ibn Arabiego, zwanego Wielkim Nauczycielem (*asz szajch-al-akbar*), ponieważ niektórzy ortodoksyjni muzułmanie uznali jego przemyślenia za heretyckie.

Ibn Arabi żył przed siedmiuset laty. Urodził się w 1165, a zmarł w 1240 roku. Trudno chyba o bardziej wymowny dowód trwającego nadal oddziaływania religii mistycznej niż próby wprowadzania zakazu dzieł bardzo dawnych mistrzów sufickich i ataków terrorystycznych przeciwko miejscom ich upamiętniającym. To tak, jakby w niemieckim Bundestagu debatowano, czy należy zakazać niemieckiego mistyka Mistrza Eckharta, ponieważ Kościół katolicki uznał niektóre jego aksjomaty za niezgodne ze swoją oficjalną nauką.

UNIWERSALNA RELIGIA MIŁOŚCI

Awanturyczny obraz sufich powstał na Zachodzie na początku XIX wieku za sprawą europejskich podróżników na Wschód, którzy publikowali po powrocie swe relacje. Opisywali w nich ludzi związanych ciężkimi łańcuchami, w których musieli stale chodzić, ludzi chodzących nago albo z przekłutymi uszami czy ustami, siadających na deskach nabijanych gwoździami, przekłuwających sobie igłą biceps i co tam jeszcze dziwnego można było wymyślić. Pisali i o innych, że śpiewali, tańczyli, wyli albo miauczeli jak koty, którym oddawali cześć. Ci mężczyźni zwali się fakirami i swymi praktykami mieli wyrażać pogardę dla złego świata.

Na pytanie, kim właściwie są sufi, można odpowiedzieć prosto, mimo różnorodnych form ich życia czy przejawów wiary: są mistykami, poszukiwaczami Boga, przekonanymi, że istnieje ukryta i tajemna ścieżka do Chwały Pańskiej,

którą trzeba jedynie odszukać. To mówi wszystko i nie mówi niczego.

Sufi usilnie dążą do jedności z Bogiem. Cała ich miłość skupia się na tym, co niewyobrażalne, nienazywalne, absolutne. Zakładają przy tym, że kiedyś istniało przymierze między Bogiem i ludźmi. Według Koranu (sura 7, wers 172) Bóg zapytał najpierwszych ludzi przed stworzeniem świata: „Czy Ja nie jestem waszym Panem?”. A oni mu na to odpowiedzieli: „Tak. Zaświadczamy!” (wszystkie cytaty z Koranu w przekładzie Józefa Bielawskiego).

Ten dzień przed wszystkimi dniami, kiedy pierwsi ludzie zaświadczyli o wyjątkowości Boga, kiedy istniał tylko Bóg i ci pierwsi ludzie, stanowi dla sufich stan idealny, do którego chcieliby powrócić. Na końcu wszystkich dni, w dzień po wszystkich dniach, sufi chciałby stać przed Bogiem jak w dzień przed wszystkimi dniami i zaświadczyć Bogu, że jest Panem i jedynym Bogiem. W tym wyznaniu mistycy dostrzegali pełne zjednoczenie z Bogiem. Sufi Abdallah Ansari (zm. 1088) trafnie to ujął w następującej modlitwie:

Mój Boże!

Noszę koronę,

patrzę na Ciebie;

sam jestem tylko pyłem pokryty,

patrzę na siebie^[164].

Bardzo to przypomina gnostyczne rozważania o iskrze spadającej z *pleromy* i jej powrocie do pełni. Nazywa się to także *tauḥīd*, wyznanie jedności, jak to ujmuje muzułmańskie wyznanie wiary (*schahāda*): *lā illāha illā ‘illāhu* – nie ma Boga poza Bogiem. Sufi odrzucają ten świat i chcą powrotu do dnia, w którym Bóg mówił w ten sposób do ludzi. Ten dzień zwany jest również dniem *alastu*, ponieważ pytanie Allacha „Czy Ja nie jestem waszym Panem?” po arabsku brzmi *alastu bi-abbikum?* Dlatego negowali pozorny świat, w którym żyli, i mówiąc: Nie ma niczego poza Jedynym, jeszcze umacniali się w *tauḥīd*. Dlatego Allah był Jedynym, któremu wolno było mówić *Ja*, był wręcz jedyną rzeczywistością (*al-haqq*), wszystko inne było nierzeczywiste. W surze 28, wers 88, czytamy:

I nie wzywaj wraz z Bogiem innego boga!

Nie ma boga, jak tylko On!

Wszelka rzecz zginie z wyjątkiem Jego oblicza.

Do Niego należy Sąd i do Niego będziecie sprowadzeni!

Jak w dawno minionych dniach wczesnego chrześcijaństwa, także pierwsi sufi żyli w przekonaniu, że Sąd Ostateczny nastąpi za ich życia. Z czasem odkrywali jednak, że trzeba na niego jeszcze poczekać. A zatem to człowiek ponosił odpowiedzialność za to, by podobać się Bogu i móc kiedyś znaleźć się w jego łasce. Równocześnie sufi znaleźli coś wyjątkowego, niezrównanego: prezent Boga dla prawdziwie pobożnych, polegający na rozwiązującej wszystko, wszystko przewyższającej i całkowicie uszczęśliwiającej miłości, która zbawia w sensie absolutnym. Stosunek sufich do Boga coraz bardziej wyrażał się w modelu miłości. Ibn Arabi pisał:

O szczęście!

Ogrodzie pośród płomieni.

Me serce otwarte jest dla wszelkiej formy.

Dla gazeli jest pastwiskiem,

Dla chrześcijańskich mnichów – klasztorem,

Dla bogów – świątynią,

Dla pielgrzymów – Kaba,

Jest stołem dla Tory,

Księgą dla wersetów Koranu.

Wyznaję religię miłości,

Jakąkolwiek prowadziły drogą.

Jej ślad jest mą religią i wiarą^[165].

Tłumacząc dosłownie sformułowanie „Moją wiarą jest miłość”, można też powiedzieć: „Wyznaję religię miłości”. W innym tłumaczeniu dwa ostatnie wersy brzmią: „Podążam za religią miłości, gdziekolwiek jej rumaki poniosą”^[166].

Miłość do Boga jest całą wiarą, która nie jest związana z zewnętrznymi przejawami ani z instytucjami religijnymi. Czy jest to gazela, symbol piękna, oznaczająca jednak także ukochaną, której pastwiskiem jest serce poety, czy służy jako klasztor chrześcijańskiego mnicha, świątynia bożków, tablice albo zwoje żydowskiej Tory czy muzułmańskiego Koranu – serce sufiego, jako miejsce miłości, jest otwarte dla wyznawcy każdej wiary, dla żyda, chrześcijanina, muzułmanina, poganina, przede wszystkim jednak dla tego, kto szuka piękna i pragnie zbliżyć się do Boga, do którego się modli. Doskonale piękno jest w Bogu i to sam Bóg jest pięknem, niezależnie od tego, jak go nazwiemy. Być może w interpretacji tych wersów można się posunąć nawet do tego, że religia miłości, gorącego dążenia do zjednoczenia z Bogiem, tak jak jednoczą się na zawsze kochankowie, gdy przestaje istnieć „Ja” i „Ty” – że taka religia występuje we wszystkich wyznaniach właśnie jako religia tajemna.

Jest zupełnie zrozumiałe, że uczeni w prawie i ortodoksi, ale także islamiści żywią nienawiść wobec wyznawców takiego światopoglądu. Nic też dziwnego, że chcieliby zakazać takich utworów jak ten przytoczony utwór Ibn Arabiego. Odrzucenie i prześladowanie uniwersalnej religii wydaje się odsłaniać strach tych wszystkich, którym chodzi o władzę, niezależnie od tego, jakimi ideologiami i teologiami chcą się przy tym zasłaniać. Niepokój wywołuje bowiem pytanie – gdyby wszyscy tak robili i tak wierzyli, to czy religijny establishment wszelkich wyznań nie rozpadłby się w proch i pył? Albo poglądy sufich nie są ortodoksyjne, albo też są głęboko ortodoksyjne. Odbija się w nich bowiem właściwa, głęboka, wewnętrzna religijność.

Co Bóg ma do tego, do jakiej świątyni chodzi się modlić pobożny człowiek? Co ma do tego miłość? Czy jest to meczet, świątynia, synagoga czy kościół – budowle, podobnie jak wyznania, do których należą, są jedynie formami, jakie nadają im ludzie. A miłość to coś więcej. Ponieważ więc miłość to coś więcej, to jest ona autentycznym środkiem wyrazu samego Boga, gdyż on, jak wiadomo, jest kimś więcej niż ludzie i wszystkie świąty, które z niego biorą początek. Miłość może mu służyć jako środek porozumiewania, ponieważ jest mu najbliższa.

Może trudno ją sobie wyobrazić, ale to taka miłość, która od samego początku pozbawiona jest wszelkiego pożądania, która nie myśli o posiadaniu, a którą starożytni Grecy nazwali *agape*^[167]. Oczyszczając ziemską miłość, sufi

wysublimowali pożądanie seksualne do postaci nienasyconego pragnienia zjednoczenia się z Bogiem, kochankiem czy kochanką. Uważają, że Bóg przemawia językiem miłości.

U św. Pawła czytamy: „Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość – te trzy: z nich zaś największa jest miłość” (1 Kor, 13, 13). Natomiast perski poeta Hafiz, którego tak doskonale przybliżył nam Goethe w *Dywanie Wschodu i Zachodu*, znalazł następujące słowa:

Jasno i wyraźnie to mówię, a moje serce cieszą moje słowa:

Jestem sługą Miłości i nie mają nade mną władzy światy oba^[168].

Prawdziwie miłujący przewyciężył konwencje świata w takim stopniu, że już pokonał samo przewyciężanie i jest wyzwolony od świata doczesnego i od przyszłego, ponieważ dla kogoś, kto urzeczywistnia się w Bogu, oba te światy nie mają znaczenia.

Podziwu godne, jak bardzo mistycy żydowscy, chrześcijańscy, gnostycy i sufi zgadzają się w swoich wyobrażeniach miłości jako ontologicznej komunikacji Boga – i jak bardzo różnią się w tym od religii dalekowschodnich.

Centralnym pojęciem postawy wszystkich muzułmanów, ale szczególnie sufich, wobec Boga jest *dhikr* – oznacza ono myślenie o Bogu, zarówno w jego istocie, jak i w praktycznych formach. Wzywaniu Boga przez ustawiczne powtarzanie jednego z jego imion – można je powtarzać do dwunastu tysięcy razy – połączone jest na przykład z ruchem, tańcem i/albo ćwiczeniami oddechowymi. Zwłaszcza te ostatnie umożliwiają osiągnięcie stanów ekstatycznych dzięki hiperwentylacji. W specyfice *dhikr* zawarte są znaki rozpoznawcze poszczególnych bractw sufickich. Niektóre formy są tajne, w innych, na przykład w przedstawieniach tańczących derwiszy zakonu Mewlewije, założonego przez Rumiego, można uczestniczyć za pieniądze.

Istnieją różne interpretacje pochodzenia terminu „sufi”. Najczęściej łączy się je z arabskim słowem *suf*, oznaczającym wełnę, gdyż asceci wśród sufich na znak braku oczekiwań nosili rodzaj włosienicy. Inni natomiast uważają, że początki tego określenia związane są z hiperpoprawnym wymawianiem greckiego słowa *sophos* (mądrość). Jeszcze inni przywołują arabskie słowo *safa* (czystość). Jedno z najpiękniejszych wyjaśnień tłumaczy słowo „sufi” jako „ludzie przedsionka” albo „ludzie werandy” (*ahl as suffa*), którzy swe życie przeżyli w obecności proroka

(Mahometa): cisi, pobożni i skromni, nie wzbudzając sensacji ani zainteresowania, tak jakby ich tam nie było. Wszystkie ich myśli i dążenia polegały tylko na radowaniu się z całego serca z obecności Proroka – jest to prawdziwa postawa mistyczna, gdyż najwyższym celem mistyki jest *unio mystica*, zjednoczenie z Bogiem. Bliskość Mahometa jako przyjaciela Boga, który nawet towarzyszył Allahowi podczas podróży po niebie, wydawała się pobożnym muzułmanom najwyższym osiągnięciem. Bliżej Boga już być niepodobna. Nam również nie jest obce to zjawisko: jeśli znamy kogoś, kto był obecny podczas jakiegoś wydarzenia, to mamy wrażenie, jakbyśmy sami w nim uczestniczyli.

Wrogowie i przeciwnicy sufich wskazują na to, że pojęcie „sufizm”, *tasawwuf*, nie występuje w Koranie; nie ma tam też rdzeni tego słowa. Poza tym uważają, że wiara w zbliżenie się do Boga czy wręcz zjednoczenie z nim jest najczystsza herezją i obrazą Boga. Allah jest ich zdaniem poniżany, kiedy sprowadza się go do poziomu człowieka. Jak można się zjednoczyć z kimś, kto znajduje się tak daleko od człowieka, nie ściągając go do swojego rynsztoka, pytają islamiści. Kto jednak – tak jak oni – dąży do całkowitej władzy, ten musi oczywiście surowo zwalczać każdą indywidualną drogę do Boga.

Mahomet – pierwszy sufi?

Fascynująca historia tajemnej religii sufich zaczyna się na Bliskim Wschodzie i oczywiście na pustyni, na Pustym Miejscu, na Półwyspie Arabskim. Tu właśnie w VII wieku w imię Jedynego Boga, Allacha, Mahomet zjednoczył plemiona Półwyspu Arabskiego. Wielu mistyków uważa, że to właśnie Mahomet był pierwszym sufim.

Czy wystąpienie Mahometa spowodowane było jakimś kontaktem z Żydami i – przede wszystkim – heretyckimi chrześcijanami? A może sprawcą wszystkiego był Archanioł Gabriel, z którego usług korzystał zarówno Jahwe, jak i Bóg chrześcijan, skoro wszystkie trzy monoteistyczne religie wykazują tak zaskakująco wiele wspólnego? Czy należałoby uznać, że Jahwe, Bóg i Allah to jeden Stwórca? W każdym razie Jezus nie podważał Starego Testamentu, a Mahomet uznawał Mojżesza i Jezusa za proroków Boga, tyle że siebie samego uznawał za ostatniego zwiastuna Objawienia. Podejrzenie naruszenia „praw autorskich” byłoby jednak niesłuszne, ponieważ Prorok (Mahomet) podawał do wiadomości cytaty i zapożyczenia, co czyniło zadość ówczesnym wymaganiom.

„Droga prosta”, o której ciągle mówi się w Koranie, odnosi się także do tego, że Mojżesz i Jezus wskazywali właściwe drogi, z których ludzie wciąż jednak

zbaczali, i dlatego Bogu wydało się konieczne ponowne wprowadzenie ich przez Mahometa na właściwą ścieżkę. Powstaje jednak pytanie, dlaczego Mahomet mógł być taki pewny, że nie spotka go los poprzedników i wystąpienie nowego proroka miałyby być konieczne, gdyby Bóg nie stracił ostatecznie cierpliwości do ludzi. Nasuwa się przypuszczenie, że to Bóg oświecił Mahometa w tej kwestii podczas udzielania mu wskazówek. Dlaczego nie? Ten argument posiada wartość teologiczną, niestety nie ma żadnej wartości historycznej.

W tym kontekście w biografii proroka rzucają się w oczy dobrze znane fakty, potwierdzające hipotezę wyrażoną w odniesieniu do Chrystusa i Maniego, że prorocy mieli do pokonania własne „stopnie kariery”, swoistą ścieżkę zaszczytów (*cursus honorum*). Podobnie jak w przypadku Jezusa i Maniego, także narodziny Mahometa wiążą się z niezwykle wyjątkowymi wydarzeniami i osobliwymi znakami: W noc poczęcia Proroka pojawiły się różne znaki; tamtej nocy zwierzęta domowe Kurajczyków mówiły: „Poczęty został Mahomet i, na Pana Al-Kaby, on jest imamem świata i światłością jego mieszkańców. Rankiem wywróciły się trony królów na całym świecie. Dzikie zwierzęta ze Wschodu spieszyły do tych na Zachodzie i niosły im radosną nowinę. Podobnie gratulowali sobie mieszkańcy mórz. W każdym miesiącu ciąży jakiś głos wołał w niebie i na ziemi: szczęście, bo zbliżył się czas, że się narodzi Abu l-Qasim... [przydomek Mahometa]”^[169]. Nadzwyczajne wydarzenia są zapowiadane nadzwyczajnymi znakami.

Wyjątkowe wydarzenia zapowiadają zazwyczaj wyjątkowe znaki.

Ibn Abbas przekazał sen Aminy, matki Mahometa, jaki miała w czasie ciąży. „Kiedy minęło sześć miesięcy mojej ciąży, we śnie ukazał mi się taki i powiedział: Amina, nosisz w sobie najlepszego na świecie... Usłyszałam donośny odgłos i głośny hałas, który mnie przestraszył. Potem dostrzegłam coś jakby białe skrzydło; pogładziło mnie po sercu i znikły wszelkie lęki i obawy, jakie czułam...”^[170] Przypomina to nawiedzenie Maryi z Nowego Testamentu, gdzie posłańcem również jest Archanioł Gabriel. Podobne omeny i zapowiedzi spotykamy u takich postaci jak Mojżesz, Mani, Dawid, Jezus i wielu innych bohaterów. Narodziny bogów i proroków zawsze stanowią dla ich otoczenia pewien rodzaj stresującego testu.

Nie może oczywiście zabraknąć świętej liczby dwanaście. Kiedy Mahomet miał dwanaście lat, towarzyszył swemu wujowi Abu Talibowi w podróży karawaną do Syrii, gdzie mieszkało wielu chrześcijańskich heretyków, mnichów i na poły szalonych kaznodziejów. Mieszkali tu gnostycy i chrzciciele. W metropolii Busra na południowym zachodzie Syrii wuj i siostrzeniec napotkali pewnego

chrześcijańskiego mnicha.

Nie wiadomo, niestety, jakiego dokładnie wyznania był ów mnich o imieniu Bahira, czy należy mówić do niego jak do heretyka, czy jako do prawowiernego, ale wraz ze swoją całą odziedziczył cały stos starych ksiąg. Jeden z rękopisów zapowiadał przyjście nowego proroka i pisał o szczegółach, po których będzie można go rozpoznać. Kiedy karawana zbliżała się do miejsca postoju, znajdującego się w pobliżu eremu mnichów, Bahira dostrzegł unoszącą się nad karawaną małą chmurkę, która zdawała się ją osłaniać. Gdy karawana wreszcie się zatrzymała, chmura także pozostała w jednym miejscu. Bahira wiedział od razu, co to oznacza, przygotował posiłek i zaprosił podróżnych do siebie. Spoglądał każdemu z nich uważnie w twarz, ale u żadnego nie znalazł opisanych w księżce znaków. Po wielokrotnie ponawianym pytaniu, czy istotnie wszyscy zjawili się na posiłku, dowiedział się od Abu Taliba, że w obozie pozostał jego dwunastoletni siostrzeniec, by dopilnować wielbłądów. Bahira poprosił, by sprowadzić i jego na posiłek. Już kiedy Mahomet się zbliżał, mnich rozpoznał w nim opisywane znaki. Poprosił chłopca, by zdjął górną część ubrania, i między łopatkami odkrył znamię, pieczęć proroka, która mówiła, że jest wysłańcem Boga. W Nowym Testamencie starzec Symeon także przepowiedział wyjątkowe znaczenie Jezusa. I podobnie jak Maniemu, prorockie posłanie zostało Mahometowi przekazane, kiedy miał dwanaście lat, a więc u progu dojrzewania.

Od dwudziestego piątego roku życia Mahomet zajmował się prowadzeniem karawan handlowych z Mekki do Syrii na zlecenie Chadidży, z którą później się ożenił. Zwyczajem podróżujących kupców było poszukiwanie obcych towarzyszy rozmowy w miastach postojów i noclegów, by w ten sposób dowiedzieć się nowin ze świata. Tak żądny wiedzy młody człowiek jak Mahomet na pewno wielokrotnie wypatrywał interesujących rozmówców. Wchodził więc w kontakty z żydami, chrześcijanami, gnostykami, manichejczykami oraz zwolennikami wielu innych światopoglądów i wyznań.

Ebionicy byli Żydami uważającymi się za następców pierwszej gminy chrześcijańskiej, którzy chcieli pozostać w nurcie judeochrześcijańskim. Arianie deprecjonowali Jezusa, a wywyższali Boga, podkreślając ludzką naturę Chrystusa, a minimalizując jego boskość, co powodowało, że Jezus był dla nich bardziej prorokiem niż Bogiem. Monofizyci natomiast zaprzeczali ludzkiej naturze albo minimalizowali jej znaczenie, ponieważ liczyła się dla nich wyłącznie boska natura Jezusa. Temu z kolei sprzeciwiali się nestorianie, którzy chcieli widzieć w Maryi tylko rodzicielkę Chrystusa-człowieka, a nie Matkę Boską. To nadałoby ich zdaniem Maryi cechy pogańskiej bogini.

Wspólne tym wszystkim poglądom było to, że ich wyznawcy odrzucali pogląd Kościoła na temat Jezusa. Nie zgadzali się z tym, że w Jezusie istnieją dwie oddzielne natury – ludzka i boska – oraz że Jezus został zrodzony z Maryi (a nie stworzony). Z tego powodu Kościół prześladował ich jako heretyków. Wykluczeni, osiedlali się na obrzeżach chrześcijańskiego świata.

Ze wszystkimi tymi poglądami i sporami stykał się młody Mahomet. Kontrowersje istniejące między nimi znalazły odzwierciedlenie w Koranie, kiedy Mahomet ogłosił, że monoteizm jest podstawowym warunkiem islamu. Najgorszy grzech widział we współwyznawaniu innych bogów (*shirk*). Kto postrzegał Jezusa jako proroka, ten otrzymywał jego zgodę, ale kto chciał w nim widzieć Syna Bożego i Boga, ten według objawienia woli bożej popadał zdaniem Mahometa w politeizm, najcięższy grzech! W Koranie jest wiele apodyktycznie wyrażonych przesłanek, że Bóg jest tylko jeden i nie toleruje innych obok siebie.

Podróże wiodły Mahometa nie tylko na północ, ale i na południe, do prowincji Asi i do Jemenu, wzdłuż szlaku kadzidlanego, gdzie były potężne królestwa żydowskie. Prawie niezauważalny dowód rozmów z Żydami stanowią żydowskie święta, takie jak wiosenne święto Paschy (*passah*), chrześcijańska Wielkanoc, jesienne święto zbiorów, czyli Święto Namiotów (*hag-a-sukkot*) i przejęty od Aramejczyków Jom Kippur, które także muzułmanie świętują jako arabskie *umra*, *hadżdż* i *aszura*.

Przechodzimy do świętej liczby czterdzieści. Według Koranu (sura 7, wers 142) Mojżesz spędził czterdzieści dni z Bogiem, Panem. W tym czasie Bóg wprowadzał go w tajemnice świata i objaśniał mu, co ma powiedzieć swojemu ludowi oraz jak powinni postępować ludzie. Jako doświadczony czterdziestoletni mężczyzna Mahomet zaczął mieć wizje i słyszał głos Archaniola Gabriela objawiającego mu wolę Bożą.

Mahomet relacjonował to następująco: „Czasami słyszałem nad sobą dźwięk dzwonu. Był to dla mnie najtrudniejszy rodzaj objawienia. Kiedy usłyszałem, co mi objawiano, wtedy się to przerywało”^[171]. Wydaje się jednak, że miały miejsce także wizje, gdyż opowiada dalej: „Czasami ukazuje mi się anioł w postaci mężczyzny. Mówi do mnie, a ja zapamiętuję jego słowa”^[172].

Nikt wcześniej nie męczył się tak jak Mahomet. Mojżesz usłyszał objawienie na górze Synaj, Jezus wiedział bez objawiania, był bowiem Synem Bożym i ucieleśnionym Słowem, a Maniemu objawił się bliźniak, który po bratersku

wprowadził go w tajemnice. Tylko Mahometa co jakiś czas nawiedzał Archanioł Gabriel, aż przekazał mu wszystko, co znajduje się w Koranie. Na podstawie tych technik objawiania można rozpoznać podstawowe zasady pedagogiczne danego ludu. Już na początku anioł zachowywał się irytująco i przemawiał z pozycji siły: „Anioł chwycił mnie i przydusił, że niemal straciłem przytomność. Potem odstąpił ode mnie i rzekł: Powiedz ludziom! Odparłem: Nic im nie powiem! Pochwycił mnie znowu i przydusił, że myślałem, że to śmierć nadchodzi”^[173]. Ostatecznie jednak powiedział. Na początku Mahomet obawiał się, że ma do czynienia ze zjawą albo z diabłem, ale anioł zwiększał siłę nacisku i przekonał go tym, że to naprawdę objawienie Boże, które ma przekazać ludziom.

Prorok zwrócił się jednak o radę do starego przyjaciela rodziny. Waraqa ibn Naufal spędził życie na poszukiwaniu Boga i w końcu przyjął chrześcijaństwo. Kiedy jako oślepy starzec usłyszał opowieść Mahometa, przez jego pomarszczoną twarz przebiegł promień światła i Waraqa stanął na równe nogi: „Ty jesteś prorokiem tego ludu. Anioł Gabriel przyszedł do ciebie, tak jak przyszedł do Mojżesza. Nazwą cię kłamcą, będą obrażać, próbować wypędzić i zabić”^[174].

Należy przy tym powiedzieć, że Waraqa ibn Naufal – choć chrześcijanin, a może właśnie dlatego – mocno wierzył, że po pierwsze, świat nie potrzebuje niczego bardziej jak przyjścia proroka i że ten – to po drugie – powinien się wywodzić z któregoś z arabskich plemion, ponieważ one jakoby najpilniej proroka potrzebują.

Waraqa ustawił w Al-Kabie, gdzie znajdowało schronienie 360 bożków, także wizerunek Maryi, Matki Boskiej. Chciał zainteresować Arabów chrześcijaństwem, odwołując się do arabskiej bogini al-'Uzzā. Arabowie nie byli pod jakimś wielkim wrażeniem Dziewicy Maryi i pozostali wierni swoim bożkom. Tym większą nadzieję miał Waraqa, że nadejdzie arabski prorok porównywalnie silny i skuteczny jak Mojżesz czy Jezus. Ślepotą Waraqa nie oznaczała ułomności, lecz pełnię symbolizującą mądrość, jak u Tejrezjasza, ślepego wieszczka z *Iliady*, który wszystko przewiduje. Legenda głosi też, że Homer był ślepyim śpiewakiem, ociemniałym wprawdzie, ale wszystko widzącym i wiedzącym.

Dla apologii islamu postać Waraqa odgrywa istotną rolę. Pokazuje, że profetyczny przekaz Mahometa został zaakceptowany przez chrześcijan. W końcu nie uważał się on za jedyne proroka, lecz za ostatniego z proroków.

W każdym razie wizje stanowiły kłopotliwe zajęcie. „Był bardzo chłodny dzień. Kiedy nadchodziło objawienie, z jego skroni kapały krople potu”^[175].

Bezpośrednie spotkanie z Bogiem (boskością) czy Diabłem (diabelskością) u wszystkich ludów i we wszystkich czasach stanowiło sytuację całkowicie wyjątkową, w której nie istniało nic pewnego i nie obowiązywały kryteria znanego świata. Niekiedy trudno odróżnić, co było boską inspiracją, a co raczej przypadkiem do zbadania przez psychiatrę. Dylemat zaczyna się od samej wiary w zjawiska nadprzyrodzone. Kto wierzy w istnienie Boga, ten musi przynajmniej dopuszczać możliwość istnienia Diabła. A jak ma się rzecz z egzorcyzmami? Współczesne Kościoły chrześcijańskie pomijają to pytanie – w każdym razie publicznie – i pozostawiają pole tajemnym religiom.

W czasach Mahometa żaden rozsądny człowiek nie wpadłby na pomysł, by dzielić świat na rzeczywisty, w którym istnieje tylko wiara w naukę, i świat irracjonalny, w którym wiara postrzegana jest już niemal jako zabobon. Dla Mahometa i jego współczesnych Zło istniało równie prawdziwie jak Dobro.

Dla sufich Mahomet jest przede wszystkim Prorokiem, który otrzymał objawienia od Archanioła Gabriela i który udał się na legendarnym rumaku Buraku w podróż do nieba. Sufi tęsknią do takiego spotkania z Bogiem, jakie odbył Mahomet. Chcieliby pod tym względem naśladować Proroka. Dlatego wyrażenie „dwa łuki” posiada najwyższą wartość mistyczną, gdyż opisuje, jak bardzo można się zbliżyć do Boga, bo tak zbliżył się do Najwyższego Mahomet podczas swojej podróży do nieba.

Kiedy Mahomet zjednoczył plemiona arabskie pod sztandarem Allacha, wojska islamskie zalały świat Środkowego Wschodu i północnej Afryki, zwanej Ifrikya. W końcu muzułmanie przeprawili się przez Gibraltar, zniszczyli państwo Wizygotów i ustanowili tu swoje emiraty. Ich zwycięski pochód zatrzymał w 632 roku majordom frankijski Karol Młot pod Poitiers w zachodniej Francji, gdzie zadał druzgocącą klęskę Abdowi-ar-Rahmanowi, namiestnikowi Al-Andalus.

Zarówno w Hiszpanii, jak i w Afryce i na Środkowym Wschodzie, w Persji i Indiach islam natykał się na stare tradycje kulturowe. Nowa, nie do końca jeszcze okrzepła religia, z jednej strony nakładała się na dotychczasową tradycję podbitych terytoriów, z drugiej strony tamtejszy sposób myślenia przenikał do islamu, tworząc w nim własne nurty. Wyraziste oblicze religijne i tradycje Iranu i Mezopotamii oraz Indii wpływały na islam, przyczyniając się do rozwoju i kształtowania tej młodej jeszcze religii. Mistyczny kierunek, jakim jest sufizm, w ogóle trudno byłoby objaśnić bez wpływu ważnego religijnie Środkowego Wschodu i filozofii greckiej, zwłaszcza neoplatoników.

Na koniach arabskich wojowników Mahomet wysłał swego Boga z interioru arabskiej pustyni w kształcącą podróż w świat. Z boga prowincjonalnego stał się on Bogiem znanym na świecie. Nic dziwnego, że niektóre ugrupowania sufich wywodzą się od Abu Bakra, teścia Proroka i utalentowanego wodza. Sufi także prowadzą wielką, totalną, świętą wojnę – wojnę przeciwko własnej duszy, przeciwko wszystkiemu, co w niej złe, gdyż człowiek jest uparty, bezbożny, zły i targany namiętnościami. Największe zwycięstwo odnosi ten, kto potrafi okiełznać własną zatwardziałą duszę.

DROGA SUFICH I JEJ STACJE

Sufi są przekonani, że każdy człowiek, który szuka swojej drogi do Boga, potrzebuje przewodnika na tę niesłychanie ryzykowną podróż, na której zagrażają szaleństwo, choroby i psychiczny zamęt. Dzięki określonym praktykom medytacji sufi eksperymentowali ze stanami świadomości jak Hindusi z jogą, posługując się przede wszystkim kontrolą oddechu.

Nie wiadomo dzisiaj, na ile sufi w swoich podróżach po Indiach nauczyli się technik jogi i przenieśli je na rodzimy grunt. W każdym razie istnieją książki arabskich uczonych na temat jogi, jak choćby tłumaczenie dzieła *Yoga-Sutra* Patanialego, dokonane przez persko-muzułmańskiego uczonego al-Biruniego (zm. 1048).

Intensywne zajmowanie się stanami duchowymi doprowadziło niektórych sufich do tego, że zostali lekarzami. W każdym razie nie była im obca koncepcja medycyny psychosomatycznej. Często porównywano *szajcha* (arab. „starzec, człowiek sędziwy”) albo *pira* (pers. „stary człowiek, mędrzec”) do lekarza diagnozującego i leczącego choroby duszy.

Wszystkie religie w ten czy inny sposób wykorzystują praktykę kształcenia adeptów poznania przez przewodników duchowych. W średniowiecznych klasztorach chrześcijańskich nowicjuszy kształcił *lektor*. Takim lektorem był na przykład niemiecki mistyk Mistrz Eckhart, lektor i nauczyciel życia. W buddyzmie rolę przewodnika duchowego pełni *guru*. U sufich jest to sufi mistrz (*szajch* albo *pir*), któremu uczeń (*murid*) winny jest bezwarunkowe posłuszeństwo. Mistrzowie sufich są na ogół wielkimi przewodnikami duchowymi lub psychologami, dlatego mogło upłynąć nieco czasu, nim *murid* znalazł właściwego mistrza. Nie każdy bowiem mistrz jest odpowiedni dla każdego ucznia. Jeśli jednak *szajch* przyjął *murida* na naukę, to uczeń musiał być mu całkowicie posłuszny. Uczeń miał się

zachowywać wobec nauczyciela jak zmarły w rękach myjącego zwłoki. To makabryczne porównanie przywołujemy dlatego, że w języku niemieckim wywodzi się z niego określenie *kadavergehorsam*, które dosłownie oznacza „posłuszeństwo trupa” i jest odpowiednikiem polskiego „ślepego posłuszeństwa”. Obraz ten ma podwójne znaczenie, ponieważ *murid*, uczeń, miał umrzeć dla świata, by pójść inną drogą, udać się w podróż do Boga. Obumarcie dla świata i posłuszeństwo wobec mistrza stanowiły swoistą jedność.

Jezus także wymagał posłuszeństwa: „A jeśli kto przychodzi do Mnie, a nie ma w nienawiści swego ojca i matki, żony i dzieci, braci i sióstr, nadto i siebie samego, nie może być moim uczniem. Kto nie nosi swego krzyża, a idzie za mną, nie może być moim uczniem” (Łk 14, 26–27). Wielu chrześcijan woli dzisiaj rozumieć to miejsce alegorycznie, ponieważ wyprowadza ich z równowagi i niepokoi, że z tych słów przemawia raczej praktyka jakiejś tajemnej religii niż rygoryzm moralny.

Z wyborem przewodnika wiąże się oczywiście jakiś specjalny kierunek sufizmu, jakaś specyficzna droga, którą odtąd będzie kroczył *murid*. Termin *tariqa* oznacza tradycję, w jakiej rozwija się bractwo sufickie, oraz drogę sufizmu, a więc nurt jego wiary i nauczania. Można wysnuć odległą paralelę z chrześcijańskimi zakonami mniszymi, które również mają różne własne reguły. Decydująca różnica polega na tym, że każda kongregacja mnisza musi uzyskać aprobatę papieską, natomiast bractwo sufickie nie potrzebuje żadnego potwierdzenia. Samo ma się natomiast troszczyć, by łańcuch jej mistrzów sięgał aż do Mahometa.

Murid zostaje przyjęty i wyświęcony przez przybicie ręką ręki mistrza, co łączy go z całym łańcuchem wcześniejszych mistrzów tego bractwa aż po Proroka Mahometa, który jest uważany za pierwszego sufiego. Uczeń odkłada świeckie odzienie, zamieniając je na więcej niż skromny ubiór w kolorze ciemnoniebieskim, na którym znać ślady cerowania, łatania etc. To właśnie połatane ubranie symbolizuje biedę, którą sufi uważają za ważną cnotę.

Do podstawowego kanonu wiedzy adepta należy najpierw łańcuch mistrzów tradycji, w której ma żyć (*tariqa*). Przez trzy pierwsze lata oczekuje się od niego tylko posługi, wykonywania bez skargi najniższych i najprostszych obowiązków, jak choćby mycie latryn.

Post w odosobnieniu

Kiedy mistrz przyjął już ucznia, to ponosi odpowiedzialność za jego rozwój

psychiczny, fizyczny i duchowy. W oparciu o ocenę jego stanu musi decydować, jakie ćwiczenia są dla niego odpowiednie, jakie obciążenia można na niego nakładać i które z nich będą pomocne w rozwijaniu jego duchowych możliwości i odpowiednie do kondycji fizycznej. Droga sufiego nie jest bowiem przyjemną wycieczką na łono natury. Na początku odbywa się czterdziestodniowy post w odosobnieniu (*arba'in*), w czasie którego *murid* nie tylko pości, ale i przebywa w samotności, by móc się bez reszty skoncentrować na własnej duszy.

Ćwiczenie czterdziestodniowego postu pochodzi od Mojżesza, który spędził czterdzieści dni z Bogiem, jak mówi Koran (sura 7, wers 142). W tym czasie – to też była swego rodzaju klauzura – Bóg wprowadził go w tajemnice świata.

Niełatwe to przedsięwzięcie: wytrzymać czterdzieści dni w samotności, nie mieć nic oprócz siebie i samemu sobie wystarczać. Trzeba mieć dużą siłę duszy, żeby myśli, tak chętnie w czasie postu błądzące wokół jedzenia, kierować w stronę Boga i sprawdzać własną duszę. Ucznia często wysyła się do niewielkiego, a przy tym także ciemnego pomieszczenia – jest tam uwięziony jak dusza w ciele. Ograniczona przestrzeń nie pozwala się poruszać – ale on też nie ma się ruszać, tylko siedzieć i medytować. Raz dziennie zagląda do niego przewodnik (*szajch*). Podczas trwania klauzury i po niej wypytuje *murida* o jego przeżycia, wyobrażenia, myśli, odczucia, sny i wizje.

Za miejsca odpowiednie do odosobnionego postu uważa się wydrążone, puste w środku drzewa, jaskinie albo ziemianki. Przypomina to anachoretów, pierwszych chrześcijańskich mnichów pustelników, którzy osiedlali się i mieszkali w tego typu miejscach: w studniach, ciasnych jamach w ziemi, ale także na słupach i drzewach. Jednakże nie tylko dziedzictwo wczesnych mnichów odgrywało tu rolę; znacznie bardziej oddziaływały na sufich ascetyczne praktyki buddystów i dżinistów. Wielu wczesnych *szajchów* pochodziło z terenów dzisiejszego Afganistanu, Pakistanu oraz Iranu. Przewędrowali oni Indie – zazwyczaj dolinę Indusu – wchodząc w kontakty z buddystami i dżinistami.

Rzuca się w oczy jeszcze to, że ta praktyka bardzo przypomina rytuały przejścia, jak bar micwa, komunია czy konfirmacja, w których młody człowiek musi umrzeć dla świata, by wkroczyć w nowy świat. U sufich ciasne pomieszczenie symbolizuje oczywiście grób, a połatane ubranie, jakie *murid* otrzymuje na początku – całun. Dusza musi zostać oczyszczona, inaczej się nie da, wcześniej musi porzucić dawny świat. Wejście do ciemnego pomieszczenia jest równoznaczne ze śmiercią, czterdzieści dni to najbardziej niebezpieczne przejście. Nie wiadomo, czy się uda – nie ma bowiem trudniejszej walki niż walka z własną

duszą.

Kiedy *szajch* po czterdziestu dniach przywraca *murida* do świata, jest to zarazem „przyniesienie na świat”, powtórne narodziny, świat bowiem, w który wkracza *murid*, nie jest już tym samym starym światem, ponieważ on nie jest już tym, kim był wcześniej. Ten nowy *murid* dostrzega teraz więcej wymiarów rzeczywistości. Proces ten można w jakimś sensie porównać do przejścia od świata dwu- do trójwymiarowego, choć tak naprawdę jest to przekroczenie świata czterowymiarowego. Do odpowiadającej naszym wyobrażeniom trójwymiarowości przestrzeni jako czwarty wymiar dochodzi czas; piątym wymiarem jest ponadmysłowość – nie z powodu wampirów, zjaw czy złych duchów (no, może czasami), ale dlatego, że człowiek opuścił w postrzeganiu świata klatkę zmysłów. Piąty wymiar to przewyżczenie czasu i przestrzeni.

Post w odosobnieniu ma za zadanie oczyszczenie duszy z nieczystości świata. Jest on warunkiem deautomatyzacji świadomości. Celem jogi oraz technik sufickich jest poszerzenie świadomości. Droga do tego celu rozpoczyna się ćwiczeniami oddechowymi, by przełamać automatyzm, to, co nieświadome w naszym postrzeganiu. Dopiero wtedy można dostrzec to, co świadomość zazwyczaj zakrywa, ponieważ wydaje się mało istotne. Nasza świadomość funkcjonuje jak system ABS podczas jazdy samochodem albo jak automatyczny pilot w samolocie: podejmuje decyzje na podstawie zebranych parametrów jazdy, i zazwyczaj się nie myli. Niekiedy jednak zdarzają się sytuacje, w których lepiej wyłączyć pilota i przejść na ręczne sterowanie. A zbliżanie się do Boga jest taką właśnie sytuacją.

Mistrz powinien przerwać samotny post ucznia, jeśli stwierdzi, że nie dojrzał on jeszcze do samotności. Jeśli natomiast sufi chce oczyścić swą duszę, by osiągnąć wyższy stopień poznania, może takie czterdziestodniowe posty powtarzać tak często, jak tylko zechce, kiedy *szajch* albo on sam uznają to za potrzebne. Niektórych sufich chwalono, że w swoim życiu odbyli czterdzieści takich czterdziestodniowych postów. Droga sufiego jest podróżą.

Siedem stanów duszy

W tej podróży także zetkniemy się z liczbą siedem, ponieważ sufi przechodzi siedem stacji w drodze w pobliże Boga. Najgorszym wrogiem sufiego jest jego własna dusza: egoistyczna, skorumpowana przez świat i obciążona wszelkimi grzechami – to z nią prowadzi wojnę, która jest dla niego prawdziwą świętą wojną. Ta próba sił jest dla niego największą i najtrudniejszą walką; nikt nie potrafi też

przewidzieć, czy będzie to walka zwycięska.

Siedem stacji traktuje się często jako siedem stanów (lub stadiów) duszy. Sam arabski termin *nafs* może zresztą oznaczać – podobnie jak grecka *pneuma* – zarówno duszę, jak i tchnienie (oddechu). Sufi rozróżniają:

1. *Nafs-i-ammara* – dusza władcza lub despotyczna, która nic o sobie nie wie i żyje w grzechu, zwana także duszą, która pobudza do złego (Koran, sura 12, wers 53).

2. *Nafs-i-lawwamna* – dusza oskarżycielska bądź ganiąca, która zna swoje braki. W przenośnym znaczeniu można rozumieć ją także jako sumienie.

3. *Nafs-i-mulhama* – dusza rozpoznająca lub inspirująca, która potrafi już funkcjonować na wyższym poziomie świadomości.

4. *Nafs-i-mutmainna* – cicha albo zgodna dusza. Człowiek uzyskuje wtedy równowagę. Nazywa się ją także duszą, która osiągnęła pokój, zatem jest oczyszczona z wszelkiego zła.

5. *Nafs-i-radiya* – dusza spełniona lub zadowolona. Nowe doświadczenia wzbogacają duszę, ale nie można ich logicznie przekazać, a tylko opisać za pomocą analogii i metafor. Na tym etapie dokonuje się zmiana świadomości, spowodowana deautomatyzacją postrzegania.

6. *Nafs-i-mardiya* – dusza spełniona, która osiągnęła już odmienność, czyli swoje prawdziwe Ja, i może się zbliżyć do Boga.

7. *Nafs-isafiya wa kamila* – dusza doskonała i oczyszczona. Na tym etapie dusza nie tylko ma doświadczenie i możliwość przejścia do innego wymiaru, ale może prowadzić tą drogą i nauczać innych.

Ścieżka sufich stanowi oczyszczanie duszy, która na początku znajduje się w złym, pożałowania godnym stanie, a w dodatku tkwi w uporze. Należy ją okiełznać jak narowistego konia. W świecie sufich jest ona bytem jak najbardziej realnym, mogącym istnieć poza ciałem i przyjmować postać – na przykład – czarnego psa. Od najdawniejszych czasów w ludowych wierzeniach Zło (Zły) z upodobaniem wciela się w czarnego czworonoga, co w komicznej wersji znalazło wyraz w *Fauście* Goethego, kiedy Faust zabrał do domu diabła jako pudła.

Nafs przedstawia się często także w postaci węża – to wyobrażenie również wywodzi się ze starych pogańskich wierzeń. Zdumiewająco wielu mistrzów sufich pochodziło z terenów dzisiejszego Afganistanu, jak Rumi, albo z Iranu lub Pakistanu, czyli z ojczyzny czarnoksiężników – i jak na spadkobierców czarowników przystało, potrafiło się też posługiwać magicznymi środkami. I tak potrafili na przykład oślepić węże za pomocą szmaragdu, w czym duchowa siła mistrza łączyła się z zielenią szmaragdu. Złe cechy nie były jednak niszczone – pod tym względem sufi różnili się od wielu innych ascetów – lecz odwracane, aby ich energia się nie zmarnowała, tylko służyła Dobru. Postów i braku snu używali sufi do wychowywania *nafs*.

Zazwyczaj to mistrz wprowadzał zainteresowanego na tę ścieżkę. Zdarzały się jednak przypadki, że ktoś podejmował trud inicjacji i przebycia tej podróży samodzielnie, bez jakiegokolwiek mistrza. Udaną próbę przejścia wszystkich stacji bez pomocy z zewnątrz podjął na przykład Ibn Arabi. Nie potępiano tego sposobu, a nawet go uznawano, ponieważ jemeński pasterz Uwais al-Qarani został wtajemniczony przez samego Mahometa podczas wizji, jaką miał we śnie. Poza tym akceptowano również inicjację dzięki zmarłym sufim, uznawanym za świętych. Sławnego sufiego Fariduddina Attara (1136–1221) wtajemniczał mistyk i męczennik Halladż. Attar i Halladż nigdy się nie spotkali, ponieważ śmierć jednego od narodzin drugiego dzieliło 214 lat.

Prawdziwy cel mistyka polega na zjednoczeniu z Bogiem. By to osiągnąć, sufi udaje się w drogę. Niezbędne jest przy tym przestrzeganie prawa (*szariat*), z którego wynika ścieżka sufiego (*tariqa*) – samo słowo *szariat* wywodzi się właśnie od słowa *shar* – droga, ulica. Z tej etymologii wynika więc, dlaczego *Koran* mówi ciągle o prostej drodze, która jest drogą prawa i reguły. I tak jak ścieżka odchodzi od drogi, której nie zaprzecza, tak oddziela się droga muzułmanina pozostającego na tej drodze, od sufiego, który podąża ścieżką (*tariqa*), by osiągnąć olśnienie (*haqiqa*).

Mistycy chrześcijańscy w średniowieczu znali podobny podział: *via purgativa* – to była droga oczyszczenia, *via contemplativa* – droga rozmyślań i wreszcie *via illuminativa* – droga oświecenia. Kiedy się porówna mistyków chrześcijańskich średniowiecza z ówczesnymi sufimi, to rzuca się w oczy tyle podobieństw, jakby w tamtym okresie istniały islam, chrześcijaństwo, judaizm, a jako tajemna religia – mistyka.

Siedem stacji drogi

Odpowiednio do siedmiu stanów duszy sufi znali także siedem stacji drogi, które musieli osiągnąć w czasie swego rozwoju duchowego. Nazwy i interpretacje treści poszczególnych stacji różnią się w różnych tradycjach sufickich. Nie istnieją ściśle definicje, na których można się oprzeć, raczej jest to myślenie wokół jakiegoś zagadnienia. Odpowiada temu również specyficzna terminologia, mniej zdefiniowana logicznie, preferująca raczej objaśnienia metaforyczne. To myślenie nie istnieje po to, by dokonywać pomiarów jakichś przestrzeni, lecz by otwierać nowe obszary. Z tego względu można podać nazwy tych stacji tylko jako punkty orientacyjne i ogólne schematy myślowe.

Stacje te stanowią warunek osiągnięcia stanów czy też sposobów istnienia duszy (albo „wewnętrznego człowieka”, jak chcą inni). Oto one:

1. *Tauba* – skrucha
2. *Tawakkel* – ufność w Bogu
3. *Zuhd* – rezygnacja, wyrzeczenie
4. *Faqr* – ubóstwo
5. *Sabr* – cierpliwość
6. *Shukr* – wdzięczność, zaufanie
7. *Wudżud* – pogodzenie się z losem.

1. *Tauba* – droga sufiego zaczyna się od skruchy, która prowadzi do tego, że człowiek wstydy się swojej nikczemnej duszy i żywi pragnienie poprawy, przy czym jednocześnie odwraca się od świata.

2. *Tawakkel* – człowiek potrzebuje ufności w Bogu, by pójść tą drogą i porzucić świat. Ten krok powoduje bowiem, że pali się za sobą wszystkie mosty łączące ze światem i rezygnuje z wszelkiego bezpieczeństwa, jakie ten świat rzekomo oferuje. Bez zaufania do ostatecznego celu niemożliwe jest rozpoczęcie tej drogi; żeby się w nią udać, trzeba mieć zaufanie do Boga.

3. *Zuhd* – dlatego właśnie rezygnacja i wyrzeczenie znajdują się na poczesnym miejscu – po to, by wymazać wszystko inne, co mogłoby odwracać od wiary w Boga. Co więcej, dla niektórych sufich *tawakkel* stanowi najwyższą formę

wyrzeczenia. Ważne, by nie zdawać się już na żadne zewnętrzne wrażenia. Sufi mają po temu ważny powód, bo gdyby zdali się na coś jeszcze prócz Boga, zostaliby oskarżeni o czczenie innych bogów (*shirk*) i podpadliby pod zarzut ukrytego politeizmu (*shirk khafi*). Zdając się na cokolwiek innego, postawiliby to obok Boga. Sufi twierdzą, że nic nie może zaszkodzić sufiemu, jeśli wszystkie jego myśli kierują się wyłącznie ku Bogu – niestraszny mu wtedy dziki zwierz ani okrutny człowiek. Nic na świecie nie jest też w stanie oddzielić go od prawdziwego szczęścia, jeśli jego jedyną radością jest Bóg. Dzięki temu sufi ma nadzieję na swój udział w szczęściu absolutu. Człowiek, który niczego się nie boi, niczego się nie obawia i niczego na świecie nie oczekuje, a zatem nie żywi nadziei (*tul-al-amal*) – taki człowiek osiągnął wewnętrzny pokój.

4. *Faqr* – ubóstwo, od którego wywodzi się słowo fakir i które ma takie samo znaczenie dla sufich jak dla franciszkanów. Wielkie, rozległe hale w meczetach, podobnie jak puste miejsca w arabeskach, stanowią architektoniczny symbol ubóstwa. Ubóstwo oznacza pustkę, nicość, gdyż człowiek musi zrezygnować ze wszystkiego, co go oddziela od Boga. Sufi mówią, że ten, kto posiada, jest opętany. A kto niczego nie posiada, osiągnął ich zdaniem byt doskonały, ponieważ uczynił w sobie miejsce dla Boga, a Bóg jest bytem absolutnym. W buddyzmie natrafiamy na podobną ideę, kiedy droga do szczęścia polega na przewycięzeniu pragnień, żądz, jednym słowem: chęci posiadania^[176]. Najtrudniejszym zadaniem sufiego jest wyzbycie się rezygnacji. Oznacza to takie uwolnienie się od myślenia o posiadaniu, że przestaje się myśleć, że się człowiek czegoś wyrzeka – tak jak oddychając, nie myśli się o oddychaniu. Kiedy człowiek przewycięży poczucie wyjątkowości wyrzeczenia i rezygnacji – tak jak nie myśli się, idąc, że się idzie – oznacza to, że wyzbył się rezygnacji. Dopiero kiedy człowiek osiągnie ubóstwo, przypadnie mu w udziale bogactwo Boga. Określenia „wyzbycie się” i „rezygnacja” nie są tu zupełnie odpowiednie, gdyż zakładają jakiś element aktywności zainteresowanego. O wiele precyzyjniej oddałoby to pojęcie niemieckich mistyków średniowiecznych „zniknięcie” (*Entwertung*), które jest przeciwieństwem słowa *Werden* – stawanie się. *Zniknięcie* może się dokonać bez udziału człowieka, nie wymaga jego uczestnictwa, gdyż zarówno logicznie, jak i językowo jest to zwyczajna bzdura. To nie balon wypuszcza z siebie powietrze, tylko ono z niego uchodzi. Kiedy ubóstwo jest absolutne, wówczas człowiek staje się *fana*, co oznacza, że stworzył w sobie miejsce dla Boga. Sufi Fariduddin Attar ujął tę myśl następująco:

Kto bowiem w Nim [tzn. w Bogu] zniknie, uwolni się od samego siebie –

bo gdyby był w sobie, to nie byłby w Nim!

Niszcz, ale nie mów o rezygnacji;

Dawaj swoje życie, ale nie licz!

Nie znam większego szczęścia

niż to, kiedy człowiek rezygnuje i traci”^[177].

Zadowolenie (*rida*), jest powiązane z wdzięcznością (*shukr*), a w niektórych systemach stanowi nawet pewien aspekt wdzięczności, oznacza, że człowiek znalazł pokój, którego szukał, i nie chce go już, ponieważ otrzyma go od Boga.

W końcu dochodzi jeszcze trudne do zaklasyfikowania wejście na stopnie miłości lub poznania – przy czym sufi spierają się, czy wyżej stoi miłość czy poznanie (gnoza). Nie ma też zgodności co do tego, czy tylko trzy ostatnie stopnie naznaczone są przez miłość lub poznanie, czy też miłość i poznanie wzajemnie się warunkują.

7. *Wudżud*. Celem jest jednak *wudżud*, co można przełożyć jako byt lub egzystencja w Bogu. *Wudżud* stanowi też podstawowy termin mistyka Ibn Arabiego. Chodzi w każdym razie o to, że mistyk całkowicie roztopi się w Bogu, że Kochany (sufi często tak się zwracają do Boga) i kochający zupełnie się zjednoczą. Czas, cierpienie i świat tracą byt. *Wudżud* oznacza w dokładnym przekładzie „bycie odnalezionym”. Dopiero teraz w pełni zrozumiała jest idea sufich. Mistyk poszukuje, by wreszcie zostać znalezionym przez Boga. Jednakże by zostać znalezionym, musi krok po kroku wyrzekać się tego, co ziemskie, musi *zniknąć*, być pustym naczyniem, w którym Bóg ma miejsce. Rumi tak o tym pisał:

„Żaden kochający nie poszukiwałby zjednoczenia, gdyby Kochanek także nie poszukiwał jego”^[178].

Halladż opisywał ten proces na przykładzie ćmy, która najpierw dostrzega światło świecy, następnie zbliża się do niego i czuje ciepło, a wreszcie oddaje się całkowicie płomieniowi i ginie w nim.

W ten sposób dochodzimy do trzech ostatnich stopni wejścia do *wudżud*. Mistyk po pierwsze zastępuje złe cechy ziemskiej duszy cechami boskimi, a po drugie owo *zniknięcie* dokonuje się wobec Boga. Dusza zanurza się w światłości Boga. Po trzecie mistykowi udaje się poprzez *zniknięcie* osiągnąć stan, kiedy

między nim a Bogiem nie ma już nic więcej, niczego nie musi już sobie wyobrażać. Nie stoi już wobec Boga, lecz znalazł Boga, ponieważ został przez Boga znaleziony i teraz stali się jednością. Jak światło, które wtapia się w światło, jak kropla wody wpadająca w morze. Nie ma już Ja i nie ma Ty. Junaid, mistyk, ujął to następującymi słowami: „Miłość nie osiągnie pełni, zanim jedno nie powie do drugiego: O Ja!”^[179].

Sufich podejrzewano często, że są ukrytymi manichejczykami. Na manichejczyków często mówiono na Środkowym Wschodzie *zandaqa*, co jest arabskim określeniem heretyka. Tam manicheizm powstał, tam miał najważniejsze oparcie i tam w VII i VIII wieku był okrutnie prześladowany przez kalifów.

W muzułmańskim wyznaniu wiary znajdują się słowa „Nie istnieje żaden bóg poza Bogiem”. Sufi Fakhruddin Iraqi wyraża to słowami „Nie istnieje żaden bóg poza Miłością”^[180]. Czy kryje za tym może wyobrażenie nikczemnego manichejczyka, że dusze są zagubionymi iskierkami odległego i oddalonego Boga, które dążą do tego, by znowu się z nim połączyć, a on ze swej strony próbuje je przyciągnąć i umożliwić im powrót? Czy o to chodzi, kiedy sufi modli się do Boga przez Miłość i marzy o *wudżud*, o znalezieniu i byciu znalezionym? Idea *wudżud* istnieje także w judaizmie. W Starym Testamencie czytamy: „Pan jest z wami, gdy wy jesteście z Nim. Jeśli go będziecie szukać, znajdziecie” (2 Krn 15, 2).

TOWARZYSZE PROROKA

Pierwsi sufi byli przede wszystkim ascetami żyjącymi w oczekiwaniu na Sąd Ostateczny. Nie różnią się w tym od pierwszych chrześcijan, którzy również czekali na Paruzję, drugie przyjście Chrystusa podczas Sądu Ostatecznego, i uważali, że dokona się to za ich życia. To, że oczekiwane wydarzenia nie nastąpiły, spowodowało szok, ale nie doprowadziło do zakwestionowania samej wiary. Zamiast tego zaczęto poszukiwać innych dróg do Boga, coraz bardziej oddalać się od świata, postrzeganego jako główna przeszkoda w zjednoczeniu człowieka ze Stwórcą.

Bóg był najwyraźniej gotowy dać się odnaleźć, jeśli tylko człowiek rzeczywiście i prawdziwie poszukiwał, a im bardziej do tego dążył, tym większa była szansa, że zostanie też przez Boga odnaleziony. Zjednoczenie z Bogiem oznaczało życie prawdziwe, a nie pozorne, prawdziwą egzystencję, w której nie ma pozorów i kłamstw. Sufi określali Allacha także jako Rzeczywistość (*al-haqq*), ponieważ tylko Allah jest rzeczywisty, i nic poza nim. Według sufich tylko Bóg ma prawo powiedzieć JA, ponieważ jest jedynym, który istnieje, jest jedynym

podmiotem, tym, który stwarza. Wszystko inne – człowiek i świat – jest tylko przez niego stworzone, a zatem także zależne od swego Stwórcy. Wskazówki Boga dla człowieka od dawna zawarte są w Koranie, który jest uważany za autentyczne słowo Boga. Cóż zatem prostszego, jak poszukiwanie wykładni zbawienia w Koranie? Perski mistyk Halladż (857–922) odkrył w Koranie zarówno znaki panowania, jak i wszystko, czego można się dowiedzieć o teraźniejszości i przyszłości. Interpretacja Koranu stała się nabożeństwem i niektóre jego wersy były interpretowane ponad tysiąc razy.

Na podstawie Koranu pierwsi sufi wnioskowali także o miłości między Allachem a ludźmi. Podstawową przesłanką miało być dla muzułmanów podporządkowanie się woli Allacha – słowo „islam” oznacza podporządkowanie, całkowite oddanie. Dla sufich jednak to miłość tworzy więź łączącą Boga z ludźmi. To dlatego mistrzowie sufizmu niezmordowanie ujmują swój stosunek do Allacha jako obraz kochającego i Kochanka. Mistycy ci stworzyli wielką lirykę miłosną, której druga, głębsza i zazwyczaj ukryta warstwa mówi o pożądaniu i tęsknocie za Bogiem. Oto słowa Rumiego:

Kochający tka bogaty atlas ze swej krwi, i brokatu,

by pod stopą Kochanego rozpostrzeć atlas i brokat^[181].

Natomiast Hafiz, największy może spośród sufich, pisze tak:

Na początku promień Twego piękna z blasku się wyłonił,

pojawiła się Miłość i na całym świecie roznieciła ogień.

Ukazałeś swą twarz i widząc, że anioły Miłości nie znają,

w ludziach ją rozпалиłeś, zazdrości ogniem sam się stając.

Wtedy i rozum chciał płomieniem tym swoją lampę zapalić,

ale blask zazdrości Twej zajaśniał i świat sobą podpalił.

Zarozumiały przybyć tu chciał, by ujrzeć Miłości sekrety,

lecz pojawiła się ręka Twa i uderzyła w jego pierś nadętą.

Innym jest radość pisana, dlatego w radości się pławią,
serca nasze zaś smutek poznały, więc w smutku udział mają.
Niebiańska dusza zamarzyła o dołku na podbródku Twoim,
dlatego w kajdany Twoich kędziorów włożyła ręce swoje.
Hafez owego dnia radosny list miłosny napisał do ciebie,
lecz przekreślił tym szczęście i wszelkie serca pragnienie^[182].

Nazwę sufich wywodziliśmy już od „ludzi werandy”, a więc tych, którzy żyli cicho, skromnie i niezauważalnie blisko Mahometa. Akurat w Persji powstały silne nurty mistyczne: zaratusztrianizm i manicheizm, które w naturalny sposób karmiły się tradycją, ale także indyjskimi ideami i praktykami, takimi jak buddyzm, braminizm, upaniszady i dżinizm^[183]. Perscy sufi legitymizowali swoją wiarę, wskazując na Salmana al-Farisiego, który jako jeden z pierwszych niearabskich „ludzi werandy” i przyjaciel Proroaka cieszył się wielkim autorytetem. A zatem perscy sufi posiadali własną pozaarabską tradycję i wnosili do myśli islamu perski pierwiastek – myśl, której dzieje można było prześledzić aż do czasów Mahometa i która dzięki temu zyskiwała legitymizację.

Od „ludzi werandy” pochodziła koncepcja, według której żyli sufi. Koncentrowała się ona na trzech pojęciach: *islam*, *iman* i *ihsan*. *Islam* oznacza całkowite podporządkowanie się woli Boga, *iman* – silną i niewzruszoną wiarę, a *ihsan* wskazuje na niezwykłą intensywność: „do Boga należy modlić się tak, jakby się go widziało”^[184].

Ponieważ wydaje się, że historia sufich rozpoczyna się w Kufie, centrum szyitów, a sufizm przejął z szyizmu wiele tragizmu, ponieważ powstały z niego tajemne religie i tajne związki religijne, konieczne jest zrozumienie przyczyn, jakie doprowadziły do trwającego do dzisiaj podziału społeczności muzułmańskiej (*umma*). Kto próbuje zrozumieć ten rozłam analogicznie do podziału katolików i protestantów, ten jest na niewłaściwej drodze. Rozłam w islamie dokonał się za sprawą polityki silnej ręki oraz mistyki.

Większość sufich uważa się za spadkobierców Mahometa i jego następcy, zięcia i kuzyna Alego ibn Abi Taliba, niewielka część natomiast (w tym muzułmanie w Niemczech) odwołuje się do Abu Bakra. Z Alim ibn Abi Talibem

rzecz się miała następująco: Imam Ali, urodzony w 598 roku w Mekce, w obrębie Al-Kaby, był pierwszym wyznawcą islamu. Mahomet dał mu (swojemu kuzynowi) za żonę własną córkę Fatimę. Ali pozostał wierny u boku Mahometa. Po śmierci Proroka odmówiono mu jednak następstwa, wybierając na pierwszego kalifa, czyli zastępcę Proroka na ziemi, energicznego wojownika Abu Bakra.

Szyici

Po zamordowaniu trzeciego „prawowiernego kalifa” Uthmana ibn Affana wybiła wreszcie godzina Alego. Wybrany na czwartego kalifa, nie nazwał się jednak zastępcą Wysłańca Bożego, jak to zapoczątkował Abu Bakr, lecz jedynie dowódcą wiernych. Mu’awija ibn Abu Sufjan, potężny namiestnik Damaszku, zlecił zamordowanie Uthmana, by później oskarżyć o ten czyn Alego i tym samym podważyć legalność jego kalifatu. W sporze tym nie chodziło jednak o religię, o wiarę, lecz wyłącznie o władzę w coraz większym i potężniejszym imperium spadkobierców Mahometa. Tak w każdym razie wyglądało to z perspektywy Mu’awiji; motywacje Alego były prawdopodobnie bardziej złożone.

We wspólnocie muzułmańskiej (*al-Umma al-islamijja*) zamieszkującej to wielkie terytorium rozciągające się od Afryki Północnej po Indie wybuchła wojna domowa o sukcesję po Mahomecie. Po bitwie pod Siffin (657) zwolennicy (*schia*) Alego podzielili się na dwie części. Charydźcy, podkreślający równość wszystkich muzułmanów, uważali, że imamat (legalna sukcesja po Proroku) nie powinien być kwestią kolejności „spadkobierców”, lecz że przywódcą muzułmanów powinien być po prostu najlepszy z całej wspólnoty, niezależnie od etnicznego pochodzenia czy koloru skóry. Zwolennicy Alego natomiast obstawali przy zdaniu, że imamem może być jedynie ktoś z rodziny Proroka.

W roku 658 doszło wreszcie do bitwy pod Nahrawan, w której charydźcy ponieśli dotkliwą klęskę i musieli się pogodzić z dużymi stratami. Ibn Muldżam, jeden z ocalałych w tej bitwie, wiedziony żądzą zemsty, dokonał 22 stycznia 661 roku (według islamskiej rachuby czasu był to 15. dzień ramadanu roku 40.) w Kufie zamachu na Alego, wskutek którego ten dwa dni później zmarł.

Po Alim nastął jako piąty kalif Mu’awija, założyciel dynastii Umajjadów. Umajjadzi kontynuowali podboje pod pretekstem misji, wspierali naukę i edukację, a w kwestiach religijnych wykazywali pewną swobodę, przez co wielu sufich ich odrzucało. Stąd pochodzi również zasadnicza niechęć sufich wobec rządu i panujących – stąd też wielkie uwielbienie dla Alego, kalifa-męczennika.

Sunnici

Kiedy w roku 680 w bitwie pod Karbalą zabity został syn Alego Husajn, między muzułmanami doszło do ostatecznego rozłamu na sunnitów i szyitów. Sunnici, których nazwa pochodzi od słowa *sunna* (tradycja Proroka), odwołują się do Abu Bakra, uznają także następców Mahometa (kalifów), którzy nie są jego potomkami. Szyici, *schia* Ali, akceptują jako przywódców tylko potomków Mahometa. Kiedy odwrócili się od sunnitów, odrzucili także kalifat.

Gdy sunnici obchodzą święto Aszury, wspominają bitwę pod Karbalą, w której zabity został Husajn, syn Alego. Tego dnia odczuwają przede wszystkim swój wielki grzech, ponieważ Husajn wraz z rodziną stał się ofiarą wroga, gdyż opuściła go większość jego zwolenników. W otoczeniu siedemdziesięciu najwierniejszych natknął się na wojsko kalifa Jazida I. Ze względu na ogromną przewagę liczebną nieprzyjaciela doszło do prawdziwej masakry, w której rocznicę do dzisiaj odbywają się żałobne procesje, a towarzyszą im akty samobiczowania, gdyż wspomina się wtedy grzech zdrady. Męczeństwo Husajna przedstawiane jest w kultowych inscenizacjach. Takie praktyki zadawania sobie bólu czy okaleczania się ku czci bogów, bogiń czy świętych postaci spotykamy u *galloi*, kapłanów Kybele, oraz u chrześcijańskich biczowników.

Śmierć Husajna pod Karbalą, którą szyici uważają za męczeństwo, doprowadziła ostatecznie do długotrwałego, utrzymującego się do dzisiaj rozbitcia społeczności muzułmańskiej, gdyż zwolennicy Husajna, szyici Alego, nigdy nie wybaczyli sunnitom i ich kalifom, że zabili ich przywódcę. Z drugiej strony kalifowie ciemnieżyli i prześladowali zwolenników Alego. Rozwiązania wymagała bowiem kwestia, kto ostatecznie powinien przewodzić muzułmanom, kalif czy imam. Odpowiedzi trzeba było szukać nie środkami teologicznymi, lecz militarnymi, chodziło w końcu o nieograniczoną władzę.

W tym brutalnym sporze, w którym szyici Alego często przegrywali, wytworzyła się zasada zwana *takijja* (pobożne skrywanie), odrzucana przez sunnitów. *Takijja* pozwalała szyitom ukrywać swą wiarę, jeśli przyznanie się do bycia wyznawcą Alego było zbyt niebezpieczne. W ten sposób stała się instytucją tajemnej religii najwyższej rangi, ponieważ kłamstwo w pewnych warunkach było legitymizowane przez religię.

Szyitom przewodzi nie zastępca Proroka, lecz imam. Rodzina Proroka jest dla nich święta, szczególnie linia, z której wywodzą się Fatima, córka Mahometa, i Ali. To z tej rodziny wywodzą się wszyscy imamowie. Stanowisko i tytuł imama

są zatem dziedziczne. Annemarie Schimmel nazwała szóstego imama Dżafara as-Sadyka (733–765) „największym nauczycielem wczesnego sufizmu”^[185], ponieważ po raz pierwszy opisał on dwanaście stadiów doświadczenia mistycznego, jakie towarzyszą sufiemu na ścieżce do Boga i przygotowują go na spotkanie z nim. Za czasów tego imama wprowadzono niepodlegającą zmianie zasadę wiary, że imam jest kierowany przez Boga, jest wprowadzony w tajemnice Koranu i jego interpretację, jest nieomylny, oraz że znajduje się w stanie *isma* (bezgrzeszności). Tym samym jest powołany do nauczania, przewodzenia społeczności wiernych oraz do interpretowania Koranu.

Imamici

Dogmat o dziedziczeniu imamaty doprowadził jednak do rozłamu wśród szyitów. Imamici uznają pierwszych dwunastu imamów i z tego względu nazywa się ich także „szyitami dwunastu imamów”. Kiedy zmarł Gafar, szósty imam, schedę po nim objął jego syn Musa. Od niego wywodzą się kolejni imamowie aż do jedenastego, al-Hasana al-Askari (868–874). Syn tego imama, Mohamet al-Mahdi (Mohamet Mesjasz) przepadł bez wieści. Imamici mówią, że „wszedł do wielkiego ukrycia”. Od tamtego czasu szyici uznający dwunastu imamów oczekują na powrót Mohameta al-Mahdiego, z którym łączą nadzieje na zbawienie. To nie jest miła, szacowna legenda, jak ta o cesarzu Fryderyku Barbarossie, który miał spać w oczekiwaniu lepszych czasów w górach Kyffhäuser, lecz fakt potwierdzony w konstytucji Islamskiej Republiki Iranu: imam Mohamet al-Mahdi w ukryciu jest oficjalną głową państwa irańskiego, którego uczeni w prawie zastępują jedynie w czasie jego nieobecności – czyli życia w ukryciu. Natrafiamy tu znowu na dobrze nam znaną świętą liczbę dwanaście: przebywający w ukryciu dwunasty imam jest zbawicielem.

ASCECI I POSZUKIWACZE BOGA – MISTYKA SUFICH

Pierwszym mistykiem określanym w źródłach jako sufi jest Abu Hashim z Kufy, świętego miasta szyitów. Na podglebiu bogatej tradycji religijnej (zaratusztrianizm, manicheizm, mandeizm oraz wiele form – także heretyckich – chrystianizmu) w Persji mógł się rozwinąć potężny tajny ruch religijny, będący duchową opozycją wobec kalifów umajjadzkich w Damaszku. Ruch ów postrzegał złą rzeczywistość wokół jako świat pozorny, który należało pominąć, „przeskoczyć”, by wylądować w rzeczywistości prawdziwej.

Z tej perspektywy odrzucenie rządów przez sufich staje się oczywiste. Rząd bowiem nie tylko stanowił zło z punktu widzenia religijnego i moralnego, ale też

nie miał żadnego znaczenia, ponieważ należał do instytucji świata pozornego. Z religijnego punktu widzenia rząd nie miał żadnej legitymizacji, a mimo to próbował się legitymizować, stosując argumenty właśnie natury religijnej. Rządzących tym bardziej dotykać musiało teologiczne odrzucenie przez mistyków, dlatego nie można było trwale wykluczyć prześladowań i konspiracyjnej ostrożności.

W obliczu różnorodnych idei religijnych w złotym trójkącie, jakim był w tamtym czasie Środkowy Wschód, zdumiewa jednak, że w poezji to Jezus stał się jedną z ulubionych postaci sufich – obok Mahometa oczywiście.

Ibrahim ibn Adham

Jednym z największych ascetów wśród wczesnych sufich był Ibrahim ibn Adham, który podobnie jak Hindus Siddhartha odrzucił życie w bogactwie, by żyć w biedzie i nieustającym myśleniu o Bogu. Już w jego pochodzeniu znać powinowactwo z buddyzmem, ponieważ urodził się w Baktrze, stolicy buddyjskiej Baktirii. Mówi się, że to od Ibrahima ibn Adhama pochodzą stopnie ascezy. Droga ascezy polega na tym, by po pierwsze porzucić świat, po drugie zrezygnować z poczucia szczęścia, które pojawia się, kiedy człowiek odwraca się od świata, i po trzecie zarzucić myślenie o ascezie. Takie podejście znamy z buddyzmu, ale z drugiej strony, jak widzieliśmy, prowadzi ono do idei zrezygnowania z rezygnacji. Sufi Shaiq al-Balkhi (zm. 809) pierwszy zaczął rozmyślać na temat światła czystej miłości Bożej.

Rabi' a al-Adawijja

Wśród pierwszych sufich imponującym zjawiskiem jest pojawienie się kobiety, poetki o nazwisku Rabi' a al-Adawijja (zm. 801). Często porównywano ją do Dziewicy Maryi ze względu na jej czystą miłość. Interesująca jest intensywność jej miłości do Boga, niepozostawiająca nawet trochę miejsca dla Proroka. Rabi'a al-Adawijja nie wyszła za mąż i odsunęła się od ludzi. W rzeczywistości rozstała się też z ascetami i podobnie jak Siddhartha, poszła nową drogą, która dla niej stała się tajemną ścieżką prawdziwej i głębokiej mistyki, głębokim pragnieniem zjednoczenia z Bogiem. Odrzucała piekło i raj jako puste pojęcia przesłaniające prawdziwą rzeczywistość, od której odwracają uwagę. „Chcę podłożyć ogień pod raj i zalać wodą piekło, by obie te przesłony znikły i by stało się jasne, kto modli się do Boga z miłości, a nie z lęku przed piekłem czy w nadziei na raj”^[186]. Wielka i wyłączna miłość do Boga, odwrócenie od świata i piękno słów wyrażających jej myśli sprawiają, że przypomina niemiecką mistyczkę Mechtyldę

z Magdeburga. Kiedy pewien mężczyzna starał się o jej rękę i proponował małżeństwo, Rabi'a odparła: „Propozycja małżeństwa odnosi się do jakiejś osoby. Tymczasem tu nie ma takiej, ponieważ stałam się niczym: żyję tylko w Nim, do Niego należę, podlegam jego rozkazom”^[187]. Takie zdania mogłaby wypowiedzieć także Mechtylda z Magdeburga.

Dhu'n-Nun

Dhu'n-Nun (zm. 859 lub 860) to jeden z największych mistyków, który opanował zarówno magię, jak i techniki alchemii. W swojej ojczyźnie, w Górnym Egipcie, zetknął się z alchemią i z gnozą, które wpłynęły na jego rozważania o poznaniu Boga. Wydaje się, że Dhu'n-Nun połączył sufickie wyobrażenie Boga z myśleniem filozoficznym, zwłaszcza ideami hermetycznymi i neoplatońskimi, obecnymi wówczas w Egipcie i w całym świecie śródziemnomorskim, gdzie były wręcz tematem rozmów na targowiskach. Ponieważ z drugiej strony stosował praktyki magiczne, stał się postacią owianą legendą, wokół której narosło tak wiele niezwykłych historii, że bardzo trudno rozpoznać prawdziwego i autentycznego Dhu'n-Nuna.

Sufizm zachowuje wprawdzie wszystkie elementy, jakie odkrywa w ciągu swego istnienia, ale jego różne kierunki podkreślają niektóre z nich raz mocniej, raz słabiej. Do takich bardzo popularnych elementów należało ukierunkowanie na ascezę; jako następna w centrum znalazła się miłość do Boga, o którą trzeba zabiegać przez całe życie. Dhu'n-Nun spowodował, że tradycja hermetyczna i filozoficzna zyskały przystęp do sufizmu.

Bajazyd al-Bistami

Wraz z Persem Bajazydem al-Bistamim (zm. 874) do sufizmu przedostała się teologia negatywna, na której odcisnęła swe piętno także mistyka chrześcijańska. Wydaje się, jakby Abu Yazid Bistami czytał Dionizosa Areopagitę, ojca mistyki chrześcijańskiej – w każdym razie znajduje się u niego podstawowa myśl teologii negatywnej, głosząca, że Bóg jest tak wielki i znajduje się tak wysoko ponad ludzkim myśleniem, że nie można o nim nic powiedzieć. Można powiedzieć jedynie, czym on nie jest, a nie: kim jest.

Niekiedy ogarnia nas zdumienie nad wielkimi nurtami myśli i wiary, a potem czujemy niepokój, ponieważ nie potrafimy właściwie orzec, czy i jakie wpływy one wywarły. Czy Dionizosa Areopagitę istotnie należy uważać za ojca teologii negatywnej i mistyki? W końcu tak samo wpłynął na chrześcijan, jak i na

muzułmanów. A może mamy tu raczej do czynienia z paralelnym rozwojem wynikającym z istoty monoteistycznego wyobrażenia Boga Stwórcy? A może są to wyobrażenia egipskie i żydowskie, rozpowszechnione na całym Zachodzie, ale i na Wschodzie, jak nasiona, z których w różnych regionach wyrastają piękne kwiaty o niespotykanej urodzie?

Abu Yazid Bistami żywił przede wszystkim nieopanowaną tęsknotę do zjednoczenia z Bogiem, mogło się więc zdarzyć, że pijany ekstazą wykrzyknął: „Chwała mi za moją największą chwałę!”. W tych ulotnych chwilach osiągał stan, kiedy Bóg w niego wnikał i mówił przez niego. Kiedyś spytano Bistamiego, co sądzi o człowieku, który pije jedną czarę wina i który będzie ją pił przez całą wieczność. Chodziło o człowieka, który całe życie żyje tą jedną chwilą jedności z Bogiem. „Tego nie wiem – odparł Bistami – wiem jednakże, że jest tu człowiek (on sam – red.), który przez dwadzieścia cztery godziny syci się obiema wiecznościami i ciągle woła, że jeszcze chce...”^[188]

Ta nienasycona, w swojej energii niemal porażająca tęsknota za odnalezieniem Boga szła w parze i pociągała za sobą pragnienie poznania siebie samego. Tylko ten bowiem, kto pozna samego siebie, pozna także Boga, gdyż Bóg jest jedyną rzeczywistością, a człowiek tylko jego stworzeniem. Po stworzeniu poznaje się Stwórcę. To namiętne pragnienie najlepiej przedstawia anegdota. Kiedy jakiś człowiek przybył do domu Bistamiego, ten zapytał go, kogo szuka. „Bajazyda” – odparł gość. „Nieszczęsny – rzekł Bajazyd – od trzydziestu lat sam go szukam i nie znajduję ani jego imienia, ani znaku po nim...”^[189]

Dżunajd

Bistami kochał stan mistycznego upojenia, natomiast Dżunajd (zm. 910), mistrz z Bagdadu, wolał drugą trzeźwość, ponieważ po upojeniu człowiek odnajduje się ponownie w Bogu. Najwyższy stan i cel mistycznej drogi stanowiło dla niego pozostanie w Bogu (*baqa*), a nie „zniknięcie” (*en*). „Sufi to ktoś, kto jest taki, jakim był, gdy go jeszcze nie było”^[190] – orzekł Dżunajd, określając w ten sposób idealne pozostawanie w Bogu.

Abu’l-Husain an-Nuri

Sufizm umacniał się i wyrastał na potężny ruch w obrębie islamu, co powodowało, że przez ortodoksów był coraz pilniej i coraz bardziej krytycznie obserwowany i prześladowany. Kiedy w 885 roku sufi Ghulam Khalil został oskarżony o herezję, a ściślej o manicheizm, mistyk Abu’l-Husain an-Nuri (zm.

907) zaproponował kalifowi, by oskarżył jego zamiast jego przyjaciela. Poruszony taką postawą bezinteresownej miłości, kalif puścił wolno ich obu. An-Nuri, który opublikował książkę *Stacje serca* o ścieżce sufickiej, wpadał wskutek nadmiernej miłości w stany ekstazy, które zagrażały jego zdrowiu i życiu. Tak też umarł: popadł w ekstazę podczas recytacji i szedł tańcząc, nie dostrzegając świata wokół siebie, aż wszedł w sitowie. W ekstazie nie odczuwał bólu, tymczasem sitowie było akurat ścięte i przecinało mu stopy jak ostry nóż. An-Nuri w ekstazie niczego nie dostrzegał i się wykrwawił. Kiedyś wypowiedział słowa, które były jakby proroczym komentarzem do jego przyszłej śmierci: „Widziałem światło (*nur*) świecące w ukryciu (*dar ghaib*) i miałem je tak długo w oczach, aż sam się stałem tym światłem”^[191].

Kto nie był zaznajomiony z terminologią sufich i nieco paradoksalnym sposobem ich myślenia, ten mógł żywić wątpliwości co do ich prawowierności. Dlatego też coraz częściej mówili oni aluzjami, a to, co chcieli powiedzieć, wyrażali nie tyle logicznie i racjonalnie, ile metaforami i obrazami poetyckimi. Ten sposób funkcjonowania i wykorzystywanie poezji jako normalnego tajemnego języka przyczynił się do niezwykłego rozwoju perskiej poezji. Nigdzie indziej poezja nie stała się powszechnie używanym konspiracyjnym językiem, rodzajem lirycznego kodu.

Nie tylko jednak represje skłaniały sufich do wykorzystywania poezji jako środka porozumiewania się. Mieli także świadomość niewyrażalności przeżyć mistycznych, których nie sposób było zdefiniować w kategoriach logicznych i racjonalnych, a jedynie za pomocą językowych obrazów. Dylemat ten obrazuje pytanie, w jaki sposób przesłać pocałunek przez posłańca. Przeżyciem można się podzielić tylko wtedy, kiedy ktoś je również przeżyje, kiedy doświadczy go osobiście. Poezja może jednak u osób o podobnej wrażliwości wywołać takie samo przeżycie, jakie było udziałem piszącego, który to doświadczenie przełożył na obrazy. Specyfika poetyckiego wyrazu może wywołać takie same przeżycia mistyczne, jakie spowodowały napisanie konkretnego utworu. Ponieważ poezja może omijać poziom czystej racjonalności i wywoływać w mózgu lub w duszy głębsze obrazy, nadaje się do przekazywania przeżyć, a w nadzwyczajnych przypadkach nawet do przekazywania ekstazy. W tym sensie na pytanie sufich, w jaki sposób można przekazać pocałunek przez posłańca, można odpowiedzieć: posłańcem należy uczynić poezję.

Anioły i dżiny – mistyk Halladż

Męczennik islamu Halladż zawołał kiedyś w stanie ekstazy: „Ja jestem

prawdą absolutną!” (*ana'l-Haqq*). Sprowadziło to na niego prześladowania ortodoksów islamskich, którzy widzieli w tym *szirk*, czyli grzech oddawania czci osobie innej niż Allah. Skoro Halladż czuł, że jest prawdą absolutną, to znaczyło, że uważa się za Boga i może się przyłączyć do Boga jako Bóg. Czy muzułmanie dostrzegali tu może grzech chrześcijan, którzy również człowieka, Jezusa Chrystusa, postawili na równi z Bogiem?

W Bagdadzie Halladż zapukał do drzwi Dżunajda. „Kto tam?” – zapytał gospodarz, na co Halladż odparł: „Jestem prawdą absolutną”. Dżunajd rozumiał, co Halladż chciał przez to powiedzieć, że to nie on mówi, tylko Bóg, którego stał się siedliskiem. Dla Halladża Halladż nie istniał, istniał jedynie Bóg, którego kochał i do którego pragnął powrócić tak szybko jak to możliwe, niezależnie od kosztów, jakie trzeba ponieść. Dżunajd wiedział jednak aż za dobrze, jak dwuznacznie brzmiały takie słowa i jak niebezpieczne były czasy, przepowiedział więc przybyłemu, że źle skończy.

W roku 922, po dziesięciu latach więzienia w Bagdadzie, Halladż został w okrutny sposób stracony. Fariduddin Attar opisał śmierć tego mistyka w jednym ze swoich wierszy:

[...] gdy na śmierć go skazali i na szafot wiedli.

[...] pocięli ciało, ucięli ręce, wykłuli oczy,

I zbladł Halladż, bo krwi uszło mu dosyć.

Wtedy jednak uniósł do góry kikuty obu rąk

I twarz swą, jak księżyc, pomazał krwią^[192].

To należało jednak według niego do „ścieżki” mistyka, do życiowej drogi. Niedługo przed straceniem Halladża odwiedził w celi jakiś mnich i zapytał go, czym jest miłość. Halladż odpowiedział: „Zobaczysz to dziś i jutro, i pojutrze. Tamtego dnia zadali mu śmierć, następnego dnia spalili go, a trzeciego dnia rozrzućili jego prochy na wiatr...”^[193]. W ten sposób Halladż nieodwracalnie stopił się z Bogiem.

Mystyk Schibli, który czcił Halladża, spytał Boga, czemu go tak ukarał, skoro przecież Halladż był tak pobożny i wierzący. Bóg odpowiedział na to: „Uczyniłem to, ponieważ on zdradził obcym moją tajemnicę”^[194]. Tajemnica Boga polegała na

miłości przeznaczonych tylko dla wybranych, a Halladż mówił o niej wszystkim.

Tam gdzie Rabi'a milczała, tam Halladż mówił. Wyjawiał ludziom, że człowiek doświadcza w cierpieniu bożej miłości, miłości namiętnej i niezapomnianej. W ekstatycznym doświadczeniu miłości skończony duch człowieka może się jednoczyć z nieskończonym duchem Boga. W ten sposób miłość służyła do przedłużenia własnej egzystencji, do transferu w nieskończoność.

Nie była to jednak jedyna rzecz, jaka nie podobała się u Halladża religijnym autorytetom. Według Halladża tylko Bóg posiadał autorytet, gdyż wszystko inne było tylko złudzeniem, pozorem. Uważał, że jego doświadczenia mistyczne nie odwołują się do tradycji, to znaczy do łańcucha świadków, dla których życie i słowa Mahometa stanowiły wyznacznik wszystkiego, o czym myśleli. Jako świadków swego doświadczenia z Bogiem przywoływał anioły i dżiny, słońce, księżyc i gwiazdy. W końcu pochodził z Persji, kraju, w którym narodziły się astronomia i astrologia. Strażnikom religii musiało się to wydawać cofnięciem się do pogaństwa i politeizmu. Halladż głosił w dodatku, że pielgrzymkę, należącą do religijnych obowiązków muzułmanina, można zastąpić dobrymi czynami – na przykład zajmując się chorymi, starcami i sierotami.

Sufizm z religii elit coraz bardziej stawał się religią ludową. Prowadziło to do swoistego spłaszczenia religijnego i nasycenia ludowego sufizmu praktykami magicznymi. Właśnie w tym momencie wybuchł w świecie islamskim wielki spór między filozofią a teologią, jaki później miał miejsce także w chrześcijańskiej Europie. Wykształceni i zainteresowani filozofią muzułmanie odkryli dla siebie filozofię grecką: Arystotelesa, Platona i przede wszystkim neoplatoników wokół Plotyna, i zadawali sobie pytanie, na ile wszystko to można pogodzić z naukami Koranu i w jaki sposób można zdefiniować stosunek wiary do wiedzy, standardów i dogmatów religijnych i wiedzy.

Ta dyskusja wyłoniła największego mistrza sufich (*asz-szaich al-akbar*) Ibn Arabiego. Dotychczas dominowali głównie mistycy ze Środkowego Wschodu, pełni entuzjazmu i gotowi spłonąć w swojej mistycznej energii. Inny obraz przedstawiają zachodni mistycy, którzy wkraczali na mistyczną ścieżkę pod silnym wpływem filozoficznym, czego Ibn Arabi jest najlepszym przykładem.

Przejście od XII do XIII wieku dokonało się pod znakiem wybitnych osobowości tamtych czasów, które odcisnęły piętno na kształcie świata między Tunisiem a Szwecją, między Kordową a Baktrą – byli to między innymi Fryderyk II Stauf, papież Innocenty III, Franciszek z Asyżu, Al-Ghazali, Ibn Ruszd (Averroes)

i sułtan Al-Kamil. Orient z Zachodem znacznie więcej łączyło, niż dzieliło. Skrótowe przedstawianie wypraw krzyżowych usuwa w cień fakt, że był to okres niezwykle bogatej wymiany między chrześcijanami i muzułmanami. Wspólnie odkrywali Greków, przede wszystkim Arystotelesa i Platona. Często w tej wymianie ważną rolę odgrywali Żydzi, pośrednicząc między oboma światami i inspirując je w różnoraki sposób. Krzyżowano nie tylko miecze, ale i argumenty, panowała też zdumiewająca zgodność w dążeniu do wiedzy. Istotne elementy *Boskiej Komedii* Dantego inspirowane są twórczością sufiego Al-Ma'arri; obaj twórcy natomiast wiele zawdzięczają Lukianowi z Samosaty.

Była to epoka filozofów, mistyków, uczonych, ale także czarodziejów, alchemików i heretyków. Później ta jedność miała zostać zerwana, ale w tym stuleciu duchowy świat rozciągał się jeszcze od Atlantyku do Pacyfiku, od Portugalii do Chin. Wiele poszło w niepamięć, wiele trzeba było zapomnieć, ponieważ taki stan rzeczy był najgorszym niebezpieczeństwem dla ortodoksyjnych strażników wszystkich religii i ludzi władzy. Owa uniwersalna wiara wagabundów stanowiła zagrożenie dla wszelkich establishmentów, których władza opierała się na kontroli. W tym czasie jednak wiedza i wiara z wdziękiem obchodziły granice wyznań. W euforii poszukiwania Boga mistycy w ogóle nie dostrzegali murów i zasieków strzeżonych przez strażników wiary. Filozoficznie jest to aż nazbyt zrozumiałe. Kto dąży do jedności z Bogiem, która stanowi doskonały wyraz znoszenia wszelkich granic i ograniczeń – a nie da się bardziej uchylić wszelkich granic, niż jednocząc się z czystym bytem, z całym światem – ten musi najpierw zlikwidować wszelkie granice w sobie samym, czyli wyjść poza wszelkie dogmaty, spoza których nie widać samej wiary. Dogmatami są definicje i ustalenia, które wyznaczają pole różnych treści (czyli *odgraniczając* je od innych), zarazem je *ograniczają*.

Świat średniowiecza był miejscem dogmatów i wolności jednocześnie, był targowiskiem różnorodnych form religijnych, które jako tajemne religie znajdowały schronienie w wielkich urzędowych wyznaniach. Być może nawet te różnorodne tajemne religie dadzą się wywieść od jednej wspólnej tajemnej prareligii, którą możemy nazwać religią miłości. W żadnym czasie, ani wcześniej, ani później, nie rozmyślano o istocie miłości tak intensywnie jak w średniowieczu; w sposób całkowicie uzasadniony możemy w związku z tym umieścić w średniowieczu Dantego.

Człowiek tej epoki stawiał bowiem Boga w sensie absolutnym w centrum swego życia. Wszystko, co człowiek robił, miało swe odniesienie do Boga – także jego występki. Było zatem rzeczą naturalną, że ludzie uzdolnieni duchowo

i tęskniący za zbawieniem udawali się na poszukiwanie Boga, tego, który jako jedyny mógł zbawiać – i odkrywali przy tym miłość jako język Boga, jako pomost do niego. W średniowieczu ludzie odróżniali wyraźnie to, co dziś nazywamy seksem i erosem. Seksualność nie należała do sfery miłości. Człowiek składał się z tego, co boskie, i z tego, co zwierzęce; popęd płciowy był przypisany jednoznacznie do pierwiastka zwierzęcego w człowieku. Inaczej mówiąc, seksualność pojmowano jako funkcję biologiczną, podobnie jak inne funkcje życiowe. Ponieważ ów podział był problematyczny, sublimowano seksualność i w poezji przedstawiano ją jako metaforę pożądania.

Nie bez powodu w tym czasie wymyślono „Hohe Minne”, platoniczną adorację wybranej damy dworu. Tam, gdzie chodzi o miłość, o niespełnione pożądanie, tam jesteśmy już w królestwie Boga, do którego tak tęsknili mistycy (i nie tylko oni). Dla chrześcijan to wyobrażenie miało tę zaletę, że istniał już podobny wzór: obiekt tej miłości, damę dworu, można było adorować tak, jak adorowano Dziewicę Maryję. Służba takiej damie, w której pozostawali niemieccy minezingerzy, była prawdziwą służbą miłości. Termin „obekt” w świecie idei średniowiecza bardziej precyzyjnie określa ten stosunek, ponieważ kochający stawia się jako podmiot na pozycji podporządkowanej (podległej, zależnej) przedmiotowi (dopełnieniu, obiektowi), który jest nadrzędny. Dawniej, odmiennie niż dzisiaj, dopełnienie w pełni określało działanie podmiotów, tak jak planety krążyły według ówczesnych wyobrażeń wokół Ziemi. Sytuacja się zmieniła, kiedy się okazało, że to Ziemia obraca się wokół Słońca – wtedy zmianie uległy również pojęcia: podmiot stał się wykonawcą czynności, a dopełnienie przedmiotem owego działania. Wcześniej podmiot, jako działający, był w służbie dopełnienia i spełniał jego życzenia, jak człowiek spełnia wolę Boga, a minezinger wolę swej pani. Tę koncepcję zupełnie odmieniła dopiero nowożytność. Nieprzypadkowo Immanuel Kant nazwał zmianę w myśleniu przełomem kopernikańskim. Teraz już nie Słońce obracało się wokół Ziemi, nie podmiot wokół dopełnienia (obektu), lecz Ziemia wirowała wokół Słońca, a obekt (dopełnienie) – wokół określającego go podmiotu. Gdybyśmy chcieli w tym konkretnym przypadku dokonać rozróżnienia między Orientem a Okcydentem, to akurat w odniesieniu do tajemnej religii miłości panuje między nimi absolutna zgodność.

Fascynujący jest tu fakt, że mimo zbrojnych starć – za sprawą określenia „wyprawy krzyżowe” zawężonych do walk chrześcijan przeciwko muzułmanom, bez uwzględnienia walk chrześcijan przeciwko chrześcijanom, muzułmanów przeciwko muzułmanom i zdumiewających aliansów ponad granicami wyznań – religie te były sobie bardzo bliskie, co wyrażało się w ścisłej komunikacji między nimi. Templariusze, kabaliści, sufi i mistycy nie chcieli niekiedy rozróżniać, czy

chodzi o chrześcijaństwo, islam czy judaizm, gdyż ich właściwa, tajemna religia polegała na miłości Boga, której poszukiwali, wierząc, że tylko ona trwa i tylko w niej będą mogli być szczęśliwi. Swoją codzienność odrzucali jako świat pozorny, zły, jako oszustwo i złudzenie. Kiedy przyglądamy się warunkom, w jakich żyli, i dostrzegamy wielką niepewność zdrowia i życia, to takie widzenie rzeczy staje się zupełnie zrozumiałe. Doświadczenie człowieka polegało zasadniczo na całkowitym wydaniu na łaskę mocy, którym nie był w stanie przeciwstawić niczego oprócz Boga.

NAJWIĘKSZY MISTRZ SUFICKI – IBN ARABI

W tej złotej epoce intensywnej wymiany duchowej w roku 1165 w andaluzyjskiej Murcji urodził się Abu Abd Allah Muhammad ibn Ali ibn Muhammad ibn al-'Arabi al-Hatimi at-Ta'i, zwany Ibn Arabi. Jego ojciec należał do doradców sułtana Abu Jusufa Jakuba i przeniósł się wraz z rodziną do Sewilli. W tamtym czasie w Hiszpanii działało wielu uczonych muzułmańskich, żydowskich i chrześcijańskich. Już w wieku szesnastu lat Ibn Arabi dyskutował w Kordowie z Ibn Ruszdem, znanym na Zachodzie jako Averroes. Był bardzo pojętny i szybko przyswajał wiedzę. Podróżował razem z ojcem, i te podróże dodatkowo poszerzały jego horyzonty.

W wieku dwunastu lat ciężko zachorował i stracił przytomność. W półświadomości widział jakieś budzące postrach postacie. Możliwe, że chorował na dżumę, pustoszącą w tamtych latach Andaluzję i Maroko – wtedy mógłby widzieć lekarzy chodzących w zwierzęcych maskach na twarzy. Potem jednak zobaczył jakąś przyjazną istotę, która dała mu wiarę, a młody Ibn Arabi usłyszał słowa sury 36 Koranu, którą zgodnie z tradycją recytuje się umierającym. Gdy przebrzmiały ostatnie słowa tej sury, młodzieniec się ocknął, otworzył oczy i zobaczył swego ojca, siedzącego na jego łóżku i płaczącego. I chociaż to przeżycie głęboko na niego podziało, to musiał przejść jeszcze naukę u mistrzów sufich i duchowe przebudzenie – jego treści nie przekazał ani sam Ibn Arabi, ani żaden z jego uczniów – nim podążył drogą sufiego. Poza tym znany jest następujący epizod: Kiedy jako młody człowiek podczas jakiegoś święta z przyjaciółmi unosił do ust kielich, usłyszał głos mówiący mu, że nie do tego został przeznaczony. Ibn Arabi wypadł z tego domu, wybiegł z miasta i spotkał pasterza owiec w brudnym ubraniu. Natychmiast zamienił swoje wspaniałe odzienie na łachmany pasterza. Od tej pory za schronienie służył mu zapadnięty grób, z którego uczynił jaskinię. Tam odmawiał rytualne modlitwy i tam doznał wreszcie olśnienia.

Historię tę traktowano jako niewiarygodną i włożono do przegródki pobożnych legend z żywotów świętych – dowiadujemy się z niej jednak, jak wielką wartością było w tamtych czasach ubóstwo. Jakies dwadzieścia lat później w umbryjskim miasteczku Asyż na rynku pewien młody człowiek rozebrał się do naga, oddał swój wspaniały strój ojcu, by odtąd służyć tylko Bogu i żyć w ubóstwie.

Obie te historie – młodego muzułmanina i młodego chrześcijanina – są do siebie w tym względzie zaskakująco podobne. Poza tym historia ta przypomina objawienie Proroka Mahometa, który swą pierwszą wizję także przeżył w jaskini na górze Hira. Jeden z uczniów Ibn Arabiego, Ibn Saudakin, opowiada, że jego nauczyciel osiedlił się w odosobnieniu, a pomiędzy wschodem a zachodem słońca została mu powierzona cała wiedza. Charakterystyczne w tej historii jest to, że Ibn Arabi przeżył to objawienie w odosobnieniu, gdyż odpowiada to wyobrażeniom sufich. Według nich objawienie stanowi duchowe otwarcie (*fath*), które pozwala adeptowi wejść na wyższy duchowy stopień (*nafs*). Kandydat osiąga wówczas inny stopień wewnętrznego człowieka.

U sufich to objawienie zakłada jednak ciężką pracę kandydata nad sobą pod kierunkiem mistrza. Potem były jeszcze mistyczne wskazania od samego Mahometa, jak w przypadku Uwaisa al-Qaraniego, albo od dawno nieżyjącego mistrza sufich, jak w przypadku Fariduddina Attara. Tymczasem duchowym przewodnikiem Arabiego wydaje się nie Mahomet i nie mistrz suficki, lecz Jezus Chrystus – co jest w pełni uprawnione, jeśli jest to Jezus z Koranu, czyli prorok, a nie Bóg.

Podobnie jak święty Franciszek z Asyżu, Ibn Arabi również przekazał swój majątek ojcu, porzucił ziemskie zajęcia i udał się na wędrówkę, by kształcić się u sufich. Droga zaprowadziła go do Marrakeszu, Fezu i Tunisu. W Egipcie ledwie uszedł przed linczem podburzonych fanatyków. Był to także czas siejących strach postrach asasynów i Starca z Gór; do tej budzącej strach tajnej sekty jeszcze powrócimy. Ibn Arabi powędrował wreszcie przez Hebron i Jerozolimę do Mekki, gdzie przy Al-Kabie przeżył wielkie objawienie, które opisał w największym objętościowo swoim dziele, *Objawieniach mekkańskich*.

Podróże zawiodły go również do wschodniej Anatolii, do miast Konya, Sivas i Malataya. Był to teren, na którym wiedza Zachodu ścierała się z doświadczeniem indyjskim, braministycznym i buddyjskim. W końcu zawędrował do Mosulu i Bagdadu. Ten świat można sobie wyobrazić trochę jak świat z *Tysiąca i jednej nocy* – baśnie te powstały zresztą w tym samym czasie i są z sufizmem ściślej

związane, niż mogłoby się wydawać. Można je czytać także jako zaszyfrowane dzieło sufizmu.

Ibn Arabi został największym mistrzem sufizmu, ponieważ w różnorodności świata odnalazł drogę do jego jedności. Jego podróże zawsze były też drogami poznania, wyprawami ducha. W ten sposób stał się postacią niezwykle wpływową i inspirującą, która miała (a często ma do dziś) niewątpliwy wpływ na islam, chrześcijaństwo, ale również na pewne szkoły braminizmu i buddyzmu. Rozległość jego myśli stwarzała przestrzeń, w której mogli się spotykać i porozumiewać wyznawcy różnych religii, nie przynosząc uszczerbku własnym wyznaniom. Jeśli podnosi się zagadnienie euroislam, to Ibn Arabi jest tu jednym z najważniejszych pionierów i wizjonerów.

Ibn Arabi nie tylko usystematyzował wiedzę swoich czasów i zinterpretował ją filozoficznie, ale stworzył również godną uwagi teorię znaków. Arabskie słowo oznaczające wers (*aya*) oznacza również znak. Słowa Koranu są dla Arabiego, podobnie jak elementy kosmosu, znakiem Boga. Przyjmując definicję znaku złożoną z formy i znaczenia, słowa Koranu tworzą rodzaj mostu do Boga. Arabi traktuje ten most jako świat pośredni. Ze świata naszej codzienności, który jest mieszaniną ducha i materii, prowadzi droga do Czystego Bytu, który jest Bogiem, prawdą absolutną. Bytowi towarzyszy po przeciwnej stronie Niebyt. Niebyt nie istnieje, jest tylko nieobecnością Bytu. Ponieważ jednak Czysty Byt należy tylko do Boga, to wszystko na świecie jest zaledwie bardziej lub mniej wyraźnym odbiciem tego Czystego Bytu. Jeśli Bóg jest samym światłem, wówczas promienie tego światła po jednej stronie są światłem, ale po drugiej nie są identyczne z Czystym Światłem, tak jak rzecz odbijana w lustrze nie jest tym samym co odbicie. Tam, gdzie promienie nie są Czystym Światłem, są brakiem Światła, czyli ciemnością. Nieobecność światła jest ciemnością, nieobecność Bytu jest Niebytem.

Zagłębiając się w te rozważania, dochodzimy do właściwego zainteresowania Arabiego. Wszystkie rzeczy znajdują się w stanie między Bytem a Niebytem, ponieważ podobnie jak promienie światła posiadają Byt, ale jak one nie są identyczne ze światłem, tak rzeczy nie są identyczne z Bogiem. W takim samym stanie ontologicznym znajduje się człowiek: został stworzony przez Boga, jednakże nie jest identyczny z Bogiem. Imiona Boga razem wzięte nie są ani Czystym Bytem, ani istotą Boga, ani materialnym światem. Odbijają jednak cechy Boga jako Stwórcy, Miłosiernego, Sprawiedliwego etc. Bóg objawia się światu za pośrednictwem swych imion, które są znakami.

Ibn Arabi uważał, że samoobjawienie się nie powtarza. Oznacza to, że nigdy

w tym samym czasie nie mogą istnieć dokładnie takie same rzeczy. Z drugiej strony nie ma rzeczy, która byłaby identyczna z inną w sukcesywnej przemijalności czasu, to znaczy żadna rzecz nie może być dwa razy taka sama w następującym po sobie czasie. Jakkolwiek abstrakcyjnie to brzmi, to ma zdumiewające konsekwencje w praktyce, gdyż oznacza, że stworzenie stale się odnawia. Jeśli na świecie nie mogą istnieć dwie takie same rzeczy, to istnieją wciąż inne rzeczy.

W ten sposób Ibn Arabi doszedł do rozumienia niezmienności Boga i ciągłej zmienności świata przez tego Boga stworzonego jako procesu nieustającego określania. Ponieważ jednak nic na świecie nie jest absolutne, wszystkie rzeczy, także człowiek, znajdują się w świecie pośrednim, na pomoście między Bytem a Niebytem, dusza między duchem a ciałem, między wiecznością a przemijalnością. Od człowieka zależy, czy bardziej skłania się ku duchowi czy ku ciału, ku wiecznej szczęśliwości czy niekończącemu się potępieniu.

Dla unaocznienia procesu stworzenia jako tchnienia Boga, Ibn Arabi używał wyrażenia „wydech Miłosiernego” (*nafas ar-rahman*). Mówić znaczy oddychać, ponieważ słowa powstają na fali wydychanego powietrza. (W tym miejscu należy przypomnieć, że u sufich techniki oddychania odgrywają ważną rolę. Uważają je za rzecz fundamentalną i intensywnie z nich korzystają). Słowa Boga stwarzają rzeczy. Bóg mówi, kiedy wydycha powietrze. Mowa Boga z jednej strony jest wieczna, ponieważ nie ma początku ani końca, z drugiej strony jednak słowa przemijają, gdy tylko zostają wypowiedziane.

W ten sposób wszechświat jest stwarzany w rytmie wdechów i wydechów – i znowu niszczone. Ibn Arabi w ogóle wyobrażał sobie, że Czysty Byt, a więc Bóg, zatrzymuje oddech, jak długo jest to możliwe, tak że świat powstał jako wydech Miłosiernego. Wszechświat, który Ibn Arabi określa jako stający się byt (zależny od Czystego Bytu), z jednej strony przemija i jest nietrwały, i nic w nim nie pozostaje ani przez chwilę takie, jakie było. Z drugiej zaś strony istnieje wiecznie, cały czas się zmieniając. Jego wieczność polega na tym, że jest ciągle zmieniany przez Boga. Stałą jest tu stwarzanie albo oddech Boga, który podczas wydechu stwarza, a podczas wdechu niszczy, by natychmiast znowu stwarzać.

Motywacją Boga do tego wiecznego stwarzania jest miłość, jaką odczuwa wobec swego stworzenia, w którym widzi jakąś część siebie, pozwalając mu też rozpoznać część siebie. Tutaj znowu natrafiamy na *wudżud*, znalezienie przez chęć-zostania-znalezionym, ponieważ się poszukuje. Dusza ludzka jest zwierciadłem tego, co boskie. Dlatego człowiek musi oczyszczać swą duszę – czyścić zwierciadło – aby Bóg mógł się w nim zobaczyć. Kiedy Bóg się w nim

widzi, człowiek także widzi Boga.

„Człowiek doskonały”

Wynikają z tego dwa fascynujące i efektowne wnioski.

Po pierwsze Ibn Arabi stworzył wyobrażenie „człowieka doskonałego”.

Dzięki umysłowi człowiek potrafi uzyskać wiedzę, która ze swej natury zawsze jest świecka i nie wykracza poza świat materialny. Rozum nie posunie się jednak dalej niż do poznania Boga jako tego, który w ostatecznym rozrachunku jest niepojęty. Rozum rozpozna Boga jako Ukrytego. Ponieważ jednak na świecie istnieje boskie światło, odbijane z różną intensywnością, jak od odłamków rozbitego lustra, rozum może te odłamki skleić w całość za pomocą duchowej wyobraźni. Do tego dochodzą Koran, utrwalone w przekazach czyny i wypowiedzi Proroka (*hadisy*), wizje i słyszenie głosu Boga, tak by było możliwe rozpoznanie ukrytej prawdy.

Poznanie całej prawdy wymaga tak wiele, że zwykły człowiek nie jest w stanie temu sprostać. Tu potrzeba „człowieka doskonałego”, który będzie doskonałym zwierciadłem Boga. Dzięki swej osobowości taki człowiek składa rozbite lustro, ponieważ sam staje się zwierciadłem Boga i pozwala jaśnieć jego imionom, dzięki czemu sam staje się odbiciem Boga. Jako mikrokosmos odpowiada on doskonale makrokosmosowi.

Tego „człowieka doskonałego”, posiadającego prawdziwe człowieczeństwo, Ibn Arabi czyni celem drogi sufiego. Powrót do śmierci przeciwstawia powrotowi do Boga. Na tym jednak polega wolność człowieka, by wybierać: umrzeć człowiek musi, ale może też powrócić do Boga. Podobnie widział to Paweł Apostoł, kiedy wołał: „Gdzież jest, o śmierci, twoje zwycięstwo? Gdzież jest, o śmierci, twój oścień?” (1 Kor, 15, 55).

Człowiekowi nie wolno jednakowoż wynosić się i mylić siebie z Bogiem, ponieważ człowiek nie składa się tylko z ducha, ale i z gliny, jest istotą pośrednią, mieszkanką najwyższego z najniższym, zdolną do wyboru między nimi, między Bogiem a zwierzęciem. Człowiek osiąga pierwszy stopień człowieczeństwa, kiedy pojmie, że jest sługą Boga, że nie wyróżnia się swą pozycją za sprawą przesadnej ascezy, pobożności i czynienia cudów, lecz przeciwnie, ukrywa tę duchową pozycję.

Obraz „człowieka doskonałego” znajduje się w Mahomecie, któremu Bóg służył jako medium. Kiedy Ibn Arabi pojmuje „człowieka doskonałego” jako warunek samopoznania Boga – ponieważ Bóg potrzebuje „człowieka doskonałego”, by oddać siebie i w tym oddaniu znowu się rozpoznać – wówczas brzmi, jakby był wczesnym prekursorem klasycznej filozofii niemieckiej. Ten wielki mistrz sufich nie tylko stworzył postępowy ideał „człowieka doskonałego”, którego później nazywano „nowym człowiekiem”, ale i przełomową teorię znaków.

ZNAKI I OZNACZENIA

U Ibn Arabiego po raz pierwszy pojawia się dynamiczny związek między nazwą (lub imieniem) a nazywanym (desygnatem) – albo inaczej mówiąc, między znakiem a tym, co on oznacza. Jak wielką siłę ma nazwa czy imię, przekonujemy się szybko, kiedy ktoś żartuje sobie z naszego nazwiska. Niewiele rzeczy dotyka człowieka bardziej niż szydzenie z jego nazwiska.

Dzisiaj pod pojęciem znaku rozumiemy najogólniej wyraz, który określa jakąś rzecz lub treść oraz interpretuje ją w pewnym kontekście, w związku z czym traci ona swą wieloznaczność. A znak jest wieloznaczny dlatego, że nazywa wprawdzie jakąś rzecz albo treść, ale ta nazwa budzi w odbiorcy różnorodne skojarzenia i emocje.

Nasz język tworzy system znaków. Kiedy ktoś używa znaku „krzesło”, wówczas nazywa przedmiot, na którym można siedzieć, ale równocześnie mamy określone skojarzenia i wyobrażenia, ponieważ ów znak wywołuje w nas konkretne, nie abstrakcyjne wyobrażenia. Takie konkretne wyobrażenia są u wszystkich ludzi różne, zmieniają się w przypadku każdego człowieka i każdego kręgu kulturowego.

Ponieważ Ibn Arabi wychodzi od imienia Bożego, jego koncepcja przyjmuje szczególny obrót. Zarówno żydzi, jak i chrześcijanie oraz muzułmanie łączą z imieniem Boga także jego moc stwarzania. W Starym Testamencie czytamy: „Wtedy Bóg rzekł: »Niechaj się stanie światłość!« I stała się światłość” (Rdz 1, 3). Nowy Testament idzie jeszcze krok dalej: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga i Bogiem było słowo” (J 1, 1). W Koranie zostało to ujęte w następujący sposób: „Bóg stwarza to, co chce! Kiedy On decyduje o istnieniu jakiejś rzeczy, to tylko mówi: Bądź! – i to się staje” (Koran, sura 3, wers 47).

Dlatego imiona i nazwy są formami, które kierują bożym stworzeniem, by powołało na świat rzeczy i istoty żyjące. Bóg emanuje, a każdy stopień emanacji

związany jest z jednym imieniem. I tak na przykład świat roślin wywodzi się od boskiego imienia *ar-Raziq* (Żywiciel). W ten sposób każde z Bożych imion jest panem jakiejś rzeczy (*rabb*). Zawsze dzieje się też tak, że *rabb* pozostaje panem swojej emanacji i manifestacją/objawieniem sługi (*marbub*) pana, *ar-Raziq*, opanowuje świat roślin, a świat roślin służy Żywicielowi.

Ponieważ samoobjawienie już się nie powtórzy, a więc nie mogą istnieć dwie takie same rzeczy, to dla każdego człowieka istnieje tylko jedno konkretne objawienie, które – teraz będzie nerwowo, może wręcz heretycko – jest tylko pewną formą, w której tylko on może ujrzeć Boga, w której tylko on może w niego wierzyć. Teoria znaków Ibn Arabiego dochodzi do bulwersującego ortodoksów wniosku, że objawienie Boga dokonuje się w różnych religiach zależnie od konkretnego człowieka, konkretnego wiernego. A jeśli tak jest, to wszystko zależy od wiary w Boga i poddania się jego woli – niezależnie od tego, czy jest się chrześcijaninem, żydem, muzułmaninem czy buddystą. Ibn Arabi wyraził to w języku poezji:

Me serce otwarte jest dla wszelkiej formy.

Dla gazeli jest pastwiskiem,

Dla chrześcijańskich mnichów – klasztorem,

Dla bogów – świątynią,

Dla pielgrzymów – Kaba,

Jest stołem dla Tory,

Księgą dla wersetów Koranu.

Wyznaję religię miłości,

Jakąkolwiek prowadziłyby drogą.

Jej ślad jest mą religią i wiarą^[195].

Ibn Arabi stanowi najwyższe wcielenie filozoficznych i teozoficznych możliwości sufich. Wykraczał daleko poza swoje czasy, a dzięki teorii znaków i koncepcji „człowieka doskonałego” przyznawał każdemu człowiekowi prawo do

znajdowania Boga w obrębie wyznawanej przez niego religii. Podkreślając zarazem, że „człowiek doskonały” jest najdoskonalszym sługą Boga, ostrzegał przed ubóstwieniem samego siebie. Ludzie, którzy uważają się za boga i działają bez jakiegokolwiek odpowiedzialności i kompetencji, budzą grozę nie tylko w naszych czasach – tymczasem Ibn Arabi ostrzegał przed nimi już 900 lat temu. Jego wskazania i myśli odrzucają nie tylko ludzie dalecy od religii, ale także ortodoksi, urzędnicy religijni, którzy w gruncie rzeczy zastępują teologię ideologią, wiarę – władzą, religię zaś panowaniem.

^[155] *Por. Günther Lahmann, Islambewegung breitet sich in Deutschland aus, w: „Welt Online” z 21.05.2011. W FAZ.NET z 27.5.2011 Necla Kelek pisała: „W 1999 znana była w Turcji mowa Gülena, w której instruował swoich zwolenników, w jaki sposób wchodzić do różnych instytucji, i wzywał ich do zachowywania konspiracji, aż do czasu przejmowania władzy. Mowa wyszła na jaw, Gülen wycofał się do Stanów Zjednoczonych, by uniknąć aresztowania przez wojsko. Od tamtego czasu mieszka w Ameryce. Zgodnie z zasadami konspiracji jego sekta nie posiada centralnej organizacji. Nie może jej dotknąć żaden zakaz, gdyż między braćmi i siostrami istnieje tylko osobista więź. Współpraca odbywa się na poziomie obywatelskim, przez Internet, i jest niesformalizowana. Znawca islamu Ralph Ghadban stwierdził, że ruch Gülena jest »nieuchwytny«”.*

^[156] *Cyt. za: Annemarie Schimmel, Mystische Dimensionen des Islam. Die Geschichte des Sufismus, Frankfurt am Main/Leipzig 1995, s. 55.*

^[157] *Georgius de Hungaria, Tractatus de moribus, conditionibus et nequicia Turcorum, Köln, Weimar, Wien 1993, s. 357 f.*

^[158] *Tamże, s. 359.*

^[159] *Tamże.*

^[160] *Tamże.*

^[161] *Hakim Sanai, Der ummauerte Garten der Weisheit, cyt. za: Die Sufis. Botschaft der Derwische. Weisheit der Magier, München 1976, s. 33.*

^[162] *Cyt. za: Idris Shah, Die Sufis, Botschaft der Derwische. Weisheit der Magier, München 1976, s. 57.*

[163] *Tamże*, s. 20.

[164] *Abdallah Ansari, Gebete, Amsterdam 1991, s. 11.*

[165] *Ibn Arabi, Die Religion der Liebe, [w:] Das Wunder von Al-Andalus. Die schönsten Gedichte aus dem Maurischen Spanien, z arabskiego i hebrajskiego przełożył na język niemiecki i opatrzył objaśnieniami Georg Bossong, München 2005, s. 151.*

[166] Cyt. za: *Annemarie Schimmel, Sufismus. Eine Einführung in die islamische Mystik, München 2005, s. 40.*

[167] *Pierwotnie agaperozumiano jako ucztę religijną, jaką odbywali wieczorem pierwsi chrześcijanie. Zgromadzonych na niej traktowano jako wspólnotę świętych, którzy czuli się jednością.*

[168] *Hafiz, Jasno i wyraźnie...*, tłum. Albert Kwiatkowski, cyt. za: <http://www.literaturaperska.com/hafez/hafez32.html>.

[169] *Abd Allah ibn Abbas, cyt. za: Adel Theodor Khoury, Der Koran, Düsseldorf 2006, s. 36.*

[170] *Tamże.*

[171] *Sahih al-Buhari, Nachrichten von Taten und Ansprüchen des Propheten Muhammad, Stuttgart 1991, s. 23.*

[172] *Tamże.*

[173] *Tamże*, s. 24.

[174] *Ibn Ishaq, Das Leben des Propheten, Kandern 1999, s. 47.*

[175] *Tamże*, s. 23.

[176] *Por. cztery szlachetne prawdy w buddyzmie: „To jest, mnisi, szlachetna prawda cierpienia: Narodziny są cierpieniem, starzenie się jest cierpieniem, śmierć jest cierpieniem; rozpacz, lament, ból i napięcie są cierpieniem; powiązanie z niechcianym jest cierpieniem; rozłąka z upragnionym jest cierpieniem; nieosiągnięcie pożądanego jest cierpieniem. Pokróćce, pięć znikających zespołów*

*jest cierpieniem. Oto, mnisi, jest Szlachetna Prawda o Powstawaniu Cierpienia: Pragnienie, które tworzy dalsze stawanie się – któremu towarzyszy namiętność i zachwyty, znajdujące rozkosz to tu, to tam – pragnienie zmysłowej przyjemności, pragnienie stawania się, pragnienie niszczenia się. Oto, mnisi, jest Szlachetna Prawda o Wygaśnięciu Cierpienia: [To] całkowite zaniknięcie i ustanie, wyrzeczenie się, zaniechanie, wyzwolenie, puszczenie pragnienia”. Cyt. za: Heinz Bechert i in., *Der Buddhismus I. Der indische Buddhismus und seine Verzweigungen*, Stuttgart, Berlin, Köln 2000, s. 35.*

[177] *Fariduddin Attar, Vogelgespräche und andere klassische Texte, München 1999, s. 198.*

[178] Cyt. za: *Annemarie Schimmel, Mystische Dimensionen des Islam. Die Geschichte des Sufismus, Frankfurt am Main und Leipzig 1995, s. 202.*

[179] *Frühislamische Mystiker. Aus Fariduddin Attars „Heiligenbiographie“: Überlieferungen und Äußerungen, Amsterdam 1984, s. 73.*

[180] Cyt. za: *Annemarie Schimmel, Mystische Dimensionen des Islam. Die Geschichte des Sufismus, Frankfurt am Main und Leipzig 1995, s. 200.*

[181] *Tamže, s. 449.*

[182] *Hafiz, Na początku promień Twego piękna z blasku się wyłonił, tłum. Albert Kwiatkowski, cyt. za: <http://www.literaturaperska.com/hafez/hafez5.html>.*

[183] *Por. Werner Tiki Küstenmacher und Klaus-Rüdiger Mai, Die Weltreligionen. Woran die Menschen glauben, München 2010.*

[184] *Annemarie Schimmel, Mystische Dimensionen des Islam. Die Geschichte des Sufismus, Frankfurt am Main und Leipzig 1995, s. 53.*

[185] *Tamže, s. 70.*

[186] Cyt. za: *Annemarie Schimmel, Mystische Dimensionen des Islam. Die Geschichte des Sufismus, Frankfurt am Main und Leipzig 1995, s. 66.*

[187] *Frühislamische Mystiker. Aus Fariduddin Attars „Heiligenbiographie“: Überlieferungen und Äußerungen, Amsterdam 1984, s. 22.*

[188] *Tamże*, s. 43.

[189] *Tamże*, s. 45.

[190] Cyt. za: Annemarie Schimmel, *Sufismus. Eine Einführung in die islamische Mystik*, München 2005, s. 31.

[191] *Frühislamische Mystiker. Aus Fariduddin Attars „Heiligenbiographie“: Überlieferungen und Äußerungen*, Amsterdam 1984, s. 76.

[192] Fariduddin Attar, *Śmierć Halladża*, tłum. Albert Kwiatkowski, cyt. za: <http://www.literaturaperska.com/attarrozmowypytakow/attarrozmowy7.html>.

[193] *Tamże*.

[194] *Tamże*.

[195] Ibn Arabi, *Die Religion der Liebe*, [w:] *Das Wunder von Al-Andalus. Die schönsten Gedichte aus dem Maurischen Spanien*, z arabskiego i hebrajskiego przełożył na niemiecki i opatrzył objaśnieniami Georg Bossong, München 2005, s. 151.

Książka dla none none

BRACTWA I TAJNE ZWIĄZKI

U początków sufizmu pojedynczy poszukiwacze Boga prosili wybranego mistrza sufich, by przyjął ich na naukę jako *muridów*, uczniów, ponieważ pod jego kierunkiem pragnęli się uczyć i rozwijać. Jednakże już od IX wieku sufizm stawał się coraz powszechniejszy i z religii elit ewoluował coraz bardziej w stronę religii ludowej. W XII wieku doszło wreszcie do powstania konwentów sufickich. To z nich wykształciły się mistyczne bractwa przekazujące swą własną „ścieżkę” (*tariqa*) do Boga, opartą na podstawach wypracowanych sto lat wcześniej przez mistrzów sufich oraz na systemie wychowania, sposobiącym poszukiwaczy Boga do podążania drogą sufiego.

Uczniowie pochodzili teraz ze wszystkich warstw społeczeństwa. To, że upowszechnienie prowadzi także do pogorszenia jakości, jest znanym fenomenem – i tutaj także pojawiły się wkrótce takie zjawiska, które dezorientowały wiernych. Środkowy i Bliski Wschód stał się wówczas sceną wędrówek żądnych zysku żebrzących mnichów albo fakirów o dziwnym sposobie życia. To takie postacie spotykali na swojej drodze XIX-wieczni podróżnicy europejscy zwiedzający Orient, i to na ich podstawie rozpowszechniali w Europie osobliwy obraz sufizmu.

W obrębie samego sufizmu, który jest bardzo pojemnym ruchem, mieszczącym w sobie wiele często bardzo różnicowanych koncepcji i rytuałów, co jakiś czas pojawiały się krytyczne głosy odnoszące się do tych praktyk. Ibn Arabi odrzucał na przykład wszelkie cuda, traktując je jako czcze przechwałki. Człowiek nie powinien się przechwalać swoimi umiejętnościami – nauczał – tylko pokornie służyć Bogu.

KLASZTORY SUFICKIE

Klasztory sufickie (*chanaka*, *tekke*, *ribat*) szybko stały się ośrodkami kulturalnymi i teologicznymi, w których centralnym punkcie znajdował się grób założyciela klasztoru. *Szajch*, duchowy przywódca tej społeczności, mieszkał zazwyczaj wraz z rodziną w swoim własnym kompleksie, zajmującym tradycyjnie jeden z kątów konwentu. Podczas każdej inicjacji, która stanowiła święto dla całej społeczności, nowicjusz składał przysięgę wierności i otrzymywał szatę sufiego. Potem wkładał rękę w ręce *szajcha*, co przypomina chrześcijański rytuał nałożenia rąk. Tym aktem mistrz przekazywał uczniowi błogosławieństwo łaski (*baraka*). Uczeń otrzymywał również czapkę derwisza, różną w zależności od zakonu. Liczba części tej czapki wskazywała, do jakich szyitów należy dany konwent – i liczyła siedem, dziewięć albo dwanaście części, w zależności od tego, ilu imamów

uznają ich ugrupowania: zajdyci (5), izmailici (7), imamici (12).

W społeczności panowała hierarchia z prawdziwego zdarzenia, „święta władza”, ponieważ pięcie się przez poszczególne stopnie urzędów na szczyt wspólnoty nie było związane z władzą, lecz zależało wyłącznie od postępów, jakie derwisz czynił na drodze ku doskonałości.

Zastępcą *szajcha* był *khalifa*, który albo zakładał swoje własne bractwo, albo zastępował go na urzędzie po jego odejściu. Ponieważ *khalifa*, przejmując urząd *szajcha*, zasiadał na jego rytualnym miejscu, to wyrażenie „siedzący na dywanie” (*sajjada nishim*) przyjęło się na oznaczenie następcy. W niektórych bractwach urząd *khalifa* był dziedziczny, tak że powstawały całe dynastie *szajchów*, które do dzisiaj dysponują wielkimi wpływami i ogromną władzą w świecie arabskim.

Wokół poszczególnych klasztorów tworzyły się bractwa świeckie, a więc grupy ludzi, którzy podążali drogą wyznaczoną przez *szajcha*, ale nie mieszkali w klasztorze, tylko zakładali rodziny i wykonywali swoją pracę. Dlatego bractwa występowały jak świat arabski długi i szeroki. Ich świeckie gałęzie stawały się czymś w rodzaju stowarzyszeń zawodowych lub stanowych i jako takie zyskiwały wpływ na rozwój społeczny. Do sufickiego bractwa Szadilijja należeli na przykład przede wszystkim ludzie stanu średniego, natomiast Mewlewije, zakon założony przez Rumiego, był silnie związany z władcami osmańskimi. Z tego względu został on zniesiony i zakazany podczas reformy państwa tureckiego przez Kemala Atatürka.

Różnice między poszczególnymi odgałęzieniami sufizmu są ogromne: Suhrawardijja zachowuje wierność rządowi i cieszy się popularnością wśród możnych, natomiast Heddawa, zakon żebraczy, praktykuje bezwzględnie całkowite ubóstwo. Między obu tymi zakonami istnieją ogromne różnice. Derwisze Heddawy mieszkają z kotami, swoich nowicjuszy nazywają „kocurkami” i podobno rytualnie jedzą też koty.

Przyjrzyjmy się pierwszym uformowanym zakonom.

Suhrawardijja

Abdul Kabir Abu Nadżib as-Suhrawardi (1097–1168) otrzymał znakomite wykształcenie w Bagdadzie, założył zakon i napisał wpływową książkę o mistycznym wychowaniu uczniów. Umar as-Suhrawardi, jego bratanek, studiował pod jego kierunkiem i napisał ważne dzieło na temat teorii mistycznej.

Został *szajchem* po stryju i mistrzem sufich w Bagdadzie, a poza tym był doradcą kalifa an-Nasira, dla którego prowadził też misje dyplomatyczne. Tu widać początki tego przyjaznego władzy nastawienia Suhrawardijji. Zakon ten rozprzestrzenił się od Persji po Indie. Następcy ‘Umara dzierżą dziś przywództwo w Pakistanie i posiadają olbrzymie wpływy polityczne.

Kadirijja

Mniej więcej w tym samym czasie przez Bagdad przechodził Abdulqadir al-Dżilani (lub Gilani; zm. 1166) – ascetyczny kaznodzieja znad Morza Kaspijskiego. Wędrował, by głosić swe nauki, ogniskujące się przede wszystkim wokół ascezy, ubóstwa, tolerancji, miłości bliźniego i miłosierdzia. Od jego nazwiska nazwane zostało bractwo Kadirijja, z którego wywodzi się też Heddawa w Maroku. Do dzisiaj muzułmanie pielgrzymują do jego grobu w Bagdadzie i często całe tygodnie spędzają na czyszczeniu jego świątyni małą miotłką. W ludowym islamie Gilani stał się mistrzem duchów (*dżinem*).

Podobnie jak inne zakony sufickie, Kadirijja także prowadziła pracę misyjną. Najbardziej owocne okazały się misje w Maghrebie i w zachodniej Afryce, wśród plemion Berberów. W Maghrebie czczą Gilaniego w jaskiniach i w świętych miejscach. Często nazywają go „Mistrzem Wschodu”, natomiast Abu Madyana, nauczyciela Ibn Arabiego, nazywa się „Mistrzem Zachodu”. Odwołujący się do nauk Gilaniego jego XIX-wieczny wyznawca, emir Abd el-Kader (zm. 1883) z Algieru, angażował się jako mistrz suficki w walkę przeciwko Francuzom.

Zakon Ciszti

Powstawały jednak także inne zakony, których zwyczaje i rola są znacznie bardziej złożone. Zakon Ciszti pozwalał na przykład, by do bractwa wstępowali także niemuzułmanie. Derwisze nosili żółtobrnatne ubrania i bardzo wysoko cenili muzykę, która stała się środkiem *dhikr*. Oddając się muzyce religijnej, próbowali zbliżyć się do Boga. Zakon Ciszti trzyma się swego ideału – ascezy. Działa w Indiach i w środkowej Azji. Upodobanie tego zakonu do muzyki spowodowało rozwój muzyki hindustańskiej. Jedną z jego świątyń jest mauzoleum mistrza sufich Bakhtiara Kaki w Mehrauli-Delhi w Indiach.

Szattarijja

Szattarijja, kolejny zakon sufich, przejął myśl hinduistyczną i stosował praktyki magiczne. Jeden z jego mistrzów, Ghauth Gwaliori (zm. 1562), napisał

tajemniczą książkę *Pięć klejnotów*, w której przenikają się wzajemnie mistyka, astrologia i kabalistyka. To również dowodzi, że w średniowieczu istniała tajemna, uniwersalna religia, która nie zatrzymywała się przed granicami innych wyznań, tylko je zręcznie omijała.

Derwisze Rifa'i

Derwisze Rifa'i zdobywali osobliwą sławę dzięki czarodziejskim sztukom, jakich potrafili dokonywać. Byli podziwiani, ale w ludziach wywoływali z jednej strony uczucie zdziwienia, z drugiej niesamowitości. Derwisze zadawali sobie rany mieczami, nożami i dzidami, ale nie kaleczyli się przy tym; poza tym jedli szkło i wyjmowali sobie gałki oczne. Głośno oddawali cześć Bogu (*dhikr*), przez co nazywano ich wyjącmi derwiszami.

Badawijja

Ten egipski zakon przejął głównie obyczaje przedislamskie. Derwisze Badawijji prowadzili pracę misyjną i wywierali wpływ przede wszystkim na terenach wiejskich. Łatwiej było skutecznie docierać do chłopów, kiedy się znało ich obyczaje i tradycje, przejęło się je i w miarę możliwości zintegrowało z islamem. Wielka tradycja starożytnego Egiptu, uzależnienie od rytmu Nilu, kultury płodności i słoneczny kalendarz Koptów, według którego obchodzili święta, stworzyły sobie krypty w ich nauce i wierze.

RUMI I WIRUJĄCY DERWISZE

Jeden z najbardziej wpływowych zakonów założył w XIII wieku Dżalal ad-Din ar-Rumi, urodzony w 1207 roku w Baktrze (Balch) w dzisiejszym Afganistanie. Jego ojciec był znanym mistrzem sufich; przywędrował do Bizancjum, a na stałe osiedlił się w anatolijskiej Konyi. Od ojca nauczył się, że miłość do Boga jest doświadczeniem całego ciała. Zakon, który założył Rumi, nazywa się Mewlewije (Maulawijja), ale bardziej znany jest jako tańczący (albo wirujący) derwisze. Kto chciał do niego wstąpić, musiał wykonywać wszelkiego rodzaju ciężkie prace, na przykład przez 1001 dni służyć w kuchni. Poza tym musiał studiować dzieło Rumiego *Masnawi i Manawi* oraz nauczyć się techniki *'sema*. *'Sema* jest niezwykle skomplikowanym religijnym rytuałem tanecznym. Rozpoczyna się od powolnego chodzenia, po którym następuje potrójny pokłon przed mistrzem i odrzucenie czarnego płaszcza, i odsłonięcie białego stroju, symbolizującego czyste ciało, które odrzuciło brud świata i jest gotowe wznieść się ku Bogu. Pod tym względem derwisze wzorowali się na Mahomecie. Legenda

głosi, że kiedy pewnego razu Mahomet bawił się z kuzynami, przyszło do niego dwóch ubranych na biało ludzi, być może byli to aniołowie. Inne dzieci uciekły. Przybysze otworzyli Mahometowi pierś, wyjęli jego serce, oczyścili je i obmyli z wszelkich grzechów, a potem znowu włożyli na miejsce. Od tego czasu Mahomet był bezgrzeszny. Przez odrzucenie czarnego płaszcza derwisze symbolicznie pozbywają się grzechów. Skrzyżowane na piersiach ręce otwierają się, lewa ręka opada ku ziemi, prawa wznosi się ku niebu. Derwisz obraca się na lewej stopie w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara. Rytuał kończy błogosławieństwo z długotrwałym „Huuuuuu”, wypowiedzanym na wydechu – co oznacza „On”, czyli Allah. Coraz szybsze obroty wokół własnej osi wprowadzają tancerza w ekstatyczny trans, zbliżający go do Boga. Rotacyjnymi obrotami sufi wyraża myśl, że wszystko na świecie, także on sam, obraca się wokół Boga.

NAKSZBANDIJA

Zakon Nakszbanda działa na terenie całego świata islamskiego, a oprócz tego prowadzi też działalność w Europie, szczególnie w Niemczech. Najważniejsze w nim jest świątobliwe oddziaływanie sufich i braci świeckich w codziennym życiu. Ręka do pracy, serce dla Boga – to podstawowa dewiza Nakszbanda. Jego wyznawcy postępowali zgodnie z Koranem (sura 70, wersy 19–23):

Zaprawdę, człowiek jest stworzeniem zmiennym:

Kiedy dosięgnie go zło, jest niecierpliwy;

A kiedy dosięgnie go dobro, jest niedostępny!

Z wyjątkiem tych, którzy się modlą,

Którzy są wytrwali w modlitwie.

Wierny powinien szukać samotności wśród ludzi (a więc bliskości Boga) niezależnie od tego, co robi.

W XVIII i XIX wieku z tego zakonu powstawały zakony i ruchy walczące z kolonializmem i przede wszystkim z tzw. obcymi wpływami. We współpracy z sufiami al-Kadirą Nakszbandiją podtrzymywała wiarę muzułmańską w sowieckiej Azji Środkowej w okresie Związku Radzieckiego. W środowisku sufich narodziły się niektóre ruchy fundamentalistyczne. W walce politycznej bardzo przydatne miały się okazać takie cechy, jak hierarchiczna struktura, całkowite

podporządkowanie mistrzowi, koncentracja na religijnym celu i doświadczenie przewodzenia grupom ludzi. Hasan al-Banna, założyciel radykalnego islamskiego Bractwa Muzułmańskiego, był sufim, podobnie jak Abul Ala Maududi, założyciel pakistańskiego Dżamaat-i-Islami.

W zakonach i bractwach *szajch* cieszył się niemal mityczną czcią. Przypisywano mu cudowną siłę. W każdym razie uważano go za mistrza alchemii religijnej, ponieważ umiał dusze początkujących, które powstały z kurzu, zamieniać w złoto. W ten sposób zrodziło się wyobrażenie o „zniknięciu” w mistrzu, które ogromnie zwiększyło władzę *szajchów*.

Od *zniknięcia (fana)* w *szajchu* już tylko krok do *zniknięcia* w Proroku, czyli do najwyższej pozycji mistycznej. Mahomet był tym człowiekiem, który doszedł najbliżej Boga; bliżej Allacha nie można już dotrzeć. Ten stopień osiąga zapewne tylko *szajch*, to on jest tym, który *zniknął* w Proroku Mahomecie. Mówi się również o zjednoczeniu z rzeczywistością Mahometa (*haqiqa Mohammedijja*).

Zjednoczony z tą rzeczywistością Mahometa *szajch* staje się „człowiekiem doskonałym”. Tym samym posiada boski autorytet w kierowaniu derwiszami. Uczeń musi się całkowicie skupić na mistrzu. Pomaga im w tym technika zwana *tawajjuh*. Opanowanie jej umożliwia z kolei oddawanie czci Bogu (*dhikr*). Jednakże *tawajjuh* pozwala także *szajchowi* docierać do serca i mózgu ucznia, jakby przechodził tylko z pomieszczenia do pomieszczenia, nadzorować je i w ten sposób prowadzić podopiecznego.

W tym miejscu może dojść do głosu ciemna strona sufizmu, zwłaszcza jeśli *szajch* zechce wykorzystać bezwzględne oddanie i uwielbienie ucznia do celów osobistych albo politycznych. Bezwzględne uwielbienie i ślepe posłuszeństwo czy ubóstwienie *szajcha* stanowią klucze do niezrozumiałych zjawisk, takich jak widoczna popularność popełniania samobójstw. Nie wystarcza tu wielka obietnica, potrzebna jest jeszcze wiara, zwłaszcza jeśli w zamian trzeba oddać życie. Jednakże historia samobójstwa prowadzi głęboko w historię, do jednego z najpotężniejszych i najbardziej owianych legendą tajnych związków, jakie kiedykolwiek istniały. Od nich pochodzą w języku angielskim i francuskim nazwy skrytobójstwa: *assasin*.

ASASYNI I STARZEC Z GÓR

Asasyni, którzy pojawili się wskutek sporu dwóch książąt izmailickich o prawa do dziedziczenia, byli szyitami i wywodzili się od Izmaila, syna szóstego

imama Dżafara as-Sadyka. Asasyni uważali Izmaila za siódmego imama. Ponieważ według izmailitów było tylko siedmiu imamów, nazywa się ich także szyitami siedmiu imamów. Imam nie żył według nich w ukryciu, lecz aktywnie działał na świecie.

U asasynów obowiązywał nakaz bezwzględnego posłuszeństwa. Koran miał według nich znaczenie otwarte i dostępne każdemu człowiekowi oraz znaczenie wewnętrzne, ukryte, które dla wielu miało pozostać niedostępne. Ten schemat znany już z wielkich i małych misteriów egipskich. Wewnętrzna nauka Koranu dostępna jest tylko imamowi lub wyznaczonemu przez niego misjonarzowi. Misjonarze rozpowszechniali wiarę asasynów wśród biedniejszych i bardziej zaniedbanych pod względem politycznym i społecznym warstw ludności, często czynili to w warunkach konspiracyjnych.

Akurat to wyznanie izmailitów, z jego surową obserwacją i sztywną dyscypliną wtajemniczenia, z tajemnicami dostępnymi tylko elicie wyznaniowej, wyczerpuje znamiona tajemnej religii *par excellence*.

Asasyni w pewnym okresie doszli nawet do władzy – na przykład w latach 909–1171 w dynastii Fatymidów w północnej Afryce.

Szczególną sławę zyskał Hasan ibn Sabbah, lepiej znany jako „Starzec z Gór”. W 1090 roku wywołał powstanie, które się jednak nie udało. Następnie wycofał się w gronie zaufanych ludzi do niedostępnej twierdzy w górach. Wynalazł tam technikę walki i kształcił bojowników, którzy siali przerażenie zarówno wśród chrześcijan, jak i muzułmanów. Hasan ibn Sabbah wynalazł bowiem terrorystę. W górskiej twierdzy Alamut w górach Dailam w Persji szkolił zamachowców, których wysyłał w świat, by mordem eliminować i przerażać swoich wrogów. Zdarzało się nawet, że zamachowcy spędzali dłuższy czas w pobliżu swojej przyszłej ofiary, ponieważ żeby ją móc uśmiercić, musieli najpierw zdobyć jej zaufanie. „Starzec z Gór” obiecał im za te mordy wszelkie radości w raju, dlatego nie przeszkadzało im, że mogą umrzeć zaraz po dokonaniu zamachu. W ten sposób Hasan ibn Sabbah wynalazł również zamachowców samobójców.

Asasyni byli pewni, że w raju oczekują na nich piękne dziewice. Mówiono, że Starzec podawał potencjalnym skrytobójcom haszysz, by w narkotycznym śnie odnosili wrażenie, że są w raju – to dlatego zwolenników Hasana ibn Sabbaha nazywano *hasisi* (spożywający haszysz), od czego wywodzi się nazwa „asasyni”. Gdy tylko wychodzili z narkotycznego odurzenia, które mylili z rzeczywistością, nie marzyli o niczym innym, tylko żeby znowu znaleźć się w raju. A droga do raju

wiodła przez zamach.

DRUZOWIE

Kolejną tajemną religię wywodzącą się od izmailitów wyznawali przede wszystkim druzowie żyjący w Lewancie. Jest to wspólnota religijna do dziś aktywna, która izoluje się w życiu publicznym. Jej założycielem był władca fatymidzki al-Hakim (zaginął w 1021 roku), rezydujący w Kairze i uważający się za istotę niemal boską, stojącą ponad wszystkim, także ponad dobrem i złem tego świata. Być może z powodu obaw, że jego religijne zapamiętanie wpędzi dynastię w kłopoty, został zamordowany przez elity polityczne. Ponieważ nie odnaleziono ciała, jego wyznawcy wierzyli, że trwa w ukryciu i powróci za tysiąc lat, by uczynić druzów władcami ludów. Wykładnię wiary druzów wypracował pochodzący z Persji uczony Hamza ibn Ali, który zniknął podobnie jak kalif al-Hakim.

Kształtowanie się zasad tej wiary, opartej na tajemnych świętych księgach, zakończyło się prawdopodobnie w XV stuleciu. Druzowie zasadniczo dzielą się na „wiedzących” i „niewiedzących”. Surowe życie w bojaźni Boga jest warunkiem zostania „wiedzącym”. Nie przypadkiem przypomina to gnostyków, a zwłaszcza manichejczyków (ich dziedzictwo można znaleźć akurat w islamie szyickim), którzy ze względu na regulowany dostęp do mądrości religijnych dzielili się na wybranych i słuchających.

Lektura tajemnych ksiąg druzów przeznaczona była tylko dla „wiedzących”. „Niewiedzący” mogli brać udział jedynie w części nabożeństwa i słuchać tylko części religijnego przesłania. Dla druzów sens życia polega na tym, że każdy człowiek zostanie „wiedzącym”. Jeśli nie zdoła tego celu osiągnąć przed śmiercią, wówczas narodzi się na nowo i rozpocznie swą życiową podróż raz jeszcze. Będzie się to powtarzało tak długo i często, aż wreszcie zostanie „wiedzącym”.

Islam odrzuca takie pomysły z wędrówką dusz i ponownym narodzeniem. Druzowie żyjący w Syrii, Libanie, w Izraelu i Jordanii byli często prześladowani, dlatego wytworzyło się u nich silne poczucie wspólnoty. Wolno im dosłownie ukrywać swoją przynależność religijną, dla pozorów przyjmować religię kraju lub miejsca, w którym żyją, by chronić się przed prześladowaniami. Druzowie mocno wierzą, że al-Hakim jest ich panem po wsze czasy i że do nich powróci. W silnie zhierarchizowanej wspólnocie druzów mężczyźni i kobiety mają zupełnie takie same prawa. Przywódcą religijnym jest wybierany *szajch al-‘aql* (*aql* oznacza rozum) – to jemu podlegają *szajchowie* kierujący druzami na jakimś konkretnym

obszarze.

Książka dla none none

ATAKI NA KOŚCIÓŁ

W czasie kiedy na Wschodzie pod zewnętrzną warstwą islamu sufizm stworzył niemal cały podziemny system korzeniowy, na Zachodzie Kościół katolicki ukształtował się jako monarchia absolutna z papieżem na szczycie, której rządy miały oczywiście mandat wprost z niebios. Papież w swojej podwójnej roli namiestnika Chrystusa i religijnego zwierzchnika chrześcijan oraz feudalnego władcy coraz częściej wikłał się w macki polityki. Żądza władzy, dążenie do bogactwa i chęć pławienia się w luksusie burzyły równowagę, przesuując akcenty na polityczną stronę działalności. Czynniki religijny, czyli wiara, w coraz bardziej widoczny sposób stawał się usprawiedliwieniem dla polityki siły. Ta trucizna infekowała Kościół, dezorientowała i wyprowadzała z równowagi coraz więcej wiernych, wywoływała duchowe rozczarowanie, zagrażając samej istocie chrześcijańskich wartości. Kościół coraz bardziej przypominał potężne drzewo psujące się od środka. Ratunek mógł nadejść tylko z wnętrza samego Kościoła, ale miał on przed sobą cienistą drogę. Raz jeszcze się okazało, że Kościół i namiestnika Chrystusa (Watykanu w dosłownym i przenośnym sensie tego słowa) nie ratują papieża, którzy wpadają w wir gier politycznych i wikłają się beznadziejnie w polityczne intrygi, lecz ci, którzy traktują wiarę poważnie, niekiedy nazbyt poważnie.

Zaczęły się działania związane z odnowieniem wiary, narodził się nowy, silny ruch pobożności (*devotio moderna*), który jak się zdaje, poniósł swoim nurtem papieża. Nawet herezje stanowiły coś w rodzaju oceny Kościoła katolickiego ze strony Ducha Świętego. Na początku XIV wieku papież zdumiewająco niewiele wnieśli do odnowy Kościoła; jeśli Kościół chciał przetrwać, musiał pokonać ich opór.

Utrzymać Kościół mogli tylko ludzie zdecydowani na obronę żywej wiary, którą potrafili wyprowadzić z mniej lub bardziej przekonująco recytowanych formuł. Ich wysiłki sprawiały wrażenie, jakbyśmy mieli do czynienia z nową wiarą, czymś jak tajemna religia, i przypominały pod wieloma względami wysiłki duchowe, jakie podejmowano na Wschodzie.

Odnowa przyszła za sprawą zakonów żebraczych. Trudno nam sobie dzisiaj wyobrazić, jak silna była tęsknota za życiem opartym na Ewangelii i jak bardzo ludzi dręczył strach przed mękami piekielnymi. Pragnienie doświadczenia Boga, zbliżenia się do niego, było w wielu ludziach niezwykle silne, podobnie jak poszukiwania właściwego, świątobliwego sposobu życia, który obiecywał zbawienie.

W samej teologii odżyła na nowo myśl filozoficzna, która przez Augustyna i Platona docierała do myślicieli średniowiecza. Od XI wieku dokonywało się to także za pośrednictwem Arabów, Żydów oraz źródeł, których już dzisiaj nie znamy. Arystoteles wpływał na rodzącą się filozofię Zachodu. Ze spotkania z myślą Arystotelesa narodziła się filozofia średniowieczna oraz wielka, niestety później skostniała, scholastyka. Genialny Anzelm z Canterbury wyraził to lakonicznym *credo ut intelligam* (wierzę, by poznać).

Rozum wykraczał poza średniowieczny świat i konfrontował się z wiarą. Niektórzy historycy mówią o oświeceniu w średniowieczu – i coś w tym jest. Rozum miał objaśniać wiarę. To stąd wynikały imponujące dowody na istnienie Boga, czym niezmiernie zajmowali się średniowieczni teologowie i filozofowie. Wkrótce jednak pojawiły się pierwsze ofiary – odważni myśliciele, którzy kończyli na stosach. Jeszcze Bernard z Clairvaux używał myślenia do pogłębiania swej wiary. Ale francuski filozof Pierre Abélard – wielki współczesny i oponent Bernarda – przykładał rozum do wiary, by ją nim zmierzyć.

Przy wszelkich przeciwnościach obaj w głębi duszy służyli tajemnej religii miłości. O ile żarliwość miłości u Abélarda studził rozum, to cystersa prowadziła ona ku mistycznemu niemal uwielbieniu Dziewicy Maryi, którą z jednej strony uważał za równą starotestamentowej Sulamith z *Pieśni nad pieśniami*, z drugiej zaś obie uważał za parable Kościoła. Z tego względu Bernarda z Clairvaux nazywano *doctor marianus*, ponieważ w miłości do Matki Boskiej, która była dla niego boginią, jakąś Izydą, wielką matką, głębiej wniknął w tajemnice religii niż ktokolwiek inny. Jednocześnie Bernard potrafił tak skutecznie głosić kazania, że skłonił cesarza i papieża do ogłoszenia drugiej wyprawy krzyżowej. Na przykładzie św. Bernarda z Clairvaux widać, że człowiek średniowieczny był znacznie bardziej wszechstronny, niż bylibyśmy skłonni przypuszczać.

Abélard natomiast nie chciał się zagubić w wierze razem ze swoim myśleniem (jak Bernard), lecz pragnął podnieść wiarę do rangi, jaką miało myślenie. Pół wieku później wiarę i myślenie z imponującą elegancją łączył Mistrz Eckhart.

Inkwizycja była nie tylko organem zwalczającym herezję; z czasem coraz bardziej ewoluowała w kierunku władzy kontrolującej myśl, karnego nadzoru teologii i filozofii. Z jednej strony musiała tym być, z drugiej strony być tym nie mogła. Podążała niewłaściwą drogą, a kryteria swojej działalności odnalazła ostatecznie nie w teologii, lecz we władzy.

Ratunek nadszedł zatem nie tylko ze strony nowej duchowości – w tym samym czasie powstała na nowo myśl filozoficzna oddziałująca także na Kościół. Jeden z największych filozofów, dominikanin Tomasz z Akwinu, posługując się przejętymi od Arystotelesa narzędziami, zbudował w swojej *Sumie teologicznej* (*Summa theologiae*) kompletny gmach teologii średniowiecza. W *Sumie* uzasadnia swą teorię dwóch władz, dowodząc, że zarówno władza świecka, jak religijna pochodzą od Boga oraz że żadna z nich nie powinna ingerować w prerogatywy drugiej. Istnieje tylko jeden wyjątek, gdy większe posłuszeństwo należy się papieżowi – kiedy zagrożone jest zbawienie dusz. Zrozumiałe, że Innocenty IV odrzucił tę ideę jako heretycką. Mimo to w XIV i XV wieku ta koncepcja Akwinaty legła u podstaw nowoczesnych stosunków między powstającymi nowoczesnymi państwami a Kościołem.

MISTYKA ŻYWA – BEGINKI

Odnowa przyszła wreszcie także z nową pobożnością, która wywodziła się od Dionizego Areopagity, Bernarda z Clairvaux, Hildegardy z Bingen oraz od wiktorynów, a prowadziła do religii zupełnie nowej, bardzo osobistej i bardzo za siebie odpowiedzialnej. Zaskakujące, że impulsy do takiego rozwoju sprawy nadeszły z najmniej spodziewanej strony, a mianowicie ze strony kobiet. Kobiety miały w Kościele przede wszystkim milczeć, ale to właśnie ich głos wpędził w tarapaty sprawnie działającą papieską machinę władzy. Była to mistyka, która również się ożywiła.

Mistykę rozumiemy dzisiaj jako tajemnicę, a mistyczne jest coś, co jest tajemnicze. Nie jest to rozumienie błędne, ale odzwierciedla zaledwie jeden aspekt tego pojęcia. Właściwe, pierwszoplanowe i najważniejsze znaczenie słowa „mistyczny” to „ukryty”, a więc ze swej natury tajemniczy. W związku z tym mistyka będzie się zajmowała odkrywaniem tego, co ukryte i co musi tylko zostać ożywione.

Bez tych form nowej pobożności Kościół katolicki wraz ze swymi papieżami i kardynałami, z wielkim kryzysem instytucji papieżstwa w XIV stuleciu poszedłby na dno, gdyż sam bezduszny, pozbawiony żywej wiary aparat nie przetrwałby nawet dziesięciolecia. Na przykładzie mistyki chrześcijańskiej można prześledzić zdumiewający przypadek, że urzędowa religia zawdzięcza ratunek religii ezoterycznej.

Żywa wiara oznacza jednak poszukiwanie wciąż nowych dróg i nowych

form. Wiara łączy aparat albo instytucję z życiem. Wiara w relikwie św. Piotra w Watykanie dała papieżom siłę, bez której nie byłoby całego watykańskiego przepychu. Natomiast ta nowa wiara pochodziła od kobiet, które od połowy XIII wieku coraz częściej pojawiały się w przestrzeni publicznej i które zasiały niepewność w świecie mężczyzn. Na drugim soborze w Lyonie (1274) wszyscy jeszcze byli nią całkowicie zaskoczeni i zdumieni; na soborze w Vienne (1311) brutalna reakcja wynikała już z panicznego strachu.

Wiele kobiet wstępowało w tamtym czasie do tworzących swoje żeńskie odgałęzienia zakonów żebraczych – takim zakonem w przypadku franciszkanów były na przykład klaryski. Jeszcze silniej oddziaływała jednak nowa pobożność, pobożność świeckich.

W północnych Niemczech, północnej Francji i Flandrii skupiały się kobiety, które mieszkaly we wspólnych domach, regularnie chodziły razem do kościoła, wykonywały ćwiczenia duchowe, angażowały się w opiekę nad chorymi, a na utrzymanie zarabiała różnymi pracami fizycznymi i czuwaniem przy zmarłych, ale także zbieraniem jałmużny, jak przedstawiciele zakonów żebraczych. Nie składały ślubów zakonnych, mogły więc w każdej chwili powrócić do wcześniejszego życia; przede wszystkim jednak były wolne od wszelkiego przymusu zakonnego oraz od małżeństwa i męskiej kurateli.

Dziś już nie wiadomo, skąd pochodzi nazwa „beginki” ani co oznacza. Warto odnotować, że te kobiety przychodziły z zamożnych środowisk. Pochodziły ze szlachty i patrycjatu i niezwykle poważnie traktowały oficjalnie propagowane życie chrześcijańskie jako ewangeliczne naśladownictwo Chrystusa. Odejście z zamożnego środowiska podyktowane było w ich przypadku potrzebami duchowymi, a nie materialnymi. Społeczne pochodzenie wyjaśnia dwie sprawy: po pierwsze stosunkowo wysokie wykształcenie, jakie otrzymały, a po drugie pewność siebie. Mężczyzn tamtego czasu najbardziej peszyła i niepokoiła widoczna na zewnątrz niewzruszona wiara w siebie tych kobiet, które chyliły czoło jedynie przed Bogiem.

To jednak nie koniec kłopotów, jakich były przyczyną. Zaczęły również głosić kazania w języku ludowym oraz interpretować Biblię. Franciszkanin Szymon z Tournai relacjonował w 1274 roku na II soborze w Lyonie warunki panujące w Belgii i północnej Francji. Uskarżał się, że beginki coraz częściej zajmują się dyskusjami teologicznymi *subtilitates et novitates*, a więc subtelności i nowinek w znaczeniu rozwiązań nakierowanych na odnowę, oraz modnych teorii. Był to bezpośredni atak na jeden z filarów wspierających kościelną

władzę, czyli na monopol wiedzy i autorytet nauczania. Tym samym beginki wstrząsnęły samymi posadami władzy. Hierarchowie zareagowali radą, by te kobiety i dziewczyny po prostu wychodziły za mąż, wtedy zapanuje spokój. Tak się bowiem dzieje, przebąkaliwali, kiedy pozostawia się kobiety bez męskiego przywództwa i kontroli.

Z czasem jednak beginki rewolucjonizujące pobożność były coraz bardziej podejrzewane o herezję – zwłaszcza że wypracowywały nowe, bardzo radykalne formy pobożności i stworzyły nowy język: język uczuć i bezpośredniego kontaktu z Bogiem. O jednej z pierwszych beginek pisarek, Hadewijch, mówiono, że budzi strach i złość. Mistyczkę i poetkę Mechtyldę z Magdeburga również podejrzewano o herezję z powodu różnych jej wypowiedzi. Ona jednak ze względu na swe pochodzenie miała potężnych obrońców na terytorium środkowych Niemiec.

Patrząc obiektywnie, mistyka beginek prowadziła do emancypacji oraz do odkrycia i wzmocnienia jednostki. Jeśli bowiem ktoś był wiedziony pragnieniem zobaczenia Boga, pragnieniem życia prawdziwie po bożemu, to sam dochodził do przekonania, że doskonale wyobrażenie Boga prowadzi do zjednoczenia z Bogiem. Trzeba mieć do tego jedynie pustą duszę, unicestwić ją, by zrobić miejsce dla Boga. Są to te same wyobrażenia, które poznaliśmy w sufizmie. Powstają zatem pytania: Czy wynika to z jakiejś wymiany między mistykami ze Wschodu i z Zachodu? Czy istniały jakieś nieoficjalne drogi spotkań i wymiany? Czy poszukujący Boga ludzie Zachodu rozumieli ludzi Wschodu, kiedy czytali ich teksty? A może było tak, że te same namiętności w podobnych religiach i przy wszelkich między nimi różnicach wytworzyły jeden wspólny wzorzec wiary?

Idea poruszania się w kierunku Boga, pokonywania kolejnych stopni na tej drodze, czyli duchowa praca, jaką jednostka musiała w tym celu wykonać – wszystko to umacniało jednostkę, a właściwie dopiero ją stwarzało. Stany duchowe i stacje na drodze do Boga analizowali już sufi. Nadszedł więc czas, by obalić błędne mniemanie, że jednostkę odkryło dopiero XVIII-wieczne oświecenie; dokonało się to kilka stuleci wcześniej za sprawą mistycyzmu.

I ta jednostka z jednej strony zdecydowanie zakwestionowała władzę papieża – stąd prowadziła już prosta droga do sejmu w Wormacji (1521), na którym chrześcijaństwo za sprawą Lutera rozpadło się na wiele wyznań – z drugiej strony beginki paradoksalnie zwiększyły władzę papieża, umacniając pragnienie Boga i dyskusją zmuszając papieństwo do odnowy duchowej.

Beginki nie tylko zagroziły wiarygodności i funkcji kleru, ale z takim samym

radikalizmem zakwestionowały władzę świecką. Duchowny był zagniewany, bo beginki odbierały mu owieczki, ojciec tracił władzę nad córką, potencjalny małżonek nie widział zalet takiego małżeństwa, a w końcu męska władza została podana w wątpliwość przez samo istnienie tych kobiet. One już nie potrzebowały ochrony ojców ani mężów i z radością zrzuciły z siebie to jarzmo. Gdyby ich przykład znalazł naśladowczynie, to doprowadziłyby do tego, że kobiety z zamożnych panujących stanów odmawiałyby posłuszeństwa mężczyznom.

Te konflikty i obawy zaostrzyły się pod koniec XIII stulecia. Ożywiona duchowość tych kobiet sprawiała, że nie dostrzegały zagrożenia bytu kleru, jakie wynikało z samej ich egzystencji. Rewolucyjne procesy emancypacji, jakie się tu dokonywały, przebiegały stosunkowo spokojnie, ale to nie spowodowało, że były mniej skuteczne czy mniej niebezpieczne. Duża liczba kobiet prowadziła inne życie, nikogo nie pytając o zgodę ani z nikim nie polemizując. Dla beginek, które nie wierzyły już w ekonomię zbawienia ani w Kościół, ponieważ ich ścisły związek z Bogiem czy z Chrystusem wykluczał wszystko inne, istnienie papieża nie miało znaczenia. W klasztorze w Helfcie wielkie mistyczki Mechtylda z Magdeburga, Mechtylda z Hackeborn i Gertruda z Helfty (zwana Gertrudą Wielką) pokazały drogę do Boga, która nie potrzebowała papieża, duchowieństwa ani Kościoła. To alternatywne życie posiadało potencjał, który bez jednego ciosu miecza mógł podzielić średniowieczną społeczność właśnie ze względu na to inne, alternatywne życie – musiał tylko osiągnąć masę krytyczną.

W południowej Francji i północnej Italii beginki znalazły się w ogniu walki między papieżem a franciszkańskimi spirytuałami, tak zwanymi fraticelli.

W spory byli uwikłani również inni duchowni przywódcy, o których nikt już nie wiedział, czy wciąż jeszcze należą do franciszkanów, czy też od dawna podążają własną drogą. Jednym z takich przywódców był syn księdza, niejaki Fra Dolcino, który zapowiedział początek Kościoła Ducha jako przeciwieństwo Kościoła Ciała, Kościoła kleru. Fra Dolcino odrzucał istniejący Kościół i zamierzał go rozwiązać.

Fra Dolcino wraz ze swymi zwolennikami, których liczba szła w tysiące, ciągnął przez Italię, podpalając wille możnych i oddając je biednym. Całą swą nadzieję wiązali z „anielskim” papieżem (Celestynem V), z którym miał nastać trzeci wiek. Tutaj także widać, jak ważna była idea cesarza i jak wiele łączy legendę o cesarzu Barbarossie z ideami spirytuałów i dolcynistów dotyczącymi końca czasów. I jak są one podobne do izmailickich wyobrażeń o ukrytym imamie.

Skończyły się spokojne czasy. Stulecie było w okresie przełomu, panowało wzburzenie i podniecenie. Dla wielu realnym celem życia był koniec świata jako wybawienie z tego padołu niedoskonałości. Drogi do osiągnięcia tego celu mogły być radykalne i brutalne, jak w przypadku Fra Dolcina, albo tak radykalnie wewnętrzne jak droga beginek. Koniec Fra Dolcina i haniebny, choć może konieczny triumf inkwizycji opowiada swoim wielkim tragizmem podziwu godną nierzeczywistość, inny, nowy sposób myślenia fantastów, historię pewnej tajemnej religii, która była bardzo bliska zostania jedyną jawną religią.

W górach północnej Lombardii okopali się mężczyźni, kobiety i dzieci, naiwni marzyciele, którzy czcili Boga i mieli nadzieję, że przyjdzie święty cesarz i ich uratuje. Tymczasem wysłana przez papieża armia najemników, nazwanych chępliwie krzyżowcami, rozgniotła ich na miazgę. Była to prawdziwa krwawa jatka: najemnicy zabijali mieczami modlących się ludzi, a sługi tych, których uważali za przywódców, odnosili na ubocze, by palić ich żywcem. W marcu 1307 roku – sześć miesięcy później pod osłoną nocy miała się rozpocząć akcja polowania na templariuszy – papieskie oddziały zaatakowały główną kwaterę Fra Dolcina w pobliżu Novary. Fra Dolcino ze stu czterdziestoma towarzyszami dostali się do niewoli i zostali nieludzko zmasakrowani. Papież Klemens V, ów Bertrand de Got, którego Dante również widział w piekle, złożył dowody całkowitego braku moralności chrześcijańskiej. Nazywano go słabym papieżem. Wprowadził papiestwo do babilońskiej niewoli w Awinionie i sprowadził do ponizającej roli instrumentu francuskiej polityki w walce o hegemonię. Nakazał zmiążdżyć spirytuałów i dolcynistów, beginki wysłał na stos i usankcjonował największy mord sądowy średniowiecza – pokazowy proces przeciwko templariuszom – zaprawdę, wielka była jego słabość.

Beginki przyłączały się do różnych grup religijnych. Wysoko ceniły franciszkańskich spirytuałów, jak Petrus Johannes Olivi, którego idee zostały uznane (po jego śmierci) za heretyckie, czy takich mężczyzn jak Ubertino da Casale i Arnold de Villanova, których uważały za świętych. Arnold de Villanova hołdował jeszcze jednej niebezpiecznej religii: alchemii, w której niejedni widzieli drogę do Boga (alchemia dusz), inni skłonni byli uważać ją raczej za narzędzie diabła.

Beginki były coraz częściej palone na stosie albo (jak w Kolonii) zwyczajnie topione. Młode beginki czciły te poprzedniczki jako męczennice. Przedstawimy teraz dwie biografie niezwykłych kobiet, na których przykładzie wyraźnie widać, jaka była rozpiętość ich osiągnięć od pierwszego wystąpienia po prześladowania.

MIŁOŚĆ BEZ KŁAMSTWA – MECHTYLDA Z MAGDEBURGA

Okolica położona na południowy wschód od starego biskupiego miasta Magdeburga do dziś żyje legendą chorowitej księżniczki z Zerbst, z której wyrosła silna pod każdym względem caryca Katarzyna II. Pięćset lat wcześniej na tej samej ziemi, w pół drogi między Magdeburgiem a Halle, przyszła na świat osoba znacznie większego formatu. Została poetką, ponieważ w przeciwieństwie do carycy doskonale rozumiała istotę miłości. Mowa o Mechtyldzie, później ze względu na działalność w siedzibie biskupiej nazwanej Mechtyldą z Magdeburga. Niemal wszystko, co o niej wiemy, pochodzi z napomknień i wzmianek, jakie zostawiła w swoich pismach – w siedmioczęściowym dziele *Das fließende Licht der Gottheit*. Pewne wskazówki można wywieść z porównania dat życia wymienianych doradców i współpracowników. Marna pociecha w tym, że o życiu Mechtyldy wiadomo i tak znacznie więcej niż o innym wielkim poecie tamtych czasów, czyli o autorze *Pieśni o Nibelungach*.

Mechtylda dorastała bowiem w czasach, kiedy *Pieśń o Nibelungach* zyskiwała właśnie ostateczny kształt, w blasku dynastii Hohenstaufów. Przeżyła panowanie Fyderyka II Staufa, którego współcześni nazwali „cudem świata” (*stupor mundi*). Ten zaszczytny tytuł pasowałby także do Mechtyldy.

Urodziła się jako córka szlachcica, kasztelana, któremu wolno było posiadać też niewielki, ale cieszący zmysły dwór. Już jako dziecko stykała się z wędrownymi śpiewakami, poezją bohaterską i pieśniami miłosnymi. Mogła znać takie na przykład pieśni:

Kędy szeleszcze

Lipa w kwiecie,

Gdzie z miłym swym siedziałam wraz,

Miejsce to jeszcze odnajdziecie,

Bo zmięte kwiaty pomną nas.

Z lasku płynął słodki śpiew

Tandaradei!^[196]

W dawnym kulturalnym krajobrazie środkowych Niemiec znajdowała się znaczna liczba zamków, ważnych budowli sakralnych i sławnych pałaców cesarskich pochodzących z XI i XII wieku. W pobliżu miejsca zamieszkania Mechtyldy znajdowały się palatia cesarskie w Sangerhausen, Tilledzie i Memleben. Nie należy też zapominać o samym Magdeburgu, w którym pałac wznosił Otto I. Z wielkimi rodami dzisiejszego obszaru anhalckiego Mechtylda była częściowo spokrewniona, a w każdym razie była tam znana.

Dorastała wśród opowieści o dzielnych rycerzach i cnotliwych kobietach odnoszących rany w świecie pełnym egoizmu, chciwości i kłamstwa, na których jednak władza i siła nie wywierały wrażenia, nie dawali się również zwieść hipokryzji. W dumie i przywiązaniu do uczciwości i honoru Mechtylda była jak rycerz króla Artura. Obok świata dzielnych rycerzy i cnotliwych kobiet istniał jednak świat rzeczywisty, w którym miast pobożnej miłości było rozpasanie, a zamiast pokory rządziły arogancja i zarozumiałość. Można sobie wyobrazić matrony, „niepobożne niewiasty”, spoglądające z wysokości swoich zamków na chłopów, o których to niewiastach Mechtylda pisała, że „są tak przesadne w pysze, wypełnione taką próżnością”^[197]. One były zupełnie zamknięte na znaczenie miłości. Miłość duchowa (*hohe Minne*) to była jednak bezinteresowna, duchowa i najwyższa forma miłości, której filarami były cnoty. Była to miłość, na którą trzeba sobie zasłużyć, a która fascynowała Mechtyldę od dziecka. Chodziło jej o ideę miłości, promieniującą na dworski świat średniowiecza jak rodzaj greckiej *agape*, o miłość, jaką знаła z powieści Wolframa von Eschenbacha czy z opowieści o Tristanie i Izoldzie Gotfryda ze Strasburga. Nie można oczywiście ustalić, czy Mechtylda słyszała o powieściach obu tych pisarzy, nie ma jednak najmniejszych wątpliwości, że znała legendy arturiańskie oraz twórczość minezingerów, gdyż jedno i drugie krążyły wzdłuż i wszerz kraju i były powszechnie znane, omawiane i opowiadane. Były po prostu zajmujące. Zarówno twórczość minezingerów, jak i legendy arturiańskie stanowiły chrześcijańskie *pendant* do twórczości sufich, kodowanej w ramach tajemnej religii. *Tristan i Izolda* zawiera wcale nie mniej ukryty przekaz dla wtajemniczonych, niż ma to miejsce w niektórych historiach z *1001 nocy*.

Nie wiadomo również, czy rodzice Mechtyldy świadomie wybrali dla niej imię znaczące w szlacheckiej tradycji cesarstwa niemieckiego, czy też ten wybór był bardziej przypadkowy – na ten temat można dziś tylko spekulować.

Mechtylda wzrastała natomiast z całą pewnością w głębokim zainteresowaniu wiarą. Wcześniej zyskała wyobrażenie, że świat duchowy, świat fantazji jest znacznie bardziej realny aniżeli to, co realności nazywają światem

rzeczywistym. Świat wyimaginowany coraz silniej odbijał się w jej duszy jako prawdziwa rzeczywistość. Była wrażliwym, pełnym wyobraźni i zapewne też rozmarzonym dzieckiem o cichej, ale nieugiętej wytrwałości. Już w bardzo młodym wieku czuła powołanie, które bardziej skłaniało ją do pokory niż do wyróżnienia się albo zyskania jakichś przywilejów. Wciąż na nowo pytała Boga, czemu akurat ją wybrał, ba, powołał. Powołanie oznaczało niegdyś „zostanie powołanym”, bycie wołanym (przywoływanym) przez kogoś, kto czynił pierwszy krok w kierunku człowieka. Dotyczyło spotkania w prawdzie między powołującym a powoływanym, między Bogiem a człowiekiem, bo tylko Bóg mógł człowieka powołać.

Pierwszym faktem biograficznym, jaki znamy w odniesieniu do Mechtyldy, jest właśnie opowieść o tym. Dwunastolatka opisuje w swoim *buoch* (książce), że „została pozdrowiona przez Ducha Świętego”^[198]. Słowo, jakiego użyła Mechtylda, oznaczało w języku średnio-wysoko-niemieckim „przemówić, zwrócić się”, ale pobrzmiewają tam również inne znaczenia: „przemówić, by rzucić wyzwanie; skłonić; zaniepokoić; wyćwiczyć”. W jej wizji Duch Święty wszedł w kontakt z dwunastoletnią dziewczynką. Pozdrowił ją, ale nie tylko w ten sposób, w jaki dziś rozumiemy „dzień dobry”, lecz przemówił bezpośrednio do niej, do Mechtyldy, niepokojąc ją tym samym, wzywając do niezwykłego życia, którego treścią byłoby tylko poszukiwanie Boga i wreszcie oglądanie go. To wyzwanie, powołanie, to „pozdrowienie” było tak ogromne, że można je było albo spełnić, albo umknąć przed nim w próżność tego świata – *vanitas*. Mechtylda zdecydowała się na wybór trudniejszy, czyli na pierwszą z tych dróg. „Ja, niegodna grzesznica, w dwunastym roku mego życia, kiedy byłam sama, zostałam pozdrowiona przez Ducha Świętego w niezmiernie błogim przypiływie, tak abym już nigdy nie była w stanie dać się pociągnąć do jakiegoś wielkiego powszedniego grzechu. To przemiłe pozdrowienie wznawiało się dnia każdego i słodycz całego świata w dogłębną boleść zmieniało. Wciąż jeszcze wzmaga się ono co dzień. Działo się to przez 31 lat”^[199]. To, co Mechtylda opisuje tu trzydzieści lat później z perspektywy życia w ścisłym związku z Duchem Świętym, stanowiło niebywałą cezurę w życiu młodej dziewczyny.

Jeśli się temu dokładniej przyjrzeć, to ten moment jest mniej przypadkowy, niż może się wydawać. Z jednej strony Mechtylda miała jedenaście czy dwanaście lat, bo Duch Święty ukazał jej się „w dwunastym roku życia”^[200], czyli na progu dojrzewania. Gdyby nie to, według wyobrażeń średniowiecznych wchodziłaby w wiek zdolności do małżeństwa.

Różnica między idealną miłością a światem seksu, który wprowadzie

uważano za grzeszny, ale który zapewniał mroczny byt u boku męża (wstyd pojawił się w wieku oświecenia, a znaną nam postać przyjął dopiero w wieku XIX), stawała się dla niej z dnia na dzień wyraźniejsza. Seks oznaczał, że zostanie rzucona w grzeszność swego ciała. Człowieka uważano za grzesznego, ponieważ został poczęty w akcie seksualnym. W różnych ujęciach dociekano tylko, czy do grzechu prowadził sam akt, czy też odczuwanie przy nim pożądania.

Kiedy Mechtylda mówiła o sobie jako o grzesznicy, to jeszcze niewiele znaczy, ponieważ wszyscy ludzie są grzesznikami ze względu na grzech pierworodny. Ważne zaczęło to być wtedy, kiedy okazało się, że istnieje droga wyjścia z grzechu, droga, której człowiek nie mógł znaleźć sam, lecz musiał mu ją dzięki łasce Boga wskazać Duch Święty. I do tego właśnie wezwał ją Duch Święty: do odejścia od grzesznego świata. Była to droga dość zwyczajna, ale dla kogoś, kto się na nią decydował, stanowiła niewątpliwie wielkie novum i wyzwanie. Decyzja o wyborze tej drogi oznaczała, że trzeba się było liczyć z konfliktami z rodziną, z szyderstwem, kpunami i biedą. Poza tym istniało niebezpieczeństwo posądzenia o herezję i ewentualnych prześladowań.

Dla Mechtyldy „pozdrowienie” Ducha Świętego oznaczało po prostu otwarcie alternatywnej perspektywy życiowej. Droga, jaką Duch Święty jej wskazał, wymagała decyzji, której nie mogła podjąć od razu i w pełni. Dwunastolatka nie była właściwie w stanie przewidzieć, dokąd zaprowadzi ją ten sojusz z Duchem Świętym i jakie będzie miał w jej życiu konsekwencje. Decyzja Mechtyldy oznaczała początek wielkiego programu edukacyjnego i emancypacyjnego. Jej zapiski są najbardziej radykalną książką emancypacyjną, jaką ktokolwiek napisał.

Strumień światła boskości

Nie znamy, niestety, jej wcześniejszych obserwacji i doświadczeń, jakie czyniła w swoim otoczeniu i w sobie przed owym „pozdrowieniem”. Z późniejszych wspomnień możemy się jedynie domyślać, jak bardzo bigoteryjne było jej środowisko, skoro Bóg kiedyś wyjaśnił Mechtyldzie (często słyszała głos Boga), mówiąc o Elżbiecie z Turyngii: „Elżbieta była i jest posłańcem; wysłałem ją do kobiet, które nie myśląc o zbawieniu duszy, siedzą w swoich zamkach, głęboko przeniknięte nieczystością i przepelnione taką dumą, otoczone taką próżnością, że właściwie były skazane na piekielny ogień”^[201]. Nieco później pisze Mechtylda, że Bóg dodał jeszcze, bardziej ogólnie: „Święty Piotr, nowy męczennik, jest posłańcem krwi, jako że zwiedziony na manowce Kościół tak żałośnie jest pogrążony [w grzechu]. Oni wszyscy mówią, że żyją w czystości, jednakże

w Moich oczach są skalani nieczystością. Mówią, że są wierni, a jednak w moich oczach są obłudni. Mówią, że mnie kochają – a jednak o wiele bardziej kochają swoje ciało. Kto chce zostać ze mną, niech wyrzeknie się ze świętym Piotrem swego ziemskiego ciała. Ukryta wina powoduje w końcu pewne nieszczęście”^[202].

Te zdania wynikały z doświadczeń i przeżyć pięćdziesięcioletniej wówczas kobiety, ale dopiero w ostatnim zdaniu wyraźnie wypowiedziana została jej podstawowa maksyma, która od początku jej przyświecała i która z latami stawała się coraz ważniejsza: niewielu jest ludzi, bardzo niewielu, którzy nie potrafią żyć w kłamstwie i którym nawet sporadyczne kłamstwo wydaje się nie do zniesienia, natomiast prawda jest tak cenna, że prawda wyznaczała tory ich życia.

Prawdziwa miłość do Boga oznaczała dla Mechtyldy miłość do prawdy. To pozornie proste zdanie: „Ukryta wina powoduje w końcu pewne nieszczęście”, stanowi klucz do duszy Mechtyldy z Magdeburga. Bóg jej nie oszukuje, Bóg nie wymaga od niej kłamstw i nie kształci jej też, by żyła w fałszu. Nie ma najmniejszego powodu, by kłamać, ponieważ obcowanie z Bogiem jest rzeczywistością i jest o wiele ważniejsze niż przemijający, zwodniczy i grzeszny świat. Traktowanie świata kłamstwem to doprawdy za wielka uprzejmość wobec świata. Taki rygorizm uczynił Mechtyldę niezdolną do życia towarzyskiego, gdyż ono opiera się jednak na mniejszych lub większych kłamstwach.

Mechtylda wszystkie je nazywała: nieczystość – która jest w istocie kłamstwem wobec mężczyzny lub kobiety, z którym (którą) się żyje; pycha – jest kłamstwem wobec innych ludzi; próżność – kłamstwem wobec siebie; wreszcie jest jeszcze kłamstwo i niewierność, i obłuda wobec Boga. Ostatecznie wszystko to jest jednym, ponieważ ten, kto kłamie wobec Boga, jest także nieuczciwy wobec samego siebie i wobec innych. Zgodnie bowiem z nauką, że człowiek został stworzony na podobieństwo Boga (*imago-similitudo*), to oszukując bliźniego, oszukuje w nim Boga.

W 34. rozdziale piątej księgi jej dzieła zatytułowanego *Strumień światła boskości* Mechtylda wymienia pięcioro świętych, których Bóg posłał do ludzi: św. Elżbietę, św. Franciszka i św. Dominika – a więc założycieli trzech zakonów kaznodziejskich, następnie św. Piotra Męczennika – nie należy go mylić ze św. Piotrem Apostołem – dominikanina, inkwizytora, kaznodzieję, wędrującego przez południową Francję i walczącego z albigensami, zamordowanego w 1252 roku przez katarów. Jako ostatnią Mechtylda nieoczekiwanie wymienia Juttę z Sangerhausen, która udała się do Prus, żeby nawracać pogan. W ten sposób korowód świętych otwierają i zamykają dwie niezwykle kobiety ściśle związane

z ojczystą ziemią Mechtyldy, ze środkową częścią Niemiec. Podobnie jak one, także trzej wymienieni święci są jej współczesnymi, wiodącymi na wskroś chrześcijański żywot przedstawicielami szlachty, którzy zrezygnowali ze stanowych przywilejów.

Zapomina się często, że to, co działo się w XIII wieku, było ni mniej, ni więcej tylko cichą rewolucją przeciwko obłudnemu, bluźnierczemu i bigoteryjnemu światu, w którym Kościół i sami duchowni stawali się coraz bogatsi, a biedni coraz biedniejsi. Był to czas, gdy pobożność urosła do rangi radykalnego protestu społecznego i moralnego przeciwko żądzy, skąpstwu, obżarstwu i lubowaniu się w przepychu, jakie panowały w Kościele, protestu, który coraz bardziej zagrażał kościelnemu establishmentowi. Duchownym, którzy zapominali o Jezusie, Mechtylda udzielała ostrej reprimendy, używając przy tym drastycznego słownictwa. Mistyka średniowieczna była rewolucją tajemnej religii miłości, która powoli i ponosząc przy tym ofiary, zmieniała świat.

Mechtylda odbyła jednak długą i ciernistą drogę, nim pewnego dnia zdecydowała się pisać swoją książkę. Można się jedynie domyślać, czym dla tak pokornej kobiety było publiczne przedstawienie swojej wiary, swego życia, doznań, widzenia (i słyszenia) Boga, najintymniejszych momentów swojej pobożności. Ile znaczyło to wystawienie się pod pręgierz opinii publicznej i przede wszystkim przeciwstawienie się wszystkim wykształconym teologom i powiedzenie im, że oto mniszka Mechtylda, nieznająca łaciny, nieuczona, niewykształcona, ot – kobieta, najbardziej ograniczone stworzenie Boże – wszystkim im, uczonym, wykształconym i uznanym, opowie o Bogu. Powiedzieliście, że nie wolno mi rozprawiać o Bogu, ponieważ jestem kobietą, nie jestem kapłanem ani teologiem – tymczasem to mnie wybrał Duch Święty i to do mnie przemawiał. Próbowaliście zamknąć Boga w dogmatach, w swoich pokrętnych dowodach, ale Bóg dał wam pstryczka w nos.

W jej książce znajdziemy jednak również potężne, wyniszczające, niemal rozdzierające zwątpienie. To zwątpienie, ta skarga mogłyby przydać pokory najzuchwalszym pisarzom: „O Panie, gdybym była uczonym duchownym, a ty dokonałbyś na nim tego niepowtarzalnego cudu, to z tego mogłaby wynikać wieczna chwała Twoja. Jakże jednak można podejrzewać, że swój złoty dom postawiłeś pośrodku takiego brudnego bajora...”^[203].

Książka i biografia Mechtyldy – na ile możemy ją odtworzyć – stanowią niepowtarzalny program edukacyjny i emancypacyjny odważnej kobiety, która zrywa ze swoimi czasami i z konwencjami, ponosząc konsekwencje tej decyzji.

W dwunastym roku życia zdecydowała się pójść pod prąd, zeszła z drogi normalności i zaczęła budować sobie własne, niezależne i samodzielne życie. Początkowo takie bogobojne dziecko budziło jedynie uśmiech, jednakże z czasem, kiedy dorastała i sprzeciwiała się małżeńskim planom układanym przez rodziców, zaczęła budzić złość. Nie mamy żadnych przekazów, które by mówiły, czy rozważano zamiar zamknięcia jej w jakimś klasztorze. Kiedy miała dwadzieścia lat, sytuacja w domu rodzinnym zaostrzyła się dramatycznie, gdyż stało się jasne, że nie znajdzie się dla niej małżonek – wiadomo było, że nie chce mieć męża. Szlachcianka miała w takiej sytuacji tylko jedno wyjście – pójść do klasztoru.

Mechtylda wybrała trzecią drogę – niecodzienną, niebezpieczną i nieprzewidzianą dla młodych kobiet. Właściwie była to droga, którą wybrać mogła tylko kobieta lekkich obyczajów. Jakoś między 1228 a 1230 rokiem opuściła rodzinny dom i udała się do Magdeburga, gdzie wprowadziła się do jednego z beginatów. Spotkała tam wyłącznie kobiety niezamężne, które chciały żyć swoją religijnością, ale nie chciały być związane jakimikolwiek ślubami. Ich celem było pozostać wolnymi i zarabiać różnymi pracami na swoje utrzymanie. Duchową pieczę nad beginkami sprawował często kaznodzieja dominikanin. Beginki prowadziły proste, skromne życie naznaczone niedostatkiem. Kobiety te miały jednak niezależność, były same za siebie odpowiedzialne, wolne wolnością przypominającą nasze nieodległe czasy. W Magdeburgu Mechtylda oddawała się ćwiczeniom duchowym, praktykowanym już wcześniej, miała widzenia, starała się prowadzić rozmowy z Bogiem, widzieć go i dążyła do mistycznego zjednoczenia z nim.

Wspominała, że Duch Święty nawiedzał ją codziennie. A ona z każdym dniem traciła zainteresowanie światem rzeczywistym, gdyż „Bóg swoją miłością zmieniał [jej] słodycz całego świata” w dogłębną boleść. Wszystko, co ją podczas tych widzeń spotykało, było bardziej rzeczywiste, bardziej realne, „słodsze” i bardziej przejmujące niż to, co obserwowała jako zakłamaną egzystencję w swoim otoczeniu. I doznawała tego, co jest udziałem tylko bardzo niewielu ludzi: miłości.

Rytm zapisków Mechtyldy z Magdeburga oraz słownictwo, jakiego używa, świadczą o pragnieniu i pożądaniu, spełnieniu i cierpieniu całego człowieka – i nie tylko człowieka. W jej pismach pobrzmiwa zupełnie nowy, nieznany wcześniej ton. Opisuje także pragnienie i cierpienie Boga w miłości: „Kiedy za tobą goniłem – to było pragnienie; kiedy cię schwytałem – to było pożądanie; kiedy cię zafascynowałem – to była moja radość. Kiedy cię ranilem – byłem z tobą zjednoczony; kiedy nagle na ciebie spadam, zyskuję nad tobą władzę”^[204].

Bóg znajdował się jednak również we władzy miłości, która tak świadomie wyraża się o posiadanej władzy: „Przegoniłam wszechmocnego Boga z niebios, odebrałam mu jego ludzkie życie i oddałam z honorami Ojcu Niebieskiemu – jak możesz myśleć ty, nędzny robaku, że mogłabym pozostawić cię przy życiu?”^[205].

W jaki sposób człowiek – i ona sama – może wyzwolić się kiedyś z tej miłości, która nim tak głęboko zawładnęła? Nie czas tu ani miejsce na rozwijanie tego zagadnienia i zagłębianie się w nie; w każdym razie w tekście Mechtyldy znajdujemy dobitne dowody intensywności miłosnego związku, jaki był jej udziałem. W tej miłości jest wolna od wszelkich rzeczy, od ziemskiej udręki i nadmiernej tęsknoty. Co więcej, znalazła w niej wolność człowieka. „Najwspanialsza w człowieku zawsze będzie miłość wynikająca z wolnego wyboru”^[206] – nikt dotąd nie wyraził trafniej tego wielkiego postulatu ludzkości niż to proste, ale niezwykle aktualne zdanie sprzed setek lat. Napisała je Mechtylda, ale równie dobrze jego autorem mógłby być Ibn Arabi.

Mechtylda z Magdeburga w XIII wieku sformułowała wprost nowocześnie rozumianą wolność człowieka, jednostki – jako wolność wyboru miłości. Nie można nikomu nakazać miłości ani jej zarządzić, ani jej od nikogo żądać. Istotą miłości jest wolność.

Jak silne musiało być to przeżycie miłości u Mechtyldy, widać po tym, że potrafiła znieść wszelkie krzywdy. W jej książce ciągle czytamy o prześladowaniach, zazdrości, obłudzie. Mechtylda była wyjątkiem również w beginacie. Niektóre beginiki mogły jej zazdrościć wizji albo słyszenia głosu Boga, mogły też nie dowierzać, że takie wizje miewała. Mechtylda miała też inne zmartwienie: teksty, które nosiła w sobie, domagały się spisania, przelania na papier. W końcu znalazła duchownego, który poznał się na niepowtarzalnej jakości jej myśli i języka, na głębi jej mistycznego zrozumienia, które łączyły się w tym języku, z jednej strony bardzo precyzyjnym, z drugiej niezwykle poetyckim. Był to jej spowiednik Heinrich z Halle, dominikanin. Około 1250 roku razem z Mechtyldą zaczęli pisać jej *buoch*, a spowiednik, będąc pod wrażeniem tego tekstu, nalegał na jego publikację. Według niego wydanie tych myśli i opisu wizji, jej przeżyć, wręcz przygód duchowych, stanowiło wolę Boga, której nie należy się sprzeciwiać. Dzieło Mechtyldy ma w sobie coś z powieści Wolframa von Eschenbacha i Gottfrieda ze Strasburga, których bohaterowie przeżywają różne przygody i muszą przechodzić próby wytrzymałości. Specyfika jej doświadczenia powoduje, że osiąga to innymi środkami, ale języka, jakim się posługuje, nie musiałaby się wstydzić wobec Walthera von der Vogelweide czy innych minezingerów.

Strumień światła boskości jest powieścią duszy w jej wielkiej i tajemniczej, intensywniej i pełnej przygód podróży do Boga. Można to też sformułować odważniej, w duchu teorii *imago-similitudo*: jest to powieść duszy znajdującej się w wielkiej życiowej podróży do samej siebie, do boskiego pierwiastka w sobie samej. Być może dlatego Mechtyldzie udało się osiągnąć ten efekt wstrząsającej prawdziwości, że bezwzględna ekspedycja duszy do pierwiastka boskiego w człowieku, do tego, co zdaje się utracone, ukryte, uwięzione i zniewolone – że ona wymaga miłości, by była zdolna wytrzymać po drodze wszelkie niebezpieczeństwa, udręki i zwątpienia. Mechtylda wprawnie i świadomie posługiwała się technikami, obrazami i terminami poezji współczesnych sobie minezingerów oraz tymi, które знаła z *Pieśni nad pieśniami*.

Kilkadziesiąt lat przed jej narodzinami *Pieśń nad pieśniami* została przełożona na niemiecki i opatrzona komentarzem. Została wydana jako *Pieśń z Sankt Trudbert*, a pomyślana jako „nauka miłosnego poznania Boga”. Jest to świadectwo intensywności, z jaką w dobie rozkwitu średniowiecza zajmowano się *Pieśnią nad pieśniami*. I to właśnie odcisnęło swoje piętno na Mechtyldzie, owa intensywność. Sama Mechtylda dzięki tym rozważaniom o tekście *Pieśni nad pieśniami* zyskała pewien rodzaj samodzielności, która pozwoliła jej uczynić człowieka aktywnym partnerem Boga. Pisała, że w miłości także Bóg musi dostosować się do człowieka. U Mechtyldy Oblubieniec i Oblubienica, Bóg i Dusza stoją naprzeciw siebie, a Oblubienica niezwykle świadomie wzywa go (brzmi to niemal jak cytat z *Romea i Julii* Szekspira): „Tańczę, Panie, gdy Ty mnie prowadzisz! Jeśli mam wysoko skakać, to musisz zacząć śpiewać. Wtedy podskoczę do miłości, od miłości do poznania, od poznania do rozkoszy, od rozkoszy ponad wszystkie ludzkie umysły. Tam chcę pozostać, a jednak krążyć wyżej”^[207].

W tym tkwi tajemnica Mechtyldy. Jej mistyczna ścieżka wiodła ją od miłości do poznania, potem od poznania do rozkoszy i spotkania z Bogiem, w którym stawała się jednością z Bogiem. Stawała wtedy ponad ludzkim myśleniem. Bóg jednakże, stojąc tak wysoko ponad myślą człowieka, był dla myśli człowieka nieosiągalny i dlatego był „wyżej niż wszelka ludzka myśl”. Kiedy Mechtylda z rozkoszy skakała wyżej niż wszelka ludzka myśl, to skakała do Boga. I tam chciała pozostać, a więc być, ale i dążyć dalej. Tylko do czego? Nie doceniamy tego pytania, jeśli sądzimy, że potrafimy na nie odpowiedzieć. W tym „dalszym dążeniu” wyraża się bowiem jej mistyczne doświadczenie, które zapewne pozostanie jej tajemnicą.

Pierwsze cztery księgi (z wszystkich siedmiu) Mechtylda napisała około 1250 roku. Jej uczciwość, szczerść, odwaga i rygorizm moralny oraz całkowita bezpośredniość spowodowały, że narobiła sobie wrogów wśród duchownych w mieście oraz wśród beginek. Oznaczało to także coraz trudniejsze warunki zarabiania na życie. Około 1270 roku – miała wtedy ponad sześćdziesiąt lat, co według ówczesnych pojęć było wiekiem sędziwym – poszła do klasztoru w Helfcie.

Klasztorem tym zawiadywała wtedy przeorysza Gertruda z Hackeborn, która pewną ręką prowadziła zgromadzenie przez trudne czasy. Jej motto brzmiało: „Kiedy zatraci się gorliwość w rozwijaniu nauk, wtedy zaniknie też troska o religię”^[208]. Zdumiewające, jak bardzo kobiety takie jak ona ceniły naukę, choć studia uniwersyteckie były dla nich zamknięte. Ceniły wiedzę mimo – a może właśnie dlatego – że były mistyczkami.

W Helfcie Mechtylda miała wreszcie utrzymanie, tutaj napisała szóstą i siódmą część *Strumienia światła boskości* i sprawowała kierownictwo duchowe nad zakonnicami. Nie bez kozery to właśnie z Helfty wyszły dwie kolejne wielkie pisarki: Mechtylda z Hackeborn (młodsza siostra przeoryszy) i Gertruda Wielka. Po raz pierwszy w życiu Mechtylda znalazła spokój, także spokój od zazdrości i wrogości; była tu po prostu szanowana i czczona. Badacze podają dwie daty jej śmierci; przyjmuje się, że zmarła w Helfcie w 1282 lub 1294 roku.

Oryginalny tekst jej dzieła nie zachował się, niestety, do naszych czasów. Istnieje tylko jego przekład na dialekt górnoniemiecki alemański w tzw. rękopisie pustelniczym (*Einsiedlerhandschrift*) oraz w przekładzie na łacinę. Byłoby niezwykle szczęśliwym zbiegiem zdarzeń, gdyby udało się odnaleźć dolnoniemiecki oryginał – byłby to wielki skarb. Można by wtedy na podstawie analizy form wyrazowych dokładniej określić miejscowość, z której Mechtylda pochodziła, a być może udałoby się również dotrzeć do najgłębszego i najbardziej osobistego poziomu: do tajemnicy Mechtyldy z Magdeburga, której ukrytą religię poznaliśmy jedynie częściowo. Może odnaleźlibyśmy samą miłość. Pięknie to brzmi, ale jest właściwie jeszcze trochę ogólne.

To, co w Mechtyldzie naprawdę wspaniałe, a co w niezwykle sposób wydobyła z tekstów wielkich mistyczek z Helfty, Hildegardy z Bingen i innych kobiet, polegało na tym, że tak czysto i jasno, tak namiętnie, tak pięknie, nieskrępowanie i prawdziwie pisała o miłości do Boga i o zwykłej, niezwykłej miłości (do) człowieka: „O Panie, kochaj mnie serdecznie, kochaj mnie często i długo! Bo im goręcej Ty mnie kochasz, tym staję się czystsza; im częściej mnie

kochasz, tym staję się piękniejsza. Im dłużej mnie kochasz, tym świętsza staję się tu na ziemi”^[209].

SPALONA NA STOSIE Z POWODU „PRAWDZIWEJ MIŁOŚCI” – MARGUERITE PORÈTE

Tamtego pierwszego czerwca 1310 roku cały Paryż ciągnął na Place de Grève, plac targowy, na którym odbywały się również egzekucje. Spektakl, jaki czekał mieszkańców stolicy, zapewnił im niezwykle zajęty dominikanin, inkwizytor Wilhelm z Paryża. Dzień wcześniej potwierdził wyrok na beginkę Marguerite Porète, która teraz miała spłonąć na stosie razem ze swoją heretycką książką. Dwudziestu jeden paryskich teologów stwierdziło, że Małgorzata jest heretyczką, autorką heretyckiej książki, napisanej w języku starofrancuskim i zatytułowanej *Le mirouer des simples âmes anienties et qui seulement demourent en vouloir et désir d’amour* (*Zwierciadło dusz prostych, znane też jako Zwierciadło umartwionych dusz*). Można tylko snuć domysły, w jakim wieku była autorka rodem z hrabstwa Hainaut.

Paryżan ogarnęła fala współczucia, kiedy odziana w szarą lnianą szatę kobieta, trzymająca w ręce swą książeczkę z taką czułością, jakby zapewniała jej pewniejszą ochronę, przewieziona została na plac, doprowadzona na stos i przywiązana do umieszczonego pośrodku pala. Dysproporcja między siłą a bezsilnością, między prymitywną władzą a wysublimowanym duchem była zbyt wielka, by u obserwatorów nie wywołała złości na wielkich panów, którzy depczą prawo. Jakież niesłychany lęk musieli odczuwać możni tego świata przed tą myślą osamotnionej kobiety!

Wbrew wyobrażeniom niektórych inkwizytorzy nie byli bandą niewykształconych chorobliwych sadystów. Jeśli pominąć królewską inkwizycję hiszpańską w XVI wieku, to na inkwizytorów wyznaczani byli zazwyczaj dobrze wykształceni mężczyźni; działo się tak właśnie dlatego, że nie chciano tworzyć sądu siejącego terror, a każde spalenie na stosie traktowano jako porażkę Kościoła. Każda śmierć w ogniu oznaczała przecież jednocześnie, że Kościół był zbyt słaby, by wprowadzić grzesznika z powrotem na właściwą drogę. Tymczasem wiadomo, że zgodnie z nauczaniem Kościoła jeden nawrócony grzesznik był Bogu miłszy niż stu sprawiedliwych. Dusze skazanych na śmierć na stosie dla Kościoła były stracone, każdy heretyk, którego Kościół posyłał na szafot, oznaczał zwycięstwo diabła. Kościół był znacznie bardziej zainteresowany, by nieprawomyślny chrześcijanin odwołał głoszone herezje i wyrzekł się ich – publicznie i głośno.

We Francji Filipa Pięknego panowała jednak samowola, której pierwszym ogniwem był sam próżny i brutalny król. Władca ów znajdował wśród poddanych ochoczych i pozbawionych skrupułów wykonawców swoich rozkazów. Narzędziami w rękach króla byli niedoszły profesor prawa Wilhelm (Guillaume) de Nogaret, generalny inkwizytor Francji Wilhelm z Paryża i wreszcie przywódca najemników Sciarra Colonna. Nogaret i Sciarra na rozkaz swego pana napadli kilka lat wcześniej na papieża Bonifacego VIII w Anagni i tak go poturbowali, że starzec niedługo potem zmarł. Filip osadził potem na papieskim tronie słabego i oddanego sobie papieża, rozpoczynając tym samym stulecie babilońskiej niewoli papieży w Awinionie, najbardziej mroczny wiek w dziejach Kościoła, w którym był on poddany rozkazom francuskich królów. Kościół został poniżony i pozbawiony godności, a znajdował się w dodatku w bardzo złym stanie moralnym – nic zatem dziwnego, że wszędzie pojawiały się chrześcijańskie ruchy reformatorskie.

Wśród chrześcijan narastała odraza wobec coraz bardziej bezwstydnich targów, które dziś nazwalibyśmy polityką. Papieże, prałaci i księża nazywający się chrześcijanami zdradzili Jezusa dla swych mniejszych lub większych przyjemności i stali się armią nowego Antychrysta, nieznanego dotąd siódmego księcia piekieł, który miał się pojawić na końcu czasów, by stworzyć swe królestwo, ale miał zostać zwyciężony przez zastępy Chrystusa. W całym chrześcijaństwie budził się duchowy sprzeciw wobec duchowieństwa Diabła.

W Italii i we Francji wskutek wcześniejszej działalności Franciszka z Asyżu i Joachima z Fiore zaczęły się kształtować radykalne ruchy monastyczne głoszące ubóstwo. Niektóre z nich nie cofały się nawet przed podpalaniem willi bogaczy. W północnych Niemczech, ale przede wszystkim we Flandrii, we wspólnoty łączyły się beginki, które mieszkaly we wspólnych domach, wspólnie chodziły do kościoła, praktykowały ćwiczenia duchowe, angażowały się w opiekę nad chorymi i wykonywały różne robótki ręczne, by zarobić na utrzymanie. W tym samym celu czuwały też przy ciałach zmarłych i zbierały jałmużnę jak mnisi z zakonów żebraczych.

Beginki chyliły głowy jedynie przed Bogiem. Historycy prawa twierdzą, że proces Marguerite Porète (Małgorzaty Porete) został przeprowadzony bez formalnych uchybień i zgodnie z normami – ale to przecież marna pociecha. Oczywiście jest bowiem, że prawnicy inkwizyjni nie popełniali błędów formalnych, trudno natomiast pominąć wymiar moralny, historyczny i filozoficzny tego procesu. Wgląd w jego przebieg pomaga nam lepiej zrozumieć mechanizmy i normy ówczesnego postępowania. Natomiast świadomość, że Małgorzata Porete i później Giordano Bruno spłonęli na stosie z zachowaniem wszystkich reguł, nie

poprawia naszego samopoczucia ani nie zmienia samego faktu.

W życiu Małgorzaty szczególną rolę odegrał pewien duchowny, Guion de Cressonaert. Niektórzy uważają go za jej obrońcę, który próbował ją ratować jeszcze po ogłoszeniu wyroku. Próba ratunku została jednak wykryta i Cressonaert na resztę swego życia przepadł w więzieniu. Inni widzą w nim z kolei kochanka Małgorzaty, co akurat można wykluczyć. Wydaje się jednak, że bardzo ją kochał i szanował – bez wątplenia wywarła wielki wpływ na tego duchownego, który sam siebie nazywał „aniołem z Filadelfii”.

To określenie wskazuje na Apokalipsę św. Jana, w której czytamy: „Zwycięzcę uczynię filarem świątyni Boga mego i już nie wyjdzie na zewnątrz. I na nim imię Boga mego napiszę i imię miasta Boga mego, Nowego Jeruzalem, co z nieba zstępuje od mego Boga i moje nowe imię”^[210]. W tym wyznaniu wyraźne jest, że obrońca Małgorzaty Porete czuł się z nią z jednej strony związany wielką pobożnością, z drugiej natomiast – że w przeciwieństwie do niej myślał politycznie, to znaczy łączył wielką pobożność Małgorzaty z myślą Joachima z Fiore. Joachim, opat z Kalabrii, wierzył, że trzecią epoką będzie era ducha, w której dojdzie do ostatecznej walki między siłami niebieskimi a mocami ciemności. Cressonaert był natomiast całkowicie przekonany, że właśnie nadchodzi ta trzecia era. Kluczowym pojęciem obu tych teorii była wolność, a miejsce wolności znalazło się w eschatologii, która mogła się rozpocząć już w tym życiu. Cressonaert czuł się może w ogniu tej walki wybrańcem, kimś, kto miał trwać przy Chrystusie, by pójść z nim do nowego królestwa, do Nowego Jeruzalem.

Zwierciadło dusz prostych

W takiej sytuacji beginka Małgorzata Porete opublikowała swoje *Zwierciadło dusz prostych*. Mechtylda z Magdeburga, przedstawiając dramat podróży przez życie, okazała się w swojej twórczości pisarką i poetką, która wytrzymuje konfrontację zarówno z *Odyseją* Homera, jak i *Ulissesem* Jamesa Joyce’a, a nadto wiele rozumie z sytuacji człowieka, niemal jak u Kafki „wrzuconego w egzystencję”. Małgorzata natomiast występuje przede wszystkim jako posiadająca rozległą wiedzę uczona, która zarazem naucza. Już tytuł jej książki zdradza zamysł pouczenia – a są to zawarte w 139 rozdziałach wskazówki, w jaki sposób osiągnąć stan jedności z Bogiem. Jest to podręcznik mistyki miłości, w którym wzniesienie się do Boga dyskutowane jest z podziałem na role.

Pod wpływem czystej miłości (albo miłości jako „uczennicy Boga”) duszy udaje się wnieść do Boga z „doliny pokory” przez „równinę prawdy” aż do „góry

miłości”. Przemiana duszy w jedność z Bogiem w miłości odbywa się bez cnót i potrzebuje jedynie wolności.

Za całościowymi i skomplikowanymi teologicznymi i alegorycznymi spekulacjami kryje się radykalnie postawione pytanie i konsekwentnie podnoszone żądanie wolności jednostki, jednostki, która posiada możliwości, by stać się równą Bogu. Droga duszy w wydaniu Małgorzaty Porete warta jest dokładniejszej analizy; ciekawe byłoby zwłaszcza szczegółowe porównanie wyobrażeń tej beginki z poglądami Dantego w *Boskiej Komедii* (która powstała kilka lat później) – nie po to, żeby dowiedzieć się więcej o Małgorzacie Porete, lecz żeby dowiedzieć się więcej o Dantem.

Do pouczenia ludzi autorka wirtuozersko wykorzystywała język minezingerów, francuskich trubadurów, a nadto była w stanie bez trudu porządkować argumenty zgodnie ze scholastyczną manierą, przeprowadzać dedukcje i dowody. Ona także nie mogła jeszcze studiować teologii, ale była w niej niezwykle kompetentna. W formie wprowadzenia napisała, jak chciałaby być rozumiana:

Przyszli czytelnicy tej książki,
jeśli ją chcecie dobrze zrozumieć,
uważajcie na to, co mówicie,
bo ciężko to pojąć...
Teologowie...
przy całej waszej przenikliwości
nie otworzy się przed wami możliwość zrozumienia,
jeśli nie podejście do tego z pokorą
i nie pozwolicie, by miłość i wiara w równej mierze
przemogły rozum...
Bo to one są paniami w tym domu^[211].

Przestrzega jednak także beginki, by przedwcześnie nie wyrażały krytyki. Małgorzata Porete czuje się wprawdzie zainspirowana przez Ducha Świętego i przez niego uprawomocniona, jednakże nie chodzi jej (jak Mechtyldzie z Magdeburga) o autobiografię, o opowiadanie i wyznanie, ale zupełnie jednoznacznie o pouczenie: „Jednakże teraz jest ona [dusza] tak bardzo przeniknięta boskim nauczaniem i tak w nie zaangażowana, że zaczyna czytać tam, gdzie wy właśnie skończyłyście. Ta lekcja nie została jednak spisana ręką człowieka, te lekcje są dziełem samego Ducha Świętego, a dusza jest drogocennym pergaminem. Tu jest szkoła boska, w której uczy się z zamkniętymi ustami, a ludzkie zmysły nie są w stanie ująć tego w słowa”^[212].

Zaznaczając boską inspirację, Małgorzata Porete odnosi się bezpośrednio do Apokalipsy św. Jana, w której czytamy: „A głos, który słyszałem z nieba, znów usłyszałem, jak zwracał się do mnie w słowach: »Idź, weź księgę otwartą w ręce anioła stojącego na morzu i na ziemi!«. Poszedłem więc do anioła, mówiąc mu, by dał mi książeczkę. I rzecze mi: »Weź i połknij ją, a napelni wnętrzości twe goryczą, lecz w ustach twych będzie słodka jak miód«. (...) I mówią mi: »Trzeba ci znów prorokować o ludach, narodach, językach i o wielu królach«”^[213].

Można właściwie rozumieć jej przeciwników: kto ma tak silną świadomość swojego posłannictwa, ten czuje się uprawniony i nie można z nim już dyskutować. Ale jej przeciwnikom nie chodziło o dyskusję, tylko o utrzymanie posiadanej władzy.

W swoim dziele Małgorzata Porete przedstawia siedem stopni wznoszenia się ku Bogu. Autorka nie wyraża specjalnego zainteresowania pierwszymi czterema stopniami, ponieważ uważa, że sama znajduje się na piątym stopniu: „Piąty stan bytu polega na tym, że dusza przygląda się, że Bóg jest tym, czym jest, z którego pochodzi wszystko inne, a czym ona sama nie jest i nie jest też tym, z czego wszystko inne pochodzi”^[214]. Tak dalece oczyściła się ze spraw tego świata, że było w niej miejsce dla Boga. Stopnie od pierwszego do czwartego stanowiły etapy na tej drodze uwalniania się od świata.

Niektóre techniki chrześcijańskiego mistycyzmu przypominają pod pewnymi względami buddyzm zen – z tą zasadniczą różnicą, że Bóg nie jest nicością, lecz ponad-wszystkim, jest „bliski w dalekości” (*loingprés*). Jak to ujmuje Małgorzata Porete: W pełni bożego poznania rozpoznaje swoją nicość, która ją unicestwia i przenosi w nicość, w poznaniu niezgłębionej głębi bez dna, jaką jest, by rozpoznać ponad-wszystko, nim wreszcie osiągnie gotowość szóstego stanu,

w którym „nie widzi siebie z powodu otchłani swej pokory”^[215].

Dusza zniszczyła w sobie wszelką próżność, spowodowała, że ona zniknęła, ulotniła się, tak że teraz widzieć się w niej mógł, mógł się w niej pokazać sam Bóg. Dusza stała się zwierciadłem Boga. Podobnie brzmią wypowiedzi niektórych sufich.

Wcześniej to zwierciadło pokryte było naleciałościami próżności, zarozumiałości i miłości własnej – odbijało więc tylko próżność, zarozumiałość i miłość własną. Teraz dopiero widać w nim Boga. Szósty stan jest pograżeniem się w Bogu, cichą ekstazą, natomiast w stanie siódmym – stanie śmierci – dochodzi do nieustającego, wiecznego zjednoczenia z Bogiem. Dusza powraca do Boga. W tym miejscu rodzi się istotny problem teologiczny, który w konsekwencji logiki prowadzi do herezji.

Jeśli dusza powraca do Boga i na wieki się z nim jednoczy, to dopuszcza się wniosek, że już wcześniej istniała w Bogu, to znaczy miała jakąś wcześniejszą preegzystencję w Bogu, zanim pojawiła się na świecie i została opatrzona ciałem. Jest to jednak herezja manichejska, wywodząca się z systemów gnostyckich (również z piętnem herezji) o łączności upadłych dusz z grzesznymi ciałami. Pokrywa się ona z tą herezją, gdy głosi, że dusza dzięki poznaniu, dzięki mistycznemu ciału, dzięki gnozie (poznaniu) Boga może się uwolnić od grzesznego ciała. W idei *unio mystica* silnie pobrzmiewa zatem gnostycka herezja uwolnienia dusz dzięki poznaniu Boga, jakie następuje w doświadczeniu Boga i zjednoczeniu z nim. Zrozumiało zatem, że w obliczu zainteresowania, jakim cieszyli się głównie na południu Francji manichejscy albigenscy i gnostycy waldenscy, inkwizycja była na te kwestie bardzo wyczulona.

W rzeczywistości ta mistyka zawsze balansowała na granicy herezji. Małgorzata nie popadła w otchłań gnozy tylko dlatego, iż uważała, że zarówno duch, jak i ciało muszą być dobre, ponieważ oba zostały stworzone przez Boga. Jeśli jednak konsekwentnie podążać tą drogą, to nie da się utrzymać idei grzechu pierwotnego. A skoro nie ma grzechu pierwotnego, to znaczenie tracą sakramenty.

Drogą tą poszło ugrupowanie całkowicie heretyckie, przedstawiciele radykalnej mistyki, tajemniczy Bracia i Siostry Wolnego Ducha (amalrycjanie), z którymi niesłusznie kojarzono Małgorzatę Porete.

Bracia i Siostry Wolnego Ducha inspirowali się rozmyślaniami Amalryka

z Bène (zm. 1206) i uważali, że we wszy jest tyle samo Boga, człowieka, co innego stworzenia. Ponieważ wszystko pochodzi od Boga i ponownie do niego powraca, to nie ma potrzeby, by istniały piekło lub czyściec – a skoro nie ma potrzeby, to znaczy, że nie istnieją. Z takich poglądów wynikało, że zbędne są także jakiegokolwiek działania kapłanów oraz zewnętrzne oznaki kultu. Pogardę dla tych praktyk objawiali na przykład, chętnie rozpowiadając, że Eucharystia smakuje jak gnój.

Małgorzata nie szła tak daleko; za najważniejsze uważała zjednoczenie z Bogiem. A do tego potrzebowała wyłącznie siebie, nikogo poza tym. Swoimi doświadczeniami chciała się dzielić, uczyć innych, w jaki sposób je naśladować. Co więcej, czuła się wybrana przez Boga do „przepowiadania” objawionej jej mądrości.

I tutaj uderzył Guy II de Colmieu, „jej” biskup z Cambrai. Zarządził konfiskatę książeczki, jej potępienie i spalenie na placu w Valenciennes. Małgorzatę ostrzeżono. Nie dała się jednak zastraszyć – nauczała w dalszym ciągu i rozpowszechniała swoje dzieło. Powoływała się na opinie trzech znanych teologów: Johannaesa z Quaregnon, franciszkanina, znanego mnicha Franco z szanowanego cysterskiego opactwa Villers w Brabancji oraz na teologa i filozofa Gotfryda z Fontaines. Nie uchroniło jej to jednak przed wznowieniem procesu (1307) najpierw przez inkwizytora Lotaryngii i Filipa z Marigny, następnego już biskupa Cambrai. Brak dowodów sprawił, że proces przekazano wyższej instancji, wielkiemu inkwizytorowi Francji.

No i się zaczęło. Wilhelm z Paryża rzucił się pożądliwie na ten przypadek, kazał pojmać Małgorzatę Porete i sprowadzić do Paryża. W paryskim więzieniu przebywała najpóźniej od końca 1308 roku. Wilhelm żądał od niej przyznania się do herezji i odwołania wszelkich heretyckich wypowiedzi. Małgorzata odmówiła wszystkiego: nie zgodziła się ani przyznać do czegokolwiek, ani tym bardziej odwołać. Nie chciała nawet podczas procesu złożyć zeznania dotyczącego swojej wiary, gdyż to nie ona – wie to Bóg – była przedmiotem inkwizycji. Jej wiara była rzeczą jej i Boga, niczyją więcej. Ponieważ więc wzbraniała się mówić na temat swojej wiary, została ekskomunikowana.

Kto jednak dłużej niż rok pozostawał objęty ekskomuniką i nie odstępował od swoich heretyckich poglądów, ten w gruncie rzeczy sam na siebie wydawał wyrok. Ekskomunika uruchomiła pewien automatyzm prawny, za sprawą którego historycy prawa uważają, że proces przeciwko Małgorzacie odbył się bez naruszenia obowiązujących wówczas norm. Tymczasem nasuwa się pytanie, czy

Małgorzata w ogóle mogła zostać ekskomunikowana. Na to historyk prawa odpowiada, że to odmowa zeznań stanowiła w jej przypadku podstawę do ekskomuniki. Właśnie poprawność tego procesu pokazuje, o co w nim chodziło: o to, czy proces o wiarę jest w ogóle uprawniony. Małgorzata nie odpowiadała inkwizytorowi, ponieważ według niej nie miał on żadnego umocowania, żadnej legitymacji, by stawiać jej takie pytania i nakłaniać ją do odwołania poglądów. Poza tym nie mogła niczego odwołać, bo jakże miała odwołać boskie objawienie, to, co miała mówić z rozkazu anioła? Z tego też powodu proces ciągnął się ponad trzy lata; wciąż na nowo inkwizytorzy starali się skłonić Małgorzatę do odwołania tego, co wcześniej głosiła. Skruszona grzesznica byłaby dla Kościoła o niebo lepsza niż spalona heretyczka, która mogła – kto to wie – uchodzić za męczennicę. Ale Małgorzata, wegetująca w niegościnnym paryskim więzieniu, niczego nie odwołała. Nie miała niczego, co należałoby zmienić. By wreszcie pokonać tę nieuczoną kobietę, zamówiono opinię dwudziestu jeden paryskich teologów, wśród których znajdowali się tak znani profesorowie jak Jan z Gandawy i Mikołaj z Liry. Uczeni mężowie odkryli u Małgorzaty Porete piętnaście jakoby heretyckich zdań, wśród których było i to, które podawało w wątpliwość moc kościelnych sakramentów. „Unicestwiona dusza nie służy już cnocie, ponieważ już jej nie potrzebuje, a cnoty nie są już w jej dyspozycji”^[216]. Kto tak myśli, tego żadna ekskomunika nie sprowadzi z obranej drogi.

Na Małgorzacie nie wywarło najmniejszego wrażenia nawet zdanie takich autorytetów. Kiedy wszelkie starania inkwizytora, wszelkie groźby i obietnice, wszelkie zapowiadane męki i pokusy nie przyniosły oczekiwanego rezultatu i Małgorzata pozostała „zatwardziała”, 11 kwietnia 1310 roku skazano ją za herezję, zarzucając jej przestępstwo w postaci piętnastu napisanych przez nią zdań. Skazana została niebywała wolność wewnętrzna: „Żegnam cię, cnoto”. „Ta dusza przyznaje naturze to, czego ona od niej żąda”^[217].

W czym mogli jej zaszkodzić inkwizytorzy i kaci? Pojmali jej ciało, ale duszy pochwyć nie umieli. Jej dusza nadal królowała nad oprawcami i katami, których już teraz widziała w ogniu piekieł. Małgorzata Porete osiągnęła wolność, przed którą drżą sprawujący władzę, ponieważ prawdziwie wolny człowiek pozostaje niepokonany i nieprzekupny. Mistyk suficki Halladż tańczył w pętach, kiedy go prowadzono na szubienicę. Małgorzata trzymała w górze swoją książkę.

Dzieło Małgorzaty zostało wprawdzie skazane jako pismo heretyckie i każdemu, kto je czytał albo rozpowszechniał, groziły ekskomunika i prześladowania, ale *Zwierciadło dusz prostych* krążyło w wielu odpisach, konspiracyjne niczym tajemna religia i stawało się znane i niezwykle popularne

w całej Francji. Sto lat później sobór w Bazylei rozpoczął proces przeciwko papieżowi Eugeniuszowi IV, którego oskarżano o pomaganie heretykom, papież miał bowiem chronić zwolenników Małgorzaty Porete wśród kleru.

Kiedy dominikanin Wilhelm z Paryża, który był także spowiednikiem króla, 31 maja 1310 roku skazał Małgorzatę na śmierć, rzekł z udawaną łagodnością, że właściwie beginki nie należałoby uśmiercać ani ranić – oczywiście tylko wtedy, gdyby istniała taka możliwość prawna. Zdania te wypowiadał prawdziwy sadysta – jako wielki inkwizytor Wilhelm wiedział bowiem doskonale, że to akurat jest prawnie niemożliwe. Kiedy jako wielokrotna recydywistka została skazana przez inkwizycję, sąd cywilny mógł ją już tylko spalić, nic więcej. W każdym razie zgodnie z obowiązującym wtedy prawem.

To musiał być widok rozdzierający serce: chuda kobieta idzie w stronę stosu, trzymając w rękach książkę, jakby właśnie wstępowała do Boga i chciała się tą książką wobec niego usprawiedliwić. Chciałoby się ją wziąć na ręce, zamiast pozostawiać w grubych łąpskach kata. Paryżanie byli poruszeni. Małgorzata razem z tą niepozorną książeczką robiła wrażenie prawdziwej postaci z Apokalipsy – „anioła z książeczką”. I to w tej właśnie książeczce opowiada w formie przypowieści historię o pewnej córce króla, która zakochała się w Aleksandrze Wielkim tylko na podstawie tego, co o nim słyszała, tylko dlatego, że opowiadano jej o nim. Kochała go, tak dalekiego, który był jednak bardzo blisko niej, tak ciepły i bliski, że w jej wyobrażeniach był jak żywy. Małgorzata opowiada, że tak samo dzieje się z duszą i Bogiem i że z tego powodu Bóg w jej książce jest osobą, dalekim-bliskim, jakiego znała z wypełnionych tęsknotą wierszy trubadurów. Brabancka mistyczka Hadewijch mówi w jednym ze swoich pism o pewnej bezimiennej begince, którą „zabił »Mistrz Robert«, inkwizytor Niderlandów, z powodu jej prawdziwej miłości”^[218]. Nietrudno sobie wyobrazić, że i Wilhelm z Paryża zabił Małgorzatę z powodu jej prawdziwej miłości.

To, że Guion de Cressonaert dał myśli Małgorzaty dalsze życie na płaszczyźnie politycznej, w czasie procesu tylko jej zaszkodziło. Inkwizytorzy dopatrzyli się bowiem w postaci „anioła z Filadelfii” zapowiedzi walki, gdyż to temu aniołowi zostało objawione: „Oto ja ci daję [ludzi] z synagogi szatana, spośród tych, którzy mówią o sobie, że są Żydami – a nie są nimi, lecz kłamią. Oto sprawię, iż przyjdą i padną na twarz przed twoimi stopami, a poznają, że Ja cię umiłowalem. Skoro zachowałeś nakaz mojej wytrwałości i Ja cię zachowam od próby, która ma nadejść na cały obszar zamieszkania, by wypróbować mieszkańców ziemi”^[219].

Ci kusiecie Złego byli już obecni: Cressonaert widział ich w osobach papieża i duchowieństwa; papieża identyfikował jako Antychrysta. Był to już w istocie znak ostrzegawczy, bo później miał się stać hasłem Marcina Lutra.

Małgorzata nie wyciągnęła wniosków takich jak Cressonaert i nie interesowała się politycznymi komplikacjami wynikającymi z głoszonej teologii, ale rzuca to światło na światopogląd, jaki doprowadził ją do tych myśli. W przeciwieństwie do Cressonaerta, który ostatecznie okazał się słaby (Bóg „nie zachował go od próby”, a on ze skruchą przyznał się do herezji i odwołał wszystko, czego od niego żądano, dzięki czemu mógł spędzić resztę życia w więzieniu), Małgorzata okazała się mężna i niezachwiana. Koniec zawsze oznacza samotność – także dla aniołów.

Rankiem 1 czerwca roku Pańskiego 1310 kat podłożył ogień pod stos, do którego przywiązana była drobna kobieta, której jedyną winą było napisanie podręcznika pobożności. Zginęła w męczarniach. Powstaje pytanie, co Małgorzata uważała za tak istotne w swoich rozważaniach, że nie chciała i nie mogła się tego wyprzeć ani tego odwołać? Co takiego było w jej książce, że oddała za to życie, w dodatku w tak niewyobrażalny sposób?

Mistycy średniowieczni wynieśli człowieka tak wysoko do Boga, że nagle odkryli jednostkę – i to dlatego Małgorzata nie mogła niczego odwołać.

Gdyby zdecydowała się wyprzeć wszystkiego, nikt nie wzięłby jej tego za złe – ale ona tego nie uczyniła. Prawdziwa i wiarygodna jest dziś dla nas ta mistyczka i beginka z początku XIV wieku; wiarygodna dzięki swej odpowiedzialności. Odpowiedzialność jest bowiem odpowiedzią na życie, odpowiedzią na istniejący świat, na dzieło stworzenia, na Słowo, które stało się Ciałem.

Największe wsparcie otrzymały beginki od człowieka, który jak nikt inny łączył wiarę z filozofią i odegrał na Zachodzie rolę podobną do tej, jaką na Wschodzie odegrał Ibn Arabi. Nie znamy okoliczności jego śmierci, możemy się ich jedynie domyślać. Wiemy jednak, że był prześladowany i ścigany przez inkwizycję.

[196] *Walther von der Vogelweide, Pod lipą, tłum. Leopold Staff.*

[197] *Mechtylda z Magdeburga, Strumień światła boskości, t. 1–2, tłum.*

Polikarp Jan Nowak, Tyniec 2004, s. 36.

[198] *Mechtylda z Magdeburga, tamże, t.1, s. 180.*

[199] *Tamże.*

[200] *Tamże.*

[201] *Tamże.*

[202] *Tamże, t. 2, s. 72.*

[203] *Tamże.*

[204] *Mechthild von Magdeburg, Das fließende Licht der Gottheit, Stuttgart-Bad Cannstatt 1995, s. 25.*

[205] *Tamże.*

[206] *Tamże.*

[207] *Mechtylda z Magdeburga, Strumień światła boskości, tłum. Polikarp Jan Nowak, Tyniec 2004, t. 1, s. 59.*

[208] *Gertrud von Hackeborn, cyt. za: Mechthild von Magdeburg, Das fließende Licht der Gottheit, Stuttgart-Bad Cannstatt 1995, s. XV.*

[209] *Mechtylda z Magdeburga, Strumień światła boskości, tłum. Polikarp Jan Nowak, Tyniec 2004, t. 1, s. 49.*

[210] *Apokalipsa św. Jana (J 3, 12).*

[211] *Marguerite Porete, Der Spiegel der einfachen Seelen, Wiesbaden 2011, s. 24.*

[212] *Tamże, s. 113.*

[213] *Apokalipsa św. Jana (J 10, 9).*

[214] *Marguerite Porete, Der Spiegel der einfachen Seelen, Wiesbaden 2011,*

s. 181.

^[215] *Tamże, s. 184.*

^[216] *Por. Kurt Ruh, Geschichte der abendländischen Mystik, t. 3, München 1996, s. 259.*

^[217] *Marguerite Porète, Der Spiegel der einfachen Seelen, Wiesbaden 2011, s. 54.*

^[218] *Cyt. za: Kurt Ruh, Geschichte der abendländischen Mystik, t. 2, München 1996, s. 371.*

^[219] *Apokalipsa św. Jana (J 3, 9).*

Książka dla none none

CHCIEĆ WIEDZIEĆ WIĘCEJ, NIŻ TO KONIECZNE – MISTRZ ECKHART

Kiedy Mistrz Eckhart przybył ze Strasburga do Kolonii – była to przedostatnia stacja jego ziemskiej podróży – był rok 1323 albo 1324. Kim był ten człowiek? Czy był rozbitkiem przeniesionym za karę w inne miejsce? Chwalono go, żeby się go pozbyć? A może był po prostu nieudacznikiem – on, uważany niegdyś za ozdobę swego zakonu, znakomitego uczonego, zdolnego teologa i elokwentnego kaznodzieję? Jak o wielu sprawach z jego biografii, niewiele wiemy także o tym, kiedy dokładnie przybył do Kolonii ani w jakich okolicznościach się to odbyło. Możemy tylko snuć domysły i spekulacje, dlaczego wikariusz generalny dominikańskiej prowincji Teutonia został odwołany i wysłany do Kolonii, by nauczać tam w wyższej szkole zakonnej. Nie ulega natomiast wątpliwości, że wydarzenia w Strasburgu miały bezpośredni związek z procesem o herezję, rozpoczętym krótko po jego przybyciu do Kolonii. Co jednak wydarzyło się w Strasburgu, że tak złamało tego niegdyś bardzo szanowanego męża?

Ta historia rozpostarła nad jego życiem ciemny płaszcz tajemnicy. Potoczne wyobrażenie o owianej tajemnicą postaci z gotyckiego średniowiecza z czasem wzmocniły zapewne także pogłoski, że jest mistykiem i jego słowa są mroczne. Tytuł „mistrz” przez długi czas nie był odczytywany jako popularne zniemczenie akademickiego stopnia „magister”, lecz połączone z prastarym imieniem Eckhart brzmiało niemal mitycznie, jakby chodziło o jakiegoś czarnoksiężnika czy maga. Niekiedy jednak takie klisze skrywają prawdziwą istotę rzeczy. Eckhart był prawdziwym mistrzem, jeśli chodzi o doskonałą zgodność jego myśli i języka – pod tym względem dokonał prawdziwego cudu.

Czasami stykamy się z wielką myślą wyrażaną nędznym językiem; innym razem zmyli nas doskonały język z wprawą wyrażający banalną myśl. Nie u Eckharta – on był mistrzem myśli i mowy. Dzięki temu wspomniany płaszcz historii nie był w stanie szczelnie przykryć blasku jego pism, które wciąż wypływały, chociaż zostały osądzone jako heretyckie i skazane na niebyt. Przeciwnie, każda próba cenzurowania i utajnienia wspierała niechcący tę myśl w walce z zapomnieniem, jakiego bezskutecznie chciał dokonać czas.

Zdania Mistrza Eckharta jaśniejają przez stulecia, choć wymagają wysiłku i ciężkiej pracy, jeśli chce się je zrozumieć. Pod jednym względem są proste, jasne i zrozumiałe, wymagają tylko – łatwiej to powiedzieć, niż uczynić – rozpoznania zmienionej perspektywy tego mistyka i zaufania jej, owej ekstatyczno-metodycznej własnej ścieżce. W tej nagłej zmianie pozycji myślącego zawiera się istota jego

myśli.

Jego dzieła przetrwały w odpisach i zapiskach innych ludzi – wbrew woli Kościoła i nawet wbrew woli jego własnego zakonu. Być może nie jest to dzieło kompletne i może jeszcze pojawią się jakieś odnalezione manuskrypty – ale to, co pozostało, jakkolwiek nie jest tego bardzo dużo, to już zbiór nad wyraz bogaty. Język średnio-wysoko-niemiecki brzmi tak czysto i mocno, tak subtelnie i przejmująco jeszcze tylko u pisarzy takich jak autor *Pieśni o Nibelungach*, jak Walther von der Vogelweide, Gotfryd ze Strasburga, Wolfram von Eschenbach i Mechtylda z Magdeburga.

Czy stojąc przy furcie klasztoru Dominikanów w Kolonii i czekając na wpuszczenie, Mistrz Eckhart domyślał się, że oto przekracza miejsce swojej ostatniej bitwy, w której będzie chodziło wyłącznie o niego? Dobrze znał Kolonię, ten klasztor i studium generalne, jak nazywała się wówczas wyższa szkoła dominikanów. Pod koniec XIII wieku sam tutaj studiował, być może był jeszcze uczniem Alberta Wielkiego (Albertus Magnus, zm. 1280) – filozofa, teologa, przyrodnika i czarnoksiężnika, którego papież Pius XI w 1931 roku ogłosił świętym.

Nieliczne i skąpe dane dotyczące jego życia znamy tylko na podstawie wniosków, jakie nasuwają się przy zestawieniu kilku pewnych dat z wymogami życia zakonnego i studiów. Pierwszą pewną datą jest 18 kwietnia 1294 roku, dzień, w którym Eckhart miał uroczyste kazanie wielkanocne dla swoich braci w paryskim domu zakonnym konwentu św. Jakuba na Sorbonie na lewym brzegu Sekwany. Był to jego inauguracyjny wykład, który wygłosił jako *lector sententiarum* paryskiego uniwersytetu. Aby objąć tę godność, musiał mieć za sobą ukończone dziewięcioletnie studia i mieć co najmniej 33 lata. Wynika z tego, że Eckhart musiał się urodzić około 1260 roku, co zgadza się również z pozostałymi datami.

Ten pierwszy wykład zachował się tylko jako kopia notatek jakiegoś dominikanina w rękopisie z 1298 roku, znalezionym w klasztorze Kremsmünster (Austria). Notujący pisze o wykładowcy, nazywając go *frater Ekhardius lector sententiarium*. Budowa samego kazania i cytaty zdradzają uczonego. Cytaty z Dionizego Areopagity i znanego nam już dzieła *Księga 24 filozofów* wskazują na mistyczne zainteresowania Mistrza Eckharta, na jego poszukiwanie Boga w czterech księgach sentencji, w nauce o Bogu, o stworzeniu, o stawaniu się człowiekiem przez Jezusa i o sakramentach.

Sentencje te to zbiór myśli ojców Kościoła, które wraz z komentarzami stanowiły od V do XVI wieku podstawę studiów teologicznych. Najbardziej znane były sentencje Petrusa Lombardusa z XII stulecia, stanowiące podstawowy zbiór studiów scholastycznych.

A zatem Eckhart wprowadzał do studiów swych braci w paryskim domu zakonnym myślni proweniencji mistycznej i neoplatońskiej. Podczas kazania wielkanocnego udzielił jeszcze typowo dominikańskich odpowiedzi, gdyż między dominikanami a franciszkanami szalał akurat spór o naczelną zasadę stworzenia. Bóg powiada w Starym Testamencie do Mojżesza: „Jestem, który jestem”, ale Ewangelia św. Jana rozpoczyna się od zdania: „Na początku było Słowo”. Pytanie brzmiało: czy na początku stworzenia był Byt, a z nim miłość, czy też Słowo, Logos, a z nim rozum. Jako dominikanin, w dodatku uczeń Alberta Wielkiego, Eckhart był przekonany, że mógł to być tylko rozum. Pozwoliło to Kurtowi Flaschowi, historykowi filozofii, postawić kuszącą tezę, że w przypadku Mistra Eckharta mniej chodzi o mistykę, a bardziej o filozofię chrześcijaństwa. Mistrz Eckhart miał później w spektakularny sposób zmienić ten pogląd, naruszając skostniałe, dogmatyczne zbitki słowne i zastępując je tym, co można by opisać słowem: poznanie.

Czy Boga odnajdowano zatem w miłości czy w rozumie? Papież Benedykt XVI w rozprawie habilitacyjnej zajmował się franciszkaninem Bonawenturą i jego sporem ze spirytuałami; czyż nie jest w tym kontekście interesujące, że jego pierwsza encyklika nosi tytuł *Deus caritas est* – Bóg jest miłością? Mistrz Eckhart napisałby raczej: Bóg jest poznaniem. Nawet gdyby podzielał franciszkańską ideę, to tytuł jego encykliki brzmiałby nieco inaczej: Bóg jest miłowaniem. W jego pojęciu bycie było tylko stawaniem się, wiecznym ruchem, który w swej harmonii działał jak spokój. Wszystko, co trwałe, jest abstrakcją tego, co ruchome. Tak więc to, co jest, może być tylko tym, co się staje, chociaż bycie nie jest czymś raz danym, lecz ciągłym ruchem. Ponieważ Eckhart znał swój cel, interesował się drogą do niego.

Ledwie rozpoczął pracę w Kolonii jako profesor i kaznodzieja, a już został zadenuncjowany przez swoich współbraci podczas wizytacji Mikołaja ze Strasburga (1 VIII 1325). Wizytator papieski zbadał oskarżenia i stwierdził ich bezpodstawność. Wydaje się jednak, że Eckhart tak podrażnił denuncjatorów, iż mimo porażki nie dali za wygraną i dopiero po wizytacji uderzyli z całą jadowitością. Oskarżyli go o herezję u biskupa Kolonii Heinricha II z Virneburga, który nie posiadał wykształcenia teologicznego ani filozoficznego, był za to pozbawionym skrupułów politykiem. Ten jakby tylko czekał, by donosiciele

umożliwili mu interwencję i dostarczyli koniecznej podstawy przeciwko Eckhartowi.

W kwietniu 1326 roku arcybiskup wezwał magistrat Kolonii – i zapewne nie tylko – do wskazania wszystkich osób podejrzewanych o herezję. Dwa miesiące później rozpoczął proces inkwizycji przeciwko Mistrzowi Eckhartowi i wyznaczył dwóch komisarzy. Podjęli oni swoje czynności bez powiadamiania podejrzanego o tym fakcie.

Pod koniec 1326 roku Eckhart mógł już zostać powiadomiony o toczącym się przeciwko niemu procesie. Mistrz Eckhart zgłosił protest wobec tego faktu 27 stycznia 1327 roku. Dominikanin był świadomy niebezpieczeństwa, w jakim się znajdował, i słusznie dowodził, że nikt nigdy nie występował z oskarżeniem o herezję przeciw jakiemuś uczonemu w zakresie Pisma Świętego ani przeciwko zwykłemu bratu z jego zakonu. Dodajmy do tego, że w całym średniowieczu poza Mistrzem Eckhartem nie otwarto ani jednego procesu inkwizycyjnego o herezję wobec jakiegokolwiek wysokiego rangą teologa. Wciąż zdarzały się wprawdzie procesy teologów w sprawach o wiarę, związane z błędnymi poglądami lub nauczaniem, które następnie potępiano, ale chodziło w nich w zasadzie o procesy skargowe, które kończyły się zwykle osądzeniem jednego aksjomatu albo kilku pasażów. W procesie Eckharta nie chodziło natomiast o aksjomaty, lecz przede wszystkim o jego osobę – to jego oskarżono o herezję. Innymi słowy – chodziło o życie i śmierć.

Heinrich II z Virneburga wybrał najbardziej niebezpieczną dla obwinionego formę, proces o herezję *per promoventem*. W tej formie procesu głównym punktem nie było świadectwo oskarżonego, lecz złożony przez denuncjatorów materiał, na podstawie którego zapadał wyrok. Oskarżony miał bardzo ograniczone możliwości obrony, gdyż nic nie zależało od jego zeznań, bo te znajdowały się w złożonych przez donosicieli pisemnych cytatach. Skoro w Kolonii nawet przeciwko tak szanowanemu mężowi jak Eckhart nie dopatrzone się jakichkolwiek uchybień formalnych i z prawnego punktu widzenia proces przebiegł bez zastrzeżeń, to należy z całym naciskiem wskazać budzący wątpliwość system prawny. Zdania, które obwiniony kiedykolwiek powiedział lub napisał, zostały wyrwane z kontekstu i – jeśli były to zdania z kazań wygłoszonych po niemiecku – przełożone na łacinę. Nie trzeba wielkiej fantazji, by sobie wyobrazić, jakie to materii pomieszanie znalazło się ostatecznie w akcie oskarżenia, gdzie poszczególne zdania powyrywane zostały z niezwykle skomplikowanych wywodów teologicznych i filozoficznych.

Kiedy denuncjatorzy kierowali oskarżenia przeciwko Mistrzowi Eckhartowi do arcybiskupa, w Kolonii szalał jeszcze ogień, ulice i place rozdzierały krzyki beginiek i begardów (męskich wspólnot), których Heinrich II z Virneburga nakazał palić setkami na stosach albo topić w Renie.

Czy denuncjatorzy działali na zamówienie? Czy stał za tym arcybiskup, posługując się dwoma znanymi intrygantami z zakonu kaznodziejów, którzy sami mieli nieczyste akta? I co czuł Mistrz Eckhart, patrząc na tortury i śmierć beginiek, które w Strasburgu ochraniał przed prześladowaniami? Czy próbował interweniować? Czy w klasztorze albo w kazaniach wyrażał się krytycznie na temat tej krwawej jatki arcybiskupa?

ROZUM JAKO ŁĄCZNIK Z BOGIEM

Aby zrozumieć pełny wymiar tych zdarzeń, musimy zbadać, kim był Mistrz Eckhart i w jaki popadł konflikt. Wtedy zobaczymy, że w Kolonii doskonale wiedziano o wypadkach w Strasburgu.

Mistrz Eckhart urodził się prawdopodobnie około 1260 roku jako dziecko rodziny von Hochheim, zamieszkałej w Tambach koło miejscowości Gotha. Wywodził się zatem z drobnej szlachty. W latach siedemdziesiątych XIII wieku mógł wstąpić do zakonu dominikanów w Erfurcie, zapewne w wieku 14 lat, jak było wówczas przyjęte. Klasztory stanowiły w tamtym czasie również miejsce pobytu synów szlacheckich niemających prawa dziedziczenia, czyli niepierworodnych. Nie wiemy jednak, czy Eckhart miał rodzeństwo (i jak liczne) ani czy wstąpił do klasztoru dobrowolnie i dopiero w klasztorze Dominikanów odkrył w sobie skłonność do teologii i filozofii. Może od wczesnego dzieciństwa towarzyszyła mu tęsknota za poznaniem Boga – w świadomości tamtego czasu równoznaczna z poznaniem świata istniejącego dzięki Bogu?

Kto chciał i był na tyle obrotny albo odważny – mógł także jako mnich prowadzić mniej lub bardziej świeckie życie. Mógł na przykład nie mieszkać na stałe w klasztorze – liczne skargi i wizytacje potwierdzają takie częste naruszenia ustalonego w klasztorach porządku. Eckhart zdecydował się jednak służyć Bogu swoim rozumem, talentami duchowymi i intelektualnymi oraz duchowymi zdolnościami. Jako zdolny młodzieniec został wysłany pod koniec lat siedemdziesiątych do zakonnego *studium generale* w Kolonii, gdzie mógł poznać jeszcze Alberta Wielkiego (Albertusa Magnusa), zmarłego w 1280 roku, a następnie na dalszy etap kształcenia do Paryża, na najbardziej znany uniwersytet chrześcijańskiego Zachodu. Wysłanie Eckharta na te studia świadczy o tym, że

jego duchowe talenty słusznie budziły wielkie oczekiwania. Wcześniej musiały dać o sobie znać jego wielka inteligencja, dar języka i imponująca umiejętność syntezy – i musieli to widzieć jego przełożeni w klasztorze.

W każdym razie w 1293 roku Mistrz Eckhart przebywał jako bakałarz w Paryżu. Czas na Sorbonie upłynął owocnie, gdyż po powrocie w 1294 roku Eckhart został przeorem swego klasztoru i wikariuszem prowincji zakonnej. Będąc wikariuszem na Turyngię, pracował jako zastępca prowincjała Teutonii Dietricha z Freibergu, który należał do najwybitniejszych filozofów średniowiecza. W tamtych latach powstało pierwsze wielkie dzieło Eckharta, napisane w języku średnio-wysoko-niemieckim *Pouczenia duchowe (Rede der Unterweisung)*. Na samym początku czytamy tam o przyczynach powstania tej książki: „Oto mowy brata Eckharta z Zakonu Kaznodziejskiego, wikariusza Turyngii, przeora erfurckiego, które swoim dzieciom zgromadzonym na wieczornych zebraniach klasztornych wygłaszał dla ich pouczenia, odpowiadając przy tym na liczne pytania”^[220]. „Dziećmi” nazywał nowicjuszy zakonu dominikanów.

W roku 1299 Eckhart złożył godność przeora, gdyż oba te urzędy, właściwie nawzajem się wykluczające, kosztowały go zbyt wiele wysiłku. Obowiązki wikariusza zmuszały do ciągłych podróży w celu prowadzenia inspekcji w klasztorach – a wędrował wszędzie pieszo – natomiast urząd przeora wymagałby stałego przebywania w klasztorze w Erfurcie.

Trzy lata później zakon wysłał go do Paryża, aby zrobił doktorat w zakresie Pisma Świętego, co według dzisiejszych pojęć oznaczałoby habilitację. Zakon dominikanów dysponował na Sorbonie dwiema katedrami. Jedną z nich przeznaczoną była dla dominikanów z zagranicy – i otrzymał ją właśnie Eckhart, teraz *magister in actu regens*.

W tym samym roku wielka prowincja Teutonia została podzielona i powstała nowa prowincja – Saksonia. Po powrocie z Paryża Mistrz Eckhart został jej prowincjałem. Prowincja Saksonia obejmowała Zelandię, Holandię, Fryzję, Scanówię (od Hamburga po Stralsund), Westfalię, Hesję, Marchię Brandenburską, Saksonię, Turyngię i Miśnię – była więc naprawdę wielka.

Do obowiązków Mistrza Eckharta jako prowincjała należało przygotowywanie zebrań zakonnych, kapituł prowincjalnych na przykład w Rostocku, Halle, Minden czy Hamburgu. Ponadto musiał uczestniczyć w posiedzeniach kapituły generalnej, czy to w Tuluzie, Strasburgu czy w Piacenzie. Przemierzał tysiące kilometrów zimą i latem, odziany jedynie w habit. Jego

podróże przypadły zresztą na czas bardzo niesprzyjającego klimatu. Bałtyk zamarzał nawet na południowych krańcach, a niepogody i opady śniegu – nawet latem – powodowały, że piesze podróże były przedsięwzięciami trudnymi, nieprzyjemnymi i wyczerpującymi. Współcześni Eckharta traktowali te anomalie klimatyczne jako karę Bożą za grzechy – w dzisiejszej historii klimatu określa się je mianem „małej epoki lodowcowej”.

Oprócz wypełniania tych obowiązków Mistrz Eckhart głosił kazania i nieustannie pisał. Podziw ogarnia, kiedy uświadomimy sobie, że ten mąż – z natury filozof – wykonywał mnóstwo codziennych zadań natury praktycznej, a oprócz tego wykształcił zupełnie nowy sposób myślenia, łączący teologię z filozofią (z perspektywy filozofii).

Tylko jeden dominikanin dostał zaszczytu powtórnego zaproszenia na wykłady na paryskiej Sorbonie: był nim Tomasz z Akwinu, później wyniesiony do godności doktora Kościoła i nauczyciela równego aniołom (*doctor angelicus*). A oto teraz dominikanie zlecili powtórne objęcie katedry na Sorbonie swemu najtęższemu myślicielowi, Mistrzowi Eckhartowi. To powtórne powołanie samo w sobie stanowiło już sensację.

W latach 1311–1313, kiedy Mistrz Eckhart po raz drugi przybył do Paryża, miały tam miejsce dramatyczne wydarzenia. Zakon dominikanów odgrywał w nich istotną rolę, wydał bowiem Filipowi Pięknemu, królowi Francji, i jego złośliwemu kanclerzowi de Nogaretowi głównych „wichrzycieli”. Krótko przed przybyciem Mistrza Eckharta do Paryża, 1 czerwca 1310 roku dominikanin i inkwizytor Wilhelm z Paryża kazał spalić na stosie beginkę Małgorzatę Porete wraz z niewielką książeczką jej autorstwa, zatytułowaną *Zwierciadło dusz prostych*. Natomiast 18 marca 1314 roku – Mistrz Eckhart był wtedy w Strasburgu – w stolicy Francji stracony został ostatni wielki mistrz zakonu templariuszy Jacques de Molay. W latach 1307–1314 piekielne trio – Filip Piękny, Guillaume de Nogaret i Wilhelm z Paryża – z wielkim okrucieństwem i wszelką wyobraźną nikkczemnością prześladowało członków zakonu templariuszy. Wilhelm z Paryża odgrywał rolę oskarżyciela kościelnego, gdyż templariusze zostali uznani za heretyków i spaleni.

Kiedy Mistrz Eckhart przebywał w Paryżu, otrzymał drastyczną pogładową lekcję, jakie konsekwencje mogą mieć procesy o herezję. Często zapomina się o tym doświadczeniu w odniesieniu do późniejszych wydarzeń, tymczasem Eckhart musiał nim być głęboko poruszony i przejęty. Co najmniej od swojego drugiego pobytu na Sorbonie wiedział, czym jest proces o herezję i w jaki sposób może się

skończyć.

Poza tym zamieszkał znowu w konwencie dominikańskim św. Jakuba, a więc przebywał pod jednym dachem z inkwizytorem Wilhelmem z Paryża. Zapewne się nawet znali. Pobyt w jednym konwencie Mistrza Eckharta, wielkiego myśliciela zachodniej filozofii i teologii, oraz okrutnego inkwizytora Wilhelma z Paryża ma wymiar symboliczny i pokazuje, że w żadnym innym zakonie – może z wyjątkiem jezuitów – wielkość i hańba nie były tak blisko siebie jak u dominikanów. Z jednej strony wywodzili się z tego zakonu tacy uczeni jak Albert Wielki, Tomasz z Akwinu, Mistrz Eckhart i Dietrich z Freibergu, z drugiej natomiast grasowali w nim tacy łowcy heretyków jak Wilhelm z Paryża czy Jakob von Hoogstraten, ponieważ papież powierzył im inkwizycję. W paryskim domu Eckhart dowiedział się o spaleniu na stosie Małgorzaty Porete i o zawartości jej książeczki.

Pisaliśmy już, że w szczytowym okresie średniowiecza pobożność świeckich przybierała na sile, podczas gdy księża i mnisi ulegali coraz większemu zeświecczeniu. Pragnienie prawdziwej pobożności, drogi do Boga, wskazywanej przez prawdziwych księży, było autentyczne i rozpałało się z coraz większą siłą, szczególnie wśród mieszczaństwa i niższej szlachty. W tamtych dziesięcioleciach było tak, jakby powstał jakiś niewidzialny Kościół, który pewnego dnia rozsądzi Kościół panujący, tajemna religia, która rozpostarła się pod powierzchnią oficjalnie panującego chrześcijaństwa.

Mistrz Eckhart nie pozostał niewzruszony. Wydawało się, że temu mężowi, uważanemu za wcielenie mistycyzmu, nie były dane mistyczne przeżycia, takie jak ekstaza i prywatne objawienia, słyszenie głosu Boga i wizje w rodzaju takich, jakie miały Hildegarda z Bingen, Mechtylda z Magdeburga czy Małgorzata Porete. A może, co bardziej prawdopodobne, on wcale do nich nie dążył? Powód? Nic nadzwyczajnego, po prostu jego rozum się temu sprzeciwiał. Zatopienie w Bogu, do jakiego dążyli mistycy, dla Eckharta było chyba zatopieniem się w intelekcie. On szukał drogi do Boga, która nie byłaby jedynie prywatnym przeżyciem ani nagłym doświadczeniem widoku czy obecności Boga; jego *via regia* była drogą rozumu. Eckhart był raczej filozofem niż mistykiem i bardziej go przyciągał Ibn Ruszd (Averroes) niż Ibn Arabi.

Nie używamy tu określenia „rozum” w sensie, jaki nadało mu oświecenie, jako zdolności człowieka do używania swego rozumu, lecz jako element łączności z Bogiem, jako miejsce spotkania z Bogiem. Bóg, który stworzył człowieka i urodził się w nim, dał temu człowiekowi rozum jako formę łączności ze sobą,

jako środek. Bóg jest bytem, z którego pochodzi wszystko, co istnieje. Dla człowieka wszystko zaczyna się z rozumem. To dlatego używanie rozumu prowadzi z powrotem do Boga.

Wielkie ryzyko, jakie podjął Mistrz Eckhart, stanowi o aktualności jego myślenia: on chciał doświadczyć Boga filozoficznie. Uwaga: nie chciał „myśleć” Boga – tego chciało i nadal chce wielu. Nie chciał doświadczać Boga jako wstępu do odczuwania – tego także wielu próbowało i wciąż próbuje. Nie, Mistrz Eckhart syntetyzował, chciał poddać się Bogu, doświadczać go, myśląc i przeżywając Boga, którego nie są w stanie wyrazić żadne słowa ani definicje, który nie ma właściwości, bo sam jest właściwością – jedną i jedyną, dzięki której dochodzi do pojawienia się egzystencji.

Z tego względu nie istniał też dla niego Bóg, którego mógłby widzieć przed sobą, który stałby naprzeciwko niego, ponieważ gdyby Bóg znajdował się naprzeciwko niego, to by go ograniczało, czyniłoby go czymś, co siłą rzeczy byłoby ograniczone, jak każdy istniejący byt. Bóg stałby się wtedy tym, co istnieje, a nie samym Istnieniem. Nie można byłoby też Boga o nic prosić, ponieważ uczyniłoby się go tym, o co się go prosi. Mistrz Eckhart uważał, że prosząc Boga o krowę, czyniłoby się z niego krowę, ponieważ w tej prośbie redukowalibyśmy Boga do własnej woli, która przyjmuje postać na przykład krowy. Nie wolno zamykać Boga w ograniczeniu własnej modlitwy ani zadrećcać rygorystyczną ascezą czy szkodliwymi dla ciała ćwiczeniami pokutnymi. „Wielu rozumie ten sens niewłaściwie, ci mianowicie, którzy przywiązują się do ćwiczeń pokutnych i zewnętrznych praktyk oraz przykładają do nich dużą wagę, ponieważ szukają w nich samych siebie. Niech Bóg im wybaczy ich słabą znajomość Bożej prawdy. Takich, na podstawie zewnętrznych pozorów, zwie się czasem świętymi, wewnątrz jednak są osłami, nie pojmują bowiem właściwego sensu prawdy Bożej”^[221] – powiada Eckhart w sławnym *Kazaniu 52*, jednym ze swych ostatnich, a może ostatnim w ogóle kazaniu w życiu.

W Piśmie Świętym czytamy, że kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się poniża, będzie wywyższony. Poniżony będzie też ten, dodaje Eckhart, kto swoje poniżenie traktuje jako wywyższenie, gdyż nie ma nic bardziej perfidnego niż próżność wynikająca z rezygnacji. Jest to myślenie podobne do myślenia sufich, u których mistrzowie zwracali się przeciwko samouwielbieniu w ascezie. Publicznie okazywana zazdrość z powodu posiadania czegoś, popisy i przechwałki nie mogą się równać z cichą zarozumiałością czy próżnością wynikającą z odmówienia sobie czegoś, która działa potajemnie, demonstrując nieposiadanie czegokolwiek, informuje świat, o ile wyżej od niego się znajduje.

Mistrz Eckhart nauczał, że człowiek nie znajdzie Boga w pokucie czy ascezie – znajdzie go, wchodząc w siebie, uwalniając się całkowicie od spraw zewnętrznych, unicestwiając się, odrzucając świat zewnętrzny, ponieważ urodzi w sobie Boga, który niegdyś go stworzył, urodzi go w umyśle, który Eckhart obrazowo porównał do iskierki duszy. Bóg nie był więc dla niego kimś, kogo można zobaczyć, lecz czymś, czym się staniemy, co możemy znaleźć głęboko w sobie samym. Jest to radykalna myśl, a kierunek, jaki wytycza, nie wiedzie do Lutra czy do wolności chrześcijanina, lecz wykracza daleko poza Lutra. Ponieważ był pierwszym, który widział egzystencję, stał się myślicielem egzystencji.

Tym, co zbija z tropu u tego mistyka, jest jego sposób poznawania świata – tak jak pierwszy człowiek na świecie po raz pierwszy na własne oczy zobaczył z zewnątrz Ziemię. Mistycyzm Eckharta polegał na tym, że badał nie tylko drogę człowieka do Boga, ale także (i w tym tkwi ogromna przygoda) drogę Boga do człowieka. Umysł był dla niego cudownym miejscem, miejscem cudu narodzin Boga w człowieku. Czy to jest jeszcze mistycyzm, czy może już filozofia? Gdzie leży granica między nimi? Nazwijmy to po prostu żywym myśleniem albo życiem-myśleniem.

Narodziny Boga-Człowieka w postaci Chrystusa przeniósł z płaszczyzny historycznej na ontologiczną. Chrystus stał się dla niego modelem nieustannie dokonujących się narodzin człowieka. Eckhart wiedział bowiem, „że jesteśmy jego jednym Synem, którego Ojciec urodził na wieki”^[222]. Teoretycznie można powiedzieć, że Mistrz Eckhart odkrył ontologiczny wymiar wiary. Praktycznie mówiąc, uwolnił „być” od „mieć”. Pierwszym krokiem do poznania Boga było uwolnienie się od zbytecznych instytucji zewnętrznych, które dostatecznie już się skompromitowały i zdyskredytowały: „Nie jest w porządku, jeśli człowiek bierze coś, co nie należy do niego. Boga nie należy pojmować i widzieć jako czegoś spoza siebie, lecz jako coś najbardziej własnego, jako coś, co jest w człowieku”^[223]. „Ludzie mówią mi często: »Ojcze, pomódl się za mnie«. Myślę wtedy: »Dlaczego wychodzicie? Dlaczego nie pozostajecie w sobie samych i nie zajmujecie się waszym własnym dobrem? Całą prawdę macie przecież zasadniczo w sobie«”^[224].

Czy to nie jest świetnie pomyślane? Czy można lepiej myśleć o Bogu i człowieku niż Mistrz Eckhart w tym jednym zdaniu – że całą prawdę, jaką jest Bóg, człowiek nosi w sobie? Nie mówi, że człowiek ją odczuwa, że musi w niej żyć, ale ma na to szansę, ponieważ ta prawda w istocie w nim się znajduje. Człowiek nosi ją w sobie, ale czy z niej skorzysta, nie wiadomo. Nikt nie może zmusić człowieka, by używał swojego rozumu, ale tak jak nikt nie może go do tego

zmusić, tak samo nie może mu tego zabronić. Wiara, podobnie jak miłość, jest tym, w czym istnieje całkowita wolność, gdyż ani do jednego, ani do drugiego nikogo zmusić niepodobna.

Po roku z okładem spędzonym w Paryżu Eckhart nie powrócił już do Turynii, lecz zakon osadził tego doświadczonego teologa, kaznodzieję i polityka kościelnego (do polityki zmuszały go obowiązki prowincjała) w Strasburgu, gdzie musiał działać w bardzo trudnej dla zgromadzenia sytuacji.

W prowincji Teutonia, której siedzibą był Strasburg, zachodził groźny dla dominikanów proces, zastrzała się tu bowiem niebezpiecznie niechęć kleru świeckiego do Zakonu Kaznodziejskiego. Chodziło o interesy finansowe: kler świecki – księża, kapelani i biskupi – posiadał beneficja, zarabiał na mszach i udzielaniu sakramentów. Ponieważ dominikanie mieli prawo głoszenia kazań, świeccy duchowni odbierali ich jako konkurencję w swoich parafiach i diecezjach. Do tego dochodziło jeszcze duchowe prowadzenie klasztorów żeńskich (*cura monialium*) oraz wspólnot beginek (beginatów), wyrastających jak grzyby po deszczu. W oczach świeckiego kleru te kobiety, które ani nie wychodziły za mąż, ani nie mogły zostać w żaden inny sposób „zagospodarowane” przez księży, stanowiły jedynie obraz zgorszenia. Ostra walka duchownych świeckich z mnichami dominikańskimi o interesy materialne zastrzyła się przez kwestię beginek i urosła do rozmiarów skandalu. W samym tylko Strasburgu istniało w tamtym czasie osiemdziesiąt pięć beginatów zamieszkałych przez kobiety, które nie podlegały już kontroli ojców, małżonków ani kapłanów.

Zadaniem Mistrza Eckharta było dopilnowanie praw zakonu, przestrzeganie zasady *cura monialium*, do której zgromadzenie było zobowiązane, oraz niedopuszczenie do eskalacji konfliktu z klerem świeckim. Ponieważ jednak katalizatorem sporu była kwestia beginek, dominikanin mógł rozwiązać ten problem, jedynie zdradzając beginiki. On jednak wykazywał zrozumienie dla mistycyzmu i wielu zjawisk duchowych z nim związanych, a częściowo podzielał też stanowisko beginek. Poglądy, których nie podzielał, uważał wprawdzie za nierozsądne, ale nie za heretyckie – nie bardziej jednak nierozsądne niż niektóre zdania wyrażane przez tępych księży. Sam głosił przecież kazania, w których wciąż występował przeciwko przesadnym praktykom nadmiernej ascezy, naśladowaniu Chrystusa przez zadawanie sobie bólu i stygmatów – wszystko to nazywał zarozumiałością i „oślą głupotą”. Czasami występował przeciwko głupocie i ograniczeniu kleru, narobił więc sobie wielu zaciekłych wrogów, do których należeli także bracia z jego własnego konwentu. Dla tego właśnie kleru coraz większe zagrożenie stanowił wzór wolnego i niezależnego życia, jaki prezentowały

na przykład beginki. Biskup domagał się, by dominikanie zaprzestali udzielać beginkom duchowego wsparcia.

Z czasów strasburskich zachowała się większość kazań i dzieł Mistrza Eckharta. Pod względem duchowym był to czas obfitych żniw. Eckhart nie bał się w swoich kazaniach po niemiecku uprzystępniać zwykłemu odbiorcy najbardziej skomplikowanych rozważań teologicznych, chociaż wiedział, jakie z tego powodu spotkają go zarzuty i jakie walki przyjdzie mu z tego powodu toczyć. „Powiedzą też może, że takich nauk nie należy wygłaszać nieuczonym ludziom ani dla nich pisać. Odpowiem na to: jeśli nie będziemy uczyć nieuczonych, to nigdy nikt się niczego nie nauczy, a potem nie będzie komu mówić ani dla kogo pisać. Właśnie dlatego uczy się nieuczonych, by stawali się uczonymi. Gdyby nie było niczego nowego, nie byłoby też niczego dawnego. Pan nasz mówi, że zdrowy człowiek nie potrzebuje lekarza. Po to jest lekarz, żeby uzdrawiał chorych. Jeśli jednak jest ktoś, kto te słowa rozumie niewłaściwie, to co może zrobić człowiek, wygłaszający słusznie te słuszne słowa?”^[225].

W Strasburgu Mistrz Eckhart zdecydował, że pozostanie wierny sobie oraz swojemu myśleniu i będzie wypełniał swoje zadanie i opiekował się duchowo beginkami. Co najmniej od ostatniego pobytu w Paryżu powinien był mieć świadomość, że musi się liczyć z oporem nie tylko kleru świeckiego, ale i mnichów z własnego zakonu. Widział bowiem, zapoznając się z myślami Małgorzaty Porete, jak brutalnie obchodzili się przedstawiciele jego zgromadzenia z beginkami i begardami.

W zasadzie Mistrz Eckhart znalazł się w dość nieprzyjemnej sytuacji. W centrum jego myśli nie znajdowały się ani władza, ani bogactwo – w centrum jego myśli był tylko Bóg i ludzie. „W kazaniach mam zwyczaj mówić o odosobnieniu – o tym mianowicie, że człowiek powinien być oderwany od siebie samego i od wszystkich rzeczy. Następnie, że mamy zostać ponownie uformowani na wzór prostego Dobra, którym jest Bóg. Po trzecie, że pamiętać należy o wielkiej szlachetności, jaką On przyozdobił duszę, po to by człowiek w cudowny sposób dotarł do Niego. Po czwarte, mówię o czystości Bożej natury; jej jasność jest niewyraźalna. Bóg jest Słowem – Słowem niewypowiedzianym”^[226]. „Dlatego z chwilą, gdy odwraca się ona od wszystkich rzeczy stających się, On musi w niej jaśnieć i promieniować”^[227]. W tym miejscu następuje wspomniana wcześniej zmiana perspektywy: „I Bóg także jest Światłem, a kiedy boskie światło wpłynie w duszę, to dusza jednoczy się z Bogiem jak światło ze Światłem...”^[228].

Filozoficzna myśl Mistrza Eckharta krążyła wokół czterech głównych

zagadnień:

1. wolności człowieka, który powinien pozostać wolny od siebie samego i od wszelkich rzeczy i dążyć do tego, by „być”, a nie, żeby „mieć”;
2. Boga i bycia człowieka w Bogu;
3. wartości duszy, która od Boga pochodzi i prowadzi do Boga;
4. czystości boskiej Istoty, z którą człowiek może się zjednoczyć.

W związku z tym Eckhart mówił o tym, w jaki sposób człowiek może osiągnąć to najwyższe dobro i jaką drogą powinien do niego zmierzać. Ważnym momentem był przy tym spokój, polegający na uwolnieniu się od spraw tego świata, od próżności i pokus, sądzenia ludzi. Ci bowiem, którzy rzeczywiście czczą Boga, „nie mają na względzie dobra ni honoru, ani przyjemności, ani pożądanego, ani rozkoszy, ani serdeczności, ani świętości, ani nagrody w niebie. Oni się z tego wszystkiego wyzwolili, ze wszystkiego co ich: ci ludzie czczą Boga”^[229]. Jeśli konsekwentnie domyśleć tę myśl do końca, to ludziom tym Kościół nie jest już do niczego potrzebny. Sufi powiedzieliby, że oni zanikli w znikaniu.

Nie znamy warunków ani tła przeniesienia Mistrza Eckharta ze Strasburga do Kolonii na honorowe wprawdzie, ale pozbawione jakiegokolwiek wpływu i znaczenia stanowisko ordynariusza (jak dzisiaj nazwalibyśmy ten urząd). Wiemy za to, że niebezpieczne poglądy dominikańskiego mnicha od dawna były znane arcybiskupowi Kolonii.

KONIEC W AWINIONIE

Kolonia stała się dla wielkiego filozofa pułapką, miejscem, gdzie podano mu czarę cykuty. Pozbawiony instytucjonalnej władzy Eckhart wciąż był bowiem duchownym mającym prawo głoszenia kazań. I to właśnie tłumaczy, dlaczego w jego przypadku podjęto tak drastyczny środek, jakim był proces o herezję. Jak niegdyś Sokratesowi, jemu także zarzucono, że uwodzi swymi kazaniem ludzi. Czy słuszny to był zarzut? – Tak.

Mistrz Eckhart nie postrzegał człowieka jako poddanego czy sługi – lecz jako istotę, w której czystej duszy może narodzić się Bóg: „Ojciec rodzi swego Syna nieustannie. Powiem więcej: rodzi mnie jako swego Syna i jako tego samego Syna. Dodam jeszcze: Rodzi mnie nie tylko jako swego Syna; rodzi mnie jako

siebie i siebie jako mnie, a mnie jako swój byt i swoją naturę”^[230].

Do czegoż potrzebował jeszcze jakiegoś biskupa Johanna I ze Strasburga albo biskupa Heinricha II z Virneburga, skoro „wszyscy są jego jedynym Synem, którego Ojciec urodził na wieki”^[231]? Nauczając o drodze człowieka do Boga, Mistrz Eckhart pokazał, że urzędnicy religijni są zbędni. Ponieważ od strony teologicznej nie sposób mu było czegokolwiek zarzucić – tak jak nie obalano poglądów Sokratesa – postanowiono przynajmniej pogrozić mu wizją stosu, by zamknąć mu usta.

W czasie kiedy ani Biblia, ani msza święta nie były ludziom dostępne w językach narodowych, a próby przekładania Pisma Świętego na języki narodowe spotykały się z odporem, kazania Eckharta działały jak naruszenie monopolu wiedzy i władzy duchowieństwa. Umożliwiając i uprzystępniając nieuczonym wiernym filozoficzną głębię Boga i stosunek człowieka do Boga, do czego nie byli zdolni jego współpracownicy i teologowie, niezwykle uzdolniony dominikanin stawał się kłopotem dla Kościoła.

Kiedy Mistrz Eckhart został oskarżony, bronił się, zaznaczając jednak od początku, że biskup nie jest właściwym zwierzchnikiem, który może go rozliczać i oskarżać. Był doktorem Pisma Świętego, zatem śledztwo przeciwko niemu mogłaby wszcząć Sorbona, a ponieważ był dominikaninem, mógł to uczynić tylko zakon. Mimo to Mistrz Eckhart bronił się, ponieważ nie chciał uchodzić za heretyka recydywistę (*hereticus relapsus*) – wiedział przecież, że jako *relapsa* spłonęła na stosie Małgorzata Porete. Domagał się, by proces został przeniesiony do Awinionu, do papieża.

Nim nadeszła decyzja sędziów w sprawie apelacji, 13 lutego 1327 roku Mistrz Eckhart wygłosił kazanie w swojej wspólnoty w Kolonii. Następnie poprosił swego ucznia Konrada z Halberstadt o odczytanie oświadczenia, które następnie poświadczali notariusze. Niektórzy dostrzegli w tym przyznanie się do winy i kłopotliwy dokument. Czytajmy jednak uważnie. Mistrz Eckhart wskazuje najpierw na swą prawość, a potem ogłasza, że odwołuje wszystko, „jeśli pod tym względem znalazłoby się tam coś błędnego”^[232]. To odwołanie opatrzone było jednak warunkami – jeśli nie znajdzie się w jego pismach nic niezgodnego z teologią, wówczas nie ma czego odwoływać. Uczonym krytykom umknęło jeszcze jedno. To oświadczenie stanowiło pewien manewr prawny. Mistrz Eckhart wzywał do zbadania jego pism pod kątem błędów w sprawach wiary, próbował więc z procesu o herezję uczynić proces skargowy. Różnica miałaby polegać na tym, że przedmiotem procesu nie byłby człowiek, lecz poprawność lub

niepoprawność jego nauki. Znacznie później podobnymi słowami Marcin Luter mówił przed sejmem w Wormacji, że odwoła wszystko dopiero wówczas, jeśli okaże się, że głosi coś sprzecznego z Pismem Świętym. Zarówno Eckhart, jak i Luter przyznawali, że jako śmiertelnicy są omylni, ale omyłkę trzeba wskazać i udowodnić.

Gotowość odwołania wszystkiego, co by nosiło znamiona herezji, odbierało procesowi siłę rażenia. Teraz Mistrza Eckharta nie można było sądzić jako zatwardziałego heretyka; można mu było najwyżej udowodnić fałszywość niektórych aksjomatów, które powinien odwołać. Osiągnął swój cel. Z procesu o herezję uczyniono proces oceniający poprawność nauczania Eckharta. Sąd odmówił wprawdzie apelacji do papieża, ale nie mógł przeszkodzić pielgrzymce Eckharta do Awinionu. Proces został zatem przekazany wyższej instancji.

Mistrz Eckhart jak zwykle podróżował pieszo. Wędrował z Kolonii do Awinionu, by się bronić. Towarzyszyli mu uczniowie oraz wpływowe i szanowane osobowości z zakonu dominikanów, na przykład Heinrich von Cigno. Zapewne obawiano się, że po drodze Eckharta może spotkać jakieś nieszczęście. W Awinionie papież zlecił najpierw ekspertyzę teologiczną. Nie wiemy, co się stało później. Mówi się, że Eckhart odwołał wszystko bez zastrzeżeń – ale cóż jest warta taka wypowiedź zainteresowanej strony. Jeśli rzeczywiście tak było i odwołał – to być może został do tego zmuszony. Może osadzono go w więzieniu i torturowano? W każdym razie krótko po przybyciu do Awinionu Mistrz Eckhart zmarł – nie wiemy, czy była to śmierć naturalna, z wycieńczenia podróży, czy może zachorował albo został zamordowany. Przypuszczano też, że może śmierć dopadła go w drodze powrotnej.

Arcybiskupa Kolonii wiadomość o śmierci filozofa zaalarmowała i od razu napisał do papieża Jana XXII, że nie wolno zawieszać procesu przeciwko Mistrzowi Eckhartowi tylko dlatego, że właśnie umarł. Wielki chrześcijanin Heinrich z Virneburga najchętniej wyciągnąłby Mistrza Eckharta z grobu, żeby móc spalić przynajmniej jego zwłoki! Tymczasem jednak w Awinionie nikomu nawet do głowy nie przyszło zawieszenie procesu z tego powodu, że obwiniony dzięki śmierci uniknął dochodzenia. Celem procesu było milczenie filozofa, zatem również jego pism. Na wieki.

Dnia 27 marca 1329 roku została wydana bulla *In agro dominico*, w której osądzonych zostało dwadzieścia osiem aksjomatów Mistrza Eckharta, jakie zostały dostarczone sądowi. Siedemnaście spośród nich oceniono jako hereetyckie, a jedenaście jako budzące obawy. W preambule tej bulli czytamy: „Zaprawdę

z bólem podajemy do wiadomości, że w tym czasie jeden [człowiek] z krajów niemieckich, o imieniu Eckhart, i jak czytamy, doktor i profesor Pisma Świętego, z Zakonu Kaznodziejów, chciał wiedzieć więcej, niż to konieczne, i to nie stosownie do roztropności i zgodnie z zasadą wiary, ponieważ odwrócił ucho od prawdy i zwrócił się ku mitom. Został mianowicie uwiedziony przez owego ojca kłamstwa, który często przemienia się w anioła światłości, by zamiast światła prawdy szerzyć mroczną i upiorną ciemność zmysłów. Tak ów błądzący człowiek wytoczył liczne aksjomaty przeciwko jasno świecącej prawdzie i na uprawnym polu Kościoła zasiał ciernie i chwasty, pracowicie i gorliwie hodował szkodliwe osty i trujące kolczaste krzewy. Swymi aksjomatami zamroczył w wielu sercach prawdziwą wiarę, a głosił swoje przekonania głównie prostemu ludowi, a także przelewał je na papier^[233].

Preambuła tej bulli jednoznacznie poświadcza, że skazania Mistrza Eckharta dokonano z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że „głosił kazania prostemu ludowi”, a po drugie dlatego, że „chciał wiedzieć więcej, niż to konieczne”. Któż jednak może orzekać, co należy wiedzieć, a czego już nie?

W dyskusjach z tamtego czasu Eckhart zyskuje ponadczasowość cechującą wielką filozofię: to, że chce ona być blisko życia. Do tego jednak dochodzi wiara. Dla Eckharta właściwy sposób życia nie polegał na tym, by służyć Bogu jak poddany swemu panu, lecz żeby być Bogiem – to nie znaczy, żeby człowiek był (czy stawał się) Bogiem, albo żeby siebie ubóstwiał, lecz żeby żył w Bogu, unicestwiwszy siebie.

„Żeby człowiek był wolny od siebie samego i od wszelkich rzeczy”, a więc od wszystkiego, co go ogranicza – to był właściwy wewnętrzny cel jego kazań. Szczęście człowieka opierało się według Mistrza Eckharta na pokoju, jaki człowiek odnajduje w Bogu („kiedy jesteś w Bogu, jesteś w pokoju”), gdyż w Bogu znajduje drogę do siebie samego, natomiast rzeczy zewnętrzne, władza, kontrowersyjni idole czy konsumpcyjny tryb życia prowadzą tylko do zniewolenia. Chciał znaleźć i wskazać innym ludziom tę drogę od doczesności do boskości. To dlatego w centrum jego działalności znajdowała się praca kaznodziejska. Życiowy cel Mistrza Eckharta polegał na tym, by „być wolnym od wszelkich rzeczy”. By być wolnym chrześcijaninem.

Duchowa niezależność w poszukiwaniu prawdy i odwaga w głoszeniu swoich myśli stały się nieustającym źródłem długotrwałego oddziaływania pism Mistrza Eckharta. Dzięki wielkiej szczerości emanującej z jego „niemieckich kazań”, szczerości, która się nie boi niebezpieczeństw, mistrz i jego dzieło,

kaznodzieja i kazania stały się jednym. W ten sposób dzieło Mistra Eckharta, pisma i legendy stały się czymś na kształt tajemnej religii trwającej przez Lutra aż po Novalisa.

Wielką osobliwością Mistra Eckharta jest myśl usuwająca grunt spod nóg, że „to, co jest przedmiotem wiary chrześcijańskiej, filozofowie mogą wyłożyć i pojąć dzięki zasadom rozumu. Filozofowie i teologowie mówią w różny sposób o tej samej prawdzie. Nauczył się tego od Alberta Wielkiego, który mądrymi, ale także zręcznymi taktycznie argumentacjami przygotowywał możliwość zajmowania się Arystotelesem i filozofami arabskimi, przede wszystkim Ibn Rusdem, z którym swego czasu dyskutował w Kordowie młody Ibn Arabi. Od Alberta Wielkiego przez Dietricha z Freibergu, swego następnego nauczyciela, Eckhart doszedł do filozofii greckiej, arabskiej i żydowskiej, wiele uwagi poświęcając zwłaszcza Mojżeszowi Majmonidesowi.

Mistrz Eckhart nie miał oporów przed stwierdzeniem, że Arystoteles, Mojżesz i Jezus mówili o tym samym, używając tylko różnych słów i przebywając w różnych miejscach. Było to bardzo odważne, zważywszy na wrogie nastawienie, a nawet potępienia, jakie spotykały Arystotelesa ze strony teologów chrześcijańskich. Mistrz Eckhart zrównał poganina Arystotelesa z Chrystusem Panem. Niewzruszenie przekonywał, że ich starania wypływały z jednego źródła, jakim jest poznanie.

A to właśnie w poznaniu Mistrz Eckhart znalazł drogę do Boga. Wypracował filozoficzną wiarę, ponieważ Bóg i wiedza są tym samym, są jednym. W przeciwieństwie do Tomasza z Akwinu – także dominikanina – nie pozostał przy hierarchizacji i porządku bytu, lecz odkrył stawanie się w bycie i rozważał je z różnych perspektyw. Nie klasyfikował świata, lecz wprawiał go w ruch. Wprawiał w ruch człowieka.

Trudność poznania opisał obrazem piękniejszym niż którykolwiek z filozofów przed nim i po nim: „Biorę naczynie z wodą i wkładam do niego lustro, a potem wystawiam to na słońce. Odbicie słońca w lustrze jest słońcem słońce. A przecież jest też tym, czym samo jest. Tak samo jest z Bogiem. Bóg jest w duszy człowieka razem ze swoją naturą, ze swoją istotą i boskością, a przecież nie jest On duszą. Oddziaływanie Boga na duszę powoduje, że dusza w Bogu jest Bogiem, a przecież jest też tym, czym sama jest”^[234].

[220] *Mistrz Eckhart, Pouczenia duchowe (Rede der Unterweisung), [w:]*

Mistrz Eckhart, Traktaty, tłum. Wiesław Szymona OP, Poznań 1987, s. 17.

[221] *Mistrz Eckhart, Dzieła wszystkie, t. 2, tłum. Wiesław Szymona OP, Poznań 2001, s. 169–170.*

[222] *Tamże, s. 229.*

[223] *Tamże, s. 87.*

[224] *Mistrz Eckhart, Kazania (Kazanie 5b), tłum. W. Szymona OP, Poznań 1986, s. 106.*

[225] *Mistrz Eckhart, Dzieła wszystkie, t. 1, tłum. Wiesław Szymona OP, Poznań 2001, s. 158.*

[226] *Mistrz Eckhart, Kazania (Kazanie 53), tłum. Wiesław Szymona OP., Poznań 1986, s. 326.*

[227] *Tamże, s. 402.*

[228] *Tamże.*

[229] *Cyt. za: Gershom Scholem, Die jüdische Mystik in ihren Hauptströmungen, Frankfurt am Main 1980, s. 435, przypis 84.*

[230] *Mistrz Eckhart, Kazania (Kazanie 6), tłum. Wiesław Szymona OP., Poznań 1986, s. 110.*

[231] *Tamże, s. 255.*

[232] *Cyt. za: Kurt Ruh, Geschichte der abendländischen Mystik, t. 3, München 1996, s. 253.*

[233] *Por. Kurt Flasch, Meister Eckhart. Philosoph des Christentums, München 2010, s. 317–321; Kurt Ruh, Meister Eckhart. Theologe, Prediger, Mystiker, 2 Aufl., München 1989, s. 184–187; Winfried Trusen, Der Prozeß gegen Meister Eckhart. Vorgeschichte, Verlauf und Folgen, Paderborn 1988, s. 118–128; Josef Quint (Hrsg.), Meister Eckhart. Deutsche Predigten und Traktate, München 1963, s. 449 f.*

^[234] *Meister Eckhart, Deutsche Predigten und Traktate, Übersetzt von Josef Quint, München 1979, s. 273.*

Książka dla none none

DOBRY LUDZIE I BIEDNI CHRZEŚCIJANIE – KATARZY

W XII i XIII wieku południowa Francja została wprost zalana nową religią, która jak potężny nurt, płynący z Nadrenii i północnej Italii, szeroką falą rozlała się po Prowansji. Jej wyznawców nazywano *boni homines*, dobrymi ludźmi, lub *pauperes christi*, biednymi chrześcijanami, a później katarami lub albigensami.

Wstręt i nienawiść do Kościoła panującego, hołdującego luksusowi i zapominającego o Chrystusie, wyładowała się w XII wieku tak gwałtownie, że zaskoczyła, wyprowadziła z równowagi, a potem sparaliżowała papieży i kardynałów. Wydarzenia te co jakiś czas zapowiadały różne zwiastuny. Na przykład Arnold z Brescii (1090–1155) głosił, że żaden duchowny dysponujący jakimkolwiek majątkiem nie pójdzie do nieba. Co oczywiście oznaczało, że papież, kardynałowie i biskupi jak jeden mąż pójdą do piekła. Cesarz Fryderyk I zwany Barbarossą na osobistą prośbę papieża powiesił tego niemilego krytyka, następnie spalił jego ciało, a popioły rozsypał nad Tybrem.

Ta nowa fala ludzi, powodowanych silnym zainteresowaniem sprawami duchowymi, zapewne także pod wpływem oczekiwanego końca świata, wprowadzała wielkie zamieszanie. Nie chcieli oni wzniecać powstań, ale prowadzili skutecznie misje. Kościół się nie mylił, rozpoznając w wierze tych ludzi starego manichejskiego wroga. W Rzymie, Paryżu czy Kolonii zdumieni hierarchowie zachodzili w głowę, jak możliwe było to odrodzenie manicheizmu, skoro został wcześniej tak skutecznie pokonany.

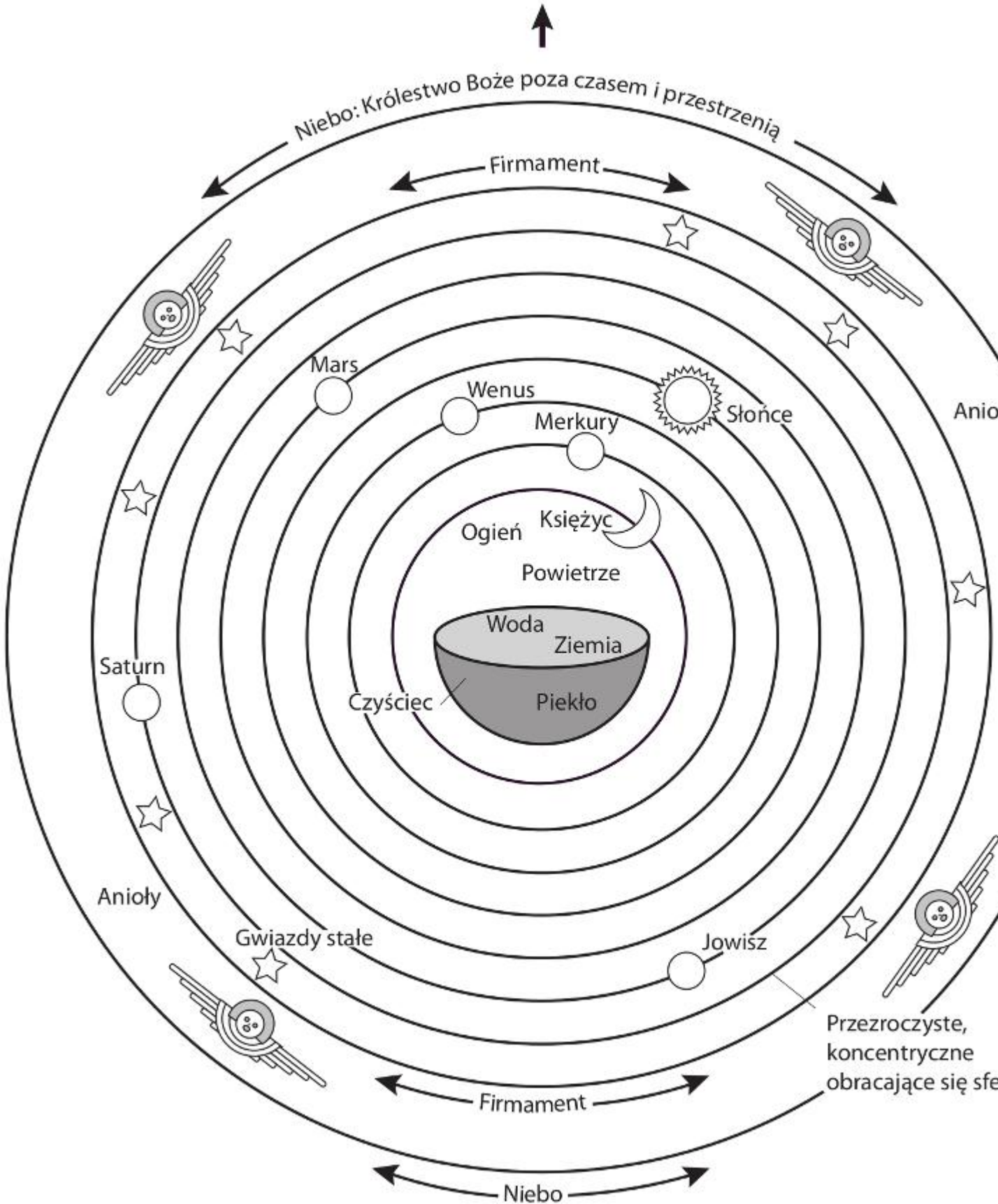
Katarzy (albo albigensi, jak ich także nazywano od miasta Albi, które było jednym z ich ośrodków) wierzyli, że świat jest zły i że został stworzony przez złych demiurgów, którzy mieli przyczepione do ciała cząstki światła albo dusze. To dlatego wszystko zależało od przewyciężenia ciała, a wstrzeźliwość i czystość miały zapobiegać wszelkiemu płodzeniu, które prowadziłyby znowu do tego, że nowe dusze byłyby przywiązywane do ciała.

Katarzy dzielili się na trzy grupy: duchowych przywódców, czyli doskonałych (*perfecti*), wokół których skupiały się wspólnoty katarskie. Doskonali nie kalali się światem; wyżywić musiała ich wspólnota wiernych (*credentes*) i zbliżonych do katarów słuchaczy (*auditores*).

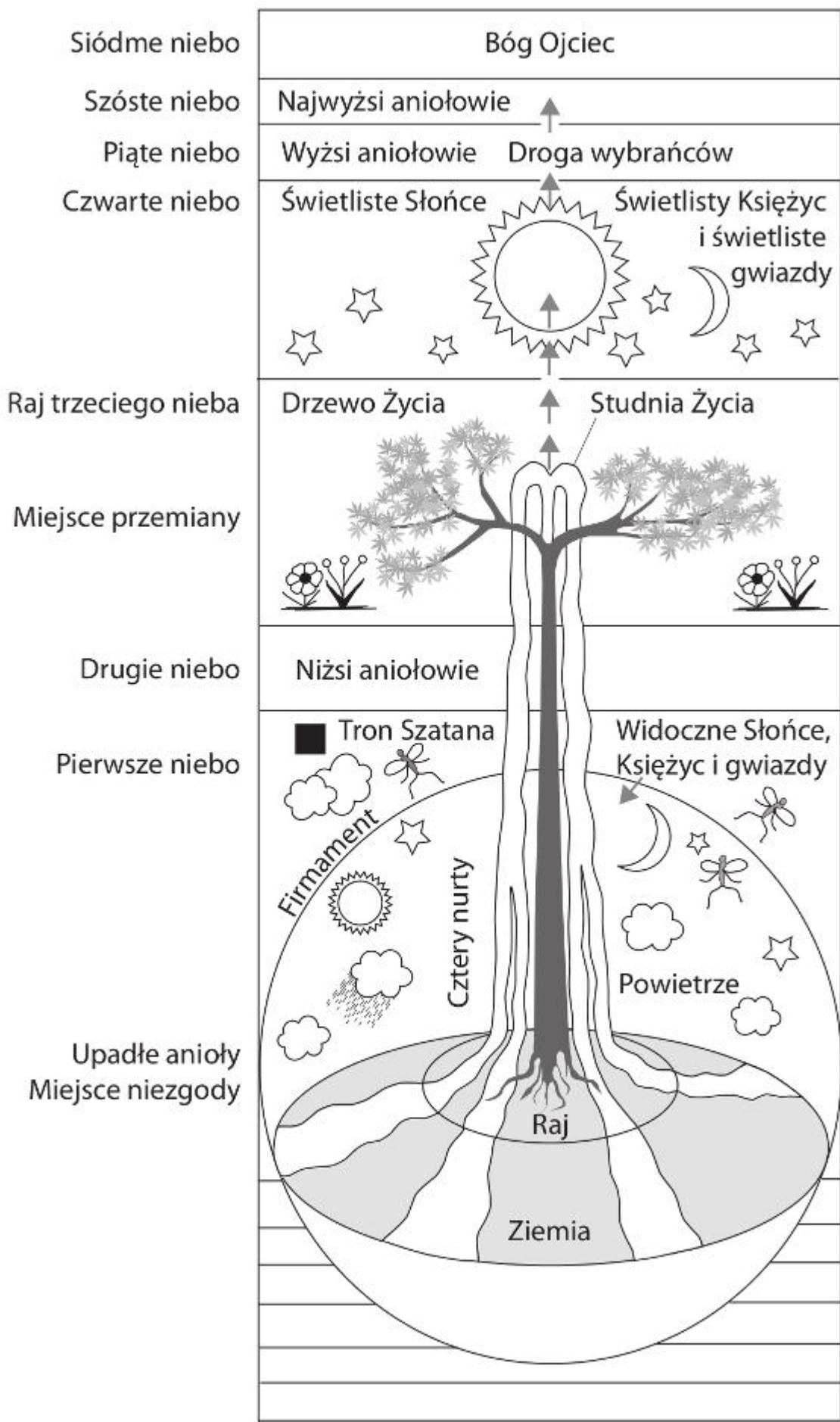
Dusze wiernych, którzy nie osiągnęli stanu doskonałości, rodziły się na nowo. Dzięki brakowi wymagań, bezgrzeszności (na ile to możliwe) i konsekwentnemu postępowaniu zgodnie z przykazaniami boskimi dusze rodzą się

w ciałach coraz doskonalszych ludzi, aż w końcu dusza trafia do ciała człowieka doskonałego i po śmierci znajduje zbawienie. Wtedy Bóg bierze biedną duszę do siebie.

Piastujący kościelne godności urzędnicy zauważyli ze zdumieniem, że ci skazani na stos heretycy w swej ostatniej drodze uśmiechali się i śpiewali. Z twarzy skazanych na śmierć biła ogromna radość, ponieważ teraz nie musieli się już rodzić na nowo. Wierzyli, że nim zgaśnie ogień, który zetli ich kości, zostaną przyjęci do Boga. Jak mogły im zaszkodzić te zbiry z kościoła diabła – bo tak postrzegali Kościół katolicki? Chcieli tylko zniszczyć ich ciało, którego katarzy i tak nienawidzili i od którego pragnęli się uwolnić. I tak w ich przypadku inkwizycja stała się (niechcący) narzędziem Boga – choć w zupełnie inny sposób, niż planowano.



W Kościele chrześcijańskim dojrzałego średniowiecza i w renesansie powstały modele świata oparte na kosmosie sferycznym. Ponad wszystkim górował Bóg.



Światopogląd katarów odzwierciedlał gnostycką ideę, że przez narodzenie dusze zostają zamknięte w więzieniach ciał.

Historia miała jednak bardziej skomplikowany przebieg, gdyż wielu katarów, wyznając wprawdzie swoją wiarę, kochało także swoje życie, rodziny, dzieci i rodziców. I nawet jeśli nie pragnęli ponownych narodzin, to chcieli pełnymi garściami czerpać z doczesnej egzystencji, jakkolwiek była niedoskonała. Dlatego właśnie katarzy wynaleźli – podobnie jak manichejczycy – ekonomię zbawienia, pozwalającą ludziom żyć codziennym życiem, natomiast o wieczność troszczyli się doskonali, *perfecti*.

Potężny i tolerancyjny hrabia Rajmund IV pozwolił osiedlić się katarom w słonecznej, radosnej Prowansji. Papież i Kuria obawiali się jednak ogromnego oddziaływania przykładu, jaki dawał ten ubogi Kościół, którego przywódcami byli święci asceci. Na pierwszym soborze katarskim w Saint-Félix-de-Caraman pod Tulużą południowa Francja została podzielona na siedem diecezji (zwróćmy uwagę na symboliczną liczbę siedem), a biskup Niketas z Konstantynopola wyświęcił siedmiu biskupów. Ruch katarów rozszerzał się także alarmująco w północnej i środkowej Italii, a więc tuż za progami papieża. Kościół katolicki tracił władzę i znajdował się w defensywie. Ponadto biskup Niketas przybył z Konstantynopola, a więc z terenu Kościoła wschodniego, od ponad stulecia po długich walkach oddzielonego od Zachodu. Rzym obłożył Kościół wschodni anatema, klątwą kościelną – a papież uważał Kościół wschodni za heretycki.

Papież zyskał tymczasem nowego sojusznika kierującego się interesem władzy. Był nim król francuski Filip II August, któremu solą w oku była pewna siebie oksytańska szlachta. Uważał, że jeśli przetrąci kręgosłup upartej i dumnej starej Oksytanii, z jej potężnymi miastami, możnymi baronami i hrabią Rajmundem VI (który uważał się za równego królowi), to pokaże wszystkim wokół, kto jest prawdziwym władcą całej Francji.

Kiedy po trudnych rozmowach z hrabią Rajmundem VI z Tuluzy 14 sierpnia 1208 roku w drodze do domu pobity został (prawdopodobnie przez sługę hrabiego) legat papieski Pierre de Castelnau, pojawił się dostateczny pretekst, by ogłosić wyprawę krzyżową przeciwko heretykom we własnym kraju, zwaną wyprawą przeciwko albigensom. W tym samym czasie wzmocniono inkwizycję: ustanowiono możliwości prawnego zwalczania i karania z całą mocą wszelkiego podejrzenia o herezję. Prowadzenie inkwizycji powierzono zakonowi dominikanów. Dowódcą wyprawy przeciwko albigensom był fanatyczny i chciwy Simon de Montfort. Kiedy żołnierze pytali go, po czym mają odróżniać heretyków

od pozostałych mieszkańców miast, które będą zdobywać, odparł z bezczelną arogancją: „Zabijajcie wszystkich. Bóg rozpozna swoich”. Można sobie zatem wyobrazić, jakie okropności towarzyszyły tej wyprawie. Chociaż trwała znacznie dłużej, niż planowano, to cyniczny plan władzy jest tu widoczny jak na dłoni.

Niemniej na południu Francji katarskie grupy działają do dzisiaj. Jest kwestią otwartą, czy przetrwały przez stulecia, czy też dopiero niedawno się odrodziły. Wart odnotowania jest fakt, że koncepcje manichejczyków i katarów przetrwały, zatem z religii uznanej za Kościół katolicki za herezję powstała tajemna religia, tworząca krypty również w oficjalnie wyznawanej wierze.

Książka dla none none

UNIWERSALNA RELIGIA MIŁOŚCI

Oprócz tego w południowej Francji wspaniale rozwinęła się naprawdę tajemna religia, której wielkiego rozkwitu dzisiaj nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Ona także – religia miłości – została zniszczona. To ta sama religia, z którą spotykaliśmy się u sufich, u beginek i u mistyków chrześcijańskich, a która przemawia do nas również z poezji trubadurów. W mistyce, liryce i etyce trubadurów, która pozostawiła zdumiewający ślad w poezji hiszpańskich chrześcijan, muzułmanów i żydów, stykamy się właśnie z tą później zapomnianą, uniwersalną tajemną religią średniowiecza. Jej credo stanowiła miłość do Boga i do wszystkich jego stworzeń, tęsknota za pięknem jako synonim zjednoczenia z Bogiem, a jej wyznawcy dawno porzucili konkretne wyznania, które szanowali jedynie jako symboliczne formy.

Jeśli poważnie próbuje się zrekonstruować tę ukrytą religię, szybko porzuca się poziom metafor. Ta ponadwyznaniowa religia nie była bowiem zwykłą ideą, symbolem czy ideałem – ona naprawdę istniała, a wyznawali ją najlepsi ludzie średniowiecza, jakich wydały Wschód i Zachód.

Ostatnim wielkim dziełem, jakie powstało w wyniku religii miłości, jest *Boska Komedia* Dantego (1265–1321). Jeden z jego przyjaciół, Guido Cavalcanti, napisał radosny dodatek do tego wielkiego dzieła, który sprawia wrażenie nieprzerwanej ody do miłości. Czy te wersy nie mogłyby być autorstwa Ibn Arabiego albo Hafiza?

Kim ona jest, co władzę ma nad nami,

Od blasku jej drży nawet przestrzeń pusta –

Zakochać każdy może się, lecz usta

Westchnieniem mogą mówić, nie słowami.

Ach, prosty duch nasz nie jest tak bogaty,

Łaski poznania dostąpić nie może

I zrozumienia w pełni rzeczy tej^[235].

Tajemne religie również posiadają swoje instytucje, choć mogą się nam one

wydawać słabo wykształcone, gdyż silniejsze są w nich więzy duchowe. Tak więc i Dante, i Cavalcanti należeli do tajnego związku, który nie został jeszcze wystarczająco zbadany – *Fedeli d'amore* – „Towarzyszy Miłości”. Wiele przemawia za tym, że owi „Towarzysze Miłości” to było coś znacznie wykraczającego poza ramy sympatycznego kręgu poetów, z jakimi spotykamy się często w historii literatury.

Religia miłości oddziaływała w najmniej nawet spodziewanych miejscach. W XVIII wieku Gotthold Ephraim Lessing posługuje się w dramacie *Natan mędrzec* tzw. przypowieścią o pierścieniu. Znalazł ją wcześniej w trzeciej opowieści z *Dekameronu* Giovanniego Boccaccia (1313–1375). Jednakże to nie sam Boccaccio (który prawdopodobnie również należał do *Fedeli d'amore*) wymyślił tę przypowieść, lecz natrafił na nią swego czasu w Neapolu u rzymskiego pisarza Apulejusza.

Neapol, jako tajemna stolica wczesnego renesansu, dobrze pamiętał czas, w którym Staufowie uczynili z południowej Italii ważny ośrodek między Wschodem a Zachodem – dobrze dbał o różnorodne pisane skarby z czasów antycznych i z epoki Staufów. W ten sposób Giovanni Boccaccio mógł się zapoznać z tekstem *Metamorfoz* Apulejusza.

Jeśli zrekapitulujemy wszystko, co dotychczas powiedzieliśmy o sufich oraz o mistykach chrześcijańskich i żydowskich, to zobaczymy, że mamy przed sobą katechizm tajemnych religii w postaci przypowieści o pierścieniu. Lessing wprowadził do niej pewne zmiany i opowiedział ją w XVIII wieku publiczności, która nic już nie wiedziała o tej zaginionej religii miłości. Sama z trudem rozwijała tylko dość suchą ideę humanizmu, która była (być może) jedynie słabym refleksem tamtej religii miłości. *Tempi passati!*

^[235] *Guido Cavalcanti, Sämtliche Gedichte, Tübingen 1990, s. 49.*

**TAJEMNICA –
JEJ MISTRZOWIE
I DZIEDZICE**

KWINTESENCJA TAJEMNEJ WIEDZY – KABAŁA

...odkąd amoralność się wzmożła,

imię Boga wykładano tylko skrytym duchownym...

Jednak to jest potrzebne tylko dlatego, że człowiek jest więźniem

naturalnego świata i byłoby niestosownie,

gdyby rozsądna istota nie próbowała

wszystkimi sposobami znaleźć dziurę albo szparę

aby uwolnić się ze swego więzienia.

Anonim, uczeń Abrahama Abulafii, ok. 1295

Pojęcie „kabała”, obrosnięte legendą i bogate w skojarzenia, które do dziś rozpala fantazję, znaczy po prostu: tradycja. O jaką tradycję chodzi – zaraz zobaczymy. Jedną z największych zagadek w historii kabały – mającej z pewnością wiele tajemnic – wiąże się z książką, czy raczej książeczką, o ważnym tytule *Sefer Jecira* (Księga Stworzenia). Od niej zaczęła się historia tej potężnej tajemnej religii.

Zachowały się różne wersje tekstu, ale nawet najdłuższa obejmuje 2700 słów. Istnieje zatem wielka dysproporcja między jego objętością a zakresem oddziaływania. Jednak w tych niewielu słowach chodzi o wszystko, a mianowicie o sposób, w jaki został zbudowany świat, i prawa, jakim podlega. Inaczej mówiąc, świat odsłania głęboką tajemnicę stworzenia tylko wytrawnemu i doświadczonemu. Można powiedzieć, że w tej epokowej książce zawiera się ni mniej, ni więcej tylko jednolita kwantowa teoria pola, poszukiwana przez fizyków, zaszyfrowana

w żydowskiej mistyce.

Nikt nie zna autora i nikt nie wie, kiedy *Księga Jecira* powstała, nie ma też całkowitej pewności, co naprawdę zawiera. *Księgę Jecira* i nowoczesną astrofizykę łączy oszołamiący splot wiedzy, spekulacji i wiary. Fizycy są właśnie mistykami – mistykami nauki.

Jej wieloznaczny i suchy tekst zdaje się składać raczej ze słów, z rzuconych fraz czy pobieżnie zanotowanych kontekstów niż ze zdań. Z biegiem czasu powstały oczywiście niezliczone i różnorodne wykładnie, interpretacje i teorie. Stale pojawiają się w dyskusji nowe hipotezy, a koło poznania nie daje zadowolającej odpowiedzi. Sprawia raczej wrażenie, że kręci się w kółko, raz wesoło nucąc, raz nieco zgrzytając.

Przy żadnej innej książce sugerowane daty powstania nie są od siebie tak bardzo odległe jak przy tej, bo rozpiętość czasowa obejmuje dwanaście stuleci: od 200 roku p.n.e. aż po X wiek n.e., a więc dobre tysiąc lat. Ponieważ *Księga Jecira* miałyby pochodzić od patriarchy Abrahama, należałoby dołożyć jeszcze 2000 lat. Nie uczynimy tego jednak, bo opuścilibyśmy grunt historii i wkroczyli w niepewną płataninę mitów.

Przy tak wielkiej czasowej niepewności jest oczywiste, że nie sposób ustalić tożsamości autora. Zdania uczonych są jednak bardzo rozbieżne również w odniesieniu do treści. Jedni uważają rzeczowy, wprost ascetyczny styl, w jakim przedstawione jest stworzenie, za próbę przybliżenia naukowo-filozoficznego. Dla innych jest to tekst najbardziej tajemniczej i hermetycznej mistyki. Z punktu widzenia ludzkiej fantazji i myślenia ciekawe jest, że te suche grupy słów jedni uważają za trzeźwy opis, drudzy za najbardziej skrytą formę mistycznych tajemnic.

Jak bardzo ten tekst, mimo swej nieprzystępnej hermetyczności, jeszcze dziś porusza umysły, pokazuje rzut oka na zasoby Internetu. Strony poświęcone *Sefer Jecira* łatwo wywołać. Natomiast lektura jest trudniejsza, bo wiele osób zajmuje się *Księgą Stworzenia* w tak różny sposób, że czytelnik zadaje sobie czasem pytanie, czy ciągle chodzi o ten sam tekst.

Olbrzymie oddziaływanie bierze się zapewne stąd, że *Księga Jecira* po raz pierwszy łączy ze sobą dwie całkowicie różne linie wytłumaczenia zasad stworzenia, chociaż ich nie splata, raczej pozwala im biec obok siebie. Centralnym punktem jednego światopoglądu jest *sefira*, drugi tworzy mistyka liter.

KLUCZE DO ŚWIATA – DZIESIĘĆ SEFIR

Trudność zaczyna się już od tłumaczenia hebrajskiego słowa *sefirot* (w liczbie pojedynczej *sefira*), bo oznacza cyfry, pracyfry, sfery, eony, boskie siły i właściwości (atrybuty). Sławne jest przedstawienie graficzne *sefir* jako drzewa. Obraz ten dodał do tego wielce mitycznego wyobrażenia bardzo stary symbol drzewa życia. Pomysł dziesięciu *sefir* przejął z mistyki merkawy wyobrażenie o polach działania Boga. W mistyce merkawy wierzono w siedem nieb, siedem pałaców niebieskich Boga (*hechalot*), z których każde przedstawia jedną emanację Boga; zasada *sefir* porzuciła ten obraz, ale zachowała ideę sił sprawczych bądź potencji.

Mistycy merkawy jeszcze zachowali dystans do samego Boga. Wszelkie ich mistyczne starania skierowane były na wspięcie się do boskiej wspaniałości w siódmej sali, gdzie Bóg krył się za zasłoną bądź ukazywał się mistykowi, któremu udało się tam dotrzeć, w chwale rydwanu (*merkawa*). Zainteresowanie kabalistów dotyczy istoty Boga, samego Boga. Pałac, który staje się światem *sefir*, i Bóg zostają rozdzieleni – chciałoby się powiedzieć: w najlepszej gnostyckiej tradycji, bo Bóg zostaje tak bardzo oddalony, że upodobnia się do obcego Boga gnostyków i egipskiego Boga Prapoczątku. Żydowski mistycy znaleźli na to określenie *En Sof*, coś istniejącego przed istnieniem i nieskończonego. *En Sof* można porównać z *pleromą* gnostyków, pełnią, z której powstaje wszystko drogą nieskończonej liczby pośrednictw.

Dziesięć *sefir* wypływa z *En Sof* i objawia się na świecie. Zostają one powiązane z imionami Boga, które też mają potencjał stwórczy, i z rozprzestrzeniającą się symboliką seksualną. Sam Bóg, jego najgłębsza, prawdziwa istota, którą kabaliści nazywają *En Sof*, daje się opisać tak, jak obcy Bóg gnostyków bądź egipski Bóg Prapoczątku, Atum, unoszący się leniwie na prawodzie jako rodzaj protoplazmy, w której nie wyróżnia się żadna możliwość, i z którego wszystko powstaje. Można by go również nazwać bezgranicznym, gdybyśmy wcześniej tego nie założyli, negując istnienie granic.

Kabaliści rozróżniają dwa światy:

1. Świat *En Sof*. Jest to wewnętrzny świat Boga, dostępny tylko jemu, w którym on jest ukryty, którego nikt nie może sobie wyobrazić, a co dopiero zobaczyć.

2. Świat wyłaniający się z tego pierwszego przez emanację, który człowiek

może poznawać, wywodzący się z woli bożej lub bożej myśli. Gdy Bóg myśli, najpierw powstaje samo myślenie, a potem to, co on myśli. To jest świat właściwości bądź dziesięciu *sefir*. Mistrz może poznać Boga jedynie krok po kroku, odkrywając ten świat.

Fascynująca jest niespodziewana zgodność, która z kolei dowodzi istnienia w średniowieczu uniwersalnej, ale tajemnej religii. Kabaliści widzą oba światy w dynamicznej relacji i porównują ten związek do węgla i płomienia. *En Sof*, w ich wyobrażeniu węgiel, istnieje również bez ognia. Ale tajemna istota węgla objawia się dopiero, gdy on się spala. Bóg staje się światłem, gdy wychodzi z siebie, gdy tworzy. Światło jest atrybutem Boga, ale nie Bogiem samym. To właśnie zawarte jest w *Księdze 24 filozofów*: „Bóg jest ciemnością w duszy, która pozostaje po całym świetle”^[236]. Bo to znaczy, że my Boga nie możemy poznać, gdy jego atrybuty wygasną, gdy już nie działa, nie emanuje. Pozostaje ciemność.

Dziesięć *sefir* oznacza po pierwsze dziesięć podstawowych (czy pierwotnych) właściwości Boga, przez co rozumie się jego samoistne ruchy w świat i z powrotem w siebie, jako nieustające wahanie między akcją i kontrakcją, między rozciągnięciem a skurczeniem. Proces ten jest w najwyższym stopniu skomplikowany: z jednej strony odbywa się w samym Bogu i najpierw nie ma z ludźmi w ogóle nic wspólnego. Ale potem boski ruch stwarza ludziom możliwość poznania go, zbliżenia się do niego. Dziesięć *sefir* zatem to nie tylko emanacje i właściwości Boga, lecz jednocześnie dziesięć stopni, metakompleksy obejmujące różne kompleksy, wyrażające się w magicznych bądź mistycznych imionach Boga.

Boska siła tworzenia wyraża się w Jego imionach. Ważne jest zatem, aby rzeczy nadać właściwą nazwę. Dziesięć *sefir* można nazwać kluczem do poznania kodu świata. Mają one swoje nazwy:

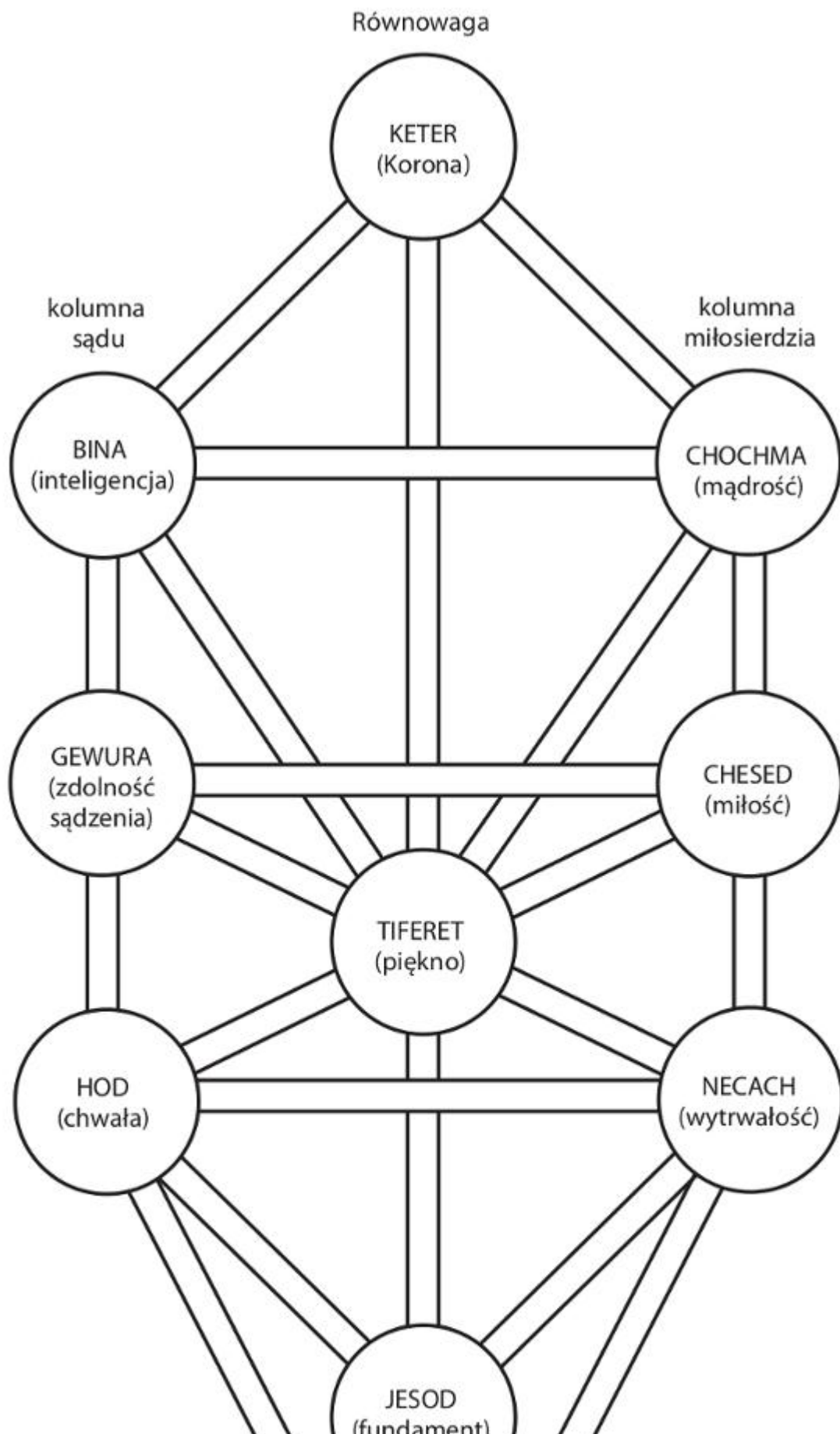
1. *keter* (korona, pierwszy rozbłyskujący punkt w *En Sof*)
2. *chochma* (boska mądrość, zręczność, plan stworzenia)
3. *bina* (wola, zrozumienie, rozum, inteligencja)
4. *chesed* (miłość, łaska, miłosierdzie, życzliwość, wierność)
5. *gewura* (prawo, siła, władza, zwycięstwo, sprawiedliwość, srogość)
6. *tiferet* (utrzymywanie bytu, wspaniałość, gloryfikacja, piękno)

7. *necach* (wieczność, stałość, zwycięstwo, sława, krew, sok, wytrwałość)

8. *hod* (chwała, majestat, grzmot, przepych)

9. *jesod* (założenie, fundament, kamień węgielny, podstawa)

10. *malchut* (królestwo, imperium, władza, królewska godność, rząd).



Schematyczne przedstawienie drzewa sefir, które pokazuje wyobrażenia żydowskich mistyków na temat wyjścia świata z Boga.

WIELKIE I ŚWIĘTE IMIĘ BOGA

Jedną z sześciu do dziesięciu rzeczy, które istniały już przed powstaniem świata, jest Tora. Przedstawia ona plan budowy świata. Pomińmy rozróżnienie między Torą ustną i spisaną i upraszczając, założmy, że ten plan budowy świata można rozszyfrować tylko za pomocą dziesięciu *sefir*.

Dochodzi do tego drugie ważne powiązanie narodu wybranego i Boga z wczesnych wyobrażeń mistycznych. Pobożność Izraela oddziałuje na świat *sefir*, świat boskiego ruchu – aniołom wolno chwalić Boga dopiero wtedy, gdy zrobili to ludzie. Ruch Boga w dziesięciu *sefirach* stwarza świat wciąż od nowa, jednocześnie pobożność Izraela oddziałuje z powrotem na świat *sefir*.

Całość, którą nazywamy Torą, nie jest w końcu niczym innym jak wielkim i świętym imieniem Boga, słowem stwórcy, którego nie znamy, do którego możemy się jedynie zbliżyć poprzez tych wiele imion Boga, które odnoszą się tylko do określonych aspektów jego jestestwa i jego przejawów. Poznać Boga całego, jego istotę, oznaczałoby poznanie tego wielkiego imienia. Kabalista Izaak Luria (zm. 1572) twierdził, że Tora ma 600 000 twarzy, tyle, ilu było Żydów w dniu, kiedy Bóg ją objawił. Wynika z tego, że każdy Żyd jest obdarowany swoją własną interpretacją Tory, dostępną tylko jemu. Konsekwencja tego wyobrażenia przypomina teorię znaków Ibn Arabiego, według której każdy człowiek musi znaleźć własne objawienie, przeznaczone przez Boga tylko dla niego. I dopiero z tych wszystkich objawień wynika boska prawda.

Być może widać w tym wyraźnie prądknotę mistyków, jaka przepajała ową tajemną średniowieczną religię, że w każdym człowieku Bóg zachowuje część swojej rzeczywistości. Gdyby wszyscy ludzie, niezależnie od wyznania, po pierwsze znaleźli dostępną dla siebie, bo daną przez Boga, wiedzę o stworzeniu i istocie Boga, a po drugie podzielili się wzajemnie tą wiedzą, dokonałoby się największe z możliwych zbliżenie do wielkiego i świętego imienia Boga i ludzkość mogłaby Boga poznać. Tego dnia znikłaby wszelka bieda i skończyłyby się wszystkie wojny, a zło by znikło, bo w poznaniu Boga ludzkość stałaby się Bogiem. Być może tragizm religii polega na tym, że została stworzona do łączenia, a jest wykorzystywana do dzielenia.

Nauka średniowiecznych mistyków osiąga u najśmielszych myślicieli wymiar religii uniwersalnej w znacznej mierze dlatego, że średniowiecze było epoką wielkiego uniwersalizmu. Obraz średniowiecza jako mrocznej epoki zawsze przysłania ten fakt, tymczasem wielkie polowania na heretyków i czarownice albo tortury jako środek prawny są wynalazkiem z początków nowożytności.

Dziesięć *sefir* to dziesięć stopni wszechświata, na których Bóg wychodzi ze swego ukrycia. Toteż w tekstach kabalistów określane są jako dziesięć koron Świętego Króla (Boga).

Keter, korona, jest najbardziej ukrytym z ukrytych, boskim jestestwem, zanim się stał, *En Sof*. Z tego ukrycia on wychodzi z myślą o stworzeniu. Ten pierwszy przejaw, jego pierwsza właściwość, to mądrość (hebr. *chochma*, gr. *sophia*) jako całość siły twórczej Boga; można powiedzieć: wszystko, co się stanie podczas powstawania. Na innych obrazach dziesięć *sefir* nazywa się dziesięcioma gałęziami Drzewa Mocy, Życia bądź Poznania. Tutaj Bóg widziany jest jako *En Sof*, korzeń życia i siła życia, która pulsuje w pniu, gałęziach i liściach.

Wcześni kabaliści wyobrażali sobie stworzenie jako prapunkt, który rozbłyskuje z Niczego, potem punkt jest i znów go nie ma. Dopiero przez ruch punktu powstają wszystkie figury geometryczne, najpierw koło i linie proste. Ale przez to, że punkt rozbłyska, że Bóg ukazuje się jako boska mądrość, Bóg staje się poznawalny.

Chochma. Gdy Bóg rozbłyska jako znak sumy swoich możliwości, znajduje się w *sefirze* mądrości, *chochma*. Z mądrości, ogólnego i niezdefiniowanego bytu, rozwija się jestestwo w kolejnej *sefirze* noszącej nazwę *bina*.

Bina oznacza rozum bądź inteligencję, może też – jak zauważa Gershom Scholem – zostać przetłumaczona jako „to, co rozdziela rzeczy”, a więc dyferencjacja^[237]. Byt różnicuje się, rozwijając się w jestestwo. Określenie „rozum” bądź „inteligencja” jest o tyle precyzyjne, że myślenie zaczyna się od rozróżniania. Sam akt myślenia jest już odróżnianiem, bo myślenie musi się od czegoś oderwać, aby na to spojrzeć. Dlatego tworzenie nie zaczyna się od tego, co pomyślane, lecz od boskiego myślenia. Boskie myślenie jest tym punktem, który się porusza. Ruch natomiast jest mądrością tworzącą rozum bądź inteligencję, która z kolei jest w stanie dokonywać rozróżnień. Dopiero gdy jesteśmy w stanie rozróżniać, zaczynamy myśleć, rozróżniając, tworzymy bowiem struktury. Nagle zaczyna istnieć małe i duże, krótkie i długie, ciężkie i lekkie etc. W *bina* Bóg ukazuje się jako wieczny podmiot, jako stwórca.

Jest zaskakujące, że dziesięć *sefir* dokładnie oddaje struktury ludzkiego myślenia w formie boskiej emanacji. To, co Grecy badali w filozofii – struktura świata i właściwości ludzkiego myślenia – kabaliści przedstawiają w modelu *sefir*. W *bina* stworzenie jest jeszcze przedistniejące.

Keter, *chochma* i *bina* tworzą coś w rodzaju trójcy, z której wychodzi stworzenie, aby wylać się na pozostałych siedem *sefir*, aż wreszcie w ostatniej *sefirze*, w *szechina*, która jest boską chwałą, wylewa się w całości jak szumiące morze. *Szechiną* Boga jest jego chwała, w której Bóg ukazuje się prorokom. Pozostałe siedem *sefir* symbolizuje siedem dni stworzenia. Ale siódmego dnia Bóg odpoczywał, bo widział, że to, co stworzył, jest dobre. To, co Bóg widział siódmego dnia, to *sefira szechina*.

Kabaliści nie są zgodni co do tego, jak daleko mistyk pragnący ujrzeć istotę Boga jest w stanie wspiąć się w systemie dziesięciu *sefir* – czy dotrze tylko do *szechina*, zastrzeżonej dla proroków, czy w widzeniu Boga dojdzie wyżej, aż do *bina*. Pamiętamy, że w apokryficznej Księdze Henocha autor opisuje, że udało mu się jako aniołowi Metatronowi osiągnąć *sefirę keter*, co oznacza, że zjednoczył się z Bogiem, bo nie można widzieć istoty Boga, nie stając się Nim. To wyobrażenie odnajdujemy również u sufich i chrześcijańskich mistyków, zwłaszcza u Mistra Eckharta.

Jeszcze jedno wskazuje na uniwersalną, zapomnianą, średniowieczną religię. Irlandzki teolog i filozof Jan Szkot Eriugena opublikował w IX stuleciu filozoficzne kompendium pod tytułem *De Divisione Naturae (O podziale natury)*, które można rozumieć częściowo panteistycznie. Eriugena wywodzi, że nie można oddzielić Boga od stworzenia ani stworzenia od Boga, że Bóg stworzył świat, ale jednocześnie sam jest wciąż w tym świecie stwarzany. Wyobrażenie Boga u Eriugeny, Boga jako pierwszej przyczyny, podobne jest do koncepcji dziesięciu *sefir*. Bóg realizuje się w stworzeniu, a jednocześnie powstaje na wszystkich płaszczyznach stworzenia.

W XII wieku uczony Honorius Augustodunensis opublikował w swojej pracy *Clavis physicae (Klucz do filozofii naturalnej)* wyjątki z dzieła Jana Szkota Eriugeny, co zainspirowało zarówno kręgi żydowskie, jak i Mistra Eckharta. Gdy papież Honoriusz III (zm. 1227), namiętny rzecznik prześladowania heretyków, w wielkim wprawdzie, ale śmiesznym procesie w 1210 roku napiętnował dzieło Irlandczyka jako heretyckie i kazał spalić wszystkie egzemplarze, jakie uda się jego siepaczom zdobyć, poglądy Eriugeny dawno już przeniknęły do myśli wczesnych

kabalistów oraz niezależnych uczonych chrześcijańskich, jak Amalryk z Bène i Dawid z Dinant.

MISTYKA LITER

Koncepcja dziesięciu *sefir* jest oczywiście pełna mistyki liczb: jedynka oznacza jedynego Boga i występuje w *keter*, pierwszej *sefirze*. Trójka ukazuje się jako trójca *keter*, *chochma* i *bina*. Siódemka wskazuje nie tylko na bogów zodiaku, ale też na dni tygodnia, które jednakże tutaj rozumiane są jako dni stworzenia.

Ponieważ stworzenie boskie jest doskonałe, przyświeca nam i obejmuje nas w *szechinie*, jako dziesiątej *sefirze*, gwarantuje również święty porządek Izraela, przymierze narodu wybranego z Bogiem, który opiera się na doskonałości. Bóg ukazuje się Mojżeszowi po raz pierwszy jako ciernisty krzew gorejący, który można uznać za formę *szechiny*; inną jej formą jest rydwan. Łącznie jest dziesięć *sefir*, a ta liczba oznacza doskonałość, którą widać również w liczbie przykazań (dekalog). I tak jak dziesięć przykazań stanowi podstawę przymierza Boga z narodem Izraela, tak *sefiry* gwarantują istnienie świata, bo są boską drogą stworzenia, wychodzenia z siebie samego i tworzenia bądź emanacji. Stworzenie jest oparte na dziesięciu *sefirach*, tak jak fundamentem życia Żydów jest Dziesięć Przykazań. Kabalista rabin Nachman z Braławia (1772–1810) zwrócił jednak uwagę na to, że autentyczna tradycja (hebr. *kabbalah*) nie polega na liczbie, lecz na słowie, mianowicie na Torze, która składa się z imion Boga.

Z trzydziestu dwóch dróg stworzenia poznaliśmy dziesięć ścieżek, dziesięć *sefir*, jedną z dwu zasad stworzenia. Brak jeszcze tylko drugiej, która w związku z tym musi obejmować dokładnie dwadzieścia dwa elementy. I tutaj, zgodnie ze stanem rzeczy, wchodzi w rachubę tylko jedno, mianowicie hebrajski alfabet składający się z dwudziestu dwóch spółgłosek. Jak wszystkie semickie alfabety – także arabski – hebrajski alfabet powstał jako pismo spółgłoskowe.

Mistycy znają tylko dwa rodzaje języków. Oddzielają język codzienny, używany w komunikacji międzyludzkiej, od języka, w którym wypowiada się Bóg, ten bowiem język posiada moc tworzenia, więcej, jest medium, dzięki któremu Bóg tworzy świat. W Księdze Rodzaju czytamy: „Wtedy Bóg rzekł: »Niechaj się stanie światłość!«. I stała się światłość” (Rdz 1, 3).

Jeśli ta moc tkwi w słowie, to jest też w literach. Mistyk zaczyna więc odczuwać potrzebę zrozumienia boskiej mowy. Boska myśl posiada język, którego litery są elementami boskiego bytu i równocześnie elementami jego poznania.

Zewnętrzna – rzecz można – postrzegalną zmysłami stroną tego języka jest hebrajski, uchodzący również za mowę aniołów. Dopiero za pomocą pewnych technik interpretacyjnych udaje się złamać ten kod i odczytać litery jako symbole bądź znaki właściwego przesłania.

Ważną rolę odgrywa tutaj siedemdziesiąt imion Boga, które zostały ujawnione aniołowi Metatronowi, w tych imionach bowiem wyraża się boska zdolność ciągłego tworzenia świata i na świecie. Znajomość imion daje moc.

Ale decydujące w mistycznym poznaniu nie jest imię jako całość podlegająca interpretacji, lecz poszczególne litery, których tajemny sens można odczytać jak szyfr za pomocą medytacji i różnych procedur, o których będzie jeszcze mowa.

Stosunek między imieniem Boga a literami, które tworzą jego imię, można w zasadzie opisać przeciwieństwem małych i wielkich misteriów. Imiona Boga jako całość w swym zewnętrznym kształcie – jak choćby Sabaoth, czyli Pan Zastępów – tworzą małe misteria, podczas gdy wielkie misteria, dostępne tylko niewielu wybrańcom, tkwią w literach i ich ukrytych znaczeniach.

Każda litera każdego z siedemdziesięciu imion Boga przedstawia cały świat, w który mistyk jest w stanie się zagłębić. Tetragram JHWH, wymawiany jako *adonai*, dosłownie: Pan, zaczyna się JH, co tłumaczy się następująco: hebrajska litera J (*jod*) oznacza stwórcę przyszłego świata, ponieważ tą literą stworzył przyszły świat, H (*he*) oznacza ten świat.

Teraz interpretator tego słowa stawia pytanie, dlaczego imię Pana nie zaczyna się od *he*, tylko od *jod*, bo przyszły świat przecież następowałby po obecnym, a więc jako drugi. To proste pytanie naprowadza interpretatora na tajemnicę stworzenia, mianowicie że Bóg najpierw stworzył świat przyszły i postawił go po jednej stronie, a dopiero potem obecny, który postawił po drugiej stronie. Z tej spekulacji wynika wtórny charakter współczesnego świata. Jeśli jednak ten świat, który można uważać za padół łez, jest tylko wtórny, to z tego wynika, że celem człowieka musi być dostanie się do przyszłego świata, który już istnieje. Jeśli wszystkie dusze wrócą do przyszłego świata, to przyszły świat będzie aktualnym, teraźniejszym, którego teraźniejszość stanie się wiecznością.

Kabaliści pytają, co ma znaczyć pierwszy wers Tory: *bereszit bara 'Elohim* (na początku Bóg stworzył). Odpowiedź na to fundamentalne pytanie pojawia się w sposób zaskakujący, niezwykajny, ponieważ pojęcie początku – *bereszit* –

rozumie się nie jako czasownik, lecz jako bycie istotą. *Bereszit* znaczy wobec tego nie „początek”, lecz „istota, która była na początku”.

Istota, która była na początku, nie jest niczym innym jak tylko drugą emanacją Boga, *sefiry chochma*, mądrości.

Czasownik *bara* zdradza nam, że coś zostało emanowane, mianowicie *Elohim*. Podstawę interpretacji stanowi gramatyczna permutacja (zamiana, przekształcenie): podmiot, o którym dotąd sądziliśmy, że chodzi o Boga, staje się przedmiotem. To, czy też ten *Elohim* rozwinął się z drugiej *sefiry*, mądrości. *Elohim*, imię Boga, składa się z liter *mi* i *eleh*, przy czym *mi* oznacza podmiot Boga.

Ostatnie pytanie mistyka, gdy zakończył wszystkie medytacje i rozszyfrował kod stworzenia, brzmi: kim jest ten, który to stworzył. A zatem: kto (*mi*). Jednakże podmiot – ten, z którego wypływa wszystko – oraz jego właściwości, całość stworzenia, atrybuty Boga stają się w *Elohim* nierozdzieloną jednością. Z jednej zatem strony ów stwarzający podmiot i jego właściwości są od siebie oddzielone (*Eloh-im* – *eleh* i *mi*), a z drugiej dzieląca je przepaść zostaje znowu zasypiana: *Elohim*.

W tej *sefirze* po raz pierwszy owo *mi*, ten twórczy podmiot, staje się dla mistyka uchwytny, choć tylko na krótką chwilę, bo on jest obecny, ale zarazem nieobecny. Stwórca i tworzenie znajdują się w aktywnym momencie rozdzielania się, tak że stwórca świata rozbłyska jak promień światła z mistycznego mroku, zanim dla bardziej prostackich umysłów całkiem zniknie za swoimi atrybutami. W tej chwili, na początku, jak oznajmia Tora, w *chochma*, jak zdradza *Księga Jecira*, odkrywamy emanowanie z Boga właściwości. Wydaje się, że ten proces odbywa się w *sefira bina*, inteligencji bądź rozumie. Do tego stopnia mistyk jest się w stanie wspiąć, tutaj spotyka Boga, ale nie w jego stałym kształcie, lecz w chwili rozpadania się we właściwości.

Te przykłady ilustrują, jak podejmuje się spekulacje i interpretacje, ale nie mówią niczego o właściwej mistryce liter i tajemniczej procedurze kodowania i rozkodowywania, które stały się ważne dla nowoczesnej kryptologii i techniki komputerowej. Może to zabrzmieć dziwnie, ale bez tych technik szyfrowania – związanych przecież ze sprawami boskimi – prawdopodobnie nie byłoby komputerów.

Grecy i Rzymianie, którzy nie dysponowali znakami liczb, wyrażali je za

pomocą liter. Ta metoda w okresie hellenizacji śródziemnomorskiego świata dotarła również do Izraela. W efekcie literom hebrajskiego alfabetu przypisano również wartości liczbowe. *Jod* na przykład oznaczało liczbę 10, *he* – 8. Te liczby stosowane są tylko przy różnych metodach szyfrowania i deszyfrowania: gematria, temura, notarikon i AtBasz.

Technika deszyfrowania gematrii umożliwia spekulację z liczbami i literami. Jest to dlatego sensowne, że świat został stworzony przez boskie słowo i wobec tego jego struktura tkwi w zaszyfrowanych związkach liter – rodzaju kreatywnej matematyki.

Wartości liczbowe liter w słowie dodaje się i łączy z innym słowem, którego litery po zsumowaniu ich liczbowej wartości dają ten sam wynik. Słowo *maschiach* (mesjasz) i *naschiach* (wąż) mają np. jednakową wartość 358. To wskazuje na wewnętrzny związek obu słów, który może być tak interpretowany, że wąż ukazuje się ludziom w masce Zbawiciela, Mesjasza, żeby ich sprowadzić na złe drogi. Taka sama wartość liczbową wskazuje w tym przypadku, że podobieństwo nie pozwala wnioskować o tożsamości istoty, i ostrzega ludzi przed fałszywymi mesjaszami, którzy zjawiają się jako owce, a w środku są drapieżnymi wilkami. Wszystkie sytuacje życiowe, niebezpieczeństwa i szanse, wola boska i boskie tajemnice odzwierciedlają się w tajemnym życiu słów, które wzięte razem są Bogiem.

Oczywiście wartość liczbową litery może być również znakiem zastępczym dla innego słowa. W metodzie AtBasz litery pisze się, jak to w hebrajskim, od strony prawej do lewej. Potem pisze się w odwrotnym kierunku wartości liczbowe alfabetu z lewa do prawa, tak że pierwsza litera, *alef*, zawiera liczbę ostatniej litery, *taw*, mianowicie 400, a litera *taw* liczbę litery *alef*, mianowicie 1. W ten sposób otrzymuje się niewyobrażalnie wiele możliwości połączeń i związków. Musi tak być, jeśli uświadomić sobie, że w tych układach mamy do czynienia z matrycą całego świata minionego, teraźniejszego i przyszłego, którą możemy również nazwać Bogiem.

Ważne jest pojęcie 221 bram, podstawowa kombinacja, od której wszystko się zaczyna, bo święty tetragram JHWH ma posiadać 231 możliwości kombinacji. W *Księdze Jecira* czytamy:

22 podstawowe litery:

Są przymocowane do koła z 231 bramami.

Koło kręci się do przodu i do tyłu –

A to jest znakiem takiego stanu rzeczy:

Jeśli ku dobremu, to nie ma nic więcej prócz radości,

a jeśli ku złemu,

nie ma niczego bardziej przepastnego niż szkoda^[238].

A jak je zważył i jak je wymienił?

Alef ze wszystkimi i wszystkie z *alef*,

bet ze wszystkimi i wszystkie z *bet*,

gimmel ze wszystkimi i wszystkie z *gimmel*,

wszystkie obracają się.

W ten sposób staje się

że wychodzą z 231 bram.

Z tego wynika,

że wszystko stworzone

i wszystko powiedziane

wychodzi z jednego jedyne imienia^[239].

Alef bowiem, mając liczbę 1, oznacza jedyne Boga, który jest we wszystkim i z którego wszystko jest. Dalsze kombinacje wynikają z tego, że litery łączy się trójkami w grupy: trzy matki (*alef*, *mem*, *szin*), siedem podwójnych i dwanaście pojedynczych.

Dziesięć *sefir* i 22 litery stanowią 32 tajemne ścieżki mądrości. Za pójście nimi płaci się życiem, bo tym skomplikowanym dociekaniom można jedynie poświęcić się całkowicie – nie należy niczym innym zajmować sobie czasu,

a przecież nie wiadomo, czy ostatecznie uda się dotrzeć do boskich tajemnic lub nawet połączyć się z Bogiem – jest to w każdym razie wątpliwe.

TAJEMNICA SEFER JECIRA

Nikt nie wie, kiedy powstała *Księga Jecira* ani kto ją napisał. Spekulacji na ten temat jest moc. Z pewnością wiemy, że najstarsze komentarze do tej książki pochodzą z X stulecia. Autorem najstarszego jest Saadja ben Josef (Gaon, 882–942), kierownik szkoły sury w Babilonie. Zarówno Saadja, jak i Dunasz ben Tamim (900–960), który urodził się prawdopodobnie w Afryce Północnej, być może w Fezie, będąc uczonymi żydowskimi, pisali w opanowanej przez muzułmanów hemisferze.

W tym czasie arabska filozofia przeżywała olbrzymi rozkwit, między innymi wskutek intensywnego zajmowania się filozofią grecką (przede wszystkim Arystotelesem), którą odkrywała z wielką pasją i nieskończoną pracowitością. Zarówno Saadja, jak i Dunasz ben Tamim w komentowaniu *Księgi Jecira* wychodzili od grecko-arabskiej filozofii. To zaprowadziło ich do twierdzenia, że księga powstała mniej więcej w VII wieku w arabsko-islamskim kręgu kulturowym. Ciekawy w tej teorii jest następujący aspekt: *Sefer Jecira*, główne dzieło żydowskiej kabały, znalazłoby się wtedy w bliskim czasowo pokrewieństwie z fundamentalnym dziełem mistyki chrześcijańskiej, z tekstami anonima, któremu nadano imię Dionizego Areopagity. Czyżby chrześcijańskie, islamskie i żydowskie mistyki rzeczywiście miały wspólne pochodzenie, wspólne korzenie? Czy odnajdujemy tu właściwą tajemną religię średniowiecznego świata, wspólną dla Wschodu i Zachodu, która w końcu odrodzenia i w czasach nowożytnych została wyparta, była prześladowana i marginalizowana? W każdym razie Europa nie miała już co robić z dziedzictwem mistyków, bo odkryła nowego Boga – postęp i nową wiarę – wiarę w pozornie obiektywną naukę.

Pochodzący z południowych Włoch lekarz Shabbetai (Szabbetaj) Donnolo (913 – ok. 982) żył w miejscu, gdzie spotykały się kultury chrześcijańska, żydowska i muzułmańska, bo jego ojczyzna wówczas jeszcze należała do imperium bizantyńskiego. Opisał on *Księgę Jecira* konsekwentnie pod kątem natury człowieczej, co stanowiło przedsięwzięcie brzemiennie w skutki. Dla kabały sformułował koncepcję analogii, według której makrokosmos odpowiada mikrokosmosowi. W rzeczy samej w *Księdze Jecira* znajduje się pogląd, że trzydzieści dwie drogi mądrości dają się zastosować do ludzkiego ciała. Z trzech matek, *alej*, *mem* i *szin*, wychodzą ogień, wiatr i woda, a z ognia, wiatru i wody – niebo, powietrze i ziemia.

Ogień na górze,

Woda na dole,

a wiatr jest zasadą wyrównującą pomiędzy obiema^[240].

Z ognia, wody i wiatru zostają stworzone pory roku, upał, chłód i element wyrównujący. Człowiek także powstaje z tych zasad:

Trzy matki: *alej*, *mem*, *szin* –

w człowieku:

Głowa została stworzona z ognia,

brzuch z wody,

a piersi z wiatru,

wyrównując między nimi^[241].

Także płeć i ludzkie narządy osadzone są w analogiach tego, co stworzone za pomocą słów i liter. Dla lekarza Donnola, piszącego również dzieła medyczne, ten aspekt wydaje się w *Sefer Jecira* najważniejszy.

Nasza trudność w zrozumieniu tych koncepcji, przede wszystkim mistycznych, polega na zasadniczej zmianie sposobu myślenia, która dokonała się w XVI i XVII stuleciu. Dotąd myślenie było metaforyczno-obrazowe, w nim zaś dużą rolę odgrywały przypowieści, obrazy, wyjaśniane symbole i analogie. Teraz zaczął się czas myślenia logiczno-racjonalistycznego, które zapoczątkował francuski filozof, matematyk i przyrodnik René Descartes (1595–1650). Myślenie obrazami kartezyjska logika zastąpiła sylogizmami, logicznymi argumentami i matematycznymi dowodami. Nie chodziło już o interpretowanie, rozumienie i wiązanie, lecz o wyciąganie wniosków z łańcucha dowodów. Rozumienie i poznanie rozpadły się na dwoje.

Ale mistyczne wyobrażenia wymykają się wnioskowi. Dają się zrozumieć tylko wtedy, jeśli rozumie się te analogie. Nie ma logicznego powodu medytowania nad związkiem dwóch słów tylko dlatego, że suma wartości liczbowej liter,

z których się składają, jest identyczna – chyba że się rozumie te słowa jako stworzone przez jednego jedyne Boga, który buduje nie za pomocą kamienia i zaprawy, lecz dwudziestu dwóch spółgłosek i dziesięciu sił sprawczych. Wtedy słowa są zewnętrznym wyrazem fundamentalnej zasady, której życie i tętno da się poznać z ruchu spółgłosek. Droga do poznania nie prowadzi przez logiczną analizę, lecz przez obrazowe powiązanie w medytacji. W naszej zabobonnej wierze w wiedzę zapomnieliśmy, że logiczno-racjonalne myślenie nie jest jedynym sposobem myślenia, ani nawet jedynym systemem poznania.

Zgodność uniwersum i człowieka, makrokosmosu i mikrokosmosu, są również jądrem kolejnej tajemniczej i bardzo popularnej książki: traktatów związanych z legendarnym imieniem staroegipskiego boga Hermesa Trismegistosa. To fundamentalne dzieło z dziedziny alchemii, która w tamtych czasach również bardzo się rozwijała, należy do historycznie najbardziej brzemiennych w skutki i broniło zasad wiary wielu tajemnych religii: tak na górze, jak i na dole. Tłumacząc po chrześcijańsku, ale w innym kontekście: jako w niebie, tak i na ziemi. Hermetykom nie chodziło o wolę bożą, która działała w obu światach, lecz o doskonałą zgodność obu światów.

Jeśli chcemy odkryć trzy źródła tajemnych religii na chrześcijańsko-żydowsko-muzułmańskim Zachodzie i mużułmańsko-chrześcijańsko-żydowskim Wschodzie, to są to staroegipska religia Boga Prapoczątku, tradycja hermetyczno-mistyczna, która wytworzyła się od I do VII wieku n.e., i wreszcie grecka filozofia, zwłaszcza arystotelizm i neoplatonizm.

Ale my jesteśmy jeszcze u początków kabały. Naszkicowane tutaj myśli były w XIII wieku studiowane i przekazywane przez niemieckich chasydów (*haside ashkenasi* – pobożni Niemiec) i hiszpańskich oraz południowofrancuskich mistyków. Tutaj ważną rolę odgrywa *Księga Bahir* (*sefer ha-bahir*), powstała w południowej Francji i stanowiąca, rzecz można, ogniwo łączące z wielkimi kabalistami XIII stulecia, tymi kabalistami, którzy stworzyli kabałę w nowoczesnym znaczeniu, jaka dziś jeszcze ma wielu zwolenników. *Księga Bahir* nie była czystym tworem ducha powstałym w próżni, południowofrancuskich kabalistów otaczało bowiem intelektualnie fascynujące, absolutnie heretyckie środowisko wielkiej religii, która już wkrótce miała zostać całkowicie rozbita i która dzisiaj, jeśli w ogóle jest praktykowana, to tylko potajemnie.

Nowa katarska religia ubóstwa wstrząsnęła przyzwoitym katolickim światkiem nad Dolnym Renem i zdobyła władzę i wpływy w północnych Włoszech oraz południowej Francji, bo do niej lgnęły ludzkie serca. Jednocześnie elity

Wschodu i Zachodu hołdowały religii miłości, która – ponieważ koncentrowała się na wspólnym monoteistycznym Bogu – była w stanie zrzucić konfesyjne okowy. Aczkolwiek Żydzi w Niemczech doświadczyli również prześladowań i pogromów.

Na tym tle i w tym czasie, z tymi wpływami, w Hiszpanii oraz południowej Francji – na obszarach, gdzie rozkwitała religia katarów i religia miłości – kabała przeżyła nowe ożywienie, które zaczęło się w kręgach żydowskich myślicieli w Tuluzie, Gironie, Toledo i Barcelonie. Toledo – i to jest dla tego procesu ważne – było jednym z dwóch wielkich ośrodków translatorskich zachodniego świata. Tutaj tłumaczono na łacinę pisma arabskie i żydowskie. Drugi ośrodek znajdował się w Palermo na Sycylii i zawdzięczał swoje istnienie doskonale wykształconemu cesarzowi Fryderykowi II Hohenstaufowi. Z tego otoczenia wyszli dwaj mężowie, których z uwagi na radykalność ich dzieł nie można nazwać inaczej, jak tylko mistrzami tajemnicy.

KABAŁA I EKSTAZA – ABRAHAM ABULAFIA

Jak zareagowałby Giovanni Gaetano Orsini, który nosił tiarę papieża Mikołaja III (zm. 1280), gdyby nagle hiszpański Żyd wszedł do Watykanu i zagadnął go, przekonany o swojej proroczej misji? Ów Żyd, Abraham Abulafia, urodzony w Saragossie, chyba naprawdę wierzył, że jest mesjaszem. Pomysł podyktowania papieżowi warunków mógł się zrodzić z głośnej w 1263 roku dysputy barcelońskiej, sporu konwertyty Pabla Christianiego z kabalistą Mojżeszem ben Nachmanem. Nachmanides głosił, że Mesjasz, gdy nadejdzie wreszcie czas zbawienia, będzie żądać od papieża wolności narodu Izraela.

A ponieważ Abraham Abulafia uważał się za mesjasza i wierzył Nachmanidesowi, udał się w roku 1281 do Rzymu. Był doskonale przygotowany i wydawał się w swoim niezwykłym zamiarze umocniony przez Boga, bo całkiem nagle wyrosło mu dwoje ust. Tej niejasnej sugestii nie można z pewnością brać dosłownie, pokazuje ona raczej mesjańską świadomość i poczucie obezwładniającej siły przekonywania, która zebrała się w nim w takiej mierze, że sam się temu dziwił; czuł, jakby jeszcze druga siła przemawiała z niego przez drugie usta. Z tą świadomością Abraham Abulafia przybył do Rzymu, oczekując rozmowy z papieżem.

Tyle że do tej epokowej rozmowy z papieżem nie doszło, bo akurat wtedy, gdy Abraham przekraczał bramy miasta, Mikołaj III zmarł. Z niewiadomego powodu Żyd został pojmany przez franciszkanów i dwadzieścia osiem dni spędził pod kluczem, po czym został wypuszczony. Porządni franciszkanie chcieli się

prawdopodobnie upewnić, że ten dziwny żydowski kaznodzieja nie jest czarownikiem, który za pomocą czarnej magii przyczynił się do śmierci papieża. Argument, że chciał rozmawiać z papieżem z wyższego polecenia, a zejście papieża w sposób oczywisty przeszkodziło w przeprowadzeniu rozmowy, musiał ich przynajmniej w tej sprawie przekonać o jego niewinności. Chociaż można sobie wyobrazić, że na zawsze wydalili go ze Świętego Miasta, bo Abraham Abulafia nie czekał na konklawe, żeby się rozmówić z nowym pontifexem, tylko opuścił miasto, nie ponawiając próby.

Nie wrócił do Hiszpanii, lecz wędrował przez Włochy i czas pewien spędził na Sycylii. Tam wciąż jeszcze znajdowało się centrum translatorskie uniwersytetu w Palermo, które wprawdzie okres rozkwitu miało już za sobą, ale nadal posiadało dostatecznie dużo interesujących pism. Adelard z Bath przetłumaczył tu na przykład geometrię (pol. *Elementy*) Euklidesa. Interesujące, jakie pisma studiował Abulafia, bo w tym czasie powstały niemal wszystkie jego teksty, które dotrwały do naszych czasów.

Abulafia od początku pędził życie obfitujące w przygody, które rzucały go po ówczesnym świecie. W roku 1260 wyruszył na Wschód, trafił jednak na wojenne zamieszki, nie dotarł więc do Palestyny i Syrii, tylko skręcił w bok do Akki i powrócił do Europy. Przez wiele lat przebywał w Grecji i we Włoszech. Prawdopodobnie w swoich podróżach zetknął się z ówczesną myślą mistyczną, zwłaszcza z poglądami żydowskich mistyków i filozofów. Z pewnością znał epokowe dzieło Mojżesza Majmonidesa, które zrobiło wrażenie również na Mistrzu Eckharcie.

W roku 1270 Abraham Abulafia wrócił do Hiszpanii, osiadł w Barcelonie i zaczął komentować *Księgę Jecira*. W Barcelonie doznał też właściwego profetycznego przebudzenia. Tutaj poznał w wizji prawdziwe imię Boga. Odtąd wizje należały do jego życia. Poznał wyobrażenia kabalistów, którzy przebywali w Barcelonie, Toledo, a przede wszystkim w Gironie. Gdy w roku 1280 opuścił Hiszpanię, aby w Rzymie rozmawiać z papieżem, było to chyba pożegnanie na zawsze – jego ślad ginie we Włoszech w roku 1291.

Gorzki kielich prześladowań Abraham Abulafia wypił chyba do dna, ale miał też przyjemność wymiany myśli z sufimi na Wschodzie i chrześcijańskimi mistykami we Włoszech. Nie będąc zwolennikiem chrześcijan, donosił o spotkaniu z chrześcijańskimi mistykami, których poglądy były widocznie bardzo bliskie jego poglądom, bo zaliczył ich do grupy „pobożnych wszystkich narodów”, którzy chociaż nie są Żydami, to jednak osiągają wieczną szczęśliwość i mogą umożliwić

zbawienie nie-Żydów. Zgodność z tymi chrześcijanami przypomina uniwersalną religię miłości, w którą wierzyli ludzie wszystkich trzech monoteistycznych wyznań.

Abraham Abulafia uważał, że dusza, postrzegając tylko proste elementy naturalnego świata – to, co otacza nas na co dzień – rozwija również proste, naturalne życie duchowe. Jest ono ograniczone i nie sięga dalej niż prosty naturalizm i materializm. W jego obrazie świata dusza zamknęła się w swoim świecie i zaryglowała wyjścia do drugiego, który jednocześnie otacza mały świat. Jest więc tak, jak gdyby dusza zamknęła się w małej, na dodatek obskurnej izbie olbrzymiego, przepastnego pałacu.

Abraham Abulafia sądził, że znalazł drogę do wyjścia. Ściany pałacu dzielące ludzką duszę od świata boskiego – myślał – trzeba po prostu zburzyć. „Odpieczętować duszę, rozwiązać węzły, które ją pętają”^[242]. Uwolnienie duszy znaczyło oswobodzenie jej z więzów codzienności, ściślej – oddzielenie jej od podniet i doznań codziennego świata, żeby stała się wolna dla rzeczy boskich. Mistyk musiał strząsnąć z siebie codzienność, tak jak to widzieli buddyści, musiał stać się całkowicie pusty w środku, jak to rozumiał Mistrz Eckhart, żeby stworzyć miejsce dla Boga.

Żydowska mistyka być może różni się od chrześcijańskiej tym, że nie uprawia kontemplacji, jaka dzieje się na przykład w chrześcijańskiej mistyce w *via crucis*, drodze krzyżowej. Przy tym chrześcijański mistyk, żeby zespolić się z Synem Bożym, tak dalece zatapia się ekstatycznie w jego cierpieniu, że nagle także u niego otwierają się i krwawią stygmaty Chrystusa.

Abraham Abulafia szukał innego środka dla oczyszczenia bądź odpieczętowania duszy, środka jednocześnie znaczącego i bez znaczenia, który wprowadzie musiał zadziałać, ale sam nie mógł być przy tym obecny. W chemii taki środek nazwano by katalizatorem, dla Abulafii był nim żydowski alfabet. Przy tym techniczna idea jest wstrząsająco nowoczesna i pod względem teorii znaku znajduje się na poziomie takich semiotyków, jak Jurij M. Łotman i Umberto Eco. Bo znak jest czymś, co samo nic nie znaczy, jednocześnie jednak coś oznacza i dzięki temu generuje znaczenie. Litera *a* nie znaczy nic, ale jeśli ją połączyć z równie pozbawionymi znaczenia literami *l* i *t*, powstaje słowo, które znaczy „stary” (*alt*).

Ponieważ chodziło o Boga jako całość stworzenia, dla Abrahama Abulafii medytacja nad literami tworzącymi imię Boga stanowiła podstawę do

odpieczętowania duszy. Medytacja, która szła u niego w parze z technikami oddechowymi, jakie znamy z jogi i od sufich, powodowała koncentrację na Bogu. Równocześnie uwrażliwiała duszę, która teraz, wysublimowana, była zdolna przerwać świat materialny. I pokonywała go, bo już nie miał znaczenia. Dusza nie zajmowała się już prostymi przedmiotami materialnego świata i tym samym traciła całą grubiańskość.

Imienia Boga nie można było zobaczyć, nic w świecie nie było bardziej nieogłędalne niż ono. Dlatego było idealnym i jedynym obiektem, w którym mistyk mógł się zatopić, aby odkryć właściwą istotę swojej duszy, dotychczas ukrytej i zapieczętowanej.

Brzmi to niewiarygodnie, ale w rzeczywistości jest całkiem proste: materialny świat jest przedmiotem prymitywnie zmysłowym i dlatego można go oglądać. Świat Boga, albo imię Boga (co jest tym samym), jest czysto duchowy, najwyżej z delikatnej materii – dlatego nie można go dostrzec pod żadnym mikroskopem, nawet elektronowym. Potrzebne są więc inne środki, dostosowane do tego przedmiotu, nie do oglądu zmysłowego, obejmującego rzeczy materialne, lecz duchowego, który postrzega rzeczy duchowe. Ogląd duchowy leży u podstaw medytacji i dokonuje się za pomocą kombinacji liter imienia Boga. Ta kombinacja jest procesem czysto duchowym.

Podstawą tego wyobrażenia jest wiara kabalistów, że istota świata jest czysto słowna, tak jak wyraża się to w boskiej wypowiedzi „Niech się stanie”. Całe stworzenie zostało zaszyfrowane w imieniu Boga. Deszyfrowanie jest aktem bez końca, bo pełnia Boga jest nieskończona. Dlatego sama medytacja jako proces rozszyfrowywania daje poczucie wielkiego szczęścia, bo oznacza poznanie. W tym punkcie nagle przebłyskuje myślenie gnostyckie, dla gnostyków bowiem poznanie jest zbawieniem, a poznawanie formą duchowego bytu lub istnienia na płaszczyźnie boskiej. W medytacji człowiek osiąga inne życie – życie duchowe, można powiedzieć: prawdziwe, bo boskie.

Nauka o kombinacji liter

Abraham Abulafia sposób kombinacji rozwinął w naukę, którą nazwał *chochmat ha-zeruf*, nauką o kombinacji liter. Gershom Scholem określał tę naukę w pięknym porównaniu jako muzykę czystego myślenia, w której uszeregowanie alfabetu odpowiada muzycznej gamie – tyle że kompozytor ma na imię Bóg.

Medytacja sama składa się z trzech płaszczyzn: wypowiedziania, zapisania

i myślenia. Abulafia wskazuje całkiem praktycznie drogę: wiedzie ona od wymówienia kombinacji liter przez zapisanie do czystego myślenia. Być może zapisanie można porównać z malowaniem mandali lub znaków pisarskich w chińskim buddyzmie.

Do metod kombinacji należy kojarzenie, które Abulafia nazywa „skokiem”, dla którego ustanowił reguły, aby uniemożliwić dzikie, tzw. wolne kojarzenie. Sens skoku polega na tym, by uciec od materialnej oczywistości myślenia. Wszyscy przywykliśmy myśleć określonymi torami, które noszą nazwę paradygmatów. Wychodzimy przy tym z podstawowych założeń, których już nie sprawdzamy.

Żeby to pokazać na przykładzie: teoria względności powstała, ponieważ Albert Einstein porzucił utarte tory myślenia i zajął się pozornie naiwnymi kwestiami, których nikt już nie poruszał. Siedział w słońcu na wzgórzu i zadał sobie pytanie, czym jest światło. Jakby tego nie wiedziano. Jak się okazało, w istocie tego nie wiedziano, chociaż sądzono, że odpowiedź jest pewna.

Metodą „skoku” Abulafia chciał przełamać ustalone wzorce ludzkiego myślenia, polegające na niesprawdzanych poglądach. Chodziło mu o to, by uwolnić myślenie od ograniczeń ludzkiego zdrowego rozsądku, który Immanuel Kant nazwał później bardzo głupim.

Ta droga do złamania pieczęci przez zagłębienie się w medytacji, odłączenie myślenia, to droga ekstazy, która dla Abrahama Abulafii nie polegała na wywracaniu oczu, jękaniu się i pianie na ustach – co byłoby właśnie czysto materialne i zmysłowe – lecz na mistyce czystego ducha. Zanurzenie, które prowadzi coraz bliżej do absolutnego jestestwa Boga, uwalnia duszę. Prowadzi ją na drogę, którą można nazwać upojeniem w jasności.

Znamy pojęcie twórczego upojenia. Gdy artysta jest całkowicie pochłonięty pracą nad obrazem, posągiem, kompozycją czy wierszem, gdy odczuwa upojenie, które być może odczuwa Bóg, gdy wciąż emanuje świat, wtedy osiąga to trzeźwe upojenie, to opuszczenie uwarunkowań egzystencji. Artysta tworzy coś, co pochodzi od niego, ale nie tylko od niego, według dyktatu kogoś wyższego, rzeczywiste bowiem, prawdziwe dzieło sztuki przerasta twórcę.

To jest stan, gdy medytujący nie słyszy już hałasu świata, bo słucha szeptu, który ledwie rozumie. Abraham Abulafia nazywał to ekstazą. Mówiąc w kategoriach filozoficznych, rozumiał ekstazę jako napłynięcie czystego intelektu, tego *intellectus agens*, z pozazmysłowego świata do duszy. Abulafia nie ograniczał

się do teorii; w traktatach takich jak *Światło intelektu* dawał też praktyczne wskazówki, które wykazują pewne podobieństwa z hinduskimi podręcznikami jogi i technikami sufich. W końcu Abraham Abulafia dostatecznie długo podróżował po Bliskim Wschodzie, do Konstantynopola i po Grecji. Ponieważ nie znamy dokładnej trasy jego podróży, możemy do woli spekulować, kogo mógł spotkać po drodze. Może w naszych zglobalizowanych czasach wiemy mniej o świecie niż średniowieczne elity, które podejmowały swe niezwykle edukacyjne podróże religijne.

Ekstaza wywoływana mistyką liter rozpala się od imienia Boga i Tory. Żydzi mówią o Torze, że powinno się ją obracać tam i z powrotem, bo w niej zawiera się cały świat. Abraham Abulafia rozszerzył tę myśl, ponieważ wyniósł doświadczenie, że cała Tora jest w kabaliście, a kabalista całkowicie w Torze.

Daleko jednak jeszcze do końca drogi zanurzenia. Na kolejnym etapie człowiek w ekstazie spotykał samego siebie. Pewien uczeń rabiego Abulafii napisał: „Wiem i poznaję z całą pewnością, że nie jestem prorokiem (...) a jednak przywołuję niebiosy i ziemię na świadków, że pewnego dnia siedziałem i zapisywałem kabalistyczną tajemnicę, i nagle zobaczyłem naprzeciwko postać siebie samego i mnie samego oddalonego ode mnie”^[243].

Jednym z najważniejszych doświadczeń ekstazy wydaje się spotkanie ze sobą samym. Nie chodzi w tym ani o sobowtóra, ani o sławne alter ego, lecz o jaźń oczyszczoną z ziemskiego ciężaru. Ta jaźń, która według Abrahama Abulafii siedzi naprzeciwko mistyka, to on sam, gdy dusza znalazła przejście do czystej formy. To jaźń, która doszła już kawałek dalej, zaprasza mistyka i wzywa, by poszedł za nią. Może dałoby się tę ekstazę opisać też jako stan, w którym mistyka nachodzi likwidujące wszystko poznanie własnego Ja, pierwiastka boskiego w człowieku, oczyszczonej duszy.

Ponieważ jednak u Abulafii nie tyle chodzi o dziesięć *sefir*, ile o mistykę liter, polegającą na zanurzeniu się w imiona Boga, nazwał swoją metodę „ścieżką imion” lub „drogą pojęć”. Znał siedem stopni poznania Tory, przy czym pierwszych sześć tworzyło, jego zdaniem, profetyczną kabałę i stanowiło jedynie wstępne stopnie dla siódmego, który prowadził do najgłębszej tajemnicy. Wchodzenie tutaj w szczegóły oznaczałoby napisanie na ten temat całej książki, bo drogi profetycznej kabały są niezwykle szczegółowe i złożone. Są jak olbrzymia delta rzeki z tysiącami wielkich i małych odgałęzień, które czasami zdają się wysychać, aby w innym miejscu znienacka znowu wypłynąć, bo jakiś odcinek przepłynęły pod ziemią, ukryte przed ludzkim wzrokiem.

Abraham Abulafia stosował także środki magiczne, chociaż metody czarnej magii odrzucał, dopuszczając do głosu tylko białą magię. Ponieważ czarna magia wykorzystywała siłę demonów i zła, była niebezpieczna i w końcu prowadziła mistyka do zguby. Nie wszyscy uczniowie rabina Abrahama Abulafii byli posłuszni tej przestrodze. W podaniu o Fauście opisano później czarną magię jako złą drogę renesansowego maga, która w końcu doprowadziła go do katastrofy.

Słowo i litery są narzędziem władzy nad prymitywnymi mocami materialnego świata. Posługując się mistyką liter, to znaczy wnikając dzięki magii liter do świata słowa Stwórcy, mistyk wkraczał na niebezpieczną ścieżkę, na której potrzebował koniecznie przewodnika i instrukcji, jak to wiemy od pięciu mistrzów sufickich i indyjskich guru.

Niebezpieczeństwo, które zagraża początkującemu, należy rozumieć całkiem praktycznie. Ponieważ litery i słowa uważane były za odpowiedniki tego, co ogólne, i ciała w szczególności, to mistyk mógł w medytacji z literami niechcący uszkodzić swoje członki i narządy. Błąd w zastępowaniu liter mógł dosłownie spowodować złamanie nogi. Abraham Abulafia ostrzegał: „A jeśli osoba, która recytuje litery, nie daj Boże, pomyli się, wymawiając literę przeznaczoną dla tego członka, który osoba czytająca ma na myśli, to członek ów zostanie oddzielony [od swojego miejsca tak, że...] osoba zostanie okaleczona”^[244].

Skoro Bóg tworzy słowem, u mistyka może zrodzić się pogląd, że on również może tworzyć słowem przedmioty bądź ludzi. To być może jedna z najbardziej fascynujących i (niestety) również najbardziej współczesnych stron kabały: myśl o stworzeniu sztucznej istoty, jak tego – w inny sposób – próbują w genetyce współcześni naukowcy, produkując klony lub projektując stworzenie sztucznej inteligencji.

Abraham Abulafia próbował przez medytację przyjąć strumień boskiej mądrości i jednocześnie wyobrazić sobie szczegółowo to, co chciał stworzyć. W swoim traktacie *Chaje ha-'Olam ha-Ba (Życie przyszłego świata)* napisał: „Głowa i brzuch i klatka piersiowa, to znaczy początek, środek i koniec. Głowa jest pierwszym punktem, który sobie w tym wyobrazasz; koniec jest punktem zamykającym początku, tak jak ciąg dalszy i brzuch także jest ciągiem dalszym głowy... A środek jest środkiem ciała i obrazem klatki piersiowej, w której znajduje się serce. I obraz, który powinieneś sobie wyobrazać podczas recytacji, żeby w obrazie zmienić charakter części ciała... Wymów w ten sposób to, co zawsze mówisz, a więc najpierw powiesz he (i wyobrazisz to sobie) wewnątrz swojej

głowy i narysujesz je wewnątrz swojej głowy, jakbyś obserwował i widział środek twojego mózgu i jego centralny punkt w twoich myślach i wyobrazisz sobie zapisaną nad nim literę, która gwarantuje istnienie twojego mózgu”^[245].

Połączenia liter, które wychodzą z 231 furt mądrości i z imion Boga, składających się z siedemdziesięciu dwóch liter, zostają powiązane z konkretnymi wyobrażeniami własnej zewnętrzności. Kombinacja recytowania liter i wyobrażenia własnego ciała umożliwia zagłębienie się w to, co boskie.

Odlóżmy kwestię, czy rabi Abulafia i jego następcy chcieli stworzyć sztuczne istoty, takie jak Golem – możliwość potwierdził, a technikę wyłożył w swoich księgach. Tyle że on nie interesował się fizycznymi istotami, lecz wyłącznie stworzeniem nowej duszy, która zrzuciła z siebie ziemski brud i zdołała się wyrwać do czystego bytu. W ekstazie powstało drugie Ja lub ściślej: po grecku *ex-histastbai* znaczy dosłownie „wychodzić z siebie”. Ekstaza jest wychodzeniem drugiego Ja, a ta droga jest pełna niebezpieczeństw, na co wskazywał Abraham Abulafia.

Aby móc pójść tą drogą, mistyk musi znać koło, do którego są przymocowane dwadzieścia dwie litery hebrajskiego alfabetu, których kombinacje dają 231 furt mądrości. Tylko wtedy, gdy opanuje techniki kombinowania liter, mistyk może przyjąć strumień mądrości.

Jeden z uczniów Abulafii pozostawił nam wyczerpujący opis mistycznej drogi. Rozróżniał powszechnie znaną drogę filozoficzną i drogę kabalistyczną. Za powszechnie znaną uważał drogę muzułmanów. Wydaje się, że miał przy tym przed oczyma sufich, którzy – jak tańczący derwisze – rozpamiętując Boga (*dhikr*), popadają w pewien rodzaj transu. Odejście z tej drogi wydawało się autorowi stosunkowo łatwe. Inaczej ma się sprawa z drogą filozoficzną, którą opuścić przychodzi człowiekowi z trudem, bo ona wciąż od nowa rozum i myśl mami i uwodzi – na podstawie własnego doświadczenia autor opisał myślenie filozoficzne jako narkotyk.

Pisze, że w końcu spotkał nauczyciela kabały, który najpierw objaśnił mu technikę permutacji (zamiany, zastąpienia) i kombinowania liter oraz wprowadził go w mistykę liczb *Księgi Jecira*. Gdy oczyścił swoje myślenie ze wszystkiego, co materialne, zaczął kombinować litery na papierze, a przy tym medytować. Trzeciej nocy zdrzemnął się, ale zauważył, że świeca zgasła. Mimo to światło paliło się nadal, więcej, stopniowo zrozumiał, że światło wychodziło z niego.

Gdy pokazał zapiski swemu nauczycielowi, tamten poradził mu, aby skombinował imiona Boga. Tak więc w nocy zaczął permutować wielkie imię Boga składające się z siedemdziesięciu dwóch liter. Nagle włosy stanęły mu dęba: z liter zrobiły się wysokie góry, a z niego uszły wszystkie siły. Przeraził się, że popada w obłąd, ale wtedy z jego serca przemówił głos, który obwieszczał czystą mądrość. W tej ekstatycznej chwili strumień mądrości wdarł się w serce czy też duszę kabalisty, jak nauczał Abraham Abulafia. Pracował w ten sposób dalej, aż w noc szabatu, mając za sobą dwie nieprzespane noce spędzone nad permutacjami, poczuł, jak wyobrażenie staje się w nim tak wielkie, że czoło mu prawie pęka. W śmiertelnym strachu zajął się świętym tetragramem JHWH, przy czym obawiał się, że zostanie ukarany za potworne świętokradztwo. Ale potem głos, który wychodził z niego samego, zapytał, czym zgrzeszył. Bóg chce zostać poznany, chce dzielić swoje tajemnice z ludźmi. Gdy głos jeszcze mówił, mistyk został namaszczoney olejem od stóp do głowy jak Mesjasz i wpadł w nieopisywalne zachwycenie.

Uczeń Abulafii tak podsumowuje swoje doświadczenie: aby pójść drogą kabały, trzeba utrzymywać ciało w czystości, bo ciało jest zwierciadłem duszy. Najpierw człowiek musi się uwolnić od tęsknot ciała i duszy oraz od uczuć, żeby oczyścić duszę z tego, co ziemskie – nawet jeśli to miłość do jedyne go syna – i skoncentrować się całkowicie na Bogu. Dusza musi zostać oczyszczona z wiedzy. Gdy to wszystko się stanie, a mistyk wycofa się do samotnego domu, może zacząć kombinacje i permutacje liter. Tak dojdzie do sztuki skakania, kojarzenia należących do medytacji. Medytacja posuwa się od liter i mowy do wyobrażeń i fantazji. Gdy zostanie przewyciężona kontrola myślenia, a strumień fantazji będzie mógł płynąć swobodnie, kabalista dotrze do punktu, kiedy już nie mówi i mówić nie może. Jeśli pójdzie dalej, dotrze w końcu do punktu, kiedy to, co najgłębiej wewnątrz, stanie się zewnętrzne i przyjmie mocą czystej imaginacji postać wypolerowanego lustra^[246].

Tak nauczał rabi Abulafia, mówiąc o tym, że podczas medytacji własne Ja siada naprzeciwko i rozmawia z medytującym. Uczeń mówi w tym sensie o najgłębiej wewnętrznym jestestwie, które jest teraz na zewnątrz Ja. Dzięki ekstazie człowiek zyskał dostęp do swej najbardziej wewnętrznej istoty.

ZOHAR – UKRYTY JĘZYK BOGA

W tym samym czasie – pod koniec XIII wieku – powstała w Kastylii książka, która reprezentuje drugi wielki nurt kabały i prawdopodobnie pochodzi od Mojżesza ben Szem Towa z Leónu (1250–1305). Książka ma ładny tytuł *Zohar*

(*Blask*). Została napisana jako coś w rodzaju mistycznej powieści, opowiadania, którego bohaterowie w dialogach i monologach przede wszystkim wskazują mistyczną drogę do Boga. *Zohar* należy do tzw. apokryfów, ksiązek, które przypisywane są mylnie innemu, głośniejszemu autorowi. Rzeczywisty autor *Zoharu* nie ujawnił się prawdopodobnie z dwu powodów: po pierwsze, ze skromności i pokory wobec wielkich tematów, o których mówi, a po drugie, aby nadać swemu dziełu większe znaczenie i większą wiarygodność. W fikcyjnym pejzażu nazwanym Palestyną, niemającym nic wspólnego z autentyczną Palestyną, której – jak się wydaje – autor z autopsji wcale nie zna, krąży sławny rabi Szymon bar Jochaj z synem Eleazarem w otoczeniu przyjaciół i uczniów. Spacerując tam i z powrotem, jak Arystoteles i jego perypatetycy, rozmawiają o niebie i ziemi. Rozmowy i tyrady mają charakter pouczeń. Całość zachowuje układ Tory, jest podzielona na odcinki do cotygodniowego odczytywania w synagodze.

Ciekawe, że w *Zoharze* kryje się też myśl gnostycka. W Hiszpanii, w Gironie, Toledo, Barcelonie, może w Leónie, istniały grupy bardzo aktywnych kabalistów. Być może niektórzy z nich byli gnostykami. Z drugiej strony był to też czas, kiedy myśl gnostycka razem z katarami i albigensami dotarła do południowej Francji, a w wyniku ich prześladowań z pewnością również do Hiszpanii.

Godny uwagi i bardzo gnostycki wydaje się też fakt, że *Zohar* zna „lewą emanację”. Podczas gdy prawa emanacja jest stworzeniem świata opisanym w *Księdze Jecira*, lewa wyjaśnia powstanie zła i przedstawia porządek świata szatana. Dziesięciu czystym bądź świętym *sefirom* w *Zoharze* przeciwstawiono dziesięć nieczystych bądź nieświętych *sefir*.

Autor *Zoharu* nawiązuje do *Księgi Jecira*, zwłaszcza do nauki o *sefirach*, która dla niego przedstawia życie Boga w tworzeniu i którą on pogłębia, opracowuje i stosuje. Boża biografia rozgrywa się w kołowym *sefir*. W gruncie rzeczy stworzenie istnieje w Bogu, a Bóg w stworzeniu jako wielka jedność, zamknięty krąg akcji i kontrakcji, jako wdech i wydech. Ten kołowrót został jednak przerwany przez upadek Adama. Przez to powstał zły, materialny świat, a Bóg się oddalił, stał się transcendentny. Dopiero teraz świat i Bóg stanęli naprzeciwko siebie. Zło powstało, bo świat ogarnął nieporządek.

Przez upadek Adama czysty, nadzmysłowy świat rozpadł się na zmysłowy, materialny, i czysty, wciąż jeszcze nadzmysłowy. Dopiero na drodze poznania, którą *Zohar* chce przedstawić za pomocą mistyki cyfr i liter, staje się możliwe pokonanie zła i przywrócenie pierwotnej jedności świata – można powiedzieć: anulowanie błędu Adama.

W tych wyobrażeniach, w *sefirach* i w *Zoharze*, widać relikty starożytnych religii. Tajemne życie świata wypływa z *sefiry jesod*. Obraz króla tworzącego dziewiątą *sefirę* i w którego, jak to wyraźnie widać na rysunku, wpływają wszystkie pozostałe *sefiry*, staje się metaforą siły twórczej, która realizuje się w *szechinie* w hierogamii, w świętych godach. Jest ona utożsamiana z *sefirą malchut*.

W *Zoharze* mówi się na ten temat: „Możesz zapytać: dlaczego wielcy, zbliżający się z dwu stron, schodzą do świata i dlaczego muszą go zaraz znowu opuścić? Porównaj do króla, któremu kiedyś urodził się syn. Posłał go na wieś, na wychowanie, żeby – kiedy dorośnie – uczył dróg do pałacu króla. Kiedy król usłyszał, że syn dorósł, co zrobił z miłości do syna? – wysłał do niego małżonkę (*szechina* – aut.), a ona przyprowadziła go do namiotu ojca, by cały dzień cieszył się nim”^[247]. W ten sposób świat staje się sprawdzianem dla duszy, dla *neschama*. Ona musi pójść w świat, żeby się sprawdzić, zanim będzie mogła ostatecznie powrócić do Boga.

Szechina, która jest rodzaju żeńskiego, staje się w ten sposób żeńską podstawą Boga, przypomnieniem starożytnych płodzących bogiń matek – i w przedziwny sposób siostrą Maryi Dziewicy. To trzeba wyjaśnić. *Szechina* jako ostatnia *sefira* zostaje córką Boga. Pochodzi ze światła, a mimo to musi odejść do obcych krain. W ten sposób staje się symbolem narodu Izraela, który również żyje w rozproszeniu. Gershom Scholem nazywa ją „niewidocznym Kościołem”. Ale również dla chrześcijańskiego mistyka – nie tylko, ale dla niego szczególnie – Maryja staje się obrazem Kościoła i przedstawia sobą łono wiary. Jednak będąc Kościołem, zarówno *szechina*, jak i Maryja Dziewica jest Oblubienicą Boga, a także córką. Katolicy nazywają Kościół, czyniąc aluzję do Marii, również Córką Syjonu. W *Zoharze* *szechina* staje się elementem wiecznej kobiecości, żeńską prapodstawą Boga, wyrazem jego chwały, a wreszcie tajemnicą wiary, bo mistyk tylko przez nią dochodzi do Boga. I kiedy Maryja Dziewica czczona jest jako błogosławiona między niewiastami, jako wzór kobiety, w *Zoharze* czytamy o *szechinie*: „Wszystkie kobiety świata kryją się w jej tajemnicy”^[248].

Bóg działał i wszystko płynęło z góry na dół i z dołu do góry. Dopiero upadek Adama zburzył ten porządek. Ale nieporządku można się pozbyć, a *Zohar* wskazuje pobożnym drogę: ponieważ górny świat i dolny świat funkcjonują zgodnie z zasadami sympatii, współbrzmienia, człowiek, jeśli żyje pobożnie i sprawiedliwie, może wpływać na niebo swoimi ziemskimi czynami. W tym celu musi go z Bogiem łączyć *dewekut* („przywieranie”).

Jako najwyższa wartość moralna *dewekut* opisuje stałe dążenie człowieka do powiązania z miłującym Bogiem, i dlatego staje się po prostu formą zbawienia. Wszelkie fundamentalne wartości, takie jak bogobożność, cnotliwość, czystość myśli, dobroczynność, studiowanie Tory, pokuta, pracowitość czy modlitwa są przyciągane przez *dewekut* jak przez centrum grawitacji i porządkowane.

We Włoszech w tamtych czasach karierę robiła religia ubóstwa świętego Franciszka z Asyżu, którą przewyższały jeszcze żądania radykalniejszych propagatorów ubóstwa, jak *fraticellich* lub *dolcynistów*. Ci franciszkańscy mnisi żebraczy czy też zwolennicy *Fra Dolcina*, prześladowani przez katolicki Kościół jako sekty heretyckie, wędrowali po kraju i podpalali pałace bogaczy. W Hiszpanii franciszkanin *Petrus Olivi* występował przeciwko luksusowi i bogactwu i – nawiasem mówiąc – opracował pierwszą na Zachodzie teorię pieniądza.

To wszystko odcisnęło się też na kabalistach. W *Zoharze* na określenie pojęcia „biedni” używa się często tego samego słowa, którym nazywa się prawdziwie pobożnych. To brzmi prawie tak, jakby zostało wyjęte z traktatu *sufich*, kiedy biednych nazywa się prawdziwym dworem Boga.

Zohar rozróżnia trzy formy duszy, *nefesz* – życie, bądź ogólnie ludzką duszę, *ruach* – ducha, i *neszama* – duszę właściwą, boską iskrę. *Neszama* jest tą duszą nienaganną, która pozwala wejrzeć w ukrytą naturę Boga. Dlatego bierze swój początek z *bina*, boskiego intelektu. Jedynie *nefesz*, ogólna ludzka dusza, zdolna jest do grzechu, *neszama* zaś, dusza nienaganna – nie. Jeśli człowiek grzeszy, *neszama* go opuszcza, a jej miejsce zajmuje demon z lewej strony stworzenia. Dlatego też po śmierci kara spotyka tylko *nefesz*, nigdy *neszama*.

To właśnie dusza nienaganna, dzięki dobrym czynkom, tka swoją niebieską szatę już na ziemi. W niebie dusze żyją w szczęśliwej wizji zjednania z Bogiem. Mówi się, że zanim *neszama* wejdzie w ziemskie ciało, ma jeszcze audiencję u Boga. Ów ją upomina, żeby na ziemi spełniła swój obowiązek czynienia dobra. Podobnie jak w chrześcijaństwie i w islamie: drobnych grzeszników oczyszcza się w gehennie, ale wielkich się pali. Gehenna jest porównywana z chrześcijańskimi wyobrażeniami piekła i piekielnego ognia.

Kabałę jako tajemną religię czekała wielka przyszłość nie tylko w historii żydowskiej, ale też w chrześcijańskiej, czego w późnym średniowieczu jeszcze nikt nie mógł przewidzieć.

[236] *Was ist Gott?, Das Buch der 24 Philosophen, tłum. i komentarz Kurt Flasch, München 2011, s. 67.*

[237] *Zob. Gershom Scholem, Die jüdische Mystik in ihren Hauptströmungen, Frankfurt am Main, 1980, s. 239, wyd. pol. Mistycyzm żydowski i jego główne kierunki, przeł. Ireneusz Kania, Warszawa 1997.*

[238] *Sefer Jesira, przekł. z hebrajskiego Klaus Herrmann, Frankfurt am Main und Leipzig 2008, s. 32, par. 18.*

[239] *Tamże, par. 19.*

[240] *Tamże, s. 38.*

[241] *Tamże, s. 40.*

[242] *Cyt. za: Gershom Scholem, Die jüdische Mystik in ihren Hauptströmungen, Frankfurt am Main, 1980, s. 142, wyd. pol. Mistycyzm żydowski i jego główne kierunki, przeł. Ireneusz Kania, Warszawa 1997.*

[243] *Tamże, s. 155.*

[244] *Cyt. za: Moshe Idel, Der Golem. Jüdische magische und mystische Traditionen des künstlichen Anthropoiden, Frankfurt am Main 2007, s. 106.*

[245] *Tamże.*

[246] *Gershom Scholem, Die jüdische Mystik in ihren Hauptströmungen, Frankfurt am Main, 1980, s. 169, wyd. pol. Mistycyzm żydowski i jego główne kierunki, przeł. Ireneusz Kania, Warszawa 1997.*

[247] *Der Sohar. Das heilige Buch der Kabbala, z hebrajskiego przełożył i wydał Ernst Müller, München 2007, s. 300.*

[248] *Gershom Scholem, Die jüdische Mystik in ihren Hauptströmungen, Frankfurt am Main, 1980, s. 435, wyd. pol. Mistycyzm żydowski i jego główne kierunki, przeł. Ireneusz Kania, Warszawa 1997.*

Książka dla none none

ODKRYCIE TAJEMNEGO DZIEDZICTWA – PICO DELLA MIRANDOLA

Nulla est scientia, quae nos magis certificet

de diunitate Christi, quam Magia et cabala.

(Nie ma nauki, która dałaby nam większą pewność na temat boskości Jezusa, niż magia i kabała.)

Giovanni Pico della Mirandola

Także Egipcjanin, którego zwą Trismegistosem,

mówi: Mądry nie ulega losowi.

Nie znajduje się w mocy konieczności

i nie podlega prawom kosmosu,

lecz dociera do nieba.

Jego myśl znajduje się na górze

wśród zjawisk niebieskich.

Didymos z Aleksandrii

Był rok Pański 1486. Młody uczyony, który właśnie świętował swoje dwudzieste trzecie urodziny, przybywał z Florencji do Rzymu. Zamierzał dokonać czegoś niezwykłego, czegoś rewolucyjnego: po święcie Trzech Króli chciał otworzyć kongres uczonych europejskich, których zaprosił na swój koszt do Rzymu – miało się to odbyć w obecności papieża Innocentego VIII (Giovanni Battista Cibo, 1432–1492) oraz kolegium kardynalskiego. Mirandola postawił sobie za cel zniwelowanie różnic poglądów filozofów i teologów na temat stworzenia i wiary oraz stworzenie wspólnego poglądu, wielkiej syntezy, wspólnej religii. Idea ta przywodzi na myśl projekt Weltethos („etos uniwersalny”) Hansa Künga – tyle że renesansowy filozof zaproponował koncepcję znacznie bardziej radykalną. Jeśli będziemy pamiętać, że ten młody człowiek miał niedługo interpretować wiersz swego przyjaciela Girolama Benivieniego *Canzona dell'Amor celeste e divino*, to już sam tytuł – *Pieśń o miłości niebiańskiej i boskiej* – nasuwa przypuszczenie, że w tym wielkim kościelnym przedsięwzięciu chodziło o religię miłości. Była to ostatnia wielka próba przeforsowania uniwersalnej religii średniowiecza – religii miłości.

Jako podstawę dyskusji Pico spisał olbrzymią liczbę 900 tez. Liczba 9 symbolizowała *anima in se ipsam recurrens* (duszę powracającą do samej siebie), gdyż jest iloczynem 3 x 3, symbolem Trójcy, która się pojawiła, a następnie zniknęła w ukryciu. Mogło to być również dziewięć tez albo dziewięćdziesiąt, gdyby nie potrzebował tak wielkiej liczby do przygotowania możliwie szerokiej płaszczyzny dyskusji.

Tezy te tworzyły dwie różne części. 402 tezy pierwszej części związane były z poglądami filozofów scholastycznych, takich jak Albert Wielki, nauczyciel Mistrza Eckharta, i Tomasz z Akwinu, główny teologiczny autorytet katolicyzmu; z poglądami filozofów muzułmańskich, takich jak Ibn Sina (Avicenna) i Ibn Ruszd (Averroes), który swego czasu dyskutował z Ibn Arabim; z poglądami pogańskich filozofów greckich, sławnego w średniowieczu arystotelika Symplicjusza z Cylicji, neoplatonika Jamblicha z Chalkis, Plotyna, Proklosa oraz filozofa i mistyka Pitagorasa. Poza tym zostały tu omówione także pisma Hermesa Trismegistosa oraz sama kabała.

W trakcie przygotowań do kongresu i pracy nad złożeniem tych tez Pico nakazał przełożyć na łacinę co najmniej pięć tomów pism kabalistycznych. Przekładów tych dokonał dla młodego uczonego sycylijski Żyd Samuel ben Nissim Abulfaradz, który po przejściu na chrześcijaństwo nosił nazwisko Raimondo Guglielmo de Moncada. Pico poznał też podstawy hebrajskiego.

Owe 402 tezy odzwierciedlały poglądy wyżej wymienionych filozofów, dlatego nie było powodu, by je krytykować. Inaczej wyglądała kwestia 498 tez zawierających interpretacje i myśli Pico della Mirandoli, szczególnie tych dotyczących kabały i magii – białej magii (*magia naturalis*), należy podkreślić. Pico zdecydowanie dystansował się bowiem od czarnej magii, sprzymierzonej z demonami i diabłami i siejącej zepsucie.

To, co przedstawił, było śmiałe, jeśli nie zupełnie heretyckie. Wyraził pogląd, że wszystkie teologie – żydowskie i muzułmańskie, ale także pogańskie koncepcje ostatecznie – mówią o Bogu chrześcijańskim, naturalnie każda w swoim języku. Dlatego wzywał usilnie do wysłuchania ich wszystkich i niepotępania tych poglądów, lecz cierpliwego wysłuchania, gdyż każda na swój sposób mówi jednak o Bogu. Jego *Mowa o godności człowieka*, pomyślana pierwotnie jako otwierająca kongres, zaczyna się niemal programowo następującym wskazaniem: „Czytałem w pismach Arabów...”^[249]. Kolejnym autorytetem cytowanym przez młodego uczonego był Hermes Trismegistos pod rzymskim imieniem Merkury, którego dzieło stanowi teoretyczną podstawę renesansowej magii, do czego jeszcze powrócimy. W następnej kolejności byli Persowie, a ściślej niewymieniony z imienia Zaratusztra i starotestamentowy król Dawid. Jako pierwszy czysto chrześcijański autorytet pojawia się ojciec Kościoła św. Augustyn – w dwujęzycznym wydaniu niemieckim występuje on dopiero na trzydziestej pierwszej stronie z wszystkich sześćdziesięciu siedmiu.

Ta struktura jest niezwykle pouczająca i ciekawa. Pico cytuje, obok starotestamentowych patriarchów i proroków, także teologów chaldejskich (babilońskich) oraz greckich filozofów. W tym tekście chodzi o twórców religii, takich jak Zaratusztra czy Mahomet, przy czym Zaratusztra wymieniany jest co najmniej równie często jak Syn Boży. Najwięcej jest odwołań do Platona, w dalszej kolejności jest Pitagoras, a niemal na szarym końcu Jezus Chrystus z dwoma odniesieniami. Pierwsze miejsce wśród cytowanych chrześcijan zajmują Augustyn i protoplasta chrześcijańskiego mistycyzmu Dionizy Areopagita.

Samo to wyliczenie dowodzi wyraźnie, że wydawca miał już w głowie syntezę. On nie patrzy na inne religie i pogańską filozofię z perspektywy chrześcijaństwa, lecz – i to jest ta zdumiewająca nowość – spogląda z punktu widzenia innych religii i filozofii na chrześcijaństwo jako na formę, w której miejsce i funkcję znajduje wszystko, co dotychczas wymyślono. Chrześcijaństwo zostaje rozszerzone do rangi religii uniwersalnej, do religii miłości w czystej postaci. Pico planował po prostu otwarcie chrześcijaństwa na inne religie, przede wszystkim na religie tajemne.

Nie był zapewne świadomy, że oznaczałoby to zmianę samego chrześcijaństwa, jeśli nie jego likwidację (w każdym razie w sensie dogmatycznym). Tę świadomość mieli jednak duchowni, przedstawiciele Kościoła katolickiego, którzy szybko zauważyli, że w tej nowej uniwersalnej religii będą zbyteczni, gdyż nie będzie w niej dla nich ani miejsca, ani funkcji. Idee Mirandoli spowodowałyby nieuchronnie proces zanikania chrześcijaństwa i wszystkich innych religii, a także filozofii w religii miłości, takiej, jaką znało dojrzałe średniowiecze. Nie było to działanie świadome – być może sam Pico uważał tę religię za chrześcijaństwo i nie dostrzegał rewolucyjnych następstw swej propozycji – lecz konsekwencja skierowania wszystkich nurtów duchowych i religijnych (mysteryjnych religii starożytnego Rzymu, filozofów greckich, takich jak Platon i Arystoteles, ale także Pitagoras i Empedokles) w koryto jednej rzeki. Wyraźnie widoczna jest jego sympatia dla mistyków w filozofii i religii, do Dionizego Areopagity, neoplatoników, do takich postaci z mitologii antycznej jak Orfeusz czy Zalmoksis, do rzymskich religii mysteryjnych, zwłaszcza do misteriiw dionizyjskich, do Zaratusztry i Hermesa Trismegistosa.

Ten młody człowiek, który z taką beztroską zamierzał wywołać wielką rewolucję, pochodził ze starego rodu hrabiów Mirandoli i księząt Concordii – z tego powodu przyjaciele chętnie nazywali go *princeps concordiae* – co oznaczało zarówno „książę Concordii”, jak i „książę zgody (jedności)”. Różnorodna jedność była dla niego bowiem obrazem Boga, niepasującego jednak do schematów szkolnej teologii chrześcijańskiej. Jego Bóg nie był najwyższym spośród teologów; Pico della Mirandola miał przed oczami raczej Boga filozofów.

Pico był jednak nie tylko pracowitym uczonym, ale i przystojnym młodym hrabią, jakby wyszedł wprost z kart *Dekameronu* swego ziomka Giovanniego Boccaccia. Kiedy podczas podróży zatrzymał się w Arezzo, zakochał się gwałtownie w pewnej kobiecie, którą uwiódł (za jej przyzwoleniem). Całe to romantyczne wydarzenie zaaranżował sekretarz hrabiego, Cristoforo da Casalmaggiore. Fakt, że człowiek taki jak Pico, z tak wielkimi planami, zrobił sobie przerwę na jakąś miłośćkę – czyni go bardziej atrakcyjnym i przydaje uroku tej historii. W naszych czasach można by zapytać: Jak to? Nie miał nic lepszego do zrobienia? No nie, zapewne właśnie nie miał!

Sekretarz tak zaaranżował całą sytuację, że hrabia jechał przez miasteczko akurat wtedy, gdy naprzeciwko niego szła owa ukochana, Margherita de' Medici, żona Mariotta, dalekiego krewnego florenckich Medyceuszy. Z chęcią pozwoliła Mirandoli wciągnąć się na konia – i ruszyli galopem. Małżonek rogać wraz

z otoczeniem podjął pościg i odbił małżonkę. Młodemu kochankowi udało się umknąć.

Ta stresująca, choć mało efektywna przygoda nie przeszkodziła Mirandoli w dalszej podróży do Rzymu. Więcej czasu niż na niespełnioną miłość strawił Pico beczynnym w Wiecznym Mieście, ponieważ papież Innocenty VIII nie mógł się zdecydować, by wydać pozwolenie na zaplanowaną dyskusję. W końcu nasiliły się krytyczne głosy i 900 tez do dyskusji zostało poddanych sprawdzeniu przez kolegium kardynalskie. Hrabia Giovanni Pico della Mirandola był wielokrotnie wzywany i wypytywany. Kiedy było już do przewidzenia, że do dysputy nie dojdzie, a nad samym pomysłodawcą niebezpiecznie wisi proces, ten pospiesznie opuścił Wieczne Miasto. Zostało to rychło ocenione jako ucieczka, co spowodowało, że młody uczony stał się obiektem zainteresowania inkwizycji.

Komisja oceniła ostatecznie trzynaście tez drugiej grupy, przedstawiających jego własne poglądy. W roku 1488 Pico, poszukiwany już w tamtym czasie papieskim listem gończym, został uwięziony przez Filipa Sabaudzkiego w Vincennes. Nie wydano go jednak ani nie postawiono przed sądem, bo teolodzy z Sorbony wzbraniли się przed otwarciem przeciwko niemu procesu o herezję. Za młodym hrabią wstawili się osobiście u papieża król francuski Karol VIII oraz niekoronowany władca Florencji, obywatel Wawrzyniec Medyceusz (znany jako Wawrzyniec Wspaniały). Pico został zwolniony z więzienia i przyjął zaproszenie do Florencji od wielkiego, dziś prawie zapomnianego filozofa Marsilia Ficina. Jeszcze w tym samym roku znalazł się w mieście nad rzeką Arno.

Lubiany i podziwiany żył hrabia Giovanni Pico della Mirandola pod ochroną Wawrzyńca Wspaniałego aż do zagadkowej śmierci w wieku trzydziestu dwóch lat, w 1494 roku. Stało się to dokładnie w dniu, w którym jego drugi protektor, król Francji Karol VIII, wjechał na czele swoich wojsk do Florencji. Wawrzyniec Wspaniały już od dwóch lat spoczywał pod tokańską ziemią, a jego synowie puciekali. Władzę we Florencji dzierżył ponury kaznodzieja Girolamo Savonarola.

Nikt przed Mirandolą z podobnym zachwytem nie przyjmował wielkiego dziedzictwa tajemnej religii miłości rozkwitłej w dobie dojrzałego średniowiecza, nikt też nie próbował uczynić jej pożyteczną dla swoich czasów. Fascynuje niezależność, z jaką ten młody uczony wyszedł od żydowskiej kabały i przekształcił ją w kabałę chrześcijańską, gdyż kabała oferowała mu pewien model świata. Pico również uważał, że świat stworzyły boskie imiona, ponieważ stanowią one ucieleśnienia Boga. Mógł się przy tym powoływać na Ewangelię św. Jana,

swego imiennika, w której jest przecież napisane: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo. Ono było na początku u Boga. Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego nic się nie stało, co się stało. W Nim było życie, a życie było światłością ludzi, a światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła. Pojawił się człowiek posłany przez Boga, Jan mu było na imię. Przyszedł on na świadectwo, aby zaświadczyć o światłości, by wszyscy uwierzyli przez niego. Nie był on światłością, lecz [posłanym], aby zaświadczyć o światłości. Była światłość prawdziwa, która oświeca każdego człowieka, gdy na świat przychodzi. Na świecie było [Słowo], a świat stał się przez Nie, lecz świat Go nie poznał. Przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli. Wszystkim tym jednak, którzy Je przyjęli, dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi, tym, którzy wierzą w imię Jego, którzy ani z krwi, ani z żądz ciała, ani z woli męża, ale z Boga się narodzili. A Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas. I oglądaliśmy Jego chwałę, chwałę, jaką Jednorodzony otrzymuje od Ojca, pełen łaski i prawdy. Jan daje o Nim świadectwo i głośno woła w słowach: »Ten był, o którym powiedziałem: Ten, który po mnie idzie, przewyższył mnie godnością, gdyż był wcześniej ode mnie«. Z Jego pełni wszyscyśmy otrzymali – łaskę po łasce. Podczas gdy Prawo zostało nadane przez Mojżesza, łaska i prawda przyszły przez Jezusa Chrystusa. Boga nikt nigdy nie widział, Ten Jednorodzony Bóg, który jest w łonie Ojca, [o Nim] pouczył” (J 1, 1–18).

I Jan poświadczał:

„Ujrzałem Ducha, który jak gołębica zstępował z nieba i spoczął na nim. Ja go przedtem nie znałem, ale ten, który mnie posłał, abym chrzczył wodą, powiedział do mnie: »Ten, nad którym ujrzysz Ducha zstępującego i spoczywającego nad Nim, jest Tym, który chrzci Duchem Świętym«. Ja to ujrzałem i daję świadectwo, że On jest Synem Bożym” (J 1, 32–34).

Przypomnijmy sobie proces, w którym *chochma* emanuje z *keter*, z obcego, odległego i nierozpoznanego, bo nieodróżnialnego Boga i że Boża inteligencja, trzecia *sefira*, powstaje dzięki temu, że z Boga płynie *chochma*. Oznacza to, że po pierwsze był Bóg (*Keter*), po drugie Słowo, z którego On (po trzeciej) emanował trzecią *sefirę*, twórczą inteligencję, z której wszystko się wzięło.

Z perspektywy Mirandoli istniała duża zgodność między prologiem Ewangelii św. Jana i dziesięcioma *sefirami*. Jednakże ten młody uczonek, który myślał w kategoriach jedności, odkrył drugie, tajemne przesłanie, dzięki któremu kabała żydowska przekształciła się w kabałę chrześcijańską.

Żaden Żyd nie dostrzegłby w trzech pierwszych *sefirach* Trójcy – a Pico, owszem. Bowiem Słowo stało się Ciałem, a to znaczy po prostu, że zostało Synem. Jeśli jednak to Duch Święty jest Słowem, to pochodzi od Ojca, który przez Syna staje się ciałem. Nie zapominajmy, że w hebrajskim zarówno *ruach* (duch), jak i *chochma* (mądrość) są rodzaju żeńskiego.

Pico potrafił udowodnić i wywieść tę koncepcję kabalistycznie, środkami mistyki liter. Jego szósta teza brzmi: „Trzy Wielkie Imiona boskiej Czwórki [JHWH], leżące w tajemnicach kabalistów, muszą w cudowny sposób odnosić się do trzech osób Trójcy...”^[250].

W swojej piętnastej tezie wyciągnął następujący wniosek: „Przez to Imię Jod, He, Waw, He, które jest imieniem nie do wymówienia, o którym kabaliści mówią, że jest imieniem przyszłego Mesjasza, wyraźnie można rozpoznać, że Syn Boży stał się człowiekiem za sprawą Ducha Świętego i że po nim nadejdzie pocieszyciel, by udoskonalić rodzaj ludzki”^[251].

Pocieszyciel to ktoś, kto dodaje otuchy i pomaga człowiekowi, wdrażając go w poznanie Boga i właściwy sposób życia. Z jednej strony tego pocieszyciela (gr. *parakletos*) upatruje się w Duchu Świętym z Ewangelii św. Jana, którego Jezus wysłał jako pomocnika po swoim Wniebowstąpieniu – na pamiątkę tego zdarzenia świętujemy Zielone Świątki – jednakże w Drugim Liście św. Jana Pocieszyciel jest identyfikowany z samym Jezusem.

Ponieważ Bóg jest jednością dynamiczną, która sama siebie wydaje, sama się w swej jedności rozpoznaje i objawia, to życie [w] Trójcy Świętej trzeba sobie wyobrazić jako na wskroś płynne, tak jak to jako emanację Boga znamy z trzech najwyższych *sefir* (*keter*, *chochma* i *bina*).

W dziesiątej tezie Pico wskazuje, że „to, co kabaliści określają jako *chochma*, czyli Mądrość, to jest bez wątpienia to samo, co Orfeusz nazywa Palla, Zoroaster Dobrą Myślą, Hermes Synem Bożym, Pitagoras Sapiencją, a Parmenides boską sferą”^[252]. W ten sposób Pico ogłosił kabałę kabałą chrześcijańską i uczynił ją ważnym narzędziem poznania Boga. W ten sposób dowiódł swojej głównej tezy, że wszystkie religie i wszystkie filozofie biorą udział w poznawaniu Boga, więc wszystkie należy z uwagą studiować.

Tą koncepcją udało mu się osiągnąć rzecz niezwykłą: przygotował drogę kabale, która zyskała wielką popularność w świecie chrześcijańskim i miała się stać jednym z filarów późniejszej wiedzy tajemnej i tajemnych religii. Zaczynając od

genialnego hebraisty i humanisty Johannes Reuchlina przez maga Agrippę z Nettesheim, przez sir Johna Dee i Roberta Fludda, różokrzyżowców i Knorra von Rosenrotha – wszyscy oni poszli drogą wyznaczoną niegdyś przez Mirandolę.

Johannes Reuchlin miał wyprowadzić z kabały ideę pentagramu. Uczynił to w ten sposób, że wkomponował w tetragram JHWJ literę *shin*, która stanowi środek imienia Jezus, uzyskując pentagram JHSWH. W piśmie *De arte cabbalistica* Reuchlin pisał, że anioł Razjel zapowiedział, że przyszły zbawiciel narodzi się jako człowiek i że pośrodku jego imienia *i.e.u.h.* pojawi się litera miłosierdzia – *shin*. W ten sposób z tetragramu powstał pentagram, pięcioramienna gwiazda zbudowana z trójkątów symbolizujących z kolei Trójcę Świętą^[253].

W naszym jednostronnym skupieniu na logice kartezjańskiej zaniedbaliśmy myślenie symbolami, analogiami i skojarzeniami. Ten rodzaj myślenia zachował się jedynie w sztuce, która płaci za to cenę niepoważnego traktowania i staje się czymś w rodzaju zabawy dzieci dobrobytu.

Kabaliści, mistycy, magowie i uczeni – wszystkich ich motywowało poszukiwanie kodu stworzenia, planu świata. Paradygmatem był tu język Boga, jego słowa symbolizowały siły stworzenia, litery – elementy, a gramatyka odpowiadała architekturze świata. Ten język Boga nazywano często *lingua adamica*, językiem Adama, gdyż w Biblii jest napisane, że Bóg stworzył Adama na swoje podobieństwo, a poza tym że sprowadził do niego wszystkie zwierzęta, żeby je ponazywał. Grzech pierworodny sprawił, że Adam został tego pozbawiony.

Odkrycie czy rekonstrukcja boskiego języka oznaczała zatem poznanie, w jaki sposób w swojej najgłębszej istocie istnieje świat – to, czego poszukiwaniem trudnią się (innymi metodami) naukowcy.

W tym języku Bóg przemawiał do Mojżesza; więcej – Księgi Mojżeszowe zostały w nim napisane. Hebrajskie litery Pięcioksięgu Mojżeszowego (gnostycy uważali, że odnaleźli także szóstą, siódmą i ósmą księgę) na ukrytym poziomie przedstawiają język Boga. Można go było odnaleźć jedynie w napisanych literach, a nie w wypowiedzianych dźwiękach, ponieważ dźwięki należą do dziedziny ludzkiego wykonania i w związku z tym są zależne od każdego, kto je wypowiada. Mówiąc językiem nowoczesnym: według kabalistów w Pięcioksięgu Mojżeszowym został ukryty kod Boga.

Kabała oferowała metody, jakimi można się posłużyć do odszyfrowania świętych znaków Boga. Ogólnie biorąc, kabała – teraz jako kabała chrześcijańska –

wskazywała drogę do Boga poprzez poznanie go. Rozumie się samo przez się, że znajomość środków, jakimi można było odczytać sprawcze litery Boga – ciągle pod warunkiem, że Bóg stwarzał przez Słowo – pozwalała również wpływać na rzeczywistość i otwierała drogę do białej i czarnej magii.

Jakkolwiek abstrakcyjnie to brzmi, jest to bardzo konkretne na poziomie ludowej wiary, gdzie czarodziejskie zaklęcia stanowiły ważny środek, jakim posługiwali się czarownicy i czarownice. W najstarszych pisanych przekazach ludzkości (Babilończyków, Hetytów) znajdują się obszernie teksty zawierające różne zaklęcia mające chronić przed złem albo to zło (na kogoś) sprowadzać. Tutaj także dobór odpowiednich słów był nadzwyczaj istotny i obok innych elementów, takich jak właściwe przygotowywanie czarodziejskich substancji, odgrywał ważną rolę. Niekiedy nawet amulety zawierały magiczne słowa. Nawet nasze hokus-pokus (abrakadabra, czary-mary) powstało na gruncie przekonania o sprawczej mocy słowa. Sprawcze słowo Boga w magii staje się zaklęciem wypowiedzianym przez czarownika lub czarownicę. Dzięki bliskim kontaktom muzułmanów i chrześcijan w średniowieczu i nieoczekiwanym drogą przekazu wiedzy tajemnej, które nieco przypominają dziecięcą zabawę w szeptany „głuchy telefon”, w języku niemieckim pojawiło się zaklęcie *Simsalabim*, będące taką przeróbką islamskiej *basmali*.

Innym znanym dziś jeszcze słowem jest słowo „abrakadabra”, wywodzące się od gnostyckiego demiurga Abraxasa, którego spotykamy u Bazylidesa. Słowo to znalazło się następnie w czarodziejskich papirusach. Abrakadabra przeniknęła do nowoczesnego języka przez magów renesansowych i pansofów, zajmujących się tajemną wiedzą późnego antyku. Obok tego wyjaśnienia istnieje jeszcze inne, mówiące, że słowo „abrakadabra” zawiera w sobie imię Boga i Trójcy (hebr. *aw* jako Bóg, *ben* – Syn i *ruach* – Duch), a więc w początkowych literach słowa *abr* kryją się Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty. Niezależnie od tego, którą interpretację przyjmiemy – samo słowo „abrakadabra”, a więc czarodziejskie zaklęcie, wywodzi się od imienia Boga.

Skoro Bóg jest pełnią (*pleroma* gnostyków i *keter* kabalistów), to pełnią jest także Słowo, gdyż w sprawczym Słowie wyraża się Bóg. Tak mówi też Ewangelia św. Jana: „Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas”.

Pico della Mirandola miał zatem prawo definiować w swojej dziesiątej tezie (później uznanej przez inkwizycję za heretycką), że w białej magii i w kabale jaśniej chwała Boża. Przywołując kabałę, otworzył renesansowym magom i ich spadkobiercom (wolnomularzom, różokrzyżowcom i teozofom) wielką dziedzinę magii słowa i połączył ich z myślą wszystkich ludzi wszystkich epok.

Pod koniec XV i w XVI wieku dokonano wielu przekładów tekstów kabalistycznych z hebrajskiego na łacinę; tłumaczami tych tekstów byli zazwyczaj Żydzi, którzy przeszli na chrześcijaństwo. Przełomem było wydanie kabalistycznego dzieła Josefa Gikatilli (1247–1305), który żył w tym samym czasie co Mojżesz ben Szem Tow i Abraham Abulafia, za którego ucznia jest uważany. Przekładu dokonał Paulus Ricius (zm. 1541), który doszedł do pozycji osobistego lekarza cesarza Ferdynanda I, za co otrzymał tytuł szlachecki i zmarł jako baron von Ritzenstein, ciesząc się wysokim uznaniem.

Poza przekazami żydowskimi istniały też łacińskie przekłady kabalistycznych traktatów, które stworzyły podwaliny dla zwycięskiego pochodu kabały jako tajemnej religii. Zainteresowanie kabałą nie osłabło do dzisiaj.

Poza kabałą Pico della Mirandola powoływał się na drugi wielki nurt tajemnej myśli, o zasięgu nie mniejszym od kabały, stanowiącym drugi obok kabały filar wiedzy tajemnej i tajemnych religii: przekaz tajemniczego bohatera i boga Hermesa Trismegistosa, Po Trzykroć Wielkiego Hermesa.

Co ciekawe, w antyku panowało przekonanie – spotykamy je u neoplatonika Jamblicha z Chalkis i w *Historii świata* Diodora Sycylijskiego – że wszyscy antyczni mędrcy i filozofowie (na których również wyraźnie powołuje się Pico della Mirandola) podróżowali do Egiptu i stamtąd przywozili swą mądrość. Byli to: Platon, Eudoksos, Orfeusz i Pitagoras. Za nauczyciela ich wszystkich uważany był Hermes Trismegistos.

[249] *Giovanni Pico della Mirandola, Oratio de hominis dignitate. Mowa o godności człowieka, tłum. Zbigniew Nerczuk i Mikołaj Olszewski, Warszawa 2010, s. 33.*

[250] *Giovanni Pico della Mirandola, Conclusiones sive Theses DCCCC, [w:] Joannis Pici Mirandulani Opera Omnia, Basel 1572–1573, s. 108 (Reprint Hildesheim 1969), cyt. za: Wilhelm Schmidt-Biggemann, Philosophia perennis. Historische Umriss abendländischer Spiritualität in Antike, Mittelalter und Früher Neuzeit, Frankfurt am Main 1998, s. 150.*

[251] *Tamże, nr 15, s. 152.*

[252] *Tamże, nr 10, s. 151.*

^[253] *Por. Johannes Reuchlin, De arte cabbalistica, Hagenau 1518, przedruk Stuttgart 1964, s. 131 i 268.*

Książka dla none none

HERMETYCZNIE ZAMKNIĘTY – TRADYCJA HERMESA TRISMEGISTOSA

Wymiar przepaści to jest to, co hermetyczne.

Stoi to za wszystkim, co uzasadnione i możliwe do uzasadnienia,

za wszystkim, co niestale i co zrozumiałe.

Nie tylko stoi za tym, ale też to przenika i nasycza.

Heinrich Rombach

Raz jeszcze udajemy się w podróż do kolebki wiary i tajemnych religii – do Egiptu faraonów. Giovanni Pico della Mirandola powoływał się nie tylko na kabałę, ale także na Asklepiosa, Merkurego i Hermesa Trismegistosa. Wszystkie te trzy imiona wskazują na kanon tajemnych ksiąg, jeden z największych mitów ludzkości, mianowicie na pisma „hermetyczne”. Z owego *Corpus hermeticum* wywodzi się przymiotnik „hermetyczny”, który znaczy tyle co tajemniczy, całkowicie zamknięty, oddzielony i nieosiągalny. To, co hermetycznie zamknięte, jest bezpieczne i nieosiągalne. Nikt się do tego nie dostanie.

Grecy i Rzymianie uznali hermetyzm za religię, której początkiem było objawienie Hermesa Trismegistosa. Niektórzy wpływowi Grecy sądzili nawet, że hermetyzm jest właściwą, pierwotną religią. Hermes Trismegistos, czczony w Hermopolis na zachodnim brzegu Nilu, miał w czasach jeszcze przed potopem przeżyć tajemne objawienie Boga. On z kolei wtajemniczał później oba egipskie bóstwa – Izydę i Ozyrysa – by przekazały tę tajemnicę wybrańcom ludzkości. Inna wersja głosiła, że wiedza wciąż niszczone była przez takie katastrofy jak pożary, powodzie, wybuchy wulkanów, a od czasu do czasu także przez wojny, więc ludom stale doskwierał jej brak – fakt trudny do zaprzeczenia, jeśli weźmiemy pod uwagę los Biblioteki Aleksandryjskiej. Hermes zapisał jednak całą wiedzę hieroglifami, a po potopie uczeni przełożyli te teksty na grekę. Ponieważ treść związana była z formą hieroglifów, mogły się pojawić jedynie błędy przekładu, a po drugie przekład nie wymagał interpretacji analitycznej, lecz wyłącznie symbolicznej

i metaforycznej. Oznacza to, że tych tekstów nie można było po prostu czytać, lecz musiały być poznajacemu objaśniane i interpretowane. Zupełnie jakby to, co te teksty przedstawiały, rozgrywało się dla czytającego za ścianą z mlecznego szkła. Zrozumienie mogło przyjść dopiero dzięki cierpliwemu zajmowaniu się nimi, dokładnej obserwacji oraz po nabyciu innych potrzebnych umiejętności.

Diodorus w swojej *Historii świata* z błogim dreszczykiem relacjonuje, w jaki sposób Orfeusz nauczył się w Egipcie elementów swojego tajemnego mistycznego kultu, a Pitagoras dowiedział się na brzegu Nilu o wędrowce dusz, która stała się głównym punktem jego nauki. Dla Greków – podobnie jak później dla ludzi renesansu i oświecenia – starożytny Egipt jako ogród wszelkiej mądrości i nieprzeniknionych tajemnic odgrywał zasadniczą rolę. Wszelka wiedza i wszelka wiara pochodziły ze starożytnego Egiptu.

Kim był jednak ten tajemniczy, do dziś czczony Święty Hermes Trismegistos, mityczny Egipcjanin o greckim nazwisku, i w jaki sposób zostało przekazane jego objawienie? Istnieją dwa wyjaśnienia – jedno jest prawdopodobne, drugie nie.

Prawdopodobne wyjaśnienie powiada, że w czasie działalności Jezusa w Egipcie pojawiły się teksty przypisywane Hermesowi Trismegistosowi. W Hermopolis czczono boga Thota o głowie ibisa, uważanego za boga Księżyca, mądrości i magii. Poza tym Thot protokołował też przebieg sądu nad umarłymi. Chrześcijański Sąd Ostateczny swoje pojęciowe pochodzenie zawdzięcza religii egipskiej.

Thot był niezwykle popularnym bogiem, a rola protokolanta na sądzie umarłych przyniosła mu przydomek „Dwukroć Największy”, gdyż jego działalność obejmowała zarówno królestwo umarłych, jak i życie ziemskie. Grecy, dla których wszelka wiedza zyskiwała pieczęć wiarygodności, kiedy poświadczal ją sędziwy wiek, znaleźli w tym bogu idealną postać, z którą mogli utożsamić swego boga Hermesa. W ten sposób powstał Hermes po Trzykroć Wielki, Hermes Trismegistos, działający w świecie umarłych, na ziemi oraz w niebie.

Marsilio Ficino, który przełożył *Corpus Hermeticum* z greki na łacinę, rozumiał pojęcie Trismegistos w ten sposób, że Hermes był czczony jako największy król, największy filozof i największy kapłan. Ten przydomek znajduje się już jednak na glinianych skorupach kapłana egipskiego Hora oraz historyka egipskiego Manetona. Tej mitycznej postaci zostały tylko przypisane teksty, które w związku z tym nazwano później hermetycznymi. Zazwyczaj mamy tu do

czynienia z pouczającymi rozmowami, w których Hermes Trismegistos poucza swego syna, Izydę albo Asklepiosa, a także z przykazaniami.

Pierwowzorem Asklepiosa była postać autentyczna, mianowicie kapłan Imhotep („ten, który przynosi pokój”), żyjący około 2700 roku p.n.e. W filmie *Mumia* został on przedstawiony w niesprawiedliwym świetle jako istota bardzo złośliwa. Grecy identyfikowali Imhotepa ze swoim bogiem Eskulapem (Asklepiosem).

Jeden z wariantów tego prawdopodobnego wyjaśnienia mówi, że hellenistyczni władcy Egiptu, Ptolemeusze, mogli nakazać zebranie tekstów egipskich i przypisać cały ten zbiór Thotowi. Przemawia za tym *Księga Thota*, napisana w języku demotycznym, egipskim języku codziennym. Należy jednak przyjąć, że te stare pisma przypisywane Thotowi lub Hermesowi Trismegistosowi, jeśli rzeczywiście zostały zebrane przez Ptolemeuszy, były wielokrotnie przerabiane. Zawarta w nich symbioza wyobrażeń egipskich o harmonii świata, zachowana w rytuałach kapłanów, oraz dziedzictwo neoplatoników wzmagają podejrzenie, że te dzieła swoją ostateczną postać i kształt otrzymały dopiero w pierwszym lub drugim stuleciu po Chrystusie. A niektóre z nich, te alchemiczne, zapewne jeszcze później.

Nieprawdopodobne wyjaśnienie głosi, że w pierwszym albo drugim wieku przed naszą erą, może także w czasie narodzin Jezusa, istotnie działał jakiś twórca religii, który siedział w Aleksandrii i układał hermetyczne pisma. To nieprawdopodobne wyjaśnienie coś w sobie ma, ponieważ pasuje do istoty tamtych czasów, gdy powstała większość myśli religijnej (także tej dotyczącej tajemnych religii), która zaprzęta nas do dzisiaj: mistyka żydowska, chrześcijaństwo, teksty z Qumran, gnoza i rzymskie religie misteryjne. Sama Aleksandria była w tych niespokojnych religijnie czasach wielkim centrum duchowym, miejscem wykształcania się różnych religii. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu wiele przemawia za tym poglądem.

Do piśmiennictwa hermetycznego zalicza się zazwyczaj następujące pisma: *Corpus Hermeticum*, *Asclepius*, *Tabula Smaragdina* oraz *Papyri Graecae Magicae*, słynne czarodziejskie papirusy.

Za najważniejszy tekst uważane jest właściwie *Corpus Hermeticum*, złożone z osiemnastu traktatów napisanych po grecku. Określenie się przyjęło, ale jest o tyle trudne, że już w późnym antyku istniały zbiory pism hermetycznych, na które zwraca uwagę Klemens Aleksandryjski, wspominając *Corpus* złożony

z trzydziestu sześciu traktatów.

Asklepius, którego powstanie datuje się na II–III wiek n.e., zachował się w przekładzie łacińskim. Najważniejsze rękopisy pochodzą z XII wieku. Wśród tekstów w języku koptyjskim, jakie znaleziono w Nag Hammadi, znajdowały się niektóre fragmenty *Asklepiusa*, co świadczy o jego rozpowszechnieniu. Cytaty z niego oraz interpretacje przekazywali również ojcowie Kościoła, przede wszystkim Laktancjusz i Tertulian. Podczas gdy Augustyn wyrażał się niepocholebnie o Hermesie, Laktancjusz chwalił go jako pogańskiego proroka, który zapowiadał chrześcijaństwo, w tym Trójcę Świętą.

Należy wymienić także słynną *Tablicę Szmaragdową* (*Tabula Smaragdina*), dodaną do pism hermetycznych, oraz *Papyri Graecae Magicae*, greckie papirusy magiczne, mające fundamentalne znaczenie dla magicznej interpretacji, jaką uprawiał Pico della Mirandola.

Drogi przekazu

Pisma hermetyczne trafiały do nas trzema możliwymi drogami. Pierwszą z nich była tradycja grecko-rzymsko-europejska, której zawdzięczamy na przykład *Asklepiusa*.

Druga droga: w XII i XIII wieku wielkie zainteresowanie Europejczyków (przede wszystkim filozofów scholastycznych) pismami Arabów doprowadziło do tego, że w swoich pismach uratowali oni część spuścizny Greków, uważanej za zaginioną. Dzięki tej „arabskiej obwodnicy” do pracowni uczonych europejskich dotarł przede wszystkim Arystoteles. Nieocenione usługi oddały w tym dziele ośrodki przekładowe w Toledo i Palermo. W pismach tych znajdowały się teksty nie tylko filozoficzne, ale także przyrodnicze, astrologiczne i alchemiczne. Arabowie interesowali się głównie alchemią, dlatego wciąż pojawia się przypuszczenie, że sam termin alchemia pochodzi z języka arabskiego. Pierwszy traktat alchemiczny przełożył na łacinę prawdopodobnie Robert z Chester w 1144 roku. Jego dziełem jest zresztą także pierwszy przekład *Koranu*.

Autorstwo *Tablicy Szmaragdowej* niektórzy badacze przypisują arabskim alchemikom z VIII lub IX stulecia. O samej *Tablicy* krążą legendy, że została znaleziona w grobie Hermesa Trismegistosa pod jednym z jego pomników i że jej autorem jest również legendarny Apoloniusz z Tiany. W 1541 roku tekst *Tablicy Szmaragdowej* ukazał się drukiem po łacinie. Wśród wielu, którzy intensywnie się nim zajmowali i zajmują do dzisiaj, był nawet Isaac Newton, którego komentarz

nie został dotąd opublikowany i leży jako rękopis w archiwum King's College w Cambridge, a jego zawartość jest dla badaczy wielką tajemnicą.

Ponieważ na dworach chrześcijańskich książąt dobrą opinią cieszyli się żydowscy i arabscy lekarze, przeto papieże, cesarze i królowie również zatrudniali lekarzy żydowskich albo arabskich, którzy już z racji swego fachu zajmowali się nieco problemami alchemicznymi i astrologicznymi – więc także tą drogą do Europy płynęły informacje na ich temat. Te kanały informacyjne są jednak najtrudniejsze do zbadania, ponieważ dochodziło tam do wymiany doświadczeń i poglądów najczęściej w rozmowach, o których treści można dziś już wyłącznie spekulować. Z uwagą należy patrzeć na niezbadany dotąd kontekst tajemnej religii miłości.

Zachodnia droga przekazu i droga arabska skrywają specyficzną formę przekazu, zwłaszcza w przypadku tekstów alchemicznych. Na terenie europejskim i arabskim wciąż powstawały niewielkie grupy alchemików, często dobrze wzajemnie skomunikowane, które wymieniały się doświadczeniami. Alchemia to nie tylko technika, nauka i pseudonauka, ale przede wszystkim forma egzystencji. Człowiek albo jest alchemikiem, albo nie – nie ma możliwości pośrednich. Jeśli ktoś chce, to alchemia jest tajemną religią, której człowiek oddaje się w całości.

W łacińskim średniowieczu można dostrzec nawet alchemików lub grupy alchemików, którzy działali jak tajne związki. Badania alchemiczne prowadzili w okresie rozkwitu średniowiecza tacy ludzie jak Rajmund Lull (Raimundus Lullus) czy Arnold de Villanova. Substancjami organicznymi i nieorganicznymi zajmował się również filozof i przyrodnik Albert Wielki. Zarówno dla alchemików, jak i dla hermetyków bezpieczniej było działać w ukryciu, żeby nie dostać się w tryby podejrzeń o czarną magię i nie zostać wydanym inkwizycji. Tradycje te utrzymują się aż po renesans i barok, który jest epoką prawdziwie alchemiczną.

Trzecia droga przekazu prowadziła przez Konstantynopol. Cesarstwo wschodnie, tak zwane Bizancjum, przeżyło cesarstwo zachodniorzymskie o dobrych tysiąc lat. I to właśnie w Konstantynopolu przechowała się i przetrwała filozofia grecka, wiedza Wschodu, tradycje chaldejskie i myśl Persji. To również stamtąd pochodzi większość ojców Kościoła.

W 1054 roku Kościół katolicki podzieliła schizma wschodnia – od Rzymu odłączył się wtedy Kościół wschodni, prawosławny, którego kontynuatorem są dziś przede wszystkim Kościół grecki i rosyjski. W XV wieku cesarstwo bizantyńskie chwiało się pod naporem ataków muzułmańskich Turków, wdzierających się na

Zachód z głębi Azji. Pod wpływem tego kryzysu oba Kościoły ponownie podjęły rozmowy. Zwołano sobór w Ferrarze, który ostatecznie za namową Kosmy Medyceusza został w 1539 roku przeniesiony do Florencji. Kosma natychmiast zorientował się w znaczeniu wiedzy przechowanej przez Bizantyńczyków. Greccy polihistorzy Bessarion i Georgios Gemistos Plethon, należący do bizantyńskiej delegacji na sobór, wywarli swoją wiedzą wielkie wrażenie na zachodnich uczonych.

Sobór stał się początkiem jedyne w swoim rodzaju transferu wiedzy między Bizancjum, Florencją i Rzymem, którego zwieńczeniem było założenie Akademii Platońskiej we Florencji i przekład dzieł Platona na łacinę, dokonany przez Marsilia Ficina. W 1463 roku, roku urodzenia Mirandoli, Ficino przerwał tę pracę i przełożył najpierw *Corpus Hermeticum*, które trzy lata wcześniej w greckiej wersji językowej dotarło do Florencji.

Przekład Ficina ukazał się drukiem w roku 1471. W przedmowie autor przekładu zawarł streszczenie wiedzy swoich czasów na temat Hermesa Trismegistosa: „W chwili narodzin Mojżesza żył Atlas, astrolog, brat fizyka Prometeusza i ze strony matki dziadek starszego Merkurego, którego wnukiem był Merkury Trismegistos. (...) Ten Merkury cieszył się podobno taką czcią ludzi, że został podniesiony do rzędu bogów. (...) Jako pierwszy filozof odwrócił się od tematów przyrodniczych i matematycznych i oddał się rozważaniom o tym, co boskie. (...)”

Merkury napisał dużą liczbę książek o poznaniu tego, co boskie, w których – na Nieśmiertelnego! – cóż za tajemne misteria i co za zdumiewające przepowiednie zostały otwarte”^[254].

CO TO JEST HERMETYZM?

Jeśli chcemy podać definicję hermetyzmu, musimy pozostać na poziomie bardzo ogólnym, ponieważ ta religijna teoria objawienia i tajemnej nauki wychodzi od jedności i niepodzielności świata składającego się z odpowiedników. Jej celem jest – i dlatego hermetyzm jest właściwie religią – dążenie do zbawienia przez poznanie Boga. To poznanie Boga może się dokonać drogą kabalistyczną, alchemiczną, astrologiczną lub magiczną. Warunkiem koniecznym poznania jest poznanie siebie samego.

Jeśli przyjmiemy koncepcję odpowiedników, wówczas między Bogiem i człowiekiem istnieje związek analogii: poznanie jednego (np. siebie) umożliwia

wniosek co do drugiego (Boga), ponieważ właściwe Ja człowieka stanowi odbicie Boga. Ta droga poznania różni się od mistycznej drogi sufich czy mistyków żydowskich i chrześcijańskich, gdyż nie chodzi w niej o opróżnienie własnej duszy dla Boga. Hermetycy mają za zadanie uszlachetnianie własnej duszy – na kształt przemiany nieszlachetnego metalu w złoto – krok po kroku dochodząc do (samo)poznania.

Dla hermetyka świat istnieje jako jedność wyrażająca się w wielości. Tym samym opiera się on na brzemienym w skutki *hen kai pan* (jedność wszystkiego) – głównej zasadzie panteizmu. Bóg stworzył świat ze sferami ziemskimi i niebieskimi. W tym dziele wszystko łączy się ze wszystkim, ponieważ wszystko z siebie wynika i przede wszystkim – wszystko sobie odpowiada.

W piśmie hermetycznym *Kore Kosmu* z rozmowy pouczającej między Izydą i jej synem Horusem dowiadujemy się, że Bóg najpierw stworzył kosmos, który podzielił na dwa obszary: górny i dolny. Górny obszar zarezerwowany był dla istot „pneumatycznych”. Bóg stworzył substancję o nazwie „ożywienie”. Z części tej substancji stworzył dusze, które podzielił na wyższe i niższe, a z pozostałej części znaki zodiaku. Na koniec wyższe dusze wykorzystały resztki tej substancji do stworzenia zwierząt. Upojone twórczą mocą i niezdolne do samopoznania, aroganckie dusze opuściły miejsce przeznaczone im przez Boga. Bóg za karę stworzył człowieka i zamknął dusze w ciałach. Od tego czasu dusze niepodzielnie opanowało dążenie, by odzyskać utracone miejsce w niebie. Dręczy je tęsknota, by powrócić do domu.

Te uwięzione dusze nie były Bogu tak bardzo niedogodne, gdyż bardzo chciał, by to, co powołał do życia, było chwalone. Tak więc człowiek został przeznaczony do nieustannego sławienia dzieła Boga. Bogowie planet – którym podobała się idea Boga, gdyż jako część stworzenia mieli być chwaleni wraz z nim – dali człowiekowi właściwości, więc także znaki zodiaku, dobre i złe. Astrologia hermetyków opiera się także na tym wyobrażeniu, gdyż udział znaków zodiaku i bogów planet w kształtowaniu człowieka wyraża się w związku, jaki zachodzi między gwiazdami, planetami i ludźmi.

Bóg umożliwia jednak powrót duszom uwięzionym w ciałach. Na polecenie Boga Hermes objaśnił Izydzie możliwość i drogi powrotu do Boga, które ona teraz przedstawia wybranym ludziom.

Najważniejsza nauka Hermesa brzmiała: makrokosmos odpowiada mikrokosmosowi, na górze jest tak jak na dole, dla dusz stworzone zostały

filozofia, wiara i magia, natomiast dla ciała – medycyna. Im bliżej Boga znajdują się ludzie, tym lepiej im się wiedzie, natomiast oddalenie od Boga jest źródłem cierpienia.

W wersji nieco subtelniejszej można powiedzieć, że w człowieku istnieją dwie dusze: jedna w łączności ze Stworzeniem, druga zaś przybyła z gwiazd i osiedlona w ciele. Ta dusza za sprawą swego pochodzenia jest związana z gwiazdami i dlatego bierze udział w ich ruchu. W tym sensie niebo i gwiazdy mają wpływ na człowieka, ponieważ dzięki tej duszy gwiazdy na niego oddziałują. Dusza połączona z gwiazdami może powrócić do Boga.

Natomiast dusza połączona ze Stworzeniem, z tym, co pierwotnie boskie, może już za życia wznieść się do Boga i nie podlega ruchowi gwiazd ani Losowi. Ta droga zbawienia polega na poznawaniu Boga oraz jego Stworzenia. Ponieważ Bóg emanuje poprzez swoje Stworzenie, możliwe jest poznawanie Boga przez poznawanie świata. Jeśli bowiem wszystko wszystkiemu odpowiada, to wszystko można odczytywać jako analogon – w hermetycznym ujęciu za pomocą astrologii, alchemii i magii.

W renesansie coraz większe znaczenie zyskiwały trzy aspekty, które do dzisiaj odgrywają wielką rolę w tajemnych religiach i na cieszącej się coraz większą popularnością scenie ezoteryki. Są to: astrologia (choćby to były tylko horoskopy), alchemia (jako sen o wiecznym życiu czy wiecznej młodości – tak jak niektóre preparaty kosmetyczne mające zachować młodość skóry przypominają bardziej alchemię niż chemię) i wreszcie magia (od tarota po kulę jasnovidza).

Alchemia i uszlachetnianie dusz

Ważną częścią hermetyzmu jest do dziś uprawiana alchemia. Są wśród nas ludzie, którzy poświęcają swoje życie, swój czas i swoje pieniądze na znalezienie kamienia filozoficznego albo rozwiązanie zagadki wiecznego życia. Tak na przykład książka *Mysterium der Kathedralen* współczesnego alchemika Fulcanellego poprzedzona jest wstępem z następującym opisem adepta alchemii: „Zupełnie nieprzewidziane były następstwa, kiedy pewnego szarego popołudnia 1982 roku w bibliotece publicznej w Bazylei spotkaliśmy pierwszy raz alchemika Jeana Laplace’a: mroczne spojrzenie, czarna mantyla na ramionach, czarne spodnie i kamizelka na białawej koszuli, dłonie i paznokcie zaczerwienione od pracy w laboratorium...”^[255].

W alchemii mianem adepta określa się człowieka, który stworzył już kamień

filozoficzny. Jest on warunkiem uzyskania złota albo zwarzenia esencji wiecznego życia.

Nie jest jasne, kiedy powstała alchemia, w powszechnej świadomości niesłusznie ograniczana do przekształcania metali (głównie ołowiu) w złoto. Można jednak powiedzieć, że alchemia zdobyła uznanie w pierwszym stuleciu po Chrystusie w Egipcie, gdzie doszło do syntezy idei gnostyckich, astrologicznych, arystotelicznych i panteistycznych, czyli powstało wtedy to, co dzisiaj określamy mianem alchemii.

Pierwszym alchemikiem, który wyziera do nas z kart historii, jest Zosimos z Panapolis (ok. 350–ok. 420 roku n.e.). Już dla niego uszlachetnianie materiałów stanowi jedynie symbol uszlachetniania dusz. Tak jak z wartościowego metalu za pomocą kamienia filozoficznego uzyskuje się złoto, co alchemicy nazywają transmutacją, tak w procesie alchemicznym oczyszcza się i uszlachetnia dusze.

Tutaj również wszystko wynika z teorii odpowiedniości (analogii). Hermetycy długo zestawiali tabele, w których części ciała, organy, minerały, gwiazdy, planety, metale i żywioły wzajemnie się do siebie odnoszą. W ten sposób dokonano się przejście od alchemii rzemieślniczej do spirytualistycznej, polegającej w gruncie rzeczy na osiągnięciu wiecznego życia dzięki skutecznemu uszlachetnieniu i udoskonaleniu duszy w procesie transmutacji metali.

Ten związek alchemii rzemieślniczej i spirytualistycznej odbija się także w podobny sposób w religiach chińskich, zwłaszcza w taoizmie^[256]. Podobieństwa nie są w żadnym razie przypadkowe, ponieważ opierają się na tych samych założeniach. Idea odpowiedniości hermyków jest podobna do chińskiej idei analogiczności nieba i ziemi. Jeśli dla Chińczyka warunkiem egzystencji jest harmonia między niebem a ziemią, a zadanie człowieka upatruje on w utrzymaniu tej kosmicznej harmonii, to hermyk jest przekonany o tym, że makrokosmos i mikrokosmos wzajemnie sobie odpowiadają, co wyraża zresztą sławna formuła z *Tablicy Szmaragdowej*: jak na górze, tak na dole.

Jako alchemię rozumiemy uszlachetnianie metali, które jest procesem analogicznym do uszlachetniania dusz, ale jednoznacznie mu podporządkowanym. We wszystkich epokach pojawiali się jednak głupcy, szarlatani i oszuści, którzy sami o sobie mówili, że wytwarzają złoto i jako tacy szli przez życie z nadzieją, że dzięki transmutacji metali staną się bogaci. To oni psuli zawsze opinię alchemikom i przyczyniali się do wątpliwej sławy samej alchemii. Historia alchemii pełna jest skarg religijnych alchemików na tych „złotorobów”, którzy ściągali na nich złą

sławę.

Na obrzeżach tego fachu alchemia przechodziła często w zabobon, ale w jej religijnym centrum zawsze byli ludzie tacy jak Albert Wielki czy Isaac Newton, którzy w alchemii widzieli środek poznania Boga i zbadania świata. Już w średniowieczu została alchemicznie zinterpretowana legenda o Graalu; podobnie klasyczna transmutacja, która dokonywała się jako transsubstancjacja, jako przeistoczenie chleba w ciało, a wina w krew Chrystusa podczas mszy świętej. Tristan i Izolda Gotfryda ze Strasburga, ale przede wszystkim legendy o Graalu Wolframa von Eschenbacha dobrze się poddawały alchemicznej interpretacji. Takie zawężenie interpretacji tych znakomitych językowo i literacko dzieł jest jednak nieuprawnione i byłoby niesprawiedliwe, nawet jeśli ich autorzy dysponowali fachową wiedzą o alchemii. Nie należy też zapominać, że alchemia jest również nauką o duszy, o psyche człowieka, jak niezmordowanie podkreślał C.G. Jung.

Idea Eucharystii także znajduje się już w alchemii starożytnych Egipcjan. W świątyni w Denderze zamieniano zboże w złoto, a złoto było z kolei symbolem Boga. A zastanówmy się przez chwilę nad baśnią *Titelitur* (Rumpelstilzchen) autorstwa braci Grimm. Czy nie ma w niej ukrytego przekazu tajemnej religii? Bohaterka tej pozornie niewinnej opowieści – dziewczica zresztą – ma pleść słomę i robić z niej złoto, tak jak kapłani w świątyni w Denderze zamieniali zboże w złoto. Cała rzecz opiera się na rozpoznaniu prawdziwego imienia czarnoksięskiego karła. Tylko znajomość imienia kobolda może uwolnić młodą kobietę z jego niewoli. Ponieważ rzeczownik zawarty w tym literackim imieniu w dawnej niemczyźnie oznaczał człowieka chromego, to prawdziwe imię karła wskazuje, że jest on diabłem. Kiedy młoda kobieta orientuje się w tym i nazywa go prawdziwym imieniem, pokonuje i jego, i jego czary. W pełni zasadnie możemy uznać, że mamy tu do czynienia z tekstem alchemicznym.

W świątyni w Denderze pod statuą Artemidy (przypominającą zarówno Izydę, jak i Dziewicę Maryję) znaleziono podobno jakieś hermetyczne pismo, *Przesłanie Hermesa*. O innym znowu tekście hermetycznym mówi się, że został odkryty w postaci grawerunku na złotej płycie w Achmin, na sklepieniu grobowca świętej kobiety o imieniu Teozebia (również wskazującej na Izydę). Informacje o tych pismach znajdują się w książkach autorów arabskich.

Z jednej strony rzucają się w oczy podobieństwa między praktykami alchemicznymi i staroegipskimi rytuałami, z drugiej alchemia zwana jest w języku arabskim także „nauką świątyni”, ponieważ sztukę tę uprawiano w mrocznych

pomieszczeniach i piwnicach świątyń. Tym samym z mroków tradycji prześwieca ścisły związek między alchemią i sztuką budowlaną, który miał odegrać wielką rolę zwłaszcza dla najwyżej wtajemniczonych ezoterycznych wolnomularzy w XVIII wieku, ale miał też znaleźć swój wyraz w myśli nowoczesnych alchemików^[257].

Astrologia – cechy ludzi

Astrologię, jaką uprawiali koryfeusze w rodzaju Johanna Keplera, hermetyzm uzasadniał tym, że planety za pośrednictwem dusz przydzieliły ludziom różne cechy. Z tego wynikał związek, a nawet sympatia między ludźmi a ciałami niebieskimi. W uproszczeniu rzecz ujmując, można powiedzieć, że ruchom planet na niebie, a więc obiektom makrokosmosu, odpowiadały ruchy ludzi na ziemi (jako obiektom mikrokosmosu). To jest pierwsza odpowiedniość.

Na nieco głębszym poziomie nie jest to też nieprawdziwe, bo przecież ciała niebieskie oddziałują na Ziemię i życie ziemskie różnymi siłami, jak choćby (nieznana wtedy) grawitacja. Nowoczesna fizyka potwierdza tę odpowiedniość także w innym sensie, ponieważ model ruchu ciał niebieskich odpowiada modelowi atomu, a zatem znowu makrokosmos odpowiada mikrokosmosowi, jak na górze, tak na dole, czy jak w wielkim, tak w małym i odwrotnie. Teleskop i mikroskop pokazują podobno to samo.

Dla hermetryka świat działa według praw sympatii, przy czym nie chodzi o sympatię w dzisiejszym znaczeniu tego słowa, lecz o jej pierwotny sens, o współodczuwanie. To dlatego dla hermetryka (inaczej niż dla gnostyków) świat nie jest bezgranicznie zły i nie jest też złem samym w sobie, lecz raczej jest niedoskonałością, która zmniejsza się w swoich pozytywnych cechach. Zmniejszanie się pozytywnych cech związane jest tylko i wyłącznie z oddaleniem od Boga, tak jak oddalając się od kogoś, coraz gorzej się go słyszy. Także ten świat był przecież światem Boga, więc hermetyk czuł się zobowiązany do jego poprawiania, gdyż w ten sposób pomagał Bogu. Chodziło o harmonię, współbrzmienie i współodczuwanie (sympatię). To między innymi z tych przesłanek Pico della Mirandola mógł wyprowadzić tezę, że wszelka myśl na ziemi mówi o Bogu, tylko w różnych językach. Hermetyk uprawiający astrologię miał najpierw rozpoznać Boga, a następnie pozwoleń z Bogiem duszy wznieść się do niego. Pico della Mirandola, bardziej zainteresowany filozoficznymi konsekwencjami hermetyzmu, odrzucał astrologię.

Homeopatia – jedność ciała i duszy

Cała medycyna homeopatyczna ma swój początek w hermetycznej astrologii. Z wyobrażenia analogii w makro- i mikrokosmosie wynika związek między planetami i gwiazdami z jednej strony a częściami ciała i organami ludzkimi z drugiej. Zastosowanie astrologii w medycynie określane jest jako jatromatematyka (gr. *iatros* – lekarz). Jatromatematyka pozwalała ustalać na podstawie układu gwiazd korzystne pory na wykonywanie różnych zabiegów oraz orzekać o zdrowiu lub chorobie pacjenta. W codziennym życiu towarzyszy nam pewien aspekt jatromatematyki, kiedy mówimy o wrażliwości na zmiany pogody.

Pierwszym jatromatematycznym wydarzeniem w życiu człowieka był jego horoskop urodzinowy, który informował o tym, pod jaką dobrą lub złą gwiazdą człowiek przyszedł na świat. Wywodząca się z Babilonii religia astralna, która także weszła do hermetyzmu, została rozszerzona o możliwość zastąpienia złej konstelacji przez dobrą, a pomagać miał w tym przemyślny rytuał. Dlatego zwracano się do boga Serapisa – jedno z późnych bóstw okresu hellenistycznego – wiążanego z Ozyrysem i Apisem-bykiem, ale i z Zeusem, a uważanego też za równego JHWH. Niektóre jego wizerunki przypominają Jezusa Chrystusa. Pierwsi chrześcijanie również prosili Jezusa, żeby przez chrzest uwolnił ich od *heimarmene*, czyli od przeznaczenia.

Jatromatematykę w szerokim zakresie stosuje do dzisiaj tradycyjna medycyna chińska^[258].

Aby właściwie postępować w konkretnej chorobie, należy najpierw ustalić dekan odpowiedzialny za tę chorobę. Dekany to trzydzieści sześć równych części ekliptyki, po dziesięć stopni każdy, powstałe przez podział każdego z dwunastu znaków zodiaku na trzy części. Dekany stanowią strefę pośrednią między wszechświatem a znakami zodiaku, uważane więc były za strażników kosmicznej harmonii.

Idea medycyny alternatywnej pochodzi od Paracelsusa. Główna zasada homeopatyczna Samuela Hahnemanna, *similia similibus curantur* (podobne należy leczyć podobnym), tak jak zasada szczepienia, wynikała z hermetycznych koncepcji kosmicznego współodczuwania (sympatii). To ona dała też wgląd we wpływ warunków środowiskowych na zdrowie ludzi. W końcu te zasady opierają się na hermetycznej astrologii i alchemii. Swego czasu wielkim i rewolucyjnym odkryciem było stwierdzenie, że warunki zewnętrzne mogą wpływać na ciało i wywoływać u człowieka choroby – czy to za sprawą środowiska (za które Paracelsus winił gwiazdy), czy przez zarażenie. Nic w tym dziwnego – były to

jeszcze czasy wiary w zbawienne działanie upuszczania krwi. Ten osławiony środek traktowany był jako lekarstwo na wszelkie schorzenia.

Alchemia, medycyna i astrologia zakładają istnienie kosmosu, w którym wszystko jest ze sobą powiązane, od siebie zależne i nawzajem sobie odpowiadające. Cały hierarchicznie zbudowany kosmos jawił się hermetikom jako rodzaj domina. Wszystko, co czyni człowiek, ma swoje skutki. Dlatego z substancji organicznych i nieorganicznych hermetycy warzyli substancje na potrzeby medyczne i alchemiczne. W niektórych przepisach alchemicznych stworzenie eliksiru potrzebnego do przekształcania metali wymagało zbierania rosy w określonym miejscu i o określonym czasie. Widać w tym miejscu, że pozyskanie eliksirów, sekretnych substancji czy płynów, do których niezbędna jest znajomość astrologii i alchemii, ociera się o świat magii. Ten, kto opanował magię, jest magiem, największym geniuszem renesansu.

MAG

Mistrz sztuk wszelakich, uniwersalny myśliciel obejmujący swym umysłem całość – taki uniwersalny rzemieślnik to mag. Jest obyty – bo obyty być musi – we wszystkich sztukach, ponieważ świat można poznać tylko przez analogię, odpowiedniość, a to poznanie jest drogą do zdrowia i szczęśliwości. Według ładnego sformułowania Ioana P. Culianu mag doby renesansu „jest psychoanalitykiem i prorokiem, ale jest też prekursorem takich współczesnych zawodów, jak specjalista *public relations*, propagandysta, tajny agent, polityk, cenzor, szef mass mediów czy specjalista od reklamy”^[259]. Jeśli chcemy zrozumieć, jak doszło do tego, że w Europie narodził się zupełnie nowy rodzaj myślenia, myślenie naukowe, które urosło do rangi nowej europejskiej religii; jeśli chcemy zrozumieć, jak to się stało, że świat magów wprawdzie zniknął, ale to, co magiczne, stworzyło we współczesnym myśleniu kryptę tajemnej religii – to musimy skierować spojrzenie na XV i XVI wiek, na czas pomiędzy przekładem Ficina *Corpus Hermeticum* a wojną trzydziestoletnią. Według Culianu do magii należą „komunikacja na duże odległości, błyskawiczne przemieszczanie się oraz podróżowanie w czasie i przestrzeni”^[260]. Dziś nie potrafimy jeszcze podróżować w czasie – poza tym mamy już wszystko, co należało do tych magicznych umiejętności, tyle że osięgamy to innymi sposobami niż dawni magowie.

Magia jest nauką o wyobrażonym, o wyobrażeniach, fantazmatach, obrazach świata. Tymi środkami posługiwał się mag, wykorzystując cały arsenał różnych metod. „Jeśli dziś możemy się szcycić, że dysponujemy naukowymi umiejętnościami i technologią, o jakiej magowie mogli niegdyś tylko pomarzyć, to

musimy też przyznać, że od czasu renesansu zmniejszyła się nasza umiejętność wpływania na obrazy kreowane przez wyobraźnię własną i innych. Stosunek tego, co uświadomione, do tego, co nieświadome, znacząco się zmienił, a nasza zdolność panowania nad własną wyobraźnią została zaprzepaszczona^{»[261]}. Tę stratę rekompensują między innymi tajemne religie oraz krypty religii nauki.

Giovanni Pico della Mirandola, Johannes Trithemius, opat ze Sponheim, Agrippa (Heinrich Cornelius), Francesco Giorgi, sir John Dee, Robert Fludd i Paracelsus – to niektórzy spośród wielkich magów tamtego czasu, którzy myśleli o świecie jako o całości.

Sir John Dee, który spędził pewien czas na dworze dziwnego cesarza Rudolfa II, wyliczył najkorzystniejszy dzień na koronację królowej Elżbiety I i objaśnił przy tym jeszcze świat jednym tylko symbolem, tak zwaną „monadą hieroglificzną”, w której zostały połączone w jeden znak tradycyjne symbole siedmiu planet. Od połowy XVI wieku, kiedy ukazał się drukiem fantastyczny traktat Horapollona na temat hieroglifów, dyskusja o języku, jakim kiedyś mówił Adam i jakim wyraża się Bóg, znowu weszła na egipskie tory, ponieważ hieroglify uważano za boskie znaki, które ludzie otrzymali za pośrednictwem Hermesa Trismegistosa.

Śmierć Mirandoli w 1494 roku zdawała się zrywać łączność z religią miłości, a magów coraz silniej wciągał nurt alchemii. Idea polepszania człowieka, jego duchowych zdolności i umiejętności coraz bardziej wpisywała się w obraz społeczeństwa idealnego, czego dowodem jest *Utopia* Tomasza Morusa, nosząca też wyraźne cechy hermetyzmu.

Reformacja doprowadziła do zasadniczej zmiany świata. Katolicyzm musiał się odnaleźć na nowo, natomiast protestantyzm musiał okrzepnąć w bardziej stabilnej formie, by nie rozpaść się na nieskończoną liczbę małych sekt. W Niemczech wykształciła się ortodoksja luterańska, ale własne niepodważalne struktury wytworzył również kalwinizm. Wszystko, co nie pasowało do schematu, było prześladowane. Wielu ludzi zarówno z katolickiej, jak i protestanckiej strony było poddawanych prześladowaniom duchowym i fizycznym. Tak stało się z anabaptystami i schwenkfeldystami, którzy najpierw usunęli się na Śląsk, a potem wywędrowali do Ameryki, gdzie do dzisiaj istnieją zamożne gminy ich wyznania. Kaspar von Schwenckfeld był sojusznikiem Martina Lutra, który bardzo zaangażował się w spór z Melanchtonem. W tamtym czasie, kiedy kształtowały się znane w dzisiejszej postaci katolicyzm i protestantyzm, a wszyscy inaczej myślący cierpieli prześladowania, powstały także tajemne religie, które objęły wszystko, co

oficjalnie wykluczone, prześladowane, oczerniane i wymyślone.

W tych brutalnie prowadzonych sporach wyznaniowych zniknął świat magów. Świat rozpadał się w oczach, a Leibniz i Newton byli ostatnimi, którzy myśleli o nim jako o niepodzielnej całości. Byli uczonymi o rozległej wiedzy, małymi braćmi magów, również skazanymi na zagładę. W Niemczech zrodziło się jednak silne zainteresowanie naukami hermetycznymi, a medycyna i alchemia stały się metodami, za pomocą których zły świat można było ulepszać.

[254]

Cyt.

za:

<http://www.phil-hum-en.uni-muenchen.de/php/Kessler/VL2003s09.htm>.

[255] *Fulcanelli, Mysterium der Kathedralen, Basel 2004, s. 11.*

[256] *Tamże.*

[257] *Por. Louis Charpentier, Die Geheimnisse der Kathedrale von Chartres, Köln, b.r.; Fulcanelli, Mysterium der Kathedralen, Basel 2004.*

[258] *Por. Werner Tiki Küstenmacher, Klaus-Rüdiger Mai, Die Weltreligionen. Woran die Menschen glauben, München 2010, s. 100 ff.*

[259] *Ioan P. Culianu, Eros und Magie in der Renaissance, Frankfurt am Main und Leipzig 2001, s. 20.*

[260] *Tamże.*

[261] *Tamże, s. 21.*

Książka dla none none

TAJEMNA RELIGIA JAKO TAJNY ZWIĄZEK – RÓŻOKRZYŻOWCY

W powszechnej historii poszukiwania i znajdowania heretyków drugą reformację można było urzeczywistnić jedynie w tajnym bractwie, w elitarnym zakonie. U początków historii wielkich zachodnich tajemnych religii w okresie nowożytnym stoją różokrzyżowcy.

Literacka strona tego zjawiska została dobrze zbadana dzięki przełomowym pracom Carlosa Gilly'ego i Rolanda Edighoffera, bardzo niewiele natomiast wiadomo o początkach organizacyjnych tego związku. Wynika to głównie z faktu, że ezoteryka we wczesnym okresie nowożytnym wciąż jeszcze czeka na opracowanie.

Dwa aspekty wydają się tu szczególnie istotne. Z jednej strony bowiem w tamtej epoce nie istniały jeszcze polityczne tajne związki – związki i zrzeszenia miały charakter wyłącznie ezoteryczny i religijny. Były jeszcze rodem ze średniowiecza, a w świecie średniowiecza – nie przesadzimy, tak to ujmując – istniała wprawdzie władza, ale nie było polityki. Z drugiej strony takie dążenia mistyczne, alchemiczne czy (później) także pansoficzne pojawiały się sporadycznie i były zjawiskami raczej nietrwałymi. Z tego względu można się tylko domyślać, w jaki sposób grupy alchemików stawały się różokrzyżowcami.

W pierwszej dekadzie XVII stulecia zawiązał się w Tybindze krąg niezwykłych przyjaciół. Jego główną postacią był Tobias Hess – pansof, lekarz i alchemik urodzony w Norymberdze. Początkowo zajmował się teologią, następnie prawem, a w końcu oddał się medycynie i alchemii. To on zgromadził wokół siebie najjaśniejsze protestanckie umysły miejscowego uniwersytetu. Należeli do nich teolog i filozof Christoph Besold oraz student teologii Johann Valentin Andreae, który tak wspominał tamte czasy: „Wierzyliśmy w paradoksalnego ducha Tobiasa Hessa i w – nie wiem jaki – złoty wiek i w jakie interesujące obliczenie [daty] Sądu Ostatecznego”^[262].

Ta uwaga starego Andreae jest pod wieloma względami pouczająca. Jako młody człowiek poznał Hessa, prawdopodobnie w swoim rodzinnym domu. Hess był wtedy mężczyzną w sile wieku, dobiegał pięćdziesiątki i wraz z ojcem Andreae prowadził alchemiczne eksperymenty. Przez większość swego życia Tobias Hess poszukiwał środków, którymi można by było poprawić nędzny i zatwardziały świat. Można go sobie wyobrazić jako kogoś w rodzaju doktora Fausta w scenie w pracowni.

Aby przeciwdziałać upadkowi protestantyzmu, Tobias zakładał małe kręgi przyjaciół i związki artystyczne. Wśród luterzańskich teologów, ale także wśród znacznej liczby wiernych z warstw oświeconych narastała gwałtowna tęsknota za drugą reformacją. Należało odnowić impuls pierwszej reformacji. Myślenie w kręgu przyjaciół Hessa coraz silniej koncentrowało się na tym zadaniu.

Do tego dochodziło jeszcze wyraźne poczucie zbliżającej się nowej epoki. Obok teorii magicznych i mistycznych na krąg w Tybindze silnie oddziaływała także idea tzw. trzech okresów w dziejach świata Joachima z Fiore^[263]. Rojono sobie, że właśnie zbliża się początek trzeciego okresu (królestwo Ducha Świętego), które nastąpi po okresie Boga Ojca i Syna. Wszelkie obliczenia wskazywały na to, że nowa epoka zostanie zapowiedziana znakami na niebie. W tym samym czasie Johannes Kepler doniósł o supernowej z 1604 roku, która ukazała się w „ognistym trójkącie”.

Najważniejsze prądy duchowe, które doprowadziły do manifestów różokrzyżowców, wymieniamy krótko i jedynie hasłowo. Manifesty te powstawały w kręgu przyjaciół z Tybingi w latach 1606–1610 i przynajmniej częściowo stanowią przykład „klasycznej” wiedzy tajemnej.

1. Mistyczna droga do Boga jako ratunek człowieka przed piekłem i przemijalnością oraz wejście w życie wieczne, która – opisana przez Mistrza Eckharta^[264], wielokrotnie relacjonowana, podjęta przez Martina Lutera, a w końcu przez Kaspara Schwenckfelda (*Confession und Erclerung vom Erkandtnus Christi und seiner Göttlichen Herrlichkeit*^[265]) i Valentina Weigla (*Dialogus de Christianismo*) – doprowadziła do różokrzyżowców.

2. Eschatologiczne wyobrażenia przekazane w dziele Orygenes, sięgające aż po Joachima z Fiore i znajdujące zwieńczenie w teorii trzech królestw (trzech okresów), wyznaczały model społeczny. W kręgu Hessa koniec świata postrzegany był jako swego rodzaju *art restitutio ad integrum* – w medycynie oznacza to wyleczenie choroby bez pozostawienia śladów. Jako warunek tego różokrzyżowcy widzieli dalszy ciąg reformacji albo lepiej: nową reformację, którą zamierzali zaprojektować.

3. Pisma hermetyczne, zwłaszcza rękopisy *Asklepius*, *Corpus Hermeticum* i *Tablica Szmaragdowa* odegrały trudną do przecenienia rolę w dyskusjach renesansu i rozpoczynającego się baroku.

Naczelną zasadą pism hermetycznych głosiła, że „jak na górze, tak na dole”,

że makrokosmos odpowiada mikrokosmosowi. To wyobrażenie legło u podstaw pansofii, która dotarła do Hessa przez Paracelsusa^[266], zwłaszcza przez tzw. medycynę paracelzjańską. Zainteresowanie medycyną wynikało z całościowego wyobrażenia o zdrowiu i leczeniu. Należy zacząć od tego, że zarówno w dziedzinie medycyny, jak i w alchemii istnieje rozdźwięk pomiędzy nauką wewnętrzną a zewnętrzną i że tajemnice zawodowe alchemików i lekarzy udostępniane były tylko niewielkiemu kręgowi wybranych. Wyleczenie człowieka obejmowało również przywrócenie zdrowia duszy, a jeśli było to niemożliwe, nie można też było wyleczyć choroby. Pansofowie byli przekonani, że nikt nie może być zdrowy, jeśli jego dusza jest chora.

Recepcja pism hermetycznych spowodowała też, że tajemnicę zaczęto pojmować jako wiedzę tajemną, którą zwolennicy hermetyzmu zachowywali we własnym, ograniczonym gronie. Początkowo wraz z pismami hermetycznymi kursowało przekonanie, że to sami staroegipscy kapłani otrzymali tajemną wiedzę od boga Thota-Hermesa w świątyni w Hermopolis^[267]. Kapłani trzymali tę wiedzę w tajemnicy, co było usankcjonowane przez boga, a to oznaczało, że zdrajcy grożą męki, śmierć i wieczne potępienie.

Zawsze na początku była tajemnica, wokół której ludzie się gromadzili, czyli wiązali się tą tajemnicą. Jeszcze do czasu wczesnego oświecenia znany był związek między świętością i tajemnicą, jaki wynika choćby z misterii. Pierwsi chrześcijanie rozumieli jeszcze dosłownie Kościół jako urzeczywistnienie mistycznego ciała Chrystusa w potajemnym spotkaniu gminy^[268]. Do tego dochodził jeszcze fakt, że myśl gnostycka i alchemiczna (a częściowo także mistyczne idee w łonie Kościoła) traktowane były jak herezja. Dla najbardziej znanych przedstawicieli tych kierunków, jak Rajmund Lull czy Arnold de Villanova, konieczność zachowania pewnej dyskrecji wynikała ze względów bezpieczeństwa. Utrzymywanie tajemnicy było zatem z jednej strony skutkiem tradycji i związku z tym, co święte, a z drugiej strony konkretnych warunków społecznych (prześladowań i restrykcji).

Manifesty różokrzyżowców krążyły najpierw w postaci rękopisów i elektryzowały opinię publiczną; drukiem ukazywały się w latach 1614, 1615 i 1616. Ten tajny związek religijny, który zabrał się do reformowania świata i propagował najszlachetniejsze cele, jedni postrzegali jako wybawcę, inni jako diabła. Różokrzyżowcy od samego początku byli gwałtownie zwalczani, nikomu ich działalność nie była na rękę. Luterkańscy ortodoksi uważali ich za skrytych kalwinistów, którzy chcą wniknąć do Kościoła luterkańskiego i go infiltrować. Kalwiniści z kolei widzieli w różokrzyżowcach jezuitów, a katolicy – piątą

kolumnę protestantów. Następnie ukazało się ponad 200 pism, w których różokrzyżowców chwalono, atakowano albo broniono – a oni po prostu i zwyczajnie poszukiwali.

Najdziwniejsze i najbardziej paradoksalne było bowiem to, że nawet po ogłoszeniu ich manifestów nie znaleziono ani jednego czułego punktu tego związku, niczego, o co można by go zahaczyć. Istniały pisma potwierdzające przynależność do związku – ale nie było wyznawców. Była to sytuacja kuriozalna, o jaką poza tym trudno w historii. Opinia publiczna zadawała sobie pytanie, kim w końcu są ci różokrzyżowcy. Gdzie się podziewają? Jacy ludzie kryją się pod tą nazwą? Tajny związek pozostał jednak tajny. Wzywał wprawdzie do współpracy, ale wielu chętnych, którzy chcieliby współpracować, nie wiedziało, gdzie się zgłosić. Wszędzie pojawiali się oszuści – przede wszystkim na Fankfurckich Targach Książki – którzy mienili się różokrzyżowcami. Książę August von Anhalt żywo interesował się nowym związkiem, opłacał szpicli i pośredników, którzy mieli się dowiedzieć, gdzie można spotkać tych zagadkowych braci od różokrzyża. Daremnie.

Czyżby byli tylko fantomem?

Mimo wymuszonego społecznie sekretne działaniu w dziesięcioleciu poprzedzającym wojnę trzydziestoletnią wiadomość o istnieniu nowego zakonu różokrzyżowców stała się sensacją. Widać po tym wyraźnie, jak wielka była powszechna bezradność, jak bardzo czekano na tajemną społeczność najznakomitszych mężów, którzy doprowadziliby do porządku ten postawiony na głowie świat. Jak wielkie było oczekiwanie na nową religię jako nową, nieskażoną drogę do Boga i jak wielkie nadzieje z nią wiązano. Ludzie nie domyślali się, że postawiony na głowie świat, o którym tak trafnie pisał w tamtym czasie Szekspir, nie da się już przywrócić do porządku, że zmienił się tak gruntownie i w takim zakresie jak nigdy dotąd.

Zakon różokrzyża był jakby szyty na miarę tych oczekiwań i nadziei, gdyż miał swoją legendę, a przede wszystkim idealnego legendarnego założyciela Christiana Rosenkreutza, od którego bractwo wzięło swoją nazwę. Współcześni nie mieli wątpliwości co do istnienia tego tajemniczego męża, gdyż zbyt wiele się w jego życiorysie zgadzało. Podobno w 1604 roku odnaleziono i otwarto jego grobowiec – a rok 1604 był szczególny z powodów astrologicznych. W ognistym trójkącie trzech znaków zodiaku: Barana, Lwa i Strzelca, Johannes Kepler odkrył nową gwiazdę, która uważana była za znak rozpoczęcia nowej reformacji. Ponadto panowało przekonanie, że kończy się wyznaczone 120 lat pokuty i sądu.

Jeśli zatem przyjmujemy, jak czynili to współcześni, początek pokuty i sądu na rok urodzenia Lutera, to rok 1604 pasował tu jak ulał. Ludzie prawdopodobnie odczytywali to w ten sposób, że Luter przekazywał pałeczkę reformacji właśnie różokrzyżowcom, którzy mieli dokończyć jego dzieło.

Na reformację trzeba jednak było jeszcze poczekać, tymczasem zaś rozgorzała wojna trzydziestoletnia. Zaczęło się właściwie od wielkiej nadziei, która miała się stać wielką rzezią. Idee różokrzyżowców ogarnęły dwory, przede wszystkim dwór Fryderyka w Palatynacie. Kiedy w roku 1619 jako protestant przyjął koronę czeską i pojechał do Pragi, towarzyszyły mu nadzieje protestanckich Niemiec, przede wszystkim różokrzyżowców, bo żaden książę niemiecki nie był bliższy różokrzyżowcom niż Fryderyk. Jego doradca Christian von Anhalt, brat alchemika Augusta von Anhalt, jeździł po Europie, żeby budować sojusz protestantów. Panowanie Fryderyka spowodowałoby postęp reformacji generalnej, tak oczekiwanej przez różokrzyżowców. Stało się jednak inaczej. Niespełna rok później, 8 listopada 1620 roku Fryderyk został pobity pod Białą Górą przez katolickiego przywódcę Charles' a Bonaventure de Longuevala i musiał się udać na emigrację. Utracił nie tylko koronę czeską, ale i władzę w Palatynacie. Szydzono z niego jako z „zimowego króla”, ponieważ panował tylko przez jedną zimę. Sojusz, o który tak zabiegał Christian von Anhalt, nie doszedł do skutku i w końcu Fryderyka opuścił nawet jego teść, angielski król Jakub I. A Fryderyk pokładał w nim tak wielką nadzieję. To był koniec utopii różokrzyżowców. Z utopii powstała tajemna religia, która całkowicie porzuciła kwestie praktyczne i społeczne, a wszystkie siły skierowała na rozważania związane z tajemnicami Boga i na alchemię.

U wczesnych różokrzyżowców bardzo szerokim echem odbiła się polityczna myśl hermetyków; teraz jednak wycofali się oni do strefy prywatnej, ukrytej i potajemnie religijnej. Najlepszymi środkami do osiągnięcia Królestwa Niebieskiego stały się znowu mistyka i kabała. Genialni teozofowie pisali w Niemczech głębokie dzieła o zbawieniu. Jakob Böhme, prosty mistrz szewski, sformułował chrześcijańską kabałę, Angelus Silesius (Anioł Ślązak) badał drogę mistyczną i pansoficzną.

Zdawało się nawet, że różokrzyżowcy zmartwychwstali w XVIII wieku, ale ze swoimi poprzednikami mieli wspólną już tylko nazwę i zainteresowanie alchemią. Zakon Złoto- i Różokrzyża był tajnym związkim, dla którego drogą do Boga była mistyczna religia oparta na alchemii, a uszlachetnianie dusz stanowiło odpowiednik uszlachetniania metali.

Członkowie ugrupowań protestanckich, takich jak menonici czy schwenkfeldyści, którzy popadli w konflikt z ortodoksyjnymi luteranami czy kalwinistami, przesiedlali się na odległe tereny, żyli w swojej wierze w ukryciu albo wywędrowali do Ameryki Północnej.

W tym samym czasie powstało wolnomularstwo, które połączyło w jedno elementy różnych religii, wyznań i zasad filozoficznych. Wolnomularze wierzyli, że znajdą drogę do Boga, podążając za pierwszym mularzem Hiramem, któremu Bóg powierzył plan budowy świata. Na sposób rzymskich religii misteryjnych tworzyły się rozmaite związki wolnomularzy, pielęgnujące szczególnie drogę wprowadzania w tajemnice różnego stopnia. W niektórych z nich między nowicjuszem a adeptem, znającym wszystkie tajemnice, istniało od 120 do 150 stopni wtajemniczenia. Niektóre związki powołują się na rzekome misteria starożytnego Egiptu.

SĘDZIWIY, ALE ŻYWOTNY: „STARY I MISTYCZNY ZAKON RÓŻY I KRZYŻA”

Dobrym tego przykładem jest najbardziej skuteczne zjednoczenie różokrzyżowców w dzisiejszych czasach, założony przez Amerykanina H.S. Lewisa (1883–1939) Stary i Mistyczny Zakon Róży i Krzyża (A.M.O.R.C.), reklamujący się dziwną historią powstania. Jak poważnie zakon podchodzi do tej historii, widać po dokumentacji, jaką prezentuje w swoim ośrodku w kalifornijskim San Jose, we wzniesionym własnymi siłami i wyposażonym wielkim nakładem Muzeum Egipskim.

Syn faraona Tutmozisa II, pasierb współregenta wdowy Hatszepsut, która krok po kroku wyrywała władzę młodemu księciu, między 28 marca a 4 kwietnia 1489 roku p.n.e. zaprosił do swoich prywatnych komnat dziewięciu tajemniczych mężczyzn i trzy tajemnicze kobiety, aby się z nimi naradzić. Księżę, który podobnie jak ojciec nosił imię Tutmozis, zadbał o pełną dyskrecję i mógł liczyć na konspiratorskie zdolności kapłanów Imhotepa w świątyni w Tebach („domu życia”), u których spędził lata nauki.

Imhotep był bogiem umarłych, ale uważano go też za syna troszczącego się o zmarłego ojca. Był zatem odpowiedzialny za przygotowanie zwłok do pochówku i przede wszystkim za rytuał otwarcia ust. Tutmozis uważał się zarówno za kapłana Imhotepa, jak i za syna głównego boga Amona-Re i hołdował wiedzy boskiej i tajemnej.

W tym konspiracyjnym spotkaniu nie chodziło o zamach stanu ani o obalenie macochy, by wreszcie uzyskać pełnię władzy, co zresztą byłoby aż nazbyt zrozumiałe. Chodziło o coś znacznie istotniejszego: o wieczność. Dziewięciu mężczyzn i trzy kobiety, z którymi naradzał się Tutmozis, należało do Zakonu Różokrzyża i wprowadzało młodego księcia w prastarą tajemną wiedzę o powstawaniu i rozwoju świata: o tym, w jaki sposób wszystko się stało, w jaki sposób należy właściwie żyć i wreszcie w jaki sposób osiągnąć stan szczęścia w wieczności. Oprócz zasad postępowania związane z tym były wszelkie techniki (od ćwiczeń oddechowych przez terapie medyczne aż po poszukiwanie kamienia filozoficznego), działania i leczenie, które dzisiaj określilibyśmy mianem hermetycznych, alchemicznych, astrologicznych, gnostyckich, magicznych i homeopatycznych. To wszystko, co klasycznie rozumie się pod pojęciem mądrości. Wszystkie religie składają się z etyki i techniki.

Tutmozisowi została przekazana prastara mądrość, aby jej używał we właściwy sposób. On ze swej strony powinien był się okazać jej godny. Po śmierci Hatszepsut przejął samodzielną władzę i wprowadził Egipt w okres stabilności i dobrobytu. Zagrożeniu królestwa ze strony królów Mitanni położył raz na zawsze kres, odnosząc spektakularne zwycięstwo pod Meggido.

Wcześniej jednak książę został wtajemniczony przez różokrzyżowców w misteria. Naradzał się z nimi, z tymi dwanaściorciem, którzy wprowadzili go w tajemnice świata.

Tajemna wiedza przechodziła w historii z faraona na faraona. Po obaleniu boga Atona dla wiedzy nastął czas ukrycia. Wyjawiana była tylko przy okazji inicjacji i tak – od jednej inicjacji do następnej – przetrwała w ukryciu przez pokolenia do naszych dni. Zgodnie z informacją samych różokrzyżowców obok faraonów inicjację przeszli dzięki nim także greccy filozofowie – Pitagoras (który przebywał w Egipcie), Sokrates, Platon i Arystoteles; poza tym filozof średniowiecza Rajmund Lull, alchemik i (przede wszystkim) adept Nicholas Flamel, myśliciel renesansowy Pico della Mirandola, pansof i właściwy wynalazca homeopatii – Paracelsus, angielski mag John Dee, który rozmawiał z aniołami, ale też niestety osławiony Giuseppe Balsamo, czyli Cagliostro, który złamał przysięgę^[269].

Historia tego związku, przedstawiona tu w największym skrócie, zawiera klasyki historii tajemnych religii. Inne współczesne stowarzyszenia postępują podobnie.

Od renesansu do tajemnych religii ani do ezoteryki nie doszło już nic nowego. Dokonywano tylko przemieszania dotychczas obecnych elementów, zmian czy nowych zestawień albo zmiany znaczeń. Pod względem elementów składowych rozwój tajemnych religii zakończył się w okresie renesansu.

^[262] *Johann Valentin Andreae, Tobiae Hessi immortalitas, cyt. za: Carlos Gilly, Iter Rosicrucianum. Auf der Suche nach unbekanntem Quellen der frühen Rosenkreuzer, [w:] Das Erbe des Christian Rosenkreuz. Vorträge, gehalten anlässlich des Amsterdamer Symposions, 18-20 November 1986– Johann Valentin Andreae 1586–1986 und die Manifeste de Rosenkreuzbruderschaft 1614 bis 1616, Bibliotheca Philosophica Hermetica, Amsterdam 1988, s. 71.*

^[263] *Por. przypis 2.*

^[264] *Por. Mistrz Eckhart, Traktaty, przeł. Wiesław Szymona OP, Poznań 1987.*

^[265] *Kaspar von Schwenckfeld, Confession und Erclerung vom Erkandtnus Christi und seiner Göttlichen Herrlichkeit, Ulm 1542.*

^[266] *W tym miejscu należałoby oddać głos wielu postaciom, ale wykraczałoby to poza ramy niniejszego opracowania, dlatego tutaj tylko je wymieniamy: Nikolaus von Kues, Agrippa von Nettesheim, Giordano Bruno, Heinrich Khunrath, Simon Gutman, Sebastian Frankh i Julius Sperber.*

^[267] *Tę legendę o pochodzeniu pism hermetycznych podawali, a może w ogóle wymyślili Grecy, zwłaszcza Grecy z Aleksandrii, którzy wykazywali szczególne skłonności do metafizyki i ezoteryki. Przejawiali wielkie upodobanie do wszystkiego, co wiązało się ze starożytnym Egiptem, który był dla nich ucieleśnieniem tajemniczości. Corpus Hermeticum zestawili Grecy w pierwszych wiekach po narodzeniu Jezusa, jak to pięknie ilustruje ich bliskość do neoplatonizmu.*

^[268] *Przymiotnik „mistyczny” oznacza „tajemniczy” nie tylko we współczesnym języku. Pierwotnie „mistyczny” znaczyło „ukryty” – tajemnicze jest to, co ukryte.*

^[269] *Oberster Rat A.M.O.R.C. Die Rosenkreuzer offenbaren ihre Lehren,*

Baden-Baden 2009; Wolfram Fritzsch, Die Geheimnisse der Rosenkreuzer, Wiesbaden 2005; Harald Lamprecht, Neue Rosenkreuzer. Ein Handbuch, Göttingen 2004, s. 136 f.

Książka dla none none

ŚWIAT PRZENIKNIĘTY WIARĄ

Oto jest schyłek świata:

brak religii, porządku i porozumienia.

Asklepios

Nasz świat mimo sekularyzacji jest w mniejszym stopniu racjonalny, w większym zaś przeniknięty wiarą. Najpóźniej od końca pierwszych różokrzyżowców tendencje związane z tajemnymi religiami były coraz bardziej w odwrocie, kurczyły się do małych ezoterycznych grup poszukujących wiary, która pomogłaby im uciec od społecznej rzeczywistości. Tajemne religie się sprywatyzowały, stały się alternatywą wyłącznie osobistą.

Obok poszukiwań w obrębie tajemnych religii przetrwało również alternatywne albo symboliczne myślenie, ponieważ myślenie naukowe, logiczne, ani nie obejmowało wszystkich dziedzin życia, ani nie zaspokajało wszystkich tęsknot ludzkiego życia. Między tym „przed” i „po” istnieje jednak wyraźna i ostra linia oddzielająca.

Do czasów renesansu tajemne religie niekoniecznie zgadzały się pod względem treści z myśleniem swoich czasów, zgadzały się natomiast pod względem formy. Kiedy skończył się czas renesansowych magów, narodziło się myślenie logiczno-naukowe, w którym najważniejszy był czynnik rozumowy, któremu większość ludzi dzisiaj zawiera w sposób niemal religijny. Ta forma myślenia dąży do wyeliminowania myślenia symbolicznego, myślenia obrazami, analogiami i alegoriami i do pozbawienia go racji bytu. Kwestia wyboru sposobu myślenia nie jest aktem logiki, lecz uczucia, nie jest kwestią nauki, lecz religii.

Właściwie do dzisiaj nie do końca pojmujemy ten przełom w myśleniu, który nastąpił między średniowieczem a nowożytnością, nie do końca uświadamiamy sobie jego rozmiary i następstwa – a dokonała się wtedy przecież całkowita zmiana perspektywy poznawczej. Pierwszy błąd, pierwsze złagodzenie, które powinno być karalne, pojawia się wtedy, gdy renesans traktuje się jako czas wylęgania się nowożytności. Ponadto nie ma nic bardziej odległego od renesansu niż kartezjanizm, filozofia René Descartes' a i jego zwolenników. Renesans nie jest

epoką przejściową – przełomu dokonał raczej właśnie kartezyjizm, zawierający zarówno elementy mistyczne, jak i racjonalistyczne, którego koncepcja wykazuje wiele cech religijnych i mistycznych. Magowie renesansu, których tak gruntownie wymiotły nowe czasy racjonalistycznej nauki, mieli świadomość, że zachowują, odkrywają i badają prastarą wiedzę, w dosłownym sensie wiedzę przedpotopową. Nic lepiej nie unaocznia tej zmiany perspektywy niż fakt, że dla magów historia świata była historią utraty wiedzy. To, co należało poznawać, znajdowało się w przeszłości, nie w przyszłości. Dla renesansowych magów świat był doskonały na początku, był rajem, z którego ludzie zostali wypędzeni. A wraz z tym wypędzeniem postępowało coraz większe zapomnienie i zapominanie, jaki ten świat był na początku. I renesansowi magowie chcieli przypominać to zapomniane. Poznanie oznaczało dla nich odwojowanie zapomnianego.

Człowiekowi nowożytnemu przeszłość wydaje się natomiast nieznaną i niedoskonałą. Od czasu, gdy na świecie pojawiło się pojęcie postępu, panuje przekonanie, że dzięki ustawicznym badaniom zyskujemy coraz więcej wiedzy i umiejętności. To samo myślimy o drodze nauki. Tymczasem dla magów bezsporną rzeczą było to, że następny dzień przyniesie nieuchronnie ubytek wiedzy, jeśli nie zwróci on spojrzenia na „absolutną wiedzę Boga” i nie będzie jej odkrywał w boskich imionach i odczytywał, zdeponowanej w *lingua adamica*, w języku Adama.

Z punktu widzenia maga wiedza była jednocześnie objawieniem i badaniem, a polegała na odczytaniu tego objawienia przez wtajemniczonych. Takie spojrzenie nie znikło wraz z magami, lecz jako tajemna religia stworzyło sobie liczne krypty w naszym nowoczesnym myśleniu. Niezwykle oddziaływanie myślenia symbolicznego pokazuje fakt, że mimo bezspornego panowania myślenia opartego na kalkulacji logiczno-matematycznej badacze przedstawiają niektóre kwestie tylko językiem symbolicznym, nie logicznie-matematycznym. Pokazuje to też, że myślenie symboliczne nie jest przypadłością pomyślników i ezoteryków, lecz że nawiązuje do dwóch wielkich dróg myślenia i wiary w naszej kulturze.

W XVIII wieku oświecenie wypchnęło z przestrzeni publicznej religię i przekształciło ją w prywatną sprawę obywateli; tak stało się w każdym razie w Europie i w Stanach Zjednoczonych. Tam, gdzie nie ma religii państwowej, wyznania nie muszą działać w ukryciu. Wyjątek stanowią te religie, które sam fakt swego istnienia traktują jak tajemnicę – przykładem mogą być różne nowe wyznania utworzone pod wpływem różokrzyżowców czy katarów, jak Lectorium Rosicrucianum albo Internationale Schule des Goldenen Rosenkreuzes z siedzibą w holenderskim Haarlemie. Nie przypadkiem w XIX stuleciu, wraz ze

zwycięstwem pozytywizmu, dla którego liczy się tylko to, co policzalne i możliwe do zmierzenia, z zanikiem wspólnot i wielkich rodzin i atomizacją jednostek zaczęły powstawać nowe stowarzyszenia związane z tajemnymi religiami.

Prominentnym i skutecznym przykładem tego jest Towarzystwo Teozoficzne, założone w 1875 roku przez niemiecko-rosyjską okultystkę Helenę Bławatską, które stało się punktem wyjścia nowoczesnej ezoteryki. Zwycięstwo racjonalizmu, myślenia opartego na rozsądku, szło w parze z metafizyczną niepewnością i potrzebą ludzi szukających innej wiary, tajemnicy wiary, jakiej nie znajdowali w oficjalnych Kościołach. Jak grzyby po deszczu wyrastały kręgi pansofistów, teozofów, antropozofów, różokrzyżowców, gnostyków, okultystów, satanistów, czarownic i wyznawców religii pogańskich. Zglobalizowany i wstrząsany kryzysami świat trzeciego tysiąclecia jeszcze bardziej wzmocnił tę tendencję.

Tajemne religie XIX i XX wieku w Europie i USA zawdzięczają swoją egzystencję, zarówno w sensie pozytywnym, jak i negatywnym, teorii o podwójnym wymiarze religii: oficjalnym (egzoterycznym) i tajemnym (ezoterycznym). Związek mistycznych wyznań z ich rzekomymi początkami, mitami o pochodzeniu i objawieniach jest zazwyczaj silniej naznaczony pełnymi fantazji wymysłami niż rzeczywistą kolejnością rzeczy, choć same te kierunki zdają się głęboko w nie wierzyć. W wielu ugrupowaniach nie można dowieść albo stworzyć pełnego zestawienia przywódców religijnych od założyciela do współczesnego mistrza albo guru (w chrześcijaństwie są to po Jezusie następcy św. Piotra). Okazuje się więc, że niektóre wyobrażenia religijne nie są tak dawne, jakimi się mienia, lecz stanowią po prostu zlepek, mieszaninę różnych poglądów. Tajemni mistrzowie, którzy mieli przekazywać tajemną wiedzę, pochodzą mniej lub bardziej przypadkowo z opracowań historycznych, a najważniejsza jest zgodność ich dat życia, które muszą się zgadzać z łańcuchem innych ważnych dla tego wyznania postaci, łączących je jakoby ze starożytnością. Niekiedy dla wypełnienia luk przydaje się też koncepcja odrodzenia. Za wyobrażeniami o szeregu mędrców i mistrzów kryją się interpretacje i opracowania materiału dotyczącego historii duchowości i religijności. Nowoczesne tajemne religie są z ducha dziećmi XVIII wieku, natomiast materiał, jakim się posługują, odnosi się do znacznie dłuższej historii i zamyka się w rozwoju na dobie renesansu.

Oba te aspekty – wiek materiału teologicznego i idee rodem z XVIII wieku – należy rozdzielać w rozważaniach o współczesnych tajemnych religiach proweniencji zachodniej. Elementy egzotyczne muszą trafiać do duszy wiernych, inaczej ich nie zainteresują i pozostaną im obce. Część tego, co obce, musi być

w człowieku, Bóg czy bogowie coś w nas pozostawili, inaczej nie przyciągaliby nas do siebie. Nie bez kozery widzimy w Bogu dobrego ojca, do którego dusza wyrwa się jak do domu. Zasadnicze doświadczenie nowoczesnego człowieka owocuje przekonaniem, że jako ludzie jesteśmy wydani na działanie obcych, ponadczasowych sił. Odpowiedzią na tę ukrytą egzystencjalną niepewność u jednych jest bagatelizowanie własnych domysłów, a potem otepianie się różnymi *eventami* i fundowanie sobie *more fun*, a u innych szukanie pocieszenia w religiach. Oficjalne religie często ludzi rozczarowują, ponieważ jako instytucje zbyt są podobne do pozbawionych oblicza urzędów państwowych, a ich przesłania mają w sobie rutynowy *charm* zinstytucjonalizowanego wyznania zbyt świeckich dogmatów, takich jak demokracja czy Europa. W ten sposób w tajemnych religiach dokonuje się cicha indywidualistyczna rewolucja sensu, sprzysiężenie, które ma wyzwolić ludzi z padołu łez i doprowadzić do szczęścia.

Trzeba tu dodać, że także w tej sferze powstał pewien rynek. Należ pamiętać, że tam, gdzie można zarobić pieniądze, szybko znajdują się samozwańczy mesjasze oraz ludzie, którzy wiedzą, gdzie stoją konfitury, ludzie, którym nie chodzi o zbawienie dusz, lecz o portfele wyznawców. Coś, co wygląda na tajemną religię, może dziś być zręcznym pomysłem marketingowym „produktu ezoterycznego” na jakże chłonnym religijnym rynku. Oferta jest barwna, każdy znajdzie coś dla siebie. Nie wszystko musi być też tak bardzo tajne, jeśli chce się przyciągnąć wielu klientów. Niekiedy takiemu „produktowi” towarzyszy obietnica poznania wiecznej szczęśliwości.

Zapomnijmy jednak na chwilę, że i tutaj roi się od rozmaitych oszustów, a zauważymy, jak wielkie jest zainteresowanie i zaangażowanie wielu ludzi, jak wielka jest ich gotowość pójścia inną drogą niż ta podpowiadana przez przemysł reklamowy. Świadczy to o wielkiej religijnej tęsknocie za sensem, szczęściem, za zbawieniem. Ci ludzie poszukują innej wiary, innej religii, bardziej osobistej i skierowanej *do nich*. Chodzą na różne wieczorne wykłady różokrzyżowców lub stowarzyszeń powołujących się na templariuszy, chodzą do kościoła gnostyków, nawiązują kontakt z neopoganami, satanistami, z kręgami buddyjskimi albo sufickimi. Wszystkie te religie obiecują tajemnicę, której można doświadczyć jedynie indywidualnie i która próbuje wyzwolić człowieka, traktując go jako całość. Tajemnica wymaga bowiem udziału całego człowieka.

Tajemne religie istnieją od ponad dwóch tysięcy lat do dzisiaj. Nieliczne trwają nieprzerwanie aż po nasze dni, jak niewielka wspólnota mandejczyków w południowym Iraku czy Kościół św. Tomasza (malabarski) na Środkowym i Dalekim Wschodzie. Niektórzy kapłani czy ajatollahowie organizują religijne

spotkania pod gołym niebem, natomiast we wnętrzach swoich kościołów czy meczetów spotykają się tylko z prawdziwymi wyznawcami i wybranymi swego wyznania.

Nikt nie ujął lepiej związków między ludową religią i nurtami ezoterycznymi tych wspólnot niż Fiodor Dostojewski. W powieści *Bracia Karamazow* Jezus powraca na ziemię w XVI wieku. Rozpoznają go nie tylko ludzie; Wielki Inkwizytor także wie, kogo ma przed sobą. Zachwyceni początkowo wierni pozwalają, by Wielki Inkwizytor aresztował Jezusa i wtrącił go do ciemnego lochu. Inkwizytor odwiedza go tam o północy i czyni mu wyrzut, że powrócił na ziemię. W końcu przyniósł ludziom jedynie marzenie o wolności. Natomiast on, Wielki Inkwizytor, odbiera wprawdzie ludziom wolność, ale za to daje im chleb. Lud jest więc teraz zniewolony, ale syty.

Klasycznym zarzutem, jaki podnoszą tajemne religie wobec wielkich egzoterycznych wyznań – judaizmu, chrześcijaństwa czy islamu – jest ten właśnie, że albo praktykują one potajemnie prawdziwą wiarę, albo ją zupełnie zdradziły, wybierając chleb zamiast wolności. Wynika z tego w sposób nieunikniony, że sprawiedliwi, czyli prawdziwi wierni, muszą praktykować prawdziwą wiarę potajemnie.

Wszystkie Kościoły i wyznania czują się zobowiązane wyznawać prawdziwą wiarę – niezależnie od tego, czy czynią to w tajemnicy czy nie, czy są egzoteryczne czy ezoteryczne. W prawdziwej wierze widzą pewną drogę właściwego życia w świecie, w którym ludziom żyć coraz trudniej, coraz trudniej odróżniać dobro od zła i oceniać, które wysiłki mogą dać szczęście, a które skazą na potępienie. Poszukiwanie sensu towarzyszy ludzkości od pierwszych dni i towarzyszyć będzie po dni ostatnie. Część tych poszukiwań odbywa się w ramach tajemnych religii.

Książka dla none none

Tajemne Religie

Spis treści

Okładka Karta tytułowa Dedykacja **TAJEMNICZA** **SPRAWA**
WIARY W POSZUKIWANIU TAJEMNICZY BYTU ZACZEŁO SIĘ
W EGIPCIEZ JAKIEGO MATERIAŁU SĄ BOGOWIE? WIECZNA PRAWDA
GWIAZD STARZY BOGOWIE
POZOSTAJĄ MŁODZIEŻ BOGINIE MATKI I KULTY MISTERYJNERADOŚĆ
ŻYCIA I ZEPSUCIE – DIONIZOS I JEGO ORSZAK TAJEMNICZY
I POPULARNY – KULT MITRYOCALIĆ
UTRACONE
SZCZĘŚCIEMISTYKA ŻYDOWSKAZWAŻONY I UZNANY ZA ZBYT
LEKKI – ŚWIAT RZYMSKI DALEKI BÓG, DIABELSCY ANIOŁOWIE I ZŁY
ŚWIAT – GNOZA ŻYCIE DLA ZBAWIENIA LUDZI – MANI GERMANIE
I CHRZEŚCIJANIE W IMIĘ
MISTERIUM –
MĘCZENNICY
I MORDERCY POSŁUSZEŃSTWO, WŁADZA I MIŁOŚĆ BOGA – WIELE
TWARZY SUFIZMU BRACTWA I TAJNE ZWIĄZKI I TAKI NA
KOŚCIÓŁ CHCIEĆ WIEDZIEĆ WIĘCEJ, NIŻ TO KONIECZNE – MISTRZ
ECKHART DOBRZY LUDZIE I BIEDNI CHRZEŚCIJANIE –
KATARZY UNIWERSALNA RELIGIA MIŁOŚCI TAJEMNICA –
JEJ MISTRZOWIE
I DZIEDZICE KWINTESENCJA TAJEMNEJ WIEDZY –
KABAŁA ODKRYCIE TAJEMNEGO DZIEDZICTWA – PICO DELLA
MIRANDOLA HERMETYCZNIE ZAMKNIĘTY – TRADYCJA HERMESA
TRISMEGISTOSATAJEMNA RELIGIA JAKO TAJNY ZWIĄZEK –
RÓŻOKRZYŻOWCY ŚWIAT PRZENIKNIĘTY WIARĄ Karta redakcyjna
Książka dla none none

Tytuł oryginału:

Die geheimen religionen

Copyright © 2012 by Bastei Lübbe GmbH & Co. KG, Köln

Copyright © 2014 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2014 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Korekta: Anna Just, Joanna Rodkiewicz

ISBN: 978-83-7508-918-9

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2014



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl



KLAUS-RÜDIGER MAI



TAJEMNE RELIGIE

NAJNOWSZA KSIĄŻKA AUTORA BESTSELLEROWEGO WATYKANU.

